

Wilbur Smith

SZLAK ORŁA

(Eagle in the Sky)

Przełożył Witold Radwański

Od autora

Pisząc tę książkę, korzystałem z pomocy wielu osób. Major Dick Lord i porucznik Peter Cooke udzielili mi cennych informacji na temat szczegółów konstrukcyjnych i techniki walki nowoczesnego samolotu myśliwskiego. Dr Robin Sandell i dr David Davies zapoznali mnie z pewnymi aspektami problematyki medycznej. Czcigodny Bob Redrup, podobnie jak ja zapalony wędkarz, przyczynił się do wyboru tytułu. Im wszystkim winien jestem wdzięczność.

Przebywając w Izraelu, doznawałem serdecznego przyjęcia ze strony licznych obywateli tego państwa. Przykro mi, że nie mogę wymienić tu ich nazwisk.

Przez cały ten czas była ze mną moja wierna towarzyszka i asystentka – w najtrudniejszych momentach jak zawsze służyła mi wsparciem, zachętą i radą. Dedykuję tę książkę jej synowi, a mojemu pasierbowi, Dieterowi Schmidtowi.

Te trzy rzeczy są ukryte przede mną,

Owszem, cztery, których nie wiem:

Drogi orleń na powietrzu,

Drogi wężowej na skale,

Drogi okrętu pośród morza

I drogi młodzieńca z panną.

Przypowieści, 30, 18-19

Szczyty gór Holandii Hotentockiej pokrywał śnieg, a wiejący od nich wiatr zawodził jak kojot. Instruktor pilotażu stał w drzwiach swego małego biura, wtulając głowę w kołnierz lotniczej bluzy i wciskając dłonie głęboko w obszyte futrem kieszenie.

Spoglądał na czarnego cadillaca, sunącego w jego kierunku wąską drogą między wielkimi, blaszanymi hangarami. Wargi wykrzywił mu kwaśny grymas. Ostentacyjne oznaki zamożności napawały Barneya Ventera głęboką odrazą, przemieszaną z zawiścią.

Cadillac wjechał na specjalnie oznaczone miejsce do parkowania pod ścianą hangaru i stanął. Tylne drzwi otworzyły się i wyskoczył z nich chłopak. Zamienił parę słów z czarnoskórym szoferem, po czym ruszył w kierunku Barneya.

Poruszał się z lekkością rzadką u chłopców w tym wieku. Nie człapał na zbyt dużych stopach, trzymał się prosto. Zawiść ukłuła Barneya jeszcze mocniej na widok zbliżającego się wyrostka. Nie znosił takich nadzianych, wypieszczonych chłopaczków i przeklinał los, który kazał mu spędzać co dzień wiele godzin w ich towarzystwie. Ale cóż – tylko prawdziwych bogaczy stać było na ponoszenie kosztów wprowadzenia synów w arkana sztuki pilotażu.

Do objęcia pieskiej funkcji instruktora zmusił go pogarszający się stan zdrowia, naturalny proces, postępujący nieubłaganie z biegiem lat. Właśnie dwa lata temu nie zdołał przejść przez rutynowe, ale surowe badania medyczne, od których pomyślnego wyniku zależało utrzymanie posady w towarzystwie lotniczym, gdzie był pilotem w randze kapitana. Teraz zmierzał drogą prowadzącą w dół, by zapewne skończyć nędznie, pilotując wysłużone, zdezelowane maszyny jakichś firm frachtowych, nigdzie nie zarejestrowanych i nie respektujących żadnych przepisów, często na trasach podejrzanych, nie ujętych w żadnych wykazach.

Ta świadomość sprawiła, że warknął na stojącego przed nim chłopaka.

– Pan Morgan, nieprawdaż?

– Tak, proszę pana, ale proszę mi mówić Dawid.

Chłopak wyciągnął rękę i Barney instynktownie podał mu swoją, potępiając się jednocześnie za ten gest. Dłoń chłopca była szczupła, ale jej uścisk był mocny.

– Dziękuję, Dawidzie – w głosie Barneya brzmiała ironia. – Ty zaś w dalszym ciągu możesz mi mówić „proszę pana”.

Wiedział, że jego uczeń ma dopiero czternaście lat, niemniej dorównywał mu prawie wzrostem, pomimo że Barney nie był ułomkiem. Dawid uśmiechnął się i Barneya uderzyła jego niezwykła uroda. Wyglądało to tak, jak gdyby każdy element jego twarzy

został pieczołowicie wyrzeźbiony przez najznakomitszego z artystów. Rezultat wydawał się tak doskonały, że aż nierealny. W jaki sposób prawdziwe, ciemne włosy mogły układać się w tak harmonijne, połyskujące fale, czyż prawdziwa skóra mogła być tak aksamitna, cera tak subtelnie śniada, oczy kryć w sobie taką głębię i skrzyć się takim żarem?

Barney uświadomił sobie, że gapi się na chłopca, że uległ jakiemuś czarowi, który ów zdawał się z siebie emanować. Obrócił się na pięcie.

– Chodźmy – powiedział krótko.

Poprowadził go przez biuro, o ścianach obwieszonych poplamionymi kalendarzami, na których gołe dziewczyny prezentowały swe wdzięki, skreślonymi ręcznie oświadczeniami, przestrzegającymi przed zawieraniem kontraktów na kredyt oraz przed wykonywaniem manewru krążenia w kierunku zgodnym z ruchem wskazówek zegara.

– Co wiesz na temat latania? – spytał chłopca, gdy przeszedłszy przez biuro znaleźli się w mrocznym wnętrzu hangaru i wzdłuż długich rzędów barwnych maszyn zmierzali ku szerokim wrotom na drugim jego końcu.

– Nic, proszę pana.

Taka odpowiedź napawała pewnym optymizmem i niechęć Barneya nieco osłabła. Wyszli z hangaru i stanęli w rażących, choć niezbyt gorących, zimowych promieniach słońca.

– Ale chcesz się uczyć?

– O, tak!

W stwierdzeniu tym było tyle woli i niekłamanego zapału, że Barney spojrzał na chłopca zdziwiony. Oczy Dawida były tak ciemne, że prawie czarne, lecz teraz słońce nadawało im głęboki odcień indyga.

– W porządku. No to zaczynamy.

Samolot stał już na płycie lotniska.

– To jest Cessna 150, jednopłatowiec, ze względu na umieszczenie skrzydeł określanany jako górnopłat – powiedział i rozpoczął rutynową kontrolę elementów zewnętrznych. Dawid śledził uważnie każdy jego ruch, a kiedy Barney zaczął udzielać krótkich objaśnień na temat działania sterów oraz zasady stosunku siły nośnej do obciążenia jednostkowego powierzchni skrzydeł, szybko zorientował się, że chłopak wie na ten temat całkiem sporo. Jego odpowiedzi na retoryczne pytania Barneya były trafne i dokładne.

– Poczytałeś sobie co nieco? – rzucił z przekąsem.

– Owszem, proszę pana – przyznał Dawid z uśmiechem, ukazując dwa idealnie równe rzędy lśniąco białych zębów. Uśmiechowi temu nie sposób się było oprzeć. Mimo

całej złości i goryczy Barney poczuł, że zaczyna lubić tego chłopca.

– No, dobrze. Wskakuj do środka.

Gdy już siedzieli obok siebie w ciasnej kabine samolotu, Barney najpierw objaśnił Dawidowi funkcję i sposób obsługi poszczególnych wskaźników i urządzeń pokładowych, po czym przeszedł do procedury startowej.

– Główny włącznik zapłonu – powiedział, wciskając czerwony guzik. – Przekręć teraz tamten kluczyk, dokładnie tak jak w samochodzie.

Dawid pochylił się do przodu i wykonał polecenie. Śmigło zawirowało, silnik zaskoczył i zaczął pracować, najpierw nierówno, szarpiąco, by po chwili zagrać jednostajnym tonem równych obrotów. Potoczyli się po płycie lotniska, a Dawid starał się szybko przyzwyczaić dłonie do uchwytów steru. Zatrzymali się jeszcze, by dokonać ostatecznej kontroli urządzeń i uzyskać z wieży kontrolnej zezwolenie na start. Po paru minutach kołowali już w stronę pasa startowego.

– Wypatrz sobie jakiś obiekt na końcu pasa. Cały czas kieruj się na niego i stopniowo dodawaj mocy.

Kabina wibrowała, a maszyna mknęła ku rosnącemu w oczach szlabanowi, oznaczającemu koniec pasa startowego.

– Teraz powoli ster do siebie.

I oto byli już w powietrzu, unosząc się coraz wyżej nad płytą lotniska.

– Delikatnie – napomniiał Barney. – Nie wieszaj się na sterach. Z samolotem musisz obchodzić się jak...

Zamilkł. Chciał powiedzieć – jak z kobietą, ale uświadomił sobie niestosowność takiego porównania.

– ...jak z koniem. Prowadź go z wyczuciem.

Skutek był natychmiastowy. Na swoim sterze mógł wyczuć, że kurczowy chwyt Dawida zelżał.

– O, właśnie tak, Dawidzie.

Spojrzał z ukosa na chłopca i ogarnęło go uczucie zawodu. Gdzieś w głębi ducha przeczuwał, że ten chłopak może być urodzonym pilotem, takim niezwykle rzadkim przypadkiem, jakim był on sam, człowiekiem, dla którego naturalnym środowiskiem są powietrzne przestworza. Lecz oto już w pierwszych minutach lotu na twarzy chłopaka widniało przerażenie. Skurczone nozdrza i ściśnięte wargi były białe jak śnieg, a toń ciemnoniebieskich oczu mąciły cienie na kształt rekinów sunących pod powierzchnią rozświetlonych słońcem wód.

– Ster w prawo! – zakomenderował, czując rozczarowanie i pragnąc się od niego uwolnić. Maszyna pochyliła się i utrzymywała się równo w tej pozycji, bez śladu

przesterowania.

– Wyrównaj.

Barney nie trzymał już rąk na własnym drążku sterowym, gdy nos samolotu opadł, by zetknąć się z linią horyzontu.

– Zmniejsz obroty.

Dłoń chłopca natychmiast powędrowała do regulatora przepustnicy. Barney spojrział na niego jeszcze raz. Wyraz twarzy Dawida nie uległ zmianie, ale teraz stary pilot nagle pojął, że nie jest to wyraz strachu, lecz ekstazy.

Tak, ten chłopak jest urodzonym pilotem! Ten fakt nappełnił go głębokim zadowoleniem, i podczas gdy ćwiczyli podstawowe umiejętności równoważenia maszyny i utrzymywania jej we właściwej pozycji, Barney miał przed oczami wygrzebany z trzydziestoletniej otchłani zapomnienia obraz innej maszyny, wysłużonej, żółtej Tiger Mole, i innego chłopaka, przeżywającego pierwsze uroki latania.

Tymczasem przelecieli nad skrajem gór o skalistych szczytach, przykrytych oślepiająco białym śniegiem, i teraz oddalali się od nich, pozwalając się nieść podmuchom wiejącego wiatru.

– Wiatr jest jak morze, Dawidzie. Załamuje się i tańczy wokół wzniesień. Bądź zawsze ostrożny z wiatrem.

Dawid skinął głową, przyjmując do wiadomości tę pierwszą porcję lotniczej mądrości, lecz jego oczy wpatrzone były w rozciągającą się przed nimi przestrzeń, rejestrując każdy obraz, najdrobniejszy szczegół tego niezwykłego doświadczenia.

Skręcili na północ i lecieli nad szarymi, smutnymi polami, obranymi przez żniwa ze złocistożółtej szaty zbóż.

– Teraz stery i wolant razem – zakomenderował Barney. – Spróbujemy zrobić ostry zwrot przez skrzydło.

Maszyna przechyliła się gwałtownie i jej nos zaczął zataczać koło, trzymając się precyzyjnie linii horyzontu. Nagle linia ta rozszczepiła się. Wąska kreska wyznaczała teraz granicę między niebem a oceanem, nieco niżej zaś rozciągała się długa linia białych plaż, obrębiona pasmami piany. Chłodną zieleń niespokojnych wód Atlantyku pstrzyły siwe grzywy fal.

Lecieli znów na południe, trzymając się brzegu. W dole widać było małe figurki ludzi na jasnożółtym piasku plaży, przysłaniających ręką oczy i obserwujących ich lot. Zbliżali się do potężnej, wybiegającej w morze góry o płaskim wierzchołku, wyznaczającej kraniec lądu, niezwyklej w swym kształcie widzianym z lotu ptaka. W zatoce gęsto było od statków, a promienie słońca odbijały się w oknach białych budynków, przycupniętych u podnóża góry, poniżej jej stromych, lesistych zboczy.

Jeszcze jeden zwrot, wykonany zręcznie i pewnie. Barney siedział z rękami opartymi na udach, trzymając stopy z dala od orczyka. Przelecieli nad Tygerberg i kierowali się ku lotnisku.

– Dobrze, Dawidzie. Teraz ja przejmę stery – powiedział Barney, gdy mieli zejść do lądowania. Kiedy zjechali z pasa i dotoczyli się w pobliże hangaru, przesunął regulator składu mieszanki na zero. Silnik zarzęził i zgasł.

Siedzieli przez chwilę w absolutnej ciszy i bezruchu. Obaj zdawali sobie sprawę z tego, że oto dokonało się coś niezmiernie ważnego i że pospołu są uczestnikami tego wydarzenia.

– Wszystko w porządku? – spytał wreszcie Barney.

– Tak jest, proszę pana – odparł Dawid.

Odpięli pasy, wygramolili się z kabiny i poczuli pod nogami solidną twardość betonowej płyty. Nie zamieniając ani słowa, przeszli przez hangar i biuro, zatrzymując się dopiero przy drzwiach.

– W następną środę? – zapytał Barney.

– Dobrze, proszę pana.

Dawid ruszył w kierunku cadillaca, lecz po kilku krokach zatrzymał się, stał przez moment, jak gdyby namyślając się, potem odwrócił się do Barneya.

– To była najpiękniejsza rzecz, jaka kiedykolwiek mi się przydarzyła – powiedział nieśmiało. – Bardzo panu dziękuję.

Odwrócił się i popędził do samochodu. Cadillac ruszył, wyjechał z parkingu i zaczął oddalać się, nabierając prędkości. Barney stał, spoglądając za odjeżdżającym samochodem, dopóki ten nie znikł między drzewami na zakręcie drogi za ostatnimi budynkami lotniska.

Barney uśmiechnął się, pokiwał smutno głową, odwrócił się i wszedł do biura. Usiadł z rozmachem na wyświechtanym, obrotowym fotelu i zarzucił stopy na blat biurka. Wyłuskał papierosa ze zmiętoszonej paczki, wyprostował go i zapalił.

– Najpiękniejsza? – mruknął, krzywiąc się. – Bzdura!

Chciał wrzucić wypaloną zapalną do kosza na śmieci, ale nie trafił.

Dzwonek telefonu obudził Mitzi Morgan. Wysunęła rękę spod kołdry, po omacku szukając aparatu.

– Słucham? – odezwała się zachrypniętym od snu głosem.

– Mitzi?

– Ach, to ty, tato. Wybierasz się do nas?

Na dźwięk głosu ojca otworzyła oczy. Pamiętała, że właśnie dziś ma przylecieć

i dołączyć do rodziny spędzającej czas w domu letniskowym.

– Niestety, córeczko. Pewne sprawy skomplikowały się i będę mógł przyjechać dopiero w przyszłym tygodniu.

– Och, tato! – w głosie Mitzi brzmiało niezadowolenie.

– Gdzie jest Dawid? – spytał szybko ojciec, by uniknąć litanii zarzutów i utyskiwań.

– Jest z nami. Czy chcesz, żeby do ciebie zatelefonował?

– Nie, chcę z nim mówić zaraz. Zawołaj go, proszę. Poczekam.

Mitzi wygramoliła się z łóżka i podeszła do lustra. Palcami starała się doprowadzić do jakiegoś ładu włosy, niezwykle jasne, ale sztywne i przedziwnie poskręcane od słońca, morskiej soli i wiatru. Jeszcze bardziej szpetne są te piegi – pomyślała, przyglądając się sobie z niesmakiem.

– Wyglądasz jak pekińczyk – powiedziała sama do siebie. – Jak gruby, mały pekińczyk, i do tego piegowaty.

Machnęła ręką. Dawid widział ją setki razy w takim stanie.

Zarzuciła jedwabną sukienkę na nagie ciało i wyszła z pokoju. Poszła korytarzem, minęła drzwi pokoju rodziców, w którym spała matka, i znalazła się w salonie.

Dom składał się z poustawianych luźno segmentów, z galeriami i naturalnymi enklawami, wkomponowanymi w pejzaż nadbrzeżnych wydm. To jego usytuowanie oraz konstrukcja ze szkła, stali oraz jasnego drewna sosnowego sprawiały, że w połowie był częścią nieba, w połowie zaś morza – tylko warstwa szkła dzieliła go od tych dwóch światów. Teraz promienie wschodzącego słońca napępiały go osobliwym, czerwonoawolocistym światłem, w którym również potężny masyw Robbergu, wrzynającego się w morze u wejścia do zatoki, tworzył zgoła niezwykły widok.

Salon po wczorajszej wieczornej zabawie przypominał jeden wielki śmietnik. Dwadzieścia osób przebywających tu z wizytą i drugie tyle z sąsiednich domów na wydmach pozostawiło po sobie nader wyraźne ślady – plamy porozlewane piwa, stopy niedopałków, beztrąsko porozrzucone płyty bez kopert.

Lawirując, Mitzi przebrnęła przez pobożowisko i weszła na spiralne schody wiodące do części domu, gdzie mieściły się pokoje gości. Nacisnęła klamkę pokoju Dawida – drzwi nie były zamknięte na klucz, weszła więc do środka. Łóżko było nietknięte, lecz spodnie i podkoszulek Dawida leżały na krześle, a na podłodze wałały się rzucone niedbale pantofle.

Mitzi skrzywiła się i wyszła na balkon. Roztaczał się stąd widok na leżącą w dole plażę, obsiadła teraz przez mewy, oczyszczające ją pilnie ze wszystkiego, co fale przez noc wyrzuciły na brzeg. Mitzi podciągnęła sukienkę do bioder, wdrapała się na balustradę balkonu i stanęła jedną nogą na balustradzie balkonu sąsiedniego. Odepchnęła

się, stanęła na niej obydwoma nogami i zeskoczyła na dół. Odsunęła zasłonę i weszła do sypialni Marion.

Marion była jej najlepszą przyjaciółką. W głębi ducha Mitzi wiedziała, że przyjaźń ta warunkowana jest głównie faktem, iż to ona, czyli Mitzi, stanowi szare tło dla filigranowej Marion, z jej słodką, lalkowatą urodą. Była świadoma, że jest niewyczerpanym źródłem upominków, organizatorką nieustannych potańcówek, gwarancją bezpłatnych wakacji oraz źródłem wielu innych przyjemności i rozrywek.

Prawda, że Marion wyglądała prześlicznie, gdy tak spała, a jej złociste, miękkie włosy oplatały pierś Dawida. Jednak Mitzi skupiła całą swą uwagę na kuzynie. Wystarczyła krótka chwila, a poczuła delikatny dreszcz w piersiach i falę wilgotnego gorąca w dole brzucha. Dawid miał dopiero siedemnaście lat, ale jego ciało było już ciałem dojrzałego mężczyzny.

Jest niewątpliwie najwspanialszym mężczyzną na świecie – pomyślała. Jest taki piękny, taki wysoki i zgrabny, a te jego oczy... Wystarczy raz w nie spojrzeć, by już się zakochać.

Zmięta kołdra leżała odrzucona na bok i Mitzi miała przed sobą pierś Dawida, z ciemnym, szerokim klinem krótkich, gęstych włosów, muskularne ręce i nogi, rozłożyste ramiona...

– Dawidzie – odezwała się miękko, dotykając jego ramienia. – Obudź się, Dawidzie.

Dawid ocknął się i natychmiast oprzytomniał, a jego oczy spojrzały na nią czujnie i bystro.

– Mitzi? Co się stało?

– Włóż spodnie. Mój ojciec chce z tobą mówić. Czeka przy aparacie.

– O Boże! – westchnął Dawid i usiadł, wyszarpując ramię spod policzka Marion. – Która to godzina?

– Późna – odparła Mitzi. – Powinieneś nastawiać budzik, kiedy idziesz w odwiedziny.

– Marion wymamrotała coś w proteście i naciągnęła na siebie kołdrę, gdy Dawid wyskoczył z łóżka.

– Gdzie jest ten telefon?

– W moim pokoju, ale możesz odebrać go na wewnętrznej linii u siebie.

Wspólnie przebyli powrotną drogę z balkonu na balkon. Mitzi przycupnęła na łóżku Dawida, podczas gdy ten, podniósłszy słuchawkę, prowadził rozmowę, spacerując tam i z powrotem po puszystym dywanie.

– Wujek Paul? Dzień dobry, tu Dawid.

Mitzi sięgnęła do kieszeni sukienki i znalazła w niej paczkę guluazów. Przypaliła

jednego swą złotą zapalniczką, ale ledwo zdążyła unieść go do ust, Dawid odwrócił się i zobaczywszy, że pali, uśmiechnął się, podszedł, wyjął jej papierosa z palców i zaciągnął się głęboko.

Mitzi odwróciła głowę w bok, starając się powściągnąć emocje, jakie budziła w niej jego nagość, i wyjęła z paczki drugiego papierosa.

Zemdlałby, gdyby wiedział, co mi chodzi po głowie – pomyślała i ta myśl sprawiła jej pewną przyjemność.

Dawid skończył rozmowę i odłożył słuchawkę.

– Ojciec nie przyjedzie.

– Wiem.

– Ale wysyła po mnie Learem Barneya. Szykuje się wielka rada.

– Na to wygląda – przytaknęła Mitzi i przybierając wielce poważną minę, zaczęła przedrzeźniać ojca: „Musimy już zacząć myśleć o twojej przyszłości, mój chłopcze. Musimy wyszkolić cię na miarę zadań, których spełnienie powierzył ci los...”

Dawid zaśmiał się i wyjął z szuflady spodenki gimnastyczne.

– Wydaje mi się, że tym razem będę musiał im o tym powiedzieć.

– Tak – potwierdziła Mitzi. – Na pewno.

Dawid włożył spodenki i ruszył ku drzwiom.

– Módl się za mnie, mała.

– Będziesz potrzebował czegoś więcej niż modlitwy.

Piasek plaży wylizanej jęzorami fal był gładki i twardy, nie tknięty jeszcze o tej porze niczyją stopą. Dawid biegł równym tempem, pozostawiając za sobą długi łańcuch śladów, szybko nasiąkających wodą.

Słońce wznosiło się coraz wyżej, zaróżowiając powierzchnię morza i kładąc się czerwonym blaskiem na szczytach gór Outeniqua. Dawid nie zwracał jednak uwagi na uroki poranka. Biegł zapamiętale, a jego myśli koncentrowały się na mającym nastąpić spotkaniu z opiekunem.

Nadszedł właśnie przełomowy moment w jego życiu. Dopiero co ukończył naukę w szkole i miał przed sobą wiele dróg do wyboru. Wiedział, że właśnie ta, którą wybrał, wywoła zdecydowany sprzeciw, toteż ostatnie samotne godziny chciał wykorzystać na to, by zebrać się w sobie i umocnić w swym postanowieniu.

Stado mew, które obsiadły plażę wokół martwej ryby wyrzuconej na brzeg, zerwało się z łopotem skrzydeł, gdy zbliżył się do nich. Promienie słońca załśniły na skrzydłach ptaków, które wzniosły się w górę i, zatoczywszy parę kręgów opadły z powrotem na dawne miejsce, kiedy się już oddalił.

Zobaczył nadlatującego Leara, zanim jeszcze go usłyszał. Samolot leciał na niskim

pułapie, od strony wschodzącego słońca. Wzniósł się, przelatując nad potężnym masywem Robbergu, potem opadł gwałtownie i niskim lotem zbliżał się szybko do plaży.

Dawid zatrzymał się, zadarł głowę i uniósł w górę rękę w geście pozdrowienia. Przez szybę kabiny dostrzegł twarz Barneya, błysk jego zębów w uśmiechu i rękę uniesioną takim samym gestem.

Lear oddalił się od brzegu i położył się w ostry zakręt, muskając niemal końcem skrzydła grzbiety fal. Zmierzał teraz prosto na znieruchomiałego Dawida. Smukły dziób samolotu niby ostrze oszczepu zniżał się, celując prosto w niego. Maszyna rosła w oczach, przypominając olbrzymiego, drapieżnego ptaka, zdradziecko rzucającego się na zdobycz. W ostatnim momencie nerwy nie wytrzymały i Dawid rzucił się plackiem na piasek. Fala podmuchu zacięła go po plecach, gdy Lear śmignął tuż nad nim i nabierając wysokości skierował się w stronę lotniska.

– Wariat – wycedził Dawid, otrzepując się z piasku i wyobrażając sobie uśmiech rozbawienia na twarzy Barneya.

Nieźle go wytrenowałem – pomyślał Barney, siedząc wyciągnięty wygodnie w fotelu obok Dawida i obserwując niemal nieruchomą wskazówkę wysokościomierza, której utrzymywanie w stabilnej pozycji świadczyło o wysokim kunszcie pilota.

Barney przybrał na wadze, odkąd zaczął pracować dla Morgana, i nad paskiem zaczął mu się rysować dość wyraźny wzgórek. Równocześnie zaczątki drugiego podbródka poczęły ujmować w nawias linię szerokich ust o opuszczonych w dół kącikach, upodabniających jego twarz do pyska niezadowolonej ropuchy. Przerzedzone włosy tu i ówdzie zmatowiały od morskiej soli.

Obserwując Dawida przy sterach, odczuwał ciepły przypływ sympatii do tego chłopaka, nie dający się jednak wyczytać z jego kwaśnej miny. Od trzech lat pełnił funkcję głównego pilota w konsorcjum Morgana i dobrze wiedział, czyjej interwencji zawdzięcza to stanowisko. Gwarantowało mu ono bezpieczeństwo materialne i prestiż. Latał na znakomicie wyposażonych maszynach, mając za pasażerów najrozmaitszych ważnych facetów. Od pierwszej chwili, gdy otworzyła się możliwość wejścia na to pastwisko, był pewien, że trawa na nim będzie soczysta. Konsorcjum Morgana dbało o swoich ludzi.

Świadomość ta dodatkowo napawała go zadowoleniem, gdy przyglądał się, jak jego uczeń sprawnie prowadzi maszynę. Długotrwały lot na niskim pułapie wymaga od pilota ogromnej i stałej koncentracji, toteż Barney cały czas wyczekiwał momentu, kiedy uwaga Dawida zacznie się rozpraszać, lecz czekał na próżno.

Pasma złocistych plaż afrykańskiego wybrzeża przepływały pod nimi równomiernie,

od czasu do czasu wybiegając w morze skalistymi przylądkami, znaczone niewielkimi skupiskami zabudowań letniskowych i rybackimi wioskami. Lear zmieniał płynnie kurs, trzymając się linii brzegu, obaj mężczyźni postanowili bowiem nadłożyć nieco drogi, by móc porozkoszować się jej urokami.

Kolejna z plaż, która ukazała się przed ich oczami, była zajęta. Dwie nagie figurki wyskoczyły z przybrzeżnej piany i zaczęły biec do miejsca, gdzie leżały rozłożone ręczniki i kostiumy. Widok podskakujących piersi, których biel kontrastowała ostro z brązem opalenizny, sprawił, że obaj wybuchnęli śmiechem.

– Miła odmiana, co, Dawidzie? Przyjemniej samemu postraszyć, niż być postraszonym – powiedział Barney, gdy zostawiwszy daleko za sobą dwie figurki, mknęli dalej na południe. Minęli Cape Agulhas i skręcili w głąb lądu. Wzbili się ostro w górę i przeskoczyli nad skalnymi wierzchołkami, po czym Dawid zredukował obroty silników i zaczęli łagodnie spływać w stronę miasta rozłożonego u podnóża góry.

Kiedy krótko potem szli ramię w ramię w kierunku hangaru, Barney uniósł głowę i spojrzał na Dawida, który teraz przerastał go o dobre piętnaście centymetrów.

– Nie pozwól im się stłamsić, chłopcze. Podjąłeś już decyzję. Staraj się wytrwać przy niej.

Dawid wskoczył do swego zielonego, sportowego MG. Jadąc drogą De Waala, mógł dostrzec z góry czworoboczny biurowiec Morgana, stojący wśród podobnych mu wyniosłych, smukłych gmachów, tych nowoczesnych pomników bogactwa i władzy. Podobała mu się jego sylwetka – prosta i funkcjonalna jak skrzydło samolotu. Jednak zdawał sobie sprawę, że lekkość i swoboda strzelistej konstrukcji są tylko zwodniczym pozorem. W rzeczywistości była to forteca i więzienie.

Skręcił z głównej drogi w drogę dojazdową i jeszcze raz obrzucił wzrokiem strzelającą w niebo sylwetę biurowca, zanim wjechał na zjazd wiodący do mieszczących się pod nim garaży.

Po paru minutach wszedł do pomieszczeń zarządu, usytuowanych na najwyższym piętrze, i podążył wzdłuż długiego rzędu biurek, za którymi siedziały sekretarki, pieczołowicie, podobierane tyleż ze względu na swą sprawność w pisaniu na maszynie, co na walory reprezentacyjne. Dawid pozdrowiał po drodze każdą z nich, zbierając w zamian bukiety uroczych uśmiechów. Odnoszono się tu do niego jak do oczywistego następcy tronu.

Marta Goodrich, urzędująca w osobnym sekretariacie, strzegącym wejścia do głównego sanktuarium, spojrzała znad maszyny do pisania, oschła i surowa.

– Dzień dobry panu. Pański wuj czeka na pana. Sądzę jednak, panie Dawidzie, że mógł pan włożyć garnitur.

– Znakomicie wyglądasz, Marto. Chyba zeszczuplałaś, a poza tym bardzo ci ładnie w tym nowym uczesaniu.

Pochlebstwo, jak zawsze zresztą, okazało się skuteczne. Twarz sekretarki złagodniała.

– Nie próbuj brać mnie na komplementy. Nie jestem jedną z twoich panienek.

Paul Morgan stał zamyślony przy oknie, spoglądając na roztaczającą się w dole panoramę miasta, natychmiast jednak odwrócił się, by powitać Dawida.

– Dzień dobry, wujku. Przepraszam, ale nie miałem czasu się przebrać. Nie chciałem, żebyś na mnie czekał.

– W porządku, Dawidzie – odparł Paul Morgan, patrząc na kwiecistą koszulę, rozpiętą do pępka, szeroki, wytłaczany pas, białe szorty i skórzane sandały. Na nim to nawet nie razi – przyznał w duchu, aczkolwiek niechętnie. Jego bratanek nawet najmodniejsze i najbardziej ekstrawaganckie stroje potrafił nosić z niezaprzeczalnym wdziękiem.

– Cieszę się, że cię widzę – rzekł, wodząc palcami po klapach swego ciemnego, tradycyjnie skrojonego garnituru.

– Siadaj tam, na tym fotelu przy kominku.

Jak zawsze czuł, że stojący obok niego Dawid czyni jeszcze wyraźniejszą mierność jego własnej postury. Jemu samemu bowiem brakowało z pewnością prezencji. Był mężczyzną niskim, o masywnej budowie i nieforemnej głowie, osadzonej na krótkiej, grubej szyi. Włosy, podobnie jak córka, miał grube i sztywne, a rysy twarzy upodobały go do mopsa.

Taki typ budowy fizycznej charakteryzował wszystkich Morganów. Był dla nich po prostu normalny i z tego punktu widzenia Dawid był wybrykiem natury. Nie ulegało wątpliwości, że jakimś niezwykłym zrzędzeniem losu wdał się w matkę. Po niej odziedziczył ciemne włosy, błysk w oczach oraz temperament.

– Zatem do rzeczy, Dawidzie, Przede wszystkim chcę ci pogratulować. Ukończyłeś szkołę z ogólnie bardzo dobrym rezultatem. Bardzo mnie to ucieszyło.

I uspokoilo – pomyślał Paul, ale nie powiedział tego głośno. Szkolna kariera Dawida Morgana miała nadzwyczaj niespokojny przebieg. Błyskotliwe osiągnięcia przeplatały się z poważnymi kłopotami, w których jedynym ratunkiem było nazwisko i bogactwo Morganów. Przykładem mógłby być rzekomy romans Dawida z młodą żoną nauczyciela wychowania fizycznego. Paulowi nigdy nie udało się dociec, jak było naprawdę, niemniej, chcąc uniknąć skandalu, musiał wyposażyć szkolną kaplicę w nowe organy i załatwić wspomnianemu nauczycielowi lukratywną posadę na zagranicznej uczelni. Zaraz potem Dawid zdobył prestiżową nagrodę Wesselsa w dziedzinie matematyki

i wszystko zdawało się biec znów dobrym torem, kiedy ni stąd, ni zowąd zachciało mu się wypróbować sportowy samochód kierownika internatu, oczywiście bez wiedzy właściciela, i wejść nim w ostry zakręt z prędkością 140 kilometrów na godzinę. Wóz nie zdał egzaminu i Dawid wygrzebał się z wraku z głęboką raną na nodze. Paul Morgan musiał zaangażować całą swą umiejętność perswazji, by zapobiec skreśleniu Dawida z listy mieszkańców internatu, co równało się usunięciu ze szkoły. Ostatecznie ułagodził rozjątrzonego kierownika ofiarowując mu w miejsce rozbitego samochodu nowy, droższy model tej samej firmy i zobowiązując się do przeprowadzenia renowacji części budynku internatu, w której mieściły się umywalnie.

Ten chłopak był nieobliczalny, Paul dobrze zdawał sobie z tego sprawę. Zarazem jednak wiedział, że jest w stanie go okiełznać. Gdy tego dokona, będzie musiał przekuć go w ostre jak brzytwa narzędzie. Dawid miał wszystkie cechy, jakich Paul Morgan wymagał od swego następcy – energię i pewność siebie, błyskotliwą inteligencję i zamiłowanie do ryzykownych przedsięwzięć. Lecz przede wszystkim odznaczał się agresywnością, żądzą walki, którą Paul sam dla siebie nazywał instynktem drapieżcy.

– Dziękuję, wujku.

Dawid przyjął gratulacje ze wstrzemięźliwością. Milczeli, badając się wzrokiem. Ich wzajemnych kontaktów nigdy nie cechowała swoboda. Zbytńio się od siebie różnili, choć też pod pewnymi względami byli do siebie aż nadto podobni. W każdym razie zawsze zdawało się, że istnieje między nimi konflikt interesów.

Paul Morgan podszedł do okna i stanął przy nim tak, że jego sylwetka rysowała się ciemnym konturem na tle nieba. Była to jego stara sztuczka, dzięki której zyskiwał pewną psychologiczną przewagę nad rozmówcą.

– Oczywiście spodziewaliśmy się tego po tobie – dodał, uśmiechając się. Dawid odpowiedział uśmiechem.

– Teraz musimy zastanowić się nad twoją przyszłością.

Dawid milczał.

– Możliwości jest wiele. Sądzę jednak, że studia w zakresie ekonomii i prawa na którymś z amerykańskich uniwersytetów stanowiłyby najlepszy wybór. Mając to na uwadze, postarałem się już, by przyjęto cię do mojego dawnego college'u...

– Wujku, ja chcę latać – wtrącił Dawid łagodnym tonem.

Paul Morgan umilkł. Wyraz jego twarzy zmienił się odrobinę.

– Podejmujemy teraz ważne decyzje, chłopcze, a nie dyskutujemy na temat sposobów spędzania wolnego czasu.

– Wiem. I mam na myśli latanie jako to, co się robi w życiu.

– Twoje życie jest tutaj, wewnątrz konsorcjum Morgana. To fakt, i co do tego nie

masz żadnej możliwości wyboru.

– Nie podzielam tego punktu widzenia.

Paul Morgan odszedł od okna i stanął przy kominku. Wyjął cygaro z pojemnika stojącego na okapie i przygotowując je zaczął mówić, nie patrząc na Dawida.

– Twój ojciec, Dawidzie, był marzycielem. Upodobał sobie szarżowanie czołgiem po pustyni. Wydaje się, że to po nim odziedziczyłeś pewną dozę romantyzmu.

W głosie Paula pobrzmiewał ton nieukrywanego niesmaku. Podeszedł do miejsca, gdzie siedział Dawid.

– Powiedz więc, jaka jest twoja propozycja.

– Zapisalem się do wojskowej akademii lotniczej.

– Naprawdę zrobiłeś to? Podpisałeś?

– Tak.

– Na jak długo opiewa kontrakt?

– Na pięć lat. To krótki okres służby.

– Pięć lat – powtórzył szeptem Paul Morgan. – Doprawdy nie wiem, co powiedzieć, Dawidzie. Wiesz przecież, że jesteś ostatnim z Morganów. Ja nie mam syna. Przykro będzie patrzeć na tę tak potężną firmę bez żadnego z nas na jej czele. Zastanawiam się, jak odniósłby się do tego twój ojciec...

– To jest cios poniżej pasa, wuju!

– Nie sądzę, Dawidzie. Moim zdaniem to ty grasz nieuczciwie. Dysponujesz kapitałem, na który składa się znaczny pakiet udziałów w firmie oraz inne aktywa, a wszystko to powierzono ci w przeświadczeniu, że podejmiesz spoczywające na tobie obowiązki.

Jeśli tylko zaczniesz się na mnie drzeć – pomyślał Dawid z pasją, czując, że właśnie jest tłamszony, jak mówił Barney – jeżeli każe mi to zrobić, powiem mu, żeby sobie wszystko zabrał. Czuł, że jest manipulowany przez człowieka wielce wytrawnego w tej sztuce, którego całe życie polegało na manipulowaniu ludźmi i pieniędzmi, w którego rękach siedemnastoletni chłopak był niby kulka miękkiej plasteliny.

– Widzisz, Dawidzie, jesteś po prostu do tego urodzony – konsorcjum Morgana wyciągało swoje macki niby jakaś potworna, mięsożerna roślina, by opleść go, a potem pożerać i trawić. – Możemy anulować twój wpis. To kwestia jednego telefonu.

– Wuju – Dawid ledwo opanował się, by nie krzyknąć, i z najwyższym trudem powstrzymał potok słów cisnących mu się na usta. – A mój ojciec? On to przecież zrobił. Wstąpił do wojska na ochotnika.

– Tak, Dawidzie. Ale to były inne czasy. Któryś z nas musiał to zrobić. On był młodszy... Poza tym były jeszcze inne, osobiste względy. Twoja matka...

Paul zamilkł, nie dopowiedziawszy reszty zdania.

– Jednak kiedy było już po wszystkim, twój ojciec wrócił do nas, na swoje właściwe miejsce. Brakuje nam go teraz. Nikt nie jest w stanie zapełnić luki, jaką po sobie zostawił. Zawsze żywiłem nadzieję, że ty go zastąpisz.

– Ale ja nie chcę – rzekł Dawid, kręcąc przecząco głową. Nie chcę spędzić tutaj reszty życia. Nie mam zamiaru przekopywać się dzień w dzień przez stosy papierów.

– Źle to sobie wyobrażasz. To jest pasjonująca gra, w której musisz przyjmować wyzwania, i to nieskończenie wielorakie...

– Wujku – przerwał Dawid, ponownie podniesionym głosem. – Jak nazwiesz kogoś, kto, najadłszy się po dziurki w nosie, wciąż nie przestaje jeść?

– Daj spokój, Dawidzie – ton irytacji i zniecierpliwienia po raz pierwszy zabrzmiał w głosie Paula Morgana.

– Jak go nazwiesz? – powtórzył Dawid z uporem.

– Sądzę, że ty nazwałbyś go żarłokiem.

– A jak nazwałbyś kogoś mającego już ciężkie miliony i poświęcającego całe życie temu, by je jeszcze pomnożyć?

Paul Morgan stał dłuższą chwilę nieruchomo, nie mówiąc ani słowa, wpatrzony w Dawida.

– Zrobiłeś się bezczelny – stwierdził w końcu.

– Nie. Nie to miałem na myśli. Ty, wuju, nie jesteś nienasyconym żarłokiem. Ale ja bym się nim stał.

Paul Morgan odwrócił się i podszedł do biurka. Usiadł w skórzanym fotelu z wysokim oparciem i zapalił wreszcie cygaro. Siedzieli tak w przedłużającej się ciszy, którą przerwało westchnienie Morgana.

– No cóż, wygląda na to, że postawisz na swoim, tak jak swego czasu twój ojciec. W każdym razie bardzo mi szkoda tych twoich pięciu zmarnowanych lat.

– Wcale nie zmarnowanych, wuju. Uzyskam dyplom w zakresie inżynierii lotniczej.

– Pozostaje nam więc cieszyć się z takich przynajmniej drobiazgów.

Dawid wstał i podszedł do fotela, w którym siedział Paul Morgan.

– Dziękuję, wuju. To dla mnie bardzo ważna sprawa.

– Pięć lat, Dawidzie, pamiętaj. Potem chcę cię mieć tutaj – powiedział Paul i uśmiechnął się, by na koniec nieco zmienić ciężką atmosferę tej rozmowy. – Tam przynajmniej po raz pierwszy przyzwolicie cię ostrzygą.

*

Z wysokości dwudziestu tysięcy stóp powierzchnia ziemi wyglądała niby wielka, rozłożona mapa. Nic tam w dole nie było ważne dla Dawida Morgana, który czuł się teraz panem niebieskich przestworzy. Ciemna, chroniąca przed słońcem przyłbica jego hełmu była opuszczona, skrywając twarz, na której malował się wyraz niemal mistycznego uniesienia. Pięć minionych lat nie zdołało osłabić fascynacji, poczucia wspaniałego odosobnienia i mocy, jakie dawało pilotowanie myśliwca Mirage.

Jaskrawe promienie słońca odbijały się od srebrzystego kadłuba maszyny, upodabniając ją do uskrzydłonej, świetlistej strzały, podczas gdy daleko w dole strzępiaste kłęбки chmur wyglądały zabawnie na tle ziemi, pędzone wiatrem niby stado owiec przez pasterza.

Jednak radość Dawida z dzisiejszego lotu nie była tak niezmacona jak zwykle. Tłumiła ją świadomość nieubłaganego końca – jutro dobiegnie kresu pięcioletni okres jego nauki i służby. Kontrakt wygaśnie o dwunastej w południe i jeśli Paul Morgan postawi na swoim, to Dawid zostanie wkrótce „panem Dawidem” – jednym z menedżerów w koncernie Morgana.

Postanowił na razie o tym nie myśleć i porozkoszować się urokiem ostatnich, drogocennych minut. Lecz nie dane mu było napawać się nim długo.

– Zulu jeden, tu wieża kontroli poligonu. Podaj swoją pozycję.

– Wieża kontroli poligonu, tu Zulu jeden. Podchodzę na odległość osiemdziesięciu kilometrów.

– Zulu jeden, obszar wolny. Kieruj się na cel według znaków numer osiem i dwanaście. Rozpoczynaj podejście.

Linia horyzontu skoczyła raptownie do góry, gdy Mirage zaczął schodzić w dół nurkującym lotem, dokładnie wymierzonym i precyzyjnym jak pikowanie sokoła.

Dawid sięgnął płynnym ruchem do panela uzbrojenia i włączył zasilanie odpalaczy rakiet.

Całe pole widzenia wypełniał teraz krajobraz, rozległy i niewyraźny, pocętkowany kępami buszu, które migały i znikały z tyłu, w miarę jak Mirage schodził coraz niżej ku ziemi. Na tej wysokości wrażenie prędkości zapierało dech w piersiach – sylweta pierwszego znaku ledwo zamigotała z przodu, a już zniknęła pod srebrzystym, spiczastym nosem maszyny.

Pięć, sześć, siedem – czarne numery na jaskrawobiałym tle przemknęły jeden po drugim.

Lekkie dotknięcie lewego steru i drążka – oba ruchy wykonane całkowicie podświadomie – i z przodu ukazał się okrągły zarys poligonu rakietowego. Koncentryczne kręgi otaczały położony w samym środku pagórek, właściwy cel, zwany

w żargonie pilotów koksownikiem.

Dawid wprowadził maszynę w lot koszący. Machometr wskazywał szybkość bliską prędkości dźwięku. Dawid odpadał od kursu wiodącego prosto ku celowi i w natężonym skupieniu czekał na właściwy moment. Gdy ten nadszedł, pchnął nos Mirage'a w ciasny zakręt i ruszył na cel. Prawa dłoń w skórzanej rękawicy obejmowała dźwignię spustu, a zagięty prawy kciuk spoczywał na przycisku.

Srebrzysta maszyna rozcinająca ze świstem powietrze pochyliła nos nieco ku ziemi, przyjmując pozycję właściwą do odpalenia rakiet w tym samym ułamku sekundy, w którym biała plama „koksownika” znalazła się w środku siatki celownika optycznego.

Był to manewr wykonany z mistrzostwem wymagającym perfekcyjnego opanowania wielu złożonych czynności. Kciuk Dawida zgiął się na spuście, pokonując opór sprężyny. Nie było żadnego wstrząsu, żadnej wibracji na sterach. Świst odpalanych rakiet dał się ledwo słyszeć, zagłuszony przez huk silników, ale dwie wąskie smugi gazu wytrysnęły spod skrzydeł i pomknęły w kierunku celu. Pewien skuteczności uderzenia Dawid pchnął manetkę gazu do oporu i czekał na grzmot zapłonu dopalaczy, mających wynieść go poza zasięg ognia nieprzyjacielskich baterii.

Tak, to jest właśnie to – uśmiechnął się do siebie, leżąc w fotelu, wciśnięty w kolebkę oparcia siłą przeciążenia, ze spiczastym nosem maszyny przed sobą, mierzącym w jasny błękit nieba.

– Halo, Zulu jeden. Tu wieża kontroli poligonu. Trafienie w sam środek. Ładny strzał. Żal, że odchodzisz, Dawidzie.

To naruszenie surowo przestrzeganej dyscypliny kontaktowania się kontroli powietrznej poligonu z pilotem wzruszyło Dawida. Miał rozstać się z tymi ludźmi, ze wszystkimi i raz na zawsze. Wcisnął przycisk na wymodelowanym uchwycie steru.

– Tu Zulu jeden. Dziękuję wam. Żegnajcie. Over – powiedział do umieszczonego w hełmie mikrofonu.

Grupa obsługi naziemnej czekała na niego w komplecie. Ucisnął rękę każdemu z mechaników. Mocne potrząśnięcia dłoni i rubaszne żarty maskowały uczucia głębokiej sympatii, serdeczne więzy zadzierzgnięte i utrwalone z biegiem lat. Dawid opuścił kolegów i poszedł w głąb długiej, krytej metalem hali, wdychając zapach benzyny i smarów, wzdłuż ustawionych w rzędach srebrzystych, obłych cielsk myśliwców o długich, wrzecionowatych nosach. Nawet zastygłe w bezruchu maszyny były uosobieniem śmigłości i drzemiącej w nich drapieżnej mocy.

Dawid zatrzymał się przy jednej z nich, by poklepać ją po zimnym metalu kadłuba. Dyżurny podoficer znalazł go stojącego i spoglądającego w górę, na emblemat wyobrażający skrzydlatą kobrę, widniejący na płaszczyźnie statecznika.

– Komendant gratuluje panu i prosi, żeby się pan u niego natychmiast zameldował.

Pułkownik Rastus Naude był zasuszonym drągalem, o pomarszczonej, małpiej twarzy. Mundur z baretkami odznaczeń wisiał na nim jak na manekinie. W trakcie swej drugiej kariery latał na Hurricane'ach podczas bitwy o Anglię, na Mustangach we Włoszech, na Spitfire'ach i Messerschmittach 109 w Palestynie oraz na Sabre'ach w Korei. Właściwie powinien być już na emeryturze, ale nie było nikogo, kto śmiałby mu o tym napomknąć, tym bardziej że w powietrzu i w walce wciąż bił na głowę większość młodych chwatów ze swego szwadronu.

– Uwalniamy się więc nareszcie od ciebie, Morgan – powiedział z uśmiechem, witając Dawida.

– Dopiero po pożegnalnym spotkaniu wieczorem w kantynie, panie pułkowniku.

– Taak – potwierdził Rastus, kiwając głową. – Dałeś mi zdrowo do wiwatu przez te pięć lat. Winien mi jesteś przynajmniej skrzynkę whisky.

Ruchem ręki wskazał na krzesło przed biurkiem.

– Siadaj, Dawidzie.

Po raz pierwszy od pięciu lat zwrócił się do Dawida po imieniu. Dawid położył hełm na rogu biurka i zajął wskazane miejsce. Poruszał się niezgrabnie w krępującym uścisku kombinezonu.

Rastus niespiesznie zabrał się do napełniania fajki smoliście czarnym megalisberskim tytoniem, obrzucając Dawida od czasu do czasu badawczym spojrzeniem. Dostrzegał w nim te same cechy, które tak cenił Paul Morgan – agresywność, bojowość i zawziętość, czyniące zeń tak doskonałego pilota myśliwca.

W końcu przypalił fajkę, wypuszczając gęste obłoki niebieskawego dymu, przesunął kilka dokumentów leżących na blacie biurka w stronę Dawida.

– Przeczytaj i podpisz. To rozkaz.

Dawid przebiegł wzrokiem treść dokumentów, podniósł głowę i uśmiechnął się.

– Nie rezygnuje pan łatwo, pułkowniku.

Jeden z dokumentów przedłużał jego kontrakt o kolejne pięć lat, drugi gwarantował mu awans ze stopnia kapitana na majora.

– Twoje wyszkolenie kosztowało nas wiele czasu i pieniędzy. Masz wyjątkowe predyspozycje, które my rozwinęliśmy, tak że stałeś się tym, kim teraz jesteś, czyli – nie będę tego ukrywał – znakomitym pilotem.

– Przykro mi, ale muszę odmówić, panie pułkowniku.

– Do cholery! – zawołał Rastus ze złością. – Dlaczego musiałeś urodzić się jako Morgan! Cała ta forsa załatwi cię jako pilota i przykuje do biurka.

– Tu nie chodzi o pieniądze! – zaproponował energicznie Dawid. Ta insynuacja budziła w nim gniew.

– Tak, tak – potwierdził pogardliwie Rastus. – Ja też mam je gdzieś.

Wziął dokumenty, które Dawid odłożył, i uśmiechnął się.

– Więc to za mało, żeby cię skusić?

– Panie pułkowniku, to jest bardzo trudno wytłumaczyć. Po prostu czuję, że mam coś innego do zrobienia, coś ważnego. Nie wiem jeszcze, co to jest, ale nie ma tego tutaj. Muszę to dopiero odnaleźć.

Rastus pokiwał smętnie głową.

– Zatem trudno. Zrobiłem, co mogłem. Teraz możesz zaprosić swego steranego dowódcę do kantyny i postawić mu whisky za parę Morganowskich milionów.

Wstał i nasadził krzywo czapkę na siwą, krótko ostrzyżoną czuprynę.

– Ty i ja musimy popić ostro dziś wieczorem, bo obaj coś tracimy. Ja chyba więcej niż ty.

*

Upodobanie do pięknych, szybkich samochodów Dawid odziedziczył zapewne po ojcu. Clive Morgan, jadąc wraz z żoną, wbił się swoim nowym sportowym ferrari w bok tira ciągnącego kontener, na skrzyżowaniu dróg pozbawionym sygnalizacji świetlnej. Policja ustaliła, że w momencie zderzenia ferrari pędził z szybkością 240 kilometrów na godzinę.

Testament Clive'a Morgana szczegółowo określał sposób zabezpieczenia materialnego jedenastoletniego syna. Prawną opiekę nad chłopcem objął jego wuj, Paul Morgan, a spadek został podzielony na pliki papierów wartościowych, które miały być mu kolejno przekazywane.

Z dniem osiągnięcia pełnoletności Dawid otrzymał pierwszy plik, zapewniający mu dochód równy mniej więcej zarobkom renomowanego lekarza chirurga. Wtedy to stary, zielony MG ustąpił miejsca, zgodnie z Morganowską tradycją, srebrzystoniebieskiemu maserati.

W dniu dwudziestych trzecich urodzin Dawid stał się właścicielem farm prowadzących hodowlę owiec w Karoo, bydła w południowo-zachodniej Afryce, poza tym w Dżabulani oraz jeszcze jednej, w piaszczystym regionie Sabi, zarządzanych sprawnie przez pełnomocników.

W momencie ukończenia dwudziestego piątego roku życia miał otrzymać kolejny plik udziałów, niezależnie od potężnego pakietu akcji spółki zawiadującej dwoma

dużymi kompleksami miejskimi – biurowym oraz handlowym – a także firmy budującej wieżowce.

Po ukończeniu trzydziestu lat miało nastąpić przekazanie na jego rzecz trzeciego pakietu, o wartości równej dwóm poprzednim, i tym samym miało się rozpocząć przejmowanie przez niego podzielonego na pięć części właściwego kapitału Morganów. Odtąd co pięć lat, aż do pięćdziesiątego roku życia, miał się stawać właścicielem kolejnych jego partii.

Otwierała się przed nim oszałamiająca perspektywa – istna rzeka nieprzebranego bogactwa, której widok, podobnie jak widok stołu zastawionego zbyt wieloma wykwintnymi potrawami, zdawał się – paradoksalnie – raczej go odstręczać niż pociągać.

Dawid gnał na południe, jak gdyby chciał prześcignąć pisk opon na asfalcie. Myślał o swojej przyszłej zamożności jako o wielkiej, złotej klatce, o nienasyconym żołądku koncernu Morgana, który otwarty niby kielich meduzy wchłonie go i przetrawi tak, iż stanie się częścią jej tkanki, żalonym więźniem otaczającego go dostatku.

Ta perspektywa budziła w nim odrazę, wywoływała nieprzyjemne wrażenie w głębi brzucha, dokładające się do pulsującego, tępego bólu w skroniach – skutku wczorajszej głupiej decyzji picia łeb w łeb z pułkownikiem Rastusem Naude.

Wcisnął jeszcze głębiej pedał gazu, pragnąc uśmierzyć niemiłe sensacje, znajdując ukojenie w koncentracji, jakiej wymagało prowadzenie wozu przy takiej prędkości. Godziny płynęły szybko, odkładając się setkami przebytych kilometrów. Było jeszcze jasno, kiedy wszedł do domu Mitzi i stanął w drzwiach salonu, za którego oknami rozpościerał się widok na plażę i zielonkawy bezmiar oceanu.

W pokoju panował nieopisany bałagan – pod tym względem nic się nie zmieniło. Mitzi nadal prowadziła otwarty dom, podejmując mnóstwo przygodnych gości, którzy jedli i pili na jej rachunek, idąc ze sobą w zawody o to, kto efektywniej przewróci dom do góry nogami.

W pierwszej sypialni, do której zajrzał Dawid, jakaś nie znana mu dziewczyna w męskiej pidżamie i z palcem w ustach spała zwinęta na łóżku.

W drugiej sypialni nie zastał nikogo, chociaż łóżko było rozestane, a na nocnym stoliku stały talerze z zaschniętymi resztkami jajecznicy.

Dawid rzucił torbę na łóżko i wyciągnął z niej spodenki kąpielowe. Szybko przebrał się, krętymi, bocznymi schodami zbiegł na plażę i zaczął biec – najpierw wolno, potem nagle przyspieszał i pędził na oślep, jak gdyby pragnął umknąć przed czymś strasznym, depczącym mu po piętach. Przy końcu kolejnej plaży, gdzie piasek kończył się skałami, skoczył w pianistą, lodowatą toń i popłynął, kierując się ku skrajowi pola wodorostów u samego krańca przylądka Bakoven. Zimno przenikało go do szpiku kości. Gdy wyszedł

na brzeg, był siny i dygotał. Jednak nie miał już wrażenia, że coś go ściga, a gdy dobiegł truchtem do domu, czuł się już nawet nieco rozgrzany.

Musiał usunąć całą masę damskiej bielizny, zaścielającej łazienkę, zanim mógł wejść do wanny, napełnionej aż po otwór górnego wylewu. Ledwo zanurzył się w gorącej wodzie, drzwi frontowe otworzyły się gwałtownie i do domu wpadła Mitzi.

– Gdzie jesteś? – zawołała, trzaskając kolejnymi drzwiami.

– Widziałam twój samochód w garażu i wiem, że przyjechałeś!

– Jak się masz, mała! Jestem tutaj! – odrzyknął Dawid i po chwili Mitzi stanęła w drzwiach łazienki. Uśmiechnęli się do siebie. Mitzi przybrała jeszcze na wadze, spódnica niemal pękała na niej w szwach, a szkarłatny sweter wypełniały rozlane, bezkształtne piersi. Przestała wreszcie walczyć z krótkowzrocznością i na perkatym nosie miała okulary w metalowej oprawie, a sztywne włosy sterczały jej na wszystkie strony.

– Wyglądasz cudownie – powiedziała. Podeszła do wanny, schyliła się i pocałowała go, maczając przy tym sweter w mydlanej pianie.

– Drinka czy kawę? – spytała.

Dawid skrzywił się na myśl o alkoholu.

– Kawa dobrze by mi zrobiła.

Przyniosła mu ją w kubku i przysiadła na sedesie.

– Teraz opowiadaj o wszystkim – zażądała. Gdy gawędzili, ładna, ciemnowłosa dziewczyna o zaspanych oczach, wciąż mająca na sobie męską pidżamę, weszła do łazienki.

– To jest mój kuzyn Dawid. Prawda, jaki przystojny? – rzuciła jej Mitzi. – A to jest Liz.

Dziewczyna przycupnęła na stojącym w kącie koszu na brudną bieliznę i gapiała się na Dawida tak uporczywie i z tak wyraźną fascynacją, że nie uszło to uwagi Mitzi.

– Spokojnie, maleńka, spokojnie. Nawet stąd słyszę, jak skwierczy ci między udami.

Lecz Liz siedziała tak cicho w swoim kącie, że Mitzi i Dawid prawie natychmiast zapomnieli o jej obecności i rozmawiali dalej, tak jak gdyby byli sami. Mitzi pierwsza, i to bez żadnych wstępów, przeszła do spraw rodzinnych.

– Tata czeka na ciebie i już ostrzy sobie zęby. W sobotę byłem z nim na kolacji. Przynajmniej sto razy wymienił twoje imię. Jakoś trudno mi wyobrazić sobie ciebie w ciemnym garniturze, jak siedzisz tam, na najwyższym piętrze i błyszczysz na poniedziałkowym zebraniu zarządu.

Dawid wstał gwałtownie i przyskajac na wszystkie strony wodą i pianą, zaczął mydlić sobie krocze. Obie dziewczyny przypatrywały się tej operacji z nieukrywanym zainteresowaniem, a oczy ciemnowłosej Liz robiły się coraz większe i większe.

Dawid usiadł z takim impetem, że woda chlusnęła przez krawędź wanny.

– Nie pójdę! – stwierdził kategorycznym tonem. Zapadło milczenie.

– Co to znaczy, że nie pójdiesz? – spytała Mitzi bojaźliwie.

– Po prostu to, co znaczy. Nie pójdę do konsorcjum Morgana.

– Przecież musisz!

– Dlaczego?

– No, to chyba zostało już zdecydowane. Obiecałeś ojcu, że zrobisz to, kiedy tylko skończysz z wojskiem.

– Nie. Nie obiecałem. On przyjął to jako coś oczywistego. Kiedy przed chwilą powiedziałaś o tym błyszczeniu na poniedziałkowych zebraniach, upewniłem się ostatecznie, że nie stać mnie na to. Chyba zawsze miałem tę świadomość.

– Co więc masz zamiar robić? – Mitzi ochłonęła już z pierwszego zaskoczenia i jej pulchne policzki zaróżowiły się z emocji.

– Jeszcze nie wiem. Wiem tylko, że nie potrafię być stróżem czyjegoś dorobku. Konsorcjum Morgana to nie ja. Stworzyli je Grampowie, mój ojciec i wujek Paul. Teraz jest już zbyt wielkie i bezosobowe...

Mitzi, zarumieniona z podniecenia i z błyszczącymi oczami, przytakiwała z zapalem, oczarowana perspektywą buntu Dawida i jawnego wyzwania, rzucanego jej wszechpotężnemu ojcu. Dawid zaś coraz bardziej umacniał się w swym postanowieniu.

– Muszę znaleźć swoją własną drogę. Musi być przecież jeszcze coś innego, dla czego warto żyć. Czuję to.

– Jasne! – Mitzi przytaknęła z takim zapalem, że okulary omal nie spadły jej z nosa.

– Ty nie jesteś taki jak oni. Zmarniałbyś i wykończył się w tych biurowych salonach.

– Muszę to znaleźć, Mitzi. Muszę szukać.

Wyszedł z wanny. Woda cienkimi strużkami spływała mu po zaczerwienionym od gorąca ciele. Zarzucił frotowy szlafrok i przeszedł do sypialni. Obie dziewczyny podażyły za nim i usiadłszy na brzegu łóżka, zgodnie przytakiwały, gdy kontynuował swój wywód, swoją osobistą deklarację niepodległości. Jednak w pewnym momencie Mitzi zburzyła atmosferę euforii.

– Ale co powiesz ojcu? – spytała i pytanie to spowodowało, że Dawid zamilkł w pół słowa. Stał, drapiąc się po owłosionej piersi, i milczał. Dziewczyny też milczały i czekały w napięciu.

– On wcale nie ma zamiaru jeszcze raz pozwolić ci się urwać – dodała Mitzi ostrzegawczo. – To będzie walka na śmierć i życie.

W tym momencie kryzysu Dawid poczuł, że opuszcza go odwaga.

- Powiedziałem mu to już raz, nie muszę powtarzać po raz drugi.
- Chcesz więc po prostu uciec?
- Ja nie uciekam – odparł Dawid wyniosłym tonem, sięgając jednocześnie po duży portfel z miękkiej skóry, w którym tkwił spory plik rozmaitych kart kredytowych.
- Po prostu egzekwuję prawo do samodzielnego określenia swojej przyszłości.

Podszedł do telefonu i zaczął nakręcać numer.

- Dokąd dzwoniisz?
- Na lotnisko.
- Gdzie chcesz lecieć?
- Tam, dokąd jest najbliższy odlot.
- Będę cię kryła – obiecała Mitzi. – Postępujesz słusznie.
- Pewnie. Idę własną drogą, a ich wszystkich pieprzę.
- Zdążysz wszystkich? – zachichotała Mitzi, a ciemnowłosa dziewczyna odezwała się po raz pierwszy, lekko zachrypniętym głosem, nie odrywając ani na chwilę oczu od Dawida:

- Nie wiem, jacy są ci wszyscy, ale czy mógłbyś zacząć ode mnie?

Dawid ze słuchawką przy uchu odwrócił się w jej stronę, ale fakt, że powiedziała to całkiem poważnie, nie wzbudził w nim entuzjazmu.

Dawid wszedł do wielkiej, skonstruowanej z betonu i szkła hali przylotów na lotnisku w Schiphol i przystanął, sycąc się poczuciem anonimowości w obcym tłumie i zadowoleniem z udanej ucieczki. Wtem ktoś lekko chwycił go za łokieć, a gdy odwrócił się, ujrzał przed sobą wysokiego, uśmiechniętego Holendra, przypatrującego mu się badawczo zza szkieł okularów.

- Pan Dawid Morgan, nieprawdaż?

Dawid nie odpowiedział.

– Nazywam się Frederick van Gent i reprezentuję Holendersko-Indonezyjskie Towarzystwo Spedycyjne. Mamy zaszczyt reprezentować w Holandii interesy Towarzystwa Żeglugowego Morgana. To dla nas zaszczyt, móc pana gościć.

- O Boże, nie! – jęknął Dawid.

– Słucham?

- Dziękuję, ale to niepotrzebne. W każdym razie to miło z pańskiej strony.

– Mam dwa telegramy dla pana, panie Morgan. Przyjechałem z Amsterdamu specjalnie po to, żeby je panu doręczyć.

Van Gent wyjął manifestacyjnym gestem telegramy i podał je Dawidowi. Pierwszy z nich był od Mitzi, która obiecywała Dawidowi, że będzie milczała:

„Wybacz musiałam powiedzieć nie wytrzymałam tortur stop bądź mężny jak lew i nieujarzmiony jak orzeł stop ucałowania mitzi.”

– Falszywa suka – wymamrotał Dawid i odczytał drugi telegram:

„Twoje wahania przyjęte ze zrozumieniem twój postępek wybaczony stop niewątpliwie rozsądek przywiedzie cię w końcu na drogę obowiązku stop twoje miejsce czeka na ciebie stop oddany ci paul morgan.”

– Przebiegły skurwiel – mruknął Dawid i wetknął oba telegramy do kieszeni.

– Czy zechce pan przesłać odpowiedź? – spytał van Gent.

– Nie. Dziękuję, że zadał pan sobie tyle trudu.

– Nie ma o czym mówić, panie Morgan. Czy mogę być panu w jakiś sposób przydatny? Czy potrzebuje pan czegoś?

– Nie, ale jeszcze raz panu dziękuję.

Uścisnęli sobie ręce. Van Gent uklonił się i odszedł, a Dawid skierował się tam, gdzie widniał duży napis „Avis”. Siedząca za pulpitem dziewczyna powitała go z uśmiechem.

– Dobry wieczór panu.

Dawid położył na blacie swoją kartę kredytową.

– Potrzebuję jakiś szybki wóz.

– Zaraz zobaczymy. Na przykład Mustang Mach I?

Była blondynką o jasnej cerze i gładkiej twarzy.

– Świetnie – odparł Dawid.

– To jest pańska pierwsza wizyta w Amsterdamie? – spytała, wypełniając jednocześnie formularz.

– Tak. Mówiono mi, że tu znajdę więcej atrakcji niż w którymkolwiek innym z europejskich miast. Czy to prawda?

– Jeżeli będzie pan wiedział, gdzie ich szukać...

– Pokaże mi pani? – spytał. Dziewczyna uniosła głowę znad formularza i obrzuciła go taksującym spojrzeniem, choć jej twarz miała wyraz neutralnie uprzejmy. Podjęła decyzję i wróciła do formularza.

– Proszę podpisać tutaj. Pańskie konto zostanie obciążone końcową kwotą – powiedziała. – Jeśli miałby pan jakiegokolwiek problemy, może pan skontaktować się ze mną po godzinach pod tym numerem. Mam na imię Gilda – dodała, ściszej głoś.

Gilda wraz z trzema koleżankami wynajmowała duże mieszkanie na piętrze w kamienicy nad zewnętrznym kanałem. Jej współmieszkanki nie okazały najmniejszego

zdziwienia, gdy Dawid zjawił się z walizką. Cóż, kiedy atrakcje, jakie proponowała Gilda, polegały na spędzaniu czasu w kolejnych dyskotekach i kawiarniach, gdzie rozmaici domorośli mędracy spotykali się, paplali o rewolucji i tym podobnych bzdurach. Po dwóch dniach Dawid stwierdził, że wszystko to zaczyna przyprawiać go o mdłości, a mózg jego partnerki jest równie gładki jak jej twarz. Przypatrując się podobnym sobie, których również przygnała tutaj fama Amsterdamu jako najbardziej liberalnego z europejskich miast, którego policję cechuje wyjątkowa wprost wyrozumiałość, zauważył u nich te same oznaki zniechęcenia i frustracji. Wilgotny, chłodny opar zdawał się ciągnąć od kanałów. Dla kogoś przywykłego do palącego słońca Afryki mglista aura północnych krain jest tylko jego żalonym substytutem.

Gilda nie okazała żadnego wzruszenia, kiedy ją pożegnał. Wrzucił walizkę do samochodu, włączył ogrzewanie i owiewany strugami gorącego powietrza z dmuchaw skierował Mustanga na południe. Na przedmieściu Namur ujrzał dziewczynę stojącą na skraju drogi. Mimo zimna miała na sobie skąpe dzinsowe szorty, ukazujące kusząco zgrabne, opalone nogi. Dziewczyna uniosła rękę z wystawionym kciukiem, przechylając jednocześnie złocistowłosą głowę.

Dawid pchnął dźwignię biegów na luz i zahamował z piskiem opon. Wrzucił wsteczny bieg i cofnął wóz do miejsca, gdzie stała. Twarz dziewczyny miała słowiańskie rysy, a jej włosy ściągnięte były do tyłu i splecione w gruby, ciężki warkocz. Dawid ocenił, że może mieć nie więcej niż dziewiętnaście lat.

– Mówi pan po angielsku? – spytała pochylając się ku opuszczonej szybie. Zimno sprawiło, że jej sutki sterczały, jak gdyby chciały przebić cienki materiał koszuli.

– Nie – odrzekł Dawid. – Ale mówię po amerykańsku. Czy to starczy?

– Okay.

Dawid otworzył drzwi od strony pasażera i dziewczyna wrzuciła do środka torbę, po czym wtoczyła śpiwór na tylne siedzenie.

– Jestem Philly – powiedziała.

– A ja Dawid.

– Pracujesz w filmie?

– O Boże, nie! Dlaczego?

– Po prostu – ten samochód, twój wygląd, ubranie...

– Samochód jest wynajęty, ubranie ukradzione, a ta twarz to maska.

– Jesteś zabawny – stwierdziła, po czym usadowiła się wygodnie w fotelu i zasnęła.

Dawid zatrzymał samochód w wiosce leżącej na skraju lasów porastających Ardeny, gdzie kupił długi, chrupki chleb, płat wędzonego mięsa dzika i butelkę szampana Moet Chandon. Kiedy wrócił z zakupami, Philly właśnie się obudziła.

– Jesteś głodna? – spytał.

– Bardzo – odparła.

Przeciągnęła się i ziewnęła.

Niedaleko za wsią skręcili w drogę wiodącą dwiema koleinami w głąb lasu i jechali nią aż do miejsca, gdzie drzewa się przerzedzały, a promienie słońca przenikały przez ich korony niby przez okna katedry. Philly wysiadła i rozejrzała się dokoła.

– Jak tu pięknie, Dawidzie! – zawołała.

Dawid nalał szampana do papierowych kubków i scyzorykiem pokrajał mięso na plastry, podczas gdy Philly połamała chleb na mniejsze kawałki. Usiedli na pniu zwalonego drzewa i jedli.

– Ta cisza i spokój zupełnie nie pasują do miejsca, gdzie szalała śmierć. To tutaj Niemcy wykonali swoje ostatnie wielkie uderzenie. Wiedziałaś o tym?

Philly miała pełne usta, co jednak nie przeszkodziło jej odpowiedzieć.

– Widziałam film z Henrym Fondą i Robertem Ryanem. To była mocna rzecz.

– Na przekór tym wszystkim okropnościom powinniśmy zrobić w tym miejscu coś pięknego – powiedział Dawid marzycielsko. Philly przełknęła chleb, popiła łykiem szampana, po czym podniosła się leniwie z pnia i poszła do samochodu. Wróciła niosąc spiwór, który rozwinęła i rozłożyła na miękkiej warstwie suchych liści.

– O jednych rzeczach należy rozmawiać, inne trzeba po prostu robić – powiedziała.

Gdy dotarli do Paryża, wydawało się, że ich związek może być ważny i trwały, że mają coś, czym mogą się nawzajem obdarzyć. Wynajęli pokój z łazienką w niewielkim, schludnym pensjonacie w pobliżu dworca St. Lazare i cały dzień spędzili włócząc się po ulicach, od Concorde po Etoile i obok Wieży Eiffla z powrotem, do Notre Dame. Kolację postanowili zjeść w ulicznej kawiarence przy Bulwarze Saint Michel i w trakcie posiłku ich krótki związek doznał emocjonalnej zapaści. Zamilkli i jednocześnie zdali sobie sprawę z tego, że nie mają sobie nic do powiedzenia. Było jasne, że nie łączy ich nic, co wybiega poza sferę ciała. Ta świadomość napełniła ich przygnębieniem, lecz mimo to spędzili jeszcze ze sobą tę noc. Kochali się nawet, ale w tym, co robili, nie było ani śladu uczucia. Rankiem, kiedy Dawid wziął prysznic i wyszedł z łazienki, Philly usiadła w łóżku i popatrzyła na niego.

– Odchodzisz... – powiedziała.

Było to raczej stwierdzenie niż pytanie, nie wymagało więc odpowiedzi.

– Masz pieniądze?

Pokręciła przecząco głową. Dawid wyłuskał parę tysiąc-frankowych banknotów i położył je na nocnym stoliku.

– Zapłacę za pokój – powiedział i wziął torbę. – Baw się dobrze.

Czuł teraz niechęć do Paryża, wybrał więc ponownie drogę na południe, mając nadzieję, że wreszcie dogoni słońce, jako że niebo zasnuwane było gęstymi, czarnymi chmurami, a zanim skręcił na drogę wiodącą do Fontainebleau, spadł deszcz. Właściwie nie był to deszcz, lecz istne urwanie chmury; wydawałoby się, że taka ulewa możliwa jest tylko gdzieś w tropikach. Strugi wody zalewały przednią szybę w takim tempie, że na niewiele zdawała się intensywna praca wycieraczek.

Dawid czuł się osamotniony i zmartwiony tym, że nie potrafił jakoś z nikim nawiązać trwalszego kontaktu. Chociaż inni kierowcy zwolnili w deszczu, on mknął wciąż z tą samą olbrzymią prędkością, panując nad poślizgiem opon na mokrym asfalcie. Tym razem szybkość nie przyniosła ukojenia, i gdy wyjechał wreszcie ze strefy deszczu na południe od Bequne, wilcza paszcza samotności ziała mu tuż za plecami.

Dopiero pierwsze promienie słońca poprawiły jego nastrój, który stał się jeszcze lepszy, gdy w dali, ponad kamiennymi płotami i zielenią winnic dojrzał rękaw lotniczy, powiewający u szczytu masztu. Mniej więcej kilometr dalej był zjazd z autostrady, a przy nim tablica z napisem „Club Aeronautique de Provence”. Wkrótce dojechał do małego, dobrze utrzymanego lotniska, usytuowanego między winnicami. Spośród samolotów stojących na płycie jeden szczególnie przyciągnął jego uwagę. Był to Marchetti Aerobatic model F-260. Dawid wysiadł z samochodu i stał, gapiąc się na zgrabną maszynę, niby pijak rozkoszujący się widokiem pierwszego kieliszka po długim okresie abstynencji.

Francuz w kancelarii klubu miał wygląd zde gustowanego biznesmena, i nawet kiedy Dawid pokazał mu swoją książkę lotów oraz cały plik licencji, wciąż wzbraniał się przed wypożyczeniem mu upatrzonej maszyny. Dawid mógł wybrać sobie każdą inną, ale Marchetti nie był do wynajęcia. Dawid do kupki dokumentów dołożył pięćsetfrankowy banknot, który natychmiast zniknął w kieszeni Francuza. Mimo to nie chciał się zgodzić, by Dawid odbył lot w pojedynkę, lecz koniecznie chciał mu towarzyszyć na miejscu instruktora.

Dawid wystartował, wykonując wszystkie czynności spokojnie i ściśle według podręcznika, ale był to zwodniczy manewr, bo gdy tylko przelecieli nad ogrodzeniem lotniska, ściągnął gwałtownie stery i położył maszynę na skrzydło. Francuz zawołał tylko *sacre bleu!* i zamarł w fotelu, miał jednak tyle rozsądku, by nie próbować przechwytywać sterów. Dawid dokończył manewr i natychmiast rzucił maszynę w zakręt w przeciwnym kierunku, końcem skrzydła muskając niemal wierzchołki winorośli. Francuz odetchnął i rozluźnił się, widząc, że ma do czynienia z mistrzem, a kiedy po godzinie wylądowali, uśmiechnął się z żalem.

– To było wspaniałe! – zawołał i zaprosił Dawida na śniadanie, które składało się

z kielbasy mocno faszerowanej czosnkiem, chleba i butelki czerwonego wina. Rozkoszne wspomnienie lotu i zapach czosnku towarzyszyły Dawidowi przez resztę drogi do Madrytu.

W Madrycie wypadki miały nabrać nagłego przyspieszenia, jak gdyby wszystko zostało ułożone i zaprogramowane już wcześniej, jak gdyby jego szaleńcza gonitwa przez pół Europy wynikała z przeczucia, że tu właśnie spotka go coś niezwykle ważnego.

Dojechał do miasta wieczorem, gnając tego dnia na łeb na szyje, żeby zdążyć na pierwszą corrida w tym sezonie. Czytał Hemingwaya i Conrada, a także wiele innych utworów opisujących uroki walki na piaszczystej arenie. Zastanawiał się, czy przypadkiem w zawodzie toreadora nie znalazłby czegoś dla siebie. Tak dobrze czytało się o tym w książkach – piękno, wdzięk, rozpalone emocje, męstwo, śmiertelna gra i kulminacyjny moment prawdy. Pragnął zobaczyć to na własne oczy, ocenić z bliska, tutaj, na wielkim Plaža Des Torros. Potem, jeżeli uznalby, że warto, wybrałby się do Pamplony, gdzie walki byków rozpoczynały się później.

Zatrzymał się w hotelu Gran Via, który zrezygnował ze swej dotychczasowej elegancji na rzecz komfortu, i przez portiera dokonał rezerwacji biletów na następny dzień. Był zmęczony podróżą i wcześniej poszedł spać. Obudził się nazajutrz wcześniej rano wypoczęty i ciekawy czekających go atrakcji. Klucząc ulicami, dojechał do areny i zaparkował mustanga między autokarami turystycznymi, od pierwszego dnia zapelniającymi obszerny parking.

Zewnętrzny wygląd areny robił niezwykle wrażenie – miał w sobie coś grzesznego, przypominając raczej jakieś pogańskie sanktuarium, piętrzące się kondygnacjami balkonów, zdobne kompozycjami z pokrytych emalią kafelków. Wnętrze natomiast nie odbiegało niczym od tego, co Dawid znał z filmów i fotografii. Piasek w dole był gładki i czysty, chorągiewki powiewały na tle nieba upstrzonego obłoczkami, orkiestra grała ognieście, podsycając podniecenie widowni.

Publiczność była bardziej ożywiona niż ta, którą Dawid znał z zawodów bokserskich czy międzynarodowych meczów piłki nożnej. Głuchy pomruk unosił się nad niespokojnym mrowiem, wypełniającym szczelnie galerie.

Dawid siedział w grupie młodych Australijczyków, przystrojonych w sombrero i podających sobie z rąk do rąk bukłaki z kozłej skóry z kiepskim winem. Dziewczyny chichotały i świergotały jak jaskółki. Jedna z nich wyraźnie zwróciła uwagę na Dawida, pochyliła się, dotknęła jego ramienia i chciała podać mu bukłak. Była nawet dość ładna, ale w typie kociaka, a jej spojrzenie mówiło, że chętnie ofiarowałaby mu coś więcej niż cienkie wino. Dawid odrzucił jednak zdecydowanie obie propozycje, wstał i poszedł kupić puszkę piwa w najbliższym z automatów. Przygnębiające doświadczenie z Paryża

było jeszcze zbyt świeże. Kiedy wracał na miejsce, dziewczyna spojrzała z żalem i niechęcią na puszkę z piwem, lecz zaraz pogoda i uśmiech wróciły na jej twarz, gdy odwróciła się do swoich towarzyszy.

Ostatni z przybywających zdążył do swoich miejsc i nastrój podniecenia wzrastał się gwałtownie. Para późno przybyłych wspinała się po schodach prowadzących do galerii, gdzie siedział Dawid. I on, i ona musieli mieć nie więcej niż po dwadzieścia parę lat, lecz tym, co przede wszystkim zwróciło uwagę Dawida, była rzucająca się w oczy aura szczególnej serdeczności i osobliwej więzi, wyróżniająca ich z otaczającego tłumu.

Szli po schodach ramię w ramię, minęli miejsce, gdzie siedział Dawid, i usiedli nieco z tyłu i na ukos. Dziewczyna była wysoka, na zgrabnych, długich nogach miała czarne pantofle, ubrana była w ciemne szorty i jasnozieloną zamszową kurtkę, która nie wyglądała wprawdzie na bardzo drogą, ale była w dobrym stylu. Pukle jej włosów, spływające miękko na plecy, połyskiwały w słońcu, tak jak połyskuje węgiel świeżo wyłupany ze ściany. Twarz miała dość szeroką i opaloną. Nie można by jej było nazwać piękną z powodu zbyt szeroko rozstawionych oczu i nieco za dużych ust, za to oczy te były barwy dzikiego miodu – ciemnobrązowe i pełne złocistych refleksów. Jej towarzysz był również wysoki, ciemnowłosy i mocno zbudowany. Ramię, którym ją otoczył, gdy skierowali się do swych miejsc, było muskularne i opalone. Dawid poczuł nagle niechęć do niego, przemieszana z uczuciem zazdrości.

Dorodny byczek – pomyślał. Tymczasem nowo przybyli usiedli i rozmawiali, pochyleni ku sobie głowami. Dawid odwrócił od nich wzrok – ich intymny kontakt potęgował jeszcze jego poczucie osamotnienia.

Rozpoczęła się parada toreadorów. Słońce lśniło na cekinach i srebrzystych haftach ich ubiorów. Gdy tak szli, wyglądali jak połyskliwe łuski olbrzymiego gada. Orkiestra grzmiała, na piasek rzucono klucze do zagród z bykami. Toreadorzy porozkładali swoje peleryny na rampie, poniżej miejsc, gdzie siedziały damy ich serca, i zeszli z areny.

Nastąpiła krótka przerwa i Dawid zerknął na parę nieznaną. Ze zdziwieniem stwierdził, że oboje przyglądają mu się, a dziewczyna szepce coś do swego towarzysza, niewątpliwie na jego temat. Opierała się przy tym na ramieniu faceta, a jej wargi muskały niemal jego ucho i Dawid poczuł, jak przenika go dreszcz wywołany spojrzeniem jej złocistobrązowych oczu. Przez chwilę on i oni spoglądali na siebie, potem dziewczyna odwróciła wzrok, jak gdyby z zawstydzeniem, lecz jej towarzysz wytrzymał spokojnie spojrzenie Dawida, i to Dawid był tym, który pierwszy odwrócił głowę.

W dole byk wybiegł na arenę, z łbem uniesionym wysoko, wyrzucając fontanny piasku spod kopyt.

Było to piękne zwierzę o czarnej, lśniącej sierści. Potężne mięśnie karku grały, gdy

obracał głową, rozglądając się na boki. Tłum zawył, kiedy byk sprężył się, pochylił łeb i ruszył galopem, mierząc w ulotną, czerwoną plamę. Puszczono go w koło, od mulety do mulety, pozwalając mu nabrać impetu i ukazać całą pełnię swojej groźnej mocy, po czym wprowadzono konia.

Wejście konia powitały dźwięki trąb, lecz była to raczej żalosna kpina – fanfary dla nędznej chabety o chudej szyi i wyleniałej sierści. W dodatku jedno oko konia zasłaniała opadła powieka, tak że nie mógł nawet dobrze widzieć straszliwego przeciwnika, z którym miał się spotkać.

Śmiesznego w swym przybraniu i niemal załamującego się pod ciężarem barczystego, zbrojnego w pikę jeźdźca, którego dźwigał na grzbiecie, podprowadzono go do miejsca, gdzie nie mógł ująć szarzy byka. W tym momencie wszelki pozór piękna prysł niby bańka mydlana.

Byk ruszył na konia z pochyloną nisko głową, zepchnął i przyparł rachityczne zwierzę do rampy. Jeździec pochylił się nad szerokim karkiem byka, mocnym pchnięciem wbił weń pikę i wpierał się w nią całym swym ciężarem, pograżając ją głębiej i głębiej. Grube strugi ciemnej krwi popłynęły po bokach i nogach byka, ściekając w piasek.

W szale wywołanym bólem byk bódł i targał rogami materię chroniącą końskie boki. Wreszcie udało mu się poderwać ją do góry i zadzierzyste rogi wbiły się w odsłonięty brzuch. Nieszczęsne zwierzę wydało donośny, niemal ludzki jęk, gdy z rozprutego brzucha wypłynął kłęb wnętrzności i upadł na piasek.

Dawid miał sucho w ustach ze wstrętu i grozy. Otaczający go tłum zawył entuzjastycznie, gdy koń legł w masie poszarpanego rynsztunku i własnych trzewi.

Teraz starano się odwrócić uwagę byka od zmasakrowanego zwierzęcia. Kiedy udało się odwieść go w drugi koniec areny, poczęto chłostać konia, ciągnąć za ogon i kłuć w jądra, by zmusić go do wstania. Kiedy w końcu podniósł się i stanął na rozchwianych nogach, biciem zmuszono go, by ruszył z miejsca, i tak, wlokącego po piasku jelita, wprowadzono z areny.

Z kolei zabrano się do byka, powoli przemieniając go ze wspaniałego, groźnego zwierzęcia w ociekający potem i krwią ochłap mięsa. Dawid miał ochotę krzyżeć, by przerwano kaźń dokonującą się na arenie, lecz zdjęty wewnętrznym skurczem, obezwładniony poczuciem winy z powodu uczestnictwa w tym barbarzyńskim rytuale mordowania, mógł tylko siedzieć i patrzeć.

Wreszcie nastąpił finał. Byk stał pośrodku zrytej kopytami areny, z nisko opuszczonym łbem. Z pyska ciekła mu różowa piana, z nozdrzy sączyła się krew. Jego chrypliwy oddech docierał do Dawida, przebijając się nawet przez ryk tłumu. Nogi

zwierzęcia dygotały, a spod ogona sączyła się brązowa strużka rzadkiego kału. Był to zaiste obraz ostatecznego, niewyobrażalnego niemal upodlenia i Dawid zdał sobie nagle sprawę, że powtarza na głos wciąż jedno i to samo zdanie:

– Nie, nie! Skończcie z tym! Skończcie, błagam!

Lecz oto na scenę wkroczył matador w srebrzystym kostiumie i czarnych pantoflach. Złożył się do zadania ostatecznego pchnięcia, ale ostrze szpady trafiło na kość, klinga wygięła się w łuk, błysnęła w słońcu i śmignęła w powietrze. Byk zakołysał się i sapnął, chlapiąc na boki krwią, i stał dalej.

Pomocnicy podnieśli szpadę i podali ją matadorowi. Ten złożył się ponownie nad bezwładną, zdychającą bestią, namierzył miejsce i pchnął. Kiedy i tym razem cios trafił w kość zamiast w serce, Dawid poczuł, że niemoc ustępuje w nim miejsca pasji, i wrzasnął: – Przestańcie, śmierzące skurwiele!

Dwanaście razy matador składał się do ciosu i tyleż razy nie zdołał sięgnąć celu. Wreszcie byk upadł sam, z upływu krwi i zmożony męką. Usiłował jeszcze wstać, lecz brakło mu sił, więc dobito go ciosem sztyletu w kark. Potem wywleczono go z areny za pomocą zaprzęgu mułów – żaloszny korpus, pozostawiający za sobą długą smugę krwi.

Porażony niezwykłym okrucieństwem widowiska, Dawid obrócił wolno głowę, by spojrzeć na nieznaną dziewczynę. Jej towarzysz szeptał do niej, usiłując coś jej wyperswadować, jakoś ją pocieszyć. Ona jednak kręciła głową, nie mogąc widocznie zaakceptować żadnego wytłumaczenia, jej oczy szkliły się, rozchylone wargi drżały z gniewu, a policzki miała mokre od łez.

Towarzysz dziewczyny pomógł jej wstać, po czym obejmując ją delikatnie poprowadził w dół po schodach, tak jak odprowadza się wdowę od grobu świeżo zmarłego męża.

Tłum wypełniający widownię śmiał się i wznosił radosne okrzyki, bijące w niebo ponad kolistym płachciem piasku nasiąkniętego krwią i męką. Dawid czuł się obcy i odrzucony. Jego serce pobiegło za płaczącą dziewczyną – ona jedna spośród wszystkich tych ludzi wydawała mu się prawdziwą ludzką istotą. Zobaczył też dostatecznie dużo, by nabrać pewności, że w żadnym wypadku nie pojedzie do Pamplony. Wstał i opuścił arenę w ślad za odchodzącą parą. Pragnął podejść do tej dziewczyny, porozmawiać z nią, powiedzieć jej, że rozumie i podziela jej odrazę, lecz kiedy dotarł do parkingu, zobaczył, że dziewczyna i jej towarzysz wsiadają właśnie do rozklekotanego citroena. Zaczął biec, lecz citroen ruszył – wyrzucając z rury wydechowej chmury niebieskiego dymu i rżąc niby maszyna do strzyżenia trawników, włączył się w strumień samochodów, kierując się na wschód.

Dawid patrzył za nim i czuł ogromny żal, który zniweczył dobre samopoczucie

towarzyszące mu w ostatnich dniach. Dwa dni później ujrzał ponownie starego citroena, kiedy – odrzuciwszy wszelką myśl o podróży do Pamplony – skierował się na południe. Samochód wyglądał jeszcze nędzniej niż poprzednim razem, pokryty grubą warstwą pyłu i z płótnem przezierającym spod zdartego bieżnika jednej z tylnych opon. W dodatku z jednej strony musiało się zawieszenie, co sprawiło, że samochód stał w śmiesznym, jak gdyby pijackim przechyle.

Citroen stał na stacji benzynowej tuż pod Saragossą, przy drodze wylotowej, prowadzącej do Barcelony. Mężczyzna w kombinezonie pobrudzonym smarami napełniał bak pod baczynym okiem muskularnego faceta, tego samego, który towarzyszył dziewczynie na corridzie. Dawid podjechał do stacji i zaparkował z tyłu, za dystrybutorami. Dziewczyny nie było w samochodzie, ale po chwili ją zobaczył.

Po drugiej stronie ulicy był sklep z artykułami spożywczymi – stała tam przy kontuarze, targując się o coś ze starszawą sprzedawczynią. Była odwrócona tyłem, ale Dawid poznał ją po ciemnych włosach, teraz zebranych razem i upiętych. Przebiegł przez ulicę i wszedł do sklepu. W gruncie rzeczy nie wiedział, co ma zrobić i jak się zachować – działał wiedziony po prostu impulsem.

Dziewczyna ubrana była w krótką sukienkę bez rękawów, głęboko wyciętą na plecach, a na bosych stopach miała skórzane sandały. Szal narzucony na ramiona chronił ją przed zimnymi podmuchami wiatru. Z bliska jej skóra wydawała się miękka, aksamitna i połyskiwała delikatnie, jak gdyby była lekko naoliwiona, a cienkie, delikatne włosy u szczytu szyi przechodziły w meszek na karku.

Gdy dokończyła zakupu, ograniczającego się do suszonych fig, i odliczała pieniądze, Dawid przysunął się do niej bliżej. Czuł subtelną woń perfum, zapach włosów, i musiał powstrzymać się, by nie ulec chęci wtulenia się w nie twarzą.

Odwróciła się z uśmiechem i zobaczyła go tuż przed sobą. Poznała go natychmiast – jego twarz nie była twarzą, którą jakakolwiek dziewczyna mogłaby prędko zapomnieć. Znieruchomiała, uśmiech znikł z jej twarzy i stała tak, spokojna, z miną, która nie wyrażała ani niechęci, ani zainteresowania, lecz jej wargi były lekko rozchylone, a oczy gorzały ciemnozłocistym blaskiem. Była to poza owego szczególnego, bynajmniej nie beznamiętnego spokoju, z którą Dawid miał się tak dobrze zapoznać w niedalekiej przyszłości.

- Widziałem cię w Madrycie – powiedział. – Byłaś na corridzie.
- Tak – odparła i w odpowiedzi tej nie było nic poza stwierdzeniem faktu.
- Płakałaś.
- Ty też.
- Ja nie – zaprzeczył energicznie Dawid.

– Owszem, płakałeś – powtórzyła cicho, ale stanowczo. – Płakałeś w duszy – dodała i Dawid spuścił głowę. Wyciągnęła doń torbę z figami.

– Poczęstuj się – powiedziała i uśmiechnęła się. Był to uśmiech pełen ciepła i sympatii. Dawid wziął figę, wbił zęby w słodki miąższ i ruszył za dziewczyną do drzwi, traktując ten jej gest jako zaproszenie do dotrzymania towarzystwa. Wyszli na zewnątrz i skierowali się w stronę stojącego po drugiej stronie ulicy Citroëna. Tankowanie było zakończone i towarzysz dziewczyny stał oparty o maskę samochodu. Zapalał właśnie papierosa, gdy podniósł głowę i zobaczył ich. Musiał również poznać natychmiast Dawida, bo wyprostował się i szybkim ruchem odrzucił w bok płonąca zapalną.

W tym samym momencie dał się słyszeć syczący dźwięk, powietrze zadrgało od stłumionej eksplozji, struga ognia pomknęła po betonie i tył samochodu stanął w płomieniach.

Dawid zostawił dziewczynę i rzucił się przez jezdnię.

– Pchnij go dalej od dystrybutorów, idioto! – krzyknął na kierowcę, który powoli wracał do siebie po szoku.

Wprawdzie był właśnie piąty listopada, dzień fajerwerków i radosnej strzelaniny, lecz mimo to Dawid spuścił hamulec ręczny, przerzucił bieg na jałowy, po czym razem z oprzytomniałym już kierowcą wypchnęli samochód na pusty parking, biegnący wzdłuż ulicy. Gromada gapiów wyrosła jak spod ziemi i z bezpiecznej odległości wspomagała ich okrzykami zachęty i dobrymi radami.

Zdołali jeszcze wydobyć bagaże leżące na tylnym siedzeniu, zanim płomień ogarnęły całą karoserię. Dopiero w tym momencie pojawił się pracownik stacji, dźwigając olbrzymią czerwoną gaśnicę, i przy akompaniamencie gwizdów i okrzyków przykrył płonący samochód kopcem piany. Podniecenie opadło i ludzie zaczęli się rozchodzić, gwarząc, żartując i gratulując strażakowi z przypadku wirtuozowskiego popisu z gaśnicą. Przy opalonym wraku pozostało dwóch mężczyzn i dziewczyna.

– Moim zdaniem był to akt łaski – powiedziała dziewczyna. – To stare pudło było już straszliwie wymęczone. Czasem trzeba dobić konia ze złamaną nogą.

– Macie ubezpieczenie? – spytał Dawid.

Towarzysz dziewczyny roześmiał się.

– Żartujesz. Kto by coś takiego ubezpieczył? Dałem za niego jedyne sto dolarów.

Gdy pozbierali rozrzucony bagaż, dziewczyna zwróciła się do swego towarzysza w obcym, gardłowym języku, którego brzmienie wywołało odległy rezonans w pamięci Dawida. Zrozumiał, co powiedziała, tak że nie był zaskoczony, gdy z kolei zwróciła się do niego.

– Mamy spotkać się z kimś dziś wieczorem w Barcelonie. To ważna sprawa.

– Jedźmy – odparł krótko Dawid.

Wepchnęli bagaże do mustanga i towarzysz dziewczyny wcisnął się na tylne siedzenie, podkurczając długie nogi. Na imię miał Josef, ale dziewczyna powiedziała Dawidowi, by mówił mu po prostu Joe. Ona natomiast miała na imię Debora, gdy zaś idzie o nazwiska, to na tym etapie znajomości nie miały one znaczenia. Usiadła z przodu, obok Dawida, i przyjęła skromną postawę, ze ściśniętymi kolanami i dłońmi na podolku. Wsiadając obrzuciła wzrokiem wnętrze samochodu wraz z jego zawartością. Dawid widział, że dostrzegła jego elegancką walizkę, na półce pod deską rozdzielczą aparat fotograficzny marki Nikon, lornetkę Zeissa oraz kaszmirową kurtkę przerzuconą przez oparcie fotela. Potem spojrzała z ukosa na Dawida i chyba dopiero teraz zauważyła, że ma on na sobie koszulę z surowego jedwabiu i wąski złoty łańcuszek z plakietką na przegubie.

– Błogosławieni ubodzy – mruknęła. – Lecz mimo to miło być bogatym.

Dawid zaśmiał się. Był zadowolony. Chciał zrobić na niej wrażenie, pragnął, żeby dokonała paru porównań między nim a tym muskularnym typem, siedzącym z tyłu.

– No to ruszamy do Barcelony – powiedział.

Kiedy jechali spokojnym tempem przez przedmieście, Debora odwróciła się do Joego.

– Wygodnie ci? – spytała go w tym co przedtem, gardłowym języku.

– Jeżeli mu niewygodnie, to może biec z tyłu – stwierdził Dawid w tym samym języku.

Debora spoglądała na niego przez moment, zaskoczona, po czym zawołała z nieukrywanym zadowoleniem:

– Ejże! Ty mówisz po hebrajsku?!

– Owszem, chociaż niezbyt dobrze – potwierdził Dawid. – Dużo zdążyłem już zapomnieć.

Przypomniał sobie teraz, jak mając dziesięć lat przeżywał tortury, kiedy zmagął się z dziwnym, zawilim językiem, pisanym od prawej do lewej, z alfabetem o literach w kształcie wężyków, z mową, której dźwięki przypominały odgłosy płukania gardła.

– Jesteś Żydem? – spytała Debora, przekręcając się na fotelu tak, że teraz siedziała zwrócona do niego przodem. Uśmiech znikł z jej twarzy. Odpowiedź na to pytanie miała dla niej widocznie duże znaczenie.

Dawid potrząsnął głową. Samo pojęcie „bycia Żydem” wydało mu się zabawne.

– Nie. Jestem na pół wierzącym, niepraktykującym monoteistą, wychowanym w duchu tradycji Kościoła protestanckiego.

– Po co więc uczyłeś się hebrajskiego?

– Życzyła sobie tego moja matka – odparł Dawid i poczuł ukłucie dawnej winy. – Zginęła, kiedy jeszcze byłem dzieckiem. Wtedy przestałem się uczyć. Uważałem, że to już nie ma sensu.

– Więc twoja matka była Żydówką? – dopytywała się dalej Debora, nie zważając na jego żartobliwy ton.

– W stu procentach. Za to ojciec był protestantem. W rodzinie zrobiło się piekło, kiedy ojciec się z nią ożenił. Wszyscy byli temu przeciwni. Ale oni postawili na swoim i nie dali się rozłączyć.

Debora odwróciła się do Joego.

– Słyszałeś? On jest jednym z nas.

– Och, daj spokój! – zaprotestował Dawid, wciąż się śmiejąc.

– Mazal tow – pozdrowił Joe Dawida. – Odwiedź nas kiedyś w Jerozolimie.

– Jesteście Izraelczykami? – spytał Dawid z nagłym i wyraźnym zainteresowaniem.

– Sabras. Oboje – odparła Debora z nutą dumy w głosie. – Tutaj spędzamy tylko wakacje.

– Izrael to zdaje się bardzo interesujący kraj – zaryzykował Dawid.

– Jak powiedział przed chwilą Joe: przyjedź kiedyś, a przekonasz się na własne oczy – odparła Debora. – Masz prawo do powrotu – dodała i zmieniła temat.

– Czy to jest już wszystko, co możesz wydusić z tej maszyny? Musimy być w Barcelonie przed siódmą.

Wyraźnie coś zostało przełamane i ich kontakt stał się swobodniejszy i bardziej bezpośredni. Wyglądało na to, że Debora rozstrzygnęła jakiś ważny dla niej problem. Wyjechali już z przedmieścia i mieli przed sobą pustą drogę, spływającą w dolinę rzeki Ebro i biegnącą wraz z nią w kierunku morza.

– Są państwo uprzejmie proszeni o zgaszenie papierosów i zapięcie pasów – powiedział Dawid i nacisnął pedał gazu.

Debora siedziała wyprostowana, z założonymi rękami i patrzyła spokojnie przed siebie, podczas gdy krajobraz na zakrętach gnał wprost na nich z szaleńczą prędkością, a na prostych droga zmieniała się w rozmazaną, niebieskawą smugę, niknącą pod maską mustanga. Na jej ustach błąkał się uśmiech zachwyty, a w oczach jarzyły się złote iskierki i Dawid poznał, że szybkość wywiera na nią taki sam magiczny wpływ, jak na niego.

Zapomniał o całym świecie, myślał tylko o siedzącej obok dziewczynie i o tym, by utrzymać potężną maszynę na wstążce asfaltu.

Kiedy zjeżdżając na dno suchej, pylistej doliny wpadli w płataninę zakrętów i Dawid rozpoczął szaleńczą zonglerkę pedałami gazu, sprzęgła i hamulca oraz dźwignią biegów,

połączoną z błyskawicznymi obrotami kierownicą, Debora roześmiała się głośno. W śmiechu tym brzmiała groza, fascynacja i podziw.

W wiejskim sklepie kupili ser, chleb oraz butelkę białego wina i przysiedli na balustradzie kamiennego mostu. Jedli ów prosty lunch, a w dole woda pluskała i bulgotała, siwa od śnieżnej kaszy splukanej z górskich zboczy.

Dawid siedział obok Debory i udem dotykał jej uda. Nawet poprzez materiał ubrania czuł ciepło i jędrność jej ciała, a ona nie robiła nic, by przerwać ów kontakt. Tylko jej policzki były nieco bardziej zaróżowione, niż być powinny, nawet w słabych podmuchach chłodnego wiatru od gór.

Co było dla Dawida zagadkowe, to dziwna postawa Joego. Zupełnie zdawał się nie interesować go fakt, że Dawid przystawia się do jego dziewczyny, i z dziecięcą bez troską rzucał kamyki do wody. Dawid poczuł nagle, że wolałby zetknąć się z jakąś kontrakcją z jego strony, czyniącą podbój bardziej atrakcyjnym, albowiem zdobycie tej dziewczyny było celem, który sobie postawił.

Sięgnął po kolejny kawałek białego, ostrego sera, przy czym jego ręka musnęła lekko jej piersi. Joe nie zareagował.

No, zróbże coś wreszcie, ty klocek! – zawołał w myślach, czując coraz większą pogardę dla przeciwnika. – Rusz tyłek i walcz o nią!

Odczuwał potrzebę sprawdzenia się w starciu z tym facetem. Joe był wyższy od niego i muskularny, a z jego postawy i sposobu, w jaki się poruszał, Dawid mógł zorientować się, że jest również bardzo zwinny. Twarz miał z gruba ciosaną i dość szpetną, ale Dawid wiedział, że niektóre kobiety szczególnie lubią brzydkich mężczyzn. Nie dał się także zwieść jego ospałej mimice – oczy Joego były ruchliwe i bystre.

– Chcesz usiąść za kółkiem, Joe? – spytał Dawid, i choć uśmiech zaczął się rozlewać z wolna po twarzy Joego, niby plama oliwy po powierzchni wody, jego oczy rozbłysły podnieceniem.

– Jeżeli nie masz nic przeciwko temu... – odparł Joe, a Dawid, przyjąwszy skurczoną pozycję na wąskim, tylnym siedzeniu mustanga, natychmiast pożałował swego lekkomyślnego gestu. Przez pierwszych parę minut Joe prowadził ostrożnie, pociskając pedał hamulca i przerzucając biegi, by wyczuć pracę hamulców, wybadać luz, przesuw i moment zaskoku dźwigni biegów, oraz dodając gwałtownie gazu na zakrętach, żeby zorientować się co do stabilności maszyny i wykryć ewentualną tendencję tylnych kół do tracenia przyczepności.

– Nie pieść się tak. To dobry wóz – powiedział Dawid.

Joe mruknął coś i na jego szerokim czole ukazała się niewielka zmarszczka – wyraz koncentracji. Kiwnął sam do siebie głową, lewą dłonią objął pewnie koło kierownicy,

prawą ujął uchwyt dźwigni biegów i Debora podskoczyła, gdy gwałtownie zredukował bieg, by osiągnąć maksymalną liczbę obrotów. W pierwszy zakręt wszedł tak, że Dawid wstrzymał oddech i instynktownie przycisnął nie istniejący pedał hamulca.

Kiedy Joe zatrzymał samochód na parkingu przy lotnisku w Barcelonie i przekręcił kluczyk w stacyjce, gasząc silnik, siedzieli jeszcze przez parę sekund w milczeniu. Przerwał je Dawid.

– Ty skurczybyku! – powiedział łagodnym tonem.

Wtedy jak na komendę wybuchnęli śmiechem. Dawid poczuł nawet pewien żal do samego siebie – zamierzał przecież odbić temu facetowi dziewczynę, a jednocześnie zaczynał go lubić. Zaczynał mu się podobać jego powolny, rozważny sposób formułowania wypowiedzi, z coraz większą sympatią śledził pozorną ospałość jego ruchów i ulegał urokowi uśmiechu, który potrzebował tak dużo czasu, by podporządkować sobie wszystkie rysy tej nieładnej twarzy. Wiedział już, że będzie musiał bardzo się zmobilizować, by wytrwać w swym postanowieniu.

Ponieważ mieli jeszcze godzinę do przylotu samolotu, udali się do restauracji, skąd otwierał się widok na płytę lotniska. Dawid zamówił kubek Sangrii. Debora siedziała obok Joego i w trakcie rozmowy oparła mu rękę na ramieniu, co w pewnej mierze przytłumiło budzącą się w Dawidzie sympatię.

Kelner podał Dawidowi wino w glinianym kubku, a w tym samym czasie Joe obserwował niewielki, prywatny samolot lądujący na jednym z pasów lotniska.

– To jeden z tych nowych Golsztrömów. Słyszałem, że są naprawdę znakomite – powiedział, po czym, zwracając się do Debory, zaczął wymieniać dane techniczne samolotu, czemu ona przysłuchiwała się z miną świadcząca o tym, że doskonale rozumie ów techniczny język.

– Widzę, że znasz się na samolotach – wtrącił Dawid, postanawiając rzucić mu wyzwanie.

– Trochę – odparł Joe, lecz Debora nie dopuściła do starcia.

– Joe służy w lotnictwie – powiedziała z wyraźną nutą dumy w głosie.

Dawid popatrzył na niego zaskoczony.

– Debora też – powiedział Joe i uśmiechnął się. – Jest porucznikiem w oddziale obsługi urządzeń sygnalizacyjnych.

– W rezerwie – stwierdziła Debora i machnęła lekceważąco ręką. – Za to Joe jest pilotem. Lata na myśliwcach.

– Pilotem – powtórzył tępo Dawid. Powinien był to przecież wywnioskować z jego bystrego, wszystko rejestrującego sposobu patrzenia, będącego charakterystyczną cechą pilota myśliwca. A także ze sposobu, w jaki prowadził samochód. Jeśli Joe był izraelskim

pilotem, to musiał mieć na swym koncie fantastyczną liczbę akcji. Do diabła, przecież u nich każdy start był startem bojowym! Dawid czuł, jak narasta w nim fala respektu wobec tego faceta.

– Na czym latasz? – zapytał. – Na Fantomach?

– Fantomy! – prychnął Joe. – To nie jest prawdziwe latanie. Raczej obsługiwanie komputera. Nie, ja latam naprawdę. Słyszałeś coś o Mirage’ach?

Dawid łypnął na niego spod oka i przytaknął.

– Owszem, co nieco.

– No więc ja latam właśnie na Mirage’ach.

Dawid pochylił głowę i zaczął się śmiać.

– Co w tym takiego śmiesznego? – spytał Joe, a uśmiech zaczął znikać z jego twarzy.

– Nic, poza tym, że ja też latam na Mirage’ach – wykrztusił Dawid. Uznał, że usiłowanie rozbudzania w sobie niechęci do tego faceta nie ma sensu. – Mam za sobą ponad tysiąc godzin w powietrzu.

Z kolei Joe zdębiał i gapił się na Dawida z otwartymi ustami. I nagle, jak na komendę, obaj zaczęli mówić, a Debora siedziała w milczeniu, przenosząc tylko wzrok z jednego na drugiego.

Dawid zamówił jeszcze jeden kubek wina, lecz tym razem Joe nie pozwolił mu zapłacić. Powtarzał co chwila: „Nie, w to naprawdę trudno uwierzyć”, klepał Dawida po ramieniu i znów: „Co ty na to, Debora?”

Kiedy kubek był opróżniony mniej więcej do połowy, Dawid przerwał rozmowę, obracając się teraz wyłącznie wokół spraw pilotażu.

– Wszystko w porządku, ale powiedzcie, na kogo tu czekamy. Przejechaliśmy pół Hiszpanii, a ja nie wiem nawet, kim jest ten facet.

– Ten facet jest dziewczyną – odparł Joe i roześmiał się, a Debora mu zawtórowała.

– To Hanna – powiedziała i wskazała ruchem głowy na Joego. – Jego narzeczona. Jest pielęgniarzką w szpitalu Hadassa i mogła dostać tylko tydzień urlopu.

– Twoja narzeczona? – wyszeptał Dawid, spoglądając na Joego.

– Mają pobrać się w czerwcu – dodała Debora. – Joe potrzebował dwóch lat, żeby podjąć tę decyzję.

Joe odkasznął, zakłopotany, a Debora podkreśliła swą dezaprobatę szczypiąc go boleśnie w ramię.

– Twoja narzeczona? – powtórzył Dawid.

– O co ci chodzi? – spytała Debora.

Dawid spojrzał najpierw na nią, potem na Joego. – Co, to znaczy, kto... – zaczął. – Więc jak to właściwie jest, do diabła?!

Debora nagle zrozumiała go i uniosła obie dłonie do ust, by powstrzymać wybuch śmiechu, a jej oczy rozjarzyły się wesołymi iskierkami.

– Chcesz powiedzieć... Myślałeś, że... Ależ nie!

Wskazała palcem kilkakrotnie siebie i Joego.

– Czy to miałeś na myśli?

Dawid przytaknął.

– To mój brat! – zawołała, a właściwie krzyknęła do niego. – Joe jest moim bratem, ty wariacie! Siedzą przed tobą Josef Izrael Mordechaj i Debora Rut Mordechaj, brat i siostra!

Hanna była wysoką dziewczyną o włosach barwy miedzi i twarzy pokrytej dużymi piegami. Była ledwie parę centymetrów niższa od Joego, lecz on uniósł ją jak piórko, kiedy tylko przeszła przez kontrolę paszportową, i objął tak, że niemal znikła w jego potężnych ramionach.

Wydawało się zupełnie naturalne, że cała czwórka zostaje razem. Jakimś cudem, wspomaganym przemyślnością, udało się im upchnąć wszystkie bagaże i siebie w mustangu, umieszczając Hannę na kolanach siedzącego z tyłu Joego.

– Mamy tydzień – powiedziała Debora. – Cały tydzień. Co będziemy robić?

Zdecydowali, że nie pojedą do Torremolinos. Leżało ono daleko na południu, a od czasu, gdy Mitchener napisał *The Drifters*, stało się Mekką wszelkiej maści włóczęgów i szumowin intelektualnych.

– Rozmawiałam z kimś podczas lotu. Jest podobno taka mała, bardzo piękna miejscowość nad morzem, blisko granicy francuskiej. Nazywa się Colera.

Znaleźli się tam w południe następnego dnia, a ponieważ był to sam początek sezonu, bez kłopotu wynajęli pokoje w niewielkim hotelu, w pewnej odległości od wijącej się licznymi zakrętami głównej ulicy. Dziewczyny zamieszkały razem, natomiast Dawid uparł się, by mieć oddzielny pokój.

Miał pewne plany co do Debory, których realizacja zdecydowanie wymagałaby odosobnienia.

Bikini Debory było niebieskie i tak skąpe, że góra ledwo mieściła piersi, jeszcze bujniejsze, niż sądził Dawid. Jej skóra była atlasowa i opalona na ciemny brąz, acz nie wszędzie, bo gdy schyliła się, by podnieść ręcznik, pasek jaskrawej bieli wychynał spod gumki majteczek. Wąska w talii i długonoga, Debora była przy tym świetną pływaczką – przez cały czas zmuszała Dawida do wysiłku, gdy płynęli do skalistej wysepki niecały kilometr od brzegu.

Mieli teraz kilka metrów skały wyłącznie dla siebie. Znaleźli płaskie miejsce po zawietrznej, nasłonecznionej stronie. Położyli się obok siebie, dłoń Dawida dotknęła

dłoni Debory i obie zostały tak, splecione palcami. Leżeli tak długo, w popołudniowym słońcu, i rozmawiali. Mieli sobie przecież niemało do opowiedzenia.

Ojciec Debory był jednym z najmłodszych pułkowników w lotnictwie Stanów Zjednoczonych w czasie II wojny światowej. Po jej zakończeniu przeniósł się do Izraela. Teraz dosłużył się już stopnia generała-majora. Rodzina Mordechaj mieszkała w starej części Jerozolimy, liczącej sobie w obecnym kształcie pięćset lat, lecz odznaczającej się szczególnym urokiem.

Ona sama była lektorką angielskiego na Uniwersytecie Hebrajskim w Jerozolimie i – tu jej głos przybierał ton zawstydzenia – zamierzała pisać. Udało się jej już wydać mały tomik poezji. Ta informacja zrobiła duże wrażenie na Dawidzie. Uniósł się na łokciu i przypatrywał się jej z respektem i nawet z zazdrością, jaką skłonny był odczuwać wobec kogoś, kto miał jasno określone plany co do swej przyszłości.

Leżała na wznak, skąpana w promieniach słońca, z zamkniętymi oczami. Małe kropelki wody wciąż jeszcze lśniły na jej długich, czarnych rzęsach. Nie, nie była piękna, teraz Dawid upewnił się co do tego ostatecznie, niewątpliwie, jednak zgrabna i bardzo, ale to bardzo pociągająca. Oczywiście zamierzał ją zdobyć. Nie miał co do tego najmniejszych wątpliwości, obecnie jednak przestało mu się z tym tak bardzo spieszyć. Znajdował upodobanie w przysłuchiwaniu się, jak mówi – w trakcie opowiadania jej narracja stawała się barwna i opisowa, a przy tym jej angielszczyzna uderzała przez to, że pozbawiona była jakiegokolwiek specyficznego akcentu, może poza nikłymi śladami amerykańskiej wymowy, które Dawid był teraz w stanie wychwycić, kiedy wiedział, że ma szansę je znaleźć. Dowiedział się, że poezję traktowała tylko jako punkt wyjścia. Zamierzała napisać powieść mówiącą o tym, jak wygląda młodość spędzona w Izraelu. Opracowała już nawet wstępny plan fabuły, która wydała się Dawidowi całkiem interesująca. Potem zaczęła opowiadać szerzej o swoim kraju i o żyjących w nim ludziach. I wówczas Dawid poczuł, że w jego duszy coś się porusza, coś narasta – jakaś tęsknota, wpisana w geny pamięć własnej rasy. Ponownie ukąsiła go zazdrość. Ta dziewczyna miała tak klarowną świadomość tego, od czego wychodzi i dokąd zmierza, gdzie jest jej miejsce teraz i gdzie będzie w przyszłości! To wszystko dawało jej wewnętrzną siłę. Siedząc tuż obok niej, poczuł się nagle niepotrzebny i nieważny jak człowiek, który nie ma przed sobą żadnego celu.

Debora otworzyła oczy, zmrużyła je oslepiona słońcem i popatrzyła na Dawida.

– O Boże – powiedziała i zaśmiała się. – Wpadliśmy w strasznie poważny ton. Pewnie za dużo mówię?

Dawid potrząsnął przecząco głową, ale nie odwzajemnił jej uśmiechu. Zapadło milczenie.

Debora przypatrywała się uważnie jego twarzy. Słońce wysuszyło mu włosy, które były teraz miękkie i bardzo ciemne. Wypukłości policzków i szczęki były wyrzeźbione z zachowaniem idealnej proporcji, oczy wyraziste i odrobinę azjatyckie, wargi pełne i mocno zarysowane, nos zgrabny, prosty, o szerokich nozdrzach. Wyciągnęła rękę i dotknęła jego policzka.

– Jesteś piękny, Dawidzie. Jesteś najpiękniejszym z mężczyzn, jakich kiedykolwiek widziałam.

Dawid nie poruszył się, a ona przesunęła palcami w dół po jego szyi i zanurzyła je we włosach na piersi. Wtedy pochylił się wolno i dotknął ustami jej warg. Były gorące, miękkie i słonawe od morskiej wody. Objęła go za szyję i przygarnęła do siebie. Pocałunek trwał i Dawidowi udało się wreszcie dosięgnąć i odpiąć zapinkę jej kostiumu. W pierwszej chwili zeszywniała, a potem zaczęła go odpychać.

Dawid trzymał ją jednak mocno, choć nie brutalnie. Zaczął ją całować i szeptać czułe, uspokajające słowa. Jej opór powoli słabł, po chwili znowu objęła go za szyję, westchnęła i zadrżała.

Dłonie Dawida były wyćwiczone i zręczne, dostatecznie delikatne, by nie sprowokować sprzeciwu. Ściągnął do góry cienki materiał kostiumu i oto mógł napawać się widokiem jej nagich piersi, zaskoczony i zafascynowany ich słodką, ocieźłą pełnią, zdobną dużymi, ciemnoróżowymi sutkami, nabrzmiałymi i stwardniałymi od dotyku jego palców.

To, co nastąpiło, było dlań zupełnym zaskoczeniem – nie był przyzwyczajony do tak gwałtownych reakcji. Nagle Debora położyła mu dłonie na ramionach i odepchnęła go z taką siłą, że stracił równowagę i zjechał w dół, lądując z obtartym kolanem w wodzie, u stóp skały.

Podczas gdy Dawid gramolił się wściekły z powrotem, Debora poderwała się na nogi, szybkim ruchem umieściła na właściwym miejscu górę kostiumu, uporała się z zapinką na plecach, podbiegła na krawędź skały i jej długie, opalone nogi śmignęły w powietrzu płaskim łukiem, zanim zniknęła pod wodą. Wynurzyła się i odwróciła, by zawołać:

– Zobaczmy, kto będzie pierwszy na plaży!

Dawid nie miał zamiaru przyjąć wyzwania i obrażony płynął za nią, swoim własnym, niespiesznym tempem. Kiedy wreszcie dopłynął i ponury wynurzył się z przybrzeżnej piany, Debora przez chwilę przyglądała mu się uważnie. Uśmiechnęła się.

– Kiedy jesteś obrażony, wyglądasz jak dziesięcioletni chłopczyk – powiedziała.

Nie było to stwierdzenie, które mogłoby udobruchać Dawida, toteż nie mówiąc nic zostawił ją i poszedł do hotelu.

Wieczorem, kiedy tuż za plażą odkryli dyskotekę o nazwie „Rok 2001”, prowadzoną przez kilku Anglików, Dawid był wciąż wyniosły i pełen rezerwy. Stłoczyli się przy stoliku, przy którym siedziały już dwie dziewczyny, Angielki, i paru niechlujnie ubranych, brodatych facetów. Muzyka była wystarczająco głośna i rytmiczna, żeby skusić do wejścia na parkiet, a kiedy obie obce dziewczyny zaczęły spoglądać na Dawida z niemal nabożnym podziwem, Debora zrezygnowała ze swojej postawy, wyrażającej chłodną ironię, i zaproponowała, by zatańczyli. Dawid był świadom sytuacji, a owa tak bardzo kobieca reakcja Debory sprawiła, że nie mógł dłużej grać roli odtrąconego, zalotnika.

Szybko okazało się, że w tańcu są naprawdę dobrymi partnerami. Byli jednakowo wrażliwi i podatni na basowy rytm muzyki sięgającej korzeniami afrykańskiego buszu, a ich ruchy były tak harmonijne i pełne gracji, że zaczęli przyciągać uwagę innych tańczących.

Kiedy muzyka zmieniła się, Debora podeszła do Dawida i przytuliła się do niego. Dawid czuł, że bliski fizyczny kontakt z tą dziewczyną wprawia w drżenie każdy nerw jego ciała. Wiedział już, że żadna forma jego kontaktu z nią nie może być beznamiętna. Działała na niego zbyt mocno i sprawiała, że jego zmysły balansowały na krawędzi eksplozji.

Gdy płyta skończyła się, zostawili Joego i Hannę gawędzących nad karafką czerwonego wina i wyszli na ulicę, cichą i pustą o tej porze, i poszli spacerem ku plaży.

Noc była księżycowa i szczyty niewysokich skał rysowały się wyraźnie na tle ciemnego nieba, skąpane w chłodnej, niebieskawej poświacie. Tarcza Księżyca odbijała się tysiącem żółtawych refleksów w zmarszczonej powierzchni morza, a niskie fale lizwały szerokimi jęzorami żwir plaży. Zdjęli pantofle i poszli wzdłuż brzegu, pozwalając, by woda omywała im stopy.

Doszli do skał i znalazłszy osłonięte miejsce zaczęli się całować. Lecz i tym razem Dawid popełnił błąd, biorąc zmianę jej nastroju za przyzwolenie kontynuowania swoich zabiegów od miejsca, w którym poprzednio mu przerwano.

Debora ponownie odepchnęła go, tym razem jednak ze złością.

– Do diabła! Czy do ciebie nic nie trafia? Nie chcę tego. Czy mam bić się z tobą za każdym razem, kiedy jesteśmy sami?

Dawid momentalnie złodowaciał, urażony jej tonem i rozjątrzony ponownym sprzeciwem.

– O co ci chodzi? To jest dwudziesty wiek, maleńka. Afektowane dziewice wyszły już z mody, nie słyszałaś o tym?

– A rozpieszczeni mali chłopcy powinni dorosnąć, zanim wypuści ich się w świat.

– Dzięki. Wcale nie muszę tu tkwić i wysłuchiwać złośliwości od jakiejś zaprzysięgłej dziewczicy.

– W porządku. Dlaczego więc nie wyjedziesz?

– No, właśnie. To doskonały pomysł. Naprawdę.

Odwrócił się i poszedł w górę plaży, w stronę zabudowań.

Debora mimo wszystko nie spodziewała się, że tak postąpi, i w pierwszym momencie poderwała się, by biec za nim, ale poczucie dumy osadziło ją na miejscu. Spuściła głowę i oparła się plecami o skałę.

Nie powinien być wobec mnie taki natarczywy – pomyślała. Pragnę go, pragnę go tak bardzo, ale jest przecież pierwszym, odkąd przestałam być z Dudu. Jeżeli da mi jeszcze trochę czasu, wtedy będzie wszystko dobrze, nie może jednak mnie poganiać. Gdyby tylko potrafił trochę się do mnie dostosować, pomóc mi, żeby to, co ode mnie otrzyma, było rozkoszne i piękne... To zabawne, jak słabo pamiętam już Dudu. To dopiero trzy lata, a w pamięci prawie nic. Trudno by mi było teraz powiedzieć, czy naprawdę go kochałam. Nie przypominam sobie nawet dokładnie jego twarzy, podczas gdy twarz Dawida mam wciąż przed oczami, i to w najdrobniejszym szczególe... Może powinnam dogonić go, opowiedzieć mu o Dudu, poprosić go, żeby był cierpliwy i pomógł mi chociaż trochę. Chyba tak – pomyślała, ale nie zrobiła tego i poszła przez plażę, a potem pustymi uliczkami do hotelu.

Łóżko Hanny było puste. Na pewno jest u Joego, kocha się z nim – pomyślała. A ja powinnam być teraz u Dawida. Dudu już nie ma i nie będzie, a ja żyję, pragnę Dawida i powinnam być teraz z nim. Ta myśl tkwiła jej wciąż w głowie, gdy leżała w łóżku, długo i bezskutecznie starając się zasnąć.

Dawid stał w drzwiach sali dyskoteki i usiłował dojrzeć coś poprzez feerię migocących świateł i mgłę gorącego oparu, produkowanego przez setkę kłębiących się ciał. Te same dwie dziewczyny siedziały jeszcze przy stole, ale Joego i Hanny już nie było. Dawid przepchnął się przez tłum tańczących. Jedną z dziewczyn była wysoką blondynką, o typowo angielskiej, jasnej cerze i lekko skośnych oczach. Zobaczyła Dawida, rozejrzała się i dopiero upewniwszy się, że jest bez Debory, obdarzyła go zachęcającym uśmiechem. Poszli na parkiet i tańczyli jakiś czas oddzielnie, potem Dawid położył jej dłonie na biodrach i przyciągnął ją do siebie. Poddawała mu się i przywarła doń, wpatrując mu się w oczy, z odchyloną głową i lekko rozchylonymi wargami.

– Masz gdzieś tutaj pokój? – spytał.

Przytaknęła, przesuwając koniuszkiem języka po wargach.

– Więc chodźmy – powiedział.

Było już jasno, kiedy Dawid wrócił do siebie. Ogolił się i spakował rzeczy do torby.

Sam dziwił się, że ma w sobie wciąż jeszcze tyle zapiekłego gniewu. Zszedł na dół, wyjął kartę Diners Club i uregulował rachunek.

Debora wyszła z jadalni, a za nią Joe i Hanna. Cała trójka była ubrana do wyjścia na plażę, we frotowych szlafrokach narzuconych na kostiumy. Byli weseli i roześmiani – do momentu, gdy zobaczyli Dawida.

– Ejże! – zawołał Joe. – A gdzie ty się wybierasz?

– Mam dosyć Hiszpanii – odparł Dawid. – Korzystam z czyjejś dobrej rady i wyjeżdżam.

W tym momencie ujrzał cień bólu w oczach Debory i poczuł, jak napęnia go błogie uczucie triumfu. Joe i Hanna rzucili na nią szybkie spojrzenia i Debora natychmiast opanowała drżenie warg. Zaraz też uśmiechnęła się, może tylko trochę za swobodnie, zrobiła krok w stronę Dawida i wyciągnęła doń rękę.

– Dzięki, Dawidzie, za wszystko, co dla nas zrobiłeś. Szkoda, że wyjeżdżasz. Było fajnie – powiedziała pogodnie. – Mam nadzieję, że znajdziesz to, czego szukasz. Miej się dobrze – dodała już cichszym i odrobinę drżącym głosem. Powiedziawszy to, odwróciła się szybko i pobiegła do swego pokoju. Hanna skinęła Dawidowi zdawkowo głową i pospieszyła za nią.

– Cześć, Joe.

– Poniosę ci torbę.

– Daj spokój. Nie trzeba.

– To przecież żaden kłopot.

Joe odebrał torbę Dawidowi, i gdy znaleźli się przy mustangu, rzucił ją na tylne siedzenie, a sam wskoczył na miejsce obok kierowcy.

– Pojadę z tobą do tych pagórków, a potem przebiegnę się z powrotem. Przyda mi się trening.

Dawid prowadził szybko. Przez pewien czas milczeli obaj, potem Joe powoli przypalił papierosa, opuścił szybę i wyrzucił nie dopaloną zapalniczkę.

– Nie wiem dokładnie, co się stało, ale domyślam się.

Dawid nie odpowiedział, zapatrzony w drogę przed samochodem.

– Ona przeżywała bardzo ciężki okres. Dopiero od paru ostatnich dni zaczęła być całkiem inna. Powiedziałbym, że radosna. Myślałem, że tak już zostanie.

Dawid wciąż milczał, nie wychodził mu ani krok naprzeciw. Nie widział powodu, dlaczego ten grubokościsty facet miałby się wtrącać w nie swoje sprawy.

– To jest szczególnie przypadek, Dawidzie. Nie mówię tego dlatego, że Debora jest moją siostrą. Chyba powinieneś wiedzieć, jak z nią jest, po prostu żebyś sobie źle o niej nie myślał.

Dojechali właśnie do szczytu jednego ze wzgórz otaczających miasteczko i zatokę. Dawid zjechał na pobocze i zatrzymał samochód, ale nie wyłączył silnika. Siedział i czekał, spoglądając w dół, na błękit morza, biel skał i ciemną zieleń porośniętego sosnami pogórza.

– Debora miała wyjść za męża. To był sympatyczny chłopak, starszy od niej. Pracowali razem na uniwersytecie. On był kierowcą czołgu, rezerwistą – został trafiony na Synaju i spłonął ze swoją maszyną.

Dawid odwrócił się i popatrzył na Joego, a wyraz jego twarzy nieco złagodniał.

– To był dla niej ciężki cios. Po raz pierwszy od tamtego czasu widziałem ją tak odprężoną i pogodną.

Joe wzruszył ramionami i uśmiechnął się. Jego twarz przypominała teraz pysk wielkiego bernardyna.

– Wybacz, że opowiedziałem ci tę rodzinną historię. Pomyślałem sobie, że to mogłoby coś wyjaśnić.

Wyciągnął do Dawida wielką, opaloną dłoń.

– Przyjedź odwiedzić nas, Dawidzie. Izrael to także twój kraj, pamiętaj. Chciałbym móc ci go pokazać.

Dawid oddał mu uścisk dłoni.

– Może. Zobaczymy.

– Szalom.

– Szalom, Joe. Powodzenia.

Joe wysiadł z samochodu i stał, wsparty pod boki, spoglądając za odjeżdżającym mustangiem. Dawid widział jeszcze, jak unosi w górę dłoń pożegnalnym gestem, zanim jego sylwetka zniknęła za pierwszym zakrętem.

Niedaleko od Ostii, przy drodze prowadzącej z Rzymu, znajdował się ośrodek szkoleniowy dla kandydatów na kierowców Formuły I. Jazdy odbywały się na starym, betonowym torze wyścigowym, a cały kurs kosztował pięćset dolarów.

Dawid zamieszkał w Rzymie w hotelu „Excelsior” przy Via Veneto i każdego dnia dojeżdżał na treningi. Ukończył kurs, chociaż już po tygodniu wiedział, że tutaj także nie znalazł tego, czego szukał. Ograniczenie wąską nitką betonowego toru, w kimś, kto znał smak swobodnego unoszenia się na napowietrznych wyżynach, wywoływało poczucie spętania i nawet potężny i działający jak szwajcarski zegarek silnik Forda Tyrella dawał jedynie namiastkę tego, czym dysponował pilot odrzutowego myśliwca. Lecz choć Dawidowi brakowało pasji i samozaparcia, jakie cechowały pozostałych w jego grupie, to jednak jego wrodzone zamiłowanie do szybkości w połączeniu z refleksem

i koordynacją zapewniły mu wysokie miejsce na liście absolwentów kursu. Otrzymał też zaraz ofertę wstąpienia do zespołu formowanego przez nowo powstałą, drapieżną firmę, produkującą samochody wyścigowe mające startować w zawodach Formuły I. Proponowane wynagrodzenie było, rzecz jasna, bardzo nędzne i fakt, że Dawid w pewnym momencie był bliski podpisania kontraktu na jeden sezon, mógł tylko świadczyć o jego desperacji. W ostatniej chwili podjął inną decyzję i wyruszył w dalszą drogę.

W Atenach spędził tydzień, kręcąc się wokół jachtowych basenów portowych w Pireusie i Glifadzie. Rozwahał możliwość zakupu jachtu motorowego i uruchomienia przewozów pasażerskich na Cyklady. Słońce, morze, piękne dziewczyny – ta perspektywa wydawała się rzeczywiście pociągająca, a do tego i jachty były piękne same w sobie, lśniły bielą i urzekały elementami wykonanymi z pokostowanego drewna tekowego. Po paru dniach Dawid zorientował się jednak, że jego praca sprowadzałaby się wyłącznie do prowadzenia pływającego hotelu, obsługującego grupy opalonych, znudzonych i cierpiących na chorobę morską turystów.

Siódmego dnia do zatoki wpłynęła amerykańska VI Flota i stanęła na kotwicy w pewnej odległości od brzegu. Dawid siedział na zalanym słońcem tarasie jednej z nadbrzeżnych kafejek, popijał ouzo i obserwował przez lornetkę nieruchome sylwetki lotniskowców. Na gigantycznych pokładach widniały rzędy Crusaderów i Fantomów z poskładanymi skrzydłami. Ich widok wzbudził w nim uczucie tęsknoty, tak dojmującej, że sprawiającej niemal fizyczny ból. Szukał i nie znalazł dla siebie nic na obliczu ziemi. Odłożył lornetkę i spojrzał w górę. Tam, wysoko, płynęły chmury – strzępy srebrzystej bieli na tle błękitnej otchłani.

Uniósł szklankę mlecznobiałego napoju, ogrzanego słońcem, i pociągnął haust, delektując się jego słodkawym, lekko szczypiącym smakiem.

– Wszędzie dobrze, ale w domu najlepiej – powiedział głośno i oczyma wyobraźni ujrzał Paula Morgana, siedzącego na najwyższym piętrze niebosiężnej fortecy ze szkła i stali. Niby cierpliwy rybak pozarzucał on linki swych wędek z kontynentu na kontynent. I właśnie teraz jedna z nich, sięgająca Aten, zaczęła drgać, sygnalizując zdobycz. Dawid mógł sobie wyobrazić chłodną satysfakcję wuja, który spokojnie zaczynał obracać kołowrotkiem, ściągając go, stawiającego coraz słabszy opór, z powrotem, do miejsca jego przeznaczenia. No cóż – pomyślał Dawid – i tak jako oficer rezerwy będę mógł od czasu do czasu polatać na Impalach, a poza tym zawsze jeszcze pozostaje Lear, jeżeli tylko da się go wyrwać Barneyowi...

Dopił do końca ouzo i wstał energicznie, czując, jak tłący się w nim płomyk buntu raptownie przygasa. Zatrzymał taksówkę i kazał się zawieźć do swego hotelu, „Grande

Bretagne”, na placu Syndagma.

Jego bunt w rzeczy samej wygaszał tak szybko, że już tego samego dnia wieczorem miał za towarzysza przy obiedzie niejakiego Janosa Dinopoulosa, reprezentującego w Grecji interesy konsorcjum Morgana. Był to szczupły, pretensjonalny jegomość, o gładkiej, opalanej twarzy i czuprynie upstrzonej pasemkami siwych włosów, ubrany z wyszukaną elegancją.

Dinopoulos dobrał Dawidowi na towarzyszkę gwiazdę filmową, mającą w swym dorobku całą serię tandetnych włoskich westernów. Młoda dama mogła rzeczywiście zaimponować błyskiem ciemnych oczu i obwodem biustu, który wyraźnie zaczął falować szybciej, gdy Dinopoulos przedstawił jej Dawida jako diamentowego potentata z Afryki Południowej. Kopalnie diamentów stanowiły istotnie najbardziej pobudzające wyobraźnię, chociaż bynajmniej nie główne pole działania konsorcjum Morgana.

Obiad jedli w restauracji „Dionizos”, a ponieważ wieczór był ciepły, więc zasiedli na tarasie. Pomieszczenia restauracji zostały wykute w skalnym rdzeniu wzgórza Likabetos, Poniżej kościoła Św. Pawła.

Wychodząca z kościoła procesja wiernych rozciągnęła się w długi wąż na ścieżce schodzącej zygzakami w dół, rozjarzony płomykami świec migocących pomiędzy ciemnymi sylwetkami sosen, a ich śpiew niósł się słodko w nieruchomym, wieczornym powietrzu. Na wierzchołku odległego wzgórza dostojne kolumny Akropolis, oświetlone potężnymi reflektorami, jaśniały kremowym blaskiem, sprawiając wrażenie, że wyciosano je z kości słoniowej, a jeszcze dalej, na atramentowych wodach zatoki skrzyły się dziesiątki świateł amerykańskiej floty.

– Gdzież podziiała się świetność starożytnej Grecji – szepnęła aktorka, tak jak gdyby w tym pytaniu zawierała się refleksja nad całą przepastną otchłanią dziejów, kładąc jednocześnie upierścienioną dłoń na udzie Dawida, drugą zaś unosząc kieliszek czerwonego wina z Samos i rzucając mu spod długich, sztucznych rzęs spojrzenie pełne powagi i zadumy.

Potrafiła jednak być na tyle wstrzemięzliwa, że dopiero gdy skonsumowali główne danie, składające się z pikantnych mięs poowijanych w liście winne i pływających w kremowym, cytrynowym sosie, zasugerowała, że być może Dawid dałby się namówić na sfinansowanie jej następnego filmu.

– Znajdźmy sobie jakieś miejsce, gdzie moglibyśmy o tym swobodnie porozmawiać – szepnęła, dodając zaraz, że niewątpliwie najlepszym takim miejscem będzie jej apartament.

Janos Dinopoulos pożegnał ich uśmiechem i gestem dłoni wyrażającym całkowite zrozumienie. Gest ten rozdrażnił Dawida, uświadomił mu bowiem bezsens całego tego

epizodu.

Apartament gwiazdy był urządony z ostentacyjną elegancją; biel dywanów kontrastowała z czernią skórzanych obić. Dawid nalał sobie drinka, czekając na aktorkę, która poszła zmienić strój na bardziej stosowny do prowadzenia poważnych rozmów na tematy związane z finansami. Dawid pociągnął łyk, stwierdził, że mu nie smakuje, i odstawił szklankę.

Gwiazda wyszła z łazienki ubrana w wycięty głęboko z tyłu i z przodu peniuar z białej satyny, tak cienkiej, że wyraźnie przeświecała przez nią różowość jej ciała. Włosy miała rozpuszczone, tworzyły one teraz wielki, bezładny kopiec poskręcanych loczków i Dawid poczuł nagle, że ma tego wszystkiego powyżej dziurek w nosie.

– Przykro mi – powiedział – ale Janos żartował. Nie jestem milionerem i tak naprawdę, to wolę chłopców.

Wychodząc usłyszał trzask szklanki rozbijającej się o drzwi, które właśnie zdążył za sobą zamknąć.

Wróciwszy do hotelu, zamówił przez telefon kawę do pokoju, a potem, wiedziony jakimś impulsem, podniósł jeszcze raz słuchawkę i zamówił rozmowę z Cape Town. Nadspodziewanie szybko uzyskał połączenie, a dziewczęcy głos po drugiej stronie świadczył, iż jego właścicielka została wyrwana z głębokiego snu.

– Mitzi! – zawołał wesoło Dawid. – Jak się masz, mała?

– Gdzie jesteś? Czy już wróciłeś?

– Jestem w Atenach.

– W Atenach! O Boże! Jak ci leci?

– Fantastycznie.

– No jasne, domyślam się. Greckie dziewczyny smakują za każdym razem inaczej.

– A co u ciebie, Mitzi?

– Jestem zakochana, Dawidzie. Naprawdę zakochana. Mamy zamiar się pobrać. Czy to nie brzmi jak bajka?

Dawid poczuł ukłucie gniewu, wywołane radością brzmiącą w jej głosie.

– To wspaniale, mała. Czy ja go znam?

– Znasz. To Cecil Lawey. Jest jednym z księgowych u taty. Dawid przypomniał sobie dużego, bladego i powolnego faceta w okularach.

– Gratulacje – bąknął. Poczuł się jeszcze bardziej osamotniony. Był z dala od domu, gdzie życie toczyło się swoim torem, bez jego udziału.

– Chcesz z nim porozmawiać? – spytała Mitzi. – Mogę go obudzić.

Ze słuchawki zaczęły dobiegać niewyraźne pomruki, a potem zabrzmiał w niej głos Cecila.

– Koronkowa robota – skomplementował go Dawid, bo rzeczywiście pociągnięcie Cecila było nadzwyczaj sprytne. Udział Mitzi w konsorcjum Morgana był znacznie większy niż Dawida. Cecil wwiercił się w przebogate złożę ropy za pomocą najbardziej niezwyklego świdra.

– Dzięki, Dawidzie – wymamrotał Cecil. Speszenie wywołane przyłapaniem go na montowaniu swego rurociągu było wyraźnie słyszalne z odległości ośmiu tysięcy kilometrów.

– Posłuchaj, donżuanie. Jeżeli wyrządzisz tej dziewczynie jakąkolwiek krzywdę, przyjadę choćby z końca świata i własnoręcznie wypruję ci flaki. Jasne?

– Jasne – odparł Cecil niepewnym tonem. – Oddaję słuchawkę Mitzi.

Gawędzili jeszcze za kolejne pięćdziesiąt dolarów, zanim się pożegnali. Dawid wyciągnął się na łóżku, z rękami pod głową, i rozmyślał o swej pulchnej, kochliwej kuzynce i jej nowo znalezionym szczęściu. I nagle, w jednym ułamku sekundy podjął decyzję, której przytłumiona świadomość towarzyszyła mu właściwie już od tygodni, od momentu opuszczenia Hiszpanii. Podniósł jeszcze raz słuchawkę telefonu i poprosił o połączenie z recepcją.

– Przepraszam, że niepokoję pana o tak późnej porze – powiedział. – Bardzo proszę zarezerwować mi bilet na pierwszy lot do Izraela.

Niebo było przysłonięte delikatną, złocistą mgłą, która ciągnęła od pustyni. Olbrzymi Boeing 747 schodził do lądowania i Dawid mógł jeszcze przez chwilę oglądać ciemnozielony pejzaż sadów cytrusowych, zanim podrzucił go potężny wstrząs, wywołany zetknięciem kół podwozia z betonem lotniska. Port lotniczy Lod nie różnił się niczym od dziesiątków innych portów lotniczych na całym świecie, ale tuż poza nim rozpościerał się kraj niepodobny do żadnego z tych, które znał Dawid bądź też o nich słyszał. Tłum, z którym przyszło mu walczyć o miejsce w dużym, czarnym szerucie, czyli jednej z komunalnych taksówek, pooblepianych najrozmaitszymi plakietkami i poobwieszanych maskotkami, zachowywał się tak, że w zestawieniu z nim nawet Włosi mogliby uchodzić za świetlisty wzór dobrych manier.

Niemniej, kiedy był już w środku, Dawid poczuł się, jak gdyby brał udział w rodzinnej wycieczce. Pozostali pasażerowie zaczęli go natychmiast traktować jak jednego ze swoich. Siedzący po prawej stronie spadochroniarz w berecie i bluzie ze skrzydlatym emblematem i pistoletem maszynowym uzi, zawieszonym na szyi, poczęstował go papierosem. Zajmująca zaś miejsce po lewej duża, krzepka dziewczyna, również w mundurze koloru khaki i o ciemnych oczach gazeli, które spoglądając na Dawida stawały się jeszcze ciemniejsze, podzieliła się z nim chlebem z kulkami ze

smażonego grochu – wszechobecną w tym kraju pitą i falafelem – i zaczęła szlifować na nim swą kulawą angielszczyznę. Pasażerowie siedzący z przodu odwrócili się, by włączyć się do rozmowy, nie wyłączając kierowcy, który akcentował swoje opinie przeraźliwymi dźwiękami klaksonu, nie rezygnując przy tym z miotania straszliwych obelg pod adresem pieszych oraz innych kierowców.

Woń kwitnących pomarańczowych drzew zalegała ciężkim oparem nad nadmorskimi nizinami. Zapach ten miał raz na zawsze pozostać dla Dawida zapachem Izraela.

Później wjechali na górzysty obszar Judei i tu Dawid poczuł, że ogarnia go nostalgia, gdy tak posuwali się krętą drogą pośród sosnowych lasów i popielatych zboczy, gdzie kamienie połyskiwały w słońcu niby zbielałe kości, a srebrzyste drzewka oliwne skręcały się, jak gdyby zakrzepłe w agonii, na tarasach będących pomnikami trwającej sześć tysięcy lat, wyętej ludzkiej pracy.

Krajobraz ten kojarzył mu się bardzo mocno, chociaż nie do końca, z owymi tak bliskimi jego sercu wzgórzami południowego przyłądka, który był jego domem. Tutaj dostrzegał nieznanne kwiaty o szkarłatnych płatkach, wyglądające niby plamy krwi, i inne, złocistożółte, wystrzelające kępami na zboczach. W pewnym momencie poczuł niemal fizyczne ukłucie, gdy między drzewami mignęły białobrązowe skrzydła i rozpoznał ozdobioną czubem głowę afrykańskiego dudka – ptaka będącego symbolem domowych pieleszy.

Równocześnie zaczął odczuwać podniecenie, narastające w miarę jak kurczyła się odległość dzieląca go od kobiety, z którą miał się spotkać, oraz od czegoś jeszcze, co wciąż było dlań niewiadome. Do tego dochodziło jeszcze swoiste poczucie wspólnoty. Czuł się swojsko wśród młodych pasażerów, stłoczonych wraz z nim w taksówce.

– Spójrz! – zawołała dziewczyna, chwytając go za ramię i wskazując na wraki pojazdów wojskowych rozrzucone wzdłuż drogi, na wypalone karoserie ciężarówek i skorupy transporterów, pozostawione tak na pamiątkę tych, którzy zginęli na drodze do Jerozolimy. – Tutaj toczyły się walki!

– I będzie się jeszcze walczyć? – spytał Dawid.

– Oczywiście – odparła bez wahania.

– Dlaczego?

– Dlatego że jeżeli to jest dobre – wykonała szeroki gest, jak gdyby chciała objąć nim cały kraj wraz z jego mieszkańcami – to trzeba o to walczyć. A to jest nasze i jest dobre.

– Słusznie, mała – zgodził się z nią Dawid i uśmiechnęli się do siebie.

Wreszcie otworzył się przed nimi widok na Jerozolimę, z jej wysokimi blokami mieszkalnymi o prostych, surowych sylwetkach i ścianach licowanych kremowożółtym kamieniem, stojącymi na wzgórzach wokół potężnej, otoczonej murem cytadeli, będącej

sercem tego miasta.

Towarzystwo lotnicze zarezerwowało Dawidowi pokój w hotelu „Intercontinental”. Patrząc z okna na ogród Getszemani i dalej, na starą część miasta z jej wieżyczkami i zakosami ścieżek oraz złocistą kopułą meczetu Na Skale – to centrum chrześcijaństwa i judaizmu, święte miejsce muzułmanów, miejsce walk toczonych od dwóch tysiącleci, symbol przywróconego do życia starożytnego państwa – Dawid odczuwał coś w rodzaju czci i nabożnego lęku. Po raz pierwszy w życiu dawała o sobie znać ta część jego natury, którą dzielił z gospodarzami tej ziemi. Pomyślał, że zrobił słusznie, postanawiając tu przyjechać.

– Być może – powiedział głośno sam do siebie – to jest właśnie to miejsce, w którym zawiera się wszystko.

Było już późne popołudnie, kiedy Dawid zapłacił taksówkarzowi na parkingu przed uniwersytetem i poddał się rutynowej rewizji przy głównym wejściu. Rewizje osobiste były tutaj czymś tak nagminnym, że po krótkim czasie zaczynało się je traktować jako coś najzupełniej normalnego. Zdziwiło go, że uniwersytet robi wrażenie wymarłego, ale przypomniał sobie, że jest to piątek, dzień, w którym tętno życia słabnie przed nadchodzącym szabatem.

Główny dziedziniec uniwersytecki otaczały drzewa obsypane czerwonymi, rozkwitającymi właśnie pąkami, a pośrodku element dekoracyjny stanowiła płytka sadzawka. Dawid przeciął dziedziniec i wszedł do budynku administracji. Stojący za pulpitem portier właśnie zbierał się do wyjścia, lecz Dawid zdążył go jeszcze zapytać o Debore.

– Panna Mordechaj... – powtórzył portier, przeglądając spis nazwisk. – Jest. Wydział anglistyki. Gmach Lautermana, drugie piętro.

Wskazał na kilka budynków widocznych przez oszklone drzwi.

– Pójdzie pan prosto. To tamten gmach, trzeci po prawej.

Debora nie skończyła jeszcze zajęć ze studentami. Dawid zszedł na dół i przysiadł na balustradzie tarasu przed budynkiem, w ciepłych promieniach zachodzącego słońca. Nagle chłodny dreszcz niepewności przebiegł mu po grzbiecie. Po raz pierwszy od opuszczenia Aten przyszła mu do głowy myśl, że być może nie ma powodu, by oczekiwać serdecznego przyjęcia ze strony Debory. Nawet teraz, patrząc na wszystko z pewnej perspektywy, nie bardzo potrafił ocenić swoje postępowanie wobec niej. Samokrytycyzm nie był sztuką, którą Dawid zwykł był praktykować; zresztą ze względu na swoją męską urodę oraz majątek nieczęsto bywał do tego zmuszany. Obecnie musiał dopuścić swoiście nową i nieprzyjemną możliwość, iż nie jest wykluczone, że istotnie

zachował się wobec niej jak rozpuszczony dzieciak. Te niemiłe rozmyślania przerwał stukot licznych kroków i gwar rozmów. Grupa studentów i studentek wyszła z budynku. Większość niosła książki, przyciskając je do piersi, a prawie każda z dziewcząt przechodząc obrzucała go krótkim, oceniającym spojrzeniem.

Upłynęła jeszcze chwila, zanim ukazała się Debora. Niosła książki pod pachą, a z ramienia zwisała jej wyplatana z rzemieni torba. Włosy miała ściągnięte skromnie do tyłu i upięte na karku, na jej twarzy nie było śladu makijażu, za to ubrana była w sukienkę z materiału w duże, pomarańczowe wzory, a na gołych stopach miała skórzane sandały. Prowadziła ożywioną rozmowę z dwoma towarzyszącymi jej studentami i zauważyła Dawida dopiero w momencie, gdy zsunął się z balustrady. Wówczas stanęła i zastygła w owej osobliwej pozie, którą Dawid znał już ze sklepu na przedmieściu Saragossy.

Dawid stał również, zaskoczony swoim fatalnym samopoczuciem. Miał wrażenie, że ręce i nogi urosły mu nagle do monstrualnych rozmiarów. Wreszcie uśmiechnął się i wzruszył ramionami, dając tym wyraz swemu speszeniu i bezradności.

– Jak się masz – odezwał się, a własny głos zabrzmiał mu obco i chropawo.

Debora drgnęła i w pierwszym odruchu usiłowała przygładzić palcami niesforne pasemka włosów na skroniach, w czym przeszkadzały jej trzymane pod pachą książki.

– Dawid... – powiedziała cicho i zrobiła krok w jego kierunku, lecz zatrzymała się i popatrzyła na towarzyszących jej studentów. Ci w lot zrozumieli niezręczność zaistniałej sytuacji i natychmiast odeszli.

– Dawid – powtórzyła i na jej twarzy odmalował się wyraz skrajnej desperacji. – O Boże, a ja jestem zupełnie nie umalowana!

Dawid roześmiał się z wyraźną ulgą i ruszył ku niej z otwartymi ramionami, ona zaś wpadła w nie, przez chwilę szamotała się z torbą i z książkami i dopiero gdy odrzuciła wszystko na bok, mogli się wreszcie objąć.

– Dawid – szepnęła, obejmując go mocno za szyję. – Ty okrutniku. Czemu tak długo zwlekałeś? Prawie przestałam już wierzyć, że przyjedziesz.

Debora miała skuter, który prowadziła z taką brawurą, że budziła przestraszonych nawet wśród jerozolimskich taksówkarzy, słynących – jak wiadomo – ze stalowych nerwów i pogardy dla wszelkich niebezpieczeństw.

Pochylony na tylnym siedzeniu skutera Dawid obejmował kurczowo jej kibić i próbował słabo protestować, gdy przecinała oś jezdni i wyprzedzała strumień samochodów, lawirując między pojazdami jadącymi z przeciwnej strony.

– Jestem szczęśliwa! – rzuciła mu przez ramię.

– To wspaniale. Pożyjmy więc może jeszcze trochę, żeby się sobą nacieszyć.

– Joe będzie zaskoczony, kiedy cię zobaczy.

- Jeżeli w ogóle dojedziemy na miejsce.
- Co się stało z twoimi nerwami?
- Wytrzymałyby wszystko, tylko nie taką jazdę.

Ulica wijąc się zaczęła schodzić w dolinę Ain Karem. Debora brała zakręty tak, jak gdyby siedziała za sterami Mirage'a. Zarazem przypomniała sobie o swoich obowiązkach przewodnika.

– To jest klasztor wzniesiony przy Źródle Marii, w miejscu, gdzie spotkała matkę Jana Chrzciciela, jak głosi tradycja chrześcijańska, w której wszak jesteś ekspertem.

– Daj spokój z historią. Uważaj na autobus, tam, za zakrętem!

Podmiejskie osiedle zdawało się nie mieć końca; ciągnęło się wśród drzew oliwnych, wtulone w zbocza wzgórz, ze swymi kościołami, klasztorami i ogrodami okolonymi murowanymi płotami – uroczy obrazek, zwieńczony wysokimi sylwetkami budynków nowoczesnej Jerozolimy, rysującymi się na tle nieba.

Z głównej ulicy Debora skręciła w wąską alejkę biegnącą między nadgryzionymi zębem czasu kamiennymi murami i po chwili zahamowała przed masywną, żelazną bramą.

– Jesteśmy w domu – powiedziała. Wprowadziła skuter do niewielkiego budynku przy bramie, zamknęła starannie drzwi na klucz i otworzyła boczną furtkę, ukrytą w załomie muru.

Weszli do dużego ogrodu. Od tej strony mur był pokryty nie wyrównaną warstwą tynku i pobielony wapnem. Wokół rosły drzewa oliwne o grubych, poskręcanych gałęziach, a po murze pięła się winna latorośl, wysuwając na zewnątrz gałązki ciężkie od formujących się już, zielonych gron.

– Bryg ma bzika na punkcie archeologii – powiedziała Debora, wskazując kolejno na greckie i rzymskie posągi stojące pomiędzy drzewami, na rozmaitego rodzaju amfory poustawiane pod murem i na starożytne kafelki mozaikowe, którymi wyłożona była dróżka prowadząca do domu. – Jest to oczywiste łamanie prawa, niemniej każde wolne parę dni spędza na grzebaniu w ziemi w miejscach mających przeszłość historyczną.

Poszli do domu i Debora zaprowadziła Dawida do obszernej kuchni, gdzie znajdowało się palenisko potężnych rozmiarów, przy którym nowoczesna kuchnia elektryczna wydawała się zupełnie nie na miejscu, niemniej miedziane garnki wypolerowane były do połysku, a z terakotowej, wypastowanej podłogi unosił się przyjemny, słodkawy zapach.

Matka Debory była wysoką, smukłą kobietą, spokojną i łagodną, a wyglądała tak, że mogłaby uchodzić za jej starszą siostrę. Podobieństwo między matką i córką było uderzające i gdy witała się z nimi, Dawid z zadowoleniem pomyślał, że tak właśnie

będzie po latach wyglądać Debora. Został przedstawiony matce, przy czym Debora oznajmiła, że będzie gościem na kolacji, czego Dawid do tej pory w ogóle nie brał pod uwagę.

– Bardzo dziękuję, ale muszę odmówić – zaprotestował szybko, wiedząc, że piątkowy wieczór jest szczególną porą w każdym żydowskim domu. – Nie chciałbym wprowadzać zamieszania swoją obecnością.

– Nie wprowadzisz żadnego zamieszania. Będzie nam bardzo miło – stwierdziła Debora. – W tym domu bywa większość kolegów Joego z jego eskadry i bardzo to sobie cenimy.

Debora wręczyła Dawidowi puszkę piwa „Goldstar” i poszli na taras, gdzie siedzieli i rozmawiali do momentu, gdy zjawił się jej ojciec. Wszedł, jak poprzednio oni, przez boczną furtkę, schylając się, by nie zawadzić głową o kamienne nadproże, i natychmiast gdy znalazł się w ogrodzie, zdjął z głowy wojskową czapkę.

Jego mundur był dosyć niedbale skrojony, do tego bluzę miał rozpiętą pod szyją, a na kieszeni na piersi widniały naszyte insygnia, wskazujące na stopień, oraz rozpostarte skrzydła. Był lekko przygarbiony, prawdopodobnie wskutek dopasowywania swego dużego tułowia do szczupłych rozmiarów kabiny myśliwca. Jego czaszka, okolona jak u mnicha wianuszkami włosów, była opalona, a spod sterczących zadzierzyscie wąsów połyskiwał złoty ząb. Nos miał bardzo wydatny i zakrzywiony, iście godny biblijnego wojownika, oczy zaś ciemne i z takimi samymi złocistymi iskierkami jak u Debory. W sumie swym wyglądem i postawą budził taki respekt, że Dawid natychmiast poderwał się, by ucisnąć wyciągniętą doń rękę i w sposób niejako całkowicie naturalny odpowiedział na powitanie po wojskowemu, tytułując go stopniem.

Jednym rzutem oka Bryg poddał Dawida szybkiej, lecz szczegółowej lustracji, niemniej wynikającą z niej ocenę zachował dla siebie, nie okazując ani sympatii, ani też cienia dezaprobaty.

Później Dawid miał się dowiedzieć, że jego przydomek Bryg był skrótem przezwiska The Brigand, czyli brygant albo zbój, jakie Anglicy nadali mu jeszcze przed rokiem 1948, kiedy zajmował się szmuglowaniem samolotów wojskowych i broni do Palestyny, dla żydowskiej organizacji o nazwie Hagana. Wszyscy, nie wyłączając jego własnych dzieci, nazywali go Bryg i tylko żona używała jego właściwego imienia – Joszua.

– Dawid zje z nami kolację – oznajmiła mu Debora.

– Bądź więc naszym gościem – odparł Bryg, po czym zaczął witać się z żoną i córką, a było to powitanie bardzo serdeczne i radosne, jako że zjawił się w domu po raz pierwszy od poprzedniego szabatu, po tygodniu spędzonym w bazach lotniczych

i punktach dowodzenia rozsianych gęsto po całym kraju.

Wkrótce potem zjawił się Joe, również w mundurze, z rozpiętą pod szyją letnią bluzą koloru khaki. Kiedy ujrzał Dawida, znikła gdzieś jego powolność, rzucił się do niego i zamknął w swoim niedźwiedzim uścisku, zwracając się jednocześnie nad jego ramieniem do Debory:

– No i co, czy nie miałem racji?

– Joe wciąż twierdził, że przyjedziesz – wyjaśniła Debora.

– Wygląda na to, że tylko ja jeden o tym nie wiedziałem – roześmiał się Dawid.

Piętnaście osób zasiadło do posiłku przy wielkim, podłużnym stole. Światło świec odbijało się refleksami od politurowanego, gładkiego blatu i srebrnych, szabatowych kielichów. Bryg odmówił krótką modlitwę, przy czym atlasowa i haftowana złotem jarmułka wydawała się jakby nie na miejscu na jego niezbyt foremnej, łysej głowie. Następnie własnoręcznie napełnił winem wszystkie kielichy, mamrocząc podczas tej czynności słowa pozdrowienia pod adresem ich właścicieli. Obok Joego siedziała Hanna, która pozdrowiła Dawida z wyraźną rezerwą. Dalsze miejsca zajmowali dwaj bracia gospodarza wraz z żonami, dziećmi i wnukami. Przy stole zapanował gwar, jako że dzieci domagały się na równi z rodzicami, by ich słuchano, a rozmowa toczyła się na przemian to po hebrajsku, to po angielsku. Osobliwe potrawy miały ostry, korzenny smak, lecz wino było jak na gust Dawida zbyt słodkie. W każdym razie Dawid czuł się dobrze, siedząc cicho obok Debory i mając poczucie przynależności do tej radosnej grupy. Wzdrygnął się, kiedy jeden z kuzynów Debory, siedzący obok niej, przechylił się w jego stronę, by nawiązać z nim rozmowę.

– To wszystko musi być pewnie dość trudne do zniesienia – pierwszy dzień w kraju tak odmiennym od innych jak Izrael, kiedy nie rozumie się hebrajskiego, a do tego jeszcze nie jest się Żydem...

Słowa te nie były w zamierzeniu nieuprzejme, niemniej wszystkie rozmowy ucichły jak nożem uciął, a Bryg spojrział bystro, marszcząc brwi, świadomy nietaktu popełnionego wobec jednego z gości przy jego stole.

Dawid nie spojrział na Debore, ale czuł, że ona patrzy na niego, tak jak gdyby bardzo liczyła na właściwą odpowiedź z jego strony, i naraz pomyślał o tym, jak to trzy zaprzeczenia kładą kres każdej sprawie – w Nowym Testamencie, w Prawie islamskim i być może również w Prawie Mojżeszowym. Nie chciał zostać wykluczony z tego stadła, wyłączony spomiędzy tych ludzi. Nie chciał być znowu samotny. Było mu tutaj dobrze. Uśmiechnął się do kuzyna i potrząsnął głową.

– To jest dość szokujące, owszem. Ale nie aż tak, jak mogłoby się zdawać. Rozumiem hebrajski, mimo że nie mówię nim całkiem swobodnie. A poza tym – ja także

jestem Żydem.

Debora odetchnęła z ulgą i zadowoleniem i wymieniła szybkie spojrzenia z Joem.

– Żydem? – wtrącił się Bryg. – Nie wyglądasz na Żyda.

Dawid zaczął mu objaśniać swój rodowód, a kiedy skończył, Bryg kiwnął potakująco głową i jak gdyby nieco się odprężył.

– A jeszcze poza tym Dawid jest również pilotem – dodała dumnie Debora.

Na tę wiadomość wąsy Bryga najeżyły się, tak że musiał przygłaskać je chusteczką, podczas której to operacji nie spuszczał z Dawida badawczego spojrzenia.

– Ile godzin w powietrzu? – spytał krótko.

– Dwanaście tysięcy, prawie tysiąc na odrzutowcach.

– Jakich odrzutowcach?

– Na Mirage'ach.

– Mirage'ach! – powtórzył Bryg i jego złoty ząb błysnął dyskretnie spod wąsa.

– Jaki dywizjon?

– Kobra.

– Dywizjon Rastusa Naude? – spytał Bryg, spoglądając z ożywieniem na Dawida.

– Zna pan Rastusa? – zdziwił się Dawid.

– Sprowadziłem tu razem pierwsze Spitfire'y z Czechosłowacji, jeszcze w czterdziestym ósmym roku. Nazywaliśmy go wtedy Ben Jok – Syn Poganina. Jak on się ma teraz? Musiał się mocno postarzeć. Już wtedy nie był zbyt młody.

– Jest tak samo sprawny jak zawsze – odparł Dawid dyplomatycznie.

– No tak, jeżeli Rastus uczył cię latać, to możesz być rzeczywiście nie najgorszy – stwierdził Bryg.

Izraelskie siły powietrzne z zasady nie przyjmowały pilotów obcej narodowości, niemniej tutaj Bryg miał przed sobą Żyda, który w dodatku zdawał się mieć wszystkie cechy pilota myśliwskiego pierwszej klasy. Wyczuwał w nim ów animusz wsparty potężną dozą drapieżnej przebojowości, który inny wytrawny znawca ludzkich charakterów, Paul Morgan, również dostrzegał i cenił tak wysoko. Jeżeli Bryg nie mylił się w swej ocenie, a zdarzało mu się to niezwykle rzadko, to miał tu do czynienia ze zgoła wyjątkowym przypadkiem. Jeszcze raz przyjrzał się siedzącemu naprzeciwko młodemu człowiekowi oświetlonemu żółtawym światłem świec, jego oczom spoglądającym bystro, lecz spokojnie, jak gdyby przeszukiwały jakiś odległy horyzont. Były to oczy myśliwego, jak oczy wszystkich jego pilotów.

Wytrenowanie pilota myśliwca przechwytyjącego kosztowało lata pracy i blisko milion dolarów. Czas i pieniądze były czynnikami o podstawowym znaczeniu dla tego kraju, teraz, gdy musiał walczyć o czysto fizyczne przetrwanie. Nie należało więc

trzymać się sztywno wszystkich reguł.

Wziął butelkę i troskliwie napełnił winem kielich Dawida. Będę musiał zatelefonować do Rastusa – powiedział sobie w duchu – i dowiedzieć się czegoś więcej o tym chłopaku.

Debora obserwowała ojca, gdy ten wypytywał dalej Dawida o powody jego przyjazdu do Izraela i o dalsze plany. Wiedziała dokładnie, jakimi drogami będą jego myśli. Powody, dla których zaprosiła Dawida na kolację i przedstawiła go ojcu, były dosyć przewrotne i dokładnie wykalkulowane.

Skierowała uwagę z powrotem na Dawida. Gdy tak przypatrywała mu się z ukosa, coś gorącego zaczynało jej pulsować w samym dole brzucha, a po rękach, od ramion w dół, przebiegł dreszcz.

Tak, ty dziarski ogierze – pomyślała zadowolona – nie będzie ci łatwo wyrwać się stąd. Tym razem ja gram, i to o całą stawkę. A teraz jeszcze masz na sobie Bryga.

Uniosła kielich, zachęciła Dawida, by zrobił to samo, i uśmiechnęła się doń znad srebrnej krawędzi. – Dostaniesz dokładnie to, za czym gonisz, ale przy dźwięku trąb i dzwonek – powiedziała doń w duchu, a na głos:

– Lechaim! Na zdrowie!

– Lechaim – powtórzył Dawid.

Tym razem nie wywiniesz mi się tak łatwo – pomyślał, patrząc jej w oczy, w których światło świec rozpałało złociste iskierki. Zdobędę cię, moja piękna kruczowłosa, bez względu na to, ile będziesz kosztować wysiłku i czasu.

Telefon przy łóżku obudził Dawida o świcie. Głos Bryga brzmiał rzeško i ostro, jak gdyby właśnie wykonał wszystkie działania przewidziane na dzień dzisiejszy.

– Jeżeli nie masz na dziś żadnych takich planów, które nie dadzą się przełożyć, to chciałbym zabrać cię w pewne interesujące miejsce.

– Tak jest – odparł służbiście Dawid, nieco wytracony z równowagi.

– Zabiorę cię z hotelu za czterdzieści pięć minut, tak że zdążysz jeszcze zjeść śniadanie. Czekaj w hallu.

Bryg siedział za kierownicą małego samochodu osobowego pozbawionego wszelkich firmowych znaków i mającego cywilne numery rejestracyjne. Prowadził szybko i bardzo sprawnie. Dawid podziwiał szybkość jego reakcji i koordynację ruchów – przecież Bryg musiał być już sporo po pięćdziesiątce, a w pojęciu Dawida był to wiek niemal starczy, o którym on sam myślał z szacunkiem i trwogą.

Jechali główną autostradą, prowadzącą do Tel Awiwu. Bryg zdecydował się wreszcie przerwać trwające dotąd milczenie.

– Wczoraj wieczorem rozmawiałem z twoim byłym dowódcą. Był zaskoczony, kiedy dowiedział się, że jesteś tutaj. Powiedział, że przed twoim odejściem proponował ci awans...

– To była próba przekupstwa – wtrącił Dawid.

Bryg skinął głową i kontynuował swój wywód. Dawid słuchał przyglądając się jednocześnie krajobrazowi, który zmienił się gwałtownie, gdy zjechali ze wzgórz i skręcili na południe. Samochód sunął teraz lekko pofałdowaną niziną w kierunku Beer Szewa i pustyni.

– Wiozę cię do bazy lotniczej i muszę powiedzieć, że czyniąc to łamię wszystkie regulaminy. Rastus zapewnił mnie, że potrafiś latać, ale ja chcę się osobiście o tym przekonać.

Dawid spojrzał na niego z ożywieniem.

– Będziemy latać? – spytał i ogarnęło go przyjemne podniecenie, kiedy Bryg przytaknął.

– Jesteśmy w stanie wojny, więc będzie to lot bojowy, oczywiście wbrew wszelkim regulaminom. Jak zresztą się przekonasz, nie dbamy tutaj zbyt o regulaminy.

Bryg mówił dalej, wykładając Dawidowi swoje osobiste poglądy na temat Izraela, toczonych przezeń walki i jego szans na zwycięstwo. Dawidowi zapadały w pamięć jego osobliwie brzmiące, poszczególne sformułowania.

– Budujemy państwo. Krew, którą zmuszeni byliśmy nasaczyć jego fundamenty, ogromnieje wzmocniła...

– Nie chcemy mieć tutaj jedynie sanktuarium dla zabiedzonych i zdeprimowanych Żydów z całego świata. Potrzebujemy także ludzi mocnych i energicznych...

– Są nas trzy miliony wobec stu pięćdziesięciu milionów wrogów, zdecydowanych za wszelką cenę zmierzać do naszego unicestwienia...

– Jeżeli oni przegrają bitwę, stracą jedynie parę kilometrów pustyni; jeżeli my przegramy choćby jedną, przestaniemy istnieć...

– Będziemy musieli jeszcze raz dać im baty. Poprzednich nie przyjęli do wiadomości. Twierdzą, że w roku czterdziestym ósmym mieli złą amunicję. Po Wojnie Sueskiej przywrócono stare linie graniczne, tak że nic nie stracili, a w sześćdziesiątym siódmym zostali wedle swej opinii zdradziecko zaskoczeni. Muszą dostać jeszcze jedno lanie, zanim zostawią nas w spokoju...

Mówił to wszystko tak, jak się mówi do przyjaciela bądź sojusznika. Dawid poczuł się miło polechtany tym dowodem zaufania, a do tego radowała go perspektywa latania.

Plantacja drzew eukaliptusowych ciągnęła się wzdłuż drogi, niby kurtyna, zasłaniając szczerze krajobraz. Bryg zwolnił i podjechał do bramy w ogrodzeniu z drutu

kolczastego, przy której widniała tablica z dwujęzycznym napisem: „Eksperymentalny Ośrodek Sadownictwa Chaima Weissmanna”.

Za bramą skręcili w boczną drogę wiodącą poprzez plantację i dojechali do drugiego ogrodu, z posterunkiem ukrytym wśród drzew.

Wartownik sprawdził pobieżnie dokumenty Bryga, którego niewątpliwie dobrze znał. Ruszyli dalej, wjeżdżając teraz między równe, pooddzielane miedzami łąny rozmaitych zbóż. Dawid rozpoznał owies, jęczmień, pszenicę, a także kukurydzę – wszystko wzrastało wspaniale w gorącym, wiosennym słońcu. Miedze pomiędzy poszczególnymi uprawami były to w gruncie rzeczy drogi, niezbyt szerokie, ale długie, o nawierzchni wylanej betonem o takiej samej barwie, jak otaczające je pola. W tej kratownicy wytyczonych jak pod sznurek, trzykilometrowych betonowych wstążek było coś nienaturalnego, jednak Dawidowi wydały się one znajome. Bryg dostrzegł jego zainteresowanie i przytaknął:

– Tak, to pasy startowe. Maskujemy się, żeby nie paść ofiarą takiej taktyki, jaką sami zastosowaliśmy w sześćdziesiątym siódmym.

Dawid rozważał to sobie, podczas gdy pędzili w stronę widniejącego w oddali gigantycznego betonowego silosa zbożowego. Na polach pracowały czerwone traktory, a spiralne smugi sztucznego deszczu, wyrzucane przez urządzenia nawadniające, skrzyły się w powietrzu.

Dojechali do silosa i Bryg wprowadził samochód przez szerokie wrota do przylegającego doń podłużnego budynku, wyglądającego jak zwykły budynek gospodarczy. Dawida zaskoczył widok samochodów terenowych i transportowych, zaparkowanych w równych rzędach na całej długości tej niezwyklej stodoły. Za ich pomocą można było przetransportować setki ludzi, a przecież dotychczas dostrzegł tu tylko garstkę traktorzystów.

Przy samym wejściu do silosa stali wartownicy w mundurach spadochroniarzy, a kiedy Bryg wprowadził Dawida do środka, ten nagle zorientował się, że wszystko, co wydawało się tutaj normalne, było jedynie kamuflażem. Znajdował się we wnętrzu potężnej, odpornej na bombardowanie, żelazobetonowej konstrukcji, wyposażonej we wszystkie skomplikowane urządzenia komunikacyjne i radarowe, stosowane w nowoczesnej bazie lotnictwa myśliwskiego. Była to w istocie kombinacja wieży kontrolnej z bazą mieszczącą cztery eskadry myśliwców Mirage, jak wyjaśnił krótko Bryg, gdy wszedłszy do windy zaczęli ze świstem jechać w dół.

Wyszedszy z windy, znaleźli się ponownie na wartowni. Tutaj jeszcze raz sprawdzano dokumenty, lecz dopiero wezwany specjalnie spadochroniarz w randze majora w rezultacie upartych żądań Bryga wyraził zgodę na przepuszczenie Dawida. Po

tych perypetiach Bryg poprowadził Dawida długim, klimatyzowanym i wyłożonym miękką matą korytarzem do szatni dla pilotów. Była bardzo schludna, wyposażona w szafki zamykane na klucz, wykładane glazurą prysznic oraz toalety i przypominała raczej szatnię jakiegoś klubu golfowego za miastem.

Bryg ocenił na oko, lecz dokładnie, sylwetkę Dawida i wydał polecenie, aby dostarczono dlań odpowiedni rynsztunek. Dyżurny kapral nie miał zbytnich kłopotów z dobraniem odzieży, butów, kombinezonu, rękawic i hełmu. Sam Bryg miał wszystko w swojej szafce i gdy się przebrał, obaj przeszli do pomieszczenia, w którym oczekiwali piloci gotowi do akcji. Ci unieśli głowy znad szachownic i gazet, a poznawszy Bryga wstawali, by mu zaszalutować, lecz mimo to atmosfera tutaj była swobodna i pozbawiona zbytniego formalizmu. Bryg rzucił jakąś żartobliwą uwagę i wszyscy roześmiali się, po czym poprowadził Dawida dalej, do pokoju odpraw.

W krótkich słowach, ale nie pomijając żadnego istotnego elementu, poinstruował Dawida odnośnie do czekającego ich lotu patrolowego, objaśnił mu procedurę komunikacji radiowej, podał symbole identyfikacyjne i jeszcze kilka istotnych szczegółów.

– Wszystko jasne? – zapytał na koniec, a gdy Dawid skinął głową, dodał: – Pamiętaj, co ci powiedziałem. Jesteśmy w stanie wojny. Wszystko, co napotkamy, a co nie należy do nas, musi zostać zniszczone. Do cna! Zrozumiałeś?

– Tak jest.

– Przez ostatnich parę tygodni panował spokój, ale wczoraj mieliśmy drobny kłopot w pobliżu Ein Jahaw. Jeden z naszych patroli granicznych znalazł się w tarapatach. Obecnie więc sytuacja jest niepewna.

Bryg wziął swój hełm i mapnik, po czym jeszcze raz zwrócił się w stronę Dawida i lekko pochylony wwiercił się w niego intensywnym spojrzeniem przenikliwych brązowozłocistych oczu.

– Dzisiaj wyjaśni się, jaki obrót przybierają sprawy. A kiedy wejdiesz na pułap czterdziestu tysięcy stóp, będziesz mógł ujrzeć cały ten kraj, od Rosz Hanikra do Suezu i od Góry Hermon po Elat, i przekonać się, jaki jest mały i jak bardzo wystawiony na ciosy wrogów, którzy go otaczają. Powiedziałeś, że szukasz czegoś, co byłoby warte zachodu. Chcę, żebyś sam zdecydował, czy stanie na straży losu trzech milionów ludzi nie jest ambitnym zajęciem dla prawdziwego mężczyzny.

Wsiedli do pojazdu napędzanego elektrycznym silnikiem i wjechali w długi tunel, prowadzący do bunkra usytuowanego na końcu jednego z ramion gwiazdy, której centrum stanowił silos. Sześć Mirage'ów stało tutaj w rzędzie – sześć smukłych i spiczastonosych maszyn, przycupniętych niby uwiązane na smyczy, lecz sprężone i w

każdej chwili gotowe do skoku drapieżne zwierzęta. Ich sylwetki wyglądały swojsko, jednak wrażenie pewnej obcości powodowały ich maskujące barwy – żółtawa, pustynna i brunatnozielona – a także niebieski wizerunek gwiazdy Dawida na kadłubach.

Bryg sygnował karty dwóch maszyn. Uśmiechnął się, wpisując na karcie Dawida pod numerem jego pseudonim: Ben Jok.

– Tak samo dobra nazwa jak każda inna – mruknął. – W tym kraju roi się wprost od pseudonimów.

Dawid usadowił się w ciasnej kabinie, mając uczucie, że oto wszedł do swego domu. Wszystko tutaj było mu doskonale znane i kiedy przystąpił do kontroli urządzeń, jego dłonie i palce poruszały się w gęstwinie cięgieł, przycisków i wyłączników szybko, płynnie i czule, niby dłonie sprawnego kochanka.

W niewielkim rozmiarach bunkrze grzmot turbin, nieznacznie tylko tłumiony przez zamontowane z tyłu perforowane płyty, rozsadzał bębny w uszach.

Bryg odwrócił głowę w jaskrawo pomalowanym hełmie i popatrzył z ukosa na Dawida. Uniósł pięść z zadartym kciukiem i Dawid odpowiedział mu tym samym gestem, a potem sięgnął w górę, by zasunąć przezroczystą kopułę kabiny. Z przodu stalowa ściana zaczęła się unosić szybko w górę, zgasły umieszczone nad nią czerwone lampy sygnalizacyjne i w ich miejsce zapaliły się zielone.

Nie było tu żadnego kołowania do pasów startowych – na ziemi należało przebywać jak najkrócej. Obie maszyny skrzydło w skrzydło potoczyły się prowadzącą ku górze rampą na zewnątrz bunkra w rażącą jasność słonecznego dnia. Znaleźli się na początku szarożółtej wstęgi pasa startowego. Dawid otworzył do końca przepustnicę i włączył dopalacze, czując poprzez miękką wykładzinę fotela, jak potężna moc wzbiera i eksploduje w głębi kadłuba maszyny. Pomknęli między żółtymi i zielonymi łanami zbóż, nabierając wciąż prędkości, by wreszcie wzbić się.

Znajomy ucisk we wnętrzościach, spiczasty dziób maszyny mierzący w nieskazitelną, błękitną kopułę nieba – gama wrażeń wynikających z pilotowania odrzutowego myśliwca wprawiła Dawida w tylekroć już przeżywany stan euforii.

Wyrównali na wysokości nieco poniżej czterdziestu tysięcy stóp i lecieli myszkującym lotem, zmieniając raz po raz wysokość i kurs. Dawid leciał za Brygiem, trzymając się tuż pod jego ogonem. Przymknął przepustnicę, zmniejszając moc do połowy. Jego ręce wykonywały wszystkie normalne podczas lotu czynności, a jednocześnie przybrana w hełm głowa obracała się niezmordowanie to w jedną, to w drugą stronę, gdy przeszukiwał wzrokiem otaczającą go przestrzeń, kładąc zarazem maszynę w lekkie skrety, by móc ogarnąć również martwe pole za plecami.

Powietrze było niezwykle czyste, przejrzyste jak kryształ, tak iż nawet najodleglesze

pasma górskie rysowały się ostro, lekko tylko zaniebieszczone wskutek odległości. Od północy wody Morza Śródziemnego srebrzyły się w blasku słońca, podczas gdy Jezioro Galilejskie miało delikatną barwę chłodnej zieleni, a dalej ku południowi Morze Martwe było jeszcze ciemniejsze, groźne w swoim zagłębieniu pośród umęczonej spiekotą pustyni. Kierując się na północ, przelecieli nad szczytami Karmelu i białymi plamkami zabudowań Hajfy z jej pomarańczowo-złocistymi plażami, przyozdobionymi delikatną koronką fal. Zmienili kurs i wkrótce mieli pod sobą wierzchołek góry Hermon, na której w wielu miejscach leżały jeszcze resztki śniegu, upodabiając ją do siwowłosej głowy starca. Teraz przymknęli jeszcze bardziej przepustnicę i powoli zaczęli schodzić na odpowiedni do patrolowania pułap dwudziestu tysięcy stóp.

Widoczny w dole pastelowy pejzaż z połaciami delikatnej zieleni urzekł Dawida, przyzwyczajonego do monotonnej sepii afrykańskiego buszu. Osiedla wieńczyły wierzchołki wzgórz, ich białe mury jaśniały na kształt diademów nad tarasowymi zboczami i płachtami uprawnych pól.

Skręcili na południe i polecili wzdłuż doliny Jordanu, nad spokojną, zielonkawą tonią wód Jeziora Genezaret, otoczonego gęstwiną palm daktylowych i troskliwie pielęgnowanymi polami kibuców. Zaczęli schodzić jeszcze niżej, w miarę jak krajobraz pod nimi stawał się coraz surowszy i wypływały od słonecznego żaru, a wzgórza, o zboczach poranych wyschniętymi korytami strumieni niby szponami gigantycznego drapieznika, coraz bardziej kamieniste.

Po lewej stronie piętrzyły się góry Pustyni Judejskiej. U ich podnóży Jerycho rozkwitało oazą zieleni wśród brudnorudego pustkowia, a przed sobą mieli teraz połyskującą powierzchnię Morza Martwego. Bryg zmniejszył jeszcze wysokość i lecieli teraz tak nisko, że podmuch mącił powierzchnię przesyconych solą wód.

Dawid usłyszał w słuchawkach głos Bryga:

– Nigdy nie będziesz leciał niżej niż w tej chwili: dwieście stóp poniżej poziomu morza.

Wspięli się znów w górę, przelatując nad zakładami przemysłowymi usytuowanymi nad morzem u jego południowego krańca, za którymi rozpościerały się ponownie górzyste pustkowia.

– Halo, Kaktus 2, tu Oaza – ponownie rozległ się głos w słuchawkach, lecz tym razem Dawid zidentyfikował hasło wywoławcze sieci dowodzenia. Wywołało ich bezpośrednio centrum dowodzenia sił powietrznych, ukryte na pewno w jakimś podziemnym bunkrze, a gdzie – tego Dawid nie miał się nigdy dowiedzieć. Ich pozycja na mapie sztabowej musiała być stale aktualizowana według danych napływających ze stacji radarowych.

– Halo, Oaza – odpowiedział Bryg, po czym wymiana zdań natychmiast przybrała tak nieformalny charakter, jak gdyby była to swobodna pogaworka dwóch starych przyjaciół, bo zresztą i tak właśnie było.

– Bryg, tu Motti. Z rejonu, gdzie się znajdujesz, otrzymaliśmy właśnie prośbę o wsparcie z powietrza – tu rozmówca Bryga podał szybko koordynaty. – Nasz zmotoryzowany patrol graniczny jest pod ogniem jakiegoś obcego, nie zidentyfikowanego myśliwca. Zobacz, co tam się dzieje, okay?

– Beseder, Motti, okay – odparł Bryg i przełączył radio na częstotliwość, na której mógł porozumiewać się z Dawidem.

– Kaktus 2, przechodzę na szybkość przechwytywania. Trzymaj się za mną – zakomunikował i obie maszyny, jakby zespolone niewidzialnym przegubem, wykonały zwrot, obierając nowy kurs.

– Nie ma sensu szukać go na radarze – stwierdził Bryg. – Musi być gdzieś nisko nad ziemią. Nie wyszperamy go wśród tych gór. Po prostu dobrze się rozglądaj.

– Beseder – rzucił Dawid, podchwytyjąc szybko zasłyszany przed chwilą zwrot. Zwrot ulubiony i nagminnie dający się słyszeć w kraju, w którym bardzo niewiele rzeczy i spraw było rzeczywiście „w porządku”.

Dawid pierwszy dostrzegł wąską smużkę czarnego dymu, która właśnie zaczęła wolno wznosić się prostą kreską z ziemi ku niebu, na tle błękitu horyzontu.

– Dym na ziemi – zameldował do umieszczonego w hełmie mikrofonu. – Na godzinie jedenastej, w dole.

Bryg przymrużył oczy i po chwili dojrzał dym u samego krańca swego pola widzenia. Uśmiechnął się. Tak, przynajmniej co do tego Rastus się nie mylił – ten chłopak ma wzrok jak jastrząb.

– Atakuję – rzucił krótko do mikrofonu.

Dawid potwierdził odbiór i włączył dopalacze. Gąbczasta tapicerka fotela miękko poddała się pod naciskiem jego pleców; odczuł gwałtowną zmianę stateczności maszyny, gdy Mirage z hukiem przekraczał barierę dźwięku.

Na prawo od słupa dymu coś błysnęło na moment na tle szarobrazowej ziemi. Dawid wyteżył wzrok i dojrzał przemykającą w dole małą, podłużną plamkę. Barwy maskujące sprawiały, że wrogi samolot wyglądał jak zjawą.

– Bandyta zawraca ku podstawie kolumny dymu – zameldował do mikrofonu.

– Widzę go – odpowiedział Bryg i przełączył radio na częstotliwość sieci dowodzenia.

– Halo, Oaza, mam intruza. Proszę o zezwolenie na atak – rzucił w eter. Decyzja o nawiązaniu walki musiała zostać podjęta na szczeblu dowodzenia. Odpowiedź była

beznamiętna i lakoniczna.

– Bryg, tu Motti. Załatw go.

W trakcie tej wymiany zdań obie maszyny mknęły w dół i szczegóły małego dramatu rozgrywającego się w dole objawiły się z całą wyrazistością.

Wzdłuż pyłnej, pogranicznej drogi stały trzy półgąsienicowe pojazdy patrolowe straży granicznej, niby trzy mrówki zagubione w bezmiarze pustyni.

Jeden z nich płonął. Ciężkie kłęby smolistego dymu wznosiły się ospale w niebo – on właśnie spełnił funkcję znaku nawigacyjnego. Na drodze leżały zwłoki żołnierza, z rozrzuconymi rękami i nogami. Ów widok człowieka, jak gdyby dosłownie pochwyconego i ciśniętego niedbale w objęcia śmierci, wywołał w Dawidzie dojmujące uczucie żalu i odrazy, jakiego po raz ostatni doznał na madryckiej corridzie.

Pojazdy stały na poboczu drogi, zatrzymane byle jak i porzucone. Dawid dostrzegał ludzi z ich załóg, przycupniętych wśród suchych krzaków i skałek. Niektórzy prowadzili ogień z broni ręcznej do napastnika, który zataczał łuk do kolejnego ataku.

Dawid po raz pierwszy widział maszynę tego typu. Jednak swego czasu studiował pilnie plansze identyfikacyjne z sylwetkami najróżniejszych samolotów i teraz rozpoznał ją natychmiast. Był to rosyjski Mig 17, należący do syryjskich sił powietrznych. Wysoko umieszczone stateczniki nie pozostawiały żadnej wątpliwości, a plamisty kamuflaż tracił z tej odległości wiele ze swego waloru, wobec odcinających się jaskrawo koncentrycznych pierścieni – czerwonego, białego i czarnego – wokół zielonego centrum, umieszczonych na krótkich, szerokich, skośnych skrzydłach i na kadłubie.

Mig dokończył zwrotu i wyrównał do kolejnego nalotu na porzucone pojazdy. Jego pilot skoncentrował uwagę na rozproszonych i kryjących się żołnierzach, zupełnie nieświadomy straszliwego zagrożenia.

Bryg zrównał się z nim i dokonał lekkiej korekty, tak, by znaleźć się na ogonie Miga, atakując w klasycznym stylu – z tyłu i od góry. Teraz Dawid nie podążył już za nim, lecz krążył w pewnej odległości za jego plecami, ubezpieczając go, gotów w każdej chwili do uderzenia na wypadek, gdyby pierwszy atak nie przyniósł rezultatu.

Syryjczyk otworzył ogień z działek i rozbłyśki wybuchów zaczęły migotać pomiędzy ludźmi i pojazdami. Kolejny transporter eksplodował, zionąc ogniem i dymem.

– Ty skurwysynie – wyszeptał Dawid, gdy po kolejnym zwrocie w kierunku Bryga zobaczył spustoszenie, jakie tam, w dole, Syryjczyk siał pośród jego braci. Po raz pierwszy pomyślał o tych ludziach właśnie w ten sposób, jako o swoich braciach, i ogarnął go zimny, zawzięty gniew pasterza, którego stado szarpie drapieznik.

Przez głowę przemknął mu werset psalmu: „I przypadł na nie Asyryjczyk, jako wilk przypada na owce”. Zaczął spontanicznie manipulować przy selektorze broni, po czym

jego dłoń zacisnęła się na profilowanym uchwycie drążka sterowego, a palec spoczął na spuście, który za przyciśnięciem zwalnicza wysunął się ze swojego zagłębienia. Dawid wlepił wzrok w celownik, który ożył i rozjarzył się delikatną, zielonkawą poświatą.

Dawid zorientował się, że Bryg pragnie zaatakować przeciwnika z możliwie najmniejszej odległości, ponieważ nie strzelał aż do chwili, kiedy jego Mirage zaczął wyprzedzać niezgrabnego i wolniejszego Miga. W momencie, gdy wiedział, że Bryg zaraz przyciśnie spust, zobaczył, że zarys skrzydeł Syryjczyka błyskawicznie zmienia się. W decydującym ułamku sekundy pilot Miga spostrzegł, że zagraża mu śmiertelne niebezpieczeństwo i zrobił jedyną sensowną rzecz, jaką mógł zrobić w takiej sytuacji. Wypuścił maksymalnie klapy i tracąc gwałtownie prędkość przewrócił się na skrzydło i zaczął ześlizgiwać się ku odległej o jakieś sto stóp powierzchni ziemi.

Bryg spóźnił się o mgnienie oka i wypuścił serię w chwili, gdy Syryjczyk zaczął opadać, uchylając się przed nią niby bokser przed potężnym ciosem. Ogniste smugi przemknęły ponad plamistym, piaskowobrunatnym kadłubem Miga, i oto Bryg miał go już za sobą, chybiwszy w stu procentach. Wspinał się teraz w górę po spirali, rozwścieczony niepowodzeniem.

Zorientowawszy się w manewrze Syryjczyka, Dawid zareagował nań w sposób czysto instynktowny. Zmniejszył moc i włączył hamulce pneumatyczne, by zmniejszyć nieco prędkość.

Mig zakręcał, stojąc wciąż na skrzydle, które zdawało się muskać szarą powierzchnię pustyni. Dawid zwolnił hamulce, by przywrócić skrzydłom nośność przed wykonaniem następnej ewolucji, po czym sam przewrócił się na skrzydło i zaczął krążyć za Syryjczykiem, balansując na granicy utraty stateczności.

Mig wykonywał jednak skręty o mniejszym promieniu, wolniejszy i zwrotniejszy. Dawid wciąż nie mógł uchwycić go w środek celownika; palec wskazujący jego prawej dłoni drętwiał, zagięty na spuście, lecz za każdym razem ciemna sylwetka Miga umykała w bok, a fluoryzujące nitki w centrum celownika odchyłały się tylko na moment, po czym wracały do poprzedniego położenia.

Krążąc wciąż, maszyny zaczęły zbliżać się do poszarpanej linii skalistych pagórków, pobrużdżonych i przeoranych wąwozami. Syryjczyk nie wznosił się, by przelecieć ponad nimi, lecz zręcznie niczym łasica wślizgnął się w jeden z wąwozów, w rozpaczliwej próbie umknięcia swemu prześladowcy.

Mirage nie był maszyną przystosowaną do latania w takich warunkach i Dawid czuł, iż maszyna oczekuje od niego włączenia dopalaczy, by wyrwać się w otwartą przestrzeń, ponad skaliste szczyty. Lecz to równałoby się zaniechaniu pogoni, a zawzięty gniew wciąż jeszcze tkwił chłodnym soptem w jego piersi.

Skierował nos Mirage'a w szczelinę wąwozu. Skalne ściany po obu stronach ocierały niemal o końce skrzydeł. Wąwóz zakręcał raptownie w prawo, Dawid rzucił maszynę na prawe skrzydło i zdołał utrzymać się w osi parowu, lecz prawie natychmiast wąwóz zakręcał znów w lewo. Z maksymalnego wychylenia do skrętu w prawo musiał przerzucić maszynę na lewe skrzydło – układ ostrzegający przed utratą ciągu zaczął mrugać na przemian złościście i czerwono, protestując przeciwko stawianiu maszynie wymagań przekraczających jej możliwości.

Na szczęście dla Dawida trzeciego zakrętu już nie było. Teraz znów widział przed sobą sylwetkę umykającego Miga. Jego pilot spojrzął w tył przez ramię i ujrzawszy, że prześladowca nie zaprzestał pogoni, że zbliża się doń wolno, lecz nieubłaganie, obniżył jeszcze bardziej lot, wciskając maszynę między zbiegające się ku dołowi chropowate ściany.

Powietrze w wąwozie było gorące i pełne zawirowań; Mirage uchylał się to w lewo, to w prawo, unosił i opadał, drżąc niczym dziki ptak, walczący, by wyrwać się z ciasnoty i unieść wysoko, niczym nie skrępowanym lotem. A tymczasem sylwetka Miga zaledwie znalazła się w pobliżu centrum celownika, uparcie umykała.

Wąwóz skręcił jeszcze raz i zaczął się stopniowo zwężać, kończąc się ostatecznie pochyłą ścianą zwieńczoną skalnym urwiskiem. Syryjczyk znalazł się w pułapce. Jedyne, co mógł zrobić, to wyrównać i wyrwać stromo do góry. Skały po bokach i z przodu odbierały mu teraz możliwość zrobienia jakiegokolwiek uniku.

Dawid pchnął hebel przepustnicy na pełny ciąg i włączył dopalacze. Potężna siła odrzutu pchnęła go gwałtownie do przodu i w górę, pod ogon przeciwnika.

Mikrosekundy śmiertelnej walki mijały powoli, jak godziny, podczas gdy sylwetka Miga wsuwała się opornie w centralne pole celownika. Wreszcie, gdy spiczasty nos Mirage'a zdawał się trącać tylne stery Miga, a Dawid poczuł wstrząsy spowodowane strumieniem gazów z jego dyszy, maszyna Syryjczyka wypełniła celownik bez reszty.

Dawid wcisnął spust do oporu i Mirage zakołysał się, wypluwając śmiercionośną serię prosto w kadłub wrogiej maszyny. Dwie strugi – jedna ognista, druga pustych łusek – śmignęły w powietrzu.

Kadłub Miga wzdał się i rozpadł w chmurze srebrzystego dymu prześwietlonego błyskiem eksplozji. Wybuch wyrzucił pilota w powietrze i Dawid ujrzał na moment jego bezwładne ciało, z rozrzuconymi szeroko rękami i nogami, w hełmie na głowie i w kombinezonie wydętym podmuchem. Natychmiast zresztą zniknęło ono z jego pola widzenia, za ogonem Mirage'a, który wzbijał się wyżej i wyżej, ponad grzbiety poszarpanych krawędzi wąwozu i dalej, w bezkresną przestrzeń niebios.

Na granicznej drodze żołnierze krążyli między pojazdami, opatrywali rannych

i owijali zwłoki zabitego. Wszyscy jednak przerwali swe czynności i unieśli głowy w górę, widząc Dawida powracającego na małej wysokości wzdłuż drogi. Leciał tak nisko, że mógł dokładnie widzieć ich twarze. Były one ogorzałe, u paru pokryte zarostem, mocne i młode.

Widział otwarte usta i uniesione ręce – pozdrawiali go i przesyłali mu podziękowanie.

Moi bracia – pomyślał. Wciąż był jak w transie, pobudzony dawką adrenaliny, którą emocja śmiertelnych zapasów wsączyła mu do żył. Uśmiechnął się dziarsko do stojących w dole i odpowiedział im gestem uniesionej dłoni, by zaraz wzbić się w górę, gdzie czekając na niego krążył Bryg.

Po locie w pełnym słońcu elektryczne oświetlenie bunkra wydawało się żółte i przytłumione. Jakiś inżynier pomógł Dawidowi wydostać się z kabiny, podczas gdy podlegli mu mechanicy przystąpili natychmiast do uzupełniania paliwa i zapasu amunicji. Był to jeden z kunsztów o podstawowym znaczeniu w tych skromnych liczbowo siłach powietrznych – umiejętność przygotowania samolotu do ponownego startu w ułamku normalnie potrzebnego na to czasu. Dzięki temu w razie potrzeby maszyna mogła znaleźć się z powrotem na polu walki na długo przed samolotami przeciwnika.

Krocząc sztywno, Dawid zbliżył się do miejsca, gdzie Bryg rozmawiał z kontrolerem nadzorującym ich lot. Bryg trzymał lśniący hełm pod łokciem, przyciskając go do boku, i ściągał właśnie rękawice, lecz gdy Dawid zbliżył się, odwrócił się ku niemu i uśmiechnął, a jego złoty ząb załśnił poprzez sitowie wąsów. Dłonią zwiniętą w kulak uderzył Dawida lekko w ramię.

– Ken, tak! – stwierdził generał-major Joszua Mordechaj. – Teraz już wiem na pewno, że jesteś pilotem.

Tego dnia Dawid zjawił się bardzo późno, by zabrać Deborę na obiad, lecz ona wiedziała już od ojca, co było tego przyczyną.

Wybrali małą restaurację „Select”, mieszczącą się za Wieżą Dawida, w Bramie Jafskiej w starej części miasta. Sądząc po skromnie urządzonej wnętrze, ozdobionym jedynie grubymi linami przymocowanymi do ścian, Dawid nie spodziewał się, że jedzenie, które arabski właściciel przyniósł im już po krótkiej chwili, będzie tak wyśmienite. A były to kurczaki musaka z orzechami i korzennymi przyprawami, ułożone na grubej warstwie kuskus.

Jedli nie zamieniając prawie słowa. Debora rozumiała nastrój Dawida i pragnęła go uszanować. Przeżywał ów charakterystyczny rodzaj zapaści psychicznej po stoczonej

walce, swoisty katzenjammer po okresie uniesienia przeżywanego na fali adrenaliny szoku. Jednak smakowite jedzenie i ciężkie wino z Karmelu sprawiły, że zaczął się powoli rozluźniać, tak że już przy kawie, mocno pachnącej kardamonem i podanej w naczynkach wielkości naparstka, Debora uznała, że może spróbować nawiązać rozmowę.

– Powiedz mi, proszę, co się dziś wydarzyło.

– Zabiłem człowieka.

Debora odstawiła kawę i z powagą przypatrywała się jego twarzy. Zaczął mówić, opowiadać jej o szczegółach – o pogoni, o momencie wypuszczenia śmiertelnej serii i o tym, co zobaczył.

– Wtedy odczuwałem jedynie satysfakcję, zadowolenie z tego, co zrobiłem. Wiedziałem, że to było słuszne – dokończył ze smutkiem w głosie.

– A teraz? Co czujesz teraz?

– Teraz jest mi żal. Żal, że musiałem to zrobić.

– Mój ojciec, który zawsze był żołnierzem, twierdzi, iż tylko ci, którzy bezpośrednio biorą udział w wojnie, naprawdę potrafią ją nienawidzić.

Dawid kiwnął potakująco głową.

– To prawda. Teraz to rozumiem. Kocham latanie, ale nienawidzę zabijania.

Ponownie zapadło milczenie. Oboje rozważali swoje indywidualne poglądy na kwestię wojny, starając się znaleźć słowa, w których najlepiej dałoby się je wyrazić. Debora pierwsza przerwała ciszę.

– A jednak wojna jest konieczna. Musimy walczyć, nie mamy innego wyjścia.

– Tak, musimy, skoro mamy morze za plecami, a z przodu arabski nóż na gardle.

– Mówisz jak Izraelczyk – zauważyła Debora, spoglądając nań z uwagą.

– Dzisiaj podjąłem decyzję, a raczej wymusił ją na mnie twój ojciec. Dał mi trzy tygodnie na podszlifowanie hebrajskiego i dopełnienie formalności imigracyjnych.

– A co potem?

– Wcielenie do lotnictwa. I tu jest jedyny punkt, co do którego postawiłem na swoim. Uparłem się, by przyznano mi stopień równorzędny temu, jaki otrzymałbym teraz u siebie w kraju. Twój ojciec wyklócał się jak jarmarczny handlarz, ale miałem go w ręku i on o tym wiedział. Wreszcie poddał się. Otrzymam stopień majora, który zostanie ostatecznie zatwierdzony po upływie roku.

– To wspaniale! Będziesz jednym z najmłodszych majorów w lotnictwie.

– Owszem – zgodził się Dawid – a po zapłaceniu tutejszych podatków będę miał z tego tylko niewiele mniej, niż zarabia kierowca autobusu u mnie w kraju.

– To nie szkodzi – Debora po raz pierwszy uśmiechnęła się. – Pomogę ci

w hebrajskim.

– Chciałem właśnie pomówić z tobą o tym – odpowiedział Dawid, rewanżując się jej uśmiechem. – Chodź, pójdziemy stąd. Trochę trudno usiedzieć mi w miejscu i mam ochotę połączyć.

Ruszyli spacerem przez chrześcijański kwartał. Sklepiki wychodziły tu na ulicę, zavalone po granice możliwości jaskrawą, egzotyczną odzieżą, wyrobami ze skóry i biżuterią, a woń korzeni, potraw, ścieków i ludzkiego potu biła w nozdrza w wąskich przejściach, pod łukami spinającymi ściany przeciwległych domów.

Debora zaprowadziła Dawida do jednego z antykwarycznych sklepów na via Dolorosa. Właściciel powitał ich, składając się niemal we czworo w ukłonach i wylewnie manifestując swą radość.

– Ach, panna Mordechaj, jakże miło! A jak się miewa wielce szanowny ojciec pani? – dopytywał się, po czym, nie czekając na odpowiedź, pospieszył do pomieszczenia na zapleczu, by przyrządzić dla nich kawę.

– On jest jednym z półlojalnych Palestyńczyków, a przy tym panicznie lęka się Bryga – wyjaśniła Dawidowi Debora. Poszperała wśród biżuterii i wydobyła sześcioramienne gwiazdę Dawida, z lanego złota, na cienkim, również złotym łańcuszku. Choć Dawid nie zwykł nosić wisiorków ani bransoletek, schylił głowę i gwiazda zawisła mu na szyi, zanurzając się w czarnym zaroście na piersi.

– To jest jedyne odznaczenie, jakie mogłeś tu otrzymać. Nie ma u nas zwyczaju przyznawania medali – powiedziała, śmiejąc się. – Jak by nie było, witaj w Izraelu.

– Jest bardzo piękna, dziękuję – odparł Dawid, wzruszony i nieco speszony takim prezentem. Zapiął koszulę na piersi i pochylił się, chcąc ucałować Debore, lecz ta odsunęła się i pokręciła przecząco głową.

– Nie, nie tutaj. Właściciel jest muzułmaninem i takie zachowanie bardzo by go uraziło.

– W porządku. Chodźmy więc i znajdziemy miejsce, gdzie nie zranimy niczyjej wrażliwości.

Wyszli ze sklepu, przeszli przez Lwią Bramę w potężnym murze i usiedli na kamiennej ławce wśród oliwnych drzew porastających muzułmański cmentarz. Na niebie świecił wąski róg księżyca, srebrzysty i tajemniczy, a noc była gorąca, pełna obietnicy i wyczekiwania, zdałoby się, niczym świeżo poślubiona oblubienica.

– Nie możesz stale mieszkać w luksusowym hotelu – powiedziała Debora.

– Dlaczego?

– Po pierwsze, dlatego że to zbyt kosztowne. Będziesz miał na to o wiele za skromną pensję.

– Chyba nie wyobrażasz sobie, że mam zamiar żyć tylko z pensji? – zaprotestował Dawid, lecz Debora nie podjęła dyskusji i ciągnęła dalej:

– A po drugie, i to jest ważniejsze, ponieważ nie jesteś już turystą. Nie możesz więc żyć jak turysta.

– No to co proponujesz?

– Trzeba będzie poszukać jakiegoś mieszkania.

– A kto tam będzie sprzątał, kto prał i gotował? Nigdy nie zajmowałem się takimi rzeczami.

– Ja to będę robić.

– Coś ty powiedziała?

– Powiedziałam, że to ja zajmę się tym wszystkim – powtórzyła zdecydowanym tonem. – Oczywiście, jeśli będziesz sobie tego życzył – dodała już nie tak pewnym siebie głosem.

– Poczekaj, Deb. Czy masz na myśli wspólne życie? To znaczy mieszkanie razem i wszystko, co się z tym wiąże?

– Tak, to jest dokładnie to, o czym mówię.

– Ale... – zaczął i umilkł. Było to coś zupełnie nowego, nieoczekiwanego, zapierającego dech i oszałamiającego. Całe dotychczasowe doświadczenie Dawida w dziedzinie spraw damsko-męskich było raczej rozległe niż głębokie, i teraz czuł, że stoi na skraju zupełnie nieznanego terytorium.

– Więc jak? – spytała w końcu Debora.

– Czy chcesz, żebyśmy się pobrali? – odpowiedział pytaniem na pytanie i odchrząknął – przy ostatnim bowiem słowie głos lekko mu się załamał.

– Nie wiem, czy jesteś najlepszym materiałem na męża, mój drogi. Jesteś zabójczo przystojny i świetnie spędza się z tobą czas, ale jesteś zarazem egocentryczny, niedojrzały i bywa, że postępujesz zaskakująco głupio.

– Dziękuję ci uprzejmie.

– Wybacz, ale nie ma sensu, żebym specjalnie ważyła słowa właśnie teraz, kiedy mam zamiar odrzucić na bok wszystkie skrupuły i zostać twoją kochanką.

– O! Naprawdę? – zawołał Dawid głosem, z którego nagle znikła cała oschłość. – Kiedy mówisz o tym tak po prostu, dostaję zawrotu głowy.

– Ja też – wyznała Debora. – Ale jest jeden warunek, ten mianowicie, że poczekamy z tym do momentu, kiedy będziemy już mieli mieszkanie. Jak pewnie pamiętasz, niezbyt mi to wychodzi na plażach czy skalnych wysepkach.

– Zapamiętałem już sobie raz na zawsze. Ale czy to znaczy, że nie chcesz wyjść za mnie? – spytał, pragnąc mieć w tej kwestii pełną jasność. Śmiertelny lęk przed

małżeństwem zaczynał ustępować wobec tak krytycznej oceny jego wartości jako kandydata na męża.

– Tego nie powiedziałam. Ale odłóżmy tę sprawę do czasu, kiedy oboje będziemy gotowi do jej rozstrzygnięcia.

– Masz rację – zgodził się Dawid, z idiotycznie radosnym uśmiechem na twarzy.

– A teraz możesz mnie pocałować, majorze Morgan. Postaraj się jednak nie sprawić, żebym zapomniała o naszym warunku.

Minęła dłuższa chwila, zanim ich usta rozłączyły się dla zaczerpnięcia oddechu. Wtem Dawid zeszywniał, porażony nagłą refleksją.

– Rany boskie! – zawołał. – Co powie na to Bryg?

– W każdym razie nie zechce zamieszkać razem z nami. Tego możesz być pewny – odparła Debora i oboje zachichotali, zadowoleni i podekscytowani swoją własną przewrotnością.

– Ale tak poważnie, co powiesz rodzicom?

– Okłamię ich elegancko, a oni będą udawali, że mi wierzą. Zostaw już to mnie.

– Beseder – zgodził się skwapliwie.

– Szybko się uczysz – zauważyła z uznaniem. – Powtórzmy więc ten pocałunek, tym razem, proszę, po hebrajsku.

– Kocham cię – powiedział po hebrajsku Dawid.

– Dobry uczeń – zamruczała. – Wszystko wskazuje na to, że zostaniesz prymusem.

Była jeszcze jedna sprawa, którą należało poruszyć, i Debora zdobyła się na to na sam koniec, stojąc przy furtce, gdy Dawid w końcu odwiózł ją do domu.

– Czy wiesz, co mówi Berit, czyli Prawo?

– Jasne – przytaknął Dawid, rozczapierzając dwa palce, wskazujący i środkowy, i poruszając nimi niby nożycami. Mimo mroku zdawało mu się, że widzi, jak się zaczerwieniła.

– I co ty na to? – spytała ledwo słyszalnym głosem.

– To – odparł bardzo poważnym tonem – jest problem wybitnie do indywidualnego rozstrzygnięcia. Małe dziewczynki muszą same zdobywać potrzebne do tego rozeznanie – tu jego twarz przybrała lubieżny wyraz – w pocie i znoju.

– Wszelka wiedza jest cenna jak złoto – odrzekła cichutko Debora. – Bądź pewien, że będę bardzo się przykładać do jej poszukiwania.

Wkrótce okazało się, że znalezienie mieszkania w Jerozolimie nastęcza nie mniej kłopotów niż poszukiwanie świętego Graala. Jakkolwiek wielokondygnacyjne budynki mieszkalne wznoszono z niebywałą energią, zapotrzebowanie grubo przeważało nad

podają.

Ojciec jednego ze studentów Debory był właścicielem agencji handlującej nieruchomościami. Ów nieborak wziął sobie problem Dawida i Debory do serca. Listy oczekujących na mieszkania w nowych blokach nie miały końca, jednak przypadkowo nadarzył się wolny lokal w jednym ze starszych budynków i wówczas użył on całych swoich wpływów, by go dla nich uzyskać.

Niespodziewanie w ciągu dnia Debora skomunikowała się z Dawidem, który natychmiast wsiadł w taksówkę, podjechał po nią na uniwersytet i razem już pognali, popędzając taksówkarza, przez miasto, by obejrzeć mieszkanie i zdecydować, czy je zatrzymują.

Blok, w którym się ono znajdowało, wyglądał jak wyjęty z filmu Sir Lawrence z Arabii. U frontu rosła smętna palma, we wszystkich oknach i na balkonach suszyła się różnobarwna bielizna, zgiełk i woń jak na arabskim targu wielbłądzim spowijały domostwo, a placyk przed domem przypominał eksploatowany nad miarę przedszkolny plac zabaw.

Samo mieszkanie składało się z dwóch pokoi z łazienką. Papierowa tapeta w róże i kwietne girlandki spłowieły, zachowując świeżość kolorów tylko w miejscach, w których dotychczas coś wisiało. Dawid otworzył drzwi łazienki i zlustrował ją, nie wchodząc do środka. Posadzkę pokrywało wytarte i miejscami porozdzierane linoleum, a poobtłukiwaną wannę pokrywała warstwa szarozółtego osadu. Uchyliwszy szerzej drzwi, ujrzał miskę klozetową, dogorywającą cicho w mrocznym kącie, z sedesem uniesionym i sterczącym komicznie, niby aureola pijanego anioła.

– Ty i Joe moglibyście to wszystko doprowadzić do porządku – zauważyła Debora niezbyt pewnym głosem.

– W gruncie rzeczy nie jest tu aż tak tragicznie.

Dawid wzdygnął się i zatrzasnął drzwi łazienki, jak gdyby to było wieko trumny.

– Oczywiście żartujesz sobie – odrzekł. Wymuszony uśmiech znikł z twarzy Debory i usta jej zadrżały.

– Och, Dawidzie, my nigdy nie znajdziemy sobie mieszkania!

– A ja nie chcę i nie mogę czekać już dłużej.

– Ja też nie – przyznała Debora.

– Trudno – Dawid krótko i zdecydowanie zatarł dłonie – trzeba odwołać się do zaplecza.

Nie wiedział, w jakiej formie konsorcjum Morgana obecne jest w Jerozolimie, lecz znalazł je w spisie firm i przedsiębiorstw, gdzie widniało jako Bank Finansowania Rozwoju Przemysłowego. Jego głównym dyrektorem był wysoki dżentelmen, o ponurym

wyglądzie, niejaki Aaron Cohen, który zawiadywał zespołem biur mieszczących się na jednym z pięter banku Leumi, usytuowanego naprzeciwko gmachu głównego urzędu pocztowego. Bardzo poruszył go fakt, że jeden z członków rodziny Morganów przebywał od dziesięciu dni w Jerozolimie, a on nic o tym nie wiedział.

Dawid przedłożył mu swoje zapotrzebowanie i po upływie dwudziestu godzin odpowiednie papiery były podpisane i wymagane kwoty uiszczono. Paul Morgan wykorzystał przy tym bardzo skrupulatnie swoje prerogatywy, a Cohen potrafił je ściśle wyegzekwować. Cena, jaką Dawid musiał zapłacić za tę usługę, gwarantowała Paulowi Morganowi pełen wgląd w szczegóły dokonywanej transakcji, zawierała też warunek, że pełna informacja dotycząca aktualnych poczynań Dawida i jego dalszych planów znajdzie się na jego biurku następnego ranka. Jednak nabytek był tego wart.

Ponad doliną Hinnom, naprzeciw góry Syjon z jej imponującym zespołem iglicowatych wież, leży kwartał Montefiore. Znajdował się on akurat w trakcie całkowitej przebudowy, podjętej przez jakiegoś energicznego przedsiębiorcę. Wszystkie zabudowania okładano kamieniem „jerozolimskim” o ciepłej, złocistawej barwie, a same budynki były utrzymane w tradycyjnym, ponadczasowym stylu. Natomiast ich wnętrza zdecydowanie zmodernizowano – pokoje były wysokie i chłodne, miały sklepione stropy, podobne do tych w kościołach wzniesionych przez krzyżowców, a łazienki powkładano mozaikową ceramiką. Większość wyposażona była do tego w usytuowane na zapleczu i otoczone murem tarasy. Ten, który Aaron Cohen zakupił dla Dawida, był najbardziej okazały spośród stojących wzdłuż ulicy Melchizedeka. Jego cena była wprost astronomiczna, a właśnie pytanie o cenę było pierwszym, jakie zadała Debora, gdy tylko odzyskała głos. Stała jak ogłuszona na tarasie, pod pojedynczym drzewem oliwnym. Kamienna wykładzina pod jej stopami była równo przycięta i tak wyszlifowana, że przypominała starą kość słoniową. Przesunęła lekko palcami po ozdobnej powierzchni drzwi frontowych. Gdy odezwała się, głos miała przytłumiony, a na jej twarzy malowało się zmieszanie.

– Dawidzie, Dawidzie, ileż to będzie kosztować?

– To nieistotne. Ważne jest to, czy ci się tu podoba.

– To wszystko jest aż nazbyt piękne. I na pewno, jak dla nas, za drogie.

– Już jest kupione i zapłacone.

– Kupione?! – popatrzyła na niego, zdumiona. – Za ile?

– Jeśli powiem ci, że za pół miliona funtów izraelskich czy że za milion, cóż to za różnica? To tylko pieniądze.

Debora zasłoniła dłońmi uszy.

– Nie! – zawołała. – Nie mów mi! Czułabym się tak bardzo winna, że nie byłabym

w stanie tu mieszkać!

– Ach tak? Ale mówiąc to, praktycznie zgadzasz się tu zamieszkać.

– Wypróbuj mnie, kochany mój – poprosiła z determinacją w głosie. – Po prostu wypróbuj.

Stali w największym pokoju, który wychodził na taras. Był on dostatecznie jasny i przewiewny wobec upałów nadchodzącego lata, lecz teraz pachniał jeszcze świeżą farbą, drewnem i politurą.

– A co postanowimy, jeśli chodzi o umeblowanie? – spytał Dawid.

– Umeblowanie? – powtórzyła Debora. – O tym jeszcze nie myślałam.

– Czego jestem pewien, to tego, że będzie nam potrzebne przynajmniej jedno wielkie łóżko.

– Erotoman – zachichotała i pocałowała go.

Żadne nowoczesne meble nie pasowały do wysklepionych sufitów ani kamiennych posadzek. Zaczęli więc penetrować bazy i sklepy z antykami. Debora rozwiązała główny problem, wyszperawszy na złomowisku mosiężny szkielet olbrzymiego łoża, z którego zdrapali warstwę brudu, a potem wypolerowali do połysku, zaopatrzyli w nowy, sprężysty materac i przykryli kremową, koronkową narzutą, wydobytą z dolnej szuflady w komodzie Debory.

Kupili kilim, a od handlarzy arabskich w starej części miasta grubo tkane wełniane chodniki, cięte z beli na metry i wymościli nimi posadzki, ustawili niski stół z drewna oliwkowego, wykładany kością słoniową i macicą perłową, wokół którego rozmieścili skórzane pufy do siedzenia.

Z resztą umeblowania postanowili poczekać i uzupełniać je stopniowo, a jeśli nie przytrafiałoby się nic do kupienia, mieli zamiar zamówić potrzebne sprzęty u znanego Deborze arabskiego stolarza-rękodzielnika. Tak łóżko, jak i stół były nadzwyczaj ciężkie i do ich przetransportowania musieli wezwać Joego. Przyjechał wraz z Hanną małym japońskim samochodzikiem, a gdy ochłonęli z wrażenia, jakie zrobił na nich ów morganowski pałac, zabrali się z entuzjazmem do pracy, z Dawidem w roli nadzorca i wydającego polecenia. Gdy skończyli, Joe rozglądał się w dalszym ciągu, chrząkając i wzdychając, a Hanna poszła za Deborą do kuchni, skąd zaraz zaczęły dobiegać jej okrzyki zazdrości i zachwytu, których przedmiotem była maszyna do zmywania naczyń z suszarką i rozmaite inne techniczne urządzenia, ułatwiające życie gospodyni, a wchodzące w skład standardowego wyposażenia domu. Obie dziewczynyabrały się do przyrządzania pierwszego w nowym domu Debory, wspólnego posiłku.

Dawid przyniósł skrzynkę piwa marki „Goldstar” i na koniec zasiedli wszyscy wokół stołu, aby – jak należało – „ogrzać dom i pokropić dach”. Dawid spodziewał się, że Joe

będzie trochę naburmuszony – w końcu to jego siostra miała tu zamieszkać w charakterze jego – Dawida – kochanki, jednak Joe zachowywał się w taki sam naturalny sposób, jak zawsze, raczył się piwem i angażował w rozmowę tak, że w końcu Hanna musiała interweniować, by przerwać przedłużającą się biesiadę.

– Jest już późno – stwierdziła dobitnie.

– Późno? – zdziwił się Joe. – Przecież dopiero dziewiąta.

– Jak na wieczór taki jak dziś, jest już bardzo późno.

– Co masz na myśli? – Joe spoglądał na nią, nic nie rozumiejąc.

– Oto Josef Mordechaj, okaz wyrobienia i dyplomacji – rzuciła sarkastycznie, Hanna.

Joe powiódł wzrokiem od Dawida do Debory i nagle przybrał minę pełną zawstydzenia i skruchy. Przełknął resztę piwa jednym haustem, wstał i jedną ręką, bez wysiłku, postawił na nogi Hannę.

– Chodź – powiedział. – I tak już się zasiedzieliśmy.

Dawid zostawił włączone oświetlenie tarasu, tak że światło z zewnątrz wpadało do pokoju pomiędzy listewkami okiennych żaluzji, napełniając go delikatną poświatą. Dobiegające z zewnątrz odgłosy miasta były do tego stopnia wygłuszone przez odległość i kamienne ściany, że zamieniały się w ledwo słyszalny szum, który zdawał się raczej wzmacniać ich poczucie odosobnienia, niż je zakłócać.

Mosiężne pręty łóżka połyskiwały w półmroku, a koronkowa narzuta pachniała lawendą i naftaliną. Dawid wyciągnął się na wznak i obserwował Deborę, rozbierającą się powoli, świadomą jego wzroku i onieśmiałoną jak jeszcze nigdy dotąd. Jej smukłą sylwetkę podkreślała zgrabna linia talii i nóg. Ciało było młode i jędrne, promieniowało jak gdyby dziecięcym urokiem, który zdawały się przewrotnie uzupełniać pełne piersi i biodra dojrzałej kobiety.

Podeszła i przysiadła na krawędzi łóżka, a on sycił nią oczy i po raz kolejny podziwiał aksamitną gładkość jej skóry, subtelną głębię barwy w miejscach, gdzie słońce przemieniło delikatny róż w ciemny miód, kontrast pomiędzy jasną plamą piersi o ciemnoróżowych sutkach a czarnym klinem gęstych, krótkich włosów, kończącym linię brzucha i nikałym między udami.

Pochyliła się w jego stronę, wciąż onieśmiałona, dotknęła palcem jego policzka, a potem powiodła nim w dół, po szyi do miejsca, gdzie złota gwiazda Dawida spoczywała wśród włosów porastających jego muskularną pierś.

– Jesteś piękny – wyszeptła i uświadomiła sobie, że nie ma w tym ani krzty przesady. Był wysoki i smukły, szeroki w ramionach, miał szczupłe biodra i płaski brzuch. Rysy jego twarzy były klarowne i doskonałe, jedyną wadą mogła być co najwyżej właśnie owa ich doskonałość. Czuła się jak we śnie, jak gdyby spoczywała

obok anioła lub któregoś z mitologicznych bogów.

Wyciągnęła się obok niego i leżeli tak, zwróceniu ku sobie twarzami, nie dotykając się, ale tak blisko jedno drugiego, że Dawid czuł ciepło jej ciała, a ona jego oddech na swoim policzku.

Westchnęła cicho, a było to westchnienie szczęścia i głębokiego zadowolenia, westchnienie wędrowca, który oto dotarł do celu po długiej, samotnej podróży.

– Kocham cię – powiedziała, wyznając mu po raz pierwszy miłość, po czym wyciągnęła dłonie, zanurzyła mu palce we włosach i delikatnym ruchem pociągnęła jego głowę ku swym piersiom.

Długo potem, kiedy przebudził ich nocny chłód wsączający się do pokoju, ocknęli się i na pół przytomni zagrzebali się w pościeli. Zanim ponownie zapadli w mroczną otchłań, Debora wymamrotała sennie:

- Bardzo się cieszę i z tego, że nie potrzeba będzie chirurga...
- I czy nie lepiej było przekonać się o tym samodzielnie?
- O wiele lepiej, miły mój, o wiele lepiej...

Debora musiała poświęcić cały wieczór na przekonywanie Dawida, że do pokonywania odległości między domem a bazą lotniczą nie jest wcale konieczny wóz sportowy najwyższej klasy. Tłumaczyła, że żyją w kraju dorabiających się osiedleńców, gdzie wszelka ekstrawagancja i ostentacja są szczególnie nie na miejscu. Dawid zaaprobował w końcu całkowicie jej stanowisko, żywiąc w głębi ducha przeświadczenie, że Aaron Cohen i jego podwładni zadbają już o to, by żyło mu się tutaj wygodnie i bez stresów. W końcu Debora zaproponowała małowitrazowego „japończyka”, takiego, jakiego używał Joe, a Dawid obiecał, że poważnie się nad tym zastanowi.

Tymczasem jeden z ludzi Cohena wywęszył Mercedesa 350 SL, należącego do niemieckiego charge d'affaires w Tel Awiwie. Dżentelmen ów miał właśnie wracać do Niemiec i pragnął sprzedać samochód, oczywiście za odpowiednią cenę, płatną w łatwo wymienialnej walucie. Jeden telefon wystarczył, by wypłacenie należnej kwoty dokonało się poprzez Credit Suisse w Zurychu.

Wóz był koloru złocistobrązowego, miał na liczniku niecałe dwadzieścia tysięcy kilometrów i widać było, że właściciel wkładał serce w jego utrzymanie.

Debora, wracając z uniwersytetu jak zwykle na skuterze, ujrzała tę wspaniałą maszynę zaparkowaną przy końcu ulicy Melchizedeka, gdzie gruby łańcuch zawieszony w poprzek jezdni wzbraniał wjazdu do osiedla wszelkim pojazdom z napędem spalinowym. Wystarczyło jedno spojrzenie, by nie miała najmniejszej wątpliwości, do kogo owo cudo należy. Toteż wpadając jak bomba na taras była rzeczywiście zła, choć

starala się wyglądać na jeszcze bardziej rozjuszona, niż była w istocie.

– Dawidzie Morgan, naprawdę jesteś nieodpowiedzialny!

– Jesteś bardzo spostrzegawcza i domyślna – skomplementował ją Dawid z leżaka, na którym się opalał.

– Ile za niego zapłaciłeś?

– Wymyśl wreszcie jakieś inne pytanie, mała. To jedno brzmi już zbyt monotonicznie.

– Ty jesteś naprawdę... – zamilkła, szukając usilnie jakiegoś odpowiednio mocnego słowa. Znalazła je i wyrzuciła z siebie z ulgą – ...dekadencki!

– Niezbyt dobrze rozumiesz znaczenie tego terminu – odpowiedział Dawid spokojnie, wstając z leżaka i zmierzając leniwie w jej kierunku. Chociaż byli kochankami dopiero od trzech dni, Debora z wyrazu jego oczu nieomylnie odgadła, co zamierza zrobić, i zaczęła się cofać.

– Wyjaśnię ci znaczenie tego słowa – powiedział. – Zademonstruję ci, na czym polega dekadencja, i to na przykładzie tak wrażliwego miejsca, że zapamiętasz to na długo.

Gdy chciał ją objąć, zrobiła unik i umknęła za drzewo oliwne, lecz przy tym manewrze wypuściła książki, które rozsypały się po tarasie.

– Zostaw mnie! Ręce precz, ty draniu!

Dawid wykonał zręczny zwód, pochwyił ją, skuloną za drzewem, i wziął na ręce.

– Dawidzie Morgan, ostrzegam, że będę krzyczała, jeżeli natychmiast nie zostawisz mnie w spokoju!

– No to posłuchajmy, wrzeszcz – odparł i Debora istotnie krzyknęła, ale zrobiła to jak prawdziwa dama, to znaczy na tyle cicho, by nie zaniepokoić sąsiadów.

W przeciwieństwie do Debory Joe był zachwycony mercedesem. We czwórkę wybrali się na próbną jazdę, której trasa biegła krętą drogą przez Pustynię Judejską do Morza Martwego. Ze względu na stan drogi była to ciężka próba zarówno dla zawieszenia wozu, jak i dla Dawida jako kierowcy. Gdy tak ścinali zakręty, tonąc w chmurach kurzu, nastrój podniecenia udzielił się także Deborze, która potrafiła przełamać swój początkowy krytycyzm, a w końcu przyznała nawet, że wóz jest rzeczywiście piękny, aczkolwiek – mimo wszystko – dekadencki.

Później wykąпали się w zimnych, zielonych wodach oazy En Gedi, by następnie, przebiegłszy wąski pasek gruntu, zanurzyć się w gęstych od soli falach morza.

Hanna przyniosła aparat fotograficzny i zrobiła kilka zdjęć Dawidowi i Deborze, siedzącym na skałkach obok basenu. Oboje byli prawie nagi, Dawid w spodenkach kąpielowych, a Debora w swoim skąnym bikini, prezentującym wszystkie uroki jej wspaniałego ciała. Odwrócona do Dawida, uśmiechała się doń, pozując do fotografii. On

odwzajemniał jej uśmiech, zwrócony profilem do obiektywu, z czarnym kędziorem wilgotnych włosów przylgniętym do czoła. Intensywne, pustynne słońce uwidaczniało mocno, jak w reliefie, doskonałość jego sylwetki.

Hanna zamówiła odbitki tych zdjęć i później owe prostokąciki błyszczącego papieru fotograficznego stały się dla nich jedyną pamiątką, jedyną rzeczą, która przypominała o tych beztroskich i radosnych chwilach, niby drogocenny kwiat zerwany z rosnącego nieustannie drzewa życia, włożony do zielnika i zasuszony, sprasowany i skruszały, wyblakły i pozbawiony woni.

Jednak tego pięknego dnia przyszłość nie przyćmiewała jeszcze swym cieniem ich radości. Zabrali się w drogę powrotną i tym razem Joe zasiadł za kierownicą. Debora uparła się, by zatrzymać się i zabrać paru z grupki żołnierzy z jednostki pancерnej, którzy stali przy drodze, usiłując dostać się do Jerozolimy autostopem, i mimo protestów Dawida trzech z nich udało im się jeszcze upchać w niewielkiej kabinie. Był to z jej strony gest, którego potrzebowała, by zagłuszyć resztki poczucia winy. Przez resztę drogi siedziała na tylnym siedzeniu wychylona do przodu, z rękami zarzuconymi na ramiona Dawida. Tak też dojechali do domu, żartując i śpiewając piosenkę będącą tego roku przebojem wśród młodzieży w Izraelu – Niechaj będzie pokój.

Przez kilka dni, które pozostały Dawidowi do chwili wcielenia do sił powietrznych, oddawał się on bezwstydnie próżniactwu, zajmując sobie czas takimi błahostkami, jak choćby sprawa uszycia munduru na miarę. Upierał się przy tym i nie przemawiały doń argumenty Debory, że jeżeli zwykły, przydziałowy mundur był dobry dla jej ojca, bądź co bądź generała, to powinien być dobry także dla niego. Aaron Cohen zarekomendował Dawida swojemu własnemu krawcowi. W widoczny sposób zaczynał odnosić się z respektem do wykwintnego smaku Dawida.

Debora ułatwiła Dawidowi zapisanie się do uniwersyteckiego klubu lekkoatletycznego, tak iż mógł dzień w dzień ćwiczyć w znakomicie wyposażonej hali, kończąc zawsze dwudziestoma długościami basenu o olimpijskich wymiarach. To ostatnie – jak mawiał – by utrzymać dobrą sylwetkę.

Pozostały czas spędzał opalając się na tarasie, niekiedy tylko zajmując się strzyżeniem trawnika lub też, na prośbę Debory, innymi drobnymi pracami.

Snując się po przyjemnie chłodnych pokojach znajdował to tu, to tam jakąś rzecz należącą do Debory – mogła to być książka lub broszka – wówczas brał ją i obracał przez chwilę pieścizotliwie w dłoniach. Pewnego razu jedna z jej sukienek, rzucona niedbale w nogach łóżka, przyprowadziła go o tak silną emocję, że uniósł do twarzy jedwabistą tkaninę i wdychając subtelny zapach, jej zapach, odliczał tęsknie godziny do jej powrotu.

Jednak to nie wśród jej odzieży ani biżuterii, lecz między książkami odkrył coś, co

powiedziało mu o niej więcej niż dałyby lata obserwacji. Debora trzymała książki w kartonach spiętrzonych w nie umeblowanej drugiej sypialni, która tymczasowo służyła im jako przechowalnia, do czasu zakupienia regałów i szafek. Pewnego popołudnia Dawid zaczął szperać właśnie w tych kartonach. Ich zawartość była bardzo urozmaicona – był tam Gibbon i Vidal, Szekspir i Mailer, Sołżenicyn i Mary Stewart obok innych, niekiedy osobliwych czytań do poduszki, a więc fantastyka i biografia, historia i poezja – zarówno w języku angielskim, jak i hebrajskim – wydania broszurowe i eleganckie, oprawione w skórę. Wśród całej tej masy książek Dawid zapewne nie zwróciłby uwagi na cienki tomik w zielonej obwolucie, gdyby nie wpadło mu w oko nazwisko autorki – D. Mordechaj. Podekscytowany chwycił książeczkę, otworzył na karcie tytułowej i przeczytał treść: Tego roku w Jeruzalem, zbiór wierszy, Debora Mordechaj.

Zabrał tomik do sypialni, lecz zanim ułożył się wygodnie na koronkowej narzucie i rozpoczął systematyczną lekturę, nie zapomniał zrzucić z nóg pantofli – Debora bardzo tego pilnowała.

Książeczka zawierała pięć utworów. Pierwszy z wierszy, tytułowy, osnuty był wokół liczącego dwa tysiące lat, popularnego wśród Żydów i pełnego nadziei powiedzenia: „W przyszłym roku w Jeruzalem”, które teraz wreszcie nabrało konkretnej treści. Miał charakter patriotycznego hołdu złożonego ojczyźnie i nawet Dawid, którego literacki smak kształtował się na McLeanie i Robbinsie, zorientował się, że jest to kawałek naprawdę znakomitej poezji. Poszczególne linijki wiersza uderzały pięknem frazy, obrazowością i ładunkiem uczuciowym. Tak, to było dobre, naprawdę dobre i Dawid poczuł dumę, charakterystyczną dla właściciela, lecz z pewną domieszką lękliwego szacunku. Nie domyślał się w Deborze takiej głębi, nie zdawał sobie sprawy z istnienia tak ukrytych obszarów jej refleksji.

Ostatni wiersz był najkrótszy i był to poemat miłosny czy raczej może wiersz skierowany do kogoś umiłowanego, kto odszedł. Czytając go, Dawid stał się nagle świadomy różnicy między tym, co jest po prostu dobrą poezją, a tym, co jest w niej magiczne.

Muzyka słów budziła w nim wibracje, ich piękno przenikało go fizycznym dreszczem, ale także otwierało otchłań smutku, żalu po utracie tego, kto był całym światem. Łzy napłynęły Dawidowi do oczu i poczęły rozmazywać wyrazy. Walczył z nimi, mrugając powiekami, gdy ostatni, przejmujący krzyk rozpaczy przeszył go chłodem aż do szpiku kości.

Opuścił książkę na piersi, przypominając sobie, co mówił Joe o czołgście, który zginął na pustyni. Wtem usłyszał ruch i szmer. Poderwał się, usiłując jednocześnie ukryć książkę. Wiersze były tak bardzo osobiste, że nagle poczuł się jak złodziej.

Debora stała w drzwiach sypialni oparta o framugę, z rękami założonymi na piersi i przyglądała mu się z uwagą i spokojem. Dawid usiadł speszony i zerkał na nią spod oka, ważąc tomik w rękach.

– To piękne wiersze – powiedział wreszcie, głosem lekko ochrypłym z emocji.

– Cieszę się, że ci się podobają – odrzekła i Dawid spostrzegł, że ona również była onieśmielona.

– Dlaczego nie pokazałaś mi ich wcześniej?

– Obawiałam się, że mogą ci się nie spodobać.

– Bardzo go kochałaś, prawda? – spytał cicho i miękko.

– Tak, bardzo, ale to było dawno. Teraz Kocham Ciebie.

*

Potem przyszło zaszeregowanie, a po przydziale, jaki otrzymał Dawid, łatwo można było domyślać się interwencji Bryga, jakkolwiek Joe utrzymywał, iż to on zadziałał swoimi własnymi kanałami, aby rozkaz brzmiał właśnie tak, a nie inaczej.

Odtąd Dawid należał do latającego na Mirage'ach dywizjonu Lanca, doborowej grupy myśliwców przechwytyjących, stacjonującego w tej samej bazie, z której Dawid wykonał swój pierwszy lot. Do tego samego dywizjonu należał też Joe. Kiedy zatelefonował na ulicę Melchizedeka, żeby przekazać Dawidowi wiadomość o przydziale, w jego głosie nie dawało się wyczuć śladu niezadowolenia z faktu, że Dawid zdystansuje go stopniem – wyraźna natomiast była radość z perspektywy wspólnego latania. Spędził zresztą ten wieczór z Dawidem, udzielając mu krótkich informacji o pozostałych członkach dywizjonu, od dowódcy, francuskiego imigranta przezywanego Dauphin począwszy, a na najniższym rangą mechaniku skończywszy. W nadchodzących tygodniach informacje te miały okazać się nieocenione i bardzo dopomogły Dawidowi w pierwszym, trudnym okresie asymilowania się w małej grupie pilotów, połączonych mocnymi więzami koleżeństwa.

Nazajutrz krawiec dostarczył komplet mundurów, i kiedy Debora wróciła do domu, obładowana książkami i zakupami, otwierając biodrem drzwi kuchenne, zobaczyła Dawida ubranego w jeden z nich. Złożyła bagaże koło zlewozmywaka i zaczęła go oglądać, obchodząc dookoła, z rękami opartymi na biodrach i przechyloną głową.

– Zależałoby mi na tym, żebyś jutro po południu przyjechał po mnie na uniwersytet, koniecznie w tym mundurze – powiedziała, kończąc lustrację.

– Dlaczego?

– Ponieważ jest paru takich facetów, którzy zwykle czyhają na mnie pod gmachem

Lautermana. Niektórzy z nich to moi studenci, a niektórzy – koledzy. Myślę, że dadzą mi spokój, kiedy cię zobaczą.

Dawid roześmiał się.

– Aha, więc to znaczy, że nie będziesz się mnie wstydzić?

– Majorze Morgan, jesteś zbyt przystojny jak na jednego mężczyznę. Powinieneś być urodzić się jako para bliźniaków.

Owo „jutro” było ostatnim dniem, który spędzali razem, toteż Dawid spełnił jej zachciankę i ubrany w mundur zjawił się na wydziale literatury anglosaskiej. Jeszcze wcześniej, na ulicy, zaskoczyło go wrażenie, jakie jego mundur wywierał na przechodniach. Dziewczyny uśmiechały się do niego, starsze panie mówiły mu „szalom”, nawet strażnik w bramie uniwersytetu przepuścił go uprzejmym gestem ręki, szczerząc sympatycznie zęby. Dla wszystkich tych ludzi Dawid był aniołem stróżem, który pilnował, by niebo nad ich głowami było czyste i bezpieczne.

Debora rzuciła się, by go pocałować, a potem kroczyła dumnie u jego boku, manifestacyjnie trzymając go pod rękę. Zaprowadziła go do mieszczącej się w owalnym, oszklonym gmachu uniwersyteckiej stołówki dla pracowników, gdzie zjedli obiad.

W trakcie rozmowy prowadzonej przy jedzeniu przypadkowe zdanie rzucone przez Dawida doprowadziło do ujawnienia całej troskliwej przemyślności, z jaką Debora starała się ochronić swoją reputację.

– Prawdopodobnie przez pierwszych parę tygodni nie będę mógł opuścić bazy – powiedział Dawid – ale będę pisał do ciebie na nasz adres...

– Nie – przerwała szybko Debora. – Ja tam nie zostanę. Czułabym się bez ciebie zbyt samotna w tym wielkim łóżku.

– Dokąd więc się przeniesiesz? Do domu rodziców?

– Nie, to zlikwidowałyby wszystkie pozory. Wyobraź sobie, że za każdym razem, gdy ty wracasz, ja wynoszę się z domu. Rodzice wiedzą, że mieszkam w hotelu uniwersyteckim. Powiedziałam im, że jest mi wygodniej być bliżej uczelni...

– To znaczy, że masz tutaj pokój?

– Oczywiście. Muszę zachowywać pewną dyskrecję. Nie mogę powiedzieć moim krewnym, przyjaciom, przełożonym na wydziale, żeby kontaktowali się ze mną pod adresem majora Dawida Morgana. To prawda, że mamy dwudziesty wiek i żyjemy w nowoczesnym Izraelu, lecz mimo to jestem żydowską dziewczyną, obarczoną brzemieniem tradycji, której na imię czystość i obyczajność.

Po raz pierwszy Dawid uświadomił sobie, jaką wagę miała dla niej decyzja zamieszkania z nim. W porównaniu z nią on przyjął to niefrasobliwie:

– Zaczynam już tęsknić za tobą – powiedział.

– A ja za tobą.

– Jedźmy już do domu.

– Tak, jedźmy – zgodziła się, odkładając nóż i widelec. – Zjeść mogę kiedykolwiek. Jednak ledwo wyszli ze stołówki, Debora zawołała z wyraźnym poirytowaniem:

– Do diabła, zapomniałam, że muszę dziś jeszcze zwrócić książki. Możemy wpaść na moment do biblioteki? Przepraszam cię, ale to najwyżej minuta.

Weszli z powrotem na główny taras, minęli jasny, szklany front kawiarni i poszli w kierunku kwadratowego, skonstruowanego z betonu i szkła bloku biblioteki. Wspięli się po stopniach i podchodzili właśnie do szklanych drzwi wejściowych, gdy duża grupa studentów wylała się na zewnątrz, tak że musieli odsunąć się na bok, aby ich przepuścić.

Stali tak, mając przed sobą drogę, którą przed chwilą przebyli, czyli dziedziniec uniwersytecki z jego tarasami i drzewami o czerwonych pączkach, z jaśniejącą po drugiej stronie kawiarnią, gdy wtem resztki dziennej poświaty znikły w jaskrawobiałej łunie eksplozji.

Front kawiarni znikł nagle, zamieniając się w migotliwą chmurę szklanych odłamków. Wyglądało to tak, jak gdyby gnana sztormem fala uderzyła z piekielną siłą o skałę, konając w gwałtownej erupcji wodnego pyłu, z tą różnicą, że ów błyskotliwy tuman przed nimi niósł śmierć. Zdmuchnął dosłownie dwie studentki, które przechodziły dokładnie tamtędy, któreśdy parę chwil wcześniej szli Dawid i Debora.

W ułamek sekundy po rozbłysku podmuch wybuchu dotarł do biblioteki, przyginając po drodze drzewa, i pchnął Deborę i Dawida tak, że oparli się dopiero o kamienną balustradę otaczającą taras przed wejściem, a podciśnienie wyssało im powietrze z płuc.

Dawid chwycił Deborę, objął ją mocno i tak trzymał przez chwilę niczym nie zmaconej ciszy, jaka zapadła natychmiast po eksplozji. W tej ciszy biaława mgielka fosforowego dymu wysnuła się z zionącej jamy kawiarni i ospale dryfowała przez dziedziniec.

Potem zaczęły ich dobiegać dźwięki i szmery, przenikając z trudem przez intensywny gwizd w uszach – sporadyczny brzęk szkła, trzask odpadającego plastra tynku, jakieś skrzypnięcie... I nagle – kobiecy krzyk, który ostatecznie przerwał magiczną ciszę grozy.

Dały się słyszeć inne krzyki, ktoś biegł. Student przytulony obok nich do balustrady zaczął wołać rozhisteryzowanym dyszkantem:

– Bomba! Bomba! Wysadzili kawiarnię!

Jedna z dziewcząt powalonych chmurą szklanych odłamków podniosła się, wyprostowała i zaczęła bezsensownie biegać truchtem w kółko, wydając piskliwe dźwięki, nie będące ni to skargą, ni wołaniem o pomoc. Była cała pokryta białym,

wapiennym pyłem, w którym strużki krwi rzeźbiły kanaliki, nasączając sukienkę i rozlewając się w ciemne plamy.

Debora zaczęła dygotać w ramionach Dawida.

– Dranie – wyszeptła. – Przekłęte bestie.

Z okopconych zgliszczy budynku wychyłała jakaś postać. Był to mężczyzna. Podmuch wybuchu porwał na nim ubranie, które teraz zwisało w strzępach, upodabniając go do komicznego stracha na wróble. Wyszedł na taras, stanął i powoli usiadł. Zdjął okulary, które jakimś cudem ostały się na nosie, i zaczął je przecierać strzępką koszuli, podczas gdy krew spływała po szczęce i skapywała z brody.

– Chodź – powiedział Dawid, puszczając Deborę. – Tam trzeba pomocy!

Eksplozja spowodowała zawalenie się części dachu, grzebiąc pod jego gruzami dwudziestu dwóch studentów, którzy przyszedli tu zjeść coś i pogawędzić. Pozostali byli rozproszeni po całej niskiej sali, niczym zabawki rozrzucone przez dziecko w przyływie złości. Jedni usiłowali się czołgać, niektórzy pełzali na kolanach, ten i ów poruszał się konwulsyjnie wśród szczątków stolików, skorup talerzy i rozbryzanych resztek jedzenia. Jeszcze inni leżeli, przedziwnie poskręcani, jak gdyby zakrzepili w spazmie śmiechu wywołanego jakimś monstrualnym żartem, którego puentą jest śmierć.

Później miało się okazać, że dwóm dziewczynom należącym do El-Fatah i posługującym się sfalszowanymi papierami udało się zapisać na uniwersytet. Dzień po dniu szmuglowały one na jego teren małe ilości środka wybuchowego, aż zgromadziły go tyle, ile było potrzeba. Teczki z bombą i urządzeniem zegarowym zostawiły pod jednym ze stolików, po czym spokojnie opuściły uniwersytet i znikły. Nie minął tydzień, jak pojawiły się w telewizji syryjskiej, opowiadając z dumą o przeprowadzonym zamachu.

W tym momencie jednak nikomu nie było w głowie doszukiwać się jakichkolwiek racji czy powodów tego, co się stało. Zamach był nie ukierunkowany na nikogo personalnie, przeto w swoich straszliwych skutkach kojarzył się raczej z jakimś naturalnym kataklizmem. Oszołomieni monstrualnym rozmiarem tragedii, żywi pracowali z zaciętą, tępą furją, ratując rannych i wynosząc ze zgliszczy zmasakrowane ciała zabitych.

Ułożono je na trawniku pod drzewami o czerwonych pączkach i poprzykrywano prześcieradłami przyniesionymi z pobliskiego akademika. Patrząc na ów równiutki, schludny rząd białych wzgórków, Dawid wiedział na pewno, że tego widoku nigdy już nie zapomni.

Z łkaniem syren i błyskając światłami przybyły ambulanse, by zebrać plon, skoszony przez śmiertelnego żeńca, zjawiała się też policja, która otoczyła kordonem cały teren, zanim jeszcze Dawid i Debora opuścili miejsce masakry. Zmierzali wolnym krokiem do

parkingu, gdzie stał mercedes, wysmarowani pyłem i krwią, wciąż jeszcze mając w uszach jęki rannych. W milczeniu dojechali do domu, gdzie przede wszystkim zmyli z siebie pod prysznicem cały brud i odór. Debora namoczyła mundur Dawida w zimnej wodzie, by sprać zeń krew. Potem zaparzyła kawę i popijali ją, siedząc obok siebie na łóżku.

– Tyle młodości i siły zabito dziś wieczorem – powiedziała.

– Śmierć nie jest w tym wszystkim najgorsza. Ona jest czymś naturalnym, jest logicznym kresem każdej rzeczy. Tym, co zrobiło na mnie największe wrażenie, był widok poszarpanego mięsa ludzkiego, które wciąż żyło. Śmierci towarzyszy pewien rodzaj godności, natomiast okaleczeni są wstrętni.

Debora popatrzyła na niego niemal z lękiem.

– To okrutne, co mówisz, Dawidzie.

– W Afryce żyje piękne, dzikie zwierzę – czarna antylopa. Żyją one i przemierzają busz w stadach liczących do stu sztuk. Kiedy któreś ze zwierząt jest niesprawne, na przykład zranione przez lwa lub postrzelone przez myśliwego, wówczas byk-przywódca zwraca się przeciwko niemu i wyrzuca je ze stada. Pamiętam, jak opowiadał mi o tym mój ojciec. Jego konkluzja była taka, że jeśli chcesz zwyciężać, musisz wystrzegać się towarzystwa upośledzonych, ponieważ ich bezradność jest zaraźliwa.

– O Boże, Dawidzie, to jest straszliwie surowy sposób patrzenia na życie!

– Być może – zgodził się Dawid. – Ale, widzisz, takie właśnie jest i samo życie.

Kiedy potem kochali się, było w tym po raz pierwszy jakieś poczucie smutku, wynikające stąd, że jutro mieli się rozstać i że tak okrutnie uzmysłowiono im, iż są śmiertelni.

Nazajutrz wczesnym rankiem Dawid udał się do swej bazy, a Debora zamknęła na cztery spusty drzwi domu przy ulicy Melchizedeka.

Przez siedemnaście dni Dawid wykonywał po dwa, czasem aż trzy loty bojowe. Wieczorami, jeżeli nie było nocnych lotów, odbywały się wykłady i instruktażowe pokazy filmowe, po czym pozostawało już tylko zjeść szybko kolację i rzucić się spać.

Pułkownik Dauphin odbył jeden lot z Dawidem. Był to mężczyzna drobnej budowy ciała, o swobodnym sposobie bycia i bystrych oczach. Szybko wyrabiał sobie opinię o ludziach.

Począwszy od drugiego dnia Dawid i Joe latali razem. Dawid przeniósł też swoje rzeczy do szafki naprzeciwko szafki Joego w szatni, z której korzystały załogi będące w stanie pogotowia.

W ciągu tych siedemnastu dni zespoliły ich więzy prawdziwie niezłomnej przyjaźni.

Energia i porywczosć Dawida równoważyła się znakomicie z niespieszną rozważą Joego. Dawid musiał być oczywiście w tym duecie gwiazdą, podczas gdy Joe zdawał się skazany na rolę satelity, tworząc świetne tło – skrzydłowy pozbawiony zupełnie żądy chwały, potrafiący znakomicie ułatwić swemu towarzyszowi zajęcie pozycji dogodnej do ataku. Toteż szybko ci dwaj utworzyli tandem o śmiertelnej skuteczności, tak znakomicie zgrany, że porozumienie między nimi dokonywało się w sposób jak gdyby ponadzmysłowy i mogący się kojarzyć z instynktownymi reakcjami stada ptaków czy ławicy ryb.

Mając Joego za plecami, Dawid mógł się czuć tak, jak gdyby dysponował polisą na życie wystawioną przez Pana Boga. Pozostawało mu tylko skoncentrować się na wypełnieniu głównego zadania, wykorzystując w pełni swój sokoli wzrok i błyskawiczny refleks. Był ucieleśnieniem ideału myśliwca, działającym w okolicznościach, gdzie właśnie te predyspozycje liczyły się najbardziej.

Specjaliści w szeregach izraelskich sił powietrznych pierwsi wykryli i ocenili we właściwy sposób słabe strony taktyki opartej na stosowaniu rakiet powietrze-powietrze i powrócili do klasycznej koncepcji walki w powietrzu. Rakieta jest bowiem urządzeniem, które można wyprowadzić w pole. Można sprawić, żeby sterujący nią komputer zaczął „myśleć” wedle określonego wzorca danych, a następnie ogłupić go, powodując jakieś istotne, zaburzenie w tym wzorcu. W praktyce na trzysta odpalonych rakiet można się spodziewać zaledwie jednego skutecznego trafienia.

Jeżeli natomiast masz na ogonie schodzący na ciebie myśliwiec, którego pilot trzyma palec na spuście sprzężonych działek trzydziestomilimetrowych i może wpakować ci parę serii wystrzeliwanych z szybkością – bagatela – tysiąca pocisków na minutę, to twoje szanse wyjścia cało z tego bigosu są znacznie mniejsze niż jeden do trzystu.

Joe także rozwinął w sobie pewien szczególny talent. Otóż przedni radar Mirage’a to kawał wielce skomplikowanej elektroniki, a przy tym urządzenie wymagające przede wszystkim olbrzymiej sprawności manualnej obsługującego. Wszystkie funkcje trzeba wykonywać lewą ręką, a palce pilota muszą poruszać się jak u wytrawnego pianisty. Nie mniej ważne, a może ważniejsze, jest do tego specyficzne wyczucie urządzenia, pozwalające wydobyć z aparatury maksimum jej możliwości. Joe miał je, Dawid nie. Latali na treningowe akcje przechwytywania, dzienne i nocne, na ćwiczebne cele poruszające się zarówno na dużej, jak i na małej wysokości. Wykonywali uderzenia na cele naziemne, a kiedy indziej wspinali się na wysoki pułap nad Morzem Śródziemnym i staczali ze sobą ćwiczebne walki w powietrzu.

Jednak przez cały czas Oaza trzymała ich z taktem, ale zdecydowanie z dala od wszelkich sytuacji wymagających z pewnością lub prawdopodobnie rzeczywistego

zaangażowania bojowego. Dawid był wciąż pod obserwacją.

Pod koniec tego okresuteczka personalna Dawida trafiła na biurko generała-majora Mordechaja. Sprawy personalne leżały w zakresie szczególnych kompetencji Bryga i jakkolwiek przeglądał on regularnie dossier każdego oficera, tym razem specjalnie kazał dostarczyć sobie dane o Dawidzie.

Teczka była wciąż dość cienka w porównaniu z opasłymi teczkami niektórych starych repów. Bryg przerzucił szybko pierwsze dokumenty, między którymi znajdowała się jego osobista rekomendacja, zatrzymując się dopiero na najświeższych raportach i ocenach. Uśmiechnął się wilczym uśmiechem, rzuciwszy okiem na wyniki Dawida w strzelaniu. Ten potrafiłby wydłubać ich nawet z tłumy – pomyślał.

Na koniec przeczytał krótką opinię, wystawioną Dawidowi przez pułkownika Dauphina, która brzmiała:

„Morgan jest pilotem o wyjątkowych umiejętnościach. Zdecydowanie proponuję zatwierdzenie stopnia i pełne wykorzystanie w trybie operacyjnym.”

Bryg wziął pióro napelnione czerwonym atramentem – kolor będący jego specjalną prerogatywą – i skreślił u dołu raportu: „Wyrażam zgodę.”

Dotąd wszystko dotyczyło Morgana-pilota. Teraz zaś mógł porozmyślać o Morganie jako człowieku. Jego twarz przybrała z powrotem cierpki i surowy wyraz. Wyprowadzenie się Debory z domu niemal natychmiast po tym, jak Dawid zjawił się w Jerozolimie, nie mogło być traktowane jako zwykły zbieg okoliczności przez kogoś tak jak Bryg wyćwiczonego w odczytywaniu symptomów i dochodzeniu ukrytych motywów kierujących ludzkim postępowaniem.

W ciągu dwóch dni, po kilku telefonach przekonał się, że Debora korzysta z pokoju w hotelu uniwersyteckim wyłącznie jako miejsce do przyjmowania znajomych i korespondencji, a faktycznie mieszka w warunkach znacznie bardziej luksusowych.

Bryg nie aprobował takiego stanu rzeczy, i to zdecydowanie. Zdawał sobie jednak sprawę, że zmiana nie leży w zasięgu jego możliwości. Wiedział, że córka odziedziczyła po nim stalowy upór. Konflikty między nimi przybierały charakter kataklizmów, które wstrząsały rodziną do samych jej podstaw i rzadko kończyły się zadowalającym kompromisem.

Jakkolwiek Bryg spędzał dużo czasu wśród młodych ludzi, nie był w stanie nie tylko przejąć postulowanego przez nich nowego systemu wartości, ale nawet choćby teoretycznie go zaakceptować. Wspominał udreki swej własnej, długotrwałej i niezaspokajanej namiętności do Rut z dumą, niczym weteran przywołujący obrazy dawno stoczonej, chwalebnej kampanii.

Cóż, dobrze przynajmniej, że ma dość rozsądku, by się z tym nie afiszować i nie

okrywać hańbą rodziny. Oszczędziła tego matce – powiedział do siebie i zdecydowanym ruchem zamknął tekturową teczkę.

Dauphin wezwał Dawida do swego biura i poinformował o zmianie jego statusu. Odtąd miał się on znajdować stale w stanie „zielonej” gotowości, co oznaczało cztery doby tygodniowo spędzane w bazie.

Kolejnym etapem szkolenia był trening spadochroniarski – nauka i doskonalenie technik walki wręcz i przy użyciu broni innych niż broń palna. Pilot katapultujący się nad terytorium arabskim miał znacznie większe szanse przeżycia, jeżeli dysponował takimi umiejętnościami.

Z gabinetu Dauphina Dawid poszedł prosto do telefonu w świetlicy dla pilotów. Złapał Debore, zanim opuściła gmach Lautermana, by udać się na lunch.

– Grzej łóżko, mała. Wracam do domu jutro wieczorem! – oznajmił.

Podczas drogi do Jerozolimy Dawid prowadził samochód zatopiony w myślach i nie słuchał tego, co mówi Joe, dopóki ten nie szturchnął go mocno kciukiem w zębra.

– Przepraszam, Joe. Zamyśliłem się.

– Daj już spokój. Od tych twoich myśli szyby zachodzą mgłą.

– A o czym mówiłeś?

– O ślubie. Moim i Hanny.

Dawid uprzytomnił sobie, iż do daty ślubu pozostawał rzeczywiście już tylko miesiąc. Wyglądało na to, że podniecenie wśród kobiet osiągało z wolna punkt kulminacyjny. Listy Debory pełne były wzmianek o postępujących przygotowaniach.

– Byłbym szczęśliwy, gdybyś zechciał zostać moim świadkiem. Tym razem ty poleciałbyś jako skrzydłowy, a ja prosto na cel.

Dawid orientował się, że ta prośba honoruje go w szczególny sposób, toteż przyjął propozycję z całą należną powagą. W głębi ducha był rozbawiony. Joe i Debora bowiem, podobnie jak większość młodych Izraelczyków, z którymi miał okazję rozmawiać, utrzymywali, iż obca im jest tradycyjna religijność. Przekonał się jednak, że jest to tylko pewna poza. Wszyscy oni byli bardzo świadomi swojego religijnego dziedzictwa i dobrze obeznani z historią i praktyką judaizmu. Przestrzegali wszystkich praw i nakazów, które nie były szczególnie restryktywne i które dawały się jakoś pogodzić z nowoczesnym, aktywnym sposobem życia.

Bycie religijnymi oznaczało dla nich ubieranie się na czarno i przywdziewanie kapeluszy o szerokich rondach, podobnych do tego, jaki nosiła ultraortodoksyjna Mea Szearim, oraz przestrzeganie reguł dotyczących życia codziennego, które jednak kruszyły się w konfrontacji z jego realiami.

Ślub Joego i Hanny miał mieć charakter tradycyjny, odbyć się przy zachowaniu

całego rytuału wraz z jego ceremoniałem i bogatą symboliką, a jedyną komplikację stanowiły absolutnie konieczne w tych szczególnych okolicznościach środki bezpieczeństwa.

Ceremonia miała odbyć się w ogrodzie Bryga, ponieważ Hanna była sierotą, a także z tego względu, że ogród otoczony murem na kształt fortecy był łatwiejszy do strzeżenia. Wśród gości miało być wiele postaci z wysokich kręgów wojskowych i rządowych.

– Przy ostatnim podliczaniu mieliśmy na liście pięciu generałów i osiemnastu pułkowników – powiedział Joe. – Do tego większość członków gabinetu ministrów. Nawet Golda Meir obiecała, że postara się wziąć udział w uroczystości. Widzisz więc, że bylibyśmy smakowitym kąskiem dla zuchów z „Czarnego Września”.

Joe skrzywił się i przypalił dwa papierosy, z których jeden podał Dawidowi.

– Gdyby nie Hanna... sam wiesz, czym jest ślub dla kobiet – najchętniej poszedłbym z nią po prostu do biura meldunkowego.

– Przyznaj, że tak naprawdę to właśnie o to ci chodzi.

– Jasne – twarz Joego wypogodziła się. – To dobrze móc być ze sobą cały czas razem, mieć własny kąt, tak jak ty i Debora. Szkoda, że Hanna nie miała do tego praktycznego podejścia. Cały rok narzeczeństwa – pokiwał głową. – Dzięki Bogu, to już się kończy.

Dawid wysadził Joego w alejce przy domu w dolinie Ain Karem.

– Nie będę nawet próbował zaprosić cię do środka – rzekł Joe. – Domyślam się, że masz inne plany.

– I słusznie się domyślasz – odparł Dawid z uśmiechem. – Wpadniesz do nas z Hanną? Przyjdźcie na obiad jutro wieczorem.

Joe pokręcił głową.

– Niestety, jutro jedziemy z Hanną do Aszkelonu odwiedzić groby jej rodziców. Tradycja nakazuje zrobić to przed ślubem. Może zajrzemy do was w sobotę.

– W porządku, niech będzie sobota. Debora bardzo się ucieszy. Szalom, Joe.

– Szalom, szalom – odrzekł Joe i Dawid ruszył tak, że ziemia trysnęła spod opon. Nagle zaczęło mu się bardzo spieszyć.

Drzwi na taras stały otworem, a Debora czekała na niego w środku. Drżała z podniecenia, siedząc z podwiniętymi nogami na jednym ze świeżo nabytych, skórzanych foteli, miała świeżo umyte włosy i była ubrana w kaftan z delikatnego jedwabiu w subtelne, miodowe wzory, współgrające z ciemnozłocistym blaskiem jej oczu.

– Dawid, Dawid! – zawołała ujrawszy go, zerwała się z fotela i jak połyskująca jedwabiem błyskawica, boso, pomknęła na spotkanie. Dawid chwycił ją w ramiona,

śmiejąc się uniósł w górę, a ona oplótła nogami jego biodra.

Później Debora zabrała Dawida na obchód domu. Oprowadzała go z dumą po pokojach, prezentując mu wszystkie zmiany i nowe nabytki, które w sumie sprawiły, że podczas jego nieobecności pustawa willa przemieniła się w prawdziwy dom. Jeszcze przed wyjazdem Dawidowi udało się przekonać Deborę, że koszty nie odgrywają w tym przypadku istotnej roli, określili również styl mebli, które wykonał arabski rzemieślnik, a Debora porozstawiała według przyjętego planu. Wszystkie były wykonane w ciemnym drewnie, wykończone mosiądzem i miękką skórą, a równowagę zapewniały makaty o jasnych barwach. Jedyną rzeczą, co do której wcześniej się nie porozumiewali, był duży obraz olejny na płótnie, bez ramy, który Debora zawiesiła na świeżo pomalowanej białej ścianie na wprost drzwi prowadzących na taras. Oprócz niego na ścianie tej nie było nic, wszystko bowiem byłoby niestosowne. Był to pejzaż odznaczający się ogromną siłą wyrazu, widok pustyni oddający samą duszę dzikiego pustkowia, przedstawiony w intensywnych, jaskrawych barwach, które zdawały się rozlewać po pokoju i rozświetlać go niby promienie prawdziwego pustynnego słońca.

Debora zaciskała dłonie i w napięciu obserwowała twarz Dawida, który długo wpatrywał się w malowidło.

– No, no – mruknął w końcu z wyrazem uznania i podziwu.

– Podoba ci się? – spytała, chcąc się upewnić. Widać było, że odczuła ogromną ulgę.

– Jest znakomity. Gdzie go kupiłeś?

– To prezent od autora. A właściwie autorki. To moja stara przyjaciółka.

– Jest malarką?

– Tak. Jutro pojedziemy do niej do Tyberiady na lunch. Opowiedziałam jej o tobie i chciałyby cię poznać.

– Jaka ona jest?

– Jest jedną z najwyżej cenionych artystek w Izraelu. Nazywa się Ella Kadesz, a co do reszty, to nie potrafiłabym jej ot tak, po prostu, scharakteryzować. W każdym razie obiecuję ci dzień pełen wrażeń.

Debora przygotowała specjalną potrawę z mięsa jagnięcia i oliwek, którą jedli, siedząc pod drzewem na tarasie. Rozmowa zaczęła się obracać wokół ślubu Joego i w trakcie wymiany uwag na ten temat Dawid zadał, ni stąd, ni zowąd, pytanie:

– Dlaczego zdecydowałaś się zamieszkać ze mną bez ślubu?

Upłynęła chwila, zanim Debora odpowiedziała.

– Zorientowałam się, że jestem w tobie zakochana, a zdawałam sobie sprawę, że jesteś zbyt niecierpliwy, by zaakceptować długi okres wyczekiwania. Wiedziałam, że jeśli tego nie zrobię, mogę znowu cię stracić.

– Do dzisiaj nie zdawałem sobie sprawy z tego, jak trudna to była decyzja – stwierdził Dawid z zadumą.

Debora popijała wino i milczała. Wreszcie Dawid przerwał ciszę.

– Pobierzmy się, Deb.

– Dobrze – skinęła głową – to znakomita myśl.

– I to prędko. Tak prędko, jak to tylko możliwe.

– Ale nie przed Hanną. Nie chcę kraść jej tego dnia.

– W porządku – zgodził się Dawid. – Ale zaraz potem.

– Panie Morgan, sam wyznaczył pan datę swojej egzekucji.

Droga do Tyberiady zajmuje trzy godziny, wstali więc z samego rana, gdy tylko słońce przedarło się przez żaluzje, wyświetlając tygrysi wzór na ścianie nad łóżkiem. Aby oszczędzić czas, wykąпали się wspólnie, pogrążeni po pachy w wonnej pianie.

– Ella jest osobą o najbardziej bezceremonialnym sposobie bycia, jaki można sobie wyobrazić – oznajmiła ostrzegawczo Debora. Tego ranka, z włosami upiętymi w kok na czubku głowy, dodatkowo przewiązany różową wstążką, wyglądała skromnie i dziecinnie.

– Im większe zrobisz na niej wrażenie, tym bardziej będzie szorstka, oczekując po tobie takiego samego zachowania. Tak więc, proszę cię, staraj się utrzymać nerwy na wodzy.

Dawid zgarnął na palec płachetek piany i rozsmarował go na czubku jej nosa.

– Obiecuję.

Dojechali do Jerycha, a potem skierowali się na północ doliną Jordanu, wzdłuż wysokiego ogrodzenia z drutu kolczastego, opatrzonego tablicami ostrzegającymi przed polami minowymi. Zmotoryzowane patrole straży granicznej sunęły niespiesznie skrajem wijącej się drogi.

W dolinie panował upał, jechali więc z opuszczonymi szybami, a Debora uniosła spódnicę aż do bioder, by ochłodzić nieco swe długie, opalone nogi.

– Lepiej nie rób tak, jeśli chcesz, żebyśmy zdążyli na lunch – ostrzegł ją Dawid i Debora natychmiast ściągnęła spódnicę w dół.

– Nigdy nie można czuć się bezpiecznie, jeżeli ty jesteś w pobliżu – odrzekła z nadąsaną miną.

Jałowa pustynia skończyła się i wjechali na tereny uprawne, należące do kibuców położonych nad jeziorem Genezaret! Zapach kwitnących pomarańczy był tak intensywny w tym upale, że niemal zatykał płuca. W końcu dostrzegli przed sobą wody jeziora połyskujące między pniami palm daktylowych i Debora dotknęła ramienia Dawida.

– Zwolnij teraz. Ella mieszka parę kilometrów stąd. Musimy zjechać w bok na tamtym zakręcie przed nami.

Polna droga wiodła do brzegu jeziora i kończyła się przy starożytnym murze z bloków kamiennych, pod którym stało już kilka samochodów.

– Ella wydaje jedno ze swoich przyjęć – stwierdziła Debora i poprowadziła Dawida do furtki w murze. Za nim znajdowało się coś, co przypominało ruinę zamku. Szczątki ścian z pocerniałego od starości kamienia sterczały z kupy gruzów, tworząc dziwaczny widok. Były zwieńczone świeżymi, zielonymi pędami tropikalnego pnącza, a jeszcze wyżej pióropusze wysokich palm poruszały się w podmuchach lekkiej bryzy. Inne egzotyczne, kwitnące krzewy rosły na trawniku.

Część ruin została odrestaurowana i przebudowana na osobliwie wyglądające domostwo, rozparte nad brzegiem, wzbogacone o obszerne patio i kamienne moło, do którego uwiązana była motorówka. Po drugiej stronie jeziora Wzgórza Golan tworzyły ciemny masyw, przypominający grzbiet wieloryba.

– Była tu kiedyś twierdza krzyżowców – wyjaśniła Debora. – Stanowiła jeden z posterunków kontrolujących transport przez jezioro i fragment całego łańcucha podobnych umocnień, ciągnącego się aż do Hittin, który muzułmanie zniszczyli, wypierając krzyżowców z Palestyny. Dziadek Elli nabył tę ruinę w czasach, gdy administratorem tych terenów był marszałek Allenby, ale dopiero Ella zajęła się odbudową po skończonej wojnie czterdziestego ósmego roku.

Wyraźną troskę o to, by wprowadzając zmiany nie unicestwić romantycznego piękna tego miejsca, należało niewątpliwie przypisać wyszukanemu smakowi artystycznemu Elli Kadesz, której wygląd z kolei wydawał się zaprzeczeniem wszelkiego dobrego smaku.

Była wielka. Nie gruba ani też wysoka, ale właśnie, po prostu – wielka. Miała nadzwyczaj duże stopy i dłonie, na palcach mnóstwo biżuterii, bransoletek i pierścionków z półszlachetnymi kamieniami, a paznokcie u palców jej stóp, wystające z sandałów, pokryte były szkarłatnym lakierem, jak gdyby chciała w ten sposób podkreślić jeszcze ich rozmiary. Wzrostem równała się Dawidowi, lecz obfita, nieforemna suknia, w której wyglądała tak, jak gdyby zarzuciła na siebie namiot, na domiar złego z materiału w jaskrawe, krzykliwe wzory, czyniła ją jeszcze cięższą, tak iż w rezultacie wydawało się, że jest jej dwa razy tyle, co Dawida. Na głowie miała perukę z ufryzowanych w kopiec, płomiennie rudych włosów, a z uszu zwisały jej ciężkie, złote kółka. Do umalowania oczu musiała zapewne użyć szpachli, a róż nałożyć za pomocą pistoletu natryskowego. Wyjęła z ust cienkie, czarne cygaro i ucałowała Debora, a następnie obróciła się ku Dawidowi i zaczęła go studiować.

– Nie przypuszczałam, że jesteś taki piękny – powiedziała, a Debora poruszyła się

niespokojnie, widząc wyraz oczu Dawida. – Nie lubię piękna. Często bywa ono zwodnicze albo trywialne. Zwykle stanowi zasłonę dla czegoś śmiertelnie groźnego, jak połyskliwe piękno kobry, bądź też, jak śliczny papierek na cukrowym batoniku, jest słodką obietnicą spowijającą mdły miąższ – potrząsnęła sztywnymi od lakieru loczkami peruki i przewiercała Dawida małymi, bystrymi oczyma. – Tak, ja nad piękno stanowczo przedkładałam brzydotę.

Dawid uśmiechnął się do niej tak czarująco, jak tylko potrafił.

– Rzeczywiście, widząc teraz ciebie, a przedtem jeden z twoich obrazów, można uwierzyć w szczerść tego wyznania.

Ella roześmiała się rechotliwie i wetknęła z powrotem cygaro do ust.

– No, przynajmniej nie mamy do czynienia z czekoladowym żołnierzykiem – powiedziała, objęła Dawida za ramiona ciężką łapą i poprowadziła go ku pozostałym gościom.

Było ich dwanaścioro, mężczyzn i kobiet, artystów, ludzi pióra, wykładowców i dziennikarzy. Dawidowi przyjemnie było siedzieć obok Debory, popijając piwo i prowadząc miłą konwersację. Jednak Ella nie zamierzała dać mu spokoju i kiedy zasiedli do podanej w olbrzymiej misie potrawy, sporządzonej z ryb i z drobiu, przypuściła kolejny atak.

– Ta wasza wojskowa duma, to nadęcie, blichtr i napuszenie – niech je piekło pochłonie, powiadam, niechaj szlag trafi wasz patriotyzm i wasze męstwo, do diabła z waszą nieustraszoną i orderami. To wszystko pretensjonalna błaga i oszukańczy pozór, mający usprawiedliwiać to, że zasmradzacie tę ziemię odorem gnijących trupów.

– Ciekaw jestem, czy powtarzałybyś to samo, będąc gwałcona przez pluton Syryjczyków – odparł Dawid, podejmując wyzwanie.

– Mój chłopcze, tak trudno mi już teraz znaleźć kogoś, kto by się na mnie położył, że modliłabym się o taki dar niebios!

Parsknęła śmiechem, przy czym peruka zsunęła się jej na czoło, tworząc komiczny widok. Nic nie było w stanie jej zdeprimować – poprawiła perukę i atakowała dalej.

– Twoja samcza napuszonosc, egoistyczna arogancja... Dla ciebie ta kobieta – wskazała indyczą nogą na Deborę – jest wyłącznie naczyniem, w które beztrudno wtryskujesz swą spermę. Nie ma dla ciebie znaczenia, że ona jest nadzieją na przyszłość, że ma w sobie zadatki wielkiego pisarskiego talentu. Nie, dla ciebie jest ona jedynie rozkosznym przedmiotem, poręcznym narzędziem do osiągnięcia...

– Przestań, Ella! To już doprawdy za dużo. Nie pozwolę na dyskusję spraw mojej sypialni! – przerwała jej Debora, na co Ella odwróciła się do niej z bojowym błyskiem w oczach.

– Twój talent nie należy wyłącznie do ciebie, tak, byś mogła dysponować nim, jak ci się podoba. On jest ulokowanym u ciebie kapitałem należącym do całej ludzkości, wobec której masz przeto szczególne zobowiązanie. Polega ono na doskonaleniu tego daru, zabieganiu o to, by rósł, rozkwitał i dawał owoce.

Mówiąc to, postukiwała indyczą nogą – tak jak sędzia młotkiem – o brzeg talerza, usiłując stłumić widoczny protest Debory.

– Czy napisałaś choćby słowo, odkąd ten młody bóg wojny zamieszkał w twoim sercu? A o jakiej to noweli dyskutowaliśmy właśnie na tym tarasie rok temu? Czy ta zwierzęca chuć wymiotła z ciebie wszystko inne? Czy skomlenie jajników...

– Dosyć, Ella! – krzyknęła Debora. Teraz była już wyraźnie zła, miała wypieki na policzkach, a jej oczy sypały iskry.

– A tak, tak! – Ella cisnęła ogryzioną kość na stronę i teraz oblizywała palce z tłuszczu. – Słusznie się wstydzisz, dobrze, że sama się obwiniasz.

– Niech cię diabli wezmą!

– Przeklinaj mnie, jeśli chcesz, ale sama będziesz przeklęta, jeżeli nie zaczniesz pisać. Pisz, pisz, dziewczyno!

Ella odchyliła się, budząc jękliwy protest wiklinowego fotela.

– Na razie starczy. Teraz pójdziemy popływać. Dawid nie widział mnie jeszcze w bikini – kiedy zobaczy, na pewno machnie ręką na to cherlawe dziewczątko!

Wracali do Jerozolimy już po zapadnięciu zmroku, pokryci świeżą opalenizną. Chociaż fotele w mercedesie nie były dostosowane do potrzeb kochanków, Debora starała się siedzieć jak najbliżej Dawida.

– Ona ma rację, zdajesz sobie z tego sprawę? – Dawid przerwał długotrwałe milczenie. – Musisz pisać, Deb.

– No pewnie. Zacznę pisać – odparła lekko Debora.

– Kiedy? – nalegał Dawid, a ona przysunęła się doń jeszcze bliżej, by odwieść jego myśli od tego tematu.

– Któregoś dnia – szepnęła, opierając wygodnie ciemną głowę na jego ramieniu.

– Któregoś dnia – powtórzył z wyraźną ironią.

– Nie dokuczaj mi, Morgan – poprosiła sennym głosem.

– A ty nie rozmawiaj ze mną jak z półgłówkiem – wolną ręką poczochnął ją po głowie – i nie zasypiaj, kiedy mówię do ciebie.

– Dawid, kochanie, mamy przecież bardzo dużo czasu, całe życie i jeszcze więcej – wymruczała. – Uczyniłeś mnie nieśmiertelną. Będziemy żyli tysiąc lat i wtedy znajdzie się czas na wszystko.

Być może usłyszeli to jacyś mroczni bogowie i przelali w nich swoją własną reakcję, bo w tym samym momencie oboje roześmiali się i tracili nawzajem łokciami.

W sobotę Joe i Hanna przyszedli z wizytą na ulicę Melchizedeka i po obiedzie zdecydowano, by zrobić wycieczkę, która mogłaby być interesująca dla Dawida. Wkrótce cała czwórka rozpoczęła wspinaczkę na górę Syjon. Dotarli do labiryntu korytarzy prowadzących do grobu króla Dawida, okrytego wspaniale haftowaną materią, na której spoczywały srebrne kofony i futerały na Torę. Stąd było już tylko kilka kroków do znajdującego się w tym samym kompleksie zabudowań pomieszczenia, gdzie Chrystus spożywał ostatnią wieczerzę ze swymi uczniami. Tak ściśle splatały się tu ze sobą tradycje judaizmu i chrześcijaństwa.

Później przez Bramę Syjonu weszli do starej części miasta i podążyli wzdłuż muru ku centrum całego judaizmu – wysokiemu masywowi z potężnych kamiennych bloków, ułożonych na sposób stosowany w czasach herodiańskich, będących wszystkim, co pozostało ze sławetnej drugiej świątyni Heroda, zburzonej dwadzieścia wieków temu przez Rzymian.

Zostali zrewidowani przy wejściu, po czym włączyli się w strumień wiernych, sunący w kierunku Ściany Płaczu. Stanęli przy barierze i stali tak długi czas w milczeniu. Dawid ponownie poczuł, jak budzi się w nim ukryta głęboko pamięć jego rasy – wypełniająca duszę ssące uczucie próżni, domagającej się wypełnienia.

Mężczyźni modlili się, zwróceniem twarzami do muru. Wielu z nich miało na sobie długie, czarne płaszcze, jakie noszą ortodoksyjni Żydzi, a skręcone pejsy dyndały im wokół policzków, gdy pochylali się i prostowali w modlitewnej ekstazie. Kobiety, modlące się w wydzielonym miejscu po prawej stronie, zachowywały się pod tym względem powściągliwiej.

W końcu Joe odezwał się, jak gdyby nieco zawstydzony, trochę schrypniętym głosem:

– Chyba pójde tam na chwilę, żeby odmówić szema.

– Ja też – podchwyciła Hanna. – Pójdiesz ze mną? – zwróciła się do Debory.

– Tak, chwileczkę – odparła Debora i zwróciła się do Dawida, wyjmując jednocześnie coś z torby. – Zrobiłam to dla ciebie na ślub – powiedziała – ale włóż już teraz.

Była to jarmułka, modlitewna czapeczka z czarnego jedwabiu.

– Idź z Joem – powiedziała. – On powie ci, co robić.

Dziewczęta skierowały się do miejsca przeznaczonego dla kobiet, a Dawid nasadził jarmułkę na głowę i udał się za Joem.

Przy murze podszedł do nich szames, starzec z długą, białą brodą i pomógł Dawidowi przywiązać do prawej ręki skórzane pudełeczko zawierające papierowy zwitek – fragment Tory.

– „I będziesz nosił te słowa w sercu swoim i w duszy swojej, i uwiążesz je na znak na prawicy twojej...”

Następnie zarzucił mu na ramiona tallit, ozdobiony frędzlami wełniany szal, podprowadził go do ściany i zaczął recytować słowa, które powtarzał za nim Dawid:

– „Słuchaj, Izraelu: Pan, Bóg nasz, jest jedynym Bogiem...”

W miarę jak Dawid przypominał sobie słowa zapamiętane w odległej przeszłości, jego głos brzmiał coraz mocniej i pewniej. Unosił wzrok w górę, mając przed sobą i ponad sobą piętrzący się mur z kamiennych bloków. Tysiące wiernych, modlących się w tym miejscu przed nim, pospisywało swoje prywatne modlitwy na świstkach papieru i powtykało je w szczeliny pomiędzy blokami. Wokół rozbrzmiewał niejednolity, modlitewny chór. Oczyma wyobraźni widział Dawid złocisty promień, po którym owe modły wznoszą się z tego świętego miejsca w niebiosa.

Potem poszli dalej i po stromych schodach weszli do kwartału żydowskiego. Dobre samopoczucie nie opuszczało Dawida, czuł się pogodnie i lekko.

Wieczorem siedzieli na tarasie, popijając piwo i łuskając pestki słonecznika. Rozmowa, co zrozumiałe, zeszła na temat Boga i religii.

– Na pierwszym miejscu jestem Izraelczykiem, a potem dopiero Żydem – upierał się Joe. – Przede wszystkim liczy się dla mnie mój kraj, a religia ma o wiele mniejsze znaczenie.

Dawid pamiętał jednak wyraz malujący się na jego twarzy, gdy modlił się obok niego pod murem. Wymiana poglądów i uwag przeciągnęła się do późna i rozmowa ta pozwoliła Dawidowi zdać sobie lepiej sprawę z ogromu jego religijnego dziedzictwa.

– Będę musiał zapoznać się nieco bliżej z tym wszystkim – stwierdził na koniec.

Debra nie powiedziała na to nic, ale nazajutrz, szykując mu rzeczy do zapakowania przed wyjazdem do bazy, na wierzchu upranych i złożonych w kostkę mundurów położyła książkę Hermana Wouka – To jest mój Bóg.

Dawid przeczytał ją, i kiedy znów zjawił się w domu, poprosił o dalsze książki na ten temat. Debra dostarczała mu je systematycznie, najpierw prace w języku angielskim, później, gdy opanował lepiej rodzimy język, także po hebrajsku. Nie były to wyłącznie dzieła poświęcone religii, lecz także rozmaite opowieści i opracowania na tematy historyczne, które zaostrzały jego zainteresowanie owym starożytnym centrum cywilizacji, będącym od tysiącleci miejscem, gdzie rozchodziły się jej drogi, i zarazem wielkim polem bitewnym. Czytał więc wszystko, co włożyła mu do walizki, od Józefa

Flawiusza po Leona Urisa.

Lektury te zachęciły go z kolei do bliższego przyjrzenia się tej ziemi i zwiedzenia miejsc, które zapisały się na trwałe w jej historii. Doszło do tego, że większość wolnego czasu spędzali z Deborą na takich właśnie wyprawach. Rozpoczęli od ruin wzniesionej na skalnym szczycie fortecy Heroda, Masady, gdzie oblężeni zeloci woleli raczej ginąć z ręki swych towarzyszy niż oddać się żywymi w ręce Rzymian. Później starali się unikać miejsc odwiedzanych tłumnie przez turystów, wybierając mniej znane obiekty.

Zdarzało się, że przegrzebawszy koryto jakiegoś wyschniętego strumienia w poszukiwaniu monet i grotów strzał splukanych ze zboczy przez deszcze, siadali w upalne popołudnie na szczątkach rzymskiego akweduktu, wyjmowali z koszyka suchy prowiant i pożywiali się, śledząc lot sokoła krążącego ponad słupami pary unoszącej się z gorących źródeł na pustyni. Nie opodal piętrzyły się skalne szczyty wzgórz o złocistej barwie. Światło dnia było tak intensywne i czyste, że wzrok sięgał z łatwością najdalszych krańców horyzontu, a cisza panowała taka, iż mogło im się zdawać, że są jedyną parą ludzi na świecie.

Dla Dawida były to najszcześniejsze dni w całym jego dotychczasowym życiu, dni przydające sensu i ważkiego znaczenia nużącym godzinom spędzonym w stanie gotowości bojowej. A kiedy kolejny taki dzień kończył się, zawsze był jeszcze dom na ulicy Melchizedeka, dom pełen śmiechu, ciepła i miłości.

Joe i Dawid otrzymali urlop w związku ze zbliżającym się weselem. Czas był względnie spokojny, toteż pułkownik Dauphin nie protestował, tym bardziej że sam miał być gościem na ślubie.

Obaj zjawili się w Jerozolimie w przeddzień uroczystości i natychmiast zostali zaprzęgnięci do najrozmaitszych prac. Dawid harował jako kierowca, przesiadając się tylko ze swego wozu do ciężarówki i z powrotem. Mercedes woził wszystko, od kwiatów i instrumentów muzycznych począwszy, a na bliższych i dalszych krewnych skończywszy.

Ogród Bryga został przystrojony palmowymi liśćmi i kolorowymi bukietami. Pośrodku umieszczono chuppę, czyli baldachim ozdobiony bogato symbolami religijnymi, wyhaftowanymi złotą i niebieską nicią, z gwiazdą Dawida, kiściami winogron, kłosami pszenicy, owocami granatu oraz innymi symbolami płodności i urodzaju. Pod nim właśnie miała się odbyć ceremonia zaślubin. Stoły składające się z krzyżaków i położonych na nich blatów poustawiano pod drzewami, przykryto barwnymi obrusami, ustrojono kwiatami i zastawiono paterami pełnymi owoców. Przygotowano miejsca dla trzystu osób, placyk mający służyć za parkiet i zbite z belek

podwyższenie dla orkiestry, obwieszane wstęgami i chorągiewkami.

Zadanie przygotowania uroczystości od strony kulinarnej powierzono wyspecjalizowanej firmie, a menu zostało bardzo szczegółowo ustalone podczas narady szefa firmy z kobietami. Obejmowało dwa główne dania: faszerowanego tuńczyka, będącego również symbolem płodności, oraz danie z baraniny przyrządzonej na modłę beduińską, serwowane na olbrzymich miedzianych tacach.

W dniu ślubu Dawid zawiózł Deborę do domu głównego chirurga szpitala Hadassa. Hanna była jedną z podległych mu siostr i zarazem najbliższych współpracownic, bardzo więc nalegał, by skorzystała z jego mieszkania przy ostatnich przygotowaniach do ślubu. Debora miała jej przy tym asystować, toteż Dawid zostawił ją tam, a sam udał się do Ain Karem. Alejka prowadząca do domu była zamknięta dla ruchu i roiła się od czuwających nad bezpieczeństwem tajnych agentów i spadochroniarzy.

Podczas gdy Joe ubierał się, gubił, znajdował i znów gubił obrączkę ślubną, spocony i zdenerwowany, Dawid obserwował go, wyciągnięty na jego łóżku, i udzielał mu dobrych rad. Kiedy dobiegający z dołu gwar stawał się coraz głośniejszy, Dawid wstał z łóżka i podszedł do okna. Zobaczył pułkownika lotnictwa poddawanego drobiazgowej rewizji przy bramie, który jednak znosił tę operację nie okazując niezadowolenia czy zniecierpliwienia.

– Dają im niezły wycisk przy bramie – zauważył Dawid, odwracając się do Joego.

– Hanna bardzo zabiegała o to, by jak najmniej ochroniarzy było w ogrodzie. Dlatego tak dokładnie sprawdzają przy wejściu – odparł Joe, który właśnie skończył się ubierać.

– Jak wyglądam? – spytał.

– Niezwykle szykownie. Cholerny przystojniak z ciebie.

– Odpieprz się, Morgan – Joe skrzywił się w półśmiechu, nasadził czapkę na głowę i spojrzał na zegarek. – Idziemy.

Główny rabin izraelskich sił zbrojnych czekał już w gabinecie Bryga w towarzystwie gospodarza i paru innych osób. Był to człowiek o łagodnym wyglądzie i sposobie bycia, który podczas wojny sześćdziesiątego siódmego roku w pojedynkę oswobodził Groby Patriarchów. W trakcie ofensywy na Hebron przedarł się jeepem przez linie rozpadającej się arabskiej obrony, serią z ręcznego karabinu maszynowego otworzył drzwi sanktuarium i wrzeszcząc wpadł do środka jak huragan, tak że arabska załoga uciekła przez tylny mur.

Joe zasiadł przy biurku Bryga i podpisał ketubę, kontrakt małżeński, po czym rabbi wręczył mu jedwabną chustę, którą Joe uniósł w górę na znak formalnego nabycia swych praw, czemu zawtórowały chóralne *mazal tow!* i gratulacje świadków. Następnie grupa otaczająca pana młodego wyszła na zewnątrz, do ogrodu, aby tam oczekiwać przybycia

oblubienicy. Ta wkrótce pojawiła się, krocząc w towarzystwie swojego przełożonego ze szpitala oraz ubranych strojnie kobiet, między którymi znajdowała się Debora wraz z matką. Cały orszak niósł w dłoniach zapalone świece.

Dawidowi Hanna nigdy nie wydawała się szczególnie atrakcyjna jako kobieta – była za wysoka, miała zbyt kanciastą figurę i surowy wyraz twarzy. Jednak teraz, w białym, ślubnym welonie, uległa jakby przeistoczeniu. Zdawała się frunąć na białej fali spienionych falbanek i koronek, welon zmiękczał rysy jej twarzy, a miało w tym niewątpliwie także swój udział przenikające ją poczucie szczęścia, którym pałały jej zielone oczy. Złocistorude loki okalały jej policzki, a piegi znikły pod makijażem, zrobionym troskliwą ręką Debory. Umiejętnie nałożone cienie łagodziły ostry zarys nosa i w rezultacie Hannah zbliżyła się do ideału piękna kobiecego na tyle, na ile tylko było to możliwe.

Joe, rosły i dobrze prezentujący się w mundurze lotnika, ruszył żywo, by spotkać ją w bramie i opuścić jej welon na twarz – była to tradycyjna ceremonia, zwana *bedeken dikalle*.

Następnie Joe ruszył pod baldachim, gdzie czekał już rabbi, mający *tallit* na ramionach. Za Joem kobiety poprowadziły pod baldachim Hannę, a każda z nich wciąż trzymała w ręce zapaloną świecę. Rabbi zaczął wyśpiewywać powitanie i modlitwę, podczas gdy kobiety wraz z panną młodą okrążyły Joego siedmiokrotnie w magicznym kręgu, który w zamierzonych czasach miał służyć odpędzeniu złych duchów. Potem stanęli obok siebie, zwrócenie twarzami w kierunku jerozolimskiej świątyni, mając przy sobie świadków, a o krok dalej zbity tłum gości. Rozpoczęła się właściwa ceremonia.

Rabbi wygłosił błogosławieństwo nad kielichem wina, z którego następnie napiła się oblubienica, a po niej oblubieniec. Z kolei Joe odwrócił się do Hanny, której twarz wciąż przysłaniał welon, i na wskazujący palec prawej ręki wsunął jej obrączkę za szczerego złota.

– Oto zostajesz mi poświęcona tą obrączką według prawa Mojżesza i Izraela.

Na koniec Joe rzucił na ziemię kielich, z którego pili, i zmiażdżył go obcasem, a dźwięk kruszonego szkła był sygnałem rozpoczęcia wesela. Zagrała muzyka, wybuchł gwar, zapanowała radość i wesołość. Dawid zostawił Joego i zaczął przepychać się przez tłum do miejsca, gdzie czekała na niego Debora.

Była ubrana w żółtą suknię, a ciemne, lśniąco włosy przybrane miała kwiatami. Dawid poczuł zapach jej perfum, gdy objąwszy ją zaborczo, szepnął groźnie do ucha:

– Teraz na ciebie kolej, moja śliczna!

Odpowiedziała mu, również szeptem:

– Tak, proszę, bardzo proszę!

Joe wziął Hannę pod rękę i poprowadził ją na zaimprovizowany parkiet. Orkiestra zagrała skoczną melodię i wszyscy młodszy podążyli za nimi, podczas gdy starsi rozproszyli się po ogrodzie, skupiając się przy stołach, osłoniętych daszkami z palmowych liści.

Mimo radosnej i wesołej atmosfery mnogość mundurów przydawała uroczystości nieco ponurych rysów. Prawie co drugi mężczyzna był w mundurze, a u wejścia do pomieszczeń kuchennych i przy bramie stali spadochroniarze z pistoletami maszynowymi przewieszonymi przez ramię. Łatwo było też wysledzić tajnych agentów ochrony, ubranych po cywilnemu, którzy bez uśmiechu na twarzach, czujni i skupieni krążyli pomiędzy gośćmi.

Dawid tańczył z Deborą, która w jego ramionach zdawała się tak lekka i zwiewna, a zarazem była tak konkretna, ciepła i kobieca, że gdy orkiestra przerwała dla zaczerpnięcia oddechu, żał mu było ją puścić. Zaprowadził ją w cichy zakątek, stanęli tam i zaczęli wymieniać żartobliwe uwagi na temat gości, używając najbardziej nieparlamentarnych określeń. Przy którymś ze szczególnie ostrych epitetów Debora zachichotała i ujęła Dawida za ramię.

– Jesteś okropny – powiedziała, przysuwając się do niego, – Umieram z pragnienia. Mógłbyś przynieść mi coś do picia?

– Trochę zimnego, białego wina?

– Znakomicie – odparła, unosząc ku niemu uśmiechniętą twarz. Przez chwilę patrzyli sobie w oczy i nagle Dawid poczuł w sobie lodowate tchnienie, coś rozszczepiło się w nim, zionąc czarną pustką. Było to odczucie zgoła fizyczne, przenikające ciało, a towarzyszyła mu straszliwa rozpacz, unicestwiająca nagle całą radość – straszliwe, dojmujące przecucie utraty.

– Dawidzie, co się stało? – spytała Debora poważniejąc, wyraźnie zaniepokojona. Zaciśnęła mocniej palce na jego ramieniu.

– Nic – odparł i odsunął się od niej gwałtownie, starając się zwalczyć okropne odczucie. – Nic takiego – powtórzył, jednak ono tkwiło w nim nadal, wypełniało piersi i brzuch, wzbudzało mdłości. – Przyniosę ci wino – powiedział, odwrócił się i odszedł.

Skierował się w stronę baru, torując sobie drogę poprzez ciżbę gości. Z dala zauważył go Bryg i przesłał mu blady uśmiech. Obok Bryga stał Joe, który uśmiechnął się szeroko i jedną ręką zamachał, przyzywając Dawida, podczas gdy drugą obejmował swą świeżo poślubioną żonę. Hanna miała teraz uniesiony welon, a jej piegi zaczynały już mocno przezierać przez makijaż. Dawid pomachał ręką w odpowiedzi, ale zmierzał wciąż w stronę baru, usytuowanego na krańcu ogrodu. Wciąż dręczyło go uczucie smutku i nie miał teraz chęci rozmawiać z Joem.

Cały ogród oddzielał go od Debory, kiedy jaśniejąca bielą kurtek grupka kelnerów wkroczyła przez bramę do ogrodu. Każdy niósł olbrzymią miedzianą misę, z której, mimo słońca i upału, unosiły się smugi pary. Woń mięsa, ryby i korzeni rozeszła się po ogrodzie, drażniąc nozdrza gości, wyrażających głośny aplauz.

Tłum rozsunał się, robiąc kelnerom przejście aż do tarasu przed domem, na którym stał specjalny, duży stół. Kelnerzy szli jeden za drugim, przechodząc blisko miejsca, w którym stał Dawid. Nagle uwagę Dawida przyciągnęła postać drugiego z nich. Był to człowiek średniego wzrostu, o czarnych włosach i bardzo ciemnej twarzy, z gęstymi, zwisającymi po bokach wąsami.

Kelner pocił się. To właśnie zwróciło uwagę Dawida. Jego twarz dosłownie spływała potem, zbierającym się w krople na wąsach. Pod pachami uniesionych rąk, w których dźwigał misę, widniały również wielkie plamy potu.

W chwili gdy mijał Dawida, ich spojrzenia spotkały się na moment i Dawid natychmiast rozpoznał, że ów człowiek znajduje się w jakimś niezwykłym stanie – czy to panicznego lęku, czy też uniesienia. Kelner jak gdyby odczytał jego myśli i nerwowo uciekł oczami w bok.

Gdy trzech mężczyzn w białych marynarkach weszli po schodach i stanęli za stołem na tarasie, Dawid poczuł, że przenika go kolejny dreszcz – tym razem dreszcz podejrzania.

Kelner spojrzał ponownie na Dawida i widząc, że ten wciąż wpatruje się w jego twarz, wymamrotał coś kątem ust do jednego ze swych towarzyszy. Tamten natychmiast podążył za jego wzrokiem i momentalnie zorientował się, co oznacza napięcie widoczne w postawie Dawida. Wyraz jego twarzy wystarczył, by Dawid poczuł alarmujący dreszcz, a jego podejrzenie zamieniło się w pewność, że oto za chwilę wydarzy się tutaj coś strasznego.

Rozejrzał się, szukając rozpaczliwie strażników. Dwaj stali za plecami kelnerów, przy wejściu do domu, trzeci nie opodał niego, w bramie. Dawid rzucił się ku niemu, rozpychając i potracając gości, nie zważając na ich cierpkie uwagi. Raz po raz oglądał się za siebie, na taras, i uświadomił sobie, że nie zdąży, że to, co miało się zdarzyć, właśnie się zaczyna.

Cała akcja musiała być dokładnie zaplanowana i przygotowana.

Kelnerzy opuścili misy i wśród śmiechów i okrzyków gości ustawili je na stole, by w następnej chwili odrzucić z nich plastikowe płachty, na których leżała cienka warstwa potraw, i odsłonić ich śmiercionośną zawartość.

Kelner o ciemnej twarzy błyskawicznie wyciągnął z misy pistolet maszynowy, odwrócił się i wypuścił serię w dwóch stojących za nim spadochroniarzy. Grzmiący

trzask broni automatycznej wygłuszyły drzewa i mur okalający ogród, lecz strumień kul przeciągnął po brzuchach obu strażników niby straszliwy pazur, przecinając ich niemal na pół.

Drugi kelner, zasuszony, o małpiej twarzy i czarnych, małych oczkach, stojący po prawej stronie, również sięgnął do misy, wyciągnął też pistolet maszynowy, wymierzył i puścił serię w spadochroniarza przy bramie. Było jasne, że zamachowcy przede wszystkim starają się wyeliminować ochronę. Pistolet zadygotał w rękach bandyty i Dawid z niewielkiej odległości dosłyszał plask kul uderzających w ciało strażnika. Ten unosił właśnie swego uzi, gdy jedna z kul trafiła go prosto w usta, rozsadzając mu głowę, tak że spadochroniarski beret wyleciał wysokim łukiem w powietrze. Gdy padał, uzi wyleciał mu z rąk i ślizgając się po płytkach ścieżki przesunął się w stronę Dawida.

Teraz wszyscy trzej napastnicy skierowali lufy w weselny tłum i, zaledwie Dawid zdążył paść na ziemię przy schodach prowadzących na taras, zaczęli strzelać długimi seriami. Krzyki i jęki zlały się z grzmącym terkotem broni maszynowej.

W pewnej odległości od tarasu agent ochrony w cywilu wyszarpnął pistolet z kabury pod marynarką, chwycił go oburącz, przyklęknął, wymierzył, przycisnął dwukrotnie spust i trafił Araba o małpiej twarzy. Ten potoczył się w tył, ku ścianie, jednak nie upadł i odpowiedział jedną, ale śmiertelnie skuteczną serią. Ciało agenta potoczyło się po trawie i legło w bezruchu.

Ogród zamienił się w piekło – ludzie miotali się, padali pod gradem kul, czołgali się wśród jęków, krzyków i rżenia.

Dwie kule ugodziły Hannę w pierś, rzucając ją do tyłu, na stół pełen kieliszków i butelek. Plamy jasnej krwi wykwitły i rosły na gorsie jej białej ślubnej sukni.

Arab stojący pośrodku odrzucił pistolet maszynowy z pustym magazynkiem, schylił się nad misą i zaraz wyprostował, dzierżąc w obu dłoniach granaty. Jeden za drugim cisnął je w ogród. Dwa jaskrawe rozbłyski przyćmiły słoneczny blask, podwójny grzmot i świst odłamków metalu zagłuszyły na chwilę wszystko inne, po czym krzyk kobiet rozległ się jeszcze głośniejszy, zagłuszając niemal odgłos strzałów. Arab sięgnął ponownie do misy i wyjął kolejną parę granatów.

Wszystko to trwało zaledwie parę sekund, które wystarczyły jednak, by radosna uroczystość zamieniła się w krwawą rzeź.

W tym momencie Dawid porzucił bezpieczne miejsce pod krawędzią tarasu i błyskawicznie poturlał się w kierunku leżącego na ścieżce uzi. Chwycił go, przyklęknął i przycisnął kolbę pistoletu maszynowego do biodra. Dzięki spadochroniarskiemu treningowi jego ruchy były niemal mechaniczne.

Ranny terrorysta zobaczył go, oderwał się od ściany i zwrócił chwiejnie w jego

kierunku. Jego jedna ręka zwisała bezwładnie w poszarpanym i nasiąkniętym krwią rękawie marynarki, jednak drugą uniósł pistolet maszynowy i usiłował wycelować w Dawida.

Dawid pierwszy przycisnął spust. Kule minęły cel i obłupaly kawał tynku za Arabem. Dawid złożył się ponownie i druga seria rzuciła bandytą o ścianę. Zwiotczał, złamał się w pół, osunął na ziemię, zostawiając na białym tynku krwawą smugę.

Dawid wymierzył natychmiast w drugiego Araba, stojącego tuż obok kuchennych drzwi. Ten w obu dłoniach trzymał granaty i prawą ręką zamachnął się właśnie do rzutu. Wrzeszczał coś, co mogło być stekiem przekleństw lub triumfalnym okrzykiem, a jego historyczny dyszkant górował nad jękami ofiar.

Zanim zdążył cisnąć granat, Dawid wpakował weń całą serię, dwanaście kul, które rozerwały mu pierś i brzuch. Arab wypuścił oba granaty, zwinął się i zacisnął ręce na otwartym brzuchu, usiłując zatrzymać dłońmi ulatujące zeń życie. Granaty u stóp Araba miały odbezpieczone zapalniki i eksplodowały niemal w tym samym momencie, roznosząc na strzępy jego ciało od pasa w dół. Ich eksplozja powaliła zarazem trzeciego mordercę, który znajdował się na skraju tarasu. Dawid zerwał się na nogi i wbiegł po schodach na górę.

Trzeci i ostatni Arab był śmiertelnie ranny, odłamki granatu trafiły go w głowę i w piersi, ale wciąż jeszcze żył i słabnącą ręką wymacał pistolet maszynowy leżący obok, w kałuży jego krwi. Dawid działał jak w transie, Krzyczał coś, a jedyne, co czuł, to straszliwy, nieludzki niemal gniew i wściekłość. Znalazłszy się na najwyższym stopniu natychmiast znów przyklęknął i wycelował w umierającego terrorystę.

Ten trzymał już pistolet maszynowy i unosił go z ponurą i ślełą determinacją na pół przytomnego maniaka. Dawid nacisnął spust, pojedynczy pocisk trafił Araba, nie wywierając na nim żadnego widocznego wrażenia, i... magazynek uzi Dawida był próżny, iglica opadła ze szczękiem na pustą komorę nabożową.

U krańca tarasu, w odległości zbyt dużej, by przebyć ją jednym skokiem, widniała ociekająca potem i krwią twarz bandyty, który starał się wznieść do poziomu chwiejając się lufę pistoletu maszynowego. Życie uchodziło zeń szybko, ale całą resztkę sił obracał na dopięcie tego celu.

Dawid stał jak skamieniały, trzymając w opuszczonej ręce bezużyteczną broń. Widział, jak czarny otwór lufy kołysząc się szuka jego sylwetki, znajduje ją wreszcie i nieruchomieje, jak oczy Araba zwięzają się, jego twarz wykrzywia się w morderczym półuśmiechu, a palec zaciska na spuście.

Z takiej odległości seria z broni maszynowej może roznieść człowieka na strzępy. Dawid drgnął, chciał paść, stoczyć się w dół po schodach, lecz wiedział, że już jest za

późno. Palec Araba na spuście odbył już chyba pół drogi, kiedy nagle nie opodał Dawida, gdzieś spoza jego pleców dał się słyszeć huk rewolwerowego wystrzału.

Ołowiany pocisk dużego kalibru zdmuchnął dosłownie górną część głowy bandyty, a uderzenie pchnęło go na ścianę, o którą uderzył, chlustając na biały tynk budyniowatą zawartością czaszki. Śmiertelny skurcz zacisnął mu palec na spuście i długa seria z pistoletu maszynowego śmignęła w górę, ścinając liście pnącej się po murze winorośli.

Oszołomiony Dawid odwrócił się, by ujrzeć tuż za sobą Bryga z pistoletem martwego agenta w dłoni. Przez krótką chwilę patrzyli sobie w oczy, po czym Bryg minął go i podszedł do ciał pozostałych dwóch terrorystów. Zatrzymał się przy jednym i strzelił mu w głowę, a potem zrobił to samo przy drugim.

Dawid odwrócił się, wypuścił z ręki pistolet maszynowy i zaczął schodzić po schodach w głąb ogrodu.

Zabici i ranni leżeli pojedynczo i jedni na drugich, niby żalosne strzępy człowieczeństwa. Stłumione jęki i zawodzenia rannych, dochodzący skądś płacz dziecka i słaby głos jego matki – te dźwięki były bardziej przejmujące niż poprzednie głośne krzyki.

Cały ogród był zroszony i nasiąknięty krwią.

Krwawe plamy i smugi widniały na murze, krew stała w zagłębieniach i tworzyła strumyki na wykładanej kafelkami ścieżce, ciemne strużki wsiąkały w pył, sączyła się nitkami i spływała kroplami ze zwłok jednego z muzykantów, przewieszonych przez barierę otaczającą podwyższenie dla orkiestry. Słodkawy, mdły odór mieszał się z wonią korzennych potraw i rozlanego wina, wapiennego pyłu i ostrym swądem po eksplozjach.

Smugi dymu i pyłu snujące się nad ziemią nie mogły przesłonić straszliwego widoku. Kora oliwnych drzew zwisała strzępami z poharatanych odłamkami pni i gałęzi, odsłaniając białe rany. Ci, którzy przeżyli, poranieni i zszokowani pełzali wśród potłuczonego szkła i szczątków zastawy. Zewsząd słyhać było jęki i zakłęcia, ciche skargi i wołania o pomoc.

Dawid zszedł wolno po schodach. Jego stopy poruszały się same, mięśnie miał zdrętwiałe, ciało pozbawione czucia i tylko koniuszki palców pozostawały ciepłe i wrażliwe.

Joe stał pod jednym z oliwnych drzew. Stał niby kolosalny posąg, z rozstawionymi szeroko nogami, z głową odrzuconą do tyłu i twarzą zwróconą ku niebu, z ustami zastygłymi w niemym krzyku rozpaczony – niemym, lecz tym głośniejszym. Na rękach trzymał ciało Hanny.

Ślubny welon spadł jej z głowy i włosy barwy miedzi zwisały, sięgając niemal ziemi. Jej nogi i jedna ręka zwisały również, wiotkie i bez życia. Złociste piegi odcinały się

wyraźnie na alabastrowej twarzy, a plamy krwi na piersi przypominały płatki menstruacyjnej róży.

Dawid odwrócił oczy. Nie mógł patrzeć na Joego pogrążonego w takim bólu. Poszedł powoli w kierunku odległego krańca ogrodu, odczuwając paniczny lęk przed tym, co może tam znaleźć.

– Debora! – zawołał, chciał zawołać głośno, lecz z gardła wydobył mu się dźwięk przypominający krakanie kruk. Wdepnął w kałużę gęstej, ciemnej krwi i przestąpił przez ciało kobiety leżącej twarzą ku ziemi, w kwiecistej sukni, z rękami rozrzuconymi na boki. Nie poznał, że była to matka Debory.

– Debora!

Chciał przyspieszyć, pobiec, lecz nogi miał jak z ołowiu. Zobaczył ją wreszcie, w kącie muru, tam, gdzie ją zostawił.

– Debora!

Miał wrażenie, że z radości serce wyskoczy mu z piersi. Wyglądało, że jest cała i zdrowa. Klęczała u stóp jednego z białych, greckich posągów, z kwiatami we włosach i w żółtej, jedwabnej sukience.

Klęczała zwrócona w kierunku muru, z głową pochyloną jak gdyby w modlitwie. Fala ciemnych włosów zwisała jej znad czoła, a skurczone dłonie trzymała przy twarzy.

– Debora.

Opadł obok niej na kolana i nieśmiało dotknął jej ramienia.

– Nic ci nie jest, kochanie?

Wtedy odjęła ręce od twarzy i opuściła je z wolna. Lodowaty dreszcz przeszył pierś Dawida, gdy ujrzał, że jej skurczone dłonie są pełne krwi. Żywej, czerwonej krwi, jasnej niby wino w kryształowym pucharze.

– Dawid – wyszeptała, zwracając ku niemu twarz. – Czy to ty, kochanie?

Dawid wydał cichy, niemal bezgłośny jęk, ujrawszy dwa ociekające krwią oczodoły, ciemną, żelatynową masę krzepnącą soplami na rzesach, zamieniającą śliczną twarz w koszmarną maskę.

– Czy to ty, Dawidzie? – powtórzyła, z głową pochyloną tak, by raczej słyszeć niż widzieć.

– O Boże, Deb...

Nie mógł ciągle oderwać wzroku od jej twarzy.

– Nic nie widzę, Dawidzie – wyciągnęła rękę po omacku, szukając go. – Ja nic nie widzę!

Ujął jej lepkie od krwi dłonie i zacisnął je w swoich. Czuł, że żyje, chociaż jego serce umarło z rozpaczy.

Nowoczesna sylwetka szpitala Hadassa rysowała się na tle nieba ponad osiedlem Ain Karem. Fakt, że ambulanse zjawiły się prawie natychmiast na miejscu, ocalił życie wielu rannym. Sam szpital też był przygotowany na wypadek nagłego napływu ofiar działań wojennych.

Bryg, Joe i Dawid spędzili całą noc na twardych drewnianych ławkach w szpitalnym pomieszczeniu dla oczekujących. Kiedy służbom śledczym udało się ustalić pierwsze fakty dotyczące zamachu, zjawił się tajny agent i szeptem złożył raport Brygowi.

Jeden z bandytów był długoletnim i zaufanym pracownikiem zakontraktowanej firmy, natomiast dwaj pozostali byli jego „kuzynami”, zatrudnionymi czasowo za jego poręczeniem. Ustalono, że posługiwali się sfałszowanymi dokumentami.

Premier Golda Meir i członkowie jej gabinetu nie zdążyli na uroczystość zaślubin, ponieważ zatrzymało ich nieprzewidziane, ważne posiedzenie. Byli już jednak w drodze, kiedy nastąpił atak. Ocalił ich tylko szczęśliwy zbieg okoliczności. Pani premier przesłała osobiste wyrazy współczucia rodzinom wszystkich ofiar.

O godzinie dwudziestej drugiej rozgłośnia radiowa w Damaszku podała komunikat, w którym organizacja El Fatah wzięła na siebie odpowiedzialność za atak, który został przeprowadzony przez członków jej brygady uderzeniowej.

Krótko przed północą prosto z głównej sali operacyjnej przyszedł naczelnny chirurg, w zielonkawym kitlu i czepku, z maską zsunietą z twarzy i zwisającą na szyi. Życiu Rut Mordechaj nie zagrażało już żadne niebezpieczeństwo. Wyjęto kulę, która przebiła płuco i utkwiała pod łopatką. Udało się przy tym zachować w całości samo płuco.

– Bogu dzięki – wymamrotał Bryg i przymknął na moment powieki, usiłując sobie wyobrazić, czym byłoby dlań życie bez kobiety, z którą spędził dwadzieścia pięć lat. Otworzył oczy i spojrzał w górę.

– Moja córka?

Chirurg pokiwał głową.

– Wciąż jeszcze jest na stole w małej sali operacyjnej – powiedział i zawahał się. – Pułkownik Halman zmarł podczas zabiegu pół godziny temu.

Lista śmiertelnych ofiar liczyła jak dotąd jedenaście osób; cztery dalsze znajdowały się w stanie krytycznym.

Wczesnym rankiem zjawili się pracownicy przedsiębiorstwa pogrzebowego, ze swymi czarnymi limuzynami i podłużnymi, wiklinowymi pojemnikami, aby zabrać ciała nieboszczyków. Dawid dał Joemu kluczyki od mercedesa, by mógł udać się za samochodem wiozącym zwłoki Hanny i ustalić szczegóły związane z pogrzebem.

Dawid i Bryg zostali sami. Siedzieli obok siebie na ławce, ze zmiętymi, poszarzałymi

twarzami i oczami przekrwionymi z niewyspania, popijając kawę z papierowych filiżanek.

Późnym rankiem przyszedł do nich lekarz, specjalista od chirurgii ocznej. Był to mężczyzna o pociągłej twarzy i młodym wyglądzie, choć musiał być już po czterdziestce, o czym świadczyły mocno szpakowate włosy, kontrastujące z jego gładką cerą i jasnoniebieskimi oczami.

– General Mordechaj?

Bryg wstał i wyprostował się. Przez tę noc postarzał się o co najmniej dziesięć lat.

– Moje nazwisko Edelman. Pozwoli pan ze mną?

Dawid podniósł się, chcąc im towarzyszyć, lecz doktor widząc to zatrzymał się i popatrzył na Bryga.

– Jestem jej narzeczoną – powiedział Dawid.

– Uważam, że byłoby lepiej, gdybyśmy najpierw porozmawiali na osobności, panie generale – stwierdził Edelman, rzucając Brygowi ostrzegawcze spojrzenie, na co ten skinął głową.

– Proszę, Dawidzie.

– Ale... – zaczął Dawid, lecz Bryg położył mu dłoń na ramieniu i ścisnął krótko, ale mocno. Był to pierwszy przypadek, kiedy w ich wzajemnym kontakcie doszły do głosu emocje.

– Proszę cię, mój chłopcze – powtórzył i Dawid odwrócił się, by usiąść na twardej ławce.

W ciasnym pomieszczeniu pełniącym funkcję gabinetu Edelman oparł się tyłem o brzeg biurka i wyciągnął papierosa. Dłonie miał wąskie, o długich, szczupłych palcach, jak u kobiety. Przypalił papierosa zapalniczką, a ruchy jego rąk były szybkie, zręczne i ekonomiczne, jak ruchy rasowego chirurga.

– Woli pan zapewne usłyszeć wszystko bez owijania w bawełnę? – spytał, obrzucił Bryga uważnym spojrzeniem i nie czekając na odpowiedź ciągnął dalej. – Obie gałki oczne pańskiej córki są nie uszkodzone – oznajmił i natychmiast uniósł dłoń, by powściągnąć wyraz ulgi, jaki odmalował się na twarzy Bryga. Odwrócił się do ekranu, do którego przychepione było kilkanaście klisz rentgenowskich, i nacisnął przycisk podświetlacza.

– Oczy są nietknięte, nie ma też prawie żadnych zdraśnień na twarzy. Niestety, uszkodzenie jest tutaj – wskazał wyraźny, ostry zarys widniejący w szarym, pogmatwanym pejzażu zdjęcia rentgenowskiego. – To jest metalowy odłamek, stalowa drzazga, niemal na pewno z granatu. Jest nie większa niż końcówka wkładu do długopisu. Przebiła czaszkę u skraju prawej skroni, uszkadzając dużą tętnicę, co stało się

przyczyną tak obfitego krwotoku, i powędrowała ukośnie za gałkami ocznymi, nie naruszając ani ich, ani też żadnego innego ważnego fragmentu tkanki. Następnie jednak przewierciła kostną osłonę centralnego nerwu wzrokowego – przeciągnął palcem nad kliszę, pokazując drogę stalowej igły – i prawdopodobnie przeszła kanał, uszkadzając nerw, zanim utkwiała w gąbczastej tkance kostnej po jego drugiej stronie.

Edelman skończył i zaciągnął się głęboko papierosem, obserwując spod oka Bryga, by ocenić jego reakcję. Nie było żadnej.

– Czy zdaje pan sobie sprawę z wynikających stąd konsekwencji, generale? – spytał, a Bryg pokręcił przecząco głową. Chirurg wyłączył podświetlacz ekranu i usiadł za biurkiem. Wziął kartkę papieru, położył ją pośrodku blatu, z górnej kieszeni fartucha wyjął automatyczny ołówek i zaczął rysować. Krótkimi pociągnięciami naszkicował widziany z góry układ głównych organów narządu wzroku – gałki oczne, nerwy wzrokowe i mózg.

– Nerwy wzrokowe wychodzą z gałek ocznych, po jednym z każdej, i biegną do tyłu, tutaj wchodzi do wąskiego tunelu kostnego, gdzie się ze sobą łączą, a następnie znowu rozszczepiają i biegną dalej, do płatów mózgowych.

Bryg kiwnął głową. Teraz Edelman jednym mocnym pociągnięciem przekreślił miejsce, gdzie nerwy łączyły się ze sobą. Na zmiętej twarzy Bryga zaczął pojawiać się wyraz zrozumienia.

– Ślepotą? – spytał, a Edelman przytaknął.

– Obuoczna?

– Obawiam się, że tak.

Bryg pochylił głowę i pocierał zamknięte powieki palcem wskazującym i kciukiem. Odezwwał się, nie patrząc na Edelmana.

– Nieuleczalna?

– Brak rozpoznania kształtów, kolorów, ciemności i światła. Droga odłamka wiedzie poprzez skrzyżowanie nerwu wzrokowego. Wszystko świadczy o tym, że nerw jest uszkodzony. Medycyna nie dysponuje techniką, za pomocą której można by to naprawić.

Umilkł dla zaczerpnięcia oddechu.

– Mówiąc krótko: pańska córka jest dotknięta całkowitą i nieodwracalną ślepotą.

Bryg westchnął i z wolna uniół głowę.

– Powiedział jej pan o tym?

– Nie, sądziłem, że będzie lepiej, jeżeli pan sam to zrobi.

– Tak – Bryg skinął głową. – Tak będzie najlepiej. Czy mogę ją teraz zobaczyć? Jest przytomna?

– Jest pod lekkim działaniem środków uspokajających. Nie czuje bólu, co najwyżej

doskwiera jej odrobinę zewnętrzna rana, która zresztą jest zupełnie niegroźna. Nie będziemy podejmować próby usunięcia odłamka. Byłby to niezwykle skomplikowany zabieg neurochirurgiczny – stwierdził Edelman. Wstał i wskazał drzwi. – Oczywiście, może ją pan zobaczyć. Zaprowadzę pana.

Korytarz, wzdłuż którego biegł rząd drzwi prowadzących do sal intensywnej opieki medycznej, zastawiony był po obu stronach noszami. Wśród leżących na nich było wielu gości weselnych, toteż Bryg zatrzymał się raz i drugi, by zamienić z nimi parę słów, zanim znalazł się wraz z Edelmanem przy wejściu do mieszczącej się na końcu korytarza sali rekonwalescencyjnej.

Debora leżała na wysokim łóżku pod oknem. Była bardzo blada, we włosach miała jeszcze zakrzepłą krew, a głowę owiniętą bandażem, przytrzymującym grube tampony z gazy na obu oczach.

– Panno Mordechaj, pani ojciec jest tutaj – powiedział Edelman, a Debora żywo obróciła głowę w ich stronę.

– Tata?

– Jestem tutaj, córeczko.

Bryg ujął w dłonie rękę, którą doń wyciągnęła, i schylił się, by ją pocałować. Miała zimne wargi i zalatywała od niej mocna woń środków dezynfekujących i lekarstw.

– Co z mamą? – spytała z niepokojem.

– Nie grozi jej już niebezpieczeństwo – zapewnił ją Bryg. – Ale Hanna...

– Tak, wiem – przerwała mu załamującym się głosem. – Powiedzieli mi. Jak to znosi Joe?

– Jest mocny – odparł Bryg. – Da sobie z tym radę.

– Gdzie jest Dawid?

– Jest tutaj.

Debora energicznie, choć z wyraźnym wysiłkiem, uniosła się na łokciu, a jej zabandażowana twarz rozjaśniła się.

– Dawidzie! – zawołała. – Gdzie jesteś? Te przekłete bandaże... Niech zdejmą je, kiedy tylko wypoczną mi oczy.

– Nie – odezwał się Bryg, kładąc jej rękę na ramieniu. – Dawid jest na zewnątrz, czeka.

Opadła na poduszki, wyczerpana i niezadowolona.

– Zawołaj go tutaj, proszę – szepnęła.

– Dobrze, za chwilę. Jest coś, o czym musimy przedtem pomówić, o czym powinnaś wiedzieć.

Musiała domyślić się, co to było, musiał uprzedzić ją o tym jego ton, ponieważ

znieruchomiła i na jej twarzy odmalował się wyraz trwożnego wyczekiwania, lękliwe napięcie przestraszonej antylopy.

Bryg był żołnierzem, przywykłym ujmować rzeczy wprost i w ich istotnej treści. Do tego jego własna rozpacz powodowała, że głos miał chrapliwy i ostry. Toteż pomimo, że starał się poinformować ją jak najogólniej, brutalna prawda zabrzmiała również brutalnie. Jej mała, szczupła ręka w jego potężnej, kościstej dłoni skurczyła się kilka razy konwulsyjnie, jak pod wpływem bólu, a potem zamarła, zaciśnięta, i to było jedynym świadectwem, że usłyszała, co do niej mówił, i że rozumiała.

Nie zadawała żadnych pytań i kiedy Bryg skończył, zapadła długa cisza. Bryg przerwał ją pierwszy.

– Teraz zawołam Dawida – powiedział, lecz reakcja Debory była błyskawiczna i zdecydowana:

– Nie! – zawołała i chwyciła go mocno za rękę. – Nie chcę, żeby teraz przychodził. Muszę najpierw wszystko przemyśleć.

Bryg wrócił do pomieszczenia dla oczekujących. Dawid wstał na jego widok i zamarł w oczekiwaniu. Rysy jego twarzy wydawały się wykute z białego marmuru, bladość cery kontrastowała ostro z ciemnym błękitem oczu.

– Żadnych wizyt – rzucił Bryg krótko i ostro. Ujął Dawida za ramię.

– Dopiero jutro będziesz mógł ją odwiedzić.

– Dlaczego? Czy jej stan jest taki ciężki?

Dawid starał się uwolnić rękę, lecz Bryg ścisnął ją mocno, kierując go jednocześnie w stronę drzwi.

– Nie jest ciężki. Dojdzie do siebie szybko. Ale teraz musi mieć całkowity spokój. Jutro ją zobaczysz.

Tego samego wieczoru pochowali Hannę w rodzinnym grobie na cmentarzu na Górze Oliwnej. Pogrzeb był skromny, odbył się w obecności Bryga, Joego i Dawida oraz paru tylko krewnych, z których większość musiała również chować swoich bliskich, ofiary wczorajszej masakry.

Po pogrzebie Bryg wsiadł do czekającej nań rządowej limuzyny, mającej zawieźć go na naradę najwyższego dowództwa, na której, nie ulegało to żadnej wątpliwości, miano rozważać rozmiar i formę przedsięwzięć odwetowych – kolejny obrót potwornego walca gwałtu i przemocy, toczącego się poprzez umęczony kraj.

Joe i Dawid wsiedli do mercedesa, lecz Dawid nie zapalił silnika i siedzieli milcząc. Joe przypalił dwa papierosy i zaciągali się dymem, nie mając pomysłu, co począć, gdzie się udać.

– Co będziesz teraz robił? – spytał Dawid.

– Mieliśmy dwa tygodnie. Chcieliśmy pojechać do Aszkelonu – odparł Joe i głos mu się załamał. – Nie wiem, zupełnie nie wiem.

– Może pójdziemy gdzieś, wypić kieliszek?

Joe potrząsnął głową.

– Nie mam chęci pić. Chyba wrócę do bazy. Dzisiaj są nocne loty na przechwytywanie.

– Dobrze – zgodził się szybko Dawid. – Jadę z tobą.

Miał nie widzieć Debory aż do jutra, a bez niej dom przy ulicy Melchizedeka byłby pusty i zimny. Nagle zapragnął zanurzyć się w spokojnej toni nocnego nieba.

Księżyc, wąski i zakrzywiony niczym turecka szabla, świecił zawieszony wysoko u kopuły niebios obsypanej mrugającymi, chłodnymi diamentami gwiazd.

Unosili się wysoko nad ziemią, z dala od smutku i bólu, spowici samotnością lotu i skupieni na wykonaniu zadania, które im wyznaczono.

Ich celem był jeden z Mirage'ów z ich własnego eskadronu. Wyśledzili go na radarze – znajdował się daleko, nad pustynią Negew. Joe ustalił jego pozycję i podał parametry Dawidowi, który szukał go wzrokiem i w końcu dostrzegł przesuwającą się gwiazdkę – jarzący się punkt, strumień gazów wydobywających się z dysz samolotu, nieco czerwiejszy niż gwiazdy.

Przystąpili do manewru przechwycenia tak, by znaleźć się pod brzuchem celu, a następnie wzbić się ostro w górę i śmignąć obok niego, niemal muskając go skrzydłami, tak jak barrakuda uderza od dołu na przynętę, wzbijając się jeszcze z rozpędu ponad fale. Serie z ich działek przeszły tak blisko celu, że nieszczęsny Mirage rzucił się dziko na prawe skrzydło, aż do tej chwili nieświadomy ich obecności.

Joe spał tej nocy kamiennym snem, wymęczony cierpieniem, Dawid natomiast nie mógł zasnąć i leżał na dolnej pryczy, słuchając jego oddechu. Wstał o pierwszym brzasku, wziął prysznic i pozostawiając Joego pogrążonego we śnie, ruszył do Jerozolimy. Gdy pierwsze promienie słońca oblały szczyty wzgórz delikatnym, złocistoperłowym blaskiem, był już pod szpitalem.

Dyżurna siostra przy wejściu, jeszcze z nocnej zmiany, na wyrażoną przezeń chęć odwiedzenia Debory zareagowała surowo i raczej opryskliwie.

– Nie ma wstępu do szpitala poza godzinami odwiedzin, proszę przyjść po południu.

Dawid obdarzył ją najbardziej czarującym uśmiechem, na jaki było go stać.

– Chciałem tylko zobaczyć, jak ona się miewa. Jeszcze przed południem muszę być z powrotem w bazie.

Siostra nie pozostała nieczuła na jego uśmiech bądź też na widok lotniczego

munduru i zaczęła wertować spis pacjentów.

– Musiał się pan pomylić. Jediną zarejestrowaną pacjentką o tym nazwisku jest Rut Mordechaj.

– To jej matka – powiedział, a siostra przebiegła oczami inną listę, leżącą na blacie.

– Nic dziwnego, że nie mogłam jej znaleźć. Została wypisana wczoraj wieczorem.

– Jak to? – Dawid spoglądał na nią, nic nie rozumiejąc.

– Tak. Zabrano ją do domu. Teraz przypominam sobie. Jej ojciec przyjechał po nią zaraz po tym, jak objęłam dyżur. Taka ładna dziewczyna, z zabandażowanymi oczami...

Dawid kiwnął głową.

– Właśnie. Dziękuję. Dziękuję pani bardzo – powiedział i rzucił się pędem po schodach w dół, do samochodu. Nogi niosły go lekko, nie czuł wcale zmęczenia. Debora była w domu! Musiała się czuć dobrze, skoro ją stąd wypuścili!

Bryg otworzył drzwi i wpuścił go do cichego wnętrza domu. Był wciąż w tym samym, wymiętym mundurze. Rysy jego twarzy wyostrzyły się, szczególnie wyraźne stały się bruzdy biegnące w dół wokół ust, miał zapuchnięte powieki i białka oczu przekrwione z niewyspania.

– Gdzie jest Debora? – spytał natarczywie Dawid, a Bryg westchnął tylko i odsunął się na bok, zapraszając go głębiej do pokoju.

– Gdzie ona jest? – powtórzył Dawid.

Bryg nie odpowiedział. Zaprowadził go do swego gabinetu i wskazał mu ręką krzesło.

– Dlaczego mi pan nie odpowiada? – Dawid zaczynał być zły. Tymczasem Bryg przeszedł przez surowo umeblowany, wypełniony książkami i obiektami archeologicznymi pokój i usiadł ciężko w fotelu pod przeciwległą ścianą.

– Nie mogłem powiedzieć ci o tym wczoraj, Dawidzie. Ona mnie o to prosiła. Przepraszam.

– O czym? – Dawidem znów targnął straszliwy niepokój.

– Potrzebowała mieć czas do namysłu. Musiała się zastanowić.

Bryg wstał i zaczął się przechadzać. Jego kroki dudniły głucho na gołej podłodze z desek. Opowiadał, zatrzymując się raz po raz, by dotknąć lub przesunąć tę lub inną starożytną, obłupaną figurkę czy skorupę, jak gdyby znajdował w tym jakąś szczególną przyjemność.

Dawid słuchał w skupieniu, od czasu do czasu kręcąc głową, jakby to, co słyszał, nie trafiało mu do przekonania.

– Jak widzisz, jest to stan nieuleczalny, nie dający żadnej nadziei. Debora jest niewidoma, Dawidzie, całkowicie ślepa. Przeniosła się do swojego własnego, mrocznego

świata, gdzie nikt nie może jej towarzyszyć.

– Gdzie ona jest? Chcę ją zobaczyć – wyszeptał Dawid, lecz Bryg zignorował pytanie i spokojnie kontynuował swój wywód.

– Chciała mieć czas na podjęcie decyzji, więc go jej dałem. Wczoraj wieczorem po pogrzebie wróciłem do niej, a ona była już gotowa. Musiała w pełni uświadomić sobie to wszystko, pogodzić się z nową sytuacją i zdecydować, jak ma wyglądać przyszłość.

– Chcę ją zobaczyć – powtórzył Dawid. – Muszę z nią porozmawiać.

Teraz Bryg spojrział na niego z jeszcze większym smutkiem w oczach, a jego głos zabrzmiał ciszej, nabrzmiały współczuciem.

– Nie, Dawidzie. Taka była jej decyzja. Nie zobaczysz jej już nigdy. Dla ciebie ona umarła. Takie były jej słowa:

„Powiedz mu, że ja umarłam, ale ma pamiętać mnie taką, jaką byłam za życia...”

– Gdzie ona jest? Gdzie, do cholery! – przerwał mu Dawid, zrywając się z krzesła. Głos mu dygotał. – Muszę zobaczyć ją, i to zaraz!

Podbiegł do drzwi i otworzył je pchnięciem, lecz głos Bryga osadził go na miejscu.

– Nie ma jej tutaj.

– Więc gdzie jest?

– Nie mogę ci powiedzieć. Dałem jej solenną obietnicę.

– Znajdę ją.

– Niewykluczone, że udałoby ci się ją znaleźć, gdybyś pilnie szukał. Ale w ten sposób unicestwiłbyś wszelki szacunek i całą miłość, jaką ona do ciebie żywi. Znowu przytoczę ci jej słowa: „Powiedz mu, że zaklinam go na całą naszą miłość, na wszystko; czym byliśmy dla siebie, żeby zostawił mnie samą i żeby nie usiłował mnie znaleźć.”

– Ale dlaczego, dlaczego? Czemu mnie odtrąca?

– Debora wie, że to, co się z nią stało, nie pozostawia ani cienia nadziei. Wie, że to, co było, nie może się już powtórzyć. Wie również, że nie mogłaby już nigdy być dla ciebie tym, kim miałbyś prawo oczekiwać, żeby była... – gniewnym gestem ręki powstrzymał protest Dawida i ciągnął dalej. – Słuchaj mnie, chłopcze! Debora wie, że wasz związek nie może trwać dłużej. Nie będzie mogła zostać twoją żoną. Jesteś na to zbyt młody, zbyt niespokojny i egocentryczny. Jest świadoma, że wasze życie zaczęłoby się zamieniać w udrękę. Za tydzień, za miesiąc, może za rok twoje uczucie by umarło. Czułbyś się jak w pułapce, przykuty do niewidomej kobiety. Ona nie chce, żeby tak się stało. Pragnie, by dokonało się to teraz, od razu, szybko, bez długiego cierpienia...

– Dostyc już! Dostyc, do cholery! – krzyknął Dawid.

Zatoczył się w kierunku fotela i opadł nań ciężko. Przez dłuższą chwilę obaj milczeli. Dawid siedział pochylony w przód, z twarzą ukrytą w dłoniach, podczas gdy Bryg stał

przy oknie, a promienie porannego słońca wyostrzyły jeszcze bardziej rysy biblijnego wojownika.

– Debora prosiła, żebyś obiecał... – Bryg zawahał się, a Dawid oderwał dłonie od twarzy i spojrzał na niego wyczekująco – że nie będziesz starał się jej znaleźć.

– Nie! – odparł Dawid kategoriycznym tonem.

Bryg westchnął.

– Gdybyś nie chciał obiecać, mam ci powiedzieć coś, czego ja nie rozumiem, ale Debora twierdzi, że ty zrozumiesz bardzo dobrze. Brzmi to tak: w Afryce żyje piękne, dzikie zwierzę – czarna antylopa. Czasem któraś z nich staje się niesprawna, gdy na przykład zrani ją lew lub postrzeli myśliwy.

Słowa te zapiekły Dawida niczym chłostanie biczem. Przypomniał sobie, o czym opowiadał Deborze kiedyś, zdawałoby się wieki temu, kiedy oboje byli jeszcze młodzi i mocni i mieli, rzecz jasna, pozostać takimi zawsze.

– Dobrze – wycedził w końcu. – Jeżeli ona tego pragnie, to obiecuję, że nie będę usiłował jej odnaleźć. Ale nie obiecuję, że nie będę starał się jej przekonać, że jest w błędzie.

– Może byłoby dla ciebie najlepiej, gdybyś wyjechał z Izraela – zasugerował Bryg. – Może powinieneś wrócić tam, skąd wyjechałeś, i zapomnieć o wszystkim, co się zdarzyło?

Dawid milczał przez chwilę, rozważając to, co usłyszał, zanim odpowiedział.

– Nie. Wszystko, co mam, jest tutaj. Zostanę.

– W porządku. Wiedz, że ten dom stoi zawsze dla ciebie otworem.

– Dziękuję – rzekł Dawid, pożegnał się z generałem, wyszedł i wsiadł do mercedesa. Pojechał prosto na ulicę Melchizedeka i ledwo przekroczył próg, zorientował się, że ktoś był już tutaj przed nim.

Wszedł wolnym krokiem do salonu. Ze stołu znikły książki, a miejsce na ścianie nad skórzaną kanapą, gdzie wisiał obraz Elli Kadesz, było puste. Poszedł do łazienki, otworzył szafkę i stwierdził, że przybory toaletowe Debory – najrozmaitsze buteleczki, słoiczki i tubki – również zostały zabrane, a z dwóch szczoteczek do zębów, które zawsze tkwiły obok siebie w uchwytach listewki, została tylko jedna.

Także szafa Debory była opróżniona, z wieszaków znikły sukienki, półki ziały pustką. Nie został po niej żaden ślad prócz delikatnego zapachu perfum i koronkowej narzuty na łóżku.

Dawid podszedł do łóżka i przysiadł na jego brzegu. Ręką gładził chropawą tkaninę, przywodzącą tyle wspomnień. Jego dłoń natrafiła na jakiś prostokątny, twardy kształt,

ukryty pod materiałem, na poduszce. Odrzucił narzutę i oto trzymał w dłoni cienką, zieloną książeczkę.

Tego roku w Jeruzalem. Zostawiła mu ją jako upominek na rozstanie.

Tytuł rozmazał mu się w oczach. To było wszystko, co mu pozostało po Deborze Mordechaj.

Masakra w Ain Karem stała się jakby sygnałem dla nowego wybuchu nienawiści i gwałtu na całym Środkowym Wschodzie. Napięcie międzynarodowe wzrastało systematycznie, w miarę jak rozrastały się arsenały broni nabywanej za petrodolary przez państwa arabskie, obiecujące wszem i wobec nie pozostawić ani jednego Żyda w kraju, który Arabowie wciąż nazywali Palestyną.

Mnożyły się bezlitosne, mordercze ataki na szczególnie wrażliwe i niemożliwe do obrony cele, na słabo strzeżone ambasady i konsulaty. Wybuchały przesyłane w paczkach bomby, w prowincjonalnych miejscowościach dokonywano krwawych uderzeń na szkolne autobusy przewożące dzieci.

Z biegiem czasu prowokacje stawały się coraz śmielsze i nabierały coraz groźniejszego, militarnego charakteru. Na granicy dochodziło do utarczek, do błyskawicznych wypadów na przygraniczne tereny, naruszeń przestrzeni powietrznej, ostrzałów ogniem artylerii i na pół jawnych koncentracji wojsk w różnych miejscach wzdłuż niezmiernie trudnej do obrony granicy małego państwa izraelskiego.

Izraelczycy czekali więc, modląc się o pokój, lecz gotowi do wojny.

Dzień po dniu i miesiąc po miesiącu Dawid i Joe odbywali loty, doskonalić się w sztuce walki, gdzie instynkt i natychmiastowa spontaniczna reakcja musi wyprzedzać świadomą myśl i ocenę sytuacji.

Przy szybkościach przekraczających barierę dźwięku jedynie taki trening decydował o tym, na czyją stronę przechyli się szala zwycięstwa. Nawet najlepsze czasy reakcji osiągnęte przez grupę tych szczególnie troskliwie wyselekcjonowanych młodych ludzi nie dawały gwarancji, że w sytuacji, gdzie margines błędu mierzony jest w setnych ułamkach sekundy, będą oni w stanie wykorzystać ze stuprocentową skutecznością swoje potężne maszyny. Konieczna tu była właśnie owa ponadzmysłowa perfekcja.

Wystartować, odszukać cel, rozpoznać go, zaatakować, zniszczyć i zakończyć akcję – to było zajęcie, które szczęśliwie pozostawiało bardzo niewiele czasu na zadumę i smutek.

Niemniej zapiekłe poczucie żalu i goryczy, które Dawid i Joe dzielili równo, zdwajało jeszcze ich bojową skuteczność. Nie było nikogo, kto przewyższałby ich odwagą i zajadłością.

Wkrótce też zostali włączeni do grupy sześciu wybranych eskadronów uderzeniowych, które Oaza podrywała do wykonania najtrudniejszych akcji. Systematycznie startowali do lotów bojowych i po każdym rosło zaufanie, jakim darzyło ich dowództwo.

Teraz Dawid spędzał wiele czasu siedząc w kabinie gotowego do startu Mirage'a, czując na całym ciele sprężysty uścisk skafandra wysokościowego i oddychając tlenem z maski, a na korpusie maszyny, poniżej kokpitu, widniały cztery symbole, składające się z trzech koncentrycznych kółek – czarnego, czerwonego i białego. Były to zdobyte skalpy wrogów.

Fakt, że dywizjon Lanca został wybrany do pełnienia dyżurów w stanie „czerwonej” gotowości, świadczył o tym, jak ceniło go dowództwo. Ze starterami gotowymi do odpalenia i wprawienia w ruch potężnych silników turbinowych Mirage'e czekały na sygnał, by w parę sekund znaleźć się w powietrzu, podczas gdy mechanicy krzatali się, kontrolując do końca wszystko, co tylko dawało się jeszcze skontrolować. Zarówno Dawid, jak i Joe ubrani byli w specjalne skafandry, umożliwiające loty na największych wysokościach, powyżej sześćdziesięciu tysięcy stóp, gdzie ciśnienie jest tak niskie, że krew w żyłach nie zabezpieczonego pilota zaczyna się pieniać niby szampan.

Dawid stracił już rachubę znojnych dni i męczących godzin przesiedzianych w ciasnej kabinie w oczekiwaniu na sygnał do startu, urozmaiconych jedynie monotonnym, prowadzonym w piętnastominutowych odstępach odliczaniem czasu.

– Jedenasta piętnaście. Piętnaście minut do wyjścia ze stanu gotowości – powiedział do mikrofonu i najpierw usłyszał oddech Joego, a potem jego odpowiedź:

– Drugi w stanie gotowości. Beseder.

Natychmiast po wyjściu ze stanu gotowości, kiedy dwaj kolejni piloci podejmowali zmuśną służbę, Dawid przebierał się w sportowy dres i ruszał biegiem na trasę liczącą siedem do dziesięciu kilometrów, by rozruszać zdrętwiałe mięśnie i zmyć z siebie potem ociążałość. Teraz myślał już właśnie o tym, a także o tym, że później...

Usłyszał w słuchawkach ostry trzask i zaraz potem obcy głos.

– „Czerwone” pogotowie – start!

Rozkaz został powtórzony przez głośniki w podziemnym bunkrze i ludzie z obsługi naziemnej rzucili się do swych zadań. Mając już za sobą wszystkie rutynowe kontrole urządzeń pokładowych, Dawid pchnął hebel przepustnicy do pozycji startowej, rozruszniki zaskowytały i silniki zaskoczyły prawie natychmiast. Zwiększył obroty do maksimum. Z przodu stalowe drzwi pneumatyczne zaczęły się unosić.

– Lanca dwa, tu Lanca jeden. Podchodzę do startu.

– Tu Lanca dwa. Zrozumiałem – odparł Joe. Potoczyli się w górę po rampie,

pomknęli po betonowym pasie i wystartowali.

– Halo, Oaza, tu Lanca. Jestem w powietrzu i nabieram wysokości.

– Lanca, tu Bryg – odezwał się głos w słuchawkach. Dawida nie zdziwiło wcale, że to właśnie Bryg przejął kontrolę nad lotem. Znajomość głosu dowódcy i posługiwanie się imionami zabezpieczało przed wdarciem się wroga w sieć radiową i powodowaniem zamieszania poprzez podawanie fałszywych rozkazów.

– Dawidzie, mamy intruza, który zbliża się na wysokim pułapie i o ile nie zmieni kursu, wejdzie w naszą przestrzeń powietrzną za cztery minuty. Śledzimy go na radarze, na wysokości siedemdziesięciu pięciu tysięcy stóp, co oznacza, że albo jest to amerykański U-2, co mało prawdopodobne, albo rosyjski szpieg, który chce zerknąć na nasze ostatnie przegrupowania.

– Beseder – potwierdził Dawid.

– Dokonamy szybkiego wejścia na wysoki pułap, by przechwycić go, gdy tylko znajdzie się w naszym obszarze powietrznym.

– Beseder.

– Wejdziesz na dwadzieścia tysięcy stóp, wykonaj zwrot do stu osiemdziesięciu sześciu stopni i nabierz maksymalnej prędkości do wskoczenia na wysoki pułap.

Na dwudziestu tysiącach stóp Dawid wyrównał, obrał prosty kurs i spojrzął w lusterko – Joe siedział mu na ogonie jak przyrośnięty.

– Lanca dwa, tu Lanca jeden. Rozpoczynam wchodzenie.

– Tu Lanca dwa – zrozumiałem.

Dawid pchnął hebel przepustnicy do skrajnej pozycji, uruchamiając dopalacze. Mirage skoczył w przód niby rumak dźgnięty ostrogą, a Dawid zniżył lekko dziób maszyny, by szybciej nabrała prędkości. Niby dwie srebrzyste błyskawice osiągnęły i przekroczyły prędkość dźwięku i Dawid przycisnął kciukiem mały guzik na wierzchołku drążka sterowego, zmieniając wyważenie samolotu na dostosowane do lotu z szybkością ponaddźwiękową.

Wskazówki szybkościomierzy płynnie sunęły w górę, mijając kolejne wartości na skali Macha – 1,2; 1,5...

Z wyposażenia obu maszyn usunięto wszystko, co nie było niezbędne do wykonania zadania. Nie miały podwieszonych rakiet ani zapasowych zbiorników paliwa, a ich jedynym uzbrojeniem były standardowe dwa działka trzydziestomilimetrowe.

Mknęli coraz szybciej, przebywając odległość między Beer Szewa a Elat w parę zaledwie minut. Osiągnęli prędkość 1,9 Macha, maksymalną dopuszczalną ze względu na wzrost temperatury.

– Dawid, tu Bryg. Mamy was na radarze. Kurs i szybkość właściwa do

przechwycenia. Przygotujcie się, za szesnaście sekund rozpoczynacie wejście na wysoki pułap.

– Beseder.

– Zaczynam odliczanie. Osiem, siedem, sześć... dwa, jeden. Teraz!

Dawid naprężył mięśnie i szarpnął w górę nos maszyny. Otworzył usta i zaczął krzyczeć, by zmniejszyć skutki przeciążenia, lecz mimo tych środków zapobiegawczych i sprężystego uścisku skafandra gwałtowna zmiana kierunku wyzwoliła potężną siłę, która niby miażdżąca pięść wtłoczyła go w kolebkę fotela, i krew zaczęła odpływać mu z mózgu, a przed oczami rozpostarła się szarość, która powoli przeszła w czerń.

Mirage stał na ogonie i mknął w górę z szybkością wciąż jeszcze bliską dwukrotnej szybkości dźwięku. Kiedy czerń ustąpiła sprzed oczu, Dawid spojrzał na miernik przeciążenia i stwierdził, że w krytycznym momencie wynosiło ono dziewięciokrotność siły przyciągania ziemskiego. Lecz była to jedyna metoda szybkiego osiągnięcia takiej wysokości bez wytracenia prędkości.

Teraz leżał na plecach w fotelu i patrzył w puste niebo przed sobą, podczas gdy strzałka wysokościomierza nadal pomykała w górę, a prędkość maszyny powoli zaczynała się zmniejszać. Szybki rzut oka w lusterko, i ujrzał maszynę Joego pod sobą, jak gdyby połączoną z nim niewidzialnym przesłem, a w słuchawkach usłyszał jego głos, spokojny i dający poczucie bezpieczeństwa.

– Lanca jeden, tu Lanca dwa. Mam cel na radarze.

Mimo szoku wywołanego przeciążeniem Joe manipulował przy swoim ukochanym radarze i wychwycił szpiegowski samolot, znajdujący się jeszcze wysoko ponad nimi.

W tym manewrze Dawid i Joe dokonywali wciąż wymuszonej zamiany prędkości na wysokość i w miarę jak ta druga rosła, pierwsza spadała stopniowo, lecz nieubłaganie. Byli niczym strzały wycelowane prosto w górę. Ciężka łuku mogła wyrzucić ich na taką właśnie wysokość, na której zawisną przez parę chwil w przestrzeni, by zgodnie z prawami fizyki rozpocząć drogę powrotną – ku ziemi. W ciągu tych paru chwil musieli odszukać i zniszczyć nieprzyjaciela.

Dawid leżał wciąż na plecach w fotelu i patrzył z zdziwieniem, jakie ów widok budził w nim za każdym razem, jak jasny błękit nieba stopniowo przygasa, przechodząc w granat i na koniec w czerń roziskrzoną mnóstwem gwiazd. Osiągnęli najwyższą warstwę stratosfery, daleko ponad najwyższymi chmurami i wiatrami, tak dobrze znanymi na powierzchni ziemi. Na zewnątrz kabin powietrze było niezmiernie rozrzedzone, zbyt mało go było, aby dało się w nim przeżyć, i zaledwie tyle, by utrzymać w ruchu turbinowe silniki samolotów odrzutowych, temperatura zaś wynosiła okragłe sześćdziesiąt stopni poniżej zera.

Obie maszyny wytracały stopniowo energię i osiągały właśnie szczyt gigantycznej paraboli. Sensacje napowietrznej wspinaczki już minęły, płynęli w nieprzyjaznych dla człowieka, mrocznych regionach oceanu przestrzeni, a w dole Ziemia świeciła dziwnym, niebieskawym, jakby nienaturalnym blaskiem.

Nie było jednak czasu na napawanie się niezwykle widokami. Mirage'e kolebały się w rozrzedzonej atmosferze, wskazówki urządzeń pomiarowych tańczyły.

Joe cały czas utrzymywał cel w polu widzenia radaru. Z trudem zmusili odporne maszyny do wykonania zwrotu w kierunku nieprzyjaciela.

Zaczynali powoli opadać. Dawid rozglądał się gorączkowo, podciągając w górę nos maszyny, pomimo że urządzenie ostrzegające przed wytraceniem prędkości mrugało nań na przemian złościście i czerwono. Kończył się nieodwołalnie czas, w którym mogli wykonać zadanie.

I wtedy nagle Dawid dojrzał nieprzyjacielski samolot. Rzadka atmosfera sprawiała, że zdawał się być tuż tuż. Unosił się bezszelestnie, niby widmo, na swoich wielkich skrzydłach, z przodu i nieco poniżej Dawida. Sunął wolno przez odmęty oceanu ciszy i spokoju, w zwodniczym poczuciu, że na tych wysokościach nic mu nie może zagrażać.

– Oaza, tu Lanca. Mam intruza w zasięgu wzroku. Proszę o zezwolenie na atak.

– Zidentyfikuj cel – zażądał Bryg.

Zwlekał. Wydanie rozkazu zaatakowania nie zidentyfikowanego celu to decyzja zawsze bardzo ryzykowna.

– Oaza, cel to Iliuszyn 17-11. Brak widocznych znaków rozpoznawczych.

– W istocie znaki te były zupełnie zbyteczne. Ów samolot mógł należeć do jednego tylko państwa na świecie. Dawid zbliżał się doń szybko. Nie mógł już zmniejszyć szybkości, a zaczynał go wyprzedzać. Potężne skrzydła Iliuszyna były specjalnie zaprojektowane do unoszenia maszyny w rzadkim powietrzu stratosfery.

– Zbliżam się szybko – ostrzegł Oazę. – Atak możliwy najwyżej jeszcze przez dziesięć sekund.

Cisza w słuchawkach trwała. Dawid przygotował działka i obserwował szpiegowski samolot, rosnący w oczach, w miarę jak zbliżał się doń ślizgowym lotem.

Wreszcie Bryg podjął decyzję. Narażał nią być może swój kraj na ciężkie sankcje, zdawał sobie jednak sprawę, że kamery na pokładzie szpiegowskiej maszyny pracują cały czas, utralając na taśmie informacje żywotnie ważne dla obronności kraju, które błyskawicznie dostaną się w ręce jego zaprzysięgłych wrogów.

– Dawidzie – głos w słuchawkach zabrzmiał sucho i ostro. – Tu Bryg. Zniszcz go!

– Beseder.

Dawid opuścił nieco nos maszyny, która wykonała ów manewr nader chętnie.

– Lanca dwa, tu Lanca jeden. Atakuję.

– Tu Lanca dwa. Zrozumiałem.

Dawid schodził w dół na Iliuszyna tak szybko, że gdy jego sylwetka znalazła się w celowniku, wiedział, iż ma tylko parę sekund na prowadzenie ognia.

Przycisnął spust, mając w oku celownika spojenie jednego ze skrzydeł z kadłubem, i ujrzał, jak ogon Iliuszyna unosi się do góry, a kadłub pochyla w przód, niby cielsko wielkiej ryby ugodzonej ostrzem harpuna.

Przez trzy sekundy Dawid nie zwalniał spustu, wlewając w korpus wroga strumień pocisków i obserwował gęste rozbłyski trafień. W czwartej sekundzie dla niego było już po wszystkim – ześlizgnął się pod gigantyczny brzuch nieprzyjacielskiej maszyny i zaczął opadać bezwładnie, niby wypalona skorupa rakiety.

Joe schodził w dół tuż za Dawidem. Uchwycił w celownik sylwetę Iliuszyna, wiszącą bezradnie na szerokich skrzydłach i długim, zaokrąglonym nosem mierzącą w czarne niebo, usiane gwiazdami świecącymi chłodnym, obojętnym światłem.

Teraz Joe nacisnął spust i szpiegowska maszyna rozłamała się w błyskach eksplodujących pocisków. Jedno ze skrzydeł oderwało się od kadłuba, który wyruszył w swą ostatnią podróż po spirali z wyżyn nieba ku powierzchni ziemi.

– Oaza, Oaza, tu Lanca jeden. Cel zniszczony – Dawid starał się zwalczyć ścisk w krtani, lecz ręce mu drżały i czuł we wnętrzościach bolesny, chłodny skurcz – uczucie nienawiści, której nawet śmierć wroga nie była w stanie złagodzić.

Ponownie wcisnął przycisk, przechodząc na częstotliwość, na której mógł porozumiewać się z Joem.

– Joe, to jeszcze jeden za Hannę – powiedział. Nie było odpowiedzi. Wsłuchiwał się przez parę sekund w szum fali nośnej, po czym przełączył się na sygnał bazy i wziął kurs na dom, a Joe podążył za nim jak milczący cień.

Obecność Debory w życiu Dawida spowodowała, że stał się poważniejszy i dojrzałszy, niemniej jej zniknięcie było dla niego tak silnym przeżyciem, iż Joe musiał rozciągnąć swą funkcję skrzydłowego również na czas, który spędzali poza bazą.

Większość tego czasu spędzali razem, i choć rzadko rozmawiali o utraconych osobach, zbliżało ich wspólne cierpienie.

Joe często nocował u Dawida, ponieważ jego dom rodzinny stał się teraz miejscem doprawdy smutnym i pustawym. Bryg bywał tam rzadko w tym niespokojnym czasie, Debora odeszła, a jej matka na skutek owych strasznych przeżyć uległa drastyczniej przemianie – postarzała się ponad swój wiek, zgarbiła i posiwiła. Jej rana po kuli zagoiła się, lecz pozostawała inna, otwarta rana, która nie miała się nigdy zagoić.

Ćmiący ból w duszy pobudzał Dawida do szukania zapomnienia w nieustannej aktywności. Tak naprawdę odzyskiwał spokój, jedynie gdy był w powietrzu, na ziemi natomiast miotał się, nie mogąc znaleźć sobie miejsca. Wówczas potrzebny był u jego boku Joe, zwalisty i spokojny, odsuwający go delikatnie od konfliktowych sytuacji łagodnym uśmiechem i uśmierzającym słowem.

Na strącenie samolotu szpiegowskiego Syryjczycy odpowiedzieli taktyką polegającą na wykonywaniu prowokacyjnych lotów, których celem było naruszenie izraelskiej przestrzeni powietrznej, zaalarmowanie obrony i ucieczka. Kiedy myśliwce izraelskie wkraczały do akcji, Syryjczycy zmieniali kurs, unikając walki, i umykali nad swoje terytorium.

Dwukrotnie zdarzyło się Dawidowi dojrzeć na swym radarze zielonkawą, świetlistą plamkę wskazującą pozycję wrogich samolotów i w obu przypadkach sam nie mógł się nadziwić, że wciąż tak silne jest w nim uczucie nienawiści i zapiekłej złości, które natychmiast teżało mu zimnym sopłem w klatce piersiowej i brzuchu, gdy rzucał komendę Joemu i brał kurs na przechwycenie. Jednak za każdym razem Syryjczycy, ostrzeżeni przez swoje własne radary, zawracali, zwiększali szybkość i umykali chyłkiem i tchórzliwie.

– Lanca, Lanca, tu Oaza. Cel wyszedł z naszej przestrzeni powietrznej. Przerwij atak – odzywał się głos w słuchawkach i Dawid odpowiadał posłusznie:

– Lanca dwa, tu Lanca jeden. Przerwywam atak i podejmuję patrolowanie.

Taka taktyka była obliczona na wyczerpanie nerwowe obrony izraelskiej, i rzeczywiście, napięcie we wszystkich eskadronach myśliwskich osiągało niebezpieczny poziom. Prowokacje doprowadzały pilotów do pasji i z najwyższym trudem udawało się uniknąć poczynań, które mogłyby zaowocować wszczęciem działań wojennych na pełną skalę. W końcu by utrzymać młodych, krewkich ludzi na krótszej smyczy, musiało interweniować dowództwo. Brygowi polecono, by przemówił do swych ludzi, co też musiał uczynić. Gdy stanął za pulpitem i popatrzył na zatłoczoną salę odpraw, pomyślał, że jest w tym coś nieuczciwego, gdy trenuje się sokoła, a potem trzyma się go z rzemieniem na nodze, podczas gdy dzikie kaczki spokojnie latają nad głową.

– ...celem wojny jest pokój. Przywrócenie pokoju jest ostatecznym celem strategicznym każdego dowódcy.

Odpowiedzią słuchających było milczenie. Bryg czuł, że ta wypowiedź budzi sprzeciw nawet w jego własnym synu. Jakże mógł występować z pokojowymi hasłami wobec otrzaskanego z wojną żołnierza, który ledwo co zdążył pochować swą świeżo poślubioną żonę, zamordowaną przez nieprzyjaciół? Ciągnął jednak uparcie dalej:

– Tylko głupiec pozwala się zwabić przeciwnikowi na obszar, który ten wybierze – te

słowa zdawały się trafiać do słuchaczy. – Nie chcę, żeby któryś z was, młodych zaciętrzewieńców, wciągnął nas w coś, do czego nie jesteśmy przygotowani. Nie chcę dostarczyć im pretekstu. A oni właśnie go szukają.

Tak, z tym się zgadzali. Zobaczył, jak ktoś potakująco kiwa głową, i usłyszał akceptujący pomruk.

– Każdy z was, który chce sobie przysporzyć poważnego zmartwienia, nie musi od razu lecieć nad Damaszek; może wybrać się po prostu do mnie, wszyscy znacie mój adres – po raz pierwszy spróbował zażartować, i z powodzeniem. Rozległy się śmiechy.

– No tak. Nie dążymy więc do wojny. Będziemy nawet wykonywać uniki, aby do niej nie doszło. Nie mamy jednak zamiaru przesiadywać beczynnie na tyłkach. Kiedy nadejdzie czas, wydam wam rozkaz i nie będzie to na pewno rozkaz miły dla naszych wrogów – znów rozległ się pomruk zadowolenia – ale macie spokojnie czekać na ten rozkaz.

Bryg skończył i jego miejsce zajął teraz pułkownik Dauphin.

– Skoro już was tu zebrałem, skorzystam z tego i przekażę kilka najnowszych informacji, które powinny ochłodzić gorące głowy tych, co chcieliby gonić Migi za syryjską granicę.

Pułkownik przeszedł do ustawionego na końcu sali aparatu projekcyjnego, światła przygasły i natychmiast dało się słyszeć głośne szuranie butami, któremu towarzyszyły westchnienia. Ktoś zaprotestował jękliwie:

– Byle nie jeszcze jeden pokaz filmowy!

– Niestety, właśnie jeszcze jeden pokaz – odparł Dauphin, i kiedy obrazy zaczęły migotać na ekranie, przeszedł do tematu. – Jest to film dostarczony przez wywiad wojskowy, a dotyczy on nowego systemu raketowego typu ziemia-powietrze, w który Związek Sowiecki wyposaża obecnie państwa arabskie. Symboliczna nazwa tego systemu brzmi Serpent i modernizuje on oraz uzupełnia istniejący dotychczas system Sam III. O ile wiadomo, system ten został już zainstalowany i pozytywnie przetestowany na syryjskiej rubieży obronnej i wkrótce mają go zainstalować również Egipcjanie. Obecnie obsługują go jeszcze rosyjscy instruktorzy.

Gdy Dauphin zaczął mówić, Bryg cofnął się, usiadł w fotelu i obserwował twarze pilotów, rozjaśnione poświatą padającą z ekranu. Były one teraz napięte i pełne powagi, jak twarze ludzi oglądających po raz pierwszy groźne urządzenia, mogące wkrótce stać się przyczyną śmierci niejednego z nich.

– Rakieta Serpent jest odpalana z wyrzutni umieszczonej na pojeździe gaśnicowym. Tutaj widzicie sfilmowaną z powietrza kolumnę takich pojazdów, znajdującą się w ruchu. Zwróćcie uwagę, że każdy pojazd wyposażony jest w parę takich

rakiet. Widzicie więc sami, jak wielkie stwarzają one zagrożenie.

Bryg wyłowił z półmroku nieskazitelny profil Dawida, gdy ten wychylił się do przodu, by lepiej widzieć szczegóły obrazu na ekranie. Ogarnęło go uczucie sympatii i współczucia dla tego chłopca, choć obecnie było ono dodatkowo podbudowane rzeczową, wyważoną oceną. Dawid Morgan dowiódł, że jest mężczyzną o stałym, mocnym charakterze, zdolnym do obrania sobie jakiegoś ideału i pozostania mu wiernym.

– Brak jest pewnych informacji na temat ulepszeń zastosowanych w rakiecie Serpent, przypuszcza się jednak, że jest ona w stanie osiągać wielką prędkość, rzędu 2,5 Macha, i że jej system naprowadzający jest kombinacją termolokatora działającego w podczerwieni oraz radaru sterowanego komputerem.

Obserwując tę piękną, młodzieńczą twarz, Bryg zaczął się zastanawiać, czy Debora nie przesadziła w swych obiekcjach. Niewykluczone, że byłby on zdolny... Nie, Bryg potrząsnął głową i sięgnął po papierosa. Był na to zbyt młody, zbyt spragniony życia, zepsuty swą męską urodą i bogactwem. Debora miała rację, jak zwykle zresztą. Zdecydowała się na właściwe rozwiązanie. Nie mogła go zatrzymać, musiała go więc porzucić.

– Można się spodziewać, że Serpent może dosięgać cele na wysokościach między tysiąc pięćset a siedemdziesiąt pięć tysięcy stóp.

Szmer przeleciał po sali – piloci uświadomili sobie, jak straszliwe zagrożenie przedstawia sobą nowa broń.

– Głowica mieści ćwierć tony materiału wybuchowego i jest wyposażona w zapalnik zbliżeniowy ustawiony tak, by zadziałał, gdy cel znajduje się w odległości mniejszej niż sto pięćdziesiąt stóp. W takim promieniu Serpent jest zabójczy.

Bryg w dalszym ciągu obserwował Dawida. On i Rut nie widzieli go u siebie w domu już od miesięcy. Po zamachu odwiedził ich wraz z Joem dwukrotnie, aby spędzić wspólnie wieczór szabatowy. Jednak nastrój przy stole w obu wypadkach był niedobry, atmosfera sztuczna, ponieważ wszyscy starali się pilnie uważać, by nie wymienić imienia Debory. Po drugiej z tych bytności Dawid nie zjawił się więcej, choć minęło już blisko pół roku.

– Taktyka zwodzenia i uników pozostaje na razie taka sama jak w przypadku rakiet Sam III.

– Pomódl się i licz na cud! – wtrącił głos z sali. Tu i ówdzie rozległ się śmiech.

– Jak najciaśniejszy skręt na raketę, by zasłonić własne dysze i wyeliminować czujnik termiczny. Jeżeli mimo to rakietka naprowadza się w dalszym ciągu, wówczas starajcie się uciekać do góry, prosto w słońce, i następnie wykonać jeszcze jeden ostry

skręt. Jest wtedy szansa, że rakieta uzna Słońce jako źródło promieniowania podczerwonego za bardziej łakomy cel...

– A jeżeli nie? – padło pytanie z sali, a inny głos natychmiast odpowiedział: – Wtedy powtarzajcie te słowa: „Słuchaj, Izraelu: Pan, Bóg nasz, jest jedynym Bogiem.”

Ale tym razem nikt nie zareagował śmiechem na to bluźnierstwo. Gdy wychodzili z sali, Bryg podszedł do Dawida.

– Kiedy odwiedzisz nas, Dawidzie? Nie widzieliśmy cię już bardzo długo.

– Tak. Przykro mi. Mam nadzieję, że Joe przekazał moje przeprosiny?

– Oczywiście, ale może przyszedłbyś razem z nim dzisiaj wieczorem? Z pewnością będzie aż nadto jedzenia.

– Dziękuję, ale dzisiejszy wieczór mam bardzo zajęty – odparł ponuro Dawid.

– Rozumiem.

Gdy doszli do biura oficera operacyjnego, Bryg zatrzymał się jeszcze na chwilę.

– Pamiętaj, że jesteś zawsze miłym gościem w naszym domu – rzekł i odwrócił się.

– Panie generale!

Bryg przystanął i spojrział na Dawida. Ten zaś zaczął dopytywać się, mówiąc szybko, jak gdyby był świadom, że popełnia jakieś wykroczenie:

– Jak ona się miewa? Jak się czuje? Widział ją pan ostatnio?

– Czuje się dobrze... o tyle, o ile to tylko możliwe w jej stanie – odrzekł Bryg ciężkim głosem.

– Czy powie jej pan, że pytałem o nią?

– Nie – odparł Bryg, ignorując błaganie malujące się w ciemnobłękitnych oczach. – Nie. Wiesz, że nie mogę tego zrobić.

Dawid skinął głową, odwrócił się i skierował do wyjścia. Bryg patrzył za nim jeszcze przez chwilę, zmarszczył brwi i zniknął za drzwiami biura.

Dawid podrzucił Joego do Ain Karem, wysadził go u wylotu alejki, po czym pojechał do głównego centrum handlowego w południowej części miasta i zaparkował na ulicy Melech George V przed wielkim, nowym supermarketem, gdzie zamierzał zrobić zakupy na parę świątecznych dni.

Stał pochylony nad pudłem zamrażarki, usiłując dokonać wyboru pomiędzy kotletami z jagnięcia a befsztykami, gdy poczuł, że ktoś mu się przygląda.

Spojrzał w bok i stwierdził, że jest to kobieta, o dość pełnych kształtach i gęstych, kręconych włosach koloru blond. Stała tuż obok, w przejściu pomiędzy półkami. Jej włosy były farbowane, dostrzegł pasemka ciemnych odrostów. Była starsza od niego, w jej biodrach i piersiach wyczuwało się ociężałość dojrzałej kobiecości, a od kącików

oczku rozbiegały się delikatne zmarszczki. Przyglądała mu się z widoczną fascynacją, tak bezwstydnie zmysłową, że wstrzymał na moment oddech i lekki prąd przebiegł mu przez biodra i dół brzucha. Odwrócił wzrok i gapił się znów w głąb zamrażarki, zawstydzony i zły na siebie za ów zdradziecki odruch własnego ciała. Od dawna, od bardzo dawna nie doznawał żadnych emocji erotycznych. Uwierzył już, że przestały one dla niego istnieć raz na zawsze. Miał chęć cisnąć trzymaną w ręce paczkę befsztyków i uciec, a jednak stał jak wrośnięty, czując ucisk w krtani i fizyczną obecność kobiety u swego boku. Czuł na rękę emanujące od niej ciepło i jej zapach – aromat perfum przemieszany ze zmysłową, piżmową wonią pobudzonej erotycznie samicy.

– Te befsztyki są bardzo smaczne – powiedziała. Miała niski, przyjemny głos, a po jego brzmieniu Dawid zorientował się, że musi doznawać takich samych sensacji jak on. Spojrzał na nią, teraz już otwarcie. Miała zielone oczy, zęby niezbyt proste, ale białe. Musiała być starsza, niż mu się na pierwszy rzut oka zdawało, miała już pewnie pod czterdziestkę. Luźna sukienka otwierała się z przodu dużym dekoltem, odsłaniając głęboką szczelinę między piersiami. Same piersi były duże i ciężkie i nagle Dawid zapragnął wtulić się w nie twarzą. Kusily swą miękkością, ciepłem i – macierzyństwem.

– Trzeba je dusić na miękko, z grzybami, czosnkiem i czerwonym winem – dodała. – Wtedy dopiero są naprawdę dobre.

– Tak? – spytał chrypliwie.

– Właśnie tak – przytaknęła uśmiechając się. – Kto je panu przyrządzi? Matka czy żona?

Dawid pokręcił przecząco głową.

– Nikt mnie w tym nie wyręczy. Mieszkam sam – odparł, na co przysunęła się doń bliżej, a jej pierś musnęła jego ramię.

Był oszołomiony i rozgrzany koniakiem, który kupił w supermarkecie i wypił dobre pół butelki, mieszając go z ciemnym, mocnym piwem dla zabicia spirytusowego posmaku. Pił pospiesznie, a teraz stał pochylony nad umywalką w łazience i miał wrażenie, że wszystko wokół niego i nad nim kołysze się i wiruje. Pragnąc utrzymać równowagę, uchwycił się brzegów umywalki.

Chlusnął sobie w twarz zimną wodą i starł dłonią krople, potem uśmiechnął się głupawo do własnego odbicia w lustrze. Włosy miał mokre i pozlepiane na czole; przymrużył jedno oko i chwiejny obraz w lustrze znieruchomiał, a facet z lustra spojrział na niego z idiotycznym grymasem.

– Jak się masz, stary! – wybełkotał i sięgnął po ręcznik. Opryskał wodą bluzę, i to go zirytowało. Cisnął ręcznik na stołeczek przy toalecie i wrócił do salonu.

Kobieta znikła. Na skórzanej kanapie widniały wklęsnięcia po jej poślądkach, a na stole stały brudne talerze. Powietrze było przesiąknięte odorem papierosów i jej perfum.

– Gdzie jesteś? – zawołał, stojąc w drzwiach i kołysząc się lekko na nogach.

– Tutaj, mój chłopaczku.

Podążył do sypialni. Leżała na łóżku, naga, pulchna i świecąca bielą obfitych piersi i brzucha. Stał, wpatrując się w nią bez słowa.

– Chodź, Dawidzie...

Ubranie rzuciła byle jak na stolik. Biustonosz i majtki były szarawe i z wyraźnymi smugami brudu, a jej włosy przybrały żółty odcień na tle koronkowej narzuty w kolorze kości słoniowej.

– Chodź do mamy – wyszeptała ochryple, rozchylając szeroko uda. Leżała tak, na mosiężnym łóżku, na narzucie należącej do Debory – i Dawid poczuł, jak wzbiera w nim ślepy gniew.

– Wstawaj – warknął.

– Chodź, mój słodki...

– Won z tego łóżka! – wycodził.

Uniosła się, zaniepokojona tonem jego głosu.

– Co się stało?

– Wynoś się stąd! – wrzasnął. – Wynoś się, ty dziwko! Precz!

Dygotał z wściekłości, miał bladą twarz i oblęd w pociemniałych oczach.

Drżąc z przerażenia zeskoczyła z łóżka, trzęsąc poślądkami pobiegła do stolika i zaczęła się ubierać, komicznie walcząc z wielkim biustem, który nie chciał dać się wtłoczyć w brudny stanik.

Zostawszy sam, Dawid potoczył się z powrotem do łazienki i zwymiotował do umywalki. Potem, gdy przyszedł nieco do siebie, posprzątał dom, pozmywał garnki i talerze, opróżnił popielniczki, otworzył okna, by świeże powietrze wywiało odór papierosów i perfum. Na koniec przeszedł do sypialni, gdzie przesłał łóżko, zmieniając pościel, i przykrył je narzutą, wygładzając ją pieczołowicie, tak żeby nie było na niej ani jednej zmarszczki.

Włożył nową bluzę mundurową i czapkę, wsiadł do mercedesa i pojechał do Bramy Jafskiej. Zostawił samochód na parkingu i poszedł przez stare miasto do znajdującej się w żydowskim kwartale, odbudowanej niedawno sefardyjskiej synagogi.

Cisza i spokój wypełniały wysokie, sklepione wnętrza i Dawid chłonał je długo, siedząc na twardej, drewnianej ławce.

Głębokie zmarszczki, świadczące o wielkim skupieniu, pobruździły szerokie czoło

Joego, pochylonego nad szachownicą naprzeciwko Dawida. Trzech czy czterech spośród pozostałych pilotów przysunęło swoje krzesła i również w skupieniu śledziło rozwój sytuacji na szachownicy. Pojedynki szachowe między Dawidem a Joem miały zazwyczaj bardzo urozmaicony przebieg i budziły zainteresowanie przypadkowych widzów.

Dawid przez sześć ostatnich ruchów tropił wieżę Joego i wreszcie zagonił ją w ślepy zaułek. Dwa kolejne ruchy miały rozbić obronę królewską, a po trzecim Joemu pozostawałoby już tylko poddać partię. Dawid uśmiechnął się pobłaźliwie, gdy Joe podjął wreszcie decyzję i wykonał ruch skoczkiem do przodu.

– To na nic się nie przyda, przyjacielu.

Ledwo raczył rzucić okiem na skoczka i zbił wieżę białym gońcem.

– Mat w pięciu ruchach! – oznajmił, wrzucając figurę do pudełka, gdy nagle, zbyt późno, spostrzegł, że teatralny wyraz zatroskania na twarzy Joego przechodzi powoli w radosny uśmiech. Tak, Josef Mordechaj uciekał się do wszelkich możliwych sposobów, by ukryć swe pułapki, i teraz Dawid spoglądał z trwogą na niewinnie wyglądającego skoczka, będącego kluczową figurą w chytrej kombinacji, w której wieża była jedynie niewiele znaczącą przynętą.

– O, ty skurczybyku! – jęknął Dawid. – Ty podstępny draniu!

– Szach!

Joe cały promieniał, ruszając skoczkiem do podwójnego ataku, i Dawid musiał pozostawić królową pod biciem.

– Szach! – powtórzył Joe i westchnął cicho z satysfakcji. Uniósł z szachownicy zbitą królową, a Dawidowy król odskoczył na jedyne dostępne dlań jeszcze pole.

– I mat! – oznajmił Joe, wyprowadzając królową spoza linii swej obrony. – Nie w pięciu ruchach, jak zapowiedziałeś, ale w trzech.

Zabrzmiał głośny chór gratulacji i pochwał. Joe puścił oko do Dawida.

– Jeszcze jedną partyjkę? – spytał, lecz Dawid pokręcił przecząco głową.

– Znajdź sobie innego naiwniaka. Ja muszę mieć przynajmniej godzinę, żeby ochłonać po tym niebywałym wydarzeniu.

Wstał i podczas gdy Joe ustawiał ponownie figury na szachownicy, na jego miejsce natychmiast wślizgnęła się kolejna, ufna we własne siły ofiara. Dawid skierował się do maszyny z kawą, poruszając się niezgrabnie w kłępującym ruchu kombinezonie, i wydobył z niej kubek mocnego, smolistego płynu, wyspał doń cztery łyżeczki cukru i zamieszał. Z kubkiem w dłoni przeszedł w spokojniejszy kąt pomieszczenia i usiadł obok szczupłego, kędzierzawego chłopaka z kibucu, z którym zdążył się swego czasu zaprzyjaźnić.

– Szalom, Robercie. Jak ci leci?

Robert czytał jakąś grubą powieść i kiwnął tylko głową, nie odrywając oczu od książki. Dawid popijał łykami gorącą, słodką kawę i podczas gdy siedzący obok chłopak wiercił się i wzdychał przy lekturze, zagłębił się we własnych myślach. Po raz pierwszy od miesiąca przypominał sobie daleki dom, Mitzi i Barneya Ventera, zastanawiał się, czy w tym sezonie dobrze biorą ryby w Fałszywej Zatoce i jak wyglądają krzewy kwitnące na zboczach Helderbergu.

Robert znów przekręcił się na krześle i odchrząknął. Dawid przyjrzał mu się i stwierdził, że chłopak jest pod silnym wrażeniem treści książki – wargi mu drżały, a oczy błyszczały podejrzeniem.

– Co czytasz? – spytał Dawid i wychylił się, by dojrzeć tytuł. Obrazek na obwolucie wydał mu się natychmiast znajomy. Przedstawiał utrzymany w ostrych barwach pustynny krajobraz, w głębi którego widniały dwie małe, idące przed siebie figurki, mężczyzny i kobiety, trzymające się za ręce. Obrazek urzekał swą formą i zawartą w nim mistyką i Dawid wiedział, że stworzyć go mogła jedna tylko osoba – Ella Kadesz.

Robert opuścił książkę.

– To wprost niesamowite – powiedział głosem pełnym przejęcia. – Jest niezwykle piękna, mówię ci, Dawidzie. To musi być jedna z najpiękniejszych książek, jakie kiedykolwiek napisano.

Wiedziony dziwną intuicją, mając już pewność, co to za książka, Dawid wyjął ją z rąk Roberta i obrócił, by przeczytać tytuł, który brzmiał: Kraj naszych serc.

Robert wciąż mówił:

– Moja siostra namówiła mnie, bym ją przeczytał. Ona pracuje dla tego wydawcy. Sama płakała całą noc, kiedy ją czytała. To bardzo nowa książka, ukazała się dopiero w zeszłym tygodniu, ale na pewno jest to najlepsza ze wszystkich książek o Izraelu.

Lecz Dawid go nie słuchał, wpatrzony w nazwisko autorki, wydrukowane małą czcionką pod tytułem – Debora Mordechaj.

Przesunął palcami po śliskiej obwolucie, dotykając tego miejsca.

– Chcę ją przeczytać – powiedział cicho.

– Pożyczę ci ją, kiedy tylko skończę – obiecał Robert.

– Chcę ją wziąć teraz!

– Nie ma mowy! – zawołał Robert i wyszarpnął książkę z rąk Dawida. – Poczekaj na swoją kolej, przyjacielu!

Dawid uniósł głowę i zobaczył, że Joe patrzy na nich z drugiego końca sali. W spojrzeniu Dawida było tyle żalu i pretensji, że Joe szybko pochylił głowę nad szachownicą i Dawid upewnił się, że Joe wiedział o książce. Wstał i ruszył ku niemu, by przedyskutować z nim po męsku tę sprawę, lecz właśnie w tym momencie ze wszystkich

głośników w bunkrze padł rozkaz:

– Wszystkie eskadry dywizjonu Lanca – „czerwone” pogotowie!

Dawid chwycił hełm i dołączył do grupy pilotów opuszczających salę i wsiadających do elektrycznego pojazdu transportowego, czekającego na zewnątrz, w betonowym tunelu. Przepchnął się energicznie do przodu i zajął miejsce obok Joego.

– Dlaczego mi nie powiedziałaś?

– Miałem zamiar ci powiedzieć. Naprawdę.

– Tak, tak, oczywiście – parsknął Dawid. – Czytałaś ją?

– Joe przytaknął.

– O czym jest ta opowieść?

– Nie mogę ci jej opowiedzieć. Musiałbyś sam ją przeczytać.

– Zrobię to, bądź spokojny – mruknął Dawid, zeskoczył z transportera, który właśnie podjechał do ich hangaru, i pospieszył do Mirage’a.

Dwadzieścia minut później byli już wysoko w powietrzu i lecieli w kierunku Morza Śródziemnego, by wydobyć z oparów pasażerski samolot Caravelle, należący do linii El-Al, którego pilot nadał komunikat, że jest niepokojony przez syryjskiego Miga 21 J.

Spostrzegłszy zbliżające się maszyny izraelskie, Syryjczyk nie zwlekał ani chwili i umknął w stronę wybrzeża, pod osłonę swoich wyrzutni rakietowych. Nie gonili go, zadowalając się osłoną samolotu pasażerskiego, który eskortowali aż do momentu, gdy zaczął krążyć przed podejściem do lądowania nad lotniskiem w Lod, a następnie wzięli kurs na bazę.

Natychmiast po powrocie Dawid, jeszcze w kombinezonie i z hełmem pod pachą, udał się do biura pułkownika Dauphina i wydobył od niego przepustkę na dwadzieścia cztery godziny.

Na dziesięć minut przed porą zamknięcia wpadł do jednej z księgarń przy ulicy Jaffa.

Na stole pośrodku księgarni piętrzyła się piramida ułożona z egzemplarzy Kraju naszych serc.

– To bardzo piękna powieść – powiedziała sprzedawczyni, pakując egzemplarz dla Dawida.

Otworzył puszkę Goldstara, zrzucił buty i wyciągnął się na koronkowej narzucie.

Zaczął czytać i czytał bez wytchnienia, przerywając lekturę, by zapalić lampę, a potem już tylko po to, by przynieść sobie kolejną puszkę piwa. Książka była gruba, a on czytał powoli, smakując każde słowo, niekiedy wracając do początku rozdziału.

Była to historia ich dwojga – jego i Debory – wpleciona w fabułę bardziej ogólnej natury, której zarys Debora naszkicowała mu już owego dnia, kiedy opalali się na

skalistej wysepce na Costa Brava. Zawierała bardzo wiele mądrych informacji i myśli dotyczących tego kraju i jego mieszkańców. Potrafił też zidentyfikować wiele drugorzędnych postaci, co go bawiło i dostarczało uciechy. Końcową partię czytał jednak ze ściśniętym gardłem. Opowiadała ona o tym, jak bohaterka, umierająca, leży w szpitalu Hadassa, mając połowę twarzy zmasakrowaną wskutek eksplozji bomby podłożonej przez terrorystów, i nie chce zgodzić się, by odwiedził ją ukochany. Pragnie oszczędzić mu straszliwego widoku, pragnie pozostać na zawsze w jego pamięci taką, jaką ją znał.

Za oknem świtało już, a Dawid nie zauważył nawet, że minęła noc. Podniósł się z łóżka, z mętną głową na skutek niewyspania, lecz pełen podziwu dla Debory, że tak wiernie potrafiła oddać całą złożoność sytuacji, że przeniknęła tak dogłębnie jego duszę i opisała uczucia, o których on sam sądził, iż nie można ująć ich w słowa.

Wziął kąpiel, ogolił się, włożył pierwszą z brzegu koszulę, spodnie i wrócił do sypialni, gdzie na łóżku leżała książka. Przyjrzał się jeszcze raz obwolucie i otworzył książkę na karcie przed tytułowej, by znaleźć potwierdzenie. Istotnie, znalazł tam między innymi krótką notkę: „Ilustracja na obwolucie – Ella Kadesz.”

O tak wczesnej godzinie miał szosę niemal wyłącznie dla siebie, toteż jechał szybko, mierząc wprost we wschodzące słońce. W Jerychu skręcił na północ, na drogę biegnącą wzdłuż granicy, i mknął dalej, wspominając Deborę, siedzącą obok niego, z podciągniętą wysoko spódnicą, odsłaniającą smukłe, opalone nogi i z powiewającymi na wietrze pasemkami ciemnych włosów.

Wiatr poświstujący na masce mercedesa zdawał się szeptać: „szybciej, szybciej”, a głuchy szum opon na asfalcie kojarzył się z szumem skrzydeł niosących go w stronę Jeziora Genezaret.

Zaparkował pod starym murem krzyżowców i wszedł do ogrodu na skraju jeziora.

Ella siedziała na rozległym patio, przed rozstawionymi sztalugami. Na głowie miała słomkowy kapelusz o średnicy młyńskiego koła, w dodatku przystrojony plastikowymi czereśniami i strusimi piórami, a reszta jej stroju przypominała namiot cyrkowy, usztywniony niezliczonymi plamami od farb, we wszystkich charakterystycznych dla niej jaskrawych kolorach.

Oderwała wzrok od płótna i jej ręka z pędzlem zawisała w powietrzu.

– Jak się masz, młody Marsie! – pozdrowiła go. – Miło cię widzieć, lecz czemu zawdzięczam zaszczyt goszczenia cię w moich niskich progach?

– Nie pieprz, Ella. Wiesz bardzo dobrze, dlaczego tu jestem.

– Jakże subtelnie to ująłeś...

Była nieszczerą, widział to po jej małych, jasnych oczkach.

– ...Wstyd, że takie brzydkie słowa padają z tak pięknych ust. Napijesz się piwa,

Dawidzie?

– Nie, nie chcę piwa. Chcę dowiedzieć się, gdzie ona jest.

– Nie wiem, kogo masz na myśli.

– Daj spokój, Ella. Czytałem książkę. Widziałem obrazek na okładce. Wiesz, do diabła! Wiesz bardzo dobrze!

Ella siedziała, przypatrując mu się w milczeniu. Potem szerokie rondo kapelusza pochyliło się na znak zgody.

– Tak – przyznała. – Wiem.

– Powiedz mi więc, gdzie ona jest.

– Nie mogę tego zrobić, Dawidzie. Oboje złożyliśmy przyrzeczenie. Jak widzisz, wiem o twojej obietnicy.

Widziała, jak chłopak traci impet i pewność siebie. Piękna, młoda sylwetka z wojowniczo wysuniętymi do przodu ramionami zdawała się wiotczeć. Dawid stał teraz w porannym słońcu, przygaszony i niepewny.

– A może jednak piwo, Dawidzie?

Wstała ze swego zydlu, statecznym krokiem przemierzyła taras i znikła w głębi domu. Wróciła po chwili i podała Dawidowi wysoką szklanę, zwieńczoną wzgórkiem piany. Usiedli razem w zasłoniętym od wiatru zakątku tarasu, zalany promieniami łagodnego, zimowego słońca.

– Spodziewałam się ciebie już od tygodnia – powiedziała Ella. – Od chwili, kiedy ukazała się książka. Wiedziałam, jaka będzie twoja reakcja. Ona diabelnie mocno, nawet zbyt mocno oddziałuje na uczucia. Nawet ja lałam łzy jak ciekący kran przez parę dni – zachichotała wstydliwie. – Nie spodziewałbyś się tego po mnie, prawda?

– To książka o nas, o Deborze i o mnie. Ona opisała naszą historię.

– Tak. Lecz to nie świadczy o zmianie podjętej przez nią decyzji. Decyzji, którą, nawiasem mówiąc, ja uważam za słuszną.

– Opisała dokładnie wszystkie moje uczucia. Wszystko, co czułem i co wciąż czuję, czego nigdy nie potrafiłem wypowiedzieć słowami.

– To jest bardzo prawdziwe i bardzo piękne, czy jednak nie dostrzegasz, że to potwierdza trafność jej wyboru?

– Ale ja ją kocham, Ella. I ona też mnie kocha! – wykrzyknął.

– Debora pragnie, żeby to tak już zostało. Nie chce, żeby wasze uczucie umarło, nie chce go zniszczyć.

Dawid zaczął protestować, lecz Ella chwyciła go za rękę i ścisnęła z nadspodziewaną siłą, by go uciszyć.

– Ona wie, że już nigdy nie byłaby w stanie dotrzymać ci kroku. Popatrz na siebie,

Dawidzie. Jesteś szalenie przystojny, pełen życia, rozpiera cię energia i potrzeba działania. Musiałaby być dla ciebie ciężarem i z czasem niewątpliwie zacząłbyś się przeciwko temu buntować.

Dawid znów chciał zaproponować, lecz Ella swą wielką dłonią potrzęsnęła mocno jego ręką.

– Byłbyś jak zakuty w kajdany. Nigdy nie mógłbyś jej opuścić, potrzebowałaby stale twojej pomocy i stałaby się dla ciebie kamieniem u szyi na resztę życia. Pomyśl o tym!

– Potrzebuję jej – wymamrotał Dawid z uporem. – Nie miałem nic, dopóki jej nie spotkałem, i teraz znowu nic nie mam.

– To się zmieni. Być może nauczyłeś się czegoś przy niej, a rany w młodej duszy goją się tak szybko jak skaleczenia na ciele. Ona pragnie dla ciebie szczęścia, Dawidzie. Kocha cię tak bardzo, że ofiarowuje ci największy dar – wolność. Kocha cię tak wielką miłością, że stać ją na odrzucenie tego uczucia – dla twego szczęścia.

– Boże! – jęknął Dawid. – Gdybym tylko mógł ją zobaczyć, gdybym mógł ją dotknąć i porozmawiać parę minut!

Ella potrzęsnęła głową i jej grubo ciosana twarz napełniła się smutkiem.

– Ona nie zgodziłaby się na to.

– Ale dlaczego, Ella! Powiedz mi, dlaczego?!

– Bo zdaje sobie sprawę, że nie jest dostatecznie silna. Wie, że gdybyś raz zbliżył się do niej, ugięłaby się i ściągnęła jeszcze większe nieszczęście na was oboje.

Po tych słowach zapadła cisza i siedzieli tak, obok siebie, zapatrzeni w odległy krajobraz po drugiej stronie jeziora. Potężne zwały chmur wysnuwały się zza Wzgórz Golan, brylantowo białe w promieniach zimowego słońca, jedynie tu i ówdzie, od zachodniej strony nasączone szarością i ciemnym błękitem, i z wolna spływały ku jezioru. Dawid zadrżał, gdy jakiś zabłąkany powiew zimnego wiatru zawirował na tarasie i wytropił ich kryjówkę.

Dopił resztę piwa i zaczął obracać w palcach pustą szklanekę.

– Czy przekażesz jej kilka słów ode mnie, Ella? – spytał.

– Nie sądzę, żeby...

– Proszę, Ella. Jeden jedyny raz i tylko kilka słów.

Ella skinęła głową.

– Powiedz jej, że to, co napisała w książce, jest prawdziwe, że tak właśnie ją kocham. Powiedz jej, że to uczucie jest większe i mocniejsze niż wszystko, co mogłoby mu zagrażać. Powiedz, że chcę, żeby mi dała choć szansę.

Ella słuchała w skupieniu, a on mówiąc wykonywał dłońmi ruchy, jak gdyby pragnął uchwycić w powietrzu swe słowa i uformować je tak, aby miały większą moc

przekonywania.

– Powiedz jej jeszcze... – umilkł i potrząsnął głową. – Nie, niech to będzie wszystko.

Po prostu powiedz jej, że ją kocham i pragnę z nią być.

– Dobrze, Dawidzie. Powiem jej.

– I przekażesz mi jej odpowiedź?

– Tak. Gdzie będę mogła cię znaleźć?

Podał jej numer telefonu znajdującego się w pomieszczeniu pilotów w bazie.

– Zadzwoń szybko, Ella? Nie każ mi długo czekać.

– Jutro – obiecała. – Jutro rano.

– Byle tylko przed dziesiątą.

Wstał, po czym nagle pochylił się i pocałował ją w obwisły, poorany zmarszczkami policzek.

– Dziękuję ci, Ella. Nie jesteś starą, złośliwą jędzą.

– Idź do diabła ze swoimi pochlebstwami! Myślisz, że tylko kiwniesz palcem, a same syreny z Odysei popędzą do ciebie na wyścigi!

Siąknęła głośno nosem.

– Wynoś się już. Czuję, że będę płakać, a to sprawia mi przyjemność tylko wtedy, gdy jestem sama.

Spoglądała za nim, gdy odchodził, zmierzając przez trawnik, pod palmami, ku furtce w murze. Tam zatrzymał się i spojrzął za siebie. Przez chwilę patrzyli na siebie z oddalenia, po czym Dawid przekroczył próg furtki i znikł.

Usłyszała odgłos zapalanego silnika mercedesa, potem niskie buczenie, gdy samochód wspinał się pod górę polną drogą, które przeszło w wysoki zaśpiew, kiedy wjechał na główną drogę i zaczął nabierać prędkości, kierując się na południe. Wstała, przeszła przez taras i zeszła po schodach, zmierzając ku brzegowi, wzdłuż którego na dużej przestrzeni stały wzniesione z kamienia hangary na łódzie. Od domu oddzielał je fragment starego muru.

Uwiązana przy nabrzeżu motorówka kołysała się, poruszana wiatrem i falą. Ella poszła brzegiem do najdalszego i zarazem największego z hangarów i stanęła w jego otwartych drzwiach.

Jego przestronne wnętrze było całe pomalowane na biało i urządzone w sposób tyleż prosty, co funkcjonalny. Kamienną posadzkę ocieplały grube kilimy z nie barwionej wełny. Duże łóżko stało w częściowo zasłoniętej kotarą wnęcie w ścianie obok kominka. Przy przeciwległej ścianie stała kuchnia gazowa z dwoma palnikami, a nad nią wisiały miedziane garnki i naczynia. Osobne drzwi prowadziły do łazienki i toalety, którą Ella dobudowała dopiero niedawno.

Jedyną dekorację stanowił obraz pędzla Elli, ten sam, który poprzednio wisiał w domu przy ulicy Melchizedeka. Tutaj również wisiał on na pustej, białej ścianie naprzeciwko wejścia. Zdawał się rozświetlać i ocieplać całe pomieszczenie, a pod nim, przy stole zamienionym na pulpit do pracy, siedziała Debora. Słuchała swojego własnego głosu, mówiącego po hebrajsku, odtwarzanego z magnetofonu. Na jej twarzy, zwróconej ku białej ścianie, malowało się skupienie.

Kiwnęła głową sama do siebie i uśmiechnęła się. Zatrzymała taśmę, odwróciła się na obrotowym krześle do drugiego magnetofonu, wcisnęła klawisz nagrywania i trzymając mikrofon blisko przy ustach zaczęła tłumaczyć odtworzony przed chwilą tekst na angielski.

Ella stała w drzwiach i w milczeniu przypatrywała się jej pracy. Pewien amerykański wydawca nabył prawa do anglojęzycznej wersji Kraju naszych serc. Debora otrzymała już trzydzieści tysięcy dolarów tytułem zaliczki autorskiej oraz dodatkowo pięć tysięcy za dokonanie przekładu. W chwili obecnej tłumaczenie było już prawie gotowe.

Z miejsca, gdzie stała, Ella mogła dostrzec bliznę na skroni Debory. Odcinała się ona różowawą bielą od opalonej na brąz skóry. Mała niczym płatek śniegu, w kształcie litery V, przypominająca rysunek mewy w locie, zdawała się raczej dodawać jej uroku, niczym swawolny pieprzyk – maleńka skaza, wprowadzająca odrobinę asymetrii w proste, regularne rysy jej twarzy.

Nie starała się jej zasłonić, włosy miała ściągnięte do tyłu i przewiązane rzemykiem. Nie miała też makijażu i jej opalona skóra była gładka i aksamitna. Pomimo nieforemnego swetra i grubych, wełnianych spodni cała jej smukła sylwetka promieniowała zdrowiem i siłą, co zawdzięczała niewątpliwie temu, iż codziennie pływała w jeziorze, nawet wtedy, gdy lodowate wiatry wiały od północy.

Ella oderwała się od framugi drzwi i ruszyła po cichu w kierunku stołu, wpatrując się w oczy Debory, jak to zresztą często robiła. Wiedziała, że pewnego dnia namaluje ich szczególny wyraz. Nie było w nich nic, co pozwalałoby się domyślać, że nie widzą, żadnego zewnętrznego śladu kalectwa. Ich łagodne spojrzenie zdawało się raczej przenikać głębiej i wszystko ogarniać. Te oczy miały w sobie jakiś niemal mistyczny spokój, pełen głębi i zrozumienia, wobec którego Ella czuła się dziwnie nieswojo.

Debora przesunęła wyłącznik na mikrofonie, zatrzymując taśmę, i spytała, nie odwracając głowy:

- Czy to ty, Ella?
- Jak zorientowałaś się, że tu jestem?
- Poczułam ruch powietrza, gdy weszłaś, a potem twój zapach.
- Jestem wprawdzie dostatecznie duża, by wzniecić wicher, ale czy rzeczywiście

cuchną tak paskudnie? – spytała Ella, śmiejąc się.

– Zalatujesz terpentyną, czosnkiem i piwem – odrzekła Debora i zawtórowała jej śmiechem.

– Krajałam czosnek do pieczenia, potem malowałam, a na koniec popijałam piwo ze znajomym – oświadczyła Ella i usiadła w fotelu. – Jak ci idzie przekład?

– Już go kończę. Jutro można go będzie oddać maszynistce. Napijesz się kawy?

Debora wstała i podeszła do kuchenki. Nauczona doświadczeniem Ella wiedziała, że w takich sytuacjach lepiej nie ofiarowywać jej pomocy, że wszystko, co może zrobić, to zacisnąć zęby, obserwując, jak Debora daje sobie radę z ogniem i gotującą wodą. Za żadną cenę nie pozwalała odebrać sobie poczucia samowystarczalności, zdecydowana unikać pomocy i współczucia z czyjejkolwiek strony.

Wszystko w tym pomieszczeniu znajdowało się w idealnym porządku, każdy przedmiot leżał na przeznaczonym dla siebie miejscu, tak że Debora zawsze mogła znaleźć go bez kłopotu. Mogła poruszać się pewnie w tym swoim małym świecie, porządkując i sprzątając, przygotowując sobie posiłki, pracując przy stole, jednym słowem – żyjąc swym własnym życiem.

Raz w tygodniu zjawiał się kierowca z firmy wydawniczej w Jerozolimie i zabierał nagrane przez nią partie tekstu, które następnie były spisywane z taśm razem z jej osobistą korespondencją. Również raz na tydzień wyruszała z Ellą łodzią motorową do Tyberiady na zakupy, a codziennie skakała do jeziora z kamiennego nabrzeża i pływała przez godzinę. Często przypląwał po nią stary rybak, z którym się zaprzyjaźniła, i wyruszała na jezioro, gdzie łowiła z nim ryby, ale na swoje własne wędki, a potem, w drodze powrotnej, zamieniała się z nim przy wiosłach.

Niedaleko, za trawiastymi łąkami, w domu sfabrykowanym ze szczątków twierdzy krzyżowców mogła zawsze znaleźć towarzystwo Elli i okazję do niebanalnej konwersacji. Tu natomiast, w tej skromnej chacie miała spokój, poczucie bezpieczeństwa i pracę wypełniającą długie godziny. I tylko w nocy wsączał się tu chłód straszliwej samotności i poduszka nasiąkała łzami – łzami, o których poza Deborą nie wiedział nikt.

Podawała Elli kubek z kawą, a swój zaniósła do pulpitu.

– A teraz powiedz mi, co nie daje ci spokoju i sprawia, że wierzysz się w fotelu i stukasz palcami w oparcie – zwróciła się do Elli z uśmiechem, przeczuwając jakąś niespodziankę. – Masz mi przecież coś do powiedzenia i aż trudno ci z tym wytrzymać.

– Tak – powiedziała Ella i zamilkła. – Tak, nie mylisz się.

Zaczerpnęła głęboko powietrza i wyrzuciła z siebie na jednym oddechu: – On był u mnie, Debora. Odwiedził mnie, tak jak wiedziałyśmy, że to zrobi.

Debora odstawiła kubek na stół. Ręka jej nie drżała, a twarz nie wyrażała żadnej

emocji.

– Nie powiedziałaś mu, gdzie jesteś.

– Jak on się miewa, Ella? Jak wygląda?

– Jest odrobinę szczuplejszy, tak mi się wydaje, i nieco bledszy, ale, jak na mój gust, jest mu z tym do twarzy. Jest w dalszym ciągu najurodziwszym mężczyzną, jakiego kiedykolwiek widziałam.

– A jego włosy? Czy ma teraz trochę dłuższe?

– Owszem, chyba tak. Są ciemne, miękkie, gęste przy uszach i kręcą się lekko z tyłu, schodząc aż na szyję.

Debora pokiwała głową i uśmiechnęła się.

– To dobrze, że ich nie skrócił.

Zapadło milczenie. Przerwała je Debora, pytając nieśmiało, jakby z lękiem:

– Po co przyjechał? Co mówił?

– Prosił mnie, żebym ci przekazała coś, czego, nie wiedząc, gdzie jesteś, nie może ci sam powiedzieć.

– Tak?...

Ella powtórzyła dokładnie słowa Dawida. Kiedy skończyła, Debora odwróciła się na swoim obrotowym krześle twarzą do ściany.

– Proszę, idź już, Ella. Chciałabym teraz być sama.

– Prosił mnie, żebym przekazała mu twoją odpowiedź. Obiecałam, że zadzwonię do niego jutro rano.

– Przyjdę do ciebie później, ale teraz zostaw mnie, proszę.

Ella zobaczyła na tle ściany jasną łzę, spływającą po miękkim, ciemnym łuku policzka Debory.

Podniosła się z fotela, ocieężała i zwalista, i ruszyła w kierunku drzwi. Już na zewnątrz usłyszała cichy szloch, lecz nie zawróciła. Poczłapała kamiennym nabrzeżem, a potem po schodach, na taras. Usiadła przed sztalugami i zaczęła malować. Pędzel w jej dłoni atakował płótno zamaszystymi, pełnymi pasji pociągnięciami.

Dawid pocił się w elastycznym pancerzu skafandra, czekając w napięciu przy telefonie i spoglądając co parę minut na zegar wiszący na ścianie pomieszczenia dla pilotów.

O dziesiątej, czyli za siedem minut, rozpoczynało się dla niego i Joego „czerwone” pogotowie, a Ella jeszcze się nie odezwała. Zaczynały go ogarniać wściekłość i rozpacz zarazem. Ella obiecała przecież, że zadzwoni przed dziesiątą.

– Chodź, Dawid, idziemy! – zawołał Joe od drzwi sali. Dawid podniósł się ociężale

i podążył za Joem do elektrycznego transportera. Ledwo zdążył wejść do środka, gdy z sali dobiegł ich dzwonek telefonu.

– Poczekaj! – rzucił Dawid kierowcy, wyskoczył z transportera i rzucił się pędem z powrotem. Zobaczył, że Robert odebrał telefon i macha do niego przez szybę.

– To do ciebie, Dawidzie.

Głos Elli zdawał się dobiegać z Księżycy, był chropawy i niewyraźny.

– Przepraszam cię, chciałam zadzwonić wcześniej, ale tak tu trudno rozmienić pieniądze...

– Jasne, jasne – przerwał jej Dawid, wciąż zły i napięty. – Rozmawiałaś z nią?

– Tak, Dawidzie. Powtórzyłam jej to, co powiedziałaś.

– I jaka jest jej odpowiedź?

– Nie ma żadnej odpowiedzi.

– Jak to, Ella? Musiała przecież coś powiedzieć!

– Powiedziała... – Ella zawahała się – ...powiedziała dokładnie tak: „Umarły nie może rozmawiać z żyjącym. Dla Dawida umarłam rok temu.”

Sluchawka przy uchu Dawida drżała, pomimo że ścisnął ją obydwoma dłońmi. Po chwili Ella odezwała się:

– Jesteś tam jeszcze?

– Tak – wyszeptał. – Jestem.

Ponownie zapadło milczenie, lecz tym razem przerwał je Dawid.

– A więc tak to jest...

– Tak, niestety chyba tak, Dawidzie.

Joe wetknął głowę w drzwi sali.

– Załatw to krótko, Dawidzie. Już czas.

– Muszę już iść, Ella. Dziękuję ci za wszystko.

– Do widzenia, Dawidzie. Żegnaj – odpowiedziała i nawet mimo kiepskiego połączenia dosłyszał współczucie w jej głosie. Wzmogło ono jeszcze jego wściekłość, którą wprost kipiał, jadąc obok Joego do bunkra z Mirage'ami.

Po raz pierwszy czuł się źle w kabinie samolotu. Było mu ciasno i niewygodnie, wiercił się; pocił, denerwował, a jednostajnie odliczane kwadransy wlokły się niby godziny.

Jego mechanicy grali w backgammona na betonie obok maszyny, śmiejąc się i przerzucając żartami. Widok pogodnych, wesołych ludzi rozjątrzył go jeszcze bardziej.

– Tubbi! – jego głos, wzmocniony przez mikrofon, rozległ się w głośnikach na zewnątrz. Młody człowiek o zwalistej sylwetce i poważnej twarzy, główny mechanik dywizjonu Lanca, wdrapał się szybko na górę i przez pleksiglas kabiny spojrzął na niego

pytającym wzrokiem.

– Przednia szyba jest brudna – warknął na niego Dawid. – Jak do diabła mam zobaczyć Miga, skoro patrzę przez serwetę, na której rozpaprałeś swoje cholerne śniadanie?!

Cały brud stanowiła drobina sadzy – jedyna maleńka skaza na kryształowo czystej kopule kabiny, wypolerowanej zresztą pod ścisłym nadzorem Tubbiego, który teraz błyskawicznie usunął ów pyłek – naniesiony pewnie parę minut wcześniej jakimś podmuchem powietrza – i dokładnie przetarł to miejsce zamszową szmatką.

Reprimenda została udzielona Tubbiemu publicznie i wykraczała poza przyjęte tu reguły dobrego obyczaju, a w oczach mechaników bardzo nie przystawała do Dawida, który cieszył się u nich wielką estymą. Z drugiej jednak strony wszyscy mieli świadomość napięcia nerwowego, będącego udziałem pilotów w stanie „czerwonego” pogotowia, a także tego, że brud na kopule kabiny szczególnie wyprowadza ich z równowagi. Tam, w powietrzu, każda taka plamka przypominała do złudzenia odległego Miga.

– No, teraz już lepiej – burknął Dawid, w pełni świadomy, że zachował się paskudnie. Tubbi uśmiechnął się i schodząc uniósł pięść z zadartym kciukiem, co miało oznaczać: „w porządku”.

W tym momencie Dawid usłyszał w słuchawkach szcęk, a potem głos Bryga.

– „Czerwone” pogotowie – start!

Potężne silniki turbinowe, wspomagane dopalaczami, wynosiły ich wysoko w powietrze.

– Halo, Oaza, tu Lanca – jestem w powietrzu i nabieram wysokości – zameldował Dawid.

– Halo, Dawidzie, tu Bryg. Mamy obiekt, który prawdopodobnie wejdzie w naszą przestrzeń powietrzną. Zapewne jeszcze jedna prowokacja ze strony Syryjczyków. Zbliżają się do naszej granicy na dwudziestu sześciu tysiącach stóp i przetną ją za mniej więcej trzy minuty. Przeprowadzimy atak według schematu Gideon. Weź kurs 42 stopnie i chcę was mieć na jak najniższym pułapie.

Dawid potwierdził odbiór i natychmiast skierował nos Mirage’a w dół. Schemat Gideon przewidywał podejście do nieprzyjaciela tuż nad ziemią, w obszarze niewidocznym dla radarów przeciwnika, na niewielką odległość, gdzie miało nastąpić szybkie wejście na wysoki pułap i zajęcie pozycji dogodnej do ataku, czyli od tyłu i z góry.

Zeszli na wysokość kilkudziesięciu stóp nad powierzchnią ziemi i lecieli, wznosząc się i opadając nad wzgórzami, na wschód, w stronę Jordanu, wywołując panikę w stadach

czarnych perskich owiec.

– Halo, Lanca, tu Oaza. Nie mamy was na radarze.

– Dobrze – pomyślał Dawid. W takim razie nie widzieli ich także Syryjczycy.

– Cel wszedł w naszą przestrzeń powietrzną w sektorze – tu Bryg podał koordynaty.

– Szukajcie na własnych radarach.

Prawie natychmiast rozległ się w słuchawkach głos Joego:

– Lanca jeden, tu Lanca dwa. Mam kontakt.

Dawid spojrział na ekran swojego radaru i zaczął manipulować regulatorami, gdy Joe podał odległość i współrzędne. Była to niebezpieczna operacja, rozpraszająca uwagę podczas lotu z prędkością bliską prędkości dźwięku, tuż nad ziemią. A ekran pozostawał wciąż pusty. Upłynęło jeszcze dobrych kilkadziesiąt sekund, zanim Dawid przy skrajnym ustawieniu regulatorów ujrzał wreszcie świetlistą plamkę na monitorze.

– Kontakt ustalony. Odległość celu w milach dziewięć sześć. Kurs zbieżny. Wysokość dwadzieścia pięć tysięcy pięćset stóp.

Dawid poczuł pierwsze, znajome dźgnięcie wściekłej nienawiści, drzemiącej gdzieś w jego wnętrzościach niby zwinięty wąż, który teraz przebudził się i zaczynał rozprostowywać swe sploty.

– Beseder, Lanca dwa. Ustaw radar na śledzenie celu i zwiększ szybkość do manewru przechwycenia.

Niby dwie srebrne strzały pomknęły, przekraczając barierę dźwięku, w stronę piętrzącego się na horyzoncie pasma chmur. Z olbrzymiego cielska nabrzmiałego deszczem cumulusa wysuwały się w górę srebrzyste i bladociemne jęzory, tworząc nad nią poszarpaną grań. Jej niesamowitość pobudzała wyobraźnię Dawida – dostrzegał tam wieże i mury obronne zwieńczone blankami i opatrzone godłami, monstrualne sylwety wojowników, jedne wyprostowane dumnie, inne kornie pochylone, czający się na tyłach – niby na szachownicy – konny zastęp, wielkie stado wilków i jeszcze inne postacie fantastycznych zwierząt, poddzielane głębokimi rozpadlinami, ponad którymi pyszniły się łuki tęcz. Ponad nimi niebo miało nienaturalną, ciemnobłękitną barwę, tu i ówdzie przyszarzoną mgiełką cirrocumulusów. A wszystko to było prześwietlone słonecznymi promieniami, lśniącoymi na skrzydłach i kadłubach dwóch mknących nisko nad ziemią bojowych maszyn. Ich przeciwnik znajdował się jeszcze poza zasięgiem wzroku. Był przed nimi, gdzieś tam, w górze, pomiędzy turniami chmur. Dawid przełączył radar z przeszukiwania na śledzenie celu, aby móc teraz, kiedy zbliżali się szybko do niego, ocenić ich wzajemne względne położenie.

Nieprzyjaciel leciał po stycznej do ich kursu, w odległości dwudziestu mil z prawej, na dużo większej wysokości i z prędkością niemal dwukrotnie mniejszą niż oni. Słońce

znajdowało się za celem i wkrótce miało stanąć w zenicie. Dawid kalkulował manewr podejścia, prowadzący do zajęcia pozycji do ataku, który zamierzał przeprowadzić z góry, na prawą burtę nieprzyjaciela.

– Uwaga, skręcam w prawo – uprzedził Joego i obie maszyny położyły się w szeroki skręt, umożliwiając przecięcie kursu celu za jego ogonem i ustawienie się w pozycji od słońca. Joe stale podawał odległość i współrzędne pozycji celu, z których wynikało, że zamiarem nieprzyjaciela było raczej odbycie zwykłego lotu zwiadowczego niż bezpośrednia agresja i że jak dotąd nie wykrył on dwóch myśliwców, znajdujących się dużo niżej i za jego plecami.

– Lanca dwa, tu Lanca jeden. Włącz systemy uzbrojenia.

Nie odrywając oczu od ekranu radaru, Dawid nacisnął główny przycisk na konsoli uzbrojenia, aktywizując dwie rakiety powietrze-powietrze, podwieszane u końców obu skrzydeł, i natychmiast usłyszał w słuchawkach ciche, pulsujące buczenie. Wskazywało ono, że elektroniczne mózgi rakiet z uśpienia przeszły w stan czuwania, lecz nie wykryły jeszcze żadnego źródła promieniowania podczerwonego, które rozbudziłoby ich apetyt. Odkrywszy takowe, zaczęłyby wysyłać do słuchawek sygnał głośniejszy i pulsujący z większą częstotliwością. Upewniwszy się, że czuwają, Dawid wyciszył buczenie.

Teraz pchnął przełącznik aktywizujący sprzężone działka trzydziestomilimetrowe, osadzone w łożach u spodu maszyny, prostopadle pod jego fotelem. Spust wyskoczył z zagłębienia w rękojeści drażka i Dawid zagiął na nim wskazujący palec.

– Lanca dwa, tu Lanca jeden. Przechodzę na obserwację wzrokową.

Była to informacja dla Joego, który od tego momentu powinien skoncentrować się na radarze i podawać Dawidowi aktualne współrzędne pozycji celu.

– Cel na godzinie dziesiątej, w górze, odległość dwadzieścia siedem mil.

Dawid wyteżał oczy, lustrując wełniste kłęby oślepiającej bieli, od czasu do czasu na moment tylko przenosząc wzrok na jakiś punkt na ziemi, aby uniknąć skrócenia odległości ostrego widzenia, albo spoglądając wstecz dla upewnienia się, że tropiący nie stali się tropionymi.

Wreszcie dostrzegł cel. Było to właściwie pięć celów – pięć nieprzyjacielskich maszyn, które wychynęły właśnie z chmury wysoko nad nimi i natychmiast stały się widoczne na jej tle, niby małe, czarne cętki na świeżo wyprasowanym prześcieradle. W tym momencie Joe podał odległość.

– Cel w odległości trzynastu mil.

Była to wciąż jeszcze spora odległość, jednak nieprzyjacielskie maszyny rysowały się tak ostro na białym tle, że Dawid był w stanie rozpoznać ich sylwetki o kształcie delty i zadarte ogony, które nie pozostawiały wątpliwości, iż były to Migi 21 J.

– Widzę cel – zakomunikował Joemu. – Pięć Migów 21 J.

Jego głos brzmiał sucho i beznamiętnie, lecz był to tylko fałszywy pozór – trawiący go gniew znalazł wreszcie konkretny obiekt, przeciwko któremu mógł się zwrócić, zmienił też swoją jakość – nie był już rozmyty i ćmiący, lecz chłodny i tnący, niby klinga szpady.

– Obiekt jest wciąż nieprzyjacielski – zakomunikował Joe, co znaczyło, że znajduje się w dalszym ciągu nad terytorium izraelskim, a z brzmienia głosu w słuchawkach Dawid mógł zorientować się, że Joe odczuwa podobne emocje.

Manewr przejścia za ogonem nieprzyjaciela musiał potrwać jeszcze piętnaście sekund. Dawid ocenił ich położenie względem celu i stwierdził, że jak dotąd podejście przebiegało znakomicie. Nieprzyjacielska formacja leciała w błogim spokoju, nieświadoma, że z tyłu śmiertelny wróg przemyka w ślepy obszar, gdzie będzie niewidoczny dla pokładowych radarów, by następnie szybko zająć pozycję od strony słońca. Kolejny manewr Dawida miał polegać na zwiększeniu prędkości i stromym wzbiciu się w górę, aby znaleźć się powyżej nieprzyjaciela i zyskać taktyczną przewagę. Dawid spostrzegł, że przypadek stwarza mu dodatkowe ułatwienie – jedna z wypiętrzonych odnóg chmury znajdowała się w miejscu idealnym do tego, by ukryć jego podejście do góry, w kierunku słońca. Postanowił skorzystać z tego na wzór zajmujących się myślistwem Boerów z południowej Afryki, którzy podchodzą dzikiego bawołu kryjąc się za stadem wołów.

– Cel wchodzi w zakręt na prawe skrzydło – rozległ się w słuchawkach głos Joego. Migi istotnie zawracały w stronę granicy. Wykonały już swój uragilny gest, błysnęły barwami islamu przed oczyma niewiernych i teraz pragnęły jak najszybciej opuścić niebezpieczny obszar.

Dawid poczuł, że klinga gniewu w jego wnętrznościach lodowacieje i zaczyna żgać jeszcze bardziej dojmująco.

Zwalczając niecierpliwość, odczekał ostatnie kilka sekund przed właściwym momentem rozpoczęcia wchodzenia na wysoki pułap. Wreszcie moment ów nadszedł i jego głos był jak poprzednio suchy i beznamiętny, gdy rzucił do mikrofonu:

– Lanca dwa, tu Lanca jeden. Rozpoczynam wejście na wysoki pułap.

– Tu Lanca dwa. Zrozumiałem.

Dawid wyprężył się w fotelu i pchnął hebel przepustnicy do skrajnego położenia. Maszyny wystrzeliły w górę tak gwałtownie, że obu pilotom zdawało się, iż siła grawitacji wyrwie im wnętrzności.

Prawie natychmiast też centrala dowodzenia wyłapała ich na ekranach radarów,

opuścili bowiem przyjemną strefę cienia.

– Halo, Lanca jeden i dwa. Mamy was na ekranach. Włączcie identyfikatory.

Dawid i Joe walczyli z przeciążeniem wgniatającym ich w fotele, lecz na wyraźny rozkaz włączyli swe systemy identyfikacyjne. System IFF – Identification Friend or Foe – powodował pojawienie się szczególnego znaku rozpoznawczego w postaci jasnej aureoli wokół sylwetek ich maszyn na ekranach radarów w centrali dowodzenia. W ten sposób można ich było odróżnić od nieprzyjaciół, nawet gdy byli uwikłani w walkę na krótki dystans.

– Beseder. Mamy was w IFF – rozległ się głos Bryga w momencie, gdy zanurzyli się w chmurze, wzbijając się w dalszym ciągu w górę. Oczy Dawida przeskakiwały raz po raz od tarcz przyrządów, jedyne źródła informacji podczas ślepego lotu w chmurze, do ekranu radaru, na którym jarzyły się sylwetki nieprzyjacielskich maszyn, znajdujących się teraz tak blisko, że każdy z pięciu Migów widoczny był oddzielnie, w wyraźnym zarysie.

– Cel zwiększa prędkość i zacieśnia zwrot w prawo – zakomunikował Joe, i Dawid natychmiast zareagował, dostosowując tor lotu do manewru przeciwnika. Był przekonany, że Syryjczycy nie wykryli jeszcze ich obecności. Kolejny rzut oka na ekran radaru upewnił go, że osiągnął nad nimi przewagę wysokości. Znajdował się teraz o dwie mile od nich, w górze i od strony słońca. Podejście zostało wykonane rzeczywiście idealnie.

– Zajmuję pozycję do ataku – zakomunikował Joemu i obie maszyny opuściły spiczaste nosy, kierując się bezpośrednio na cel. Był to ostatni manewr przed ostatecznym uderzeniem.

Cel widniał teraz w samym środku ekranu, linie na celowniku działek zaświeciły zielonkawo, czujniki rakiet pochwyliły pierwsze ślady promieniowania cieplnego i zakomunikowały ten fakt delikatnym mrużeniem.

Jeszcze przez kilka sekund mknęli w jasnoszarej, gęstej mgle, po czym brudnomleczna ściana pękła nagle i znikła, i oto mieli przed sobą jasną, czystą przestrzeń, olbrzymią dolinę pomiędzy zwałami chmur, a w dole, w niewielkiej odległości pięć Migów sunęło spokojnie, połyskując srebrzyście w promieniach słońca. Przypominały zgrabne zabawki, a czerwono-biało-zielone koła na ich kadłubach przydawały im wesołego i jakby odświeżonego wyglądu. Proste, geometryczne linie skrzydeł i ogonów współgrały wdzięcznie, ale umieszczone z przodu pod kadłubami otwory wlotowe, czerpiące powietrze dla turbinowych silników, rozchyłały się groźnie, niby paszcze rekinów.

Migi leciały w luźnej formacji w kształcie litery V, po dwa z każdego skrzydła

dowódcy, i Dawid w ciągu tych niewielu sekund, które miał na ich obserwację, dokonał oceny przeciwnika. Czterej boczni musieli być Syryjczykami – ich sposób pilotowania cechowała jakaś trudna do zdefiniowania niezborność, jak gdyby brak pełnej kontroli nad maszyną. Towarzyszyli dowódcy, lecz formacja nie tworzyła jednego organizmu, reagującego na najdrobniejszy, wysyłany przezeń sygnał. Niewątpliwie skrzydłowi stanowili łatwą zdobycz.

Jednak co do ich dowódcy, to nie potrzeba było nawet trzech czerwonych kół na kadłubie jego maszyny, by zidentyfikować go jako rosyjskiego instruktora. Musiał to być jakiś weteran, wytrawny myśliwy, twardy, przebiegły i niebezpieczny niby czarna mamba.

– Atakuj i zwiąż dwóch lewoskrzydłowych – polecił Dawid Joemu, rezerwując dla siebie dowódcę i prawe skrzydło nieprzyjacielskiej formacji. W słuchawkach rozbrzmiewało głośnie buczenie – czujniki rakiet wywęszyły już dysze Migów, emitujące potężne dawki podczerwonego promieniowania, i niecierpliwie sygnalizowały swą morderczą gotowość.

Dawid przełączył się na częstotliwość sieci dowodzenia.

– Halo, Oaza, tu Lanca jeden. Jestem na celu. Proszę o zezwolenie na otwarcie ognia.

Odpowiedź przyszła niemal w tej samej chwili.

– Dawidzie, tu Bryg – głos dowódcy brzmiał ostro i zdecydowanie. – Przerwij atak. Powtarzam: nie atakuj. Cel wszedł we własny obszar powietrzny. Przerwij atak!

Porażony treścią rozkazu Dawid spojrział w głąb rozpadliny między chmurami, ku ziemi i zobaczył, że długa, brązowa dolina Jordanu jest już za nimi i powoli przesuwają się w tył. Przekroczyli pewną linię, wyznaczoną tam, na ziemi i natychmiast ich rola zmieniła się – z obrońców przedzierzgnęli się w agresorów. Lecz jednocześnie zbliżali się do wroga, wciąż nieświadomego ich obecności.

– Zniszczymy ich – zakomunikował Dawid swą decyzję, wypchniętą na usta tchnieniem lodowatego chłodu, ścinającego mu wnętrzości. Wyłączył sieć dowodzenia i wywołał Joego.

– Lanca dwa, tu Lanca jeden. Atakuję.

– Nie! Powtarzam: nie! – zawołał Joe. – Cel nie jest już nieprzyjacielski!

– Pomyśl o Hannie! – krzyknął Dawid do mikrofonu. – Równaj do mnie!

Zagał kciuk na spuście i pochylił maszynę minimalnie na lewo, by naprowadzić najbliższego Migę w centrum celownika. Nieprzyjacielska maszyna rosła w oczach w miarę błyskawicznego zmniejszania się odległości.

Ciszę w słuchawkach przerwał głos Joego, zduszony i chrypliwy.

– Tu Lanca dwa. Dołączam.

– Zabij ich, Joe! – wrzasnął Dawid, przyciskając jednocześnie spust. Podwójny świst był ledwo słyszalny ponad hukiem odrzutowego silnika. Rakiety oderwały się od skrzydeł i pomknęły, kołysząc się na boki przy wchodzeniu na kurs prowadzący do celu i pozostawiając za sobą ciemne smugi dymu. Dopiero w tym momencie Syryjczycy spostrzegli zagrażające im niebezpieczeństwo.

Ich dowódca musiał wykrzyknąć w mikrofon ostrzeżenie, bo nagle formacja zaczęła się rozpraszać, poszczególne maszyny pierzchały na boki, połyskując srebrzystymi kadłubami, niczym ławica sardynek atakowana przez barrakudę.

Syryjczyk, który leciał ostatni w szyku, był najpowolniejszy. Zaczął dopiero wykonywać zwrot, gdy jedna z raket weszła mu na ogon, podążyła jego śladem i zespoliła się z nim w rozbłysku eksplozji jaśniejszym niż słońce.

Podmuch wybuchu wstrząsnął maszyną Dawida. Trafiony Mig rozpadł się na fragmenty. Jedno skrzydło wzbilo się, wirując, w górę, w następnym ułamku sekundy rozkwitający kielich dymu śmignął obok kabiny Dawida i został z tyłu.

Druga rakiet obrala sobie za cel Migę z trzema czerwonymi kołami na kadłubie, dowódcę formacji, lecz Rosjanin zareagował błyskawicznie i tak zacieśnił skręt, że pocisk przemknął za jego ogonem, a czujnik utracił ślad, tak że nie mógł już nawrócić za Migiem. Kładąc Mirage'a w skręt za Rosjaninem, Dawid zobaczył jeszcze, jak rakiet dokonuje aktu samozniszczenia, tonąc w chmurze zielonkawego dymu, w głębi pustej doliny wśród chmur.

Rosjanin leżał w ciasnym skręcie, a Dawid podążał za nim. Spoglądając po cięciwie okręgu, po którym się poruszali, dostrzegał każdy szczegół w maszynie przeciwnika – szkarłatny hełm pilota, krzykliwą czerwień kółek namalowanych podabiną, zygzakowate litery arabskiego napisu, będącego zapewne oznakowaniem identyfikacyjnym, nawet poszczególne nity, mocujące płyty metalowej skóry Migę.

Dawid z całej siły ciągnął ku sobie uchwyt drążka, walcząc z przeciążeniem, które niby potężna sprężyna stawiało opór na sterach. W ten sposób mechanika przeciwstawiała się jego wysiłkom poddania konstrukcji maszyny próbie mogącej doprowadzić do oderwania skrzydeł od kadłuba.

Przeciążenie nie oszczędzało również jego samego – przemożna, bezlitosna siła wysysała mu krew z mózgu, obraz przed oczami Dawida pociemniał, a hełm rosyjskiego pilota przybrał barwę ciemnobrązową. Przeciwwprzeciążeniowy skafander niby głodny pyton zaciskał się na jego nogach i biodrach, przeciwdziałając odpływowi krwi z tułowia.

Dawid rozpaczliwie naprężał mięśnie, za wszelką cenę starając się zahamować odkrwienie mózgu. Poderwał maszynę w górę, pragnąc wejść na wyższy pułap po łagodnej spirali, aby odzyskać przewagę wysokości.

Ten manewr spowodował, że kurtyna czerni przesłoniła mu oczy. Rozróżniał już tylko zarysy wnętrza kabiny i wprasowany w fotel siedział z opuszczoną szczęką i opadłymi powiekami, a utrzymanie ręki na drążku było wyczynem iście godnym Herkulesa.

W czarnej mgłę dostrzegał pulsowanie lampki ostrzegającej go, iż znajduje się na krawędzi katastrofy i może w każdej chwili ją przekroczyć. Wciągnął powietrze w płuca i krzyknął z całej siły. Ów wysiłek spowodował dopływ do mózgu pewnej porcji krwi i oczy odzyskały zdolność widzenia, wprawdzie tylko na krótką chwilę, ale wystarczającą, by zdołał dostrzec, że Rosjanin przewidział jego manewr i teraz wspinał się w górę jego śladem, wyraźnie mając za cel niczym nie chroniony brzuch i bok Mirage'a.

Nie miał innego wyboru, jak tylko zmienić tor lotu przed znalezieniem się w celowniku Rosjanina. Natychmiast pochylił maszynę na lewe skrzydło i wszedł w lewoskrętną spiralę, mierząc wciąż w górę, z dopalaczami ryczącymi pełną mocą i pożerającymi paliwo w błyskawicznym tempie, kładącymi w ten sposób tamę dalszym desperackim manewrom tego rodzaju.

Płynnie i z wdziękiem tancerza Rosjanin poszedł jego tropem, jak gdyby przykuty doń niewidzialnym łańcuchem. Dawid widział we wstecznym lusterku, jak z wolna osiąga pozycję dogodną do otwarcia ognia. Rzucił maszynę w kolejny zakręt, w prawo i ku górze, tracąc przy tym ponownie zdolność widzenia.

Zwrot po zwrocie, unik po uniku w zapasach, w których stawką jest życie... Dawid trafnie ocenił Rosjanina. Był to śmiertelnie groźny przeciwnik, szybki i twardy, przewidujący bezbłędnie każdy jego manewr, potrafiący w każdej sytuacji zagwarantować sobie przewagę.

Dawid odczuwał już ostry ból mięśni rąk i ramion, zmęczonych walką z drążkiem sterowym i przeciążeniem, osłabionych odpływem krwi. Jego zimna zawziętość przemieniała się stopniowo w lodowatą rozpacz, w miarę jak każdy kolejny jego wysiłek zmierzający do oderwania się od prześladowcy spotykał się z natychmiastową, unicestwiającą go kontrakcją przeciwnika i nieodmiennie rekinia paszcza Miga pojawiała się za plecami lub pod brzuchem Mirage'a.

Całe doświadczenie Dawida, cały jego wrodzony talent – wszystko to zaczynało coraz wyraźniej przegrywać w konfrontacji z olbrzymim doświadczeniem bojowym, którym dysponował jego przeciwnik.

W pewnej chwili, gdy przez krótki moment lecieli skrzydło w skrzydło, Dawid spojrział w bok i zobaczył twarz Rosjanina, a właściwie tylko jego czoło i oczy, widoczne ponad maską tlenową. Skóra pilota była biała jak papier, a oczy tkwiły głęboko

w kościstych oczodołach, jak gdyby osadzone w wypreparowanej czaszce. W następnym okamgnieniu Dawid leżał już w kolejnym zwrocie, walcząc znów z przeciążeniem i krzycząc – tym razem już także po to, by zwalczyć pierwsze dreszcze strachu.

Rozluźnił pętlę skrętu i zaraz, bez żadnego świadomego zamysłu, przerzucił Mirage'a na drugie skrzydło. Maszyna zadrżała, tracąc natychmiast prędkość. Nie uszło to uwagi Rosjanina, który natychmiast zareagował i zaczął schodzić z góry, mierząc w prawy bok Mirage'a. W ostatniej chwili Dawid pchnął dźwignę maksymalnie do przodu i stopą nacisnął do końca lewy orczyk, dając nurka pod serią z działek Miga. Teraz Mirage zaczął opadać w piekielnym korkociągu. Krew, którą przeciążenie wysysało z głowy Dawida, teraz przemieszczała się w górę jego tułowia, napieniając ją w nadmiarze. Niebo zabarwiło się na intensywny, różowy kolor – była to czerwona ślepoty, wynik odwrócenia wektora siły grawitacji. Któreś z naczyń krwionośnych w nosie nie wytrzymało ciśnienia i nagle maska tlenowa Dawida napelniła się gorącą, lepką cieczą.

Rosjanin schodził za nim w nurkującym locie, szykując się do oddania kolejnej serii.

Dawid krzyknął z całych sił, czując w ustach słonawy smak krwi, i oburącz pociągnął ku sobie dźwignę sterowy. Nos Mirage'a unióśł się do poziomu, a potem jeszcze wyżej, maszyna wyszła z lotu nurkowego i zaczęła wspinać się w górę, a czerwona kurtyna przed oczami Dawida ustąpiła miejsca czarnej. W krótkiej chwili między kolejnymi fazami ślepoty Dawid zobaczył, że Rosjanin podąża za nim do góry, przewidziawszy jego trick. Odzyskawszy wysokość, Dawid położył błyskawicznie maszynę w ciasny skręt, zawracając niby po pętli lassa. Tym razem uchwyciło ono przeciwnika – Rosjanin spóźnił się może o jedną setną sekundy i sylwetka Miga przemknęła przez celownik Dawida. Seria z działek Mirage'a śmignęła szeroko po niebie, niby struga wody z ogrodowego węża. Dawid miał Miga w celowniku może przez jedną dziesiątą sekundy, lecz zdołał dostrzec rozbłysk na jego kadłubie, poniżej kabiny pilota. Natychmiast wykonał kolejny zwrot i zawracając po ciasnym okręgu stwierdził, że Mig leży wciąż w zakręcie, lecz z wolna rozluźnia go i wypada z jego toru, ciągnąc za sobą smugę białego dymu, wysnuwającą się spod kabiny pilota.

– Trafiałem go! – Dawid usłyszał swój własny, triumfalny okrzyk i paraliżujący strach nagle zniknął, ustępując miejsca bezlitosnej, pewnej siebie zajadłości. Pchnął Mirage'a jeszcze raz w górę po spirali, lecz teraz Mig nie był już w stanie podążyć za nim, i kiedy Dawid zatoczył łuk po górnej krawędzi niewidzialnego walca i skierował się w dół, miał Rosjanina w samym środku celownika.

Wypuścił jednosekundową serię, i kilkadziesiąt rozbłysków wykwitło na srebrzystym kadłubie Miga. Nieprzyjacielska maszyna wyszła łagodnie z zakrętu i leciała spokojnie

przed siebie, równym, lekko nachylonym ku ziemi torem, unosząc prawdopodobnie martwego już pilota.

Dawid ulokował się za jej ogonem, wystrzelił następną jednosekundową serię i Mig zaczął się rozsypywać. Kilka niewielkich, trudnych do zidentyfikowania fragmentów maszyny poszybowało w kierunku Dawida, lecz rosyjski pilot wciąż się nie katapultował.

Kolejna seria była dłuższa, może dwusekundowa. Teraz Mig opuścił nos w dół i zaczął pikować niby srebrzysta strzała. Dawid nie mógł pójść za nim, jeśli nie chciał utracić skrzydeł. Położył się w łagodny zakręt i patrzył, jak Mig mknie ku ziemi z prędkością niewątpliwie przekraczającą dwukrotną prędkość dźwięku i kończy swój lot w jaskrawym rozbłysku eksplozji, wznosząc potężny słup pyłu i dymu na tle brudnobrazowej syryjskiej równiny.

Dawid wyłączył dopalacze i spojrział na wskaźniki poziomu paliwa. Wszystkie ukazywały jedynie maleńki słupek ponad zerem. Teraz też dopiero zorientował się, że triumfalna pogoń za Migiem sprowadziła go na wysokość zaledwie pięciu tysięcy stóp. Znajdował się nad terytorium nieprzyjaciela i do tego za nisko, o wiele za nisko.

Wziął kurs na zachód, uniósł nos Mirage'a do góry i otworzył przepustnicę, zużywając we wzmożonym tempie drogocenne paliwo, byle tylko wyrwać się z zasięgu artylerii przeciwlotniczej nieprzyjaciela, rozglądając się po niebie w poszukiwaniu Joego bądź też innych Migów, jakkolwiek był pewien, że pozostali Syryjczycy albo zabawiają się już z hurysami w muzułmańskim raj, albo też wrócili do domu i popijają piwo w kantine.

– Lanca dwa, tu Lanca jeden. Czy masz mnie na radarze?

– Lanca jeden, tu Lanca dwa – Joe odpowiedział natychmiast. – Widzę cię. Na miłość Boską, uciekaj stamtąd!

– Jaka jest moja pozycja?

– Jesteśmy osiemdziesiąt kilometrów w głębi terytorium syryjskiego, kurs do bazy – 250 stopni.

– Jak ci poszło?

– Załatwiłem jednego, drugi zaczął uciekać, a ja byłem zbyt zajęty obserwowaniem tego, co się dzieje z tobą...

Dawid zamrugał oczami. Teraz dopiero poczuł, że po czole ścieka mu pot, a maska tlenowa jest lepka od krwi ciekącej mu z nosa. Bolały go mięśnie rąk i ramion, w głowie czuł zamęt spowodowany serią przeciążeń i emocją walki, dłonie na drążku sterowym były słabe i drżały.

– Ja zniszczyłem dwóch – powiedział. – Jeden za Debore i jeden za Hanne.

– Daj temu spokój! – głos Joego był suchy i pełen napięcia. – Myśl o tym, jak się

stąd wydostać. Jesteś w zasięgu artylerii i rakiet. Daj po dopalaczach i znikamy.

– Nie da rady, Joe. Mam za mało paliwa. Gdzie ty jesteś?

– Na szóstej godzinie, pułap dwadzieścia pięć tysięcy stóp.

Joe wychylił się do przodu w swym fotelu, naciągając pasy, by móc obserwować poruszającą się daleko w dole małą sylwetkę maszyny Dawida, która pełzła do góry, zmierzając w jego kierunku, wolno, o wiele za wolno, i wciąż znajdowała się o wiele za nisko. Dawid znajdował się w szczególnie niebezpiecznej sytuacji i Joe bał się – za niego i o niego. Zagryzał wargę pod maską i mrużył oczy, wyężając wzrok i rozglądając się po niebie i ziemi, wypatrując pierwszego sygnału zagrożenia. Potrzebowali dwóch minut, by ująć całość, jedynie dwóch minut, które jednak teraz równały się wieczności.

Niewiele brakowało, a nie dostrzegłby pierwszej rakiety. Załoga wyrzutni musiała pozwolić Dawidowi przelecieć nad zamaskowanym stanowiskiem, zanim ją odpaliła, Joe ujrzał bowiem smugę rzadkiego dymu, która wzniosła się za plecami Dawida i wydłużała błyskawicznie w jego kierunku.

– Rakieta za tobą, odpadnij w lewo! Już! już! – krzyknął do mikrofonu i zobaczył, jak Dawid rzuca maszynę na skrzydło w raptownym zakręcie, znikając z pola widzenia czujników pocisku.

– Zgubiłeś ją! – zawołał widząc, jak nieprzyjacielska rakietka kontynuuje swój lot na wprost, zaczyna myszkować w poszukiwaniu celu, by wreszcie eksplodować w zaprogramowanym akcie samozniszczenia.

– Dawaj dalej, Dawidzie. I uważaj, bo będzie ich więcej.

Jednocześnie spostrzegli następną rakietę, startującą z zamaskowanej wyrzutni. Musiało ich być tam wiele, umieszczonych na skalistym grzebieniu, wznoszącym się nad rozpaloną słońcem pustynią. Rakietka Serpent pomknęła w górę za małą sylwetką Mirage'a Dawida.

– Włącz dopalacze! – zawołał Joe. – I poczekaj!

Obserwował dymną smugę, zbliżającą się do maszyny Dawida.

– Teraz! Odpadnij w prawo! Już! – krzyknął do mikrofonu. Dawid wykonał gwałtowny zwrot i Serpent przeleciał za jego ogonem; jednak tym razem nie utracił go z pola widzenia i zaczął zawracać po szerokim okręgu.

– Siedzi na tobie w dalszym ciągu! – krzyczał Joe. – Idź na słońce, Dawid! Próbuje pod słońce!

Mirage uniósł nos i wycelował w oślepiający krąg, jarzący się ponad turniami chmur. Rakietka poszybowała za nim, tropiąc go ze ślepym uporem automatu.

– Dochodzi cię! Uciekaj! Teraz!

Dawid położył maszynę w ślizg na ogon i zaczął spadać jak kamień, podczas gdy

jego prześladowca wybrał potężniejsze źródło podczerwieni i pognał w górę.

– Zgubiłeś ją! Teraz w górę, Dawid, w górę! – wołanie Joego brzmiało błagalnie, lecz właśnie w tej chwili Dawid nie mógł spełnić tej prośby. W rozpaczliwej wspinaczce ku słońcu Mirage wytracił prędkość i sunął teraz ociężale. Musiałoby upłynąć jeszcze wiele sekund, zanim odzyskałby szybkość i zwrotność, a sekundy te nie były mu dane. Joe ujrzał, jak trzecia rakieta wznosi się w powietrze i zakreślając łuk zmierza w kierunku Dawida.

Joe nie myślał o tym, co robi, gdy pochylił maszynę i rozpoczął nurkowanie pełną mocą silników. Gnał w dół ze wskazówką machometru wskazującą dwukrotną prędkość dźwięku. Wyrównując lot przeleciał za plecami Dawida, przecinając śmiertelną ścieżkę, po której zbliżał się doń Serpent.

Rakieta dojrzała Joego swoim cyklopim, radarowym okiem, zwęszyła promieniowanie cieplne emitowane z jego dysz, oceniła je jako świeższe, bliższe, ponętniejsze i obrała go sobie za cel, pozostawiając Dawida własnemu losowi.

Dawid widział, jak Mirage Joego śmignął ukośnie z tyłu i jak blisko za nim podążył Serpent. Natychmiast zrozumiał też, że Joe umyślnie ściągnął na siebie raketę, która niosła jemu, Dawidowi, nieuchronną śmierć.

Patrzył teraz, zafascynowany i przerażony, jak Joe kończy wyprowadzanie maszyny z lotu nurkowego i wykorzystując uzyskaną prędkość, zaczyna wspinać się ku słońcu. Rakieta podążyła za nim gładko, kierując się do góry i coraz bardziej zmniejszając dzielącą ich odległość. Joe obserwował ją we wstecznym lusterku i w ostatnim momencie wykonał ślizg na ogon, jednak tym razem Serpent nie dał się wyprowadzić w pole, podążył za nim i jak poprzednio Dawid, tak teraz Joe znalazł się w beznadziejnej sytuacji. Spróbował szczęścia, lecz ono nie uśmiechnęło się do niego. Rakieta dosięgła go i w rozbłysku eksplozji losy Joego i jego Mirage'a dobiegły wspólnego kresu.

Dawid leciał wciąż na zachód, z prędkością pozwalającą już na swobodne manewrowanie. Gardło miał wyschnięte, a serce ściśnięte grozą, wściekłością i żalem. Usłyszał, że wciąż powtarza na głos jedno i to samo zdanie:

– Nie, Joe, nie! O Boże! Nie powinieneś był tego robić!

Między zwałami chmur ujrzał przed sobą Jordan.

– To ty powinieneś wracać do domu, Joe – powiedział.

– To powinieneś być ty!

Rozpacz zatykała mu krtań, a w piersiach wzbierał szloch. Niemniej instynkt życia był w nim wciąż jeszcze silny, toteż odchylił maszynę w bok, by zlustrować ślepe pole za ogonem. I było to zbawcze spojrzenie, dostrzegł bowiem ostatnią raketę, zmierzającą ku niemu od wschodu. Była ona jeszcze daleko – mały punkt w aureoli dymu – ale już

wpatrzyła się w niego drapieżnie swym małym, zimnym okiem.

Zobaczywszy ją, wiedział już z niezachwianą pewnością, że tym razem zbliża się jego przeznaczenie. Dotychczasowe pojedynki i uniki wyczerpały go nerwowo i stępiły zdolność reakcji. Przeczuwając nadchodzącą śmierć, obserwował z trwogą zbliżającą się rakietę, zbierając mimo wszystko resztę sił, by podjąć jeszcze jeden rozpaczliwy wysiłek.

Oczy zwęziły mu się do szparek, pot spływał po twarzy, lewa dłoń spoczywała na ciągle otwartej do końca przepustnicy, prawa zaciskała się na drążku sterowym i tak wyczekiwał właściwego momentu.

Kiedy Serpent już go dochodził, Dawid zaczął krzyczeć całą mocą płuc i rzucił Mirage'a w zakręt, lecz tym razem spóźnił się o mikroskopijny ułamek sekundy. Gdy odpadł w bok, rakietą przemknęła za nim, jednak była na tyle blisko, iż jej fotoelektryczne oko zdołało pochwycić cień sylwetki Mirage'a i przesłać sygnał do mechanizmu zapalnika. Oko mrugnęło na niego i Serpent eksplodował.

Mirage znajdował się akurat w najbardziej niekorzystnym położeniu, przechylony w zakręcie, tak że kabina pilota wystawiona była ku centrum wybuchu. Potężny podmuch, niby miazdząca pięść, uderzył w maszynę, która niby rozpędzony biegacz, pchnięty nagle z boku, pokoziołkowała w powietrzu, wyrzucona z toru, tracąc siłę ciągu i stateczność.

Kilka stalowych odłamków i kawałków blachy przebiło pleksiglasową skorupę kabiny. Jeden z nich uderzył w bok fotela, odbił się, śmignął w bok i zawadził o lewe ramię Dawida, łamiąc kość nad łokciem, tak że ręka opadła i zwisała bezwładnie w rękawie.

Lodowaty wichur zaczął wdzierać się przez podziurawioną powłokę kabiny, podczas gdy Mirage kontynuował swój lot w obłądnym korkociągu. Potężna siła usiłowała wyrzucić Dawida z fotela. Utrzymujące go pasy miażdżyły mu żebra i zdzierały skórę z ramion, a bezwładna ręka unosiła się w powietrze niby drzewce cepa.

Ze wszystkich sił Dawid usiłował utrzymać wyprostowaną pozycję. Sięgnął w górę, za głowę, chwycił rączkę urządzenia katapultującego i przedramieniem zsunął na twarz przyłbicę. Pociągnął za uchwyt, spodziewając się usłyszeć eksplozję z ładunku pod fotelem, który wyrzuciłby go z porażonej maszyny – lecz nic takiego nie nastąpiło.

Puścił rączkę i rozpaczliwie sięgnął w dół, do zapasowego włącznika mechanizmu katapultującego, umieszczonego z przodu, pod fotelem. Szarpnął go, ale i tym razem bez skutku. Było jasne – katapulta nie działała, wybuch musiał ją poważnie uszkodzić. Nie pozostawało mu nic innego, jak usiłować wyprowadzić Mirage'a z korkociągu. Chwycił prawą dłonią profilowaną rękojeść drążka i wśród obłądnego wirowania zaczął walczyć o odzyskanie kontroli nad maszyną, kierując się w tym wyłącznie instynktem, był

bowiem poważnie ranny, a niebo i horyzont, ziemia i obłoki migały mu przed oczami w szalonym, wirowym tańcu.

Zdawał sobie sprawę, że gwałtownie traci wysokość. Gdy powierzchnia ziemi przemykała przez jego pole widzenia, za każdym razem była bliższa i groźniejsza. Mimo to z zaciekłym uporem starał się kontrować, utrzymywać stery w pozycji przeciwnej do skrętu korkociągu.

Ziemia była już bardzo blisko, kiedy wyczuł pierwszy efekt swych wysiłków. Tempo obrotów nieco zmalowało. Drażek i orczyk jednocześnie – i w końcu maszyna zaczęła go słuchać. Delikatnie, ruchem czułego kochanka, popchnął ją jeszcze odrobinę, i nagle Mirage wyszedł z korkociągu, podźwignął się i wyrównał, lecz Dawid czuł, że jest poważnie uszkodzony. Wybuch rakiety zranił go śmiertelnie, był teraz ciężki i nieporadny. Drżał nierówno od wibracji silnika – jedna z łopatek turbiny musiała się urwać, powodując brak wyważenia i drgania. Samolot miał przed sobą zaledwie parę minut czy nawet sekund lotu. Dawid wiedział o tym, wiedział również, że nie może już zwiększyć obrotów, by odzyskać nieco wysokości.

Rozejrzał się szybko i z przerażeniem zobaczył, jak nisko opadł w upiornym korkociągu – od ziemi dzieliło go dwieście, najwyżej trzysta stóp. Nie wiedział, w jakim kierunku leci, ale gdy spojrział na kompas, przekonał się z pewną ulgą, że zmierza wciąż na zachód.

Wibracje silnika wzmogły się, usłyszał chrzęst i jęk miażdżonego i pękającego metalu. Nie miał szans na dotarcie do domu, to było jasne. Był też na zbyt małej wysokości, by odrzucić kopułę kabiny, odpiąć pasy, wydrapać się z kokpitu i próbować szczęścia ze spadochronem. Pozostawało jedno – musiał gdzieś lądować.

W trakcie podejmowania tej decyzji jego zdrowa ręka zajęta była przygotowaniami do wprowadzenia jej w czyn. Trzymając drażek między kolanami, wypuścił podwozie. Koło pod nosem maszyny powinno wytrzymać tak długo, by prędkość maszyny zmalowała na tyle, że nie będzie już groziło przekoziółkowanie.

Spojrzał przed siebie i zobaczył niewysoki, kamienisty grzbiet, pokryty z rzadka roślinnością. Tutaj czekała go katastrofa, ale zaraz dalej widać było pola, po części zaorane, prostokąty winnic i schludnie utrzymane budynki. Widok sam w sobie był uroczy, a porządek i widoczna w tym pejzażu zorganizowana ludzka pracowitość upewniły go, że jest już nad terytorium Izraela.

Prześlizgnął się nad poszczerbionymi skałkami, napinając mięśnie brzucha, by dopomóc maszynie w utrzymaniu wysokości, i teraz miał już przed sobą upragnione pola. Mógł dostrzec, jak kobiety w winnicy przerywają pracę i odwracają się, by mu się przypatrzeć. Był tak blisko, że widział zaskoczenie i lęk na ich twarzach. Jakiś

mężczyzna pracował w polu na traktorze. Zeskoczył na ziemię i padł na nią plackiem, gdy Dawid przemknął zaledwie parę stóp nad jego głową.

Wszystkie zawory paliwa zamknięte, wszystkie obwody elektryczne wyłączone, główny przełącznik w pozycji zerowej – Dawid przystąpił do końcowej procedury awaryjnego lądowania.

Przed nim, w niewielkiej odległości, widać było gładkie, brązowe pole. Miał szansę doń dolecieć, nie było to jednak pewne. Mirage tracił prędkość, nos maszyny unosił się do góry, wskazówka prędkościomierza cofała się – dwieście mil na godzinę, sto dziewięćdziesiąt, sto osiemdziesiąt – dochodząc do krytycznej wartości stu pięćdziesięciu mil, poniżej której maszyna musiała runąć w dół.

W tym momencie Dawid spostrzegł, że leżące przed nim pole jest poprzecinane wybetonowanymi kanałami irygacyjnymi. Miały one sześć do siedmiu metrów długości, około trzech szerokości i mogły śmiało powstrzymać każdy czołg, choćby był to Centurion, a dla Dawida w jego Mirage'u stanowiły śmiertelne niebezpieczeństwo.

Dawid nie mógł już jednak zrobić nic, by ich uniknąć. Zszedł w dół i dotknął ziemi gładko i z wyczuciem.

Miękko, jak kocur sikający na aksamit – pomyślał z goryczą, świadomy, że cały jego kunszt nie przyda mu się już na nic. – Nawet Barney byłby ze mnie dumny.

Pole było zaorane, lecz Mirage sunął po nim, kołysząc się na boki, dygocząc i rzucając Dawidem, trzymając się jednak wciąż na wszystkich trzech kołach i stopniowo wytracając prędkość. Niemniej wynosiła ona wciąż jeszcze dziewięćdziesiąt mil na godzinę, gdy maszyna napotkała na swojej drodze betonowy kanał.

Podwozie ześlizgnęło się w dół, nos maszyny uderzył od góry w przeciwległą betonową krawędź rowu i odpadł niby ścięty kosą, a kadłub uniósł się ogonem do góry i pokoziołkował dalej, tracąc po drodze skrzydła, z Dawidem uwięzionym w kabinie wraka, by wreszcie spocząć wśród brunatnych bruzd, o dziwo, we właściwej pozycji, na brzuchu, na kształt wyrzuconego na brzeg wieloryba.

Cała lewa strona ciała Dawida była bezwładna, nie miał czucia w ręce ani w nodze, pasy wciąż krępowały mu tułów, a do tego oszołomiła go i poraziła nagła cisza.

Upłynęło wiele sekund, a on siedział tak, niezdolny ruszyć się ani myśleć. Potem poczuł ów zapach – intensywną woń wysokooktanowej benzyny, wyciekającej z popękanych zbiorników i przewodów. Przeszył go dreszcz strachu, śmiertelnego strachu przed ogniem, wspólnego wszystkim pilotom. Prawą ręką chwycił za dźwignię zamka pokrywy kabiny i mocował się z nią całe cenne dziesięć sekund. Bezskutecznie – musiała być beznadziejnie zakleszczona. Wtedy sięgnął po stalowe narzędzie umocowane w zagłębieniu pod dźwignią, mające w takich właśnie przypadkach służyć

do rozbicia pleksiglasowej kopuły. Wyszarpnął je z uchwytu, odchylił się w tył na fotelu i zaatakował spiczastym ostrzem przezroczystą skorupę nad głową. Zapach paliwa był coraz mocniejszy, a do tego z głębi kadłuba dochodziły go ciche szczęknięcia i trzaski – dźwięki wydawane przez rozgrzany do białości metal.

Lewa ręka zawadzała mu, nie miał w niej władzy ani czucia. Krępowaly go także pasy, toteż przerwał atak na kopułę kabiny, by się z nich uwolnić.

Potem zaczął dźgać pleksiglas ze zdwojoną energią. Udało mu się wyłupać niewielki otwór i teraz pracował nad powiększeniem go. W tym momencie pękł któryś z przewodów zawierających sprężone paliwo i fontanna benzyny wystrzeliła wysoko w powietrze. Wyrzucany w górę strumień zaczął opadać wprost naabinę i spływać po jej obłych bokach, lecz zarazem gęszcz kropli, dużych i małych wpadał do środka przez wybity otwór. Lodowate krople padały mu na twarz, uderzały go w policzki, zalewały oczy, nasączały kombinezon na plecach, piersiach i ramionach. Dawid poczuł, że ogarnia go panika i zaczął się modlić. Po raz pierwszy w życiu odmawiał słowa modlitwy, mając poczucie ich prawdziwej wagi i znaczenia.

– „Słuchaj, Izraelu: Pan, Bóg nasz, jest Bogiem jedynym...”

Modlił się głośno, uderzając narzędziem w brzegi otworu i czując na twarzy deszcz śmierci. Wsadził w otwór dłoń i zaczął wyłamywać kawałki popękane tworzywa, przecinając przy tym rękawicę i kalecząc dłoń, zostawiając rozmazaną krew na ostrych krawędziach.

– „Niechaj będzie błogosławione imię Jego, którego królestwo trwa na wieki...”

Otwór był już dostatecznie duży. Uniósł się z fotela, lecz zatrzymały go dołączone do hełmu przewody, radiowy i tlenowy. Prawą ręką nie mógł ich odzepić, a lewa była bezwładna. Spojrzał na nią i zobaczył, że zwisa wykręcona w nienaturalny sposób. Nie bolała, lecz z rękawa ciekła krew.

– „Będziesz kochał Pana, Boga twego, całym sercem swoim...” – wyszeptał i prawą dłonią odpiął pasek pod szyją i zrzucił hełm za siebie. Teraz benzyna zaczęła wsiąkać w gęstwę jego włosów, ściekać za uszami po szyi i Dawidowi przemknęła przez głowę myśl o potępionych, smażących się w piekle.

Z trudem wygramolił się przez otwór na zewnątrz i teraz nawet słowa modlitwy nie były w stanie powstrzymać przenikającej go trwogi.

– „Albowiem gniew Boży zapali się przeciwko tobie...”

Przeczołgał się przez sterczący z kadłuba fragment odłamanego skrzydła i stoczył się zeń na ziemię. Upadł twarzą do dołu i leżał tak przez chwilę, wyczerpany wysiłkiem i strachem.

– „Pamiętaj wszystkie przykazania Boże...”

Leżąc z twarzą wtuloną w pylną bruzdę, usłyszał głosy ludzi. Uniósł głowę i zobaczył kobiety z winnicy, biegnące ku niemu przez pole. Ich krzyki i wołania brzmiały cicho z tej odległości, ale mógł dosłyszeć hebrajskie słowa. Był więc na pewno u swoich.

Opierając się o poszarpane poszycie Mirage'a, wspiał się na nogi, stanął, z lewą ręką dyndającą w rękawie, i spróbował zawołać do biegnących.

– Stać, stać! Nie zbliżać się! – lecz zamiast krzyku wydobył mu się z gardła jakiś chrapliwy skrzek, a kobiety wciąż biegły.

Ich sukienki i spódnice odcinały się wesołymi, barwnymi plamami na tle suchej, brązowej ziemi.

Dawid odepchnął się od kadłuba Mirage'a i zaczął kuśtykać na spotkanie biegnącym.

– Cofnijcie się! Zawracajcie! – zakrakał zdjęty trwogą, niezdarny w skafandrze, z głową i twarzą ociekającą benzyną.

W głębi zmasakrowanego kadłuba Mirage'a uwolniona benzyna została podgrzana przez rozpaloną obudowę turbiny, wzmogła się jej lotność. Gorący opar wypełnił wnętrze odrzutowca i teraz wystarczyła jedna przypadkowa iskra z instalacji elektrycznej, by nastąpił wybuch.

Z głuchym, lecz straszliwym łoskotem maszyna zakwitła szkarłatnym płomieniem, jęzory ognia strzeliły w górę wraz z kłębamii czarnego, tłustego dymu. Wiatr pochwycił ową masę ognia i poniósł ją w bok i Dawid znalazł się nagle w objęciach huczących płomieni.

Zatrzymał przytomnie oddech – gdyby tego nie zrobił, ogień poparzyłby mu płuca. Zacisnął mocno powieki i zaczął biec na oślep. Jego ciało chronił skutecznie skafander, stopy – buty, a dłonie – rękawice, ale głowę miał odsłoniętą i oblaną benzyną...

Toteż gdy biegł, jego głowa gorzała niby pochodnia. Włosy buchnęły skwierczącym, cuchnącym płomieniem, wypaliły się błyskawicznie i ogień ogarnął nagą czaszkę, szyję i twarz, spalając uszy i większą część nosa, przepalając skórę i wżerając się w żywe mięso. Zwęglone wargi odsłoniły zaciśnięte zęby, a cienka warstwa spalanej tkanki na szczęce odpadła, obnażając kość.

Dawid biegł wciąż, pośród płomieni i dymu. Nie wierzył, że ból może być aż tak straszliwy. Ów ból przekraczał wszystkie jego wyobrażenia i porażał wszystkie zmysły, jednego jednak był wciąż świadomy – że nie wolno mu krzyczeć. Ból był czernią i czerwonym blaskiem ognia przenikającym przez powieki. Huk w uszach grzmiał niby wycie wszystkich wichrów świata. Jego ciało było żgane rozżarzonymi ościeniami, smagane ognistymi biczami i posypywane rozpalonymi węglami, zaczerpniętymi z samego dna piekieł. Wiedział jednak, że nie może pozwolić, by ów straszliwy ogień

wdarł się w głąb jego jestestwa i biegł, wstrzymując krzyk.

Kobiety z winnicy zatrzymały się na widok słupa ognia i dymu, który natychmiast rozlał się, pochłaniając wrak samolotu i sylwetkę biegnącego pilota. Ściana ognia i dymu zamknęła się przed nimi, a fala żaru zmusiła je do wycofania. Stały teraz zbite w grupę i wpatrywały się w płomienie przerażonymi oczami.

Wtem boczny podmuch wiatru rozchylił zasłonę oleistego dymu i ujrzały straszną postać – dymiący ludzki kadłub z głową spowitą ogniem, biegnący, zataczający się i znów biegnący, na oślep, bez krzyku.

Jedna z kobiet, wysoka, mocno zbudowana dziewczyna o brązowej cerze i grzywie ciemnych włosów wydała jęk przerażenia i współczucia i rzuciła się ku niemu, rozpinając w biegu swą grubą, wełnianą spódnicę. Dopadła go i owinęła mu tę spódnicę wokół płonącej głowy, dusząc ogień, który ciągle wżerał mu się w ciało. Pozostałe kobiety podażyły za nią i starały się owinąć go częściami swych ubiorów, gdy upadł i leżał, wijąc się na ziemi.

Dopiero teraz Dawid zaczął krzyczeć – z bezwargich ust dobywał się głos, którego żadna z owych kobiet nie miała już nigdy zapomnieć. Krzyczał, leżąc z otwartymi oczyma, których nie mogły zasłonić spalone niemal ze szczętem powieki, oczyma niby dwa ciemnoniebieskie kryształy wtopione w maskę wilgotnego, poparzonego mięsa. Małe naczynia krwionośne, zasklepione żarem, otwierały się teraz i zaczynały krwawić. Gdy krzyczał, krew i limfa dobywały się z dziur pozostałych po nosie, tworząc pęcherze, spływając i pryskając na boki, a całe ciało miotano się i wilo w spazmach niewyobrażalnej męki.

Kobiety starały się przytrzymać go, nie dopuścić, by wpił się zakrzywionymi jak szpony palcami w otwartą ranę, która niegdyś była twarzą.

Krzyczał wciąż, krzyczał bez ustanku, jeszcze wtedy, gdy lekarz z kibucu rozciął skalpelem rękaw kombinezonu i wbił igłę strzykawki z morfiną w rozedrgane mięśnie jego przedramienia.

Bryg patrzył, jak ostatnia jarząca się plamka znika z ekranu radaru.

– Kontakt zerwany – zameldował młody oficer i po tych słowach w bunkrze dowodzenia zaległa cisza.

Wszyscy obecni spoglądali na Bryga, a on stał pochylony nad ukośnie osadzonym ekranem, z wielkimi, kościstymi dłońmi zaciśniętymi na bokach jego obudowy. Jego twarz była zastygła i bez wyrazu, za to oczy miały straszny wyraz.

Zdawało się, że głosy obu pilotów, wołających do siebie w krytycznych momentach, wciąż jeszcze rozbrzmiewają z głośników nad jego głową. Wszyscy mieli jeszcze

w uszach nabrzmiały przerażeniem i rozpaczą głos Dawida: „Nie, Joe, nie! O, Boże! Nie powinieneś być tego robić!” – i wiedzieli dobrze, co to znaczy. Stracili ich obu, a Bryg stał wciąż jeszcze porażony niespodziewanym, nieprzewidywalnym finałem owej akcji.

W momencie, gdy utracił kontakt ze swymi pilotami, wiedział, że katastrofa jest nieunikniona, a teraz było już jasne, że stracił w niej syna. Chciało mu się głośno krzyczeć w proteście przeciwko bezsensowności tej śmierci. Na parę sekund zacisnął mocno powieki, a kiedy je otworzył, był już opanowany.

– Powszechny alarm! – zakomenderował krótko. – Wszystkie dywizjony w stan czerwonego pogotowia! – dorzucił, zdając sobie sprawę, że jego kraj stoi w obliczu kryzysu międzynarodowego. – Chcę mieć powietrzną osłonę nad obszarem, gdzie spadli. Mogli się katapultować. Podnieść dwa Fantomy i zrobić nad nimi parasol. Natychmiast wysłać w rejon wypadku helikoptery z obsadą spadochroniarzy i zespołami medycznymi...

W bunkrze zrobił się ruch.

– I połączyć mnie z premierem – dodał na koniec. Czekąco go teraz składanie wyjaśnień i mnóstwo tłumaczenia się. Ostatnie parę wolnych sekund wykorzystał więc na to, by spuścić solenne, płynące z głębi serca przekleństwo na głowę Dawida Morgana.

*

Wojskowy lekarz obrzucił krótkim spojrzeniem poparzoną, częściowo ponadwęglaną głowę Dawida i zaklął pod nosem.

– Będziemy mieli szczęście, jeśli go odratujemy.

Owinął luźno głowę w bandażę nasyczone wazeliną. Żołnierze chwycili koc, w którym spoczywało ciało Dawida, i pospieszyli do helikoptera Bell 205, czekającego w pobliskim sadzie.

Helikopter usiadł na lądowisku na dachu szpitala Hadassa, gdzie czekała już ekipa medyczna. W godzinę i pięćdziesiąt trzy minuty od momentu, gdy Mirage napotkał na swej drodze kanał irygacyjny, Dawid znalazł się w komorze sterylizacyjnej, stanowiącej przedsionek do specjalnego oddziału poparzeniowego, mieszczącego się na trzecim piętrze szpitala. Następnie wwieziono go w głąb małego, zaciszego świata, gdzie wszyscy nosili maski na twarzach i ubrani byli w zielone, wyjałowione fartuchy, gdzie kontakt z zewnętrznym światem mógł być jedynie wzrokowy, poprzez podwójnie oszklone okna, i gdzie nawet powietrze było specjalnie filtrowane.

Mózg Dawida bujał miękko w ciemnych, morfinowych chmurach, tak iż nie słyszał on cichych głosów pochylających się nad nim zamaskowanych postaci.

– To jest trzeci stopień na całej powierzchni...

– W żadnym wypadku nie wolno dotykać, siostró, ani tym bardziej czyścić, zanim się to wszystko nie ustabilizuje. Natrysnę teraz epigard, a potem należy co cztery godziny podawać domięśniowo tetracyklinę, żeby uniknąć infekcji...

– Jakiegokolwiek miejscowe zabiegi będą możliwe najwcześniej za dwa tygodnie.

– Tak jest, panie doktorze.

– Aha, i piętnaście miligramów morfiny, siostró, co sześć godzin. Biedak. Będzie bardzo cierpiał.

Ból był nieskończonością, bezkresnym oceanem, po którym w niezmordowanym rytmie sunęły smugi fal, rozlewając się na plażach jego duszy. Były momenty, kiedy jęzor bólu sięgał wysoko i jego liźnięcia zdawały się odbierać mu rozum. Później znów przychodził czas, kiedy jego pulsowanie stawało się łagodne, nieomal pieszczotliwe, i wtedy Dawid unosił się na falach oceanu daleko od brzegów, pośród kojących mgieł morfinowego oparu. Potem jednak mgły rzedniały i rozwiewały się, słoneczny żar ponownie oblewał mu głowę, a wówczas zaczynał jęczeć i krzyczeć. Cała jego czaszka skwierczała i zaczynała się żarzyć, a odsłonięte włókna nerwowe szaleńczo buntowały się przeciw swojemu obnażeniu. Wtedy nagle czuł błogosławione ukłucie i zbawienny opar znów gęstniał nad jego głową.

– Bardzo mi się to nie podoba, siostró. Czy pobraliśmy próbkę na posiew?

– Tak, panie doktorze.

– I co się wyhodowało?

– Obawiam się, że paciorkowiec.

– Tak przypuszczałem. Przejdziemy na kloksacylinę i zobaczymy, czy się poprawi.

Wraz z bólem powracała zdolność odczuwania zapachów i Dawid zaczynał rozróżniać rozmaite wonie. Była tam woń rozkładu, obumarłych tkanek, woń robactwa w brudnych kocach, wymiotów i ekskrementów, woń śmietnika w ciemnym, wilgotnym zaułku... W końcu Dawid zorientował się, że wszystkie te wonie są komponentami jednego, dominującego zapachu – zapachu jego wlanego ciała, gnijącego, w miarę jak bakterie paciorkowca atakowały odsłoniętą tkankę.

Lekarze zwalczali infekcję antybiotykami, lecz teraz do bólu dołączyła jeszcze gorączka wywołana zakażeniem i stałe, dręczące pragnienie, którego nie mogła ugasić żadna ilość podawanych płynów.

Wraz z gorączką przyszły majaczenia i omamy, których udręka przełamywała jeszcze bezwzględniej granice jego wytrzymałości.

– Próbuj pod słońce, Joe! Odpadaj teraz! Teraz! Już! – wykrzykiwał w agonii rozpacz, a po chwili z bezwargiej jamy ust dobywało się łkanie: – Nie, Joe, nie!

O Boże! Nie powinieneś był tego robić!

Wtedy siostra z nocnego dyżuru, nie mogąc już dłużej znieść tych wołań i jęków, przybiegała ze strzykawką i po chwili krzyki przechodziły w mamrotanie, a potem słychać już było tylko rzęzący oddech, sygnał narkotycznego uśpienia.

– Teraz zaczniemy stosować okłady akryflawinowe, siostró. – Gdy co każde czterdzieści osiem godzin odwijano bandaże i zakładano nowe, lekarze stosowali pełne znieczulenie, jako że głowa, którą opatrywali, była jedną bryłą nagiego, żywego mięsa, pozbawioną wyrazu, jak na prymitywnym dziecięcym rysunku, złożonym z topornych kresek i ostrych, jednolitych kolorów – pozbawioną włosów, uszu, poznaczoną żółtawymi naciekami ropy i zgorzelinami gnijącej tkanki.

– Zdaje się, że kloksacylina działa, siostró. Teraz wygląda to już dużo lepiej.

Szczątki powiek Dawida ściągnęły się i cofnęły, pozostawiając gałki oczne odsłonięte i narażone na wysychanie. Lekarze wypełnili mu więc oczodoły żółtawą maścią, która miała je koić i zapobiec wtargnięciu infekcji. Maść odebrała mu możliwość widzenia.

– Trzeba będzie teraz spreparować przeszczep z brzucha.

Proszę przygotować go na popołudnie do operacji, siostró.

Przyszedł czas krajania i Dawid miał przekonać się, iż ból i skalpel tworzą razem straszliwą parę. Chirurdzy wykroili mu z brzucha długie pasmo wierzchniej tkanki wraz ze skórą, nie odcinając go z jednego końca, i uformowali z niego coś na kształt wałka. Następnie przymocowali mu prawą rękę, tę bez gipsu, do tułowia i wszyli mu w nią, powyżej nadgarstka, koniec owego wałka, by przeszczep zaczął stamtąd pobierać krew. Potem zabrali go ze stołu operacyjnego, przenieśli na łóżko i pozostawili tak, skrępowanego i ślepego, z odszczepem wczepionym w rękę niby remora wczepiona w brzuch rekina.

– Bardzo dobrze, uratowaliśmy obie gałki oczne...

W głosie, który to mówił, pobrzmiwało zadowolenie, niemal duma. Dawid spojrzał w górę i ujrzał ich po raz pierwszy. Stali wokół łóżka, spoglądając w dół – wianek głów o nosach i ustach zasłoniętych chirurgicznymi maskami.

Cały obraz był jednak wciąż zmacony resztkami maści i rozmyty od nadmiaru naciekającego kroplami płynu, który teraz miał ją zastąpić.

– Teraz zabierzemy się do powiek.

Oznaczało to znów skalpel i ból – rozciąganie, formowanie i zszywanie bolesnych skrawków skóry – znajomy mdły posmak i odór środków uśmierzających, krążących obficie w żyłach, emanujących wszystkimi porami skóry.

– O, jak ślicznie. Doprawdy pięknie. Zlikwidowaliśmy zakażenie. Teraz możemy

zaczynać.

Głowa Dawida została oczyszczona z zaschniętej ropy i była teraz wilgotna i lśniąca, naga i jasnoczerwona, a w miejscach, gdzie tworzyła się ziarninowata tkanka, miała barwę jasnorożową. Dwie chropawe nierówności znajdowały się tam, gdzie przedtem były muszle uszne. Podwójny rząd idealnie równych, białych zębów błyszczał na miejscu nieistniejących warg. Długa linia białej, odsłoniętej kości podkreślała zarys szczęki, nos był małym, ostrym wyrostkiem, w którym zionęły dwie czarne dziury niby otwory luf dubeltówki, i tylko oczy były niezmiennie piękne, o barwie ciemnego indyga pośród nieskazitelnej bieli. Lecz oczy te spoglądały spomiędzy krwawoczerwonych powiek, poprzecinanych ciemnymi prążkami zręcznie poprowadzonych szwów.

– Zacniemy od szyi, z tyłu. Siostro, proszę przygotować salę na popołudnie.

Rozpoczął się długi koncert, w którym głównym instrumentem był skalpel. Wycinano połączenie żywej skóry z ud, nacinano je, by zwiększyć ich rozciągliwość, a potem nakładano na nagą tkankę zakrywając ją w ten sposób stopniowo, kawałek po kawałku i oceniając każdorazowo efekt zabiegu, gdy Dawid leżał już na swoim łóżku, omywany falami świeżego bólu.

– Ten fragment nie leży dobrze. Obawiam się, że będziemy musieli go zdjąć i nałożyć ponownie.

Podczas gdy na udach odrastała nowa skóra, dalsze kawałki wycinano z ud, tak że kolejna część ciała stawała się źródłem cierpienia.

– Pięknie! Idealnie starczyło od końca do końca.

Powoli powłoka nowej skóry obejmowała coraz większą powierzchnię głowy, sięgając od karku poprzez czaszkę do czoła, a wykonane regularnie drobne nacięcia tworzyły wzór przypominający rybią łuskę.

– Teraz możemy zająć się odszczepem brzuszny.

– Przygotować salę na popołudnie, panie doktorze?

– Tak, siostro.

Dawid zorientował się już, że operacje wykonywane są w każdy czwartek, i zaczął bać się porannych, czwartkowych obchodów, podczas których specjalista od chirurgii plastycznej i jego sztab okrążali jego łóżko, dotykali, kłuli i wymieniali uwagi na temat sposobu rekonstrukcji jego twarzy tak rzeczowo i bezemocjonalnie, że przenikał go zimny dreszcz trwogi.

Odszczep odcięto od brzucha, tak iż zadyndał mu u ręki niby monstrialny, biały robak, odżywiający się teraz krwią z jego przedramienia.

Położono mu rękę ukośnie na piersi i ponownie ją uwiązano. Krwawiący koniec przeszczepu rozcięto na dwa pasma, z których jedno przyszyto z boku do szczęki,

a drugie do nosa.

– Bardzo ładnie się przyjęło. Dzisiaj po południu rozpoczniemy formowanie. Ma być na samym początku listy zabiegów. Proszę dopilnować tego, siostró.

Z żywego kawałka mięsa, wykrojonego z brzucha, wymodelowano bryłowaty kształt mający być nosem, gładkie, wąskie wargi oraz pokrycie dla kości szczękowej.

– Obrzęk ustąpił. Dzisiaj po południu pobiorę przeszczep kostny na uzupełnienie szczęki.

Otworzono klatkę piersiową, nacięto czwarte żebro i odszczepiono podłużny fragment kości, wstawiono go we właściwe miejsce, przykryto tkanką przeszczepu i zaszyto.

Każdy czwartek był dniem skalpela i odoru anestetyków, a pozostałe dni wypełniał ból pokrajanych i gojących się tkanek. Wreszcie dokonano ostatnich zabiegów doskonalących kształt nosa, przebito w nim otwory nozdrzy i dokończono rekonstrukcji powiek, położono ostatnie plastry skóry za uszami, odcięto wreszcie przeszczep u dołu szczęki, tam, gdzie zrastająca się i kurcząca przy tym tkanka ściągała głowę do piersi. Nowe wargi przyrosły do nienaruszonych mięśni i Dawid mógł poruszać nimi, tak że odzyskał zdolność zrozumiałego artykułowania słów.

Ostatni obszar odsłoniętej tkanki zniknął pod powłoką uformowaną z przeszczepów i szwów. Skończył się stan wysokiego zagrożenia infekcyjnego i Dawida przeniesiono z całkowicie sterylnego pomieszczenia do normalnej sali. Tutaj ujrzał wreszcie ludzkie twarze w miejsce oczu spoglądających nań sponad białych, chirurgicznych masek. Otaczające go twarze były przyjazne i uśmiechnięte. Były to twarze mężczyzn i kobiet zadowolonych i dumnych z odniesionego sukcesu, z tego, że udało się im uratować go od śmierci i na miarę możliwości zrekonstruować jego okaleczoną głowę.

– Będzie ci już teraz wolno przyjmować gości. Myślę, że to dla ciebie miła wiadomość – oznajmił chirurg. Był to przystojny, młody mężczyzna, który porzucił znakomicie płatne stanowisko w jednej ze szwajcarskich klinik, by podjąć się prowadzenia oddziału poparzeń i chirurgii plastycznej w tym właśnie, jerozolimskim szpitalu.

– Nie spodziewam się żadnych odwiedzin – odparł Dawid. Przez dziewięć miesięcy spędzonych w ścisłej izolacji utracił zupełnie świadomość realiów istniejącego gdzieś daleko, normalnego świata.

– Ależ będziesz je miał – zapewnił go doktor. – Wiele osób dopytywało się regularnie o twój stan. Czy nie tak, siostró?

– Tak, panie doktorze.

– Niech pani teraz informuje, że pan Dawid Morgan może już przyjmować gości.

Grupa dokonująca obchodu odeszła już od łóżka, gdy Dawid zawołał:

– Doktorze! Chciałbym móc spojrzeć w jakieś lustro.

Odchodzący zatrzymali się i stali milcząco, zakłopotani.

Była to prośba, z którą Dawid występował wielokrotnie w ciągu ostatnich paru miesięcy i zawsze odmawiano mu jej spełnienia.

– Do diabła! – zdenerwował się. – Nie będziecie mogli chronić mnie przed tym wiecznie!

Ordynator wskazał gestem towarzyszącym mu osobom, że mają opuścić pokój, co też natychmiast uczyniły, a sam podszedł ponownie do łóżka.

– Dobrze, Dawidzie – powiedział miękko. – Znajdziemy dla ciebie jakieś lustro, chociaż lustra na tym akurat oddziale nie są czymś pożądanym.

Po raz pierwszy od miesiąca Dawid, patrząc na lekarza, zdał sobie sprawę z głębi odczuwanego przezeń współczucia i to odkrycie ogromnie go zaskoczyło. Nie spodziewał się, żeby ktoś, kto nieustannie ma do czynienia z bezmiarem ludzkiego bólu i widokiem straszliwych okaleczeń, mógł być mimo to wciąż jeszcze na nie wrażliwy.

– Musisz wiedzieć, że to, jak wyglądasz obecnie, nie znaczy, że będziesz tak wyglądał już zawsze. Wszystko, co mogłem dotąd zrobić, to pokryć skórą odsłonięte tkanki twojej głowy i przywrócić ci możliwość normalnej egzystencji. Jesteś znów sprawna ludzką jednostką. Nie utraciłeś żadnej z władz, aczkolwiek przyznaję, że nie jesteś specjalnie urodziwy. W tym zakresie pozostaje jednak jeszcze wiele do zrobienia. Można na przykład uformować na nowo uszy z materiału, który specjalnie w tym celu zarezerwowałem – wskazał na wiszący wciąż u ręki Dawida kawałek brzuszego przeszczepu – a poza tym pozostaje jeszcze dużo precyzyjnej roboty przy nosie, ustach i oczach.

Chirurg przeszedł wolno przez pokój do okna, popatrzył przez chwilę na zewnątrz, w słoneczny blask, odwrócił się i podszedł znów do Dawida.

– Jednak gwoli szczerości muszę cię uprzedzić, że moje możliwości mają granice. Mięśnie, które decydują o mimice, te bardzo delikatne, drobne mięśnie, uległy zniszczeniu. Nie jestem w stanie ich odtworzyć ani zastąpić. Torebki włosowe na twoich brwiach, rzęsach i czaszce zostały wypalone.

Będziesz mógł oczywiście nosić perukę, ale...

Dawid obrócił się na bok, sięgnął do szufladki w szafce przy łóżku, wyjął portfel, a z niego fotografię. Było to zdjęcie, które Hanna zrobiła jemu i Deborze, siedzącym na skałkach obok basenu i uśmiechającym się do siebie, w oazie En Gedi. Podał je chirurgowi.

– Tak wyglądałeś, Dawidzie? Nie wiedziałem.

– Czy może mi pan przywrócić ten wygląd?

Chirurg spojrzął znów na fotografię. Przez dłuższą chwilę wpatrywał się w widoczną na niej twarz godną syna bogów, z gęstą, falującą czupryną i nieskazitelnym profilem.

– Nie. Nawet w małym procencie.

– To jest wszystko, co chciałem wiedzieć – rzekł Dawid. Wyjął chirurgowi zdjęcie z dłoni. – Mówi pan, że jestem zasadniczo sprawny. Zostańmy więc przy tym, co jest, dobrze?

– Nie życzysz sobie dalszych zabiegów? Możemy jeszcze dużo zrobić...

– Doktorze, byłem krajany przez dziewięć miesięcy. Cały czas czułem w ustach smak środków znieczulających i antybiotyków. Wszystko, czego teraz pragnę, to nieco odpocząć od bólu, odrobiny spokoju i świeżego powietrza.

– Dobrze – zgodził się chirurg. – Nie musimy zajmować się tym teraz. Będiesz mógł wrócić tu za jakiś czas, jeśli zechcesz – dodał i ruszył do drzwi. – Chodź. Pójdziemy poszukać lustra.

Znaleźli je – jedno jedyne – w pokoju pielęgniarok, za podwójnymi drzwiami w końcu korytarza. Pokój był pusty, a lustro wisiało na ścianie nad umywalką.

Chirurg zatrzymał się w drzwiach, oparł się o framugę, zapalił papierosa i patrzył, jak Dawid zmierza do lustra i staje nagle, ujrawszy swoje odbicie.

Dawid miał na sobie piżamę i niebieski, szpitalny szlafrok. Był wysoki, smukły i proporcjonalnie zbudowany. Miał szerokie ramiona i wąskie biodra, słowem, jego sylwetka nie zmieniła się ani odrobinę.

Atoli głowa, która wieńczyła ów wspaniały korpus, była niby upiorna zjawa z nocnego koszmaru. Dawid porażony jej widokiem wydał dźwięk, przypominający westchnienie, i widmo w lustrze rozchyliło wąską szparę ust. Były to wąskie, bezwargie usta, jak u kobry, o białych, ostrych brzegach.

Jak zahipnotyzowany potwornością swej nowej fizjonomii, Dawid zbliżył się do lustra. Gęstwa włosów zakrywała dawniej osobliwe wydłużenie jego czaszki. Nie zdawał sobie sprawy, że jego potylicica wystaje tak bardzo do tyłu, co teraz stało się szczególnie widoczne, jako że owa wypukłość była pokryta świeżą, pocętkowaną drobnymi nacięciami skórą.

Sama zaś twarz przypominała krajobraz po bitwie. Pokrywały ją płyty skóry połączone bliznami zrostów, szczególnie uwidaczniającymi się na kościach policzkowych, co nadawałoby mu lekko azjatycki wygląd, gdyby nie oczy, okrągłe i jakby postawione w słup, o grubych, bezzęsyh powiekach.

Nos był z grubsza tylko przypominającą narząd powonienia bryłą mięsa, zupełnie niezharmonizowaną z pozostałymi elementami twarzy, a małżowiny uszne, dwa

guzowate pierogi, robiły wrażenie niepotrzebnych przydatków, przyczepionych byle jak po bokach do czaszki, jakby na skutek jakiegoś niedorzecznego kaprysu.

Kreska ust wykrzywiła się w okropnym grymasie i zaraz ponownie wyprostowała.

– Doktorze, ja nie mogę się uśmiechać.

– Nie możesz. Jesteś pozbawiony zdolności ekspresji mimicznej.

To było bodajże najbardziej przerażające – nie zdeformowane, poznaczone bliznami i śladami szwów ciało, lecz zupełna bezwyrazistość tej maski. Zakrzepłe rysy wydawały się od dawna umarłe, niezdolne do wyrażenia jakiegokolwiek nastroju czy emocji.

– No cóż, nie będę mógł startować w konkursach piękności – stwierdził Dawid, a chirurg zaśmiał się, lecz w śmiechu tym nie było rozbawienia.

– Jutro usuniemy te parę ostatnich szwów za uszami. Amputuję ci z ręki pozostałość odszczepu i będzie cię można wypisać. Wrócisz do nas, kiedy podejmiesz taką decyzję.

Dawid przesunął dłonią po nagiej skórze czaszki.

– Zaoszczędzę majątek na fryzjerze i żyłtkach – powiedział.

Chirurg bez słowa odwrócił się i odszedł korytarzem, zostawiając go, by mógł w spokoju zapoznać się ze swym nowym wyglądem.

Ubranie, które mu dostarczono – luźne spodnie, koszula, cienka kurtka i sandały – było lichej jakości i nie dopasowane. Dawid poprosił o jakieś nakrycie głowy, cokolwiek, pod czym mógłby ukryć dziwny kształt swej czaszki. Jedna z pielęgniarek przyniosła mu sukienką czapkę i jednocześnie oznajmiła, że ktoś czeka na niego w pokoju przy gabinecie dyrektora szpitala.

Był to major z generalnej prokuratury wojskowej, kościsty, siwowłosy, o zimnych, szarych oczach i wąskich, zaciśniętych ustach. Przedstawił się bez podania ręki i otworzył teczkę z aktami, którą miał przed sobą na biurku.

– Otrzymałem polecenie, by zaproponować panu złożenie formalnego wniosku o zwolnienie ze służby w izraelskich siłach zbrojnych – oświadczył major, a Dawid popatrzył na niego wzrokiem pozbawionym wyrazu. W ciągu tych wszystkich długich nocy, wypełnionych bólem i gorączką, myśl o tym, że będzie znów latać, otwierała wizję raj.

– Nie rozumiem – wymamrotał i sięgnął po papierosa. Złamał pierwszą zapalną, zapalił drugą i pociągnął szybko parę razy. – Żąda pan mojej rezygnacji. A jeżeli odmówię?

– Wówczas nie będziemy mieli innego wyjścia, jak tylko złożyć w sądzie materiały i oskarżyć pana o poważne naruszenie obowiązków służbowych i odmowę, w obliczu nieprzyjaciela, wykonania stojącego w zgodzie z prawem rozkazu przełożonego.

– Rozumiem – Dawid kiwnął ciężko głową i zaciągnął się głęboko dymem papierosa.
– Wygląda na to, że nie mam wyboru.

– Przygotowałem potrzebne dokumenty. Proszę podpisać tutaj i tutaj, a ja podpiszę jako świadek.

Dawid pochylił się nad dokumentami i podpisał je. Stalówka wiecznego pióra zaskrzypiała w ciszy gabinetu.

– Dziękuję.

Major zebrał papiery i schował je do teczki. Skinął głową Dawidowi i ruszył do drzwi.

– Zostałem więc wyrzutkiem – powiedział Dawid cicho.

Major, usłyszawszy to, przystanął. Obaj mężczyźni spoglądali na siebie przez chwilę, po czym wyraz twarzy majora zmienił się nieznacznie, natomiast jego zimne, szare oczy zapłonęły.

– Jesteś winien zniszczenia dwóch samolotów bojowych, które są nie do zastąpienia, i szkodę tę nie sposób nawet przeliczyć na pieniądze. Jesteś odpowiedzialny za śmierć swojego kolegi, oficera, i popchnięcie naszego kraju na samą krawędź wojny, która musiałaby kosztować życie jeszcze tysięcy młodych ludzi, a niewykluczone, że doprowadziłyby do unicestwienia całego narodu. Przysporzyłeś kłopotów naszym przyjacielom, którzy wspierają nas na forum międzynarodowym, i dostarczyłeś argumentów naszym wrogom – major przerwał dla zaczerpnięcia tchu. – Zgodnie ze stanowiskiem urzędu, który reprezentuję, powinieneś zostać postawiony przed trybunałem, osądzony i skazany na śmierć. Ocaliła cię od tego jedynie osobista interwencja premiera i generała Mordechaja. Tak więc zamiast narzekać na swój los powinieneś uważać, że spotkało cię wielkie szczęście.

Major odwrócił się na pięcie i stukot jego kroków na kamiennej posadzce zabrzmiał głośnym echem w pustym korytarzu.

W chłodnym, nieprzytulnym przedsionku szpitala Dawid poczuł nagle niechęć wobec perspektywy wyjścia przez szklane drzwi na świat zalany blaskiem wiosennego słońca. Słyszał już gdzieś, że podobnego odczucia doznają zwalniani więźniowie, mający za sobą długoterminowe wyroki.

Zanim zdecydował się pchnąć wahadłowe drzwi, skrzył w bok i wszedł do szpitalnej synagogi. Długo siedział w pełnej ciszy i spokoju, prostokątnej sali. Wysoko umieszczone, witrażowe okna rozświetlały wnętrze strugami barwnego światła i osobliwy urok oraz skupiona powaga tego miejsca wzmocniły go i dodały mu odwagi, gdy wreszcie wyszedł na plac przed szpitalem i wsiadł do autobusu.

Znalazł wolne miejsce z tyłu, przy oknie. Autobus ruszył i zaczął wspinać się

mozolnie na wzgórze, zmierając w kierunku śródmieścia.

W pewnym momencie poczuł, że jest obserwowany. Uniósł głowę i zobaczył, że miejsce przed nim zajęła kobieta z dwojgiem dzieci. Była biednie ubrana i przedwcześnie postarzała, z piętnem troski wyciśniętym na twarzy. Młodsze dziecko, właściwie jeszcze niemowlę, o umorusanej, nieładnej buzi, trzymała przy piersi i karmiła je mlekiem z plastikowej butelki. Natomiast drugie dziecko była to anielsko śliczna dziewczynka w wieku czterech, może pięciu lat. Miała olbrzymie, ciemne oczy i główkę pełną gęstych loków. Stała na siedzeniu przed Dawidem, z kciukiem utkwionym głęboko w buzi i przypatrywała mu się, spokojnie i uważnie. Dawid poczuł nagły przyływ sympatii do tej małej istoty, dojmującą potrzebę uczuciowego kontaktu z drugim człowiekiem, jakiego był pozbawiony przez wszystkie te miesiące.

Wychylił się do przodu, próbując się uśmiechnąć, i wyciągnął nieśmiało rękę, by dotknąć zaciśniętej na oparciu siedzenia małej dłoni dziecka.

Dziewczynka wyjęła palec z ust i cofnęła się trwożnie, odwróciła się do matki, chwyciła ją za rękę i ukryła twarzyczkę w fałdach jej bluzki.

Na najbliższym przystanku Dawid wysiadł z autobusu i bocznymi, wąskimi i krętymi ścieżkami rozpoczął wędrówkę ku szczytowi wzgórza. Dzień był słoneczny, powietrze rozgrzane i ciężkie od zapachu drzew kwitnących w brzoskwiniowych sadach. Dawid wspinał się na kolejne tarasy, aż wreszcie dotarł do szczytu, gdzie zupełnie wyczerpany i bez tchu usiadł, by odpocząć. Miesiące leżenia wycieńczyły go bardziej, niż przypuszczał, a epizod z dziewczynką w autobusie stanowił dlań potężny i okrutny wstrząs.

Spoglądał tęsknie w niebo kryształowoniebieskie i czyste. Jedyne daleko na północy unosiło się wysoko pasmo srebrzystych chmur. Jakże pragnąłby wzbić się ponad te chmury... Wiedział, że tam, w górze, odzyskałby spokój i zaznał ukojenia.

Taksówka zawiozła go na ulicę Melchizedeka. Drzwi frontowe nie były zamknięte, otwarły się same, zanim zdążył obrócić klucz w zamku. Zaskoczony i zaniepokojony wszedł do salonu. Pokój wyglądał tak, jak zostawił go przed miesiącami, jednak ktoś posprzątał go i odkurzył, a na stole z oliwkowego drewna stały świeże kwiaty w wazonie – wielki bukiet żółtych i purpurowych dali.

Dawid poczuł zapach dochodzący niewątpliwie z kuchni, ostry i korzenny, budzący nieprawdopodobny wprost apetyt po mdławej, szpitalnej diecie.

– Halo! – zawołał. – Kto tam jest?

– Witaj w domu! – odpowiedział mu znajomy, grzmiący głos zza zamkniętych drzwi łazienki. – Nie spodziewałam się ciebie tak wcześnie i zastałam mnie z podwiniętą spódnicą i spuszczonej majtkami.

Dobiegł go szmer trących o siebie tkanin, potem huk spuszczonej wody, drzwi łazienki otwały się z trzaskiem i ukazała się w nich majestatyczna postać Elli Kadesz. Miała na sobie jeden ze swych obszernych kaftanów, ćmiący istną feerią kilku podstawowych kolorów, bez przymieszki jakiegokolwiek odcienia, na głowie perukę, zaczesaną na jedną stronę, umocowaną wielką spinką wysadzaną dużymi odłamkami jadeitu i dodatkowo ozdobioną pęczkiem pawich strusich piór. Na tym wszystkim zaś tkwił jabłkowiezielony kapelusz.

Ella rozłożyła szeroko ręce w geście powitania, a na jej twarzy rozlewał się uśmiech przemieszany z wyrazem ciekawego oczekiwania. Ruszyła ku Dawidowi i choć wyraz jej twarzy nie zdążył ulec zmianie, w małych, jasnych oczkach pojawiło się przerażenie. Zwolniła kroku.

– Dawid? – w jej głosie brzmiała niepewność. – Czy to ty, Dawidzie?

– Jak się masz, Ella.

– O Boże, słodki Boże! Co oni z tobą zrobili, mój piękny, młody Marsie?!

– Posłuchaj, ty stara pudernico. Jeżeli zaczniesz biadolić, to wywalę cię stąd kopniakiem!

Ella wielkim wysiłkiem powstrzymała łzy napływające jej do oczu, ale policzki jej drżały, a głos brzmiał nosowo i chrypliwie, kiedy zamknęła go w swych potężnych ramionach i trzymała tak, tuląc do piersi.

– Wsadziłam karton piwa do lodówki i przyrządziłam dla nas sporą porcję curry. Na pewno będzie ci smakowało, ze wszystkich potraw curry najlepiej mi się udaje...

Dawid jadł z apetytem, gasząc palenie w gardle zimnym piwem i słuchając Elli. Ta zaś mówiła bez przerwy, usiłując strumieniem słów zamaskować swe skrepowanie i współzucie.

– Nie chcieli mi pozwolić na odwiedziny, ale dzwoniłam do szpitala co tydzień i w ten sposób trzymałam rękę na pulsie.

Zaprzyjaźniłam się nawet z pielęgniarką oddziałową i od niej dowiedziałam się, że dzisiaj wychodzisz. Przyjechałam więc, żeby przygotować ci jakie takie powitanie.

Starła się przy tym unikać spoglądania prosto w jego twarz, lecz kiedy zawadzała o nią przelotnie, oczy jej wypełniały się łzami, pomimo że za wszelką cenę usiłowała zachować pozory wesołości, uśmiechając się i żartując. Gdy Dawid wreszcie skończył jeść, spytała:

– Co masz zamiar teraz robić?

– Najchętniej wróciłbym do służby i latał. To jest coś, co najbardziej mnie pociąga. Ale prokuratura zmusiła mnie do wystąpienia o rozwiązanie kontraktu. Nie wykonałem rozkazu, razem z Joem zaatakowaliśmy poza linią graniczną, i armia nie chce mnie

w swoich szeregach.

– Omal nie doszło do regularnej wojny, Dawidzie. Ty i Joe postąpiliście jak szaleńcy.

Dawid przytaknął.

– Wiem, byłem szalony. Nie mogłem myśleć normalnie tego dnia, potem jak Debora...

– Jasne, rozumiem – przerwała mu pospiesznie Ella. – Wypijemy jeszcze po piwie?

Dawid skinął aprobowująco głową, ale jakby mimochodem.

– Jak ona się miewa? – spytał. Było to pytanie, które pragnął zadać od samego początku.

– Znakomicie. Zaczęła pisać nową książkę i zapowiada się, że ta druga będzie jeszcze lepsza od pierwszej, jeżeli to w ogóle możliwe. Sądzę, że zrobi wielką karierę jako pisarka...

– A co z jej oczami? Jest jakaś poprawa?

Ella potrząsnęła głową.

– Nie. Ale nie cierpi już wcale z tego powodu. Doszła z tym już ostatecznie do ładu, tak jak i ty pogodzisz się z tym, co ci się stało...

Dawid jednak nie słuchał.

– Wiesz, Ella, że przez cały czas pobytu w szpitalu, każdego dnia miałem cień nadziei... Zdawałem sobie sprawę, że na próżno, ale wciąż czekałem na jakiś znak od niej – kartkę, przesłane przez kogoś słowo...

– Ona nie wiedziała o tobie, Dawidzie.

– Nie wiedziała? – powtórzył Dawid z nieopisanym zdumieniem. Pochylił się i przez stół chwycił za przegub rękę Elli. – Jak to możliwe?

– Gdy Joe zginął, ojciec Debory był zrozpaczony i wściekły na ciebie, Dawidzie. Ciebie obciążał odpowiedzialnością za jego śmierć.

Dawid kiwnął głową, choć na beznamietnej masce jego twarzy nie odmalował się najmniejszy ślad tkwiącego w nim poczucia winy.

– Toteż powiedział Deborze, że wyjechałeś z Izraela i powróciłeś do swego kraju. Wszyscy zobowiązali się milczeć w tej sprawie, i to jest wszystko, co Debora wie o tobie.

Dawid puścił przegub Elli, uniósł szklanekę z piwem i upił nieco spod kożucha piany.

– Wciąż nie odpowiedziałeś na moje pytanie, Dawidzie – co masz zamiar teraz robić?

– Nie wiem, Ella. Będę musiał nad tym pomyśleć.

Ostry, zimny wiatr wiał od wzgórz i marszczył powierzchnię jeziora, zmieniając jego barwę z ciemnoniebieskiej na czarną i znacząc ją tu i ówdzie smugami piany. Łodzie

rybackie, przycumowane wzdłuż zakłęśniętej linii brzegu, kołysały się niezmordowanie na falach, szarpiąc utrzymujące je w miejscu smycze lin, a schnące na kołkach sieci falowały niby olbrzymie, ślubne welony.

Wiatr pochwyił włosy Debory i rozwiął je w czarną chmurę, otulił szczelnie jej ciało jedwabną tkaniną dresu, w który była ubrana, uwypuklając zarys jej pełnych piersi i podkreślając smukłość nóg.

Debora stała na resztkę muru twierdzy krzyżowców, obie dłonie na białej, cienkiej lasce, twarzą zwrócona do jeziora, tak jak gdyby sięgała wzrokiem hen, poza nie, gdzieś na drugi brzeg.

Ella siedziała tuż obok na kamiennym bloku, zasłonięta od wiatru, lecz mimo to przytrzymała ręką kapelusz, snując swój wywód i obserwując uważnie reakcje Debory.

– Wtedy wydawało się, że tak właśnie będzie najlepiej. Zgodziłam się zataić przed tobą prawdę, ponieważ nie chciałam, żebyś się zadreczęła...

– Nigdy więcej nie waż się już na coś takiego – przerwała jej ostro Debora.

Ella wykonała gest ubolewania i ciągnęła dalej:

– Nie miałam możliwości przekonać się na własne oczy, jak ciężki jest jego stan. Nie dopuszczono by mnie do niego. Dlatego więc, a poza tym po prostu ze zwykłego tchórzostwa, postanowiłam się nie wtrącać.

Debora pokręciła głową ze złością, ale nic nie odpowiedziała. Ella po raz kolejny nie mogła się nadziwić, że niewidzące oczy mogą mieć w sobie tyle wyrazu – emocje Debory uwidaczniały się niezwykle wyraźnie w grze miodowych iskierek, których oczy te były pełne, gdy odwróciła ku niej twarz.

– To nie był odpowiedni czas, żeby przyprawiać cię o rozterki. Zgodzisz się chyba. Tak dobrze szło ci pisanie. Nie dostrzegałam żadnej korzyści, mogącej wyniknąć z tego, że dowiesz się prawdy. Zdecydowałam się więc przystać na życzenie twego ojca i zobaczyć, jak wszystko ułoży się za jakiś czas.

– Dlaczego więc mówisz mi to wszystko teraz? Co się takiego stało, że zmieniłaś zdanie? Czy przytrafiło się coś Dawidowi?

– Wczoraj w południe Dawid został wypisany ze szpitala Hadessa.

– Ze szpitala? Nie chcesz chyba powiedzieć, że był w szpitalu przez cały ten czas, Ella. Dziewięć miesięcy... nie, to niemożliwe!

– Ale prawdziwe.

– To znaczy, że musiał być niezwykle ciężko ranny – złość Debory znikła momentalnie, ustępując miejsca pełnemu niepokoju zainteresowaniu. – Co mu się stało? Jak się czuje teraz? Wyleczyli go już całkowicie?

Ella milczała przez chwilę. Debora zrobiła krok i stanęła tuż obok niej.

– Powiedz mi, proszę.

– Samolot Dawida spłonął, a on sam doznał bardzo ciężkich poparzeń głowy. Teraz jest już zupełnie zdrow. Poparzenia zostały wyleczone, ale...

Ella ponownie zamilkła, lecz Debora sięgnęła przed siebie, znalazła jej rękę i zacisnęła na niej palce.

– Ale co? Mów, Ella, mów!

– Dawid przestał być najprzystojniejszym mężczyzną, jakiego kiedykolwiek widziałam.

– Nie rozumiem.

– Nie jest już pełen życia i energii, jak dawniej, a poza tym... każdej kobiecie, która zobaczyłaby go teraz, byłoby trudno znieść sam jego widok, a już zupełnie wykluczone, żeby mogła go pokochać.

Debora słuchała uważnie, z napiętą i skupioną twarzą.

– On doskonale zdaje sobie sprawę z tego, jak teraz wygląda. Wydaje mi się, że rozmyśla nad znalezieniem jakiegoś miejsca, gdzie mógłby się ukryć. Mówi, że chciałby latać, tak jakby widział w tym jakąś formę ucieczki. Wie, że okropna maska, w jaką zamieniła się jego twarz, skazuje go na samotność.

Oczy Debory zamglily się, a Ella ciągnęła dalej, już bardziej miękko głosem.

– Jest jednak ktoś, kto nigdy nie ujrzy tej maski... – Ella przyciągnęła Debora jeszcze bliżej do siebie. – ...ktoś, kto zna go tylko takim, jakim był kiedyś.

Palce Debory zacisnęły się mocniej na ręce Elli i na twarzy dziewczyny pojawił się uśmiech – odbłask czegoś, co zdawało się promieniować gdzieś z głębin jej duszy.

– On potrzebuje ciebie, Deboro – powiedziała Ella prawie szeptem. – Jesteś wszystkim, co mu pozostało. Czy zmienisz teraz swoją decyzję?

– Przyrowadź go do mnie, Ella. Przyrowadź go jak najprędzej.

Dawid wspinał się długim ciągiem stopni wiodących na taras domostwa Elli. Dzień był upalny, toteż ubrany był lekko – miał na sobie cienkie, jedwabne spodnie, koszulkę z krótkimi rękawami i głębokim wycięciem na piersiach, a na nogach rzemieńne sandały. Biel rąk i skóry na piersiach kontrastowała z ciemnym owłosieniem, widocznym w wycięciu koszulki. Głowę okrywał mu słomkowy kapelusz o szerokim rondzie, chroniący łysą czaszkę przed ostrymi promieniami słońca i ocieniający twarz.

Przystanął na chwilę, czując, że zalewa go pot i chwyta zadyszka. Gdy wreszcie na trzęsących się nogach dotarł do tarasu, odczuwał pogardę dla swego własnego, zwiotczałego ciała. Taras był pusty, skierował się więc ku przymkniętym drzwiom

wejściowym i wszedł do mrocznego wnętrza.

Widok Elli Kadesz na samarkandzkim dywanie, w samym środku dużego pomieszczenia, był zaiste niezwykły. Ubrana była w skąpy kostium bikini, przyozdobiony pasowymi różami, który niemal bez reszty nikał wśród fałd jej zwalistego ciała. Siedziała w jednej z klasycznych pozycji jogi, zwanej padmasana, czyli lotosu, z grubymi nogami skręconymi i splecionymi jak dwa walczące pytony. Ręce o złożonych dłoniach trzymała przed sobą na wysokości podbródka, a oczy miała zamknięte w medytacyjnym skupieniu. Jej płomienna peruka tym razem uformowana była w czworoboczną wieżę, na kształt peruk, jakie noszą sędziowie.

Dawid stanął jak wryty i zanim jeszcze odzyskał na dobre oddech, zaczął się śmiać. Z początku był to cichy chichot, który jednak zaczął narastać gwałtownie, by po chwili przejść w szczery, głośny śmiech, którego kolejne wybuchy targały jego wiotkim ciałem i nadwerężały mu płuca. Nie był to śmiech wesoły, lecz śmiech oczyszczający, usuwający z jego psychiki nawarstwione osady cierpienia, śmiech będący wyrazem ponownej akceptacji życia, podjęcia wyzwania, jakie to życie stanowi.

Ella musiała tak właśnie odebrać ów śmiech, ponieważ nie poruszyła się, tkwiąc w dalszym ciągu na dywanie niby monstrualny, ale zabawny Budda; otworzyła zaledwie jedno ze swych małych oczek, co nadało jej jeszcze bardziej komiczny wygląd. Dawid zatoczył się od drzwi i opadł w jeden z foteli.

– Twoja dusza jest niby jałowa pustynia, Dawidzie Morgan – stwierdziła uroczyście Ella. – Jesteś pozbawiony wrażliwości na piękno, wszystko, co wdzięczne dla oka, jest dla ciebie kupą gnoju, która...

Nie skończyła, ponieważ w tym momencie sama zaczęła chichotać. Posagowość jej pozy znikła nagle – siedzący lotos pochylił się, zwiotczał i wielka bryła ciała zaczęła trząść się rytmicznie, wtórując Dawidowi.

– Zdrętwiałam – wykrztusiła w końcu Ella. – Pomóż mi, niedojdo!

Dawid zbliżył się do niej, przykląkł i z całej siły zaczął ciągnąć jej splecione nogi, usiłując je rozewrzeć. Wśród cichych trzasków w stawach rozłączyły się wreszcie i Ella przewróciła się do przodu, twarzą na dywan, śmiejąc się i jęcząc zarazem.

– Wynoś się teraz stąd – sapnęła. – Zostaw mnie, bym mogła umrzeć tak w spokoju. Idź do tej swojej kobiety. Znajdziesz ją tam dalej, na przystani.

Widziała, jak poderwał się i ruszył ku drzwiom. Gdy znikł za nimi, z trudem pozbierała się z podłogi, zrobiła parę kroków i stanęła w progu. Uśmiech znikł z jej twarzy i szepnęła na głos:

– Moje biedne, okaleczone kocięta... Nie wiem, czy robiąc to dla was postąpiłam słusznie...

Cień zwątpienia pojawił się na jej twarzy, lecz zaraz zniknął.

– No cóż, Kadesz, stara torbo, już za późno, by się nad tym zastanawiać. Powinnaś była przemyśleć to wcześniej.

Barwny ręcznik i płaszcz kąpielowy leżały rozpostarte na nabrzeżu, a ze stojącego obok nich, nastawionego głośno tranzystorowego radia rozbrzmiewały ostre, rytmiczne dźwięki rock and rolla. Daleko od brzegu Debora płynęła spokojnym, równym kraulem. Jej opalone ręce połyskiwały w słońcu przy każdym zamachu, a na powierzchni wody pozostawał ślad piany po uderzeniach stóp.

Debora zatrzymała się i przyjęła pionową pozycję, utrzymując głowę ponad wodą. Dawid widział jej biały pływacki czepek i mógł zorientować się, że Debora nasłuchuje, z której strony słychać muzykę, po chwili zaczęła bowiem znów płynąć, kierując się prosto ku przystani.

Wyszła z wody, ściągnęła czepek i potrząsnęła głową, rozpuszczając swobodnie włosy. Jej ciało zbrązowiłe od słońca, skrzyło się kropelkami wody, mocne mięśnie rysowały się łagodnie pod skórą, a kroki, które stawiała zmierzając po kamiennych stopniach do miejsca, gdzie leżały jej rzeczy, były zdecydowane i pewne. Przyciszyła radio i podniosła ręcznik.

Dawid stał opodal, gdy wycierała się, i przyglądał się zachłannie, pożerał ją dosłownie oczami, jak gdyby pragnąc nasycić się do pełna jej widokiem po tak długim okresie rozłąki. Tylekroć przywoływał sobie ten obraz, zdawałoby się tak wyraźny i szczegółowy, a teraz widział, jak bardzo był on uproszczony. Jej włosy były miększe i gęstsze, niż je zapamiętał. Jej skóra we wspomnieniu nie była też tak elastyczna i aksamitna; teraz zaś dodatkowo była ciemniejsza niż niegdyś, miała niemalże barwę jej oczu – musiała widocznie spędzać codziennie po parę godzin na słońcu.

Debora skończyła się wycierać, odrzuciła ręcznik i bez skrupowania, nieświadoma czyjejś obecności, postanowiła uporać się z uwierającą ją widocznie górą od kostiumu, bo odchyliła ją, ujęła w dłoń jedną z piersi i osadziła ją wygodniej w zagłębieniu cienkiego materiału. Fala pożądania wypełniła pierś Dawida, wzbierając tak gwałtownie, że poczuł, iż za chwilę oszaleje. Poruszył się odrobinę i żwir zachrzęścił cicho pod jego sandałem.

Śliczna głowa Debory zwróciła się natychmiast w jego stronę i zamarła w pozie nasłuchiwania. Jej oczy były szeroko otwarte, bystre i pełne wyrazu, zdawały się spoglądać uważnie na coś tuż obok i za nim, tak iż Dawid poczuł przemożną chęć, by odwrócić się i podążyć za jej wzrokiem.

– Dawid? – spytała cicho. – Czy to ty, Dawidzie?

Chciał jej odpowiedzieć, lecz struny głosowe odmówiły mu posłuszeństwa i dźwięk, który wydał, przypominał raczej czknięcie. Pobiegła ku niemu, gibka i długonoga, z rozwartymi ramionami i twarzą promieniejącą radością.

Pochwyił ją i objął, a ona przywarła doń łączywie, nieomal wściekle, tak jakby nagle udało się jej zerwać łańcuch, który dotąd bezlitośnie ją krępował.

– Tęskniłam za tobą, Dawidzie... – jej głos drżał namiętnością. – O Boże, jak strasznie mi cię brakowało! – westchnęła i przywarła ustami do wąskiej szczeliny w tym, co było teraz jego twarzą.

Była pierwszą i jedyną osobą, która odniosła się do niego bez rezerwy, bez współczucia bądź awersji, od wielu, wielu miesięcy, i Dawid poczuł, że serce nabrzmiewa mu radością i czułością, a jego uścisk stał się tak samo mocny i zachłanny jak jej.

Stopniowo Debora rozluźniała swój kurczowy chwyt, odginając się coraz bardziej do tyłu, by tym mocniej przycisnąć się doń brzuchem i biodrami, wychodząc wyzywająco naprzeciw jego podnieceniu, zadowolona i dumna z tego, iż to ona jest jego przyczyną. Szybkimi, delikatnymi muśnięciami palców zaczęła przebiegać po jego twarzy, starając się wyczuć jej nowe kontury, nie znany jej dotąd układ rysów.

Poczuła, że Dawid usiłuje umykać przed jej dłońmi, uwolnić się i odsunąć, ale powstrzymała go i uparcie kontynuowała badanie.

– Moje palce mówią mi, że jesteś nadal piękny...

– Twoje palce oszukują cię – wyszeptał, lecz ona zignorowała jego słowa i wparła się weń jeszcze mocniej biodrami.

– A poza tym odbieram jeszcze inny mocny sygnał z obszaru położonego głęboko na południu... – zaśmiała się krótko, jakby bez tchu. – Zapraszam do mnie. Na pewno nie będzie pan rozczarowany...

Trzymając go za rękę i prowadząc za sobą, szła lekko i pewnie po schodach. Jej pewność siebie i sprawność wprawiały Dawida w podziw. Wprowadziła go do chaty i podczas gdy stał, rozglądając się wokół i chłonąc każdy szczegół wnętrza, zatrzasnęła drzwi i zamknęła je od wewnątrz na skobel. Wnętrze, które wypełnił natychmiast mrok i przyjemny chłód, stało się intymne i przytulne.

Była wciąż jeszcze wilgotna i zimna od kąpieli, lecz jej usta były gorące, gdy sunęły po jego skórze. Dwa piękne, młode ciała splatały się ze sobą gwałtownie i pożądliwie, jak gdyby każde z nich starało się stopić z drugim, wyczuwając w nim smak raju, we wzajemnych objęciach nóg i ramion szukając i znajdując wyzwolenie od bolesnej samotności i otchłani wiecznego mroku.

Sam akt zbliżenia fizycznego, obojętnie jak często powtarzany, nie był w stanie

zaspokoić ich potrzeb i wzajemnego niedosytu. W przerwach tulili się do siebie, we śnie szukali się na oślep, kiedy na skutek bezwiednych poruszeń rozdzielili się choćby na chwilę. Rozmawiali, trzymając się za ręce – Debora od czasu do czasu wyciągała dłoń, by dotknąć jego twarzy, a on wpatrywał się wciąż w jej ciemnozłociste oczy. Nawet kiedy ona przygotowywała jakiś prosty posiłek, on stał tuż za nią lub obok niej, tak że mogła zrobić ćwierć kroku, by poczuć go przy sobie. Cały czas zachowywali się tak, jak gdyby odczuwali paniczny lęk, iż znowu mogą zostać rozdzieleni.

Minęły dwa dni, zanim po raz pierwszy opuścili chatę i poszli spacerem wzdłuż brzegu. Ale i wtedy nie było to jeszcze wyjście w świat. Kiedy Ella dostrzegła ich ze swego tarasu i pomachała im ręką, Dawid spytał:

– Wstąpimy do niej na górę?

– Nie – odpowiedziała bez chwili namysłu Debora. – Jeszcze nie. Nie jestem jeszcze przygotowana do tego, by dzielić się tobą z kimkolwiek. Proszę cię, niech to trwa tak jeszcze troszeczkę, Dawidzie.

Tak więc minęły jeszcze kolejne trzy dni, zanim stanęli u szczytu ścieżki wiodącej na taras. Ella podjęła ich jednym ze swych wystawnych i niezwykle obfitych obiadów, nie zaprosiła jednak tego dnia innych gości, za co Dawid i Debora byli jej wdzięczni.

– Obawiałam się, że będę musiała wysłać sanitariuszy z noszami, żeby cię wnieśli tu, na górę, Dawidzie – powiedziała Ella na powitanie i zachichotała lubieżnie.

– Nie bądź wulgarna, Ella – syknęła Debora, zarazem jednak policzki zakwitły jej szkarłatnym rumieńcem, który u Elli wywołał wybuch śmiechu, tak zaraźliwego, że po chwili śmiali się wszyscy razem.

Siedzieli pod palmowymi drzewami, popijali wino z glinianych kubków i jedli, śmiejąc się i rozprawiając na wszelkie możliwe tematy, przy czym Debora i Dawid byli tak wpatrzeni w siebie, że nie mogli dostrzec skrzątnie maskowanego przez Ellę uczucia zachwyty.

W ciągu tych paru dni Debora uległa dramatycznej przemianie – jej rezerwa i chłód ulotniły się, zbroja, w którą zakuła swe uczucia, została nagle i w całości odrzucona. Była pełna życia i energii, promieniowała miłością. Siedziała blisko przy Dawidzie, śmiejąc się z jego żartów, wychylając się raz po raz, by go dotknąć lub pogłaskać, jak gdyby chciała upewnić się o jego obecności.

Ella spojrzała na Dawida, starając się uśmiechnąć doń w sposób całkowicie naturalny, co jej się zapewne udało, jednak nie była w stanie stłumić ogarniającego ją poczucia odrazy przemieszanej ze współczuciem, jaką budził w niej widok jego potwornej twarzy. Była pewna, że choćby oglądała go dzień w dzień przez dwadzieścia lat, jego wygląd pozostałby dla niej odpychający.

Debora zaśmiała się znowu z czegoś, co powiedział Dawid, i wychyliła się, zwracając ku niemu twarz i układając usta do pocałunku.

– To okropne, mówić coś takiego! Uważam, że należą mi się przeprosiny! -zaświergotała naburmuszona i przymknęła błogo oczy, gdy monstrualna głowa pochyliła się nad nią, a wąska szpara ust dotknęła jej warg.

Widok ślicznej, opalonej twarzy całującej okropną maskę budził spontaniczny odruch sprzeciwu, lecz był zarazem przedziwnie rozczulający.

Należało to zrobić. Po raz pierwszy uczyniłam, coś, co powinnam była uczynić – pomyślała Ella, spoglądając na nich i czując niewyraźne ukłucie zazdrości. Tych dwoje było związanych ze sobą całkowicie i bez reszty. Byli mocni – indywidualne kalectwo każdego dawało siłę obojgu. Przedtem był to obustronny fizyczny pociąg, iskra skrzęsana przez dwie spotykające się ze sobą dusze; teraz natomiast było to coś znacznie, znacznie więcej.

Ella przebiegała pamięcią wstecz długą listę swoich kochanków, której odległy początek osnuwała mgła zapomnienia, szereg wyblakłych wspomnień, teraz bez jakiegokolwiek znaczenia. Gdybyż pozostało cokolwiek, co łączyłoby ją z którymś z nich, gdyby została z czymś choć nieco tylko cenniejszym niż jakieś na pół zapomniane, oderwane słowa, blade wspomnienia krótkich chwil zmysłowej rozkoszy i potajemne flirty... Westchnęła, co sprawiło, że Dawid i Debora spojrzeli na nią pytająco.

– To zabrzmiało smutno, Ella, kochanie – powiedziała Debora. – Jesteśmy samolubni, wybacz nam, proszę.

– Nie, to nic smutnego, moje dzieci – zaprzeczyła gorąco Ella, starając się wymazać z pamięci stare widziadła. – Cieszę się wami. Macie coś cudownego, mocnego, świetlistego i wspaniałego. Chrońcie to, tak jak gdyby chodziło o samo wasze życie.

Uniosła kubek z winem.

– Piję na waszą cześć. Niech to będzie toast na twoją cześć, Dawidzie, na twoją, Deboro i na cześć miłości, którą cierpienie czyni niezwykłą.

Wszyscy troje spowaźniali, siedząc w złocistożółtych promieniach słońca i popijając jednocześnie złocistożółte wino. Po chwili jednak powrócił radosny nastrój i byli znów pogodni i weseli.

Gdy pierwsze, rozpaczliwe pragnienia ich ciał znalazły zaspokojenie, kiedy byli już tak blisko siebie, jak tylko mogą być dwie odrębne istoty, wtedy zaczęli zespalać się duchem. Nigdy przedtem nie rozmawiali ze sobą w prawdziwym tego słowa znaczeniu; nawet kiedy mieszkali wspólnie na ulicy Melchizedeka, porozumiewali się jedynie powierzchownymi, wytartymi zwrotami.

Teraz zaczęli uczyć się prawdziwej sztuki rozmowy. W ciągu niejednej nieprzespanej nocy spędzali mijające chyżo godziny na pogłębianiu znajomości swych ciał i umysłów, i stwierdzali z radością, że odkryciom nie będzie nigdy końca, jako że horyzonty ich myśli nie miały kresu.

Za dnia niewidoma dziewczyna uczyła Dawida patrzeć i widzieć. Ze zdumieniem przekonał się, że nigdy dotąd nie korzystał ze swych oczu w całej pełni; teraz zaś, kiedy musiał patrzeć za nich oboje, stanął przed zadaniem nauczenia się na nowo poznawania otaczającego go świata. Musiał nauczyć się opisywać barwy i kształty, a także ruch, niezmiernie precyzyjnie i plastycznie, ponieważ zapotrzebowanie Debory nie miało pod tym względem granic.

W zamian za to on, którego zadufanie zostało starte w proch na skutek oszpecenia, uczył Debora pewności siebie. Gdy osiągnął już umiejętność wychodzenia jej naprzeciw i realizowania jej potrzeb z wyprzedzeniem, Debora zaczęła go darzyć bezwarunkowym zaufaniem. Nauczyła się kroczyć śmiało obok niego, wiedząc, że on zawsze pokieruje nią lub ostrzeże w porę dotknięciem lub słowem. Jej świat skurczył się do niewielkiego obszaru wokół chaty i skrawka przystani, gdzie potrafiła poruszać się z poczuciem bezpieczeństwa. Teraz, z Dawidem u boku, granice te znikły i mogła swobodnie iść wszędzie, gdzie tylko chciała.

Mimo to z początku poruszali się bardzo ostrożnie. Chodzili na spacery brzegiem jeziora albo wspinali się na wzgórza oddzielające ich od Nazaretu, poza tym każdego dnia pływali w zielonkawych wodach jeziora, a nocami kochali się w zasłoniętej kotarą małej alkwie.

Dawid odzyskał dawną sprawność fizyczną, a jego biała skóra zbrązowiła od słońca i wydawało się, że oboje osiągnęli pełnię harmonii i szczęścia, albowiem gdy Ella spytała Debora, kiedy zamierza przystąpić do pracy nad nową książką, ta odpowiedziała, śmiejąc się:

– Kiedyś, w ciągu najbliższych stu lat.

Mniej więcej tydzień później z kolei Debora zapytała Dawida:

– Czy postanowiłeś już, co będziesz robił dalej?

– Dokładnie to, co robię teraz – odparł, a ona zareagowała natychmiast i z wielkim zapalem:

– Tak, właśnie tak! Niech tak zostanie już na zawsze.

Potem, nie zastanawiając się ani nie dyskutując na ten temat, w sposób niejako naturalny wyruszyli tam, gdzie musieli spotkać ludzi, wielu ludzi.

Dawid wynajął szybką motorówkę, wziął listę zakupów od Elli i wraz z Debora popłynęli wzdłuż wybrzeża do Tyberiady, zostawiając za sobą białą smugę piany. Ich

twarze były wilgotne od kropel wody rozbijanej dziobem łodzi.

Wpłynęli do małej przystani żeglarskiej przy plaży Lido, przycumowali i ruszyli pod górę, do miasta. Dawid był tak zaabsorbowany Deborą, że masa ludzi wokół była dlań czymś nierzeczywistym, i choć zarejestrował parę szczególnych spojrzeń, nie zrobiły one na nim żadnego wrażenia.

Pomimo, że sezon turystyczny dopiero się rozpoczynał, wszędzie pełno było zwiedzających; cały plac u stóp wzgórza zapelniony był autokarami, które parkowały również wzdłuż nabrzeża, miasto leżało bowiem na jednym z głównych turystycznych szlaków.

Dawid dźwigał dużą plastikową torbę, która stopniowo pęczniała, aż zaczęła grozić rozerwaniem.

– Jeszcze chleb i to już będzie wszystko – powiedziała Debora.

Potem zeszli ze wzgórza w dół, w cień drzew eukaliptusowych i znaleźli wolny stolik pod parasolem słonecznym w kawiarence na wysokim nabrzeżu otaczającym przystań.

Siedzieli tak blisko siebie, że niemal przytuleni, pili piwo i pogryzali orzeszki pistacjowe, niewrażliwi na wszystko wokół, pomimo że przy pobliskich stolikach było tłoczno od turystów. Jezioro skrzyło się w słońcu i nieco obłe zarysy Wzgórz Golan wydawały się bardzo bliskie w jaskrawym blasku. W pewnym momencie para Fantomów ukazała się na niebie i wzięła kurs na południe, nad dolinę Jordanu, lecąc nisko, widocznie w jakiejś tajemniczej misji, lecz Dawid spoglądał za nimi bez żalu.

Kiedy słoneczna kula osunęła się nisko nad linię horyzontu, poszli do miejsca, gdzie stała przycumowana łódź. Dawid wskoczył do środka i podał ręce Deborze. Na kamiennym obmurowaniu ponad nimi siedziała grupa turystów, prawdopodobnie uczestników którejś z autokarowych pielgrzymek, śmiejących się i głośno rozmawiających. Dawid rozróżniał w ich głosach rozmaite lokalne akcenty – Limehouse, Golders Green, Merseyside – choć umykały mu już subtelne różnice w samej wymowie.

Zapalił silnik, odepchnął łódź od muru i skierował jej dziób ku wyjściu z przystani. Usiadł obok Debory i zaczęli odpływać. Silnik pracował równo, jeszcze na małych obrotach.

Jeden z turystów na nabrzeżu, zwałisty i o czerwonej twarzy, spojrział w dół i sądząc widocznie, że warkot motoru zagłuszy jego słowa, trącił żonę i powiedział:

- Popatrz na tych dwoje, Mavis. Piękna i bestia, wypisz wymaluj!
- Cicho, Bert. Może oni rozumieją.
- Gdzie tam. Oni mówią tylko jidysz czy tam po hebrajsku.

Debora poczuła, jak ręka Dawida, za którą go trzymała, tężeje, a on sam zaczyna się od niej odsuwać, wyczuła wzbierającą w nim wściekłość. Chwyciła go mocniej za ramię

i powstrzymała.

– Odpłynęmy stąd, kochany. Zostaw ich, proszę.

Ale nawet gdy już znaleźli się z powrotem w bezpiecznych ścianach chaty, Dawid pozostał milczący i mogła wyczuć napięcie w jego ciele, które zdawało się zeń emanować, wszechobecne.

Wciąż w milczeniu zjedli kolację składającą się z chleba, sera, ryby i fig. Debora nie wiedziała, co mogłaby powiedzieć, by uwolnić go od stresu, tym bardziej, że bezmyślne słowa turysty ją także zraniły głęboko. Później, w łóżku, zwinięta obok niego, długo nie mogła zasnąć. On zaś leżał na wznak, nie dotykając jej, z rękami wyciągniętymi na kołdrze i dłońmi zaciśniętymi w pięści. Kiedy nie mogła wytrzymać już dłużej tej ciszy i napięcia, odwróciła się doń i pogłaskała go po twarzy, wciąż jednak nie wiedziała, co powiedzieć. Dawid pierwszy przerwał wreszcie milczenie.

– Chcę odsunąć się daleko od ludzi. Nie potrzebujemy ich, prawda?

– Nie – wyszeptła. – Nie potrzebujemy ich wcale.

– Jest takie miejsce, które nazywa się Dżabulani. Leży w głębi afrykańskiego buszu, daleko od najbliższego miasta.

Przed laty mój dziadek kupił tam farmę łowiecką i teraz należy ona do mnie.

– Opowiedz mi, jak tam jest – poprosiła Debora, kładąc głowę na jego piersi, a on zaczął głaskać ją po włosach, wyraźnie odprężając się w miarę opowiadania.

– Jest tam rozległa równina, porośnięta tu i ówdzie drzewami zwanymi mopani i mohobahoba. Zdarzają się też baobaby i palmy kokosowe. Na otwartych przestrzeniach trawa jest złocistożółta, a liście palm ilala wyglądają jak palce żebraka. Za równiną widać pasmo wzgórz; z odległości są one niebieskawe i przypominają mur obronny jakiejś potężnej twierdzy, wzniesiony z granitowych bloków. Między tymi wzgórzami wytryska źródło, które nigdy nie wysycha i którego woda jest niezwykle czysta i słodka...

– A co znaczy sama nazwa „Dżabulani”?

– Dżabulani oznacza miejsce radości i pogody.

– Chcę zamieszkać tam razem z tobą.

– A co z Izraelem? Nie będzie ci go brakowało?

– Nie – odrzekła Debora, potrząsając głową. – Widzisz, ja go zabiorę ze sobą. Będzie w moim sercu.

Ella zabrała się razem z nimi do Jerozolimy, wypełniając oba tylne siedzenia w mercedesie. Miała służyć Deborze radą przy selekcyonowaniu mebli i sprzętów, które zabraliby ze sobą, i dopomóc jej w ich wysyłce statkiem. Wszystko, co pozostanie, miała sprzedać. Z kolei Aaron Cohen miał zająć się sprzedażą domu, aczkolwiek zarówno Dawid, jak i Debora odczuwali chłodny powiew smutku na myśl o tym, że w ich domu

będą mieszkać inni, obcy ludzie.

Dawid zostawił obie kobiety na ulicy Melchizedeka, a sam wsiadł znów w samochód i pojechał do Ain Karem. Zaparkował w alejce, koło żelaznej bramy.

Bryg czekał na niego w swym nieprzytulnym, skąpo umeblowanym pokoju na piętrze. Gdy Dawid pozdrowił go od drzwi, spojrzał nań zimnym wzrokiem, a na jego surowej twarzy nie pojawił się ani cień sympatii, najmniejszy przebłysk współczucia czy żalu.

– Przychodzisz do mnie z krwią mego syna na rękach – rzekł, a Dawid zeszywniał na te słowa, lecz wytrzymał jego spojrzenie. Upłynęło parę sekund i Bryg wskazał mu krzesło z wysokim oparciem, stojące daleko pod ścianą. Dawid przemierzył sztywnym krokiem dzielącą go odeń przestrzeń i usiadł.

– Gdybyś był mniej cierpiał, pociągnąłbym cię do odpowiedzialności – powiedział Bryg. – Lecz nienawiść i mściwość to uczucia tyleż zabójcze, co bezsensowne, jak sam się o tym przekonałeś.

Dawid spuścił wzrok.

– Nie będę kierował się nimi, nie zważając na głos mego serca, ponieważ byłoby to właśnie tym, co potępiam w tobie. Jesteś człowiekiem młodym i gwałtownym, a gwałt jest uciechą głupców i tylko ostatecznym sposobem działania dla mądrych. Jedynym jego usprawiedliwieniem jest obrona tego, co prawowicie należy do ciebie. We wszystkich innych przypadkach uciekanie się do gwałtu i przemocy jest karygodnym nadużyciem. Ty nadużyłeś władzy, której ci udzieliłem; nadużywając jej zabiłeś mego syna i popchnąłeś cały kraj na samą krawędź wojny.

Bryg wstał od biurka, podszedł do okna i patrzył w ogród. Obaj mężczyźni milczeli, gdy Bryg stał tak, głaszcząc węża i wspominając syna.. Po dłuższej chwili westchnął ciężko i odwrócił się.

– Po co przychodzisz do mnie? – zapytał.

– Chcę ożenić się z pańską córką.

– Prosisz mnie o jej rękę, czy po prostu informujesz mnie o tym? – spytał Bryg i nie czekając na odpowiedź podszedł z powrotem do biurka i usiadł. – Jeśli tym razem również dopuścisz się nadużycia, jeżeli w jakikolwiek sposób przysporzysz jej cierpienia, uczynisz ją nieszczęśliwą, znajdę cię. Bądź tego pewny.

Dawid wstał i włożył sukienną czapkę na łysą głowę, ściągając daszek nisko na czoło.

– Pragnęlibyśmy, żeby był pan na ślubie. Deborze szczególnie zależy na obecności pana i matki.

Bryg skinął głową.

– Możesz jej powiedzieć, że przyjdziemy.

Synagoga przy Uniwersytecie Jerozolimskim jest to olśniewająco biała konstrukcja w kształcie namiotu, jaki koczownik rozbija na pustyni.

Drzewa o czerwonych pączkach stały w pełnym rozkwicie, a gromada gości weselnych była liczniejsza, niż zakładano, ponieważ oprócz najbliższej rodziny zjawili się koledzy Debory z uniwersytetu, ze strony Dawida Robert i kilku innych pilotów z dywizjonu, a poza tym Ella Kadesz, doktor Edelman – chirurg oczny o dziecięcej twarzy, który zajmował się Deborą po zamachu – oraz Aaron Cohen i jeszcze z tuzin innych osób.

Po prostej ceremonii zaślubin wszyscy przeszli spacerem przez teren uniwersytetu do wynajętego przez, Dawida jednego z pomieszczeń restauracyjnych w tamtejszym hotelu. Biesiada nie była huczna, niewiele było śmiechu i dowcipów. Młodzi piloci z dawnego dywizjonu Dawida musieli wcześniej wracać do bazy i wraz z nimi znikł wątył nastrój pogody i wesołości.

Matka Debory wciąż jeszcze nie doszła do siebie po kolejnych ciosach, a teraz perspektywa trwałej rozłąki z córką sprawiła, że swą obecność zaznaczała jedynie posiwiąłymi włosami i cichym szlochem. Debora bezskutecznie starała się ją pocieszyć.

Zbierając się do wyjścia, doktor Edelman odciągnął Dawida na stronę.

– Proszę zwracać szczególną uwagę na to, czy w jej oczach nie pojawiają się jakiegokolwiek oznaki atrofii; zamglenie, zaczerwienienie, a także ból w oczodołach czy w ogóle bóle głowy...

– Będę pilnie obserwował.

– Jeżeli pojawi się cokolwiek, choćby to wydawało się nawet błahe, proszę natychmiast poinformować mnie o tym listownie.

– Dziękuję panu, doktorze.

Uścisnęli sobie ręce.

– Życzę wam szczęścia w waszym nowym życiu – powiedział Edelman.

Przez cały czas Debora mężnie walczyła ze wzruszeniem, lecz w końcu nawet ona załamała się i przy przejściu do sali dla oczekujących na odlot na lotnisku w Lod trzy kobiety – Debora, jej matka oraz Ella Kadesz – wybuchnęły jednocześnie płaczem, obejmując się nawzajem i zalewając łzami.

Bryg i Dawid stali z boku, sztywni i zażenowani, starając się wyglądać tak, jak gdyby nie mieli nic wspólnego z trójką szlochających kobiet, aż pierwszy dzwonek dał im pretekst do krótkiego potrząśnięcia sobie dłoni, po czym Dawid ujął Deborę pod rękę i delikatnie, ale stanowczo pociągnął ją za sobą.

Wspięli się po dostawionych stopniach do pasażerskiego Boeinga, nie oglądając się ani razu za siebie. Olbrzymia maszyna wystartowała i wzięła kurs na południe. Wrażenie lotu, jak zawsze, wpłynęło kojąco na Dawida – wszystkie troski i bolesne doznania z ostatnich kilku dni pozostały tam, w dole, na ziemi. Czuł w sobie nową lekkość i świeżość, a także podniecenie tym, co mieli przed sobą.

Sięgnął w bok i uściskał ramię Debory.

– Ejże tam, pani Morgan! – powiedział, a ona odwróciła doń szczęśliwą twarz i uśmiechnęła się ślepym uśmiechem.

Okoliczności zmusiły ich do zatrzymania się jeszcze na pewien czas w Cape Town, przed udaniem się do Dżabulani, mającego być ich ucieczką i schronieniem.

Dawid wynajął apartament w hotelu Mount Nelson, przemieniając go w biuro, i przystąpił do załatwiania spraw, które nagromadziły się podczas jego nieobecności.

Pełnomocnicy zarządzający składnikami jego majątku zabrali mu dziesięć dni, które musiał spędzić na rozmowach i wertowaniu dokumentów powierniczych oraz rozliczeń.

Przez ostatnie dwa lata dochody Dawida znacznie przewyższyły jego wydatki i owe wolne kwoty należało jakoś zainwestować. Do tego wkrótce miał otrzymać trzeci pakiet udziałów w konsorcjum Morgana, co wymagało dopełnienia pewnych formalności.

Debora była pod wrażeniem jego bogactwa.

– Jesteś już chyba prawdziwym milionerem – stwierdziła głosem, w którym pobrzmiwał zarazem lęk i podziw; posiadanie milionowej fortuny było dla niej szczytem bogactwa możliwego do wyobrażenia.

– Przestałem być przystojniakiem, ale zostałem przynajmniej facetem z forszą – zgodził się Dawid i poczuł ulgę stwierdziwszy, że jest w stanie tak swobodnie mówić o swoim kalectwie.

Mitzi i jej mąż złożyli im wizytę, ale nie był to udany wieczór. Chociaż Mitzi starała się zachowywać tak, jakby nic się nie zmieniło, nie dawało się ukryć, że jej nastawienie doń zmieniło się w nie mniejszym stopniu niż ona sama.

Roztyła się jeszcze bardziej, a do tego była w zaawansowanej ciąży, co w sumie czyniło ją nieforemną w stopniu wprost nieprawdopodobnym. Dopiero gdzieś w połowie spotkania Dawid zorientował się, co naprawdę powodowało, że atmosfera jest sztuczna i obciążona dającą się wyczuć rezerwą. Z początku sądził, że to jego odmieniony wygląd peszy ich oboje, lecz potem Mitzi wygłosiła półgodzinny pean wychwalający osiągnięcia Cecila w jego pracy, kładąc nacisk na olbrzymie zaufanie, jakim darzył go Paul Morgan, Cecil zapytał go jakby mimochodem:

– Nie myślisz o przyjeździe do nas? Jestem pewien, że znaleźlibyśmy dla ciebie jakieś pożyteczne zajęcie.

Dawid odpowiedział łagodnie i uspokajająco:

– Nie, dziękuję. Nie musisz niepokoić się mną, Cecil, mój stary. Przejmiesz cały interes od wuja Paula z moim osobistym błogosławieństwem.

– O Boże, nie to miałem na myśli!

Cecil był zaskoczony i wyraźnie zakłopotany, ale Mitzi potrafiła zdobyć się na większą szczerłość.

– On naprawdę świetnie poprowadzi te sprawy, a ty przecież nigdy nie byłeś tym zainteresowany.

Po tym wieczorze mieli nie zobaczyć już więcej tej pary. Paul Morgan był w Europie, dzięki czemu Dawid wypełnił swe rodzinne zobowiązania bez zgrzytów i stresów i mógł zająć się przygotowaniami do podróży.

Barney Venter towarzyszył im przez tydzień, dopomagając w wyborze odpowiedniej awionetki, która byłaby w stanie sprostać warunkom istniejącym w afrykańskim buszu, a do tego mogła jeszcze dostarczyć Dawidowi zadowolenia z latania. Wreszcie zdecydowali się na Pipera Navajo, mogącego zabrać sześć osób, z dwoma potężnymi, trzystukonnymi motorami i trójkołowym podwoziem. Barney okrążył maszynę, przyglądając się jej, z rękami na biodrach.

– No cóż, na pewno nie jest to Mirage – mruknął, trącił czubkiem buta przednie koło, zreflektował się szybko i spojrzał na Dawida.

– Mam dość latania na Mirage'ach – stwierdził Dawid. – One kają!

W przeddzień odlotu Dawid zawiózł Deborę na pewną farmę nie opodal Paarl. Żona gospodarza prowadziła hodowlę psów. Kiedy udali się z nią na psi wybieg, jeden z młodych labradorczyków podbiegł ni stąd, ni zowąd do Debory i przytknął zimny nos do jej łydki w skupionym rytuale obwąchiwania. Debora przykucnęła, zaczęła czochrać go po głowie, po czym pochyliła się i ona z kolei powąchała sierść szczeniaka.

– Pachnie jak stara, wysuszona skóra – powiedziała. – Jakiej jest maści?

– Jest czarny – odparł Dawid. – Czarny jak Zulus.

– Tak go więc też nazwiemy – zdecydowała. – Zulu.

– Chcesz wybrać właśnie jego?

– Nie ja – zaśmiała się. – To on wybrał sobie nas.

Kiedy następnego ranka lecieli na północ, szczeniak był wyraźnie niezadowolony z tego, że umieszczono go na tylnym fotelu – przepęłzył przez ramię Debory i stoczył się na jej podolek, gdzie ułożył się wygodnie, co zresztą i jego, i ją zdawało się znakomicie satysfakcjonować.

– Wygląda na to, że zyskałem konkurenta – stwierdził z przekąsem Dawid.

Brazowa wyżyna urywała się gwałtownie, przechodząc w typową równinę

południowoafrykańskiego buszu.

Dawid dostrzegł znaki orientacyjne – małą osadę i długą wstążkę rzeki Sabi, wijącą się wśród kęp drzew porastających równinę. Skierował maszynę nieco bardziej na północ i po niecałych dziesięciu minutach ujrzał niską linię niebieskawych wzgórz, wynurzającą się zza horyzontu.

– Widzę już wzgórza, o których ci mówiłem – powiedział do Debory, a ekscytacja w jego głosie udzieliła się jej również.

– Jak one wyglądają?

Wzgórza były porośnięte potężnymi drzewami, ponad którymi wznosiły się ich wierzchołki z szarego granitu. U podnóża stepowa roślinność tworzyła ciemny, zbity gąszcz, wśród którego połyskiwały plamy wodnych rozlewisk. Dawid starał się opisać je Deborze.

– Mój ojciec nazwał te jeziora Sznurem Pereł, bo one rzeczywiście tak wyglądają. Wzbierają od wody deszczowej spływającej ze wzgórz i równie szybko znikają, wsiąkając w piaszczysty grunt równiny – tłumaczył, krążąc nad wzgórzami i powoli zmniejszając wysokość. – To one właśnie decydują o specjalnym charakterze Dżabulani, ponieważ zaopatrują w wodę wszystko, co żyje na równinie. Ptaki i zwierzęta ściągają tu z odległości setek kilometrów.

Wyrównał lot i przymknął przepustnicę, pozwalając maszynie opaść niżej.

– A tam, przed nami jest nasz dom. Ma białe ściany i jest kryty strzechą dla zachowania chłodu w upały. Są tam duże, ocienione werandy i wysokie pokoje. Na pewno go polubisz.

Łądowisko wyglądało na płaskie i bezpieczne, choć rękaw wskazujący siłę i kierunek wiatru zwisał w brudnych strzępach ze słupa. Dawid przezornie wykonał nad nim parę okrążeń, zanim zdecydował się podejść do lądowania. Maszyna potoczyła się po gładkiej, ubitej ziemi i Dawid pokołował w kierunku niewielkiego, ceglanego hangaru, wznoszącego się pośród drzew. Zahamował i wyłączył silniki.

– Jesteśmy na miejscu – oznajmił.

Dżabulani było jedną z całej grupy dużych posiadłości ziemskich, które leżały na granicy Parku Narodowego Krugera – najbardziej niezwykłego parku tego typu na ziemi. Majątki te nie były gospodarstwami produkcyjnymi, nie wytwarzały niczego na większą skalę, ponieważ niemożliwa była tu uprawa roli, a zaledwie w nielicznych zajmowano się hodowlą. O ich olbrzymiej wartości decydowały obszary naturalnego buszu z jego ptactwem i zwierzyną. Ludzie bogaci tak cenili sobie uroki tej okolicy, iż gotowi byli płacić olbrzymie pieniądze za choćby skrawek tutejszego terenu. Kiedy dziadek Dawida

kupił Dżabulani, zapłacił po parę szylingów za akr, ponieważ wówczas były to obszary zupełnie dzikie. Później przez wiele lat posiadłość wykorzystywano w rodzinie do urządzania polowań, a ponieważ Paul Morgan nigdy nie czuł pociągu do buszu, majątek przeszedł najpierw na ojca Dawida i teraz na niego samego. Obecnie te osiemnaście tysięcy akrów afrykańskiej sawanny i buszu, będących prywatną własnością, miało wartość trudną wprost do oszacowania.

Mimo to rodzina Morganów przez ostatnich piętnaście lat mało wykorzystywała tę posiadłość. Ojciec Dawida był zapalonym myśliwym, w związku z czym większość wakacji Dawid spędzał wraz z nim właśnie tutaj. Jednak po śmierci ojca wizyty w Dżabulani stały się rzadsze i krótsze. Minęło siedem lat od czasu, gdy Dawid bawił tu po raz ostatni wraz z grupą kolegów z dywizjonu Kobra.

Wówczas posiadłością zarządzał – wzorowo zresztą – Sam, czarny nadzorca, pokojowiec i myśliwy-zwiadowca w jednej osobie. Pod jego zarządem łóżka zawsze były zasłane świeżą, nakrochmaloną pościelą, podłogi wypastowane i wyfroterowane, strzecha na domu ułożona porządnie i równo przycięta, a ściany budynków świeciły nieskazitelną bielą. Zamrażarka pełna była mięsa na befsztyki, a szafka z trunkami zatłoczona butelkami, z których Sam zawsze mógł się dokładnie rozliczyć. Prowadził on sprawnie całe gospodarstwo, mając do pomocy pół tuzina oddanych ludzi.

– Gdzie jest Sam? – to było pierwsze pytanie, jakie Dawid zadał dwóm służącym, którzy nadbiegli od domu.

– Sam odejść.

– Dokąd? – zdziwił się Dawid, lecz odpowiedzią było jedynie typowo afrykańskie wzruszenie ramion. Uniformy służących były poplamione i wymięte, a ich miny obojętne.

– Gdzie jest Land-Rover?

– On być martwy.

Doszli tymczasem do obejścia, gdzie świeża seria nieprzyjemnych niespodzianek czekała na Dawida. Zabudowania były w stanie ruiny, wyglądały żałośnie pod czapami gnijącej strzechy. Tynk opadał płatami z brudnych, zbrązowiłych ścian.

We wnętrzach wszędzie leżał grubą warstwą kurz, upstrzony odchodami ptaków i rozmaitych gadów, które zamieszkały we wnętrzu strzechy. Moskitiery, mające chronić przestronne werandy od owadów, zwisały w strzępach.

Na grzędach warzywnika pieniały się chwasty, a otaczający go płot rozpadł się ze szczerem. Chwasty porastały zresztą również podwórze. Do tego okazało się, że nie tylko Land-Rover jest martwy. Żadne urządzenie mechaniczne – pompa wodna, cysterna, generator prądu, ciągnik – nie funkcjonowało.

– To jest ruina, zupełna ruina – powiedział Dawid do Debory, gdy popijali słodką herbatę, siedząc na progu u wejścia. Na szczęście Dawid na wszelki wypadek zapakował do samolotu wszystko, co najpotrzebniejsze.

– To wielka szkoda, bo podoba mi się tutaj. Taka tu cisza i spokój. Pobyt tutaj to balsam dla nerwów.

– Niech ci nie będzie żal, bo ja tego nie żałuję. Te chaty zostały postawione w latach dwudziestych i od razu niezbyt solidnie – odrzekł Dawid, a w jego głosie pobrzmiwała pewność siebie, zapał i determinacja, których Debora nie słyszała od tak dawna. – To dobra okazja, żeby wyburzyć wszystko do końca i wybudować od nowa.

– Nasz nowy dom? Nasz własny, nowy świat?

– Tak – odrzekł Dawid mocno i radośnie. – Właśnie tak. Zbudujemy sobie tu nasz własny, nowy świat!

Następnego dnia polecili do Nelspruit, najbliższego dużego miasta. Po tygodniu wypełnionym bieganiną i obmyślaniami planów nowej zabudowy mogli zapomnieć o swoich poważnych, osobistych problemach. Wraz z architektem zaprojektowali kształt całej farmy, uwzględniający wszystkie szczególne wymagania, a więc przestronne pomieszczenie do pracy dla Debory, warsztat i pokój na gabinet dla Dawida, układ kuchni bezpieczny i ułatwiający poruszanie się po niej niewidomego kuchcika, drzwi bez progów i pokoje o regularnych, prostych kształtach, łatwych do zapamiętania, i – na koniec – część domu przeznaczoną dla dzieci. Kiedy Dawid opisywał ten właśnie fragment Deborze, zapytała go z nutą udawanej pretensji w głosie:

– Czyżbyś planował coś, o czym ja jeszcze nic nie wiem?

– Dowiesz się w swoim czasie, bądź spokojna – zapewnił ją.

Pokoje gościnne miały znajdować się w oddzielnym, specjalnie do tego celu przeznaczonym domu, wyposażonym we wszystkie potrzebne urządzenia i usytuowanym w sporej odległości od domu gospodarzy, natomiast niewielki domek dla służących miał stać o dobre czterysta metrów od niego, zasłonięty drzewami i skalistym pagórkiem, który wyrastał na tyłach obejścia.

Dawid sowingą nadpłatą nakłonił przedsiębiorcę budowlanego z Nelspruit do tego, by zaniechał wszelkich innych prac, wsadził swych robotników w cztery wielkie ciężarówki i zawiózł ich do Dżabulani.

Prace rozpoczęto od głównego budynku mieszkalnego, a w ich trakcie Dawid zajmował się układaniem nowej nawierzchni na pasie lądowiska, reperowaniem pomp wodnych i wszystkich pozostałych urządzeń nadających się jeszcze do użytku. Niestety, Land-Rover i generator prądu nadawały się już tylko na złom i tych dwóch zakupów trzeba było dokonać na nowo.

Po dwóch miesiącach nowe zabudowania były gotowe i mogli przenieść się tu już na stałe. Debora ustawiła swoje magnetofony na stole umieszczonym tuż pod dużym oknem, wychodzącym na cienisty ogród. Ciągący z niego popołudniami powiew napelniał jej pokój przyjemnym chłodem i wonią uroczynu i poinsecji.

Podczas gdy Dawid zajmował się wciąż jeszcze zapewnianiem domostwu komfortowego standardu, Debora oswajała się z otoczeniem i dostosowywała pewne rzeczy do swoich własnych potrzeb. Po paru tygodniach poruszała się już po domu ze swobodą osoby normalnie widzącej, przyuczyła też służących, by każdy ruszony element wyposażenia wewnątrz ustawiali z powrotem zawsze dokładnie w tym samym miejscu. Labradorczyk Zulu towarzyszył jej bez przerwy niby czarny, połyskliwy cień. Już na samym początku uznał, że Debora potrzebuje stałej opieki z jego strony i czuwanie nad nią uczynił zadaniem swego życia.

Szybko też zorientował się, że gapienie się na nią ani machanie ogonem na nic się nie zdadzą, że aby zwrócić jej uwagę, musi skomleć lub szczekać. Pod innymi względami jego pani wydawała się również, delikatnie mówiąc, niezbyt rozgarnięta – jedynym sposobem odwiedzenia jej od zrobienia czegoś głupiego, jak choćby przewrócenia się na schodach prowadzących do domu albo wpadnięcia na wiadro pozostawione w korytarzu przez niedbałego służącego, było popchnięcie jej barkiem lub danie kuksańca nosem.

Debora szybko narzuciła sobie taki porządek dnia, zgodnie z którym czas od rana do południa spędzała w swoim pokoju przy pracy, z Zulu drzemiącym u jej stóp.

Dawid ustawił duże koryto z wodą dla ptaków pod drzewami przed jej oknem, tak że na taśmach, które nagrywała, rozbrzmiewały w tle piski, skrzeki i trele przynajmniej tuzina rozmaitych gatunków ptaków. Wyszukała w Nelspruit maszynistkę znającą hebrajski i Dawid podrzucał jej taśmy za każdym razem, gdy leciał do miasta, aby zrobić zakupy i odebrać pocztę, a odbierał partie maszynopisu, który zabierał ze sobą do ostatecznego zredagowania.

Na tym etapie pracowali już razem – Dawid czytał na głos maszynopis i wprowadzał poprawki, których sobie życzyła.

Nabrał zwyczaju czytania na głos wszystkiego, od listów i gazet począwszy, a na książkach skończywszy.

– Braille jest zupełnie niepotrzebny, jeżeli ma się ciebie obok – stwierdziła Debora, ale pisane słowo było zaledwie częścią tego, co pragnęła od niego usłyszeć. Jej ciekawość dotyczyła każdego aspektu i szczegółu nowego otoczenia. Nigdy nie widziała żadnego z niezliczonych ptaków, przysiadających tłumnie pod jej oknem, by pić wodę i kąpać się, jednak szybko nauczyła się rozpoznawać ich charakterystyczne głosy i natychmiast wyławiała spośród nich każdy obcy zaśpiew.

– Dawidzie, tam jest jakiś nowy. Co to za jeden i jak wygląda?

I Dawid musiał opisywać jej nie tylko upierzenie przybysza, ale także jego sposób zachowania i obyczaje. Kiedy indziej musiał opowiadać, jak nowe zabudowania wkomponowują się w otoczenie, jak hasa Zulu, jak wyglądają służący, co widać za oknem i setki, setki innych obiektów i sytuacji.

Prace budowlane zostały już zakończone i wszyscy obcy odjechali, ale dopiero kiedy dotarły pakunki z Izraela, zawierające meble i rozmaite sprzęty z mieszkania przy ulicy Melchizedeka, Dżabulani naprawdę zaczęło być ich domem.

Debora ustawiła stół z drzewa oliwkowego pod oknem w swoim pokoju.

– Nie byłam dotąd w stanie naprawdę dobrze pracować. Brakowało mi czegoś – stwierdziła i przesunęła pieśczołtliwie palcami po intarsjowanym blacie. – Teraz już to mam.

Jej książki wypełniały regał stojący przy ścianie obok okna, a skórzana tapicerka foteli i kanapy bardzo dobrze komponowała się ze skórą dzikich zwierząt i wełnianymi matami na podłodze w pokoju pełniącym funkcję salonu.

Dawid zawiesił obraz Elli Kadesz nad kominkiem, dokładnie według wskazań Debory, kierując się przy tej operacji wyłącznie dotykiem.

– Jesteś pewna, że nie powinien wisieć półtora do dwóch centymetrów wyżej? – zapytał Dawid tonem najpoważniejszym w świecie.

– Przestań się wymądrzać, Morgan. Muszę dokładnie wiedzieć, gdzie wisi, i właśnie tak ma pozostać.

Potem ustawili w sypialni wielkie mosiężne łóżko i przykryli je narzutą barwy kości słoniowej. Debora usiadła na nim i podskoczyła parę razy radośnie na sprężystym materacu.

– Tak, teraz brakuje tu już tylko jednego – oświadczyła.

– A mianowicie czego? – spytał Dawid, zaciekawiony. – Czy to coś ważnego?

– Chodź tutaj – wyciągnęła rękę w kierunku, z którego dobiegał ją jego głos i pokiwała przyzywająco zagiętym palcem. – Przyjdź, a pokażę ci, jak bardzo jest to ważne.

Dopóki trwała budowa i w trakcie prac wykończeniowych Dawid i Debora nie wytykali nosa poza najbliższe otoczenie farmy, lecz teraz znikli ludzie, ucichł zgiełk i zostali sami, nie licząc służby.

– Mamy osiemnaście tysięcy akrów terenu i mnóstwo czworonożnych sąsiadów. Wybierzmy się obejrzeć to wszystko – zaproponował Dawid.

Zapakowali suchy prowiant, wsiedli do nowego Land-Rovera i we trójkę, z Zulu na

tylnym siedzeniu, wyruszyli, kierując się oczywiście najpierw do Sznura Pereł, jako do miejsca, wokół którego w naturalny sposób koncentrowało się wszelkie życie na tym obszarze.

Zostawili samochód pośród niskich drzew i poszli w dół po pochyłości ku ruinie krytej strzechą chaty na brzegu największego z jezior.

Jezioro skusiło Zulu, który wskoczył do niego natychmiast i śmiało odpłynął od brzegu. Woda była przejrzysta jak kryształ, ale jej toń ciemniała wraz z głębokością, aż do czerni na głębinach.

Dawid podłubał kijem w miękkim, torfowatym gruncie, wygrzebał grubą, różową dżdżownicę i rzucił ją na głębię. Prawie natychmiast ciemny kształt mniej więcej półmetrowej długości wychynął z mrocznej toni i bezszelestnie pomknął ku górze, powierzchnia wody zakipiała i dżdżownica znikła.

– Pięknie! – zaśmiał się Dawid. – Ciągle jeszcze jest tu parę grubych sztuk. Następnym razem będziemy musieli zabrać wędki. Będąc dzieckiem, całe dni spędzałem tutaj łowiąc.

Okoliczny las przywoływał również mnóstwo dawnych wspomnień. Gdy szli wzdłuż porośniętego trzcinami brzegu, Dawid zatapiał się w nich coraz intensywniej i stawał się coraz bardziej milczący, aż Debora, która nauczyła się już znakomicie wyczuwać jego nastroje, zapytała go:

– Czy coś jest nie w porządku, Dawidzie?

– Nie ma zwierząt – w jego głosie brzmiało zdziwienie i zaskoczenie. – Ptaki są, owszem, ale od wyjazdu z domu nie spotkaliśmy ani jednego zwierzęcia, choćby nawet duikera.

Zatrzymał się w miejscu wolnym od trzcin, gdzie brzeg schodził ku wodzie łagodnym pochyłem.

– Tutaj był najbardziej uczęszczany wodopój. Był oblegany dniem i nocą, stada ustawiały się doń niemal w kolejce.

Zostawił Deborę na górze i szedł ku wodzie, przystając, by przyjrzeć się dokładnie ziemi.

Prawie żadnych śladów, zaledwie parę antylop kudu i pojedynczy trop pawiana. Nie było tu żadnego stada od miesięcy, a może nawet od lat.

Kiedy wrócił do Debory, ta spytała:

– Bardzo cię to martwi?

– Dżabulani bez zwierząt jest niczym – mruknął. – Chodź, pojedziemy dalej i zobaczymy resztę. To wszystko wygląda bardzo dziwnie.

Pogodna przejażdżka zamieniła się w zaciekle polowanie. Dawid niezmordowanie

przedzierał się Land-Roverem przez zarośla, przecinał odkryte połacie terenu i podążał korytami wyschniętych strumieni, zatrzymując od czasu do czasu samochód, aby badać ich piaszczyste dna w poszukiwaniu śladów zwierzyny.

– Nie ma śladu choćby głupiej impali – stwierdził. Był zdenerwowany i zaniepokojony. – A były tu ich tysiące. Pamiętam ich stada, jedwabiste brązowych i poruszających się wdzięcznie jak baletnice, niemal pod każdym drzewem.

Skierował samochód na północ. Jechali teraz pozarastaną drogą, biegnącą wśród drzew.

– A tu z kolei jest łąka, zupełnie nietknięta. Trawa wybujała, jakby rosła pod kloszem.

Tuż przed południem dotarli do pyłnej, wyboistej drogi publicznej, która wyznaczała północną granicę Dżabulani. Ogrodzenie biegnące wzdłuż drogi znajdowało się w opłakanym stanie – druty były porozrywane i poplątane, wiele ze słupków leżało na ziemi.

– Do diabła, to jest zupełna ruina! – westchnął Dawid, wjeżdżając przez szeroką lukę w ogrodzeniu na drogę. Przejechali nią jakieś trzy kilometry, do miejsca, gdzie od głównej drogi odchodziła boczna, wiodąca w głąb Dżabulani, do farmy. Nawet tablica z nazwą posiadłości, którą ojciec Dawida kazał wykonać w brązie, i z której był tak dumny, umieszczona na belce leżącej na dwóch kamiennych słupach tworzących bramę wjazdową, znajdowała się w opłakanym stanie i zwisała żałośnie, urwana z jednego końca.

– No tak. Czeka nas jeszcze niemało roboty – stwierdził Dawid, nie bez zadowolenia.

Niecały kilometr za bramą droga, biegnąca tutaj wśród wysokich traw, skręcała ostro, i oto za zakrętem stał na niej wspaniały byk kudu, szary, z kredowobiałymi pręgami, biegnącymi w poprzek potężnego ciała. Łeb, ozdobiony parą długich, czarnych, lekko spiralnych rogów, miał uniesiony wysoko, a wielkie uszy sterczały nasłuchując.

Tylko przez ułamek sekundy byk stał tak, nieruchomo; niemal w tym samym momencie – choć od samochodu dzieliło go jeszcze dobre sto metrów – rzucił się do panicznej ucieczki. Położył długie rogi wzdłuż karku, mknął długimi susami i zniknął tak szybko, iż mogłoby się wydawać, że był tylko złudzeniem. Dawid opisał Deborze całe to wydarzenie.

– Zerwał się do ucieczki natychmiast, gdy nas zobaczył. A ja pamiętam czas, kiedy te antylopy były tak mało strachliwe, że musieliśmy je wyganiać kijami z warzywnika.

Zjechali znów z drogi w boczna ścieżkę, porośniętą młodymi drzewkami. Mały, ale mocny samochód dzielnie parł do przodu.

– Na miłość Boską, co ty robisz! – zawołała Debora, starając się przekrzyczeć

jękliwy trzask łamanych drzewek i miażdżonych gałęzi.

– W tym kraju jest tak, że jeżeli zjedziesz z drogi, musisz torować sobie własną.

Przejechawszy w ten sposób sześć kilometrów, wydostali się nagle na przesiekę, wyznaczającą wschodnią granicę Dżabulani, oddzielającą ich posiadłości od parku narodowego, większego od właściwego terytorium Izraela, liczącego bowiem pięć milionów akrów, mającego trzysta osiemdziesiąt kilometrów długości i osiemdziesiąt szerokości, matecznika miliona sztuk dzikiej zwierzyny. Największego i najważniejszego rezerwatu przyrody na całym kontynencie afrykańskim.

Dawid zatrzymał samochód, wyłączył silnik, zeskoczył na ziemię i po paru chwilach milczenia spowodowanego zdziwieniem i zaskoczeniem z jego ust posypały się przekleństwa.

– Co cię tak rozbawiło? – zapytała Debora.

– Popatrz tylko na to! Tylko popatrz! – zawołał.

– Ba, żebym mogła...

– Przepraszam, cię. Wybacz. Tu jest ogrodzenie.

Ogrodzenie miało dwa i pół metra wysokości, zrobione było z wkopanych, grubych pali, na których rozpięto drut kolczasty.

– Odciepli nas. Ludzie z rezerwatu ogrodzili nas. Nic dziwnego, że nie ma zwierząt!

W drodze powrotnej do domu Dawid wyjaśnił Deborze, że dawniej granica między Dżabulani a Parkiem Narodowym Krugera była zawsze otwarta. Służyło to dobrze obu stronom, jako że soczyste pastwiska i nie wysychające nigdy całkowicie zasoby wodne Dżabulani utrzymywały przy życiu stada zwierząt w okresach suszy i głodu.

– Ta sprawa dzikiej zwierzyny zaczyna być dla ciebie bardzo ważna – zauważyła Debora, słuchając go i głaszcząc po głowie Zulu.

– Owszem, nagle zrobiła się ważna. Teraz widzę, że kiedy były tu zwierzęta, uważałem to za coś normalnego, zwyczajnego. Ale teraz ich nie ma i okazuje się, że były ważne – Dawid zaśmiał się gorzko. – Zastanawiam się, ile już razy mówiono tak w Afryce: „Teraz ich już nie ma, a były takie ważne.”

Przejechali mniej więcej dwa kilometry w milczeniu, gdy nagle Dawid stwierdził zdecydowanym tonem:

– Muszę ich nakłonić, by usunęli to ogrodzenie. Nie mogą zamykać nas w ten sposób. Muszę porozmawiać z szefem ochrony parku, i to zaraz, im prędzej, tym lepiej.

Dawid pamiętał Konrada Berga z czasów swego dzieciństwa, kiedy ten pełnił obowiązki szefa ochrony południowej części parku. Przez lata mnóstwo legend osnuło postać tego człowieka, a dwie z nich ukazywały szczególnie dobitnie jego osobowość.

Otóż pewnego razu w dzikim ostępie, po zapadnięciu zmroku zepsuł mu się

samochód, wyruszył więc w drogę powrotną na piechotę. Wtedy zaatakował go rosły lew. W walce z nim Berg został straszliwie okaleczony – zwierzę zdarł mu skórę z mięsem z połowy pleców oraz przegryzł bark i przedramię. Mimo to udało mu się zabić napastnika małym nożem, niemal scyzorykiem, którym dotąd dźgał lwa w szyję, aż trafił w tętnicę. Potem podniósł się i szedł jeszcze osiem kilometrów, nocą, ze stadem hien depczących mu po piętach i czekających tylko, żeby upadł.

Innym razem jeden z właścicieli posiadłości graniczących z parkiem wytropił lwa i zastrzelił go na terenie parku, niecały kilometr od jego granicy. Kłusownik był wysoko postawioną osobistością ze sfer rządowych i dysponował wielkimi wpływami. Po tym wydarzeniu kpił sobie z Berga, mówiąc:

– No i co zrobisz z tym fantem, przyjacielu? A może nie miała ci twoja praca?

Z uporem buldoga, ignorując wszystkie odgórne naciski, Konrad Berg zebrał odpowiednie materiały i wystąpił z pozwem do sądu. W miarę zbliżania się terminu rozprawy naciski stawały się coraz mniej subtelne, ale Berg nie zachwiał się w swoim postanowieniu. Ważna persona stanęła przed sądem, który uznał ją za winną. Kłusownik został skazany na grzywnę w wysokości tysiąca funtów, z ewentualną zamianą na sześć miesięcy ciężkich robót.

Później człowiek ten uściśnął Bergowi rękę i powiedział:

– Dziękuję za udzielenie mi lekcji odwagi.

Być może w rezultacie tej właśnie sprawy Konrad Berg został szefem ochrony całego parku.

Teraz stał przy swoim ogrodzeniu, w miejscu gdzie umówił się telefonicznie z Dawidem. Był to mężczyzna wysoki i barczysty, o potężnie umięśnionych rękach, na których widniały szramy po lwich zębach i pazurach, o spalonej słońcem na czerwony brąz twarzy. Na głowie miał kapelusz o szerokim rondzie, zawiniętym z jednej strony, taki, jaki nosili wszyscy pracownicy służby ochrony parku, a na ramionach kurtki widniały naszywki z zielonego sukna.

W pewnej odległości za nim stała brązowa półciężarówka marki Chevrolet, z emblematem rezerwatu na drzwiach szoferki i dwójką ludzi z ochrony siedzących na platformie, z których jeden trzymał strzelbę dużego kalibru.

Berg stał na szeroko rozstawionych nogach, z dłońmi zwiniętymi w pięści i wspartymi na biodrach, kapeluszem zsuniętym do tyłu i zaciętą twarzą. Tak bardzo symbolizował cały upór i determinację samca pilnującego swego terytorium, że Dawid szepnął do Debory:

– To będzie trudna przeprawa...

Zaparkował przy samym ogrodzeniu, po czym razem z Deborą wysiedli i podeszli do

drutów.

– Panie Berg, jestem Dawid Morgan. Pamiętam pana z czasów, kiedy mój ojciec był właścicielem Dżabulani. A to jest moja żona.

Wyraz twarzy Berga nieco złagodniał. Znał oczywiście wszystkie pogłoski na temat nowego właściciela Dżabulani. Był to opuszczony i opustoszały teren, a zbieranie informacji o tym, co się dzieje na pograniczu rezerwatu, należało do jego obowiązków. Niemniej nie spodziewał się, że ów młody człowiek, z którym przyjdzie mu rozmawiać, będzie aż tak straszliwie okaleczony i że jego niewidoma żona jest kobietą takiej urody.

Z niezdnarą galanterią Berg uchylił kapelusza i zaraz zorientował się, że ona nie ujrzy przecież tego gestu. Wymamrotał pozdrowienie, i gdy Dawid wyciągnął rękę pomiędzy drutami, podał mu ostrożnie swoją.

Debora i Dawid działali wspólnie i każde ze swej strony starało się zrobić dobre wrażenie na Bergu, który był człowiekiem prostym i bezpośrednim. Toteż jego rezerwa stopniowo nikła w miarę przedłużającej się pogawędki. Bardzo spodobał mu się Zulu. On sam również trzymał labradorczyki i rozmowa zaczęła toczyć się wokół psów, a Debora w tym czasie wyjęła termos z kawą, którą Dawid rozlał do kubków.

– Czy to nie jest Sam? – spytał Dawid, wskazując na tego z dwóch ludzi Berga, który trzymał strzelbę.

– Tak. To on.

– Sam pracował długo w Dżabulani.

– Przyszedł do mnie z własnej woli – zapewnił Berg, chcąc obronić się przed wszelkimi podejrzeniami.

– Z pewnością pamięta mnie jeszcze, oczywiście nie takiego, jakim jestem teraz. Był doskonałym nadzorcą i bez niego Dżabulani zmarniało – stwierdził Dawid przed przejściem do frontalnego natarcia. – Drugą rzeczą, która zgnębiła nas do reszty, jest to wasze ogrodzenie.

Dawid trącił nogą jeden ze słupów.

– Ejże, chyba nie – mruknął Berg, zakreślił resztkę kawy z fusami na dnie i wylał z kubka.

– Dlaczego je pan postawił?

– Dla dobra parku.

– Mój ojciec miał dzentelmeńską umowę z zarządem parku i granica była cały czas otwarta. Mamy przecież wodę i pastwiska, które są wam potrzebne.

– Przy całym szacunku dla nieżyjącego pana Morgana – Konrad Berg mówił powoli, cedząc słowa – ja osobiście nigdy nie byłem za utrzymaniem jej otwartej.

– Dlaczego?

– Pański tata był hobbystą – Berg wypowiedział to słowo tak, jakby przeżuwał kęs zgniętego mięsa. – Kiedy lwy nauczyły się go strzec i trzymać się po tej stronie, wówczas zaczął przyprowadzać ze sobą osły i ganiał je wzdłuż granicy, na wabia.

Dawid otworzył usta, by zaprotestować, ale nie rzekł nic i zamknął je powoli. Czuł, że jego pokiereszowana twarz pokrywa się rumieńcem wstydu. To prawda – pamiętał te osły i miękkie, wilgotne lwie skóry, rozpięte i schnące za domem.

– W każdym razie on nigdy nie uprawiał kłusownictwa. Miał prawo do odstrzału przysługujące właścicielowi i wszystkie one zostały zabite na naszym terytorium.

– Tak, tak, on nigdy nie bawił się w kłusownictwo. Był na to za mądry. Wiedział, że wygotowałbym mu taką rakietę, która wyniosłaby go na Księżyc.

– A więc to dlatego postawił pan ogrodzenie.

– Mimo wszystko – nie.

– A zatem dlaczego?

– Dlatego że od czternastu lat Dżabulani należy do nieobecnego właściciela, który w najmniejszym stopniu nie dba o to, co się tutaj dzieje. Stary Sam – wskazał w stronę samochodu – robił, co mógł, ale, niestety, był to ciągle raj dla kłusowników. Gdy tylko woda i pasza, wasza chluba, przyciągała zwierzynę z rezerwatu, kładł ją pokotem każdy, kto lubił naciskać spust. Kiedy Sam próbował temu zapobiec, został paskudnie pobity, a gdy i to go nie powstrzymało, wówczas ktoś podpalił w nocy jego chatę. Dwoje dzieci spaliło się żywcem.

Dawid poczuł, jak dusza omdlewa mu na wspomnienie płomieni wżerających się w ciało, zapiekły go policzki.

– Nie wiedziałem – powiedział tonem pełnym przygnębienia.

– Oczywiście – był pan zbyt zaabsorbowany robieniem pieniędzy czy też czegoś tam, co sprawia panu szczególną przyjemność. – Berga ogarniała złość. – Wtedy Sam przyszedł do mnie, a ja dałem mu pracę. I postawiłem to ogrodzenie.

– Nie ma już zwierząt w Dżabulani, zaledwie parę kudu i jeden czy dwa duikery, poza tym nic.

– Tak, kłusownicy szybko oczyścili cały teren.

– Chcę, żeby znowu była tu zwierzyna.

– Po co? – spytał drwiąco Berg. – Żeby mógł pan zabijać zwierzęta dla sportu, tak jak pański tata? Żeby przylatywać tu w weekendy samolotem z Johannesburga i razem z paczką przyjaciół wywalać flaki z moich lwów? – tu Berg spojrzał na Deborę i jego ceglasta twarz nabrała mocniejszego, czerwonego odcienia. – Przepraszam panią, pani Morgan, nie chciałem tak brutalnie tego ująć.

– Nie szkodzi, panie Berg. Ujął to pan po prostu bardzo wyraziście.

– Dziękuję pani za wyrozumiałość – odparł Berg i znów zwrócił się ze złością do Dawida: – Prywatna agencja łowiecka pana Morgana to jest to, o co panu chodzi?

– Nie pozwoliłbym na jeden strzał na obszarze Dżabulani.

– Pewnie, że nie, z wyjątkiem odstrzału na użytek własny. To stara śpiewka i zbyt dobrze znana. Wyjąwszy odstrzał na potrzeby własne. I cała historia zacznie się od początku.

– Nie – stwierdził Dawid. – Na własne potrzeby też nie.

– Będzie pan jadał befsztyki od rzeźnika? – spytał Berg tonem pełnym niedowierzania.

– Niech pan rozważy, panie Berg. Jeżeli usunie pan ogrodzenie, ogłoszę Dżabulani prywatnym rezerwatem przyrody.

Berg chciał coś powiedzieć, lecz oświadczenie Dawida zaskoczyło go tak, że pozostał milczący, z otwartymi ustami. Zamknął je powoli.

– Czy wie pan, co to znaczy? – odezwał się w końcu. – Poddaje się pan całkowicie naszej jurysdykcji. Zobowiązemy pana do tego formalnym aktem, podpisanym u prawnika, pociągającym za sobą wszelkie ograniczenia: żadnego odstrzału na potrzeby własne, zakaz strzelania do lwów nawet wtedy, kiedy znajdują się na terenie zarezerwowanym dla bydła.

– Wiem, przestudiowałem cały wasz regulamin. I zrobię jeszcze więcej. Zobowiązę się ogrodzić mój teren z trzech pozostałych stron oraz utrzymywać stale grupę ludzi do sprawowania nadzoru. Wszystko na mój własny koszt.

Konrad Berg zdjął kapelusz i drapał się w zamyśleniu po porośniętej rzadkimi, siwymi włosami głowie.

– Do diabła – mruknął. – Jak mogę odpowiedzieć „nie” na taką propozycję?

I na jego twarzy pojawił się uśmiech, pierwszy uśmiech od początku tego spotkania.

– Wygląda, że myśli pan o całej tej sprawie poważnie...

– Widzi pan, panie Berg, moja żona i ja mamy zamiar mieszkać tu na stałe. Nie chcemy żyć na pustyni.

– Jasne! – przytaknął Berg i kiwnął głową. Rozumiał doskonale swego rozmówcę. Odraza, jaką budziła w nim początkowo jego zdeformowana twarz, ustępowała.

– Myślę, że pierwszą rzeczą, którą powinniśmy się zająć, są kłusownicy, o których pan mówił. Chwyćmy paru i niech staną się przykładem dla pozostałych.

Ceglasta twarz Berga rozszerzyła się w uśmiechu.

– Cieszę się, że będę miał pana za sąsiada – rzekł i wyciągnął rękę przez druty ogrodzenia. Dawid pochylił się lekko, gdy kości jego palców zatrzeszczały w uścisku potężnej dłoni.

– Może przyszedłby pan do nas jutro na obiad, panie Berg? Naturalnie z małżonką – spytała Debora głosem, w którym brzmiała ulga.

– Z wielką przyjemnością, pani Morgan, z wielką przyjemnością.

– Wyciągnę z piwnicy jakąś butelczynę whisky – dodał Dawid.

– To bardzo miło z pańskiej strony, ale moja żona i ja pijamy tylko wytrawny dżin Old Buck z odrobiną wody.

– Będę o tym pamiętał – obiecał Dawid.

Jane Berg była szczupłą kobietą, mniej więcej w wieku swego męża. Miała zasuszoną twarz, pomarszczoną i spaloną słońcem. Włosy również miała zbielełe od słońca i prócz tego poprzetykane pasmami siwizny. Zarazem, jak oceniła Debora, była zapewne jedyną istotą na świecie, której lękał się Konrad Berg.

„Ja teraz mówię, Konradzie”.– wystarczyło, by jej zwalisty małżonek przerywał w pół słowa każde zdanie, podobnie jak jedno znaczące spojrzenie na pustą szklanekę skłaniało go do natychmiastowego jej napełnienia, co czynił z wdziękiem spieszącego się słonia. Miał też wiele kłopotu z dokończeniem każdej niemal dłuższej wypowiedzi, ponieważ Jane nie przepuszczała żadnej okazji do skorygowania go lub dopowiedzenia jakiegoś szczegółu, a on musiał czekać wówczas cierpliwie, aż pozwoli mu podjąć wątek.

Debora zadbała o to, by menu obiadowe nie dało okazji do podejrzeń – główne danie stanowiły befsztyki wołowe, z których Konrad Berg spałaszował ze smakiem cztery sztuki; odmówił jednak wina, które podał do nich Dawid.

– Wino to trucizna. Zabiło jednego z moich wujów – oświadczył i pozostał przy dżinie, nawet podczas deseru.

Po obiedzie zasiedli wokół dużego kominka, w którym wesoło trzaskały polana, i Konrad Berg zaczął objaśniać, przy wydatnym udziale żony, z jakimi to kłopotami przyjdzie Dawidowi walczyć w Dżabulani.

– Dociera tu trochę czarnych z terenów plemiennych, przychodzą z północy...

– Zza rzeki – uściśliła Jane Berg.

– Zza rzeki, ale oni nie stanowią wielkiego problemu. Zastawiają głównie druciane wnyki i nie zabijają dużo...

– Ale w najbardziej okrutny sposób; zwierzęta szamocą się po parę dni w pułapce z linką werźniętą w ciało do kości – dodała Jane Berg.

– Jak powiedziałem: paru dozorców wystarczy, by uciąć ten proceder. To biali kłusownicy, ze strzelbami i lampami-szperaczami...

– Morderczymi reflektorami – sprostowała Jane Berg.

– ...morderczymi reflektorami, przyczyniają prawdziwych szkód. To oni właśnie

w kilka sezonów oczyścili całe Dżabulani ze zwierzyny.

– Skąd oni przychodzą? – spytał Dawid, czując, jak wzbiera w nim złość, taka sama zacięta złość pasterza, jak ta, którą czuł dawniej, gdy unosił się w swej maszynie nad Izraelem.

– Osiemdziesiąt kilometrów stąd, w Falabora, jest duża kopalnia miedzi i parę setek nudzących się górników, gustujących w dziczyźnie. Przyjeżdżają tu i strzelają do wszystkiego, co żyje. Ale to też nie są ci, na których warto by się zasadzić. Bądź co bądź, to tylko amatorzy, ci niedzielni myśliwi.

– Kim więc są ci najgroźniejsi, zawodowcy?

– Tam, gdzie ta piaszczysta droga z Dżabulani łączy się z dużą drogą krajową, niecałe pięćdziesiąt kilometrów stąd...

– W miejscu, które nazywa się Wzgórze Bandolierów – uzupełniła Jane Berg.

– ...znajduje się skład kupiecki. Jest to jedna z tych placówek handlowych, które czerpią niewielkie zyski z zaopatrywania przejeżdżających podróżnych, lecz zarabiają na handlu z krajowcami. Facet, który prowadzi ten interes, jest jego właścicielem od ośmiu lat i cały ten czas starałem się go dopaść, ale to najbardziej uparty i najprzebieglejszy skurwiel – za przeproszeniem, pani Morgan – jakiego do tej pory spotkałem.

– A więc to on jest tym głównym? – spytał Dawid.

– Tak, on – przytaknął Berg. – Jego załatwić, a przynajmniej połowę kłopotów ma się z głowy.

– Jak on się nazywa?

– Akkers. Johan Akkers – wtrąciła się Jane Berg.

Dżin Old Buck przymglili jej nieco oczy i zaczynała mieć już pewne kłopoty z wymową.

– W jaki sposób moglibyśmy go dostać? – spytał Dawid.

– W Dżabulani nie ma już nic, co mogłoby go skusić. Te ostatnich parę kudu jest tak wystraszonych, że nie są warte zachodu.

– To prawda, teraz nie ma tu nic, co by go przyciągnęło, ale w połowie sierpnia...

– Dokładnie w pierwszym tygodniu sierpnia – skorygowała Jane Berg stanowczo... Kilka pasemek popielatych włosów zwisało jej już wzdłuż policzków.

– ...w pierwszym tygodniu sierpnia zaczynają owocować drzewa marula, których tak dużo jest w okolicy jezior, i wówczas moje słonie ruszą w odwiedzinę do Dżabulani. Jedyna rzecz, której nie mogą się oprzeć, to właśnie owoce tych drzew. Tratują ogrodzenie, żeby się do nich dostać. Zanim zdołam je naprawić, wiele innych zwierząt przechodzi za słoniami na tę stronę. Głowę daję, że nasz przyjaciel Akkers właśnie oliwi strzelbę, oczekując na ten moment. Kiedy słonie rozwalą ogrodzenie, dowie się o tym

w godzinę.

– Tym razem może go czekać niespodzianka.

– Miejmy nadzieję.

– Myślę – stwierdził jakby od niechcienia Dawid – że wybiorę się jutro z Deborą do Wzgórza Bandolierów przyjrzeć się temu dżentelmenowi.

– Co do jednego można mieć pewność – zauważyła Jane Berg. – Dżentelmenem to on nie jest.

Droga do Wzgórza Bandolierów była mocno wyboista i pokryta białym pyłem, który unosił się gęstą chmurą za samochodem, wiszącą w powietrzu jeszcze długo po ich przejeździe. Samo wzgórze miało zaokrąglony grzbiet, było gęsto porośnięte drzewami i wznosiło się nad wysypaną szutrem drogą.

Sklep znajdował się jakieś trzysta metrów od skrzyżowania, nieco na uboczu, w zagajniku drzew mangowych o ciemnozielonym, błyszczącym listowiu. Wyglądał jak wszystkie tego typu obiekty, rozsiane po całej Afryce – brzydki budynek pokryty dachem z falistej blachy, o ścianach z urobionej z ładu i wysuszonej na słońcu cegły, oblepionych gęsto plakatami reklamującymi najrozmaitsze artykuły, od herbaty po baterie do lamp błyskowych.

Dawid zaparkował samochód na pylistym placu, obok werandy przed wejściem. Nad prowadzącymi na nią schodami widniał wyblakły napis: „Wzgórze Bandolierów – Handel Wielobranżowy”.

Przy bocznej ścianie budynku stała stara, pomalowana na zielono półciężarówka marki Ford, z miejscowymi numerami rejestracyjnymi. W cieniu werandy przycupnęło w kucki około tuzina potencjalnych klientek. Były to Murzynki z terenów plemiennych, ubrane w sięgające kostek płachty wzorzystego, bawełnianego materiału, cierpliwe, jak gdyby nie istniał dla nich czas, i nie zdradzające żadnego zainteresowania pasażerami Land-Rovera. Jedna z kobiet karmiła dziecko tak niezwykle obwisłą piersią; że malec mógł swobodnie stać obok niej i obserwować nowo przybyłych, nie wypuszczając z ust wyciągniętego, czarnego sutka.

Na środku placu przed sklepem sterczał gruby słup, wysoki na jakieś cztery i pół metra, na którego wierzchołku umieszczono coś na kształt olbrzymiej psiej budy. Dawidowi wyrwał się cichy okrzyk zdumienia, gdy z budy tej wychynął wielki, pokryty brązową sierścią stwór. Zręcznie, z lekkością ptaka zsunął się po słupie na dół. Zwierzę przewiązane było w pasie mocnym rzemieniem, do którego przyczepiony był łańcuch, umocowany drugim końcem do słupa.

– To chyba największy pawian, jakiego widziałem – powiedział. Szybko opisał

Deborze wygląd placu, słupa i zwierzęcia, a tymczasem pawian oddalił się od słupa na tyle, na ile pozwalał mu łańcuch, i zaczął leniwie sunąć po okręgu. Parada ta miała charakter wyzwania, grzywa włosów na karku potężnego samca zjeżyła się. Wykonawszy okrążenie zwierz usiadł, przybierając zdumiewająco ludzką pozę, przodem do Land-Rovera i wysunął do przodu dolną szczękę, śledząc jego pasażerów małymi, osadzonymi blisko siebie, brązowymi oczami.

– Paskudna bestia – powiedział Dawid do Debory.

Pawian musiał ważyć dobre czterdzieści kilo, miał długi, podobny do psiego pysk, pełen żółtych kłów. Obok hieny było to najbardziej znienawidzone zwierzę, chytre, okrutne i zdradzieckie – mające w sobie wszystkie złe cechy człowieka i ani jednej dobrej. Pawian spozierał na nich cały czas, nie mrugnawszy ani razu powieką, i nagle pochylił głowę w agresywnym geście.

Gdy uwaga Dawida skupiona była na zwierzęciu, z budynku wyszedł mężczyzna i stanął, opierając się o poręcz werandy.

– Czym mogę panu służyć, panie Morgan? – zwrócił się do Dawida, niedbale wymawiając słowa. Był wysoki i szczupły, ubrany w nieco obszarpane i niezbyt czyste spodnie koloru khaki, podtrzymywane szerokimi szelkami, na nogach miał grube, ciężkie buciory.

– Skąd pan wie, jak się nazywam? – spytał Dawid, odwracając się w jego stronę. Stojący na górze mężczyzna musiał być w średnim wieku, krótko ostrzyżone włosy pokrywające jego wysoko wysklepioną czaszkę zaczynały siwieć. Jego zęby były źle dopasowane do jasnoróżowych, plastikowych dziąseł, skóra wyglądała jak naciągnięta sztucznie na kości policzków, a głęboko osadzone oczy nadawały mu wygląd kościotrupa. Zrobił grymas, mający być uśmiechem.

– A kto to może być, jeśli nie wy? – Bliznowata twarz i ślepa żona, właściciele Dżabulani. Słysząc, że zbudowaliście nowy dom i chcecie zamieszkać tam na stałe.

Ręce mężczyzny były duże, nieproporcjonalnie rozrośnięte w stosunku do szczupłego korpusu. Widać było, że są silne – mięśnie masykularnych przedramion musiały być mocne jak liny okrętowe.

Akkers oparł się wygodniej o poręcz, wyciągnął z kieszeni scyzoryk i podłużny kawałek czarnego, wysuszonego na wietrze mięsa – specjału równie dobrze znanego w północnej Ameryce, na Karaibach, jak i w Afryce – odciął plasterek, jak gdyby to była laska tytoniu, i włożył go do ust.

– No więc, czym mogę wam służyć? – powtórzył pytanie, żując przy tym głośno, ze sztuczną szczęką, stukającą przy każdym nagryzieniu.

– Potrzebuję farby i gwoździ – powiedział Dawid, wysiadając z samochodu. – Zdaje

się, że zaopatrujecie się we wszystko w Nelspruit – Akkers przyglądał się Dawidowi z zamierzoną nachalnością, studiując dokładnie jego zmasakrowaną twarz. Dawid zauważył, że jego oczy są mętnozielone.

– Zdaje mi się, że istnieje prawo zabraniające zamykania dzikich zwierząt do klatek bądź uwiązywania ich na łańcuchu – stwierdził sucho. Akkers niemal natychmiast obudził w nim niechęć, które to odczucie wzmocniła jeszcze zaczepna złośliwość jego wypowiedzi.

– Jest pan prawnikiem, co?

– Po prostu stwierdzam fakt.

– Mam na to zezwolenie, chce pan je zobaczyć?

Dawid machnął ręką i odwrócił się do Debory. Przeszedł na hebrajski i w krótkich słowach opisał jej Akkersa.

– Sądzę, że on domyśla się, po co tu przyjechaliśmy, i szuka jakiejś zaczepki.

– Zostanę tu, przy samochodzie – powiedziała Debora.

– Dobrze – zgodził się Dawid i wszedł po schodach na werandę.

– Jak więc będzie z tymi gwoździami i farbą? – zwrócił się do Akkersa.

– Idź pan do środka. Jest tam murzyński pomocnik za ladą. On obsłuży.

Dawid wahał się przez chwilę, ale wszedł do sklepu. W środku pachniało mydłem, naftą i mąką kukurydzianą. Półki wyładowane były tanimi artykułami spożywczymi, popularnymi medykamentami, kocami i belami wzorzystego perkalu. Ze stropu zwisały w pęczkach wojskowe buty i płaszcze-peleryny, toporzyska i latarnie sztormowe. Na podłodze stały ocynowane pojemniki, worki z mąką żytnią i kukurydzianą, powiązane w pęki trzonki do kilofów oraz dziesiątki innych artykułów, będących normalnie do nabycia w tego typu sklepach, usytuowanych z dala od miast. Dawid odszukał czarnego pomocnika i wytłumaczył mu, czego potrzebuje.

Tymczasem na zewnątrz, na zalanym słońcem dziedzińcu Debora wysiadła z Land-Rovera i stanęła przy nim, opierając się lekko o drzwi. Labradorczyk wyskoczył za nią i zaczął pilnie obwąchiwać murowane słupy pod werandą, pobielone, lecz u dołu żółkłe od mnogich podpisów psów, które tu były wcześniej.

– Ładny psiak – powiedział Akkers.

– Dziękuję – odparła Debora i skinęła uprzejmie głową.

Akkers łypnął na swego ulubieńca na łańcuchu i na jego twarzy pojawił się przebiegły grymas. Nieuchwytny impuls porozumienia przebiegł między nim a zwierzęciem. Pawian znów pochylił łeb w tym samym agresywnym geście, po czym wstał i poczłapał do pała. Zręcznie wspiął się po nim i zniknął w otworze swej budy. Akkers uśmiechnął się i odciął następny kęs suszonego mięsa.

– Lubi pani Dżabulani? – zwrócił się do Debory, podsuwając jednocześnie ucięty kawałek mięsa psu.

– Czujemy się tam bardzo dobrze – odparła zdawkowo Debora, nie chcąc się dać wciągnąć w rozmowę. Zulu powąchał oferowany smakołyk i jego ogon zaczął natychmiast bić na boki jak taktomierz. Nie ma psa, którego nie zafascynowałby bez reszty zapach i smak suszonego mięsa. Chwycił łapczywie kęs z palców Akkersa. Ten jeszcze dwukrotnie dał mu po kawałku. Oczy Zulu błyszczały, a z jedwabistego pyska ciekła ślina.

Murzynki przycupnięte w cieniu werandy zaczęły obserwować tę scenę z widocznym zainteresowaniem. Widywały już wcześniej podobne sytuacje i teraz przyglądały się, czekając na dalszy bieg wypadków. Dawid był w sklepie, a Debora stała spokojnie, nieświadoma tego, co się dzieje.

Akkers odciął większy kawałek mięsa i wyciągnął w stronę Zulu, lecz kiedy ten chciał go chwycić, cofnął rękę. Czując jeszcze w paszczy smak mięsa, Zulu tym gwałtowniej starał się chwycić ponownie oferowany smakołyk, lecz i teraz w ostatniej chwili umknął mu on sprzed nosa. Czarne, wilgotne nozdrza psa drgały z pożądliwości.

Akkers zszedł po schodach z Zulu nie odstępującym go ani na centymetr. Na dole jeszcze raz wykonał kuszący manewr, po czym wycedził cicho:

– Weź go sobie! – i cisnął kawałek czarnego mięsa pod słup z budą pawiana. Zulu sprężył się i pognał, wciąż jeszcze trochę niezgrabnie na swych zbyt dużych, szczenięcych łapach. Dopadł podnóża słupa i chwycił łapczywie leżący w pyle smakołyk.

W tym samym momencie pawian wyłonił się z budy i niby brązowy piorun śmignął w powietrzu, spadając w dół z rozpostartymi szeroko ramionami i otwartą paszczą, najeżoną żółtymi, ostrymi kłami. Dotknął bezgłośnie ziemi, amortyzując skok, i błyskawicznie zaatakował. Jego długie ramię spadło na kark nic nie podejrzewającego szczeniaka z całym impetem czterdziestu kilogramów.

Zulu padł jakby trafiony piorunem, zaskowyczał i przekoziółkował na grzbiet, lecz zanim zdołał odzyskać orientację i stanąć na cztery łapy, pawian już zdążył go dopaść.

Debora usłyszała skowyt Zulu i zrobiła kilka kroków w kierunku, skąd dobiegł, zaskoczona, ale jeszcze nie zaniepokojona.

Gdy pawian dopadł szczeniaka, ten leżał na grzbiecie i jego brzuch, porośnięty rzadką, czarną sierścią był zupełnie odsłonięty. Pawian opadł na psa, wparł się weń łapami, przygniatając go do ziemi, schylił głowę i zatopił długie, żółte kły głęboko w miękkie podbrzusze.

Z gardła Zulu dobył się tym razem przeraźliwy, śmiertelny skowyt. Debora krzyknęła również i zaczęła biec, lecz kiedy mijała Akkersa, ten zręcznie podstawił jej

nogę, tak że padła na kolana, podpierając się w ostatniej chwili rękami.

– Proszę dać spokój, szanowna pani. Może pani ucierpieć, jeśli się pani w to wtrąci – ostrzegł ją, wciąż się uśmiechając.

Pawian zwarł kły zatopione w psim brzuchu i szarpnął w górę całą siłą potężnego grzbietu. Cienka powłoka brzuszna rozdarła się i pysk pawiana powędrował w górę, ciągnąc girlandę różowych trzewi.

Okaleczony szczeniak zapłakał jeszcze raz rozdzierająco. Debora uniosła się chwiejnie na nogi.

– Dawid! – krzyknęła dziko. – Dawidzie, pomóż mi!

Dawid wybiegł na werandę. Przy drzwiach zatrzymał się na moment, jednym rzutem oka ogarnął całą scenę i chwycił jeden ze stojących w pęku tuż przy drzwiach trzonek do kilofów. Pędem zbiegł z werandy i w trzech długich susach znalazł się przy Zulu.

Pawian dostrzegł go w porę, rozwarł pysk i puścił psa.

Z niesamowitą zwinnością śmignął w górę po słupie, lecz tym razem nie skrył się w budzie, lecz wspiął się na jej dach i został tam, z zakrwawionym pyskiem, jazgocząc i podrygując w poczuciu odniesionego triumfu.

Dawid odrzucił trzonek i delikatnie podniósł z ziemi okaleczone, bezwładne ciało szczeniaka. Zaniósł Zulu do Land-Rovera i zaczął drzeć na pasy kurtkę, a potem, upychając z powrotem wyprute wnętrzności, starał się obwiązać rozszarpany brzuch.

– Dawidzie, co się stało, powiedz mi! – prosiła go błagalnie Debora. Bandażując Zulu, wyjaśnił jej wszystko w kilku krótkich, wypowiedzianych po hebrajsku zdaniach.

– Wsiadaj! – rozkazał i Debora wdrapała się na tylne siedzenie samochodu. Umieścił rannego labradorczyka na jej kolanach i ruszył biegiem, by wskoczyć za kierownicę.

Akkers stał w drzwiach sklepu, z rękami zaczepionymi kciukami za szelki. Śmiał się głośno, poklapując sztuczną szczęką i kiwając się w przód i w tył na piętach. Na dachu budy pawian poświstywał i wydzierał się przeraźliwie, dzielając uciechę swego pana.

– Ej, panie Morgan! – zawołał Akkers. – Nie zapomnij pan swych gwoździ!

Dawid odwrócił się na pięcie. Czuł war na twarzy, bliznowata tkanka na czole i policzkach napłynęła krwią, ciemnoniebieskie oczy płonęły straszliwym gniewem. Ruszył wolno po schodach w górę. Jego usta były teraz cienką kreską, a dłonie zacisnęły się w pięści.

Akkers cofnął się szybko w głąb sklepu i sięgnął w tył, za ladę. Postąpił znów do przodu, unosząc starą, dwulufową strzelbę dużego kalibru. Jego palec spoczął na obu spustach.

– Samoobrona, panie Morgan, i to przy świadkach – zachichotał z sadystyczną satysfakcją. – Podejdź pan jeszcze krok bliżej, a obejrzymy sobie i pańskie bebechy!

Dawid zatrzymał się u szczytu schodów. Strzelba w krzepkich rękach Akkersa wymierzona była prosto w jego brzuch.

– Dawidzie, jedźmy! Jedźmy, szybko, proszę! – zawołała Debora z Land-Rovera, trzymając na podolku od czasu do czasu drgające jeszcze słabo ciało szczeniaka.

– Spotkamy się jeszcze – gniew tłumiał Dawidowi słowa w gardle.

– To będzie frajda – odparł Akkers.

Dawid odwrócił się i zbiegł ze schodów.

Akkers patrzył, jak Land-Rover wyjeżdża z placu i wznosząc tumany kurzu skręca na drogę. Dopiero kiedy samochód oddalił się, odstawił strzelbę. Wyszedł z mrocznego wnętrza na słońce, a pawian natychmiast zsunął się z dachu budy, ześlizgnął po słupie na ziemię, podbiegł, wskoczył mu na biodra i przytulił się do niego jak małe dziecko. Akkers wyjął z kieszeni cukierek i włożył go delikatnie między ostre, żółte kły.

– Ty stary pieszczocho – wymamrotał, głaszcząc wysoko wysklepioną czaszkę pokrytą gęstą, szarą grzywą. A pawian utkwiał wąsko osadzone, brązowe oczy w jego twarzy, pomrukując z cicha.

Pomimo że droga była wyboista, Dawid pokonał prawie pięćdziesiąt kilometrów dzielące ich od domu w dwadzieścia pięć minut. Zatrzymał samochód obok hangaru i z Zulu na rękach pobiegł do samolotu.

Podczas lotu Debora trzymała psa znów w podolku. Jej sukienka była nasiąknięta jego ciemną krwią. Szczeniak uspokoił się i tylko od czasu do czasu z jego pyska wydobywało się ciche skomlenie. Dawid przez radiostację zamówił taksówkę, która czekała na nich na lotnisku, i w czterdzieści pięć minut od momentu startu Zulu leżał na stole operacyjnym w klinice weterynaryjnej.

Chirurg pracował w pocie czoła przez dwie godziny, zszywając poszarpane trzewia i rozdartą powłokę brzuszną. Po operacji stan Zulu był nadal tak ciężki i niebezpieczeństwo infekcji tak wielkie, że Dawid i Debora postanowili na razie nie wracać do Dżabulani i czekać. Pięć dni później, kiedy lecieli już do domu razem z Zulu, wciąż słabym i mocno obandażowanym, ale mającym już za sobą najtrudniejsze chwile, Dawid zmienił kurs, kierując samolot w stronę sklepu przy Wzgórzu Bandolierów.

Błyszczący dach błyszczał w słońcu jak lustro i Dawid czuł, jak na ten widok budzi się w nim gniew, chłodny i zawzięty.

– Ten człowiek stanowi dla nas prawdziwe zagrożenie – powiedział. – Zagroza każdemu z nas i temu, co zamierzamy zrobić w Dżabulani.

Debora skinęła głową potakująco, głaszcząc jednocześnie po głowie Zulu. Nie powiedziała jednak nic, jej gniew był bowiem równie zajadły jak Dawida.

– Muszę go dostać – rzekł spokojnie, lecz stanowczo, i przypomniał sobie słowa, które usłyszał od Bryga: „Jedynym usprawiedliwieniem gwałtu jest obrona tego, co jest twoją własnością.”

Wykonał ostry zwrot i wyrównał lot, szykując się do lądowania w Dżabulani.

Konrad Berg zatelefonował, by zaprosić się na butelkę dżinu i poinformować Dawida, że jego wniosek o uznanie Dżabulani za prywatny rezerwat przyrody został załatwiony pozytywnie i że odpowiednie dokumenty zostaną wkrótce przygotowane do podpisania.

– Czy chcesz, żebym już teraz usunął ogrodzenie? – spytał, gdy siedzieli przy butelce na werandzie.

– Na razie nie. Niech jeszcze stoi. Nie chcę spłoszyć Akkersa – odparł Dawid głosem, w którym brzmiała determinacja.

– No tak – kiwnął głową Berg. Musimy go przychwycić. – Zawołał Zulu, uniósł go i przyjrzał się różowej szramie biegnącej w poprzek brzucha szczeniaka i obramowanej jasnymi punktami po szwach. – Skurwysyn! – mruknął i zaraz spojrzał przepraszająco na Deborę: – Proszę wybaczyć, pani Morgan.

– Bardzo trafnie pan go nazwał, panie Berg – stwierdziła Debora, a gdy mówiła, szczeniak uważnie wpatrywał się w jej usta, z głową zabawnie pochyloną na bok.

Jak wszystko, co młode, Zulu wrócił do zdrowia szybko i bez komplikacji.

Drzewa marula, rosnące gęstymi zagajnikami wzdłuż podnóża wzgórz i wokół jezior, zaczęły kwitnąć. Ich proste, mocne pnie zwieńczone były krągłymi koronami gęstych gałęzi i zielonego listowia, które teraz, obsypane czerwonym kwieciem, wyglądały wprost urzekająco.

Prawie codziennie Dawid i Debora wypuszczali się z domu i urządzali sobie spacerki poprzez te zagajniki, ścieżką do jezior. Zulu odzyskał siły w trakcie tych wycieczek – z reguły kończyły się dla niego kąpielą, po której następowało radosne otrząsanie się z wody, i tym samym prysznicem dla najbliższej stojącej osoby.

Później zielone owoce w kształcie śliwek, porastające żeńskie egzemplarze drzew, zaczęły stawać się żółte w miarę dojrzewania i ich intensywny zapach roznosił się wraz z ciepłą, wieczorną bryzą.

Stado przyszło znad rzeki Sabi, porzucając gęste zarośla trzcinowe na rzecz spodziewanej uczty w Dżabulani. Prowadziły je dwa stare samce, które już od czterdziestu lat przemierzały o tej porze szlak do Sznura Pereł. W stadzie było również piętnaście karmiących słońic z biegnącymi obok nich małymi i tyle samo już nieco bardziej wyrosniętych młodych słońic.

Stado wędrowało z wolna od południa, w rozproszeniu, pożywiając się po drodze. Zwaliste sylwetki słoń sunęły niby galeony przez morze buszu. Od czasu do czasu jakieś wyższe drzewo przyciągało uwagę któregoś z samców, a wówczas opierał on czoło o gruby pień i zaczynał naciskać rytmicznie, by je rozkołysać i w odpowiednim momencie naprzeć całym ciężarem. Pień łamał się z hukiem i drzewo waliło się na ziemię. Kilka pęczków młodych liści z wierzchołka zwykle zadowalało słoń, choć niekiedy zdierał on jeszcze z pnia pas kory i wtykał go niedbale do paszczy przed podjęciem dalszego marszu na północ.

Kiedy stado dotarło do ogrodzenia Konrada Berga, obaj przewodnicy wysunęli się do przodu i zaczęli badać je z bliska, stojąc ramie przy ramieniu, jak gdyby się naradzając, poruszając wielkimi, szarymi uszami niby wachlarzami i co parę minut podrzucając trąbami w górę strugi piasku, który opadał im na grzbiety, uwalniając je na chwilę od dokuczliwych gzów.

Wędrując od czterdziestu lat po rezerwacie, oba słońie poznały dokładnie wszystkie jego granice, tak iż stojąc teraz przed ogrodzeniem wydawały się mieć pełną świadomość tego, że zniszczenie go byłoby aktem kryminalnym i jako taki przynoszącym uszczerbek ich dobremu imieniu i prestiżowi.

Konrad Berg zachowywał jak największą powagę, kiedy dyskutował z Dawidem na temat poczucia dobra i zła u „jego słońi”. Mówił o nich jak o młodzieży szkolnej, od której należy wymagać dobrego zachowywania się i którą trzeba dyscyplinować, gdy złamie ustalone zasady. W przypadku słońi owo dyscyplinowanie mogło polegać na przeganianiu, wstrzeleniu środka usypiającego, wreszcie na wykonaniu formalnej egzekucji przy użyciu wielkokalibrowej strzelby. Ów najwyższy wymiar kary był przewidziany dla niepoprawnych osobników, traktujących z upodobaniem uprawne pola, atakujących pojazdy bądź w inny sposób zagrażających ludzkiemu życiu.

Przezwyciężając pokusę, oba słońie odeszły od płotu i wolnym krokiem powróciły do stada, czekającego cierpliwie na ich decyzję pośród ciernistych krzewów. Przez następne trzy dni stado wędrowało w tę i z powrotem wzdłuż ogrodzenia, pożywiając się, odpoczywając i czekając. Potem wiatr zmienił nagle kierunek i powiał od zachodu, przynosząc ciężki, słodki zapach owoców drzew marula, tak apetyczny, że odbierający wprost zmysły...

Dawid zatrzymał Land-Rovera na skraju przesieki i uśmiechał się z niekłamanym zadowoleniem.

– Dobry walec na płot Konrada! – powiedział głośno sam do siebie.

Z racji indywidualnego poczucia dumy czy też może dla samej psotnej przyjemności niszczenia żaden z dorosłych słońi nie uznał za właściwe skorzystać z wyłomu

wykonanego przez któregoś ze swych towarzyszy. Każdy wybrał sobie własny słupek – tegi pał, zalany u dołu cementem i złamał go niby zapalkę. Na przestrzeni półtora kilometra słupki leżały pokotem, a splątane druty kolczaste zasłaly przesiekę.

Każdy ze słoni wykorzystał swój obalony słupek jako pomost do przejścia na drugą stronę bez nadeptania na druczane kolce. Następnie słonie zbiły się w gęste stado i ruszyły szybkim truchtem ku jeziorom, by spędzić noc na ucztowaniu trwającym aż do świtu, kiedy to, uraczywszy się do syta żółtymi owocami, miały zebrać się znów razem, by w ciasnym szyku wycofać się poprzez zrujnowane ogrodzenie w bezpieczne ostępy rezerwatu – kto wie, czy nie dręczone poczuciem winy i wyrzutami sumienia, żywiąc nadzieję, że być może Konrad Berg pomyli się i przypisze ów niecny czyn jakiemuś innemu rodzajowi zwierzęcy.

Jednak niezależnie od tego, co miał pomyśleć sobie Konrad Berg, obalone ogrodzenie otworzyło drogę wielu innym mieszkańcom rezerwatu, również od dawna tęskniącym za soczystymi łąkami i jeziorami Dżabulani.

Na przykład małym, brzydkim gnu o monsturalnych łbach, bojowo nastroszonych grzywach i wygiętych rogach, będących imitacją rogów potężnego bawołu – klaunom buszu, radośnie skaczącym i ganiającym się nawzajem w kółko. Ich towarzyszki, zebry, zachowywały się już w sposób znacznie bardziej dystyngowany, ignorowały błazenady gnu i zmierzały lekkim kłusem ku jeziorom, kołysząc rozłożystymi pasiastymi zadami, z uniesionymi głowami i nastawionymi czujnie uszami.

Konrad Berg dołączył do Dawida przy szczątkach ogrodzenia. Wysiadł ze swego chevroleta i stąpając ostrożnie wśród kolczastej plątaniny podszedł do niego. Towarzyszył mu Sam.

Berg popatrzył smętnie na obalone słupki i zachichotał.

– To stary Muhammad i jego przyjaciel Jednooki. Te ślady rozpoznałbym wszędzie. Nie mogli się powstrzymać, skurwysyny... – spojrzał na Debore, siedzącą w samochodzie.

– Wszystko w porządku, panie Berg – powiedziała Debora, przewidując przeprosiny.

Sam chodził tam i z powrotem skrajem przesieki, a teraz zbliżył się do nich.

– Jak się masz, Sam – zwrócił się doń Dawid.

Sporo czasu zabrało przekonywanie Sama, że owa okropnie zniekształcona twarz rzeczywiście należy do tego samego młodego nkosi Dawida, którego niegdyś uczył czytać tropy, strzelać i wyciągać z dzikiej barci plastry miodu, nie powodując jej zniszczenia.

Teraz Sam odnosił się do Dawida z godnością. Bardzo serio traktował swój obecny mundur, miał poczucie, że jest strażnikiem rezerwatu, a więc nie byle kim. Trudno

byłoby określić jego wiek, ponieważ miał szeroką, gładką twarz właściwą Nguni – arystokratycznemu plemieniu afrykańskich wojowników – lecz ciasno kręcone włosy na skroniach pod szerokim rondem przyprószyła mu siwizna, a poza tym Dawid wiedział, że Sam pracował w Dżabulani przez czterdzieści lat, musiał więc zbliżyć się już do sześćdziesiątki.

Sam złożył krótki raport Bergowi, wymieniając gatunki i liczbę zwierząt, które przeszły na teren Dżabulani. Mówił prostym dialektem Zulusów, który Dawid wciąż jeszcze jako tako rozumiał.

– Jest tam również stado bawołów, czterdzieści trzy sztuki. To są te, które przedtem piły wodę nad tamą Ripape, blisko Hlangulene.

– To wprawi w ruch Akkersa. Połudwica młodych bawołów jest najlepszym surowcem na suszone mięso – stwierdził sucho Berg.

– Ile potrwa, zanim Akkers dowie się o ogrodzeniu? – spytał Dawid, na co Berg wdał się z Samem w długą i ognistą dyskusję, w której Dawid pogubił się już po pierwszych paru zdaniach.

– Sam twierdzi, że on już wie. Wszyscy twoi służący i ich żony robią u niego zakupy, a on płaci im za takie informacje. Wygląda na to, że Sam mocno nienawidzi Akkersa. Podejrzewa, że to on zorganizował pobicie go wieczorem na pustej drodze, po którym Sam leżał trzy miesiące w szpitalu. Oskarża też Akkersa o podpalenie chaty celem pozbycia się go z Dżabulani.

– To wszystko pasuje do siebie – stwierdził Dawid.

– Stary Sam ma wielką chęć dopomóc nam w złapaniu Akkersa i mówi, że ma gotowy plan.

– To ciekawe.

– Sam mówi więc, że dopóki ty przebywasz w Dżabulani, Akkers będzie ograniczał się do nocnych polowań z latarnią. Zna wszystkie związane z tym tricki i nigdy go przy tym nie złapiemy.

– A więc?

– Musisz zapowiedzieć służącym, że wyjeżdżasz na dwa tygodnie, udajesz się do Cape Town w interesach. Gdy tylko wyjedziesz z domu, Akkers dowie się o tym i uzna, że ma całe Dżabulani do swojej dyspozycji...

Omawianie szczegółów planu zabrało im jeszcze ponad godzinę. Potem uściśniły sobie dłonie i rozstali się.

Kiedy Land-Rover był już blisko domu i wyjechali z rzadkiego lasu na jedną z soczystych łąk, Dawid ujrzał stado białych czapli krążących niby olbrzymie płatki śniegu nad falującym łąnem wysokich traw.

– Coś tam musi być – powiedział i wyłączył silnik. Siedzieli i czekali w milczeniu. Wreszcie Dawid dojrzał ruch pośród trawy – łan rozchyłał się i zamykał po przejściu ciężkich ciał. Potem trzy czaple, ustawione w rzędzie, zaczęły sunąć powoli w ich kierunku, siedząc na karku zanurzonego w trawie zwierza.

– To bawoły! – zawołał Dawid, gdy pierwszy z nich, wielki czarny byk wychynał z traw. Zatrzymał się u ich skraju ujrzawszy samochód, i przypatrywał mu się uważnie spod szerokich rogów i z uniesionym wysoko pyskiem. Nie okazywał jednak zaniepokojenia, był bowiem zwierzęciem z rezerwatu, niemal tak nawykłym do ludzi, jak udomowiony byk.

Stopniowo reszta stada wyszła z trawiastej topieli. Każde ze zwierząt dokonywało oglądu samochodu i pasażerów, by po chwili przystąpić z powrotem do szczypania trawy. Stado liczyło czterdzieści trzy sztuki, dokładnie tyle, na ile obliczył je Sam. Było tam kilka wspaniałych, starych byków, wysokich w karku na metr pięćdziesiąt i ważących prawie dziewięćset kilogramów. Ich rogi były grube, stykały się nad czołem, skąd zawijały się do dołu, a potem znów do góry i miały szorstką powierzchnię, która stawała się coraz gładsza dochodząc do czarnych, lśniących szpiców.

Chmary ptaków-czyścicieli tłoczyły się na grzbietach swoich ciężkich, krótkonogich wehikułów – ciemnopióre, miały szkarłatne dzioby i jasne oczy jak paciorki. Z opuszczonymi głowami grzebały w sierści i fałdach skóry swych tragarzy w poszukiwaniu insektów i robaków. Od czasu do czasu któraś z potężnych bestii chrząkała lub wydawała pomruk, śmigając tu i tam ogonem, gdy igłasta ssawka jakiegoś owada wbiła się w którąś ze szczególnie wrażliwych części ciała – pod ogonem lub w okolicy czarnego worka mosznowego. Ptaki ulatywały wtedy w górę, czyniąc straszny zgiełk, odczekiwały, aż zwierz uspokoi się, i obsiadały go na powrót, podejmując przerwane poszukiwania.

Dawid fotografował stado aż do zapadnięcia zmroku i do domu wrócili już po ciemku.

Przed obiadem Dawid otworzył butelkę wina. Popijali je na werandzie, siedząc blisko siebie i słuchając nocnych odgłosów buszu – krzyku nocnych ptaków, uderzeń latających insektów o moskitierę oraz całej gamy innych szeleszczących i brzęczących odgłosów, wydawanych przez drobnych, lecz nieskończenie mnogich mieszkańców tego tajemniczego świata.

– Czy pamiętasz, jak kiedyś powiedziałam ci, że jesteś rozpaskudzony i nie za bardzo nadajesz się na męża? – spytała Debora później, już w sypialni, opierając głowę na jego ramieniu.

– Nigdy tego nie zapomnę.

– Chcę teraz oficjalnie wycofać tamtą opinię – stwierdziła, a Dawid odsunął się delikatnie, tak żeby móc zobaczyć dokładnie jej twarz. Wyczuwając jego wzrok, uśmiechnęła się, właściwym sobie, jak gdyby nieco nieśmiałym uśmiechem. – Zakochałam się w niedojrzałym chłopaku – ciągnęła. – W rozpuszczonym chłopcu, który myślał tylko o szybkich samochodach i dziewczynach. A teraz czuję, że mam przy sobie naprawdę dorosłego mężczyznę – uśmiechnęła się znów – i wolę cię takim.

Objął ją i pocałował. Ich usta spotkały się, zatopiły jedno w drugich i dopiero po dłuższej chwili Debora westchnęła rozkosznie i położyła mu znów głowę na ramieniu.

– Myślę o tych dzikich zwierzętach. Tak bardzo ci na nich zależy...

– Tak? – zachęcił ją, by kontynuowała.

– Zaczynam to rozumieć. Dla mnie też nabrały znaczenia, chociaż nigdy ich nie widziałam. – To dla mnie ważne i radosne. To nasze miejsce, Dawidzie. Jest takie spokojne, takie rozkoszne... Taki musiał być ogród Eden przed upadkiem człowieka.

– Może nie jest jeszcze całkiem takie, ale my go takim zrobimy – powiedział z determinacją, lecz w tym właśnie momencie szmery nocy zagłuszył daleki odgłos strzału. Dawid wstał szybko, zostawił Deborah ciepłą pogrążoną już w spokojnym śnie i wyszedł na werandę.

Znowu dał się słyszeć odległy huk wystrzału. Dawida ponownie ogarnął gniew. Wyobraził sobie długi snop światła lampy-szperacza, penetrujący uparcie zarośla i zatrzymujący się nagle na sylwetce zaskoczonego zwierzęcia, trzymający ogłupiałe, niezdolne uciekać stworzenie w plamie jaskrawego blasku, czyniący zeń znakomity wprost cel w teleskopowym celowniku strzelby kłusownika.

Potem rozlega się huk, z lufy strzelby tryska płomień, łeb zwierzęcia odskakuje w tył, pchnięty impetem kuli, słychać głuchy odgłos upadku, parę ostatnich, konwulsyjnych wierzgnięć i znów zapada cisza.

Dawid zdawał sobie sprawę z tego, że rozpoczęcie teraz pogoni za kłusownikiem nie miałyby najmniejszego sensu. Ten bowiem miał bez wątpienia współnika usadowionego gdzieś na pobliskich wzgórzach, który natychmiast dałby mu świetlny sygnał ostrzegawczy, gdyby w którymś z okien domu zapaliło się światło lub gdyby usłyszał odgłos zapalającego silnika samochodu. Kłusownik natychmiast zgasiłby szperacz i umknął. Przeciwnik był przebiegły i doświadczony i można go było wziąć jedynie jeszcze większą przebiegłością.

Dawid nie mógł zasnąć. Leżał obok Debory z otwartymi oczami. Słychać było tylko jej spokojny oddech i co jakiś czas odgłos wystrzałów. Zwierzęta były niepłochliwe i łatwe do podejścia, po długotrwałym pobycie na bezpiecznym obszarze rezerwatu. Po każdym strzale z pewnością uciekały, ale niezbyt daleko, znów stawały i patrzyły, bez

zrozumienia i lęku, jak tajemniczy, oślepiający snop światła tańcząc zmierza ku nim w ciemnościach.

Gniew w piersi Dawida żarzył się przez długie nocne godziny. O świcie sępy przystąpiły do dzieła – czarne plamki na tle nieba zaróżowionego o brzasku słońcem, unoszące się wysoko na szerokich skrzydłach, zataczające kręgi i spływające szybko w dół, ku miejscom, gdzie czekał na nie żer.

Dawid zatelefonował do Konrada Berga w osiedlu Skukuza, po czym razem z Deborą, ubrani ciepło, by nie dał im się we znaki poranny chłód, wsiedli do Land-Rovera, do którego wskoczył również Zulu. Obserwując kruki, kierowali się do miejsca, gdzie kłusownik natrafił na stado bawołów.

Gdy zbliżyli się do pierwszych zwłok, czworonożni padlinożercy rzucili się do ucieczki – garbata hiena czmychnęła tchórzliwie między drzewa, oglądając się za siebie, z jakby przeproszającą miną, i mały rudy szakał o nastawionych czujnie uszach, który odbiegł na stosowną odległość, przystanął i przypatrywał się im ciekawie.

Sępy były mniej strachliwe. Kłębiły się niby grube, brązowe larwy, dziobiąc i szarpiąc, rozsiewając cuchnące odchody i pióra. Poderwały się ze zwłok, dopiero gdy samochód zbliżył się na kilka metrów, odleciały na pobliskie drzewa i obsiadły ich gałęzie, odrażające i groteskowe ze swymi nieopierzonymi czaszkami.

Naliczyli szesnaście martwych sztuk. Każdy z bawołów miał rozcięty brzuch, by sępy miały dostęp do wnętrzości, oraz wycięte wprawnie połówkę i płat mięsa z lędźwi.

– Zabijał je tylko dla paru funtów mięsa? – spytała Debora z niedowierzaniem.

– Tak – potwierdził Dawid ponuro. – Ale to jeszcze nie jest tak źle. Czasami zabijają antylopę gnu tylko po to, żeby zrobić z jej ogona wiecheć do odganiania much, albo kładą trupem żyrafę, żeby wyssać szpik z jej kości.

– Nie mogę pojąć – powiedziała ze smutkiem Debora – co popycha człowieka do czegoś takiego. Przecież nie gwałtowna potrzeba mięsa.

– Nie – potwierdził Dawid. – Przyczyna jest głębsza. Takie zabijanie ma podłoże w instynkcie. Ten człowiek zabija dla samej emocji, jakiej przy tym doznaje. Zabija, żeby zobaczyć, jak zwierzę pada, usłyszeć jego śmiertelny jęk, poczuć zapach świeżej krwi... – głos mu się załamał. – To jeden z tych przypadków, w których możesz być wdzięczna losowi, że nie widzisz – dodał cicho.

Konrad Berg odnalazł ich przy bawolich zwłokach. Zaraz też polecił swoim ludziom oprawić i podzielić tusze.

– Nie ma sensu marnotrawić takiej ilości mięsa. Pożywi się nim wielu ludzi.

Potem wysłał Sama, by ten zbadał ślady. Grupa kłusownicza liczyła czterech ludzi.

Jeden z nich nosił lekkie buty o karbowanych podeszwach, pozostali chodzili boso.

– Jeden biały człowiek, wysoki, długie nogi. Trzej czarni nieśli mięso – tu i tam kapą krew.

Szli wolno przez zarośla za Samem, który rozchyłał trawę cienkim kijem, posuwając się po śladach prowadzących do drogi publicznej o bitej nawierzchni.

– Tutaj zaczęli iść tyłem – oznajmił Sam, a Berg wyjaśnił ponuro:

– To stary trick kłusowników. Przekraczając granicę, idą tyłem. Kiedy obchodząc ogrodzenie zauważysz ślad, myślisz, sobie, że szli w przeciwnym kierunku – opuszczali teren, a nie wchodzili nań, i nie widzisz sensu w ich ściganiu.

Ślad prowadził przez dziurę w płocie do drogi, przecinał ją i wchodził na jeden z obszarów plemiennych. Kończył się w miejscu, gdzie musiał stać samochód, ukryty za gęstą kępą drzew hebanowych. Ślady opon, wyraźne w piaszczystym gruncie, wychodziły stąd i ginęły na drodze.

– Może zrobić gipsowe odlewy śladów opon? – zaproponował Dawid.

– Strata czasu – Berg potrząsnął głową. – To pewne, że są zmieniane przed każdą taką wyprawą. On ma parę takich kompletów i przechowuje je w dobrym ukryciu.

– A gilzy po wystrzelonych ładunkach?

Berg zaśmiał się krótko.

– Siedzą w jego kieszeni, to przecież cwaniak. Nie będzie rozsiewał dokoła materiałów dowodowych. Podnosi je zawsze po strzale. Nie, będziemy się musieli nieźle wysilić, żeby go przechytryć – powiedział i spoważniał. – No właśnie. Wybrałeś już miejsce, w którym należałoby postawić Sama?

– Myślę, że ustawimy go na jednym ze wzgórz blisko Sznura Pereł. Będzie stamtąd widział cały obszar Dżabulani, każdy kamię na drodze, a poza tym wysokość zapewni dobrą łączność przez radiotelefon.

Po obiedzie Dawid zapakował torby do pomieszczenia bagażowego Navajo. Wyplacił służącym z góry za dwa tygodnie.

– Pilnujcie dobrze wszystkiego – przykazał im. – Wrócę dopiero pod koniec miesiąca.

Wprowadził Land-Rovera do hangaru i zostawił go zwróconego przodem do otwartych wrót i z kluczykiem w stacyjce, gotowego do szybkiego wyjazdu. Wystartował i wziął kurs na zachód, przelatując tuż nad Wzgórzem Bandolierów i budynkami wśród drzew mangowych. Nie dostrzegł tam żadnego znaku życia, niemniej leciał dalej na zachód, dopóki wzgórze nie znikło za linią horyzontu. Wtedy wykonał szeroki skręt na południe i wziął kurs prosto na Skukuzę, główne osiedle w Parku Narodowym Krugera.

Konrad Berg czekał na nich obok pasa startowego w chevrolecie, a jego żona

ustawiła w gościnnym pokoju wazon ze świeżymi kwiatami. Dżabulani leżało na północnym zachodzie, osiemdziesiąt kilometrów stąd.

Oczekiwanie przypominało zapomniany już stan „czerwonego” pogotowia dywizjonu Lanca – gotowy do lotu Navajo stał w cieniu rozłożystego drzewa na końcu pasa startowego, z radiostacją nastawioną na odbiór, szumiącą cicho na częstotliwości, na którą nastrojony był nadajnik Sama, przyczajonego na szczycie wzgórza obok jezior.

Dzień był nieznośnie upalny, a od wschodu nadciągała burza, ciemne kłęby cumulusów niby zastęp złowrogich gigantów nadciągały nad równinę.

Debora, Dawid i Konrad Berg siedzieli pod skrzydłem samolotu – w kabinie upał był nie do wytrzymania – i rozmawiali, wsłuchując się cały czas w szum radiostacji, napięci i skupieni.

– Chyba się dzisiaj nie zjawi – stwierdziła Debora krótko przed południem.

– Zjawi się – w głosie Berga brzmiała pewność. – Te bawoły to zbyt wielka pokusa. Może nie dzisiaj, a jutro lub pojutrze, ale zjawi się na pewno.

Dawid podniósł się, wspiał się do kabiny i przeszedł na sam jej przód.

– Sam, czy słyszysz mnie? – spytał, pochylając się do mikrofonu.

Nastąpiła dłuższa pauza, w trakcie której Sam prawdopodobnie przypominał sobie procedurę przejścia na nadawanie, potem dał się słyszeć jego głos, słabo, lecz wyraźnie.

– Słyszę cię, nkosi.

– Czy dostrzegłeś coś?

– Nie ma nic.

– Obserwuj uważnie.

– Dobrze, nkosi.

Jane Berg przyniosła im zimny lunch do samolotu. Rozłożyli obrus na trawie i pomimo napięcia jedli z apetytem, a gdy już mieli się zabrać do stanowiącego deser placka z owocami, radiostacja nagle zatrzeszczała, głos Sama zabrzmiał w kabinie i dotarł do miejsca, gdzie siedzieli.

– Przyjechał!

– „Czerwone” pogotowie, start! – zawołał Dawid. Cała trójka zerwała się i ruszyła do kabiny, przy czym Debora wdepnęła jeszcze w sam środek owocowego placka Jane, zanim Dawid wziął ją za rękę i pomógł zająć miejsce w środku.

– Tu Lanca jeden, jestem w powietrzu, nabieram wysokości! – zażartował w podnieceniu i nagle powracające wspomnienie zapiekło go niczym chłasnieniem bicia. Pamiętał przecież, że tam, z tyłu, na godzinie szóstej miał zawsze za sobą Joego... Otrząsnął się jednak ze wspomnień i skupił całą uwagę na pilotowaniu. Postanowił nie

tracić czasu na wzbijanie się w górę i poprowadził maszynę nisko, tuż nad wierzchołkami drzew.

Konrad Berg siedział tuż za nim, wychylony do przodu, a jego twarz była bardziej ceglasta niż zazwyczaj, barwą przypominała raczej mocno przejrzały pomidor.

- Gdzie są kluczyki od Land-Rovera? – zapytał.
- W samochodzie, w stacyjce. A paliwa jest pod korek.
- Nie możesz lecieć szybciej? – burknął Berg.
- A nie zapomniałeś przypadkiem swojego radiotelefonu? – odciął się Dawid.
- Mam go tutaj!

Berg w jednej z podobnych do bochnów dłoni ścisnął radiotelefon, w drugiej zaś swoją dwulufową strzelbę kalibru czterdzieści pięć.

Dawid przeskakiwał ponad wyższymi drzewami i prześlizgiwał się nad małymi wzniesieniami, muskając je niemal podwoziem. Przemknęli nad ogrodzeniem na granicy i ujrzeli przed sobą wierzchołki wzgórz Dżabulani.

– Przygotuj się – rzucił do Berga, naprowadził maszynę na pas, wylądował i podkołował do hangaru, gdzie czekał Land-Rover.

Berg wyskoczył z maszyny natychmiast, gdy ta zatrzymała się, zatrzasnął drzwi kabiny i pobiegł do samochodu. Dawid nie zwlekając otworzył przepustnicę, obrócił samolot, potoczył się po pasie i oderwał od ziemi, zanim jeszcze Navajo zdołał nabrać właściwej prędkości.

Zobaczył, jak Land-Rover mknie po pasie startowym, wznosząc za sobą obłok kurzu.

- Słyszysz mnie, Connie?
- Głośno i wyraźnie – głos Berga zahuczał z głośnika. Dawid wykonał zwrot, kierując się tam, gdzie szara wstążka drogi snuła się między drzewami po drugiej stronie wzgórz. Po chwili leciał już nad nią, na wysokości pięciuset stóp, wypatrując półciężarówki.

Zielony ford stał ukryty podobnie jak poprzednio, pośród gęsto rosnących hebanowców, trudny do wykrycia dla obserwatora naziemnego, lecz doskonale widoczny z powietrza. Akkers nie liczył się w ogóle z tym, że zagrożenie może przyjść z góry.

– Halo, Connie, znalazłem samochód. Stoi w kępie drzew hebanowych niedaleko wyschniętego strumienia Luzane, jakieś siedemset metrów w dół. Jedź drogą aż do mostu, a potem korytem strumienia i postaraj się odciąć mu drogę do wozu.

- W porządku.
- I pospiesz się.
- Właśnie to robię.

Dawid widział smugę kurzu nad drzewami. Berg musiał rzeczywiście mocno dusić

pedał gazu.

– Ja postaram się wyszukać samego Akkersa i pogonić go w twoje ramiona.

– Będę czekał.

Dawid skierował nos samolotu w stronę wzgórz, otworzył nieco bardziej przepustnicę i wzbił się w górę, by szczyty wzgórz nie przesłaniały mu widoku. W dole połyskiwały jeziora, a on pochylał maszynę to na jedną, to na drugą burtę, śledząc pilnie teren.

Na szczycie najwyższego ze wzgórz drobna postać wymachiwała rękami.

– To Sam – mruknął Dawid. – Wykonuje swój taniec wojenny.

Zmienił nieco kurs, by przelecieć blisko obok niego. Widząc zbliżający się samolot, Sam przestał udawać wiatrak i znieruchomiał, wskazując wyciągniętą ręką na zachód. Dawid uniósł dłoń na znak, że zrozumiał, i zwrócił w tym kierunku maszynę, schodząc jednocześnie w dół.

Miał teraz przed sobą równinę, pocętkowaną niby grzbiet leoparda kępami zarośli i zielonymi plamami trawy. Po minucie lotu ujrzał w oddali przesuwaną się powoli czarną masę, amorficzną i niewyraźną na brązowym tle. Były to resztki bawolego stada, które poderwało się i uciekało na oślep, widocznie po kolejnym ciosie, który mu zadano.

– Bawoły. Uciekają w panice – powiedział do Debory, która siedziała w fotelu obok, z dłońmi splecionymi na podołku, patrząc przed siebie niewidzącymi oczami.

– Ach! – wykrzyknął prawie w tym samym momencie. – Mamy go! I to z krwią na rękach!

Pośrodku sporej łąki leżał martwy bawół, ze sterczącym, opasłym brzuchem i wyprostowanymi, sterczącymi nogami. Wokół niego stało czterech ludzi, wyraźnie mających zamiar zabrać się do oprawiania zdobyczy. Trzej z nich byli to czarnoskórzy, z których jeden trzymał w ręce nóż.

Czwartym mężczyzną był Johan Akkers. Wysoka, szczupła sylwetka wykluczała pomyłkę. Miał na głowie stary, czarny, pilśniowy kapelusz, osobliwie pasujący do jego obecnego zajęcia, a szerokie szelki krzyżowały się z tyłu na brunatnej koszuli. W prawej dłoni trzymał strzelbę. Usłyszawszy warkot silników samolotu, odwrócił się na pięcie, uniósł głowę i zamarł, zrozumiawszy, że oto sam stał się łowną zwierzyzną.

– Bydlaki, przeklęte świnię! – wyszeptał Dawid, czując, jak ogarnia go wściekłość. – Trzymaj się mocno! – rzucił do Debory i zaczął schodzić ostro w dół, celując w Akkersa.

Grupka wokół martwego bawołu rozprysła się na widok nadlatującego samolotu. Każdy z kłusowników zaczął uciekać na własną rękę w obranym przez siebie kierunku, lecz Dawid nie wahał się ani przez moment – jego celem była pochylona w biegu wysoka

postać w czarnym kapeluszu z zagiętym w dół rondem. Śmigło samolotu kosiło co wyższe źdźbła wyschniętej trawy, gdy Dawid gnał koszącym lotem, zbliżając się błyskawicznie do uciekającego.

Gonił Akkersa, mając pełną świadomość, że chce go zabić, zmiażdżyć, zamienić w ochłap pokiereszowanego mięsa. Powodował nim teraz mocniejszy od rozsądku gniew samca broniącego swej własności. Toteż mierzył prosto, wlepiwszy wzrok w nieco rozmazaną, widoczną bowiem poprzez wirujące śmigło, biegnącą sylwetkę.

Prawie w ostatniej chwili Akkers spojrział w tył przez ramię. Jego twarz była szara ze strachu, widocznego także w oczach, osadzonych głęboko w ciemnych oczodołach. Zobaczył mordercze śmigło tuż za sobą i w tym samym momencie rzucił się plackiem na ziemię.

Navajo śmignął nad nim dosłownie o centymetry. Dawid natychmiast położył maszynę w zakręt, tak że lewe skrzydło muskało końce traw. Lecąc po łuku zobaczył, że Akkers był znów na nogach i biegł dalej ku drzewom, od których dzieliło go jeszcze jakieś pięćdziesiąt kroków.

Wykonawszy zwrot wycelował znowu w biegnącego, lecz zorientował się, że nie zdoła go już dopaść. Przyspieszył, lecz sadząca susami postać Akkersa zbliżała się już do bezpiecznej ściany drzew. Znalazłszy się pod zbawczą osłoną potężnego drzewa, Akkers zatrzymał się, odwrócił, uniósł strzelbę i przyłożył do ramienia. Mierzył w nadlatujący samolot. Lufa chwiała się co prawda na boki, ale cel znajdował się blisko.

– Schył się! – krzyknął Dawid, popychając głowę Debory w dół, pod krawędź szyby, otworzył do końca przepustnicę i poderwał nos maszyny ostro w górę.

Nawet jazgot silników nie zdołał zagłuszyć kłaśnięcia wielkokalibrowego, miękkiego pocisku o kadłub samolotu.

– Dawidzie, co się dzieje? – spytała przestraszona Debora.

– Strzelił do nas, ale nic się nie stało. W każdym razie mamy go. Musi teraz umykać do samochodu, a tam będzie już czekał na niego Konrad.

Akkers posuwał się teraz pod osłoną drzew, a Dawid krążył w górze i pilnował uciekającego, którego sylwetka migąła raz po raz pomiędzy drzewami, zmierzając konsekwentnie w kierunku samochodu.

– Dawidzie, słyszysz mnie? – głos Berga zabrzmiał niespodziewanie z głośnika.

– Co się stało, Connie?

– Mamy pecha. Najechałem na jakąś cholerną skałkę i rozwaliłem miskę olejową. Wóz jest nie do użytku.

– Jak, u diabła, udało ci się to zrobić?

– Spróbowałem pojechać na skrót – upokorzenie w głosie Berga było wyraźnie

słyszalne przez głośnik.

– Jak daleko jesteś od Luzane?

– Niecałe pięć kilometrów.

– O Boże, on będzie tam przed tobą. Jest teraz o trzy kilometry od samochodu i gna, jakby miał inspektora podatkowego na karku.

– Nie wiesz jeszcze, ile pary ma w nogach stary Konrad. Będę tam pierwszy i poczekam na niego! – obiecał Berg.

– Powodzenia.

W dole Akkers posuwał się wzdłuż podnóży wzgórz. Jego czarny kapelusz migotał w zaroślach. Dawid krążył nad nim, starając się nie stracić go z oczu.

W pewnej chwili jakiś ruch na zboczu, u stóp którego biegł właśnie Akkers, przyciągnął jego uwagę. W pierwszym momencie pomyślał, że to zwierzę, lecz zaraz zorientował się, że nie, i z desperacji zaczerpnął głęboko powietrza.

– Co takiego? – spytała Debora, wyczuwając jego emocję.

– To Sam, ten przeklęty głupiec. Konrad zakazał mu opuszczania stanowiska, jest nie uzbrojony, a on tymczasem gna po zboczu, żeby odciąć drogę Akkersowi.

– Nie możesz go powstrzymać? – spytała Debora lękliwie, lecz Dawid uznał to pytanie za niewarte odpowiedzi.

Wywoływał Berga czterokrotnie, zanim usłyszał jego głos, zdławiony i świszczący z wysiłku.

– Sam ruszył na Akkersa. Przypuszczam, że chce go zatrzymać.

– A niech go jasna cholera! – zajęczał Berg. – Skopię mu ten jego czarny tyłek!

– Nie wyłączaj się. Podlecę bliżej.

Dawid widział wszystko jak na dłoni, był zaledwie jakieś trzysta stóp na ziemią, kiedy Akkers dostrzegł ponad sobą postać zbiegającą po zboczu. Stanął i uniósł nieco strzelbę, być może wykrzyknął też jakieś ostrzeżenia, ale Sam nie zatrzymał się ani na moment i z impetem sadził w dół ku człowiekowi, który spalił mu dwójkę dzieci.

Akkers przyłożył strzelbę do ramienia i mierzył w skupieniu.

Odrzut strzału poderwał lufę do góry, i oto nogi Sama poruszały się nadal, podczas gdy tors, pchnięty ciężkim, tęym pociskiem, odchylił się do tyłu.

Mała, ubrana w brązowy mundur figurka upadła i potoczyła się po pochyłości, by zatrzymać się bezwładnie na kępie krzaków u jej podnóża.

Dawid obserwował Akkersa, gdy ten ładował na nowo strzelbę i schylił się, by podnieść gilzę po wystrzelonym pocisku. Widział też, jak Akkers unosi głowę i spogląda na krążący nad nim samolot. Nie był pewien, ale wydawało mu się, że Akkers się śmieje, jakby słyszał nawet obrzydliwe kłapanie jego sztucznej szczęki. Potem Akkers odwrócił

się i ruszył żywym truchtem po szlaku wiodącym do samochodu. – Connie – powiedział Dawid posepnym głosem do trzymanego w ręce mikrofonu – on właśnie zabił Sama.

Konrad Berg biegł ciężko po nierównej, piaszczystej ziemi. Zgubił po drodze kapelusz i pot ściekał strumieniami po jego szerokiej, czerwonej twarzy, kłując go w oczy i zlepiając mu na czole siwe włosy. Radiotelefon, przewieszony przez pierś i przesunięty do tyłu, łomotał go w krzyż, a kolba strzelby waliła rytmicznie w biodro.

Biegł z ponurą zawziętością, usiłując zignorować łomotanie serca i ból płuc rozdzieranych zdyszonym oddechem. Jakaś kolczasta gałąź pozostawiła mu cienkie, krwawe ślady na ręce poniżej ramienia, lecz ani na chwilę nie zwolnił rytmu kroków.

Uniósł przekrwioną, błyszczącą twarz ku niebu i zobaczył samolot Dawida, zataczający kręgi, z przodu i trochę na lewo. Samolot określał pozycję Akkersa i było jasne, że Konrad przegrywa w tym desperackim wyścigu.

Radiotelefon na jego plecach zabrzączał, lecz Konrad zignorował wywołanie – teraz za żadną cenę nie mógł się zatrzymać. Gdyby stanął, padłby po prostu z wyczerpania. Był duży i ciężki, powietrze było gorące i gęste, przebiegł już w tym skwarze cztery i pół kilometra – dobiegał kresu wytrzymałości, dobywał ostatnich sił.

Wtem ziemia uciekła mu spod nóg i runął w dół, na pół ześlizgując się, na pół tocząc po stromym brzegu strumienia Luzane, by wreszcie lec na plecach na białym jak cukier piasku na dnie koryta, czystym i gruboziarnistym.

Radiotelefon ugniatał go boleśnie w plecy, uniósł się więc i wyciągnął go spod siebie. Wciąż leżąc i dysząc jak zgoniony pies, oślepiiony potem, wymacał i przekręcił przełącznik.

– Dawidzie – wychrypiał do mikrofonu – jestem w korycie strumienia, czy mnie widzisz?

Samolot przelatywał właśnie bezpośrednio nad nim i odpowiedź przyszła natychmiast.

– Widzę cię, Connie. Jesteś w dole strumienia, niecałe sto metrów od samochodu. Akkers już tam jest, właśnie wsiadł do wozu, za chwilę zjedzie na dół!

Powoli, walcząc z bólem i wciąż łapiąc ciężko oddech, Konrad uniósł się na kolana i w tym momencie usłyszał rżenie zapalanego silnika, które zaraz przeszło w płynny warkot. Zdjął ciężki radiotelefon, odłożył go na bok, następnie uniósł strzelbę i sprawdził, czy w komorach tkwią naboje, po czym wstał i wyprostował się z wysiłkiem.

Zdziwiony słabością swego potężnego ciała, powłókł się na środek koryta. Miało ono w tym miejscu mniej więcej dwa i pół metra głębokości i prawie pięć szerokości. Brzegi po obu stronach wznosiły się prawie pionowo, a samo łóżko wyścielał gładko biały piasek,

w którym tu i ówdzie tkwiły obłe kamienie, nie większe od piłki tenisowej. Wyschnięty strumień stanowił wygodną drogę, którą niepostrzeżenie można było przedostać się w głąb Dżabulani. Ślady kół półciągarówki Akkersa były dobrze widoczne na piasku.

W niewielkiej odległości strumień zakręcał i zza tego zakrętu słychać było rżenie silnika forda, zjeżdżającego w miejscu, gdzie brzeg opadał łagodnie w dół, do łożyska strumienia.

Konrad Berg stał wyprostowany pośrodku białej wstęgi piasku, ze strzelbą opartą o biodro, i starał się zapanować nad oddechem. Jazgot motoru wzmógł się, półciągarówka wypadła z zakrętu i pędziła wprost na niego, wyrzucając spod tylnych kół fontanny piasku.

Johan Akkers prowadził pochylony nad kierownicą, w czarnym kapeluszu nasadzonym głęboko, aż po brwi, z poszarzałą i błyszczącą od potu twarzą. Zobaczył przed sobą Berga i natychmiast go rozpoznał.

– Stój! – krzyknął Berg, unosząc strzelbę. – Stój, bo strzelam!

Półciągarówka pędziła, kołysząc się i ślizgając na sypkim podłożu, silnik wył na maksymalnych obrotach. Akkers zaczął się śmiać. Berg widział jego otwarte usta i podrygujące ramiona, a obroty silnika nie spadły ani odrobinę.

Berg uniósł strzelbę i wycelował. Z tej odległości mógł łatwo wpakować po jednej kuli w oba głębokie oczodoły Akkersa, lecz ten nawet się nie pochylił, nie zrobił nic, by uniknąć śmiertelnego zagrożenia, czającego się w czarnych otworach dwóch luf strzelby Berga. Wciąż śmiał się i teraz Berg mógł już wyraźnie dojrzeć jego zęby umocowane do odpadającego sztucznego podniebienia. Półciągarówka była już nie dalej niż piętnaście metrów i pędziła wprost na niego.

Zabicie człowieka, rozmyślnie i z zimną krwią, wymaga specjalnych predyspozycji psychicznych. Decyzja taka może być wynikiem warunkowego odruchu żołnierza bądź funkcjonariusza czuwającego nad bezpieczeństwem publicznym, desperackim aktem człowieka ściganego albo szaleńca.

Konrad Berg nie był żadnym z nich. Tak jak większość dużych, silnych ludzi miał naturę w gruncie rzeczy dobrotliwą. Cała jego działalność koncentrowała się na chronieniu życia i wspieraniu go – nie potrafił nacisnąć spustu...

Mając maskę forda piętnaście metrów przed sobą, rzucił się w bok i w tej samej chwili Akkers obrócił kołem kierownicy, wyraźnie pragnąc go rozjechać.

Nie zdołał, jednak uderzył go bokiem kabiny, tak iż Berg śmignął jak piłka i wyrznął o stromy brzeg. Przy tym manewrze Akkers utracił kontrolę nad wozem, który popędził dalej, zaszorował o iłowate zbocze, wykuszając z niego masę suchej gliny i żwiru, odbił się i sunął zakosami, podczas gdy Akkers usiłował rozpaczliwie kontrować. Odzyskał

w końcu kontrolę nad wehikułem, ponownie wcisnął do oporu pedał gazu i pognał łożyskiem strumienia, pozostawiając za sobą Berga leżącego na miękkim, białym piasku u podnóża gliniastego nawisu.

W momencie uderzenia Berg poczuł, jak kość w jego biodrze pęka niby kruchy patyk, a potężny, płaski cios w klatkę piersiową wypchnął mu powietrze z płuc. Leżał w piasku przewrócony na bok i czuł, jak krew napływa mu powoli do ust. Miała gorzkosłony smak i Berg domyślał się, że któreś ze złamanych żeber musiało przebić mu płuco i że wewnętrzny krwotok grozi mu uduszeniem.

Odchylił nieco głowę i zobaczył, że radiotelefon leży na piasku o jakieś dziesięć kroków dalej. Zaczął pełznąć ku niemu, ciągnąc za sobą bezwładną i wywinętą pod dziwnym kątem nogę.

– Nie dałem rady zatrzymać go, Dawidzie. Wydostał się i ucieka – wyszeptał do mikrofonu i splunął krwią na biały piasek.

Dawid zobaczył forda, gdy ten wyjeżdżał z koryta strumienia tuż przy betonowym moście, zatoczył z poślizgiem łuk, podskoczył, forsując płytki rów irygacyjny, wjechał na drogę i skręcił w stronę Wzgórza Bandolierów oraz głównej drogi, nabierając znów prędkości. Kłęb kurzu unosił się za zielonym pojazdem, wskazując wyraźnie jego pozycję Dawidowi, gdy ten zawrócił maszynę, znajdując się o trzy kilometry z przodu.

Niedaleko za mostem na Luzane droga skręcała ostro, omijając występ skalny, potem biegła prosto trzy kilometry, otoczona z obu stron pojedynczymi, lecz grubymi drzewami, przecinając rozlewiska wodne i zarośla.

Wykonawszy zwrot, Dawid wyrównał i przymknął przepustnicę. Navajo zniżył się i leciał teraz nad pylną drogą niby nad pasem przeznaczonym do lądowania.

Naprzeciwko wznosiła się chmura kurzu, wzniecana przez pędzącego forda. Samochód i samolot zbliżały się do siebie, jak gdyby prąc do czołowego zderzenia. Dawid wprowadził maszynę z wyczuciem w wąski korytarz między drzewami, uspokajając przy tym Deborę i wyjaśniając jej swój zamiar.

Opuścił maszynę delikatnie na w miarę gładką powierzchnię drogi i gdy już się toczyła, otworzył znowu nieco bardziej przepustnicę. Miał dostateczną prędkość, by poderwać samolot do góry, gdyby Akkers wolał raczej zginąć, niż się poddać.

Dzieliło ich nieduże wzniesienie, ku któremu zbliżali się z przeciwnych stron, z łączną szybkością prawie trzystu dwudziestu kilometrów na godzinę. Akkers był bliżej pagórka i jego półciężarówka znalazła się u szczytu, gdy samolot dzieliło odeń nie więcej niż osiemdziesiąt metrów.

Nagły widok samolotu pędzącego drogą, zbliżającego się w błyskawicznym tempie, nacierającego straszliwymi, migotliwymi dyskami śmigieł – to było za dużo dla Johana

Akkersa, zbyt wiele dla jego mocno już nadwerężonych nerwów.

Obrócił gwałtownie kołem kierownicy i półciężarówka skręciła ostro, wpadając w przydrożny rów, podczas gdy koniec prawego skrzydła samolotu minął o centymetry tylną klapę.

Przednie koła utknęły na dnie rowu, samochód stanął dęba i przekoziółkował dwukrotnie, zanim uderzył o drzewo i legł na boku, pognieciony, z wyłamanymi drzwiami, wśród odłamków szkła z roztrzaskanych szyb szoferki.

Dawid zamknął przepustnicę i nacisnął mocno pedał hamulców.

– Poczekaj tutaj! – krzyknął do Debory, gdy Navajo zatrzymał się, i wyskoczył z kabiny na drogę. Jego twarz była zakrzepłą, bliznowatą maską, ale oczy jarzyły mu się pasją, gdy szaleńczym sprintem pokonywał odległość dzielącą go od wraku zielonej półciężarówki.

Akkers zobaczył go i chwiejnie dźwignął się na nogi. Wyleciał z kabiny na parę metrów i teraz, zataczając się, ruszył w jej kierunku. Wiedział, że jego strzelba leży gdzieś w szoferce, spróbował więc wspiać się po podwoziu, by sięgnąć po nią od góry, przez otwór po wyłamanych drzwiach. Krew z głęboko rozciętego czoła zalewała mu oczy i oslepiała go. Otarł ją wierzchem dłoni i rozejrzał się.

Dawid był tuż-tuż, przesadził właśnie jednym skokiem przydrożny rów i już doń dobiegał. Akkers zsunął się z wraku i sięgnął po nóż myśliwski, który miał w pochwie u pasa. Było to dwadzieścia centymetrów sheffieldzkiej stali, ostrej jak brzytwa, zakończonej kościaną rękojeścią.

Trzymał nóż klasycznym chwytem nożowników – ostrzem do góry, w na pół wyciągniętej ręce. Dłonią wolnej ręki otarł ponownie krew.

Pochylił się lekko, oczekując na Dawida, a rękojeść noża ginęła w jego potężnej, kościstej dłoni.

Dawid zatrzymał się na jakieś dwa metry od niego, śledząc oczami stalową klingę, a wtedy Akkers zaczął się znowu śmiać. Był to skrzeczący falset, histeryczny chichot człowieka znajdującego się na granicy obłądu.

Czubek noża kołysał się ospale, niby łeb wyprostowanej kobry, połyskując chwilami w słońcu. Dawid śledził go uważnie, okrążając Akkersa na lekko zgiętych nogach, przywołując na pomoc cały swój dawny trening spadochroniarza i przygotowując się psychicznie do ataku.

Akkers zrobił dwa szybkie kroki do przodu i zamarkował pchnięcie, a gdy Dawid odskoczył, wybuchnął jeszcze głośniejszym śmiechem.

Znowu krążyli wokół siebie. Akkers poruszał językiem swą sztuczną szczękę, kłapał nią, poświstywał i chichotał, łypiąc mętnozielonymi, głęboko osadzonymi oczami. Dawid

cofał się powoli, a Akkers napierał nań, spychając go ku wrakowi samochodu, starając się go doń przyprzeć.

Teraz Akkers zaatakował – skoczył do przodu zwinnie jak pantera, a ostrze noża śmignęło, celując w brzuch Dawida.

Dawid uchwycił za przegub rękę trzymającą nóż, blokując cios i odginając ją do dołu. Stali teraz, zetknięci piersiami, z twarzą przy twarzy, jak kochankowie, a cuchnący od nie mytych zębów oddech Akkersa bił w nozdrza Dawida, przyprawiając jego pasję domieszką wstrętu.

Zmagali się w ciszy, kołysząc się niby tancerze, neutralizując obustronne próby złamania przeciwnika.

Dawid czuł, jak ściskana przezeń ręka z nożem wywija się z jego chwytu. Akkers miał ręce jak ze stali i Dawid nie był w stanie go przemóc. Za parę sekund Akkers uwolni kiść i stalowe ostrze pograży się w jego brzuchu.

Zestawił nogi razem i szarpnął się w bok. Akkers wytracony z równowagi, nie zdołał go zbalansować i Dawid wykorzystał ten moment, by drugą dłonią uchwycić za uzbrojone ramię, lecz nawet oburącz mógł je utrzymać jedynie z największym wysiłkiem.

Ponownie zwarli się, drepzcząc i przepychając w śmiertelnym tańcu, aż upadli, wciąż spleceni ze sobą, tuż przy szoferce. Błazane pudło było gorące i pachniało olejem.

Dawid koncentrował wszystkie siły na utrzymaniu ręki z nożem, gdy tymczasem Akkers wyciągnął drugą rękę, usiłując chwycić go za gardło. Dawid pochylił głowę, przyciskając brodę do piersi, lecz palce Akkersa były twarde i mocne niby szczypce automatów. Wbijały mu się bezlitośnie w ciało, odgięły szczękę do góry, dopełzły do szyi i zaczęły się na niej zaciskać.

Dawid rozpaczliwie odepchnął rękę z nożem i stwierdził, że teraz nieco łatwiej może się z nią uporać, jako że Akkers skoncentrował się na duszeniu.

Otwór po roztrzaskanej przedniej szybie szoferki znajdował się tuż obok ramienia Dawida. Szyba rozsypała się w proch, lecz ostre odłamki szkła sterczały z metalowego obrzeża, tworząc coś w rodzaju nierównej, lecz straszliwie ostrej piły.

Dawid czuł, jak palce Akkersa zaciskają mu się na krtani, zgniatając ją i zamykając arterie doprowadzające krew do mózgu. Zrobiło mu się ciemno przed oczami, jak pod wpływem gwałtownego przeciążenia w trakcie powietrznej walki.

Zebrał resztkę sił i gwałtownym, okrężnym ruchem odgiął rękę z nożem w bok, prosto na najeżoną szkłem krawędź, przycisnął ją i przesunął po ostrych jak brzytwa odłamkach.

Akkers wrzasnął i dławiący chwyt jego palców na gardle Dawida zelżał, a Dawid

suwał jego rękę zapamiętała tam i z powrotem – szklane ostrza wrzynały się coraz głębiej w mięśnie, krając je, przecinając żyły, ścięgna i nerwy, zgrzytając o kość i obłamując się na niej z chrzęstem. Nóż wypadł z bezwładnej dłoni, a z gardła Akkersa dobywał się przeraźliwy skowyt.

Dawid puścił go i odepchnął. Akkers przetoczył się na plecy, potem na bok, skurczył się i dźwignął na kolana, wciąż krzycząc. Dawid wstał, jedną ręką oparł się o pudło samochodu, a drugą zaczął rozmasowywać sobie gardło. Chwytał łapczywie powietrze i mrok ustępował mu sprzed oczu wraz z przyływem świeżej krwi do mózgu.

– O Chryste, ja umieram! Tyle krwi! Boże, pomóż mi! – wykrzykiwał Akkers, klęcząc i przyciskając okaleczoną rękę do brzucha. – Jezu Chryste, nie pozwól mi umrzeć! Dobry Jezu, ratuj!

Krew lała się z okropnej rany i wsiąkała mu z przodu w spodnie. Krzycząc wypluł sztuczną szczękę i pusta jama ust zionęła czernią między ziemistymi, lśniącymi od potu policzkami.

– Zabiłeś mnie! Wykrwawię się na śmierć! – krzyknął w stronę Dawida. – Nie możesz mnie tak zostawić! Musisz mi pomóc!

Dawid oderwał się od wraku forda, dwoma susami przebył odległość dzielącą go od Akkersa i z półobrotu poczęstował go mierzonym pod szczękę kopniakiem, tak mocnym, że głowa klęczącego jak piłka odskoczyła do tyłu.

Akkers padł w tył, na plecy, i leżał nieruchomo, nie wydając żadnego głosu, a Dawid stał nad nim, dysząc ciężko.

Przystępując do opracowania sentencji wyroku, sędzia Barnard z transwalskiego oddziału Sądu Najwyższego uwzględnił także cztery wcześniejsze oskarżenia wniesione przeciwko Johanowi Akkersowi – dwa o naruszenie ustawy o ochronie dzikich zwierząt, jedno o usiłowanie napadu i jedno o napad dokonany z zamiarem wyrządzenia poważnej szkody cielesnej.

Uznał podsądnego za winnego czternastokrotnego złamania ustawy o ochronie dzikich zwierząt, lecz potraktował wszystkie te przypadki jako jeden, skazując Akkersa na trzy lata ciężkich robót bez prawa zamiany na grzywnę oraz na konfiskatę broni i pojazdów używanych przy popełnianiu tych czynów.

Następnie uznał go za winnego usiłowania napadu, za co orzekł karę trzech lat ciężkich robót, również bez zamiany na grzywnę.

W kolejnym punkcie oskarżenia prokurator zmienił kwalifikację czynu z usiłowania zabójstwa na napad z zamiarem wyrządzenia poważnej szkody cielesnej. Tu Akkers również został uznany za winnego i skazany na pięć lat więzienia, jak poprzednio, bez

zamiany na grzywnę.

Wreszcie co do głównego punktu oskarżenia – zarzutu morderstwa – sędzia Barnard uznał go za winnego i powiedział, co następuje:

– Rozważając możliwość orzeczenia za ten czyn kary śmierci, byłem zmuszony wziąć pod uwagę fakt, że oskarżony zachowywał się jak zwierzę złapane w pułapkę i że w jego działaniu nie dopatrzyłem się elementu premedytacji...

Tutaj wyrok opiewał na osiemnaście lat więzienia, przy czym wszystkie kary miały być odbywane kolejno. Sąd apelacyjny podtrzymał to orzeczenie w całej rozciągłości.

– Nieźle – stwierdził Konrad Berg, leżąc na łóżku w szpitalu, z gipsową kukłą nogi na wyciągniku, wznosząc w górę dłoń ze szklanką ukochanego dżinu Old Buck. – Na najbliższe dwadzieścia osiem lat mamy z głowy tego drania!

– Na dwadzieścia dziewięć, mój drogi, na dwadzieścia dziewięć! – poprawiła go małżonka tonem nie uznającym sprzeciwu.

W lipcu ukazało się amerykańskie wydanie Kraju naszych serc i znikło natychmiast w niezmierzonej i żarłocznej otchłani, której na imię brak zainteresowania i w której przepada wciąż tak wiele wartościowych książek.

Bobby Dugan, agent Debory w Ameryce, przysłał list, w którym wyrażał swoje ubolewanie i niezadowolenie. Spodziewał się, że przynajmniej paru krytyków zwróci uwagę na tę szczególną publikację.

Dawid odebrał ten stan rzeczy jako obelgę skierowaną wprost pod jego adresem. Przez tydzień szalał po buszu i wygłaszał płomienne tyrady, a w pewnym momencie wydawało się nawet, iż naprawdę gotów jest wyruszyć do Stanów, aby dopuścić się fizycznego gwałtu na tym kraju – dokonać w pojedynkę aktu będącego odwrotnością Wietnamu.

– Idioci! – zaperzał się. – To jest przecież najlepsza ze wszystkich książek, jakie kiedykolwiek napisano!

– Och, nie przesadzaj – protestowała skromnie Debora.

– Ależ tak! Mam wielką ochotę pojechać tam i zmusić ich, żeby wetknęli w nią nosy!

Debora wyobraziła sobie drzwi kolejnych biur wydawców nowojorskich otwierane kopniakiem i krytyków pierzchających w popłochu, skaczących z górnych pięter drapaczy chmur bądź zamykających się w damskich toaletach, byle tylko ująć przed gniewem Dawida...

– Dawidzie, jesteś ogromnie kochany – zaśmiała się, lecz w głębi ducha i ona czuła się zraniona. Klęska bolała ją, bolała bardzo. Czuła, jak cały jej zapał do pisania ulatuje i gaśnie pod zimnym podmuchem odrzucenia.

Kiedy teraz zasiadała przy swoim stole i brała do ręki mikrofon, słowa i frazy nie cisnęły się jej już na usta tak jak przedtem, a pomysły nie walczyły ze sobą o lepsze. Podczas gdy dawniej to, co opisywała, przewijało się jej przed oczami jak obraz na taśmie filmowej – widziała, jak jej bohaterowie śmieją się, płaczą bądź też sobie podśpiewują, obecnie dostrzegała tylko kłębiącą się mgłę, szarą, bezkształtną i ponurą.

Godzinami siedziała beczynn timer przy stole pod oknem, słuchając śpiewu ptaków.

Dawid wyczuwał i rozumiał jej depresję, i starał się jej pomóc w przełamaniu tego stanu. Kiedy godziny spędzane przy stole roboczym upływały bezpłodnie, nalegał, by zostawiła wszystko i wyruszyła z nim na wyprawę wzdłuż ogrodzeń wznoszonych na granicach posiadłości albo też łowić wielkie niebieskie leszcze, zamieszkujące głębsze partie jezior.

Ponieważ Debora poznała już na wylot rozkład domu i topografię najbliższego otoczenia, Dawid zaczął uczyć ją znajdowania drogi na bardziej odległych obszarach. Codziennie odbywali spacer do jezior i Debora zapamiętywała trasę wedle punktów orientacyjnych, których położenie mogła ustalić za pomocą rzeźbionej laski, podarowanej jej przez Dawida. Zulu szybko określił swoją rolę w tych wyprawach, a Dawid wpadł na pomysł przyczepienia mu do obroży małego, srebrnego dzwoneczka, tak że Debora mogła pewniej iść jego śladem. Wkrótce nauczyła się wędrować sama, po prostu rzucając Zulu nazwę miejsca będącego celem wycieczki i kontrolując od czasu do czasu trasę wedle swoich własnych punktów rozpoznawczych.

Dawid zajęty był obecnie usuwaniem resztek ogrodu Berga, który wciąż jeszcze leżał w szpitalu z nogą na wyciągu, oraz wznoszeniem swoich własnych ogrodzeń, mających chronić tak kuszące do naruszania pozostałe granice Dżabulani. Do tego musiał dokonać naboru i uformować grupę czarnych strażników terenu, których należało jeszcze do tego celu odpowiednio wytrenować. Dawid zamówił dla nich uniformy i wznosił punkty obserwacyjne we wszystkich miejscach, gdzie dostęp do Dżabulani był najłatwiejszy. Regularnie latał do Nelspruit, by konsultować się z Konradem Bergiem we wszystkich tych sprawach, i to właśnie za jego radą zabrał się do opracowywania, planu efektywniejszego wykorzystania zasobów wodnych Dżabulani. Nosił się z zamiarem utworzenia otwartych zbiorników wodnych również na terenach odległych od istniejących jezior i zaczął badać możliwość stworzenia systemu tam spiętrzających oraz otworów odprowadzających wodę. Dni miał wypełnione zajęciami, znajdował się nieustannie w ruchu, dzięki czemu jeszcze bardziej zeszczupłał, ale też wzmocnił się i opalił. Przy tym wszystkim jednak wiele godzin spędzał w towarzystwie Debory.

Laboratorium przysłało wywołany film zawierający kolorowe slajdy ze stadem bawołów, które swego czasu Dawid tak dokładnie obfotografował, a które później

zdziesiątkował Akkers. To, co było na nich widać, było, niestety, zaledwie bladym cieniem widoków, które Dawid pragnął utrwalić. Potężne zwierzęta stały się małymi plamkami zaśmiecającymi linię horyzontu, a ptaki czyściciele na ich grzbietach, w postaci maleńkich szarych cętek, były prawie niewidoczne. To niepowodzenie rozsierdziło Dawida, ale zarazem wpłynęło nań dopingująco, tak iż z kolejnej wyprawy do Nelspruit powrócił z teleobiektywem o ogniskowej sześćset milimetrów.

Gdy Debora zasiadła do pracy, Dawid ustawił obok niej aparat i przez otwarte okno fotografował ptaki. Rezultat był nie najlepszy. Z trzydziestu sześciu klatek na filmie trzydzieści pięć nadawało się do wyrzucenia, ale jedno ujęcie było wspaniałe. Widniała na nim szarogłowa dzierzba w locie, zawieszona w powietrzu na rozpostartych skrzydłach, o żywym ubarwieniu podmalowanym słońcem i skrzącym się oku.

Dawid połknął fotograficznego bakcyła i w domu zaczęło przybywać aparatów, obiektywów i statywów, aż wreszcie Debora zaprotestowała, stwierdzając, że jest to hobby o charakterze wyłącznie wizualnym, w którym ona w najmniejszym stopniu nie może uczestniczyć.

Wówczas Dawidowi przyszedł do głowy jeden z jego błyskotliwych pomysłów, tym razem istotnie genialny. Zamówił komplet płyt z wykonanymi przez June Stannard nagraniami śpiewów ptaków. Debora była oczarowana. Słuchała ich namiętnie, a jej twarz rozpromieniała się, kiedy rozpoznawała jakiś znajomy trzel.

Następnym i jakby logicznym krokiem z jej strony było podjęcie próby wykonania własnych nagrań. Okazały się one o wiele bogatsze, słycać w nich było dźwięk srebrnego dzwonka Zulu, rżenie zapuszczanego silnika Land-Rovera, pokrzykiwania służących, kłócących się na kuchennym podwórku – to wszystko na tle cichego, bardzo cichego świergotu ptaków.

– Nie wyszło najlepiej – stwierdziła ze smutkiem. – Ciekawe, jak June Stannard to robi, że w jej nagraniach głosy ptaków są takie czyste i zdają się brzmieć tak blisko?

Dawid przekopał się przez zestaw odpowiednich lektur i skonstruował dla niej paraboliczny reflektor do mikrofonu. Urządzenie nie wyglądało zbyt elegancko, ale funkcjonowało. Nacelowane na jakieś źródło dźwięku, zbierało wysyłane przez nie fale i kierowało je do mikrofonu.

Szybko porzucili okno i wyruszyli w busz. Dawid skonstruował trwałe i wygodne kryjówki na brzegach jezior przy wodopojach, a kiedy jego strażnicy wykryli miejsce, w którym zagnieździły się ptaki jakiegoś rzadkiego gatunku, wówczas sporządzali od razu prowizoryczne szałas z sitowia i płótna, gdzie Dawid i Debora spędzali razem w ciszy wiele radosnych godzin, utrwalając osobliwe obrazy i dźwięki. Nawet Zulu nauczył się leżeć wówczas cicho i spokojnie, mając przy takich okazjach odpięty

dzwonek.

Powoli skompletowali zestaw zdjęć i nagrań o rzeczywiście profesjonalnym standardzie. Dawid zebrał się w końcu na odwagę i wysłał do magazynu „African Wild Life” tuzin swoich najlepszych slajdów. Po dwóch tygodniach otrzymał odpowiedź stwierdzającą, że zostały przyjęte i będą opublikowane, do której dołączony był czek na sto dolarów. Honorarium w takiej wysokości stanowiło w przybliżeniu dwudziestą część jednego procenta kwoty, jaką Dawid wydał na sprzęt. Mimo to jego radość graniczyła niemal z ekstazą, a Debora cieszyła się prawie tak samo jak on. Do obiadu wypili dwie butelki oryginalnego Veuve Clicquot, a entuzjazm i szampan sprawiły, że ich kochanie się tej nocy było wyjątkowo ubogacone wlotami erotycznej fantazji.

Kiedy „African Wild Life” opublikowało fotografie Dawida opatrzone tekstem Debory, ona i Dawid zaczęli otrzymywać mnóstwo listów od rozsianych po świecie osób o podobnych zainteresowaniach, a redakcja przysłała zamówienie na obszerny, ilustrowany zdjęciami artykuł o Dżabulani i planach Morganów uczynienia z tego obszaru rezerwatu dzikiej zwierzyny.

Debora poza tym, że wystąpiła w charakterze wdzięcznego sztafażu na zdjęciach krajobrazowych, które Dawid wykonał do artykułu, pracowała pilnie nad tekstem, przy czym Dawid podsuwał jej pomysły i recenzował gotowe fragmenty. Zarzuciła pracę nad swą nową książką, lecz jej zły nastrój wyparował w gorączce radosnego, wspólnego tworzenia.

Wymiana korespondencji z innymi miłośnikami przyrody utrzymywała ich w dobrej kondycji intelektualnej, a w miarę regularne spotkania z Konradem Bergiem i jego żoną zaspokajały w pełni ich potrzeby towarzyskie. W dalszym ciągu nie tęsknili do ludzi i obecna sytuacja znakomicie im odpowiadała.

Artykuł dla „African Wild Life” był już prawie ukończony, kiedy niespodziewanie nadszedł list od Bobby Dugana z Nowego Jorku. Bobby pisał, że wydawczyni magazynu „Cosmopolitan” wpadł w ręce jeden z nielicznych sprzedanych egzemplarzy Kraju naszych serc i że książka spodobała się jej, tak iż redakcja zastanawia się nad przystąpieniem do publikowania jej w odcinkach, po zamieszczeniu wprowadzającego artykułu prezentującego sylwetkę Debory. Dalej Bobby prosił Deborę o przysłanie mu zestawu jej zdjęć i czterech tysięcy słów danych autobiograficznych.

Fotografie z zestawu przygotowanego dla „African Wild Life” były pod ręką, a liczącą cztery tysiące słów autobiografię Debora nagrała na taśmę w trzy godziny, wspomagana sugestiami Dawida, z których jedne były rzeczowe, inne tanio reklamarskie.

Taśmę i fotografie wysłali równocześnie z materiałami dla „African Wild Life”.

Upłynął niemal miesiąc bez żadnego odzewu, a potem wydarzyło się coś, co odwróciło ich myśli od całej tej sprawy.

Siedzieli w małym, skleconym z gliny i trzcin szałasie-kryjówce na brzegu największego z jezior. Wieczorny ruch u wodopoju ustał na chwilę, mieli więc moment wytchnienia. Aparat fotograficzny Dawida stał na statywie, z obiektywem wycelowanym przez otwór w ścianie szałasu, a nad kryjówką sterczała czasza mikrofonu parabolicznego Debory, pomalowana farbą o kamuflującym odcieniu, obracana za pomocą przytwierdzonej u dołu rękojeści.

Lustro wody było ciemne i nieruchome, tylko w pobliżu pasa odległych trzcin mącił je od czasu do czasu leszcz, chwytający żer na powierzchni. Stado gruchających gołębi przysiadło na brzegu obok stada plamiastych perliczek gwinejskich, zanurzających dzioby w wodzie, a potem unoszących je ku niebu, by pozwolić wodzie spłynąć gardłem w dół, do żołądka.

Nagle Dawid chwycił Deborę za rękę, co było dla niej sygnałem, że dostrzegł coś niezwykłego. Pochyliła się doń, by mógł ledwo słyszalnym szeptem wyjaśnić jej, co to takiego, a jednocześnie wolną ręką włączyła magnetofon i sięgnęła do uchwyty reflektora mikrofonu.

Stado rzadkich i niezwykle strachliwych antylop nyala zbliżało się nieśmiało do wodopoju, starając się trzymać do ostatniej chwili dającego poczucie bezpieczeństwa skraju lasu. Ich uszy były nastawione czujnie, nozdrza drżały i niespokojnie chwytwały powietrze, a wielkie, ciemne oczy jarzyły się niby lampy w ostatnich promieniach zachodzącego słońca.

Stado liczyło dziewięć bezrogich samic o kasztanowatej sierści w białe, pionowe pręgi, stąpających delikatnie i lekko, sunących za dwoma bykami. Te zaś były tak do nich niepodobne, że mogłoby się zdawać, iż należą do zupełnie innego gatunku – pokryte gęstą, czarną sierścią, z potężną grzywą włosów rozpoczynającą się między rogami i sięgającą aż po zad. Miały grube, spiralnie skręcone rogi o kremowych szpicach, a na czołach, pomiędzy oczami, białe znamię w kształcie litery „V”.

Antylopy zbliżały się powoli do brzegu, zatrzymując się co krok, zamierając w bezruchu i trwając tak z niewyczerpaną cierpliwością dzikich zwierząt, starając się wychwycić najślabszy sygnał zagrożenia.

Przeszły tak blisko kryjówki, że Dawid bał się nacisnąć spust aparatu, ponieważ mógłby je spłoszyć dźwięk otwierającej się i zamykającej migawki.

Oboje siedzieli w zupełnym bezruchu, podczas gdy stado podchodziło do wody. Debora uśmiechnęła się radośnie, gdy udało się jej wyłapać ciche posapywanie jednego z byków, wachającego powierzchnię wody przed przystąpieniem do picia, i bulgot

towarzyszący pierwszemu zaczerpnięciu przezeń wody do pyska.

Dopiero kiedy pozostałe antylopy zabrały się do gaszenia pragnienia, Dawid z okiem przy wizjerze wycelował, nastawił ostrość i przycisnął spust. – Cichy trzask migawki był jednak na tyle głośny, że najbliżej stojący byk dał susa w bok i wydał ostry, wibrujący, ostrzegawczy bek. W mgnieniu oka całe stado poderwało się, śmignęło niby blada zjawa i znikło wśród pobliskich drzew.

– Mam go! Mam go! – zawołała Debora, rozpromieniona. – Był tak blisko, że od tego chleptania omal nie pękły mi bębenki w uszach!

W Dżabulani zapanowało niezwykle podniecenie. Nigdy jeszcze nie widziano tu antylop nyala, nawet za czasów ojca Dawida, toteż teraz postanowiono zrobić wszystko, by zachęcić je do pozostania. Obszar jezior natychmiast uczyniono strefą zamkniętą dla strażników i służących, żeby nie wypłoszyć stada, zanim zdążyłoby zadomowić się na nowym terytorium i uznać je za swoje.

Przyjechał Konrad Berg, który wciąż jeszcze poruszał się z laską i mocno utykał; ten defekt miał mu pozostać zresztą już do końca życia. Razem z Dawidem i Deborą przyjrzał się stadu z kryjówki, a potem, już w domu, zasiadł wygodnie przed kominkiem, w którym płonęły grube polana, i przystąpiwszy do konsumpcji pierwszego befsztyka, podlewanego obficie dżinem, wygłosił swoją opinię:

– One nie przyszły tu z mojego rezerwatu, nie sądzę. Takiego dużego, starego byka jak te dwa na pewno rozpoznałbym, gdybym go już kiedyś widział. Prawdopodobnie przeniosły się tu z terenu należącego do kogoś innego – nie ogrodziłeś się jeszcze od południa, o ile się nie mylę?

– Jeszcze nie.

– No tak, zatem przyszły stamtąd. Zapewne znudzili im się ci wszyscy gapiący się na nie turyści.

Pociągnął łyk dżinu.

– Powoli zaczynasz gromadzić tutaj całkiem ładny inwentarz, Dawidzie. Jeszcze parę lat i będziesz miał naprawdę znakomitą menażerię. Masz jakieś plany co do organizowania wycieczek? Mógłbyś robić na tym dobry interes, tak jak robią go w Mala-Mala – pięciogwiazdkowe safari po umiarkowanych cenach...

– Nie, Connie. Jestem zbyt wielkim egoistą, żeby dzielić się tym, co tutaj mam, z kimkolwiek obcym.

Upływ czasu i podniecające wydarzenia sprawiły, że Debora otrząsnęła się już zupełnie z goryczy spowodowanej niepowodzeniem amerykańskiego wydania Kraju naszych serc. Któregoś ranka zasiadła przy stole i rozpoczęła pracę nad kolejną powieścią. Wieczorem zaś powiedziała do Dawida:

– Jednym z powodów, dla których nie mogłam sensownie pracować, było to, że nie miałam dla niej tytułu. To tak jak z dzieckiem – musisz dać mu imię, bo bez niego nie jest ono konkretną osobą.

– A teraz masz już tytuł?

– Tak.

– Zdradzisz mi go?

Debora zawahała się, onieśmielona, jako że i sama miała go wymówić po raz pierwszy.

– Chciałabym dać jej tytuł Inne miejsce na Ziemi – powiedziała.

Dawid zamyślił się, a ruch jego warg świadczył o tym, że go sobie powtarza.

– Podoba ci się? – spytała z niepokojem.

– I to bardzo – odparł. – Uważam, że jest znakomity.

Debora zasiadła do swego magnetofonu i w Dżabulani nastąpiły dni wypełnione pracą, miłością i śmiechem.

Telefon zadzwonił, kiedy Dawid i Debora siedzieli przy ruszcie w ogrodzie, piekąc befsztyki. Po paru dzwonekch Dawid zerwał się i pobiegł do domu.

– Panna Mordechaj? – zdziwił się, jako że panięskie nazwisko Debory odlegle już tylko kojarzyło mu się z jej osobą.

– Tak jest. Mam zamówioną rozmowę z przywołaniem z Nowego Jorku z panną Debora Mordechaj – powtórzyła niecierpliwie telefonistka i Dawid skojarzył sobie wreszcie, o kogo chodzi.

– Zaraz podejdzie – powiedział i krzyknął na Deborę.

Telefonał Bobby Dugan i był to ich pierwszy, poniekąd osobisty kontakt.

– Cudowna dziewczyno! – darł się Bobby do słuchawki – Usiądź zaraz, żebyś nie upadła. Twój daleki tata ma dla ciebie takie wiadomości, że zakręci się w głowie! „Cosmopolitan” opublikował artykuł o tobie dwa tygodnie temu. Poszli na całość – fotografia na stronę, o Boże, wyglądasz tak, że ślinka leci do ust...

Debora zaśmiała się nerwowo i kiwnęła na Dawida, by przysunął ucho do słuchawki.

– Magazyn ukazał się w sprzedaży w sobotę, a w poniedziałek rano zaczął się sądny dzień w księgarniach. Sypały się szyby w drzwiach. Podbiłaś bez reszty tutejszych ludzi, malutka. Przez pięć dni poszło siedemnaście tysięcy egzemplarzy w twardej oprawie i wskoczyłaś od razu na piąte miejsce na liście bestsellerów „New York Timesa” – to coś niespotykanego, to prawdziwy obłęd! Staniemy na głowie, ale musimy sprzedać pół miliona egzemplarzy. Wszystkie duże dzienniki i magazyny błagają nas o egzemplarze dla swoich działów literackich, pogubili te, które powysyłałam im trzy miesiące temu.

Drukarnia wypuszcza teraz pięćdziesiąt tysięcy nakładu, ale ja twierdzę, że to za mało – powinno być sto tysięcy! Popyt dopiero się zaczyna, w przyszłym tygodniu gorączka ogarnie zachodnie wybrzeże i zaczną nas zalewać zamówienia z całego kraju...

Bobby Dugan mówił jeszcze długo, piał i chichotał, roztaczał wizje i snuł plany, podczas gdy Debora wtórowała mu tylko wątlm śmiechem i powtarzała w kółko: „nie, nie wierzę” i „nie, to niemożliwe!”

Tego wieczora wypili trzy butelki Veuve Clicquot, a krótko przed północą na farmie w Dżabulani w łonie Debory poczęło się nowe życie.

„Panna Mordechaj potrafi łączyć perfekcyjne operowanie słowem i bezbłędne wyczucie literackie z atrakcyjnym stylem prawdziwego bestsellera” – pisał „New York Times”. „Kto powiedział, że dobra literatura musi być nudna?” – pytał „Time”. – „Talent Debory Mordechaj bije olśniewającym blaskiem.”

„Proza panny Mordechaj chwyta za gardło, ciska o ścianę, zwała z nóg i częstuje kopniakami. Zostawia cię na koniec wymiętego i zszokowanego – czujesz się tak, jak gdybyś cudem przeżył wypadek samochodowy.”

Dawid z dumą wręczył podpisany egzemplarz książki Konradowi Bergowi, który w końcu dał się nakłonić do rozstania z formułą „pani Morgan” i zaciął zwracać się do Debory po imieniu. Książka zrobiła na nim takie wrażenie, że bezpośrednio po jej przeczytaniu chwilowo pogorszył się stan jego zdrowia.

– Jak pani wymyśla to wszystko, pani Mordechaj? – spytał, a w jego głosie pobrzmiwał zarazem lęk i podziw.

– Deboro! – napomniała go Debora.

– Ona niczego nie wymyśla – pospieszyła z odpowiedzią Jane Berg. – To wszystko samo przychodzi jej do głowy – to jest właśnie coś, co się nazywa „natchnienie”.

Bobby Dugan miał rację – trzeba było szybko dodrukować kolejne pięćdziesiąt tysięcy egzemplarzy.

Mogłoby się wydawać, że los, który dotychczas obchodził się z nimi tak niełaskawie, by nie powiedzieć okrutnie, postanowił obsypać ich teraz szcudrze swymi dobrodziejstwami.

Kiedy Debora zasiadała przy swym stole do pracy, z każdym dniem coraz bardziej brzemienna, jej słowa zaczynały płynąć do mikrofonu wartkim potokiem i układały się w fabułę tak klarowną, jak toń źródłanych wód Sznura Pereł. Mimo to znajdowała jeszcze czas, by pomagać Dawidowi przy pracy nad ilustrowaną publikacją o ptakach drapieżnych żyjących w buszu, towarzyszyć mu w codziennych wyprawach do

rozmaitych zakątków Dżabulani oraz planować urządzenie pustej do tej pory, dziecięcej części domu.

Konrad Berg złożył jej wizytę pod nieobecność Dawida, by skonsultować z nią swój plan uzyskania dla Dawida nominacji na członka zarządu w komitecie sprawującym pieczę nad parkiem narodowym Krugera. Przedyskutowali tę kwestię bardzo szczegółowo. Członkostwo zarządu było funkcją wielce prestiżową i zwyczajowo zarezerwowaną dla osób starszych i bardziej wpływowych niż Dawid. Niemniej Konrad ufał, że sława nazwiska Morganów w połączeniu z imponującym stanem majątkowym Dawida oraz faktem, że jest on właścicielem Dżabulani, a także okazywanym przezeń zaangażowaniem w ochronę przyrody i wreszcie okolicznością, że mógłby on poświęcać dużo czasu na działalność w zarządzie – przeważą.

– Tak – skonkludowała Debora. – Jakieś wyrwanie się stąd i wejście między ludzi byłoby dla niego korzystne. Grozi nam, że staniemy się zupełnymi odludkami.

– A czy on się na to zgodzi?

– Nie martw się – uspokoiła Debora Konrada. – Już ja się o to postaram.

Okazało się, że miała rację. Po początkowym okresie skrzepowania na posiedzeniach zarządu, kiedy pozostali jego członkowie przyzwyczaili się do widoku niezwykle szpetnego oblicza i przekonali się, że za tą okropną maską kryje się siła, prawość i życzliwość, zaczęli obdarzać Dawida zaufaniem, które wzrastało z każdą jego bytnością w Pretorii, gdzie odbywały się posiedzenia tego gremium.

Debora latała tam razem z nim, i podczas gdy on brał udział w obradach, ona w towarzystwie Jane Berg wyruszała na zakupy, kompletując wyprawkę dla niemowlęcia i nabywając rozmaite artykuły, zarówno luksusowe, jak i po prostu potrzebne w domu, których nie można było kupić w mieście takim jak Nelspruit.

W listopadzie Debora była już zanadto ociężała, by odbywać długie loty, a do tego jeszcze zbliżała się pora deszczowa i w górze dochodziło do silnych zaburzeń atmosferycznych, w naładowanym elektrycznością powietrzu występowały zawirowania, kłębiły się chmury deszczowe i dokonywały gwałtowne ruchy konwergencyjne. Loty w tych warunkach były bardzo męczące, a poza tym Debora pracowała właśnie intensywnie nad ostatnimi rozdziałami nowej książki.

– Znakomicie dam tu sobie sama radę – upierała się. – Mam przecież telefon, a poza tym będzie mnie chronić sześciu strażników, czterech służących i ostry pies.

Dawid sprzeciwiał się i molestował ją przez pięć dni, żeby z nim poleciała. Uległ dopiero wtedy, gdy ustalił dokładny rozkład dnia, który miał spędzić poza domem.

– Wystartuję przed świtem, o dziewiątej rozpoczyna się posiedzenie, które potrwa do piętnastej, tak że będę tu z powrotem najpóźniej o osiemnastej trzydzieści – kalkulował

półgłosem. – Gdyby nie chodziło akurat o zatwierdzenie budżetu i przegłosowanie różnych kwestii finansowych, nie polecałbym – zawiadomiłbym ich, że jestem chory.

– To są ważne sprawy, kochanie. Musisz polecieć.

– Na pewno dasz sobie ze wszystkim radę?

– Nie zauważę nawet, że cię nie ma.

– Licz się bardziej ze słowami – zaperzył się Dawid. – Mógłbym zostać po prostu w tym celu, żeby cię ukarać.

Wczesnym świtem grzbiety deszczowych chmur miały barwę krwistoczerwoną, tu i ówdzie nieco jaśniejszą, płomienistą, piętrzyły się wyniosłe i spęczniałe nad maleńkim samolotem, sięgając wyżyn leżących daleko ponad pułapem, na który byłby on w stanie się wznieść.

Dawid leciał korytarzami i wąwozami wolnymi od chmur, napawając się urokiem napowietrznej wędrówki, na który wciąż był wrażliwy tak samo jak wtedy, kiedy po raz pierwszy oderwał się od ziemi. Co jakiś czas zmieniał kurs, by ominąć skłębione, szczególnie wysokie słupy chmur – w ich wnętrzu czaiły się śmierć i zniszczenie, hulały wichry, które oderwałyby skrzydła od kadłuba jego maszyny i wyniosły wirujące szczątki na wysokości, gdzie człowiek musiałby umrzeć z braku tlenu.

Wylądował na lotnisku Grand Central, gdzie czekał już na niego wynajęty samochód z szoferem, i drogę do Pretorii poświęcił na spokojną lekturę porannej prasy. Lekki niepokój ogarnął go jedynie w momencie, gdy w rubryce meteo przeczytał, że front burzowy nasuwa się stopniowo znad Kanału Mozambickiego.

Zanim wszedł do sali konferencyjnej, zamówił u recepcjonistki rozmowę z Dżabulani.

– Dwie godziny oczekiwania, panie Morgan.

– Dobrze, kiedy będzie połączenie, proszę mnie wywołać. W przerwie na lunch udał się znów do recepcjonistki.

– Przepraszam, panie Morgan. Miałam właśnie pana zawiadomić. Połączenia są przerwane. Na nizinach padają ciężkie deszcze.

Lekki niepokój Dawida przemienił się w lęk.

– Czy może mnie pani połączyć ze stacją meteorologiczną?

Nastąpiło głębokie załamanie pogody. Na całym obszarze od Barberton do Mpunda Milia i od Laureno Marques do Machadodorp szalała ulewa. Wierzch powłoki chmur sięgał dwudziestu tysięcy stóp, a jej spód sunął dosłownie po ziemi. Samolot Dawida nie miał zbiorników z tlenem, ani nie był wyposażony w elektroniczną aparaturę nawigacyjną.

– Jak długo to będzie trwało? – spytał Dawid dyżurnego meteorologa. – Kiedy się

przejaśni?

– Trudno powiedzieć. Za jakieś dwa lub trzy dni.

Dawid zaklął parę razy pod nosem i szedł do bufetu mieszczącego się na parterze ministerialnego gmachu. Konrad Berg siedział w kącie w towarzystwie dwóch innych członków zarządu, lecz gdy zobaczył Dawida, zerwał się natychmiast i spieszenie pokuśtykał w jego kierunku.

– Posłuchaj – zaczął, chwytając Dawida za rękę, a na jego szerokiej, czerwonej twarzy malował się wyraz śmiertelnej powagi. – Dowiedziałem się właśnie, że Johan Akkers uciekł wczoraj wieczorem z więzienia. Zabił strażnika i ulotnił się. Od siedemnastu godzin jest na wolności.

Dawid spoglądał na niego, nie mogąc wykrztusić słowa.

– Czy Debora jest sama?

Dawid kiwnął potakująco głową. Jego pokryta bliznami twarz pozostawała bez wyrazu, lecz oczy mu pociemniały i widać w nich było przerażenie.

– Najlepiej ruszaj stąd zaraz, wsiadaj w samolot i leć do niej.

– To niemożliwe... Pogoda... Zakazano lotów na całym obszarze.

– Więc weź mój wóz! – nalegał Berg.

– Potrzebuję jakiegoś szybszego.

– Chcesz, żebym pojechał z tobą?

– Nie – odparł Dawid. – Jeżeli ciebie nie będzie na dalszym ciągu posiedzenia, nie zostanie zaakceptowana lokalizacja nowych ogrodzeń. Pojadę sam.

Debora pracowała przy swym stole, gdy usłyszała nadchodzący wiatr. Wyłączyła magnetofon i wyszła na werandę razem z Zulu, który nie odstępował jej na krok.

Stała nasłuchując, niepewna natury dochodzącego ją odgłosu. Było to jakby ciche westchnienie, odległy szelest, jak gdyby szum morskiej fali omywającej żwir plaży.

Pies przysunął się dotykając bokiem jej nogi. Debora przykucnęła, położyła dłoń na jego karku i wsłuchiwała się w potężniejące zawroźnienie wiatru, przechodzące coraz częściej w wycie, któremu towarzyszył szum i jęk targanych wiatrem koron drzew marula.

Zulu zaskamlał i Debora przygarnęła go mocniej do siebie.

– Spokojnie, spokojnie, piesku – szepnęła i w tym momencie wichura uderzyła całą mocą, przetoczyła się po szczytach drzew, targając i łamiąc gałęzie, napała na okalającą werandę moskitierę, wydymając ją niby żagiel, załomotały nie zabezpieczone okna i drzwi.

Debora poderwała się i pobiegła do swego pokoju. Uchylone skrzydło okna przy

stole waliło raz po raz o framugę, chmury pyłu i drobnego, niesionego wiatrem śmiecia wpadały do środka. Napała na nie ramieniem, zamknęła i przekręciła do końca metalową klamkę. Pobiegnęła dalej, by zrobić to samo i wpadła na jednego ze służących.

Zawołała pozostałych i wspólnie pozamykali szybko wszystkie okna i drzwi.

– Proszę pani, zaraz przyjdź deszcz. Bardzo dużo deszczu.

– Wracajcie do siebie – poleciła im.

– A obiad, proszę pani?

– Nie martwcie się, sama sobie przygotuję – odparła i zadowoleni służący popędzili przez tumany pyłu do swoich chat za wzgórzem.

Wiatr wiał przez kwadrans. Debora stała przy siatce ogrodzenia i czuła, jak popycha ją i chłoszcze jej ciało. Jego dzikość była zaraźliwa i Debora zaśmiała się głośno, urzeczona nią i podniecona.

Potem wichur odleciał, równie gwałtownie jak przyleciał. Słyszała jeszcze, jak toruje sobie dalej drogę ponad wzgórzami.

W niczym nie zmaconej ciszy, jaka nagle zapadła, cała przyroda czekała na kolejne uderzenie żywiołów. Debora poczuła chłód; temperatura spadła w okamgnieniu, jak gdyby nagle ktoś otworzył drzwi olbrzymiej chłodziarki. Zaplotła ręce na piersiach, skuliła się i zadygotała. Nie widziała czarnych zwałów chmur przeciągających nad Dżabulani, ale w jakiś tajemniczy sposób odczuwała ich grozę i majestat w zimnym powiewie, który przenikał ją dreszczem.

Pierwszy piorun uderzył z suchym trzaskiem elektrycznej eksplozji, która przesyciła skondensowaną energią powietrze wokół Debory. Było to coś tak niespodziewanego, że Debora wydała głośny okrzyk, który natychmiast utonął w huku grzmotu, tak potężnym, iż zdawałoby się, że wstrząsa podstawami niebios i ziemią w jej posiadach.

Debora odwróciła się i ruszyła spieszenie do domu. Zamknęła się w swoim pokoju, ale ściany nie były w stanie stłumić łomotu deszczu, gdy ten wreszcie lunął. Strugi wody bębniły w dach, spływały zeń z szumem i pluskiem, biły w okna, dudniły po drzwiach i ścianach, tryskały przez moskitierę i zalewały werandę.

Niezależnie od całego szaleństwa ulewy tym, co najbardziej wytręcało Debore z równowagi, były pioruny i grzmoty. Nie była w stanie zebrać się w sobie, oczekując na kolejny złowrogi trzask, po którym następował ogłuszający huk. Każdy kolejny wytręcał ją z równowagi, miała wrażenie, że wszystkie są wymierzone prosto w nią.

Skuliła się na leżance, z której korzystała czasem w ciągu dnia, i przytuliła się do ciepłego ciała Zulu. Żałowała teraz, że odesłała służących. Czuła, że jej nerwy nie zniosą tej grzmiącej nawały.

Nie mogąc już dłużej wytrzymać, podniosła się i ruszyła do salonu. W stanie

rozstroju nerwowego zatraciła w dużym stopniu zdolność orientacji, ale w końcu znalazła aparat telefoniczny, zdjęła słuchawkę i przyłożyła do ucha.

Natychmiast zorientowała się, że telefon jest nieczynny – w słuchawce nie było sygnału – lecz mimo to zaczęła wołać do niej, wzywać uparcie centralę, aż wreszcie puściła ją i pozostawiła zwisającą na sznurze.

Pochlipując i obejmując rękami wystający brzuch, powlokła się z powrotem do swego pokoju, rzuciła się na leżankę i zatkała uszy dłońmi.

– Dosyć! Dosyć! – zawołała. – Boże, spraw, żeby się to już skończyło!

Oddana niedawno do użytku droga krajowa była aż do górniczego miasta Witbank wygodną autostradą o gładkiej nawierzchni i sześciu pasach ruchu. Dawid wjechał wynajętym pontiacem na pas szybkiego ruchu i przycisnął mocno pedał gazu. Rozpędził wóz do szybkości dwustu kilometrów na godzinę. Pontiac trzymał się tak dobrze nawierzchni, że nie musiał prawie wcale poruszać kierownicą. Miał teraz czas, by uruchomić wyobraźnię i pozwolić jej swobodnie inscenizować najokropniejsze scenariusze; przypomniał też sobie twarz Johana Akkersa, gdy ten stał w ławie oskarżonych i spoglądał na niego i Deborę w poprzek sali sądowej – głęboko osadzone, mętne oczy i usta, zaciskające się i rozwierające, gotowe kąsać. Gdy po ogłoszeniu wyroku strażnicy prowadzili Akkersa ku schodom wiodącym w dół, do aresztu, ten szarpnął się, odwrócił i wykrzyknął:

– Dostanę cię jeszcze, bliznowaty! Choćbym miał czekać na tę chwilę dwadzieścia dziewięć lat – dostanę cię na pewno!

Z tym okrzykiem na ustach Akkers znikł w czeluści klatki schodowej.

Za Witbank droga zwężała się, zakręty były źle wyprowadzone, o niewłaściwym kącie pochylenia nawierzchni, a do tego panował na niej ożywiony ruch. Dawid musiał skoncentrować się bez reszty na prowadzeniu, co pozwoliło mu pozbyć się wszystkich upiornych myśli.

Przed Lydenburgiem zjechał z głównej drogi, ścinając róg dużego trójkąta i ruch zmałał, ograniczając się do napotykanych sporadycznie ciężarówek. Mógł znowu zwiększyć prędkość i pognał wzdłuż długiej, wysokiej skarpy. Potem droga skręciła nagle i zaczęła schodzić w dół, na nizinę.

Kiedy wyjechał z Tunelu Erazma, znalazł się już w deszczu. Strugi lejące się z nieba tworzyły ścianę przed samochodem i bębniły o karoserię. Droga tonęła w wodzie, tak że Dawid miał trudności z rozpoznaniem jej zarysów, a do tego wycieraczki nie nadały się zgarniać strumieni zalewających przednią szybę.

Włączył reflektory i jechał z największą prędkością, na jaką pozwalał mu zdrowy

rozsądek, wychylony do przodu nad kołem kierownicy, starając się przeniknąć wzrokiem niebieskoszarą ścianę deszczu.

Przy takiej pogodzie pod wiszącą nisko pokrywą chmur wcześniej zaczął zapadać zmrok. Oślepiany refleksami świateł samochodu na mokrej nawierzchni, Dawid musiał jeszcze bardziej zmniejszyć prędkość i przedzierał się teraz powoli drogą prowadzącą w kierunku Wzgórza Bandolierów.

Po ciemku omal nie przegapił skrzyżowania z boczną drogą. Przejechał je, musiał więc zatrzymać samochód i cofnąć go kilkanaście metrów. Ta droga z kolei była jedną wielką otchłanią błota, rzadkiego i śliskiego. Musiał jechać jeszcze wolniej. W pewnej chwili nie zdołał wyjść z poślizgu i pontiac osunął się bokiem do rowu. Podkładając kamienie pod koła i piłując silnik na najwyższych obrotach udało mu się wyrwać samochód z powrotem na drogę.

Gdy dojeżdżał do mostu na potoku Luzane, minęła właśnie ósma i miał już za sobą sześć godzin spędzonych za kierownicą. W tym momencie deszcz nagle przestał padać za sprawą przypadkowej szczeliny w powłoce chmur. Wysoko w górze mgliście jarzyły się gwiazdy, a wokół plamy, którą wypełniały, kłębiły się i obracały leniwie zwały chmur, jak gdyby umocowane na obręczy wielkiego, wirującego koła.

Światło reflektorów pontiaca rozświetliło mrok nad rwącymi, brązowymi wodami, aż do przeciwległego brzegu, odległego teraz o jakieś osiemdziesiąt metrów. Most znajdował się cztery i pół metra pod powierzchnią wody, która mknęła z taką szybkością, że fale i zawirowania na powierzchni zdawały się wyrzeźbione w lśniącem, brązowym marmurze, upstrzonym pniami drzew wyrwanych z korzeniami.

Nie mieściło się wprost w głowie, że łożysko tej rwącej rzeki było piaszczystym korytem tego samego wąskiego strumienia, na dnie którego Johan Akkers usiłował najechać na Konrada Berga swym zielonym fordem.

Dawid wysiadł z samochodu i podszedł do brzegu. Stojąc tam przez parę chwil, zauważył, że woda wyraźnie zbliża się do jego stóp. Strumień wciąż jeszcze przybierał.

Popatrzył w górę i stwierdził, że przerwa w ulewie nie będzie już trwała długo.

Podjął decyzję i pobiegł do samochodu. Zapalił silnik i wycofał pontiaca na najwyższe miejsce w promieniu kilkudziesięciu metrów i tam go zaparkował, z reflektorami wciąż zapalonymi i skierowanymi na brzeg strumienia. Potem wysiadł i rozebrał się do koszuli i majtek. Wywłókł pasek ze spodni i zapiął go sobie na biodrach, po czym uwiązał do niego buty za sznurowadła.

Boso pobiegł na skraj strumienia, wszedł do wody i powoli zaczął posuwać się naprzód. Dno opadało szybko i po kilku krokach woda sięgnęła mu kolan, bulgocząc i napierając na nogi, starając się zdradziecko wytrącić go z równowagi.

Zaparł się stopami w dno, znieruchomiał i czekał, spoglądając w górę strumienia. Dojrzał zbliżający się szybko pień drzewa, z korzeniami sterczącymi w górę niby ręce wyciągnięte o pomoc. Pień płynął nieco ukośnie i wyglądało na to, że minie go w niewielkiej odległości.

Wybrał właściwy moment, rzucił się do wody i zaczął płynąć. Pół tuzina zamaszystych uderzeń ramion zaniósło go do pnia i uchwycił jeden z korzeni. Natychmiast znalazł się poza zasięgiem światła reflektorów i wpadł w objęcia rozszalałego żywiołu. Pień obracał się i kołysał, wciągając go pod wodę i wyrzucając na powierzchnię kaszłącego i chwytającego łąpczywie powietrze.

W pewnej chwili otrzymał potężne uderzenie, które rozdarło mu koszulę i rozerwało skórę, po czym znalazł się pod wodą i walcząc rozpaczliwie z targającymi go zawirowaniami przywarł do zbawczej kłody.

Ciemność wokół niego wypełniał łoskot rozpasanej kipieli. Nieokiełznana siła miotała nim i chłostała, obijała o kamienie i uderzała odłamkami drewna unoszonymi przez prąd.

Nagle poczuł, że jego pień uderzył w jakąś przeszkodę, oparł się o nią, obrócił i podryfował dalej. Nie widział nic, był oślepiiony mulistą wodą, wiedział jednak, że jego zdolność przeżycia w tym wodnym piekle jest ograniczona. Szybko tracił siły. Jego umysł działał coraz wolniej, powolniały także jego ruchy – czuł się jak tego wygrzmocony bokser w dziesiątej rundzie.

Postawił wszystko na jedną kartę, na to, że przeszkodą, o którą uderzył pień, był drugi brzeg strumienia. Puścił korzeń i z rozpaczliwą energią zaczął płynąć w bok.

Jego wyrzucona w górę w zamachu ręka trafiła w zwisające gałęzie jakiegoś ciemnego krzewu. Zadzierżyste kolce wbiły mu się w ciało, gdy zacisnął na nich dłoń, tak że krzyknął z bólu, mimo to nie rozluźnił chwytu.

Powoli wydzwignął się z wody i popelznął na czworakach w górę po spadzistym stoku, krztusząc się i wykasłując wodę z płuc. Znalazłszy się na górze, padł twarzą w błoto i zwymiotował z kolei tę, której się nałykał.

Wyczerpany, leżał tak dłuższą chwilę, aż ustąpił kaszel i mógł znów swobodnie oddychać. Buty urwały mu się podczas walki z żywiołem i przepadły. Podniósł się i bosoruszył dalej. Biegając trzymał prawą dłoń przy ustach, wyciągając zębami resztki kolców z poszarpanej dłoni.

W górze wciąż jeszcze widać było gwiazdy; w ich wątłym świetle odszukał drogę i zaczął biec wzdłuż niej, odzyskując z każdym krokiem siły. Wokół było cicho i spokojnie, słychać było jedynie szum kropel wody spadających z liści drzew i od czasu do czasu daleki pomruk grzmotu.

W odległości trzech kilometrów od domu dostrzegł jakiś duży, ciemny kształt, spoczywający na poboczu drogi. Dopiero gdy zbliżył się doń na kilka kroków, rozpoznał w nim samochód. Był to jeden z najnowszych modeli chevroleta. Samochód był porzucony, ugrzązł w jednej z błotnistych dziur, powstałych wskutek ulewy.

Drzwi od strony kierowcy nie były zamknięte. Dawid otworzył je i zapalił wewnętrzną lampkę i światła postojowe. Fotel kierowcy był wysmarowany zaschniętą krwią, a na tylnym siedzeniu leżał jakiś tobołek. Dawid rozwiązał go i w szorstkim, płóciennym stroju natychmiast rozpoznał ubiór, jaki noszą więźniowie. Przez chwilę wpatrywał się weń tępo, jak gdyby nie chciał przyjąć do wiadomości tego, co miał przed oczami.

Samochód został porwany, a krew na siedzeniu była zapewne krwią jego nieszczęsnego właściciela. Ubiór więzienny został zamieniony na jakieś inne ubranie, prawdopodobnie ściągnięte z trupa kierowcy.

Dawid wiedział już, że Johan Akkers był w Dżabulani, i że przybył tu, zanim wzbierający strumień Luzane uczynił most nieprzejezdnym – zapewne trzy-cztery godziny temu.

Dawid cisnął więzienny drelich z powrotem do wnętrza samochodu, odwrócił się i ruszył biegiem.

Kiedy Johan Akkers przejeżdżał chevroletem przez most na potoku Luzane, woda sięgała już powyżej zderzaka i bulgotała na osłonie silnika, a strumienie deszczu tworzyły w powietrzu siwą zasłonę.

Mulista woda napierała na samochód, utrudniając prowadzenie, wsączała się pod drzwiami i zalewała mu stopy. Dojechał jednak do brzegu, wyprowadził wóz na górę i znów dodał gazu. Opony traciły przyczepność na rzadkim błocie i samochód co chwila wpadał w poślizg, lecz Akkers natychmiast znowu wduszał pedał gazu. Im bliżej był Dżabulani, tym zapamiętałej parł do przodu.

Zanim został osadzony i osadzony w więzieniu, Akkers był człowiekiem nie zrównoważonym psychicznie, zgorzkniałym i nieopanowanym. Czując się odrzucony przez środowisko normalnych ludzi, zamknął się we własnym świecie i przyjął wobec wszystkiego i wszystkich postawę pełną wrogości i agresji, zawsze jednak utrzymywał swe poczynania w granicach rozsądku.

Jednak dwa lata zamknięcia i ciężkiej pracy w zakładzie karnym spowodowały, że jego złość i chęć odwetu pchnęły go poza tę wąską granicę.

Pragnienie zemsty stało się dlań jedynym celem, dla którego żył, rozmyślania o niej wypełniały mu dni. Obmyślił sposób ucieczki z więzienia, pragnąc odzyskać swobodę na

trzy dni – co miałyby nastąpić potem, nie było już ważne. Potrzebował tylko trzech dni.

Zainfekował sobie szczękę wbijając głęboko w dziąsło igłę umaczaną w kale. Gdy wywiązało się zapalenie, zabrano go, tak jak się spodziewał, do kliniki stomatologicznej. Łatwo uporał się ze strażnikiem, a lekarz, mając skalpel przyłożony do gardła, musiał posłusznie wykonywać jego polecenia.

Znalazszy się na swobodzie, Akkers użył skalpela. Uczynił to zupełnie beznamiętnie, mimo to zdziwił się, że z ludzkiego gardła może wypłynąć aż tyle krwi. Zostawił ciało dentysty oparte o kierownicę jego samochodu na polu w słabo zabudowanej dzielnicy miasta i, narzuciwszy na swój więzienny strój biały fartuch, stanął przy słupku sygnalizacji świetlnej na skrzyżowaniu.

Nowiuteński chevrolet podjechał i zatrzymał się na czerwonym świetle. Akkers podbiegł do niego, szarpnął drzwi i wślizgnął się na fotel obok kierowcy, człowieka niewielkiego wzrostu, pulchnego, o gładkiej, białej cerze i nieowłosionych rękach. Posłusznie poprowadził w nakazanym kierunku.

Akkers wrzucił jego miękkie, białe ciało, ubrane już tylko w podkoszulek i kalesony, w kępę wysokiej trawy przy nie uczęszczanej polnej drodze. Wrócił do samochodu i po czterdziestu minutach dojechał do pierwszego skrzyżowania za miastem.

Trzymał się bocznych dróg, zdążając powoli na południe. Ból w rozognionej szczęce stawał się trudny do wytrzymania, pomimo dawki antybiotyków, którą wstrzyknął mu lekarz, a prawa ręka, będąca teraz niemal zupełnie bezwładnym kikutem, tylko z trudnością była w stanie operować dźwignią biegów – poprzecinane nerwy i ścięgna nigdy już się dobrze nie zrosły.

Wiedziony wrodzonym instynktem kłusownika i wspomagany komunikatami podawanymi raz po raz przez radio, powoli przemykał się przez oczka zastawionej nań sieci. Teraz był już na terenie Dżabulani i nie potrafił już zdobyć się na cierpliwość.

Jadąc z wielką jak na te warunki szybkością sześćdziesięciu kilometrów na godzinę, wpadł w kolejny poślizg i tym razem tył uciekł do przodu, a samochód zaczął sunąć ku poboczu. Tył wraz z kołami utknął głęboko w błotnej jamie i chevrolet osiadł podwoziem na jej gliniastym brzegu.

Akkers zostawił go i ruszył dalej przez deszcz, dobrze wyciągając swe długie nogi. Raz jeden zachichotał i zassał głośno powietrze przez zęby, a potem brnął dalej już w milczeniu.

Gdy wdrapał się na wzgórze na tyłach domostwa, zaczynał zapadać zmrok. Dwie godziny leżał tam, spoglądając w dół poprzez deszcz i czekając, aż zapadnie ciemność. Mrok zgęstniał, lecz Akkers nie mógł dojrzeć żadnych świateł i to go zaniepokoiło. Domownicy powinni przecież zapalić jakąś lampę.

Wstał i zaczął schodzić ostrożnie ze wzgórza. Ominął domki służby i poszedł między drzewami w stronę pasa startowego. W ciemności wpadł na ścianę hangaru i sunąc wzdłuż ściany, natrafił na boczne drzwi.

Wyciągnął ręce i starał się wymacać korpus samolotu, który wszak powinien tu się znajdować. Samolotu jednak nie było i Akkers wydał jęk zawodu.

Nie zastał ich w domu. Zatem to, co tak starannie, w najdrobniejszych szczegółach obmyślał i planował, jego cierpienie i cały wysiłek – wszystko, wszystko było na nic.

Skomląc wyrznął pięścią zdrowej, lewej ręki w murowaną ścianę. Ostry ból sprawił mu przyjemność, a targająca nim rozpacz i wściekłość były tak silne, że zatrząsł się jak w gorączce i z jego gardła wyrwał się przejmujący, zwierzęcy krzyk.

Wtem przestał padać deszcz. Ciężkie bębnienie w blaszany dach hangaru ustało tak nagle, że Akkers zamarł, wytracony ze stanu grożącego, pomieszaniem zmysłów i dezorientowany. Podeszedł do drzwi i wyjrzał na zewnątrz.

Na niebie świeciły mgliście gwiazdy, a jedynym dźwiękiem był plusk płynącej wody i szelest kropel spadających z liści drzew.

Zrobiło się odrobinę jaśniej i mógł dostrzec białe ściany domu prześwitujące między drzewami. Pomyślał, że przynajmniej tam może wyrządzić nieco szkód, dać choć częściowo upust swej pasji i nienawiści. Są tam meble, które można porozbijać, a i strzecha na domu da się spalić – jeśli podłoży się ogień od środka, będzie się palić nawet w taką pogodę.

Ruszył w kierunku domu poprzez kępę ciemnych, ociekających wodą drzew.

Gdy Debora obudziła się, panowała zupełna cisza. Zasnęła, kiedy burza szalała jeszcze w najlepsze, prawdopodobnie wskutek wyczerpania nerwowego.

Wyciągnęła sennie rękę, szukając mile ciepłego cielska psa, lecz nie znalazła go. W miejscu, gdzie leżał Zulu, pozostało jedynie ciepłe jeszcze wgniecenie.

Zaczęła uważnie nasłuchiwać, ale jedynymi dźwiękami był plusk wody w rynnach i daleki odgłos grzmotu. Wspomniała swój wcześniejszy paniczny strach i zawstydziła się.

Wstała z leżanki i poczuła chłód. Miała na sobie tylko ciemnoniebieską szeroką bluzkę i spodnie o regulowanej szerokości w pasie, pozwalające się dopasowywać do jej wciąż grubiejącej talii. Palcami wymacała swoje lekkie pantofle na kamiennej posadzce i wsunęła w nie stopy.

Ruszyła do garderoby po sweter, postanawiając jednocześnie, że zaraz potem pójdzie do kuchni i przyrządzi sobie filiżankę gorącej zupy.

Zulu zaczął ujadać. Był w ogrodzie przed domem. Niewątpliwie wysliznął się tam

przez niewielki otwór w ścianie od strony werandy, zasłonięty uchylaną klapą, który Dawid sporządził specjalnie dla niego.

Warczenie Zulu miało wiele odcieni i znaczeń, które Debora oczywiście rozróżniała i rozumiała.

Był tam na przykład samowygaszający się sygnał, stanowiący odpowiednik zawołania strażnika miejskiego: „Jest dziesiąta godzina w nocy i nigdzie się nie pali!”

Inny, nieco bardziej przeciągły, mówił: „Dziś jest pełnia księżycy i wilcza krew w moich żyłach nie pozwoli mi spać.”

Ostrzejsze, ostrzegawcze warknięcie: „Coś porusza się tam dalej, koło hydroforni. To może być lew!”

I wreszcie przenikliwy, alarmujący sygnał: „Czuję jakieś straszliwe niebezpieczeństwo! Uwaga! Uwaga!”

Ujadanie, które dochodziło teraz z ogrodu, było ostrzeżeniem przed niebezpieczeństwem. Rozbrzmiewało jeszcze przez chwilę, a potem przeszło w bulgoczący warkot przez zaciśnięte zęby, jak gdyby Zulu targał coś lub kogoś.

Debora wyszła na werandę i poczuła, jak jej lekkie pantofle nasiąkają wodą. Zulu zmagał się w ogrodzie z jakimś stworzeniem. Słyszała zduszony warkot i poruszenia ciał zwartych w walce. Stała cicho, niezdecydowana, co robić, wiedząc tylko, że nie może w żaden sposób pomóc Zulu. Była ślepa i bezbronna wobec nieznanego przeciwnika. Gdy stała tak, niezdecydowana, doszedł ją odgłos ciężkiego uderzenia. Towarzyszyło mu chrupnięcie kości i zaraz potem głucho uderzenie ciała o ziemię. Warkot Zulu ucichł jak nożem uciął. Pies został wyeliminowany i była teraz zupełnie sama w zapadłej nagle ciszy.

Cisza ta nie była jednak absolutna – słychać w niej było czyjś oddech, ciężki i sapiący.

Debora przycupnęła pod ścianą, nasłuchując i czekając.

Usłyszała kroki, kroki jakiegoś człowieka, który szedł przez ogród, zbliżając się do frontowych drzwi. Słyszała, jak mlaszczą w błocie i chlupoczą w kałużach.

Chciała zawołać, ostro i zdecydowanie, ale głos uwiązał jej w ściśniętym gardle. Chciała uciec, ale sparaliżował ją odgłos wchodzenia po schodach od werandy.

Czyjaś ręka przesunęła po siatce, spoczęła na klamce i zaczęła ją z wolna obracać.

Debora odzyskała w końcu głos.

– Kto tam?! – zawołała drżącym dyszkantem, który zabrzmiał przejmująco w nocnej ciszy.

Delikatne szmery natychmiast umilkły. Widocznie intruz zamarł w bezruchu, zaskoczony. Mogła go sobie wyobrazić, kimkolwiek by on był, stojącego na najwyższym

stopniu i wpatrującego się przez moskitierę w głąb werandy, usiłującego wypatrzeć ją w mroku. W tym momencie ucieszyła się, że ma na sobie ciemną bluzę i czarne spodnie.

Czekała w bezruchu i słuchała. Podmuchi wiatru poruszył wierzchołkami drzew, strząsając z nich całe mnóstwo kropeł. Polująca sowa zahukała gdzieś na grobli, a z krzewów poinsecji wyfrunął z furkotem lelek.

Cisza przeciągała się i Debora czuła, że dłużej już nie wytrzyma. Usta zaczęły jej drżeć. Doskwierało jej zbyt wiele na raz – zimno, strach i ciężar dziecka w łonie. Chciała uciekać, ale nie miała dokąd.

Wtem cisza została przerwana. Dał się słyszeć chichot, który w tej ciemności zabrzmiał wprost niesamowicie. Zmroził Deborze serce i ścisnął ją za krtań. Zachwiały się pod nią nogi, rozpoznała bowiem ten śmiech, który swego czasu zapadł jej na zawsze w pamięć. Ręka obróciła klamkę, szarpnęła i napała na nią. Potem pchnięcie barkiem zadudniło na wąskiej ramie drzwi. Debora wiedziała, że lekkie drzwi szybko się poddadzą.

Krzyknęła. Był to świdrujący w uszach okrzyk przerażenia, który w jakiś magiczny sposób wyrwał ją ze stanu niemocy. Mogła znowu oddychać swobodnie i odzyskała władzę w nogach.

Odwróciła się i pobiegła do swojego pokoju. Zatrzasnęła za sobą drzwi i przekręciła klucz w zamku.

Przykucnęła przy ścianie obok drzwi i rozpaczliwie zastanawiała się, co robić. Wiedziała, że gdy Akkers wtargnie do domu, natychmiast zapali światło. Generator zacznie pracować, a w oświetlonym, domu ona nie będzie miała żadnych szans. Jej jedyną szansą była ucieczka w ciemność – tam ona będzie miała przewagę, ponieważ to jest jej świat.

Słyszała lelka i sowę, orientowała się więc, że musiała zapaść noc; mogła też liczyć na to, że deszczowe chmury wciąż przesłaniają księżyc i gwiazdy. Zbawcza ciemność czekała na nią w lesie. Musiała wydostać się z domu i dotrzeć do chat służących.

Pospieszyła przez pokoje na tyły domu, rozmyślając po drodze o jakiejś broni. Broń palna była zamknięta w metalowej szafie w gabinecie Dawida, a klucz do niej miał on przy sobie. W każdym razie jej masywna laska stała na swym miejscu przy kuchennych drzwiach. Odsunęła zasuwkę i w tym momencie usłyszała, jak frontowe drzwi otwierają się z trzaskiem wyłamywanego zamka i Akkers wpada z tupotem do salonu. Zamknęła za sobą drzwi od kuchni i ruszyła przez podwórze. Powstrzymywała się, by nie biec, i liczyła kroki. Nie wolno jej było zgubić drogi. Musiała dostać się na ścieżkę okrążającą wzgórze i prowadzącą do chat, gdzie mieszkali służący.

Pierwszym punktem orientacyjnym była furtka w ogrodzeniu otaczającym dom wraz

z przyległymi zabudowaniami. Zanim dotarła do niej, usłyszała, jak rusza generator prądu w budynku znajdującym się na tyłach garaży. Akkers wymacał kontakt i przekręcił go.

Zmierzając do furtki, zboczyła nieco i wpadła na ogrodzenie z drutu kolczastego. Zaczęła posuwać się wzdłuż niego, macając rozpaczliwie w poszukiwaniu furtki. Usłyszała brzęczenie nad głową i suchy trzask – to zapaliła się lampa, jedna z wielu umieszczonych wzdłuż całego ogrodzenia i oświetlających ogród przy domu. Akkers musiał znaleźć włącznik znajdujący się przy drzwiach kuchennych. Debora była pewna, że jest teraz skąpana w świetle i doskonale widoczna.

Usłyszała jego głos – krzyczał coś – i wiedziała, że ją zobaczył. W tej samej chwili wymacała furtkę, wydała jęk ulgi, otworzyła ją i zaczęła biec.

Musiała wydostać się z zasięgu światła lamp, zanurzyć się w mroku. Światło oznaczało śmierć, ciemność była zbawieniem.

Ścieżka rozwidlała się. Lewe odgałęzienie wiodło do jezior, prawe do chat służby, z tyłu rozległo się trzaśnięcie furtki. Akkers gonił ją.

Biegając Debora liczyła kroki – miało być ich pięćset do wystającej z ziemi skałki po lewej stronie ścieżki, sygnalizującej punkt kolejnego rozwidlenia. Potknęła się o nią i upadła, obcierając sobie boleśnie skórę na piszczelach. Dźwignęła się na kolana i wstała, lecz upadając zgubiła laskę. Nie mogła marnować cennych sekund na szukanie jej. Stopami wymacała ścieżkę i zaczęła biec dalej.

Przebiegła pięćdziesiąt kroków i zorientowała się, że pomyliła drogę – ścieżka, którą pobiegła, prowadziła do budynku mieszczącego hydrofory. Nie była z nią obeznana, rzadko tędy przechodziła.

Nie zorientowała się, że ścieżka zakręca, i wbiegła na nierówną, wyboistą łąkę. Brnęła dalej, przed siebie, potykając się i zataczając, do momentu, gdy nogi zaplątały się jej w wysokiej trawie i ponownie upadła.

Była teraz zupełnie zagubiona, ale też znajdowała się poza zasięgiem lamp. Chroniła ją ciemność i wysoka trawa, ale serce kołatało jej trwożnie i strach przyprawiał ją o mdłości.

Starła się opanować głośny, zdyszany oddech i nasłuchiwać.

Usłyszała go, jak się zbliża. Kroki dudniły, słyhać je było wyraźnie na rozmięklej od deszczu ziemi. Miała wrażenie, że idzie prosto na nią. Przyłgnęła do mokrej ziemi i schowała twarz w zagięciu ręki, by nie zdradziła jej jaśniejsza plama wśród ciemnych traw i jej własny oddech.

Odgłos stąpnąć zbliżał się, słyszała je przez chwilę tuż obok, potem zaczęły się

oddalać. Wraz z ulgą owładnęło nią uczucie słabości, lecz odprężenie było przedwczesne, ponieważ odgłos stąpień nagle ustał. Akkers zatrzymał się, a stał tak blisko, że Debora słyszała jego posapywanie.

Stał i nasłuchiwał, nie opodal miejsca, gdzie leżała. Wolno upływały minuty. Deborze oczekiwanie to zdawało się wiecznością, którą nagle przerwał głos Akkersa:

– Ach, więc tutaj jesteś! – zachichotał. – Tutaj się schowałeś, jak myszka pod miotłą. Ale ja cię widzę!

Deborze serce podskoczyło do gardła – Akkers był jeszcze bliżej, niż się jej wydawało. Mało brakowało, a poderwałyby się i zaczęła uciekać, ale instynkt powstrzymał ją od uczynienia jakiegokolwiek ruchu.

– Widzę, jak się tam chowasz! – powtórzył Akkers i jego chichot przeszedł w sprośny rechot. – Mam tu taki długi, ostry nóż. Przytrzymam cię, wsadzę ci go...

Debora drżała, leżąc w nawie i słuchając potoku potwornych, sprośnych słów. Lecz zarazem zorientowała się, że jest tutaj bezpieczna. Była niewidoczna w mroku nocy i w wysokiej trawie i Akkers zgubił jej ślad. Usiłował ją przestraszyć, skłonić do dalszej ucieczki i do zdradzenia się. Skoncentrowała cały wysiłek na pozostaniu w bezruchu i unikaniu wszelkiego szmeru.

Sadystyczne pogrożki Akkersa zawisły w martwej ciszy. Umilkł i nasłuchiwał dalej, z cierpliwością myśliwego, nie licząc upływających minut.

Debora najwyższym wysiłkiem powstrzymywała szloch. Przerażenie, zimno i brzemienność powodowały, że ból w pęcherzu był jak dźganie rozżarzoną prętą. Przebiegł ją dreszcz, gdy poczuła na skórze dotyk jakiegoś wielonogiego stworzenia, lecz zdołała się opanować i pozostawała w bezruchu.

Cokolwiek to było – pająk czy skorpion – pełzło jej po szyi i Debora wiedziała, że nie wytrzyma tego dłużej niż jeszcze przez parę sekund.

W tym momencie Akkers przemówił znów.

– W porządku – powiedział. – W takim razie wracam po latarkę. Zobaczymy, jak daleko uda ci się uciec przez ten czas. Zaraz będę z powrotem, niech ci się nie wydaje, że przechytrzysz starego Akkersa. On zdołał już zapomnieć więcej sztuczek, niż ty kiedykolwiek zdołałabyś się nauczyć!

Zaczął się oddalać, stąpając ciężko i głośno. Debora pragnęła natychmiast i za wszelką cenę strzepnąć insekta z szyi i podjąć ucieczkę, ale i tym razem instynkt zakazał jej uczynienia jakiegokolwiek ruchu. Czekala pięć minut, dziesięć... Wielonogie obrzydlistwo wpęzło jej we włosy.

Akkers odezwał się znowu, z pobliskiej ciemności:

– No dobrze, ty sprytna suko. I tak cię dostanę!

Słyszała, jak odchodzi, i wiedziała, że tym razem oddalił się naprawdę.

Strzepnęła ruszające się ohydztwo z włosów i wzdrygnęła się z obrzydzenia. Wstała i przeszedłszy kilkadziesiąt kroków znalazła się w lesie. Pałący ból w podbrzuszu był tak dojmujący, że nie mogła iść dalej. Zesztywniałymi od zimna palcami poluzowała zapięcia u spodni, spuściła je i kucnęła. Podniosła się i poczuła, jak dziecko porusza się w jej łonie. Ów ruch wyzwolił w niej gwałtowny przyływ opiekuńczego, macierzyńskiego instynktu. Wiedziała, że musi znaleźć jakieś bezpieczne miejsce dla swego maleństwa. Pomyślała o kryjówce przy jeziorach.

Jak tam trafić? Była teraz zupełnie pozbawiona poczucia kierunku. Przypomniało się jej, co mówił Dawid o tutejszym wietrze, wiejącym od zachodu i niosącym deszcz, który teraz zmienił się w sporadyczny, ledwo wyczuwalny powiew. Czekala, aż poczuje jego tchnienie na policzkach. Ono wskazało jej kierunek. Odwróciła się tyłem do kierunku, z którego przyszło, i zaczęła posuwać się przez las z wyciągniętymi przed siebie rękami. Gdyby tylko udało się jej dojść do jeziora, mogłaby dotrzeć jego brzegiem do kryjówki.

Wiatry toczące burzowe chmury wirowały wokół centrum, spokojnego niby oko cyklonu, zmieniając raz po raz kierunek, a Debora kierowała się ich podmuchami, pełna ufności, podążając przez las po szerokim, nie prowadzącym donikąd okręgu.

Akkers szalał po domu, wyszarpując szuflady i kopiąc w zamknięte drzwi szafek.

Natknął się na szafę z bronią w gabinecie Dawida i przetrząsnął biurko w poszukiwaniu kluczy do niej, lecz ich nie znalazł. Zaklął, zawiedziony.

Podszedł do szafy wbudowanej w ścianę. Na półce leżała dużych rozmiarów latarka zasilana akumulatorem i kilka paczek naboju do strzelby. Chwycił latarkę i nacisnął przycisk. Snop światła był mocny, dobrze widoczny nawet w jasnym pomieszczeniu. Akkers cmoknął i zachichotał.

Jeszcze raz pobiegł do kuchni i przystanął, by spośród noży znajdujących się w szufladzie wybrać jeden, do oprawiania mięsa, o długim, stalowym ostrzu. Potem ruszył spieszenie przez podwórze do furtki.

W świetle latarki ślady stóp Debory rysowały się wyraźnie na rozmięklej ziemi, gdzieś przykryte odciskami jego własnych stóp. Idąc po nich, doszedł do miejsca, gdzie Debora zbiegła ze ścieżki, i znalazł wygniecioną trawę tam, gdzie leżała przyczajona.

– Sprytna suka! – mruknął i ruszył śladem wiodącym dalej przez las. Debora zostawiała za sobą wyraźny szlak, stąpając po mokrej trawie i strącając krople z cienkich gałązek. Dla wprawno oka myśliwego był to aż nadto czytelny trop.

Co parę minut zatrzymywał się i kierował snop światła przed siebie, między drzewa. Przenikał go dreszcz, dreszcz emocji, doszedł w nim do głosu pierwotny instynkt łowcy, tak mocno tkwiący w jego naturze. Długi okres wymuszonej przerwy czynił łowy tym bardziej smakowitymi.

Posuwał się czujnie, śledząc błędzący trop, zataczający szerokie, bezsensowne koło.

Zatrzymał się po raz kolejny, przejechał snopem światła w przód po przygiętej deszczem trawie i z boku, na granicy światła i ciemności dojrzał poruszającą się owalną jasną plamę.

Skierował na nią lampę i ujrzał bladą, wymęczoną twarz Debory, zmierzającej przed siebie powoli i niepewnie. Szła z wyciągniętymi rękami, badając stopami grunt.

Zmierzała prosto na niego, nie zdając sobie sprawy, że jest skąpana w świetle. Przystanąła na chwilę, objęła swój ciężki brzuch i zaszlochała.

Nogawki jej spodni były nasiąknięte wodą, lekkie pantofle poszarpane, a gdy zbliżyła się jeszcze bardziej, Akkers zobaczył, że usta i dłonie ma zsiniałe z zimna i drżące.

Stał cicho, obserwując, jak się doń zbliża, niby kurczak zahipnotyzowany przez kobrę.

Jej długie, ciemne włosy zwisały w mokrych strąkach i opadały na twarz. Cienka bluzka była również zupełnie mokra od kropel wody spadających z drzew i oblepiała wystający brzuch.

Pozwolił jej podejść blisko, sycąc się świadomością, że oto ma ją w swej mocy. Odwlekając moment zemsty, rozkoszował się chciwie każdą sekundą, która go doń przybliżała.

Kiedy znalazła się jakieś pięć kroków od niego, puścił jej snop światła prosto w twarz i zachichotał.

Debora krzyknęła, twarz zadrgała jej konwulsyjnie, obróciła się tak, jak to czyni dzikie zwierzę, i rzuciła się do obłądnej ucieczki. Nie dalej niż po dwudziestu krokach wpadła twarzą prosto na gałąź drzewa marula. Upadła na wznak, ale zaraz przekręciła się i głośno zaszlochała, chwytając się za stłuczony policzek. Po chwili dźwignęła się na nogi i stała drżąc, obracając głowę i nasłuchując.

Akkers z wolna, stąpając po cichu obszedł ją, stanął tuż za jej plecami i znów zachichotał.

Krzyknęła tak jak poprzednio i rzuciła się biegiem, ogarnięta paniką, gnając dotąd, aż noga uwięzła jej w jamie wygrzebanej przez mrówkojada. Upadła ciężko na ziemię i została już tak, szlochając.

Akkers zbliżył się do niej wolnym, cichym krokiem. Po raz pierwszy od dwóch lat

czuł rozpierającą go radość. Podobnie jak kot, który chwycił mysz, nie miał zamiaru kończyć tej zabawy. Przeciwnie – pragnął, by trwała jak najdłużej.

Stanął nad dziewczyną i wycedził szeptem wulgarne słowo. Poskutkowało. Debora w okamgnieniu potoczyła się w bok, zerwała na nogi i znów zaczęła biec – dziko, na oślep, pomiędzy drzewami. Johan Akkers ruszył zaś za nią – w tym momencie w jego szalonej wyobraźni uciekająca dziewczyna ucieleśniała wszystkie zwierzęta, jakie kiedykolwiek tropił, dopadał i zabijał.

Dawid biegł, rozbryzgując bosymi stopami błoto na drodze. Biegł w zapamiętaniu, nie czując bólu w poobijanym ciele ani pieczenia skaleczeń, niewrażliwy na łomotanie serca i ciężką pracę płuc.

Droga okrążyła wzgórze i dalej spływała po pochyłości w kierunku domu. Ujrawszy ogród i obejście skąpane w świetle neonowych lamp, Dawid zatrzymał się jak wryty. W normalnych warunkach nie było powodu, by lampy paliły się o tej porze. Przeszył go ponownie dreszcz trwogi i jak spięty ostrogą popędził w dół.

Przebiegł przez puste pokoje, w których panował nieopisany bałagan, wykrzykując jej imię. Na próżno. Dobiegł do wyłamanych drzwi na werandę i zobaczył, że na zewnątrz w ciemności coś się porusza.

– Zulu! – zawołał, wybiegając na zewnątrz. – Tutaj, piesku, tutaj! Pokaż, gdzie ona jest, szukaj!

Pies wspinał się ku niemu po schodach, ogon majtał w zwyczajowym geście powitania, lecz widać było na pierwszy rzut oka, że Zulu jest ranny. I rzeczywiście był – ciężki cios zadany z boku złamał mu szczękę, bądź też ją wybił, tak że dolna część pyska odchyłona była do dołu pod dziwnym kątem. Był wciąż jeszcze zamroczony. Dawid przykląkł obok niego.

– Gdzie ona jest, Zulu, gdzie?

Mogło się zdawać, że pies czyni wysiłek, by rozbudzić otępiałe zmysły.

– Gdzie ona jest, piesku? Nie ma jej w domu. Gdzie jest? Szukaj jej, szukaj!

Wyprowadził labradorczyka na podwórze i zaczął okrążyć dom, a Zulu podążał za nim, węsząc. Na zapleczu, przy drzwiach do kuchni pies pochwycił trop na świeżej, wilgotnej ziemi i pobiegł bez wahania w stronę furtki. Wówczas Dawid zobaczył w świetle lamp odciski stóp – mniejsze, Debory, i duże, męskie, zmierzające tym samym szlakiem.

Podczas gdy Zulu biegł ku furtce, Dawid wrócił jeszcze na chwilę do swego gabinetu. Duża latarka znikła z półki w szafie, ale nieco głębiej znajdowała się jeszcze jedna, na pięć zwykłych baterii. Wepchnął ją do kieszeni i złapał jeszcze garść naboju do

strzelby. Podbiegł do metalowej szafy z bronią, otworzył ją, chwycił dwulufową strzelbę i wybiegł, wpychając po drodze naboje do komór.

Zulu był już na ścieżce za furtką i Dawid ruszył za nim.

Johan Akkers przestał już być człowiekiem – stał się bestią. Widok uciekającej ofiary wyzwolił w nim ślepe żądze dopadnięcia jej i uśmiercenia, z drugiej jednak strony z upodobaniem zwyrodnialca czerpał ogromną rozkosz ze znęcania się nad nią. Igrał więc ze swym niedoszłym, okaleczalym łupem, mogąc go w każdej chwili zabić, lecz zamiast tego prowokując go do dalszej beznadziejnej ucieczki, przeciągając tę grę, odsuwając ostateczny, kulminacyjny moment.

Moment ten przyszedł wreszcie. Było to swoiste atawistyczne poczucie konieczności dopełnienia łowieckiego rytuału – albowiem każde zabijanie dla przyjemności ma wypracowany jakiś właściwy sobie rytuał – i Akkers poczuł, że nadszedł już właściwy czas.

Dogonił biegnącą dziewczynę, wyciągnął prawą, na poły bezwładną rękę, chwycił grube pasmo włosów w szponiastą dłoń i okręcił je sobie szybkim ruchem wokół nadgarstka. Szarpnął jej głowę do tyłu, by tym pewniej przeciągnąć nożem po odsłoniętej białej szyi. Nie zdążył, ponieważ Debora obróciła się i zaatakowała go z zjadłością i siłą, jakich nigdy by się nie spodziewał. Jej ciało było jędrne, mocne i zwinne, i teraz, gdy wreszcie wiedziała dokładnie, gdzie jest jej prześladowca, rzuciła się na niego z dziką furją.

Zastała go nie przygotowanym. Stracił równowagę i upadł do tyłu, a ona znalazła się na nim. Wypuścił nóż i lampę, by chronić oczy, ponieważ Debora sięgała do nich długimi, ostrymi paznokciami. Czuł, jak rozszarpują mu nos i rozdzierają policzek; masakrowała mu twarz, wydając przy tym przeraźliwy pisk – ponieważ i ona była w tej chwili bestią.

Uwolnił prawą rękę z opłotu włosów, odrzucił ją w bok, jednocześnie odpychając Deborę drugą, zdrową ręką, i uderzył ją. Jego zmartwiała ręka była niby tęga, drewniana kłoda – sztywna, ciężka i bez czucia. Jeden zadany nią cios złamał szczękę labradorczykowi i ogłuszył go. Teraz trafił Deborę w skroń. Dał się słyszeć odgłos jak gdyby uderzenia obuchem siekiery w pień drzewa i Debora natychmiast zaprzestała walki. Akkers dźwignął się na kolana i trzymając ją zdrową ręką, drugą zaczął okładać ją niemiłosiernie, walić po głowie i twarzy od góry i z boku w równym, zapamiętałym rytmie. W przytłumionym świetle latarki leżącej w trawie widział, jak krew puściła się jej strumieniem z nosa, lecz nie przerywał i bił dalej, mocno i systematycznie. Bił jeszcze długo wtedy, kiedy leżała już bez ruchu, nieprzytomna. Wreszcie puścił ją i wstał.

Podniósł latarkę i zaczął świecić po ziemi. Ostrze noża błysnęło wśród trawy.

Istnieje starodawna ceremonia, którą powinno kończyć się udane polowanie. W jej trakcie triumfujący myśliwy rozcina brzuch upolowanego zwierzęcia, zanurza rękę w jego wnętrzu i wywleka zeń jeszcze gorące trzewia.

Johan Akkers podniósł nóż i ustawił latarkę na ziemi w taki sposób, że snop światła padał na leżącą bezwładnie na boku Deboreę.

Podszedł do niej i pchnięciem buta przewrócił ją na wznak. Ciemne pasma mokrych włosów oblepiały jej twarz. Przyklęknął i wetknął zakrzywiony, twardy jak stal palec za wycięcie jej bluzki pod szyją. Jednym szarpnięciem rozerwał ją gładko na całej długości i wielki, krągły brzuch zajaśniał w świetle latarki. Przypominał dojrzały owoc – biały, pełny, z ciemną jamką pepka pośrodku.

Akkers zachichotał i przedramieniem otarł z czoła krople wody i potu. Potem ujął nóż tak, by ostrze szło płytko, rozcinając powłoki brzuszne od krocza aż do mostka, bez naruszenia wnętrzości – miało być to cięcie tak kunsztowne jak dokonane ręką chirurga, cięcie, jakie Johan Akkers wykonywał już tysiące razy.

Szelest i ruch na skraju niewielkiego obszaru oświetlonego latarką kazały mu unieść głowę. Ujrzał czarną sylwetkę psa pędzącego nań w nienaturalnej ciszy, zobaczył jego oczy jarzące się w świetle latarki.

Zdażył jeszcze unieść rękę, by osłonić gardło, zanim rozpedzone zwierzę runęło nań z całym impetem. Człowiek i pies potoczyli się po trawie. Zulu chwycił Akkersa zębami, lecz wyłamana szczeka czyniła go praktycznie niegroźnym.

Akkers obrócił w dłoni nóż i pchnął do góry, wbijając go psu między żebra i trafiając w serce już za pierwszym ciosem. Zulu zaskowyczał raz, krótko, i padł, przygniatając Akkersa. Ten zepchnął z siebie czarne cielsko, wyciągnął nóż z rany i zaczął pełznąć na czworakach do odległego o parę metrów miejsca, gdzie leżała Debora.

Parę chwil, które Zulu przypłacił życiem, pozwoliło Dawidowi dotrzeć jeszcze w porę na miejsce. Biegł na Akkersa, który znów uniósł głowę i popatrzył nań swymi mętnozielonymi, połyskującymi oczami. Na widok Dawida Akkers zawarczał – u człowieka normalnego byłoby to zapewne mruczenie – i dzierżąc w ręku nóż o ostrzu unurzonym w krwi labradorczyka zaczął dźwigać się na nogi, wysuwając przy tym głowę do przodu gestem identycznym jak niegdyś jego pawian.

Dawid złożył się i nacisnął oba spusty na raz. Strzały były dobrze mierzone i trafiły pewnie, bez rozrzutu; w bladożółtym błysku i huku rozniosły głowę Akkersa tak, że nie zostało z niej nic powyżej ust. Korpus zwałił się w trawę, kopiąc konwulsyjnie nogami, a Dawid odrzucił strzelbę i pobiegł do Debory.

Przyklęknął i pochylił się nad nią.

– Och, miła moja. Wybacz mi, wybacz proszę, najdroższa. Nie powinienem był zostawiać cię samą – wyszeptał. Potem uniósł ją delikatnie, wziął na ręce i zaniósł do domu.

Dziecko Debory urodziło się wczesnym rankiem. Była to dziewczynka, drobniutka i pomarszczona, zbyt wcześnie zmuszona do rozstania się z łonem matki. Gdyby dało się jej zapewnić dobrą opiekę lekarską, mogłaby przeżyć, ponieważ bardzo chciała i walczyła dzielnie. Ale Dawid był nieporadny, i nie umiał udzielić jej pomocy, jakiej potrzebowała. Od świata oddzielała go rzeka, teraz nie do przebycia, telefon nie działał, a Debora była wciąż nieprzytomna.

Kiedy było już po wszystkim, owinał maleńkie, zsiniałe ciało w białe prześcieradło i położył je delikatnie w zakupionej już przez Deborę kołysce. Był zdruzgotany, ogarnięty przemożnym poczuciem winy, udręczony świadomością, że zawiódł dwie potrzebujące go osoby, i to osoby najbliższe mu na świecie.

O trzeciej po południu Konrad Berg sforsował bród na strumieniu Luzane, pomimo że woda gotowała się powyżej dużych kół jego półciężarówki, i trzy godziny później Debora leżała już na prywatnym oddziale w szpitalu w Nelspruit. Po dwóch dniach odzyskała przytomność, lecz jej twarz była makabrycznie opuchnięta i posiniaczona.

Blisko szczytu wzgórza za domem znajdował się naturalny taras, platforma, z której można było ogarnąć wzrokiem całą posiadłość. Było to miejsce ciche i leżące na uboczu, toteż postanowili tutaj właśnie pochować niemowlę. Z zebranych w pobliżu kamieni Dawid własnoręcznie zbudował niewielki grobowiec.

Dobrze się stało, że Debora nigdy nie miała tego dziecka w ramionach ani przy piersi, że nie słyszała jego płaczu i nie poznała jego zapachu. Dzięki temu rana w jej sercu nie była otchłanna i nieuleczalna. Odwiedzali grób regularnie i pewnego niedzielnego ranka, gdy siedzieli obok niego na kamieniu, Debora po raz pierwszy wspomniała o drugim dziecku.

– Potrzebował pan tyle czasu, panie Morgan, żeby uporać się ze spółdzeniem pierwszego – powiedziała z udawanym ubolewaniem. – Myślę, że zdołał pan już opanować potrzebną technikę.

Potem zeszli ze wzgórza, zapakowali wędki i koszyk z prowiantem do Land-Rovera i pojechali nad jeziora.

Mozambicki leszcz zaczął brać tuż przed południem i brał równo godzinę. Przez ten czas zużyli wszystkie grube, żółte pędraki, które Dawid wydłubał z próchniejących pni drzew. Debora złowiła pięć sztuk, jedna w drugą ważących po półtora kilograma, a Dawid zdążył wyciągnąć tuzin dużych, niebieskawych ryb, zanim leszcze skończyły

zerowanie. Wówczas umocowali wędziska i otworzyli torbę-chłodziarkę z prowiantem.

Po posiłku leżeli na macie w cieniu akacji i popijali zimne białe wino.

Afrykańska wiosna ustępowała miejsca latu, wypełniając busz zawziętą, gorączkową krzątanią. Tkacze konstruowały swoje koszykowate gniazda, uwieszały je na pochylonych łodygach trzciny, trzepocząc jaskrawożółtymi skrzydłami i poruszając szybko czarno upierzonymi głowami. Na przeciwległym brzegu jeziora niewielki, lecz jak gdyby obsypany brylantami zimorodek, siedzący na suchej gałęzi nad nieruchomą tonią, zanurkował nagle – jasnoniebieska plamka śmignęła w dół, zniknęła pod wodą, rozbijając jej gładką taflę, i po chwili wynurzyła się, trzymając, w nieproporcjonalnie dużym dziobie srebrzystą, trzepoczącą się rybę. Chmary żółtych, brązowych i białych motyli obsiadły brzeg poniżej miejsca, gdzie leżeli Dawid i Debora, a pszczoły, niby złociste drobiny słonecznego blasku, przelatowały w drodze do swych gniazd, mieszczących się w skalnych załomach, wysoko ponad powierzchnią jezior – źródła wszelkiego tutejszego życia.

W pewnej chwili Dawid dotknął ramienia Debory.

– Przyszły antylopy nyala – szepnął.

Antylopy zbliżały się do wody poprzez zagajnik po drugiej stronie jeziora. Nieśmiało i płochliwie, co kilka kroków stawały i rozglądały się dookoła wielkimi ciemnymi oczyma i nadstawiały pilnie uszu. Dzięki swemu ubarwieniu były prawie niewidoczne na tle cienistego zagajnika.

– Wszystkie samice są cielne – powiedział cicho Dawid. – Za parę tygodni będą już miały młode. Cała przyroda jest teraz brzemienna – mówiąc to obrócił się w stronę Debory, a ona wyczuła jego ruch i przysunęła się do niego. Niedługo potem, gdy antylopy nyala napiły się i odeszły, i tylko białołowy orzeł rybołów krążył wysoko nad nimi na szeroko rozpostartych skrzydłach o barwie ciemnego orzecha, wydając od czasu do czasu swój niesamowity, przejmujący krzyk, Dawid i Debora kochali się w cieniu akacji nad spokojną taflą jeziora.

Dawid wpatrywał się w twarz Debory. Leżała z zamkniętymi oczami, w powodzi ciemnych włosów rozsypanych na macie. Siniec na jej skroni zniknął już niemal zupełnie, skóra w tym miejscu miała tylko bardzo delikatny niebieskawy i żółtawy odcień – minęły już dwa miesiące, od kiedy opuściła szpital. Na tym tle mała blizna po odłamku granatu odcinała się swoją bielą. Policzki Debory zaróżowiły się, na czole i nad górną wargą zaperliły się drobniutkie kropelki potu, jej oddech stawał się coraz szybszy i głośniejszy.

Kochał się z nią i spoglądał na nią, przepojony przenikającym całe ciało uczuciem miłości. Przypadkowy promień słońca przedarł się przez parasol listowia i załzał blaskiem

jej wygiętą szyję i odchyłoną do tyłu głowę, tak że jej twarz zajaśniała niby twarz Madonny w witrażowym oknie średniowiecznego kościoła. Owo intensywne wrażenie świetlistego piękna i słodczy uniosło Dawida ku szczytom rozkoszy, która eksplodowała i zawładnęła nim niepodzielnie w szalonym, niemal ponadmysłowym spazmie. Debora otwarła szeroko oczy i ich upstrzona złocistobrazowymi iskierkami toń otwarła się przed Dawidem. Wśród tej toni unosiły się duże, czarne krążki źrenic, lecz w momencie, gdy słoneczny promień padł na nie niemal prostopadle, źrenice skurczyły się gwałtownie, stając się zaledwie czarnymi punkcikami.

Nawet w momencie najwyższego miłosnego uniesienia zjawisko to wprawiło Dawida w osłupienie. W jakiś czas potem, kiedy leżeli i odpoczywali, Debora spytała go:

– Co się stało, Dawidzie? Czy coś jest nie w porządku?

– Nie, nic, kochanie. Cóż mogłoby się stać?

– Czuję to. Ty wysyłasz najmocniejsze sygnały, jakie znam. Jestem pewna, że mogłabym je wychwycić z drugiego końca świata.

Dawid roześmiał się i odsunął się od niej nieco, mając niewyraźne poczucie winy. Być może się przewidział, może było to tylko złudzenie wywołane grą światła? Starał się zbagatelizować dziwne zjawisko i zacząć myśleć o czymś innym.

Gdy zaczął zapadać zmierzch i zrobiło się chłodno, złożyli wędki, zwinęli matę i zapakowali wszystko do samochodu. Dawid obrał dłuższą drogę powrotną, wzdłuż przesieki, ponieważ chciał jeszcze sprawdzić stan południowego ogrodzenia. Przejechali dwadzieścia minut w milczeniu, zanim Debora dotknęła jego ramienia.

– Kiedy zdecydujesz się powiedzieć mi, co cię gnębi, jestem w każdej chwili gotowa wysłuchać – powiedziała. Dawid ożywił się i zaczął mówić o różnych rzeczach, starając się wprawić ją i siebie w pogodny, żartobliwy nastrój, lecz ta jego rozmowność tchnęła mimo wszystko sztucznością.

W nocy wstał i poszedł do łazienki. Kiedy wrócił, stanął przy łóżku i stał tak długo, wpatrując się w ciemną, uśpioną sylwetkę Debory. Już chciał odstąpić od swego zamiaru, ale właśnie w tym momencie gdzieś nad jeziorami zaczął ryczeć lew. Ryk słyhać było bardzo wyraźnie w nocnej ciszy, z odległości trzech kilometrów, jaka dzieliła dom od jezior.

Był to pretekst, którego Dawid potrzebował. Wziął latarkę z nocnego stolika, zaświecił ją i skierował snop światła na twarz Debory. Była ona lekko uśmiechnięta i prześliczna, tak że poczuł chęć, by zaniechać eksperymentu i pocałować ją, jednak nie zrobił tego i odezwał się głośno:

– Debora! Obudź się, kochanie!

Debora poruszyła się i otworzyła oczy. Wtedy skierował prosto w nie snop światła

latarki i – nie, tu już nie mogło być mowy o żadnej pomyłce – szerokie, ciemne krążki źrenic skurczyły się, tak jak poprzednio.

– Co się stało? – wymamrotała sennie, a jego głos brzmiał ochryple, kiedy jej odpowiedział:

– Jakiś lew daje koncert koło jezior. Pomyślałem, że może chciałabyś posłuchać.

Debora odwróciła nieco głowę, co wyglądało tak, jak gdyby przeszkadzał jej mocny snop światła z latarki świecący prosto w twarz, ale gdy odezwała się, w jej głosie brzmiało tylko zadowolenie.

– O tak. Bardzo podobają mi się te potężne pomruki. Jak myślisz, skąd on się tu wziął?

– Prawdopodobnie przywędrował od południa. Założę się, że wykopał dziurę pod ogrodzeniem, i to taką, że mogłaby nią przejechać ciężarówka.

Starał się, by jego głos brzmiał jak najbardziej naturalnie, kiedy leżeli przytuleni do siebie, wsłuchując się w dalekie porykiwania i pomruki, cichnące, w miarę jak lew oddalał się od jezior, zmierzając w stronę rezerwatu.

Mimo wszystko upłynął jeszcze tydzień, zanim Dawid zdecydował się na napisanie listu do doktora Edelmana, który brzmiał:

Szanowny panie doktorze.

Umówiliśmy się, że napiszę do pana, jeżeli nastąpią jakieś zmiany w stanie oczu lub w zdrowiu Debory.

Ostatnio Debora nieszczęśliwym zbiegiem okoliczności znalazła się w sytuacji zagrażającej jej życiu – została zaatakowana i otrzymała wiele mocnych uderzeń w głowę, tak że była potem nieprzytomna przez dwa i pół dnia.

Podejrzewano pęknięcie kości skroni i wstrząs mózgu, ale po dziesięciodniowej obserwacji zwolniono ją ze szpitala.

Wszystko to stało się dwa miesiące temu. Ostatnio natomiast zauważyłem, że jej oczy stały się wrażliwe na światło. Jak pan z pewnością pamięta, przedtem nie reagowały na nie zupełnie i taki stan utrzymywał się aż do niedawna. Uskarżała się również na ostre bóle głowy.

Wielokrotnie sprawdzałem moją obserwację, zarówno w świetle słonecznym, jak i sztucznym, i nie ma najmniejszej wątpliwości, że pod wpływem silnego bodźca świetlnego jej źrenice kurczą się natychmiast i w takim samym stopniu jak źrenice człowieka, który widzi normalnie.

Nie jest więc wykluczone, że pańska pierwotna diagnoza powinna zostać poddana

rewizji. W każdym razie uważam – i to pragnę wyrazić ze szczególnym naciskiem – że powinniśmy podejść do tej sprawy z wielką ostrożnością. Nie chcę obudzić w mojej żonie jakichkolwiek fałszywych czy też nie uzasadnionych nadziei.

Byłbym panu bardzo wdzięczny za wyrażenie opinii i będę oczekiwał na pańską odpowiedź.

Z serdecznymi pozdrowieniami

Dawid Morgan

Włożył list do koperty, zakleił ją i zaadresował, ale gdy w następnym tygodniu wrócił z Nelspruit, gdzie zrobił zakupy, list tkwił w dalszym ciągu w zapiętej na guzik górnej kieszeni jego skórzanej kurtki.

Mijały dni wypełnione spokojnym rytmem normalnych zajęć. Debora skończyła pracę nad kolejną powieścią i otrzymała od Bobby Dugana zaproszenie do odbycia serii spotkań autorskich w pięciu największych miastach Ameryki. Kraj naszych serc już od trzydziestu dwóch tygodni utrzymywał się na liście bestsellerów „New York Timesa”, a Bobby zapewniał Deborę, że w całych Stanach ma ona „nieprawdopodobne wzięcie”.

Dawid stwierdził, że jeśli o niego chodzi, to ma ona nawet jeszcze większe wzięcie, na co Debora oświadczyła, że jest egoistą i zazdrośnikiem i że nie wie, dlaczego taka ze wszech miar utalentowana dziewczyna jak ona zadaje się z kimś takim jak on. Jednocześnie napisała list do Bobby Dugana, odmawiając wzięcia udziału w spotkaniach.

– Po co wchodzić między ludzi – zgodził się z nią Dawid, wiedząc, że zdecydowała tak dla niego. Wiedział również, że Debora jako urocza niewidoma pisarka i autorka bestsellerów stałaby się sensacją i że ta podróż wraz z serią publicznych występów wykreowałaby ją na supergwiazdę.

Świadomość tego sprawiła, że Dawid zaczął w jeszcze bardziej przykry sposób odczuwać swoją opieszałość w wysłaniu listu do doktora Edelmana. Przekonywał sam siebie, że owa wrażliwość na światło nie oznacza, iż Debora ma szansę kiedykolwiek odzyskać wzrok, że teraz jest szczęśliwa, ponieważ dostosowała się do swej sytuacji, znalazła sobie miejsce w życiu i że byłoby okrucieństwem burzyć to wszystko, rozbudzając w niej złudne nadzieje oraz narażać ją na nieuniknione skomplikowane zabiegi chirurgiczne.

W całym tym teoretyzowaniu starał się stawiać na pierwszym miejscu dobro Debory, ale zarazem był świadomy, że oszukuje samego siebie. Był tu niewątpliwie rzecznikiem swojego własnego interesu, ponieważ gdyby Debora odzyskała wzrok, cały oparty na tak delikatnie wyważonych podstawach gmach jego osobistego szczęścia musiałby rozsypać się w gruzy.

Któregoś z następnych dni pojechał rano Land-Roverem do najodleglejszego zakątka Dżabulani i zatrzymał samochód na polance pośród drzew. Zgasił silnik i ustawivszy pod odpowiednim kątem lusterko wsteczne zaczął przyglądać się swojej twarzy. Przez ponad godzinę studiował uważnie ów niemal nieludzki portret z pozrastanych kawałków jakby obcej tkanki, starając się doszukać w nim – poza oczami – choćby jakiegoś pojedynczego rysu, kształtu czy akcentu mogącego budzić odczucie inne niż odrazy; wszystko po to, by na koniec nabrać głębokiego przekonania, że żadna kobieta o zdrowych oczach nigdy nie byłaby w stanie znieść stałego widoku takiej twarzy, uśmiechać się do niej, całować jej i dotykać, obejmować jej dłońmi i pieścić w chwilach miłosnych uniesień.

Do domu wracał niespiesznie. Debora czekała na niego na ocienionej, chłodnej werandzie. Usłyszawszy warkot silnika Land-Rovera, zbiegła po schodach i stanęła na zalanym słońcem dziedzińcu. Miała na sobie sprane dzinsy i jasno-różową bluzkę, a kiedy Dawid podszedł do niej, na oślep, lecz radośnie wystawiła usta do pocałunku.

Na ten wieczór Debora zaplanowała pieczenie mięsa na rożnie. Wieczór był zimny, toteż pomimo że siedzieli pod drzewami blisko ognia, słuchając nocnych odgłosów buszu, Debora narzuciła sobie na ramiona ciepły kaszmirowy sweter, a Dawid włożył swoją kurtkę lotniczą.

Nie wysłany list tkwił w górnej kieszeni i parzył przez warstwę ubrania. Dawid odpiął klapkę kieszeni i wyjął go. Podczas gdy Debora, siedząc u jego boku, dzieliła się z nim swoimi myślami, wyciągając ręce i nastawiając je otwartymi dłońmi do płomieni, on wpatrywał się w kopertę i obracał ją w palcach.

Potem, nagle jakby to był żywy skorpion, rzucił ją w ognisko i patrzył, jak papier kurczy się, czernieje, rozsypuje i unosi w ciemne niebo rojem czerwonych, szybko gasnących iskerek.

To, co było tak łatwo zniszczyć jednym ruchem, znacznie trudniej było wymazać ze świadomości. W nocy Dawid leżał z otwartymi oczami, odczytując wbrew swej woli raz po raz słowa listu, które utrwaliły mu się aż nadto dobrze w pamięci. Nie dawały się one w żaden sposób wymazać ani zagłuszyć i chociaż powieki mu ciążyły, a w głowie ze zmęczenia świdrował tępy ból, nie mógł zasnąć.

Przez następne dni był milczący i bez humoru. Debora wyczuwała ten jego nastrój pomimo wszystkich usiłowań Dawida, by go zamaskować, i była poważnie zaniepokojona, podejrzewając, że ma do niej jakąś ukrytą urazę. Kochająca i targana obawami, na wszystkie sposoby starała się dojść powodu jego przygnębienia i usunąć go.

Atoli jej starania sprawiały, że Dawid nabierał jeszcze głębszego poczucia winy.

Jak gdyby w akcie rozpaczycy wsiedli któregoś dnia pod wieczór do Land-Rovera,

pojechali do Sznura Pereł i trzymając się za ręce poszli spacerem nad wodę. Znaleźli obalony pień drzewa, zasłonięty trzcinami, i przysiedli na nim. Siedzieli tak w milczeniu, ponieważ żadne z nich nie miało drugiemu nic do powiedzenia.

Gdy wielka, czerwona tarcza słoneczna zaczęła chować się za las i mrok zaczął gęstnieć w głębi zagajnika, stado antylop nyala wychynęło, stąpając ostrożnie, spomiędzy drzew.

Dawid trącił lekko Deborę, a ona zaczęła nasłuchiwać i przysunęła się do niego nieco bliżej.

– Dzisiaj są naprawdę niespokojne – zaczął opowiadać jej szeptem Dawid. – Wyglądają, jak gdyby miały sprężyny pod kopytami. Nawet stąd widzę, jak drżą ich napięte mięśnie. Oba byki są chyba na granicy wytrzymałości nerwowej. Nasłuchują tak intensywnie na wszystkie strony, że uszy wyciągnęły im się na dwukrotną długość, słowo dają. Gdzieś tam, przy trzcinach, musi być pantera... o, nie, teraz już widzę! A więc to dlatego!

– Co? Co to jest takiego? – spytała Debora, ogromnie zaintrygowana, chwytając go niecierpliwie za rękę.

– Młody cielak! – w szeptcie Dawida słychać było wyraźne rozradowanie. Jedna z samic ocieliła się. O Boże, Debora! On jeszcze ledwo może ustać na nogach, a jego sierść ma najdelikatniejszy odcień beżu...

Opisywał jej wygląd cielaka, gdy ten chwiejnie i powoli kroczył za matką, zbliżając się ku wodzie. Debora wsłuchiwała się w jego słowa z tak niezwykłą uwagą i napięciem, że było oczywiste, iż ów opis, wiążący się bezpośrednio z aktem narodzin i ze stanem macierzyństwa, poruszył mocno jakąś wrażliwą strunę w jej duszy. Być może myślała przy tym o swoim własnym, zmarłym niemowlęciu. Jej uścisk na przedramieniu Dawida stawał się coraz mocniejszy, niewidzące oczy zdawały się płonąć w zapadającym mroku – i nagle przemówiła, cichym głosem, ale jej słowa zabrzmiały niby stłumiony krzyk, taka w nich była otchłań rozpacz, żalu i pragnienia.

– Tak bardzo chciałabym móc widzieć. Boże, przywróć mi wzrok! Błagam Cię, spraw, żebym widziała!

Po tych słowach wybuchnęła szlochom, gwałtowne spazmy wstrząsały całym jej ciałem. Po drugiej stronie jeziora antylopy nyala pierzchły w panicznym przestraszu i znikły między drzewami. Dawid objął Deborę i przytulił ją do piersi, obejmując dłonią jej głowę, tak że łzy nasączyły mu koszulę i chłodną plamą ziębiły pierś. Równocześnie lodowaty wicher rozpaczy wył w jego duszy.

Jeszcze tego wieczoru napisał ponownie list, podczas gdy Debora siedziała po przeciwnej stronie pokoju, robiąc dla niego na drutach sweter na zimę, przekonana, że

Dawid dokonuje podliczenia rachunków związanych z utrzymaniem posiadłości. On natomiast, stwierdziwszy, że jest w stanie odtworzyć treść spalonego listu co do słowa, uporał się z nim w trzy minuty, po czym włożył go do koperty, zakleił i zaadresował.

– Czy masz zamiar jutro rano pracować nad książką? – spytał jak gdyby od niechcenia, a kiedy Debora odpowiedziała twierdząco, dorzucił: – Będę musiał wyskoczyć do Nelspruit na godzinę czy dwie.

Tym razem prowadził swojego Navajo tak, jak gdyby pragnął uciec możliwie najdalej od wszystkiego, co miało właściwe sobie miejsce tam, w dole, na powierzchni ziemi. Nie mógł sam uwierzyć, iż rzeczywiście wykona to, co postanowił. Nie wierzył, że jest zdolny do takiego poświęcenia. Zastanawiał się, czy w ogóle można kochać kogoś tak bardzo, żeby w imię jego dobra skazać tę miłość na niemal pewne zniszczenie – i z głębi własnej duszy słyszał odpowiedź, że owszem, że można, i teraz, lecąc na południe, po raz pierwszy poczuł, że jest dostatecznie mocny, by tego dokonać.

Ze wszystkich ludzi Debora najbardziej potrzebowała daru widzenia, ponieważ bez niego nie była w stanie rozwinąć w pełni potężnych skrzydeł swojego talentu. Jeżeli nie mogła czegoś zobaczyć, nie mogła też tego opisać. Został jej udzielony wielki dar, a potem połowa z niego została jej zabrana. Rozumiał jej rozpaczliwe błaganie: „Boże, przywróć mi wzrok! Błagam Cię, spraw, żebym widziała!” – i pragnął, żeby zostało ono wysłuchane. Wobec znaczenia, jakie miało dla niej spełnienie tego życzenia, jego osobisty interes wydawał się błahostką i kaprysem. Toteż lecąc powtarzał w myślach:

– Boże, spraw, żeby znów mogła widzieć...

Po wylądowaniu wezwał telefonicznie taksówkę i kazał się zawieźć prosto do urzędu pocztowego, gdzie nadał list i odebrał nagromadzoną korespondencję.

– Dokąd teraz? – spytał kierowca taksówki. Dawid już chciał odpowiedzieć, że z powrotem na lotnisko, gdy nagle doznał natchnienia.

– Do magazynu win – powiedział i po kilkunastu minutach odjeżdżał w kierunku lotniska, mając ze sobą skrzynkę szampana Veuve Clicquot.

Leciał do domu w nastroju lekkości i uniesienia. Ruletka została puszczone w ruch, koło wirowało, a kulka odbijała się grzechocząc, a on nie miał żadnego wpływu na to, do której przegródki wpadnie. Nie dręczyły go już wątpliwości, nie ciążyło mu poczucie winy, był w stanie przyjąć każdy wynik.

Debora natychmiast wyczuła zmianę w jego nastroju, roześmiała się z ulgą i zarzuciła mu ręce na szyję.

– Powiedz mi, co naprawdę się stało – dopytywała się. – Przez tygodnie nosiłeś w sobie coś, co cię gnębiło. Niepokoiłam się i zamartwiałam. A potem znikasz z domu na godzinkę czy dwie i wracasz zupełnie odmieniony. Co tu się na Boga dzieje, Morgan?!

– Po prostu nareszcie przekonałem się, jak bardzo cię kocham – odparł Dawid, oddając jej uścisk.

– Bardzo, bardzo? – napierała Debora.

– Tak, i nawet jeszcze bardziej.

– O, to jest cały mój chłopak! – zawołała radośnie.

Veuve Clicquot okazał się nadzwyczaj udanym zakupem.

W dużym pliku korespondencji, który Dawid przywiózł z Nelspruit, tkwił list od Bobby Dugana. Pierwsze rozdziały nowej powieści Debory wzbudziły jego zachwyt, który zresztą podzielali wydawcy. Udało mu się wymusić od nich zaliczkę w wysokości stu tysięcy dolarów.

– Jesteś bogata! – roześmiał się Dawid, unosząc wzrok znad listu.

– To jedyny powód, dla którego ożeniłeś się ze mną – stwierdziła Debora, kiwając potakująco głową. – Sprytny uwodziciel! – dorzuciła, ale nie wytrzymała i też roześmiała się, podekscytowana, a Dawid spoglądał na nią, dumny jej dumą i radosny jej radością.

– Im podoba się to, co piszę, Dawidzie – powiedziała już poważnym tonem. – Im się to naprawdę podoba. A ja tak bardzo byłam tego niepewna.

Pieniądze jako takie nie były oczywiście ważne. Liczyły się jedynie jako świadectwo wysokiej oceny kunsztu pisarskiego Debory. Duże pieniądze są najrzetelniejszym dowodem uznania dla autora.

– Byliby kretykami, gdyby się im to nie podobało – stwierdził autorytatywnie Dawid i dodał: – Tak się składa, że przywiozłem skrzynkę szampana. Może wstawię do lodówki butelkę? Albo lepiej od razu dziesięć. Co ty na to?

– Dawidzie Morgan, jesteś obdarzony proroczą intuicją. W takich momentach wiem, za co cię kocham.

Kolejne tygodnie były znów tak dobre jak te dawniejsze. Dawid miał o wiele jaśniejszą świadomość wartości tego stanu rzeczy, wyostrzoną widokiem burzowych chmur gromadzących się na horyzoncie; przeżywał czas obfitości intensywniej w obliczu spodziewanego nadejścia czasu niedostatku. Usiłował przedłużyć ten czas poza jego naturalny kres. Minęło pięć tygodni, zanim zdecydował się polecieć do Nelspruit, a i to tylko dlatego, że Debora ciekawa była nowych wiadomości od swoich wydawców i agenta, oraz żeby odebrać przepisaną partię maszynopisu.

– Chciałabym pójść do fryzjera uczesać się, a poza tym chociaż wiem, że nie potrzebujemy ludzi, to jednak powinniśmy utrzymywać z nimi jakiś kontakt, może raz na miesiąc – nie sądzisz, kochanie?

– Czyżby już minęło tyle czasu? – zdziwił się niewinnie Dawid, choć w rzeczywistości każdy z minionych dni został przezeń dokładnie odważony, jego treści

wysmakowane i złożone do skarbcza pamięci, by można było z nich czerpać w zbliżających się ciężkich czasach.

Dawid zostawił Deborę w salonie kosmetycznym. Wychodząc słyszał jeszcze, jak poleca fryzjerce, by przypadkiem nie zrobiła jej gęstej masy drobnych loczków usztywnionej lakierem, i nawet w tej sytuacji, będąc szczególnie napięty, uśmiechnął się, ponieważ styl damskich fryzur, o którym mówiła Debora, on sam zwykł był określać kpiąco jako „nowoczesny fason przyładkowy” albo „renesans randburgski”.

Skrytka pocztowa była pełna po brzegi. Dawid przejrzał pobieżnie stos kopert i wyjął z niego trzy listy od amerykańskiego agenta Debory oraz dwa z izraelskimi znaczkami. Z tych ostatnich jeden był zaadresowany typowo lekarskim, hieroglificznym stylem pisma i Dawid zdziwił się, że w ogóle mógł on trafić do adresata. Pismo na drugiej kopercie nie pozostawiało żadnej wątpliwości co do ręki nadawcy – równo poustawiane litery zdążyły jedna za drugą w równych odstępach, jak żołnierze w szyku marszowym, a ich pionowe kreski sterczały niby strzeliste drzewca nad oddziałem pikinierów.

Dawid znalazł ławkę w parku pod purpurowymi drzewami jacaranda i jako pierwszy otworzył list doktora Edelmana. Był on napisany po hebrajsku, co czyniło odszyfrowanie go jeszcze trudniejszym, a brzmiał tak:

Drogi Dawidzie.

Twój list wprowadził mnie w zdziwienie. Obejrzałem jeszcze raz bardzo dokładnie klisze rentgenowskie. Wszystkie one pokazują to samo i w dalszym ciągu jestem gotów podtrzymać w całej rozciągłości moją poprzednią diagnozę.

W tym momencie Dawid odczuł pewną ulgę.

Jeżeli jednak dwadzieścia pięć lat praktyki czegoś mnie nauczyło, to przede wszystkim pokory. Muszę przyjąć, że zaobserwowana przez ciebie wrażliwość na światło jest faktem. Atoli uczyniwszy to, muszę w konsekwencji przyjąć również, że nerwy wzrokowe Debory są przynajmniej w jakiejś mierze sprawne. Z tego zaś wynika, że skrzyżowanie nerwowe nie zostało przerwane całkowicie, i że obecnie – być może na skutek wstrząsów spowodowanych uderzeniami w głowę nerw odzyskał pewną zdolność funkcjonowania.

Podstawowe pytanie brzmi: jaki jest stopień tego ozdrowienia, i tutaj ponownie muszę cię ostrzec, że może być on tak minimalny, że ogranicza się jedynie do tego, co zaobserwowałeś, mianowicie do odzyskania wrażliwości oka na światło i niczego więcej. Może ono jednak sięgać dalej i nie jest wykluczone, że po dokonaniu odpowiedniego zabiegu Debora może odzyskać w jakimś stopniu zdolność widzenia. Nie spodziewam się

jednak, żeby widzenie to mogło obejmować cokolwiek więcej niż zdolność nieprecyzyjnego rozróżniania jasnych i ciemnych obszarów oraz zarysów kształtów. Toteż należy wyważyć różne racje i zdecydować, czy wszelki możliwy zysk z osiągnięcia takiego stanu rzeczy nie byłby zbyt niewielki wobec ryzyka, jakim jest ingerencja chirurgiczna w obszarze tak delikatnym i łatwym do uszkodzenia.

Oczywiście ogromnie chciałbym móc osobiście zbadać Debore. Liczę się jednak z tym, że przyjazd do Jerozolimy mógłby wam być bardzo nie na rękę, pozwoliłem sobie przeto napisać do mojego kolegi w Cape Town, który jest jednym z najwybitniejszych na świecie specjalistów w dziedzinie patologii nerwów wzrokowych. Jest to doktor Ruben Friedman; załączam ci kopię mojego listu do niego. Jak zorientujesz się z niej, przesłałem mu także zdjęcia rentgenowskie i kliniczny opis przypadku.

Zalecałbym ci jak najusilniej skorzystać z pierwszej nadarzającej się okazji przedstawienia Debory doktorowi Friedmanowi i umożliwienia mu zbadania jej. Możesz mieć pełne zaufanie do wyrażanych przez niego opinii. Mogę dodać, że oddział okulistyczny szpitala Groote Schuur cieszy się światową renomą i jest znakomicie wyposażony technicznie – przeszczepy serca nie są bynajmniej jedyną tamtejszą specjalnością!

Pozwoliłem sobie pokazać twój list generałowi Mordechajowi i przedyskutować z nim tę sprawę...

Dawid złożył list starannie. – Po jakiego diabła Edelman wciągnął w tę sprawę Bryga? Czy musiał wprowadzać tego bojowego ogiera między klomby róż? – pomyślał i otworzył list od Bryga.

Dawidzie.

Rozmawiał ze mną doktor Edelman. Zatelefonowałem do Cape Town do Friedmana, który zgodził się zbadać Debore.

Przez parę lat odkładałem podróż do Afryki Południowej z serią odczytów, której odbycia domagał się ode mnie tamtejszy Kongres Syjonistyczny. Dzisiaj napisałem do nich i poprosiłem o dokonanie odpowiednich przygotowań.

Da to nam okazję do sprowadzenia Debory do Cape Town. Powiedz jej, że mam zbyt mało czasu, aby odwiedzić was na farmie, lecz bardzo zależy mi na tym, by się z nią zobaczyć.

O dokładnych terminach poinformuję cię później. Spodziewam się, że przy tej okazji również i my się spotkamy...

Był to typowy styl Bryga, zwięzły i rozkazujący, nie liczący się z możliwością sprzeciwu. Sprawa wymknęła się zatem Dawidowi z rąk. Nie było już odwrotu, ale wciąż pozostawała nadzieja, że wszystko to nie da żadnego rezultatu. W rzeczy samej Dawid przyłapał się na tym, że czepia się tej nadziei, i świadomość własnego egoizmu napełniła go niesmakiem. Odwrócił kartkę i na jej drugiej stronie skreślił fałszywą wersję listu Bryga, gdzie ten komunikował po prostu o swoim planie przyjazdu do Cape Town. Ta wersja była przeznaczona dla Debory, a przy okazji Dawid ubawił się trochę, naśladowując styl Bryga. Co było konieczne, aby mógł przeczytać ów tekst Deborze, nie budząc jej podejrzeń.

Debora była uszczęśliwiona, gdy odczytał jej ten tekst, on natomiast poczuł się odrobinę niewyraźnie, mając świadomość, że uprawia z nią podwójną grę.

– Tak się cieszę, że będę go mogła zobaczyć. A może przyjedzie z nim także matka?

– Nie napisał o tym, ale raczej wątpię – odparł Dawid. Następnie ułożył korespondencję z Ameryki w porządku chronologicznym, wedle dat na stemplach pocztowych, i zaczął po kolei odczytywać listy Deborze.

Pierwsze dwa zawierały merytoryczne uwagi wydawcy dotyczące wstępnej wersji powieści *Wieczysty płomień*, i te zostały odłożone na bok, ponieważ wymagały udzielenia szczegółowej odpowiedzi. Natomiast trzeci list był kolejnym z zawierających wstrząsające wiadomości.

Wytwórnia United Artists wystąpiła z inicjatywą nakręcenia filmu na podstawie *Kraju naszych serc* i proponowała imponującą kwotę za nabycie praw na dwadzieścia cztery miesiące oraz pewien – niewielki – procent od zysku. Jeżeli jednak Debora mogłaby udać się do Kalifornii i osobiście napisać scenariusz, to Bobby Dugan zapewniał, że mógłby to wszystko razem przetworzyć w kontrakt opiewający na ćwierć miliona dolarów. Nakłaniał Deborę do wzięcia pod uwagę okoliczności, że nawet renomowani autorzy rzadko otrzymują ofertę napisania scenariusza na podstawie własnej powieści, tak więc nie jest to oferta, którą można by zlekceważyć, i on ze swej strony namawiałby gorąco Deborę, żeby ją przyjęła.

– Po co pchać się między ludzi? – zaśmiała się Debora szybko, zbyt szybko, i Dawid zdołał dostrzec wyraz rozmarzenia na jej twarzy, zanim odwróciła głowę i spytała:

– Czy ma pan jeszcze trochę *Veuve Clicquot*, panie Morgan? Myślę, że powinniśmy to oblać.

– Przy takich apetytach, pani Morgan, powinienem założyć tu magazyn szampana – odparł Dawid. Wstał i poszedł do lodówki. Piana wzniosła się aż po krawędź cienkiego kieliszka. Czekać, aż opadnie, Dawid podjął już decyzję.

– Potraktujmy poważnie jego radę i pomyślmy nad wyjazdem do Hollywood – powiedział, wręczając jej kieliszek.

– O czym tu myśleć. Nasze miejsce to Dżabulani.

– Tak, ale poczekajmy trochę, zanim udzielimy odpowiedzi.

– Na co mamy czekać? Jak długo? – spytała, opuszczając rękę z kieliszkiem.

– Odczekajmy, powiedzmy... do czasu zobaczenia się z Brygiem w Cape Town.

– Ale dlaczego? Cóż ono zmieni?

– Nic. Chodzi po prostu o to, że jest to ważna decyzja. Natomiast taki, a nie inny termin przyjąłem zupełnie dowolnie.

– Beseder! – zgodziła się ochoczo Debora i uniosła kieliszek w jego stronę. – Kocham cię.

– A ja kocham cię – odparł Dawid, i kiedy popijał zimnego, perlстого szampana, odczuwał zadowolenie, że stworzył jej możliwość dokonania wyboru.

Przyjazd Bryga do Cape Town miał nastąpić dopiero za trzy tygodnie i Dawid starał się wykorzystać każdą godzinę do maksimum, licząc się z tym, że los wygna ich z małego raj, jakim było Dżabulani.

Były to szczęśliwe dni i mogło się zdawać, że przyroda postanowiła obdarzyć ich wszystkim, co miała najlepszego. Życiodajne deszcze padały systematycznie, wedle ustalonego rytuału – pierwsze krople spadały zawsze w godzinach popołudniowych w dni o pochmurnych porankach, kiedy powietrze było parne i nieruchome. O zachodzie błyskawice rozświetlały skłębione chmury. Później, w ciemności, kiedy Dawid i Debora leżeli przytuleni do siebie, huk grzmotów rozbrzmiewał niby bicie młota w potężne, cyklopie kowadło, prostokąt okna w głowach łóżka rozbłyskał oślepiającym światłem, a wszystkiemu temu towarzyszył szum i plusk ulewy. Mając Dawida u boku, Debora nie odczuwała jednak żadnego lęku.

Następny ranek bywał z reguły klarowny i zimny, omyte z kurzu drzewa błyszcząły listowiem, ziemia była ciemna, wilgotna i pokryta wielkimi kałużami. Deszcze pobudzały do życia cały świat roślinny i zwierzęcy, toteż każdego dnia przydarzały się jakieś małe niespodzianki – nieoczekiwane odwiedziny i niezwykle widowiska.

Orły rybołowy wyniosły swe potomstwo z kosmatego gniazda w koronie drzewa mhobahoba i uczyły je siadania na gałęzi. Małe siadywały tam następnie dzień po dniu, jak gdyby nabierając odwagi, rodzice zaś kręcili się gorączkowo wokół swych pociech, przygotowując je do wielkiej chwili pierwszego wzbicia się w powietrze.

Któregoś z następnych poranków, gdy Dawid i Debora siedzieli na werandzie przy śniadaniu, dał się słyszeć chór głośnych orlich krzyków, radosnych i triumfalnych. Dawid wziął Debora za rękę i razem zeszli ze stopni werandy na otwartą przestrzeń. Spojrzał

w górę, ujrzał cztery ciemne sylwetki unoszące się na rozpostartych szeroko skrzydłach na tle jasnego błękitu i jego serce poszybowało ku nim, przepełnione radością z ich sukcesu. Orły wznosiły się wyżej i wyżej, krążąc po szerokiej spirali, aż stały się małymi punkcikami i znikły, kierując się ku swoim jesiennym terenom nad rzeką Zambezi, leżącym o trzy tysiące kilometrów stąd, na północy.

W tych pogodnych dniach zdarzył się jednak wypadek, który nappełnił ich oboje smutkiem i wprowadził w przygnębienie.

Pewnego ranka udali się na spacer, sześć kilometrów na północ, poza pasmo wzgórz, i dotarli do niedużej, wąskiej kotliny, pośrodku której rosło kilka wysokich drzew.

Dwa orły cesarskie obrały sobie za siedzibę najwyższe z tych drzew. Samica była młodym, pięknym ptakiem, natomiast jej partner miał już za sobą swoje najlepsze lata. Zaczęli budować gniazdo wysoko w rozgałęzieniu konarów, lecz pracę tę zakłóciło pojawienie się trzeciego orła, samotnego samca, młodego, dumnego i zaborczego. Dawid zobaczył go, kołującego w pobliżu granic terytorium należącego do osiedlonej tu pary, starannie pilnującego się jednak, by jej nie przekroczyć, przysiadającego na okolicznych wzgórzach i zbierającego się w sobie do rzucenia wyzwania, które wyraźnie planował. Rysujący się konflikt zafascynował Dawida, a jego sympatia była zdecydowanie po stronie starego orła. Z podziwem obserwował go, siedzącego na wysokiej gałęzi, gotowego w każdej chwili zareagować na wtargnięcie przeciwnika, albo odbywającego napowietrzne patrole, unoszącego się na swych wielkich skrzydłach tam i z powrotem, zawsze jednak pozostającego w obrębie obszaru, który uważał za swoje terytorium.

Tego dnia Dawid postanowił wybrać się do kotliny, aby znaleźć miejsce na urządzenie zamaskowanego stanowiska, z którego mógłby fotografować orle gniazdo, a także ciekawy wyniku nieuniknionego starcia między dwoma samcami.

Okazało się, że wybrał właśnie dzień, w którym miało dojść do rozstrzygnięcia.

Poszli z Deborą wznoszącym się wąwozem i na koniec przysiedli dla zaczerpnięcia oddechu na skalnym występie, z którego rozpościerał się widok na całą kotlinę. Mieli przed sobą panoramę pola walki.

Stary samiec siedział na brzegu gniazda, przygarbiony, szary, o białej piersi i głowie osadzonej nisko na potężnym karku. Dawid rozglądał się za intruzem, śledząc przez lornetkę wierzchołki wzgórz, lecz nie mógł go nigdzie dostrzec. Opuścił lornetkę na piersi i zamienił spokojnie kilka zdań z Deborą.

Nagle jego uwagę zwróciło zachowanie się starego orła. Poderwał się on raptownie do lotu i zaczął wznosić się ostro w górę na swych rozłożystych skrzydłach. W pośpiechu, z jakim starał się nabrać wysokości, wyczuwało się świadomość zagrożenia. Lecąc ukośnie w górę znalazł się dokładnie nad ich głowami, tak że Dawid

widział wyraźnie drapieżną krzywiznę dzioba i podobne do gronostajowych czarne plamki na łącie cesarskiej bieli jego piersi.

Orzeł rozchylił żółty dziób i wydał krzyk będący wyzwaniem. Dawid przebiegł wzrokiem niebo i chmury w rutynowym odruchu pilota-myśliwca i natychmiast dostrzegł intruza. Młody orzeł obrał pozycję do ataku ze zmyślnością godną wytrawnego wojownika. Znajdował się wysoko, od strony słońca, i krążąc prowokował przeciwnika do ataku. Dawid poczuł ciarki na skórze z emocji. Cała jego sympatia była po stronie obrońcy, który wspinał się z wolna coraz wyżej mocnymi uderzeniami skrzydeł.

W krótkich, urywanych zdaniach Dawid opisał tę sytuację Deborze, a ona chwyciła go za rękę, pełna przejęcia, kierując swoją sympatię, tak jak Dawid, ku starszemu z ptaków.

– Mów mi, co się dzieje! – zażądała.

Młodszy orzeł krążył wyczekująco, przekręcając głowę, by śledzić wznoszenie się przeciwnika.

– Teraz rusza! – wykrzyknął Dawid.

Krążący orzeł pochylił się na skrzydło i rozpoczął pikowanie.

– Słyszę go – wyszeptała Debora i w rzeczy samej szum skrzydeł atakującego ptaka był dobrze słyszalny aż przy ziemi, podobny do syku ognia pożerającego wysuszoną trawę buszu.

– Odpadnij w lewo! Jazda! Teraz! – Dawid przyłapał się na tym, że woła do starego orła, tak jakby był jego skrzydłowym w kluczu, i ścisnął przy tym rękę Debory tak, że ta jęknęła. Mogło się zdawać, że stary orzeł go usłyszał, złożył bowiem skrzydła, wypadł z linii ataku i pokoziołkował w dół. Napastnik śmignął obok niego, wysunięte do przodu szpony trafiły w powietrze, a ptak niesiony siłą rozpędu pikował dalej, ku dnu doliny.

Stary orzeł wyszedł z koziołkowania z na pół rozpostartymi skrzydłami i ruszył natychmiast w dół za przeciwnikiem. Jeden mistrzowski manewr starego weterana pozwolił mu uzyskać zdecydowaną przewagę.

– Weź go! – krzyknął Dawid. – Weź go, kiedy zrobi zwrot! Teraz! Już!

Młody orzeł leciał w dół niby wystrzelony pocisk, ku wierzchołkom drzew i pewnej śmierci. Rozpostarł skrzydła, by przerwać opadanie i starał się wykonać rozpaczliwy zwrot celem uniknięcia uderzenia z góry. W tym momencie był znakomitym obiektem do zaatakowania, co potrafił też ocenić stary orzeł, wysunął bowiem w przód zagięte, ostre szpony i nie zmniejszając szybkości pikowania uderzył w przeciwnika w krytycznym punkcie wykonywanego przezeń zwrotu.

Głuchy odgłos uderzenia dobiegł do miejsca, gdzie siedzieli Dawid i Debora, a w powietrzu wokół obu ptaków zakotłowało się od piór – ciemnych ze skrzydeł i białych

z piersi.

Zespoleni zakotwiczonymi w ciele młodego orła szponami obaj przeciwnicy potoczyli się w powietrzu, w łopocie skrzydeł i kotłowaniu zmagających się ciał, znacząc swój szlak kaskadami wydartych piór, niby kłębek puchu unoszony podmuchem wiatru. Wciąż zwarci w śmiertelnej walce, zawadzili o czubek jednego z wysokich drzew i runęli w dół, zatrzymując się na koniec w rozwidleniu pnia, wysoko nad ziemią.

Dawid poprowadził Deborę w dół po zboczu wzgórza, a potem pomiędzy kępami sztywnej, ostrej trawy ku kępie drzew.

– Możesz je dojrzeć? – spytała Debora.

Dawid skierował lornetkę na walczącą parę.

– Są zakleszczeni. Stary ma pazury białe głęboko w grzbiet młodego. Nie będzie mógł już ich uwolnić, a do tego utkwili w rozwidleniu pnia, tak że jeden jest po jednej, a drugi po drugiej stronie.

Krzyki orłów, wyrażające wściekłość i agonię, odbijały się echem od wzgórz otaczających dolinę, a tymczasem samica krążyła ciekawie nad drzewami, wzbogacając odgłosy walki swoim denerwującym, skrzypliwym pokrzykiwaniem.

– Młody orzeł umiera – powiedział Dawid. Przez lornetkę widział wyraźnie karminowe krople spływające z rozchylonego żółtego dzioba, kapiące na śnieżnobiałą pierś i połyskujące na niej niby rubiny.

– A stary? – spytała Debora.

Nasłuchiwała, stojąc z twarzą zwróconą ku górze i oczami pociemniałymi z przejęcia.

– On nigdy już nie uwolni swych pazurów. Zaciskają się one automatycznie w momencie chwytu i on sam nie będzie w stanie ich rozkurczyć. Umrze tak jak tamten.

– Czy nie da się nic zrobić? Nie możesz mu pomóc?

Dawid łagodnie wytłumaczył jej, że orły są uwięzione dobre dwadzieścia metrów nad ziemią. Pień drzewa jest gładki pozbawiony gałęzi do wysokości piętnastu metrów. Żeby dotrzeć do ptaków, potrzeba by parę dni na przygotowania, a wtedy byłoby już za późno.

– Nawet gdyby teraz udało się dotrzeć do nich, kochanie, to wiesz, że są to dzikie stworzenia, agresywne i niebezpieczne. Ich dzioby i szpony są w stanie wydrzeć oczy albo rozplatać ciało do kości. Natura nie lubi, gdy usiłuje się ingerować w jej wyroki.

– Nie możemy więc nic poradzić?

– Owszem. Możemy przyjść tutaj jutro rano, żeby zobaczyć, czy stary zdołał się uwolnić. Ale weźmiemy ze sobą strzelbę na wypadek, gdyby mu się nie udało.

Nazajutrz wczesnym rankiem przyszli znów pod drzewo. Młody orzeł był już

martwy, zwisał zwiotczały i pozbawiony wdzięku, lecz stary wciąż żył, przykuty chwytem szponów do trupa swego wroga. Był słaby i również bliski śmierci, ale jego oczy nadal rzucały wściekłe, żółte błyski. Usłyszał ich głosy, odwrócił zmierzwioną, starą głowę i rozchylił dziób w ostatnim bojowym krzyku.

Dawid załadował strzelbę, zatrzasnął komory nabojoye i popatrzył w górę na starego orła. – Nie tylko ty, stary przyjacielu – pomyślał, uniósł strzelbę do ramienia i posłał mu dwa ładunki śrutu. Poszarpane zwłoki ptaka zawisły bezwładnie wysoko nad ziemią, a z drzewa pociekł raptownie w dół strumyk krwi, który po chwili zaczął się rwać, przechodząc w jednostajnie spadające krople. Dawid czuł się tak, jak gdyby przed chwilą zabił część samego siebie. Całe to wydarzenie sprawiło, że następne dni nie były już tak radosne, jak poprzednie.

Tych kilka dni przeminęło o wiele za szybko jak dla Dawida, a ostatnie z nich on i Debora spędzili na wędrówkach po Dżabulani, odwiedzając każde ze swoich ulubionych miejsc, odszukując stada rozmaitych zwierząt, a nawet pojedyncze sztuki, jak gdyby chcieli się pożegnać ze starymi przyjaciółmi. Ostatniego dnia po południu poszli nad jezioro, usiedli pod akacjami i siedzieli tam dotąd, aż słoneczna kula pograżyła się za widnokreśm w powodzi czerwieni. Wówczas moskity zaczęły brzęczeć i krążyć im wokół głów, ruszyli więc z powrotem, trzymając się za ręce i dotarli do domu już po zapadnięciu zmroku.

Tego wieczoru spakowali bagaże i złożyli je na werandzie, gotowe do zabrania wczesnym rankiem. Potem piekli mięso na rożnie i popijali szampana przy ognisku. Veuve Clicquot zdecydowanie poprawił im nastrój, tak że siedzieli śmiejąc się i żartując w swej małej, rozświetlonej blaskiem płomieni enklawie pośród niezmiernego oceanu afrykańskiej nocy. Lecz mimo wszystko dla Dawida ów śmiech pobrzmiwał jakimś martwym echem; miał świadomość zamknięcia się czegoś, nieuniknionego kresu i zarazem rozpoczęcia się czegoś nowego.

Kiedy o świcie wystartowali, Dawid wykonał dwa okrążenia nad Dżabulani, wznosząc się powoli. Jeziora u stóp wzgórz, muskane pierwszymi promieniami słońca połyskiwały niby wypolerowany metal. Pejzaż, w dole okrywała poszarpana powłoka surowej, nieprzytulnej zieleni, tak różnej od tej, która pokrywa krainy północnej półkuli. Służący stali na podwórzu przed domem, przysłaniając oczy dłońmi i machając im na pożegnanie, a ich cienie kładły się długimi, cienkimi kreskami na rudawej ziemi.

Dawid dokończył okrążenie i wprowadził maszynę na właściwy kurs.

– Teraz już prosto do Cape Town – powiedział, a Debora wyciągnęła rękę i położyła mu dłoń na udzie, nie mówiąc nic, lecz sygnalizując mu, że jest obok niego i z nim razem u początku tej nowej drogi.

Zamieszkali w hotelu Mount Nelson, przekładając jego staromodną elegancję i rozległe ogrody palmowe nad nowoczesne wieżowce ze szkła i betonu, sterczące nad brzegiem i na skałach Sea Point. Przez dwa dni pozostałe do przybycia Bryga nie opuszczali prawie apartamentu, ponieważ Dawid zdążył już odzwyczaić się od towarzystwa ludzi – krótkie, badawcze spojrzenia, jakimi go obrzucano, oraz wygłaszane szeptem współczujące komentarze były dlań trudne do zniesienia.

Drugiego dnia zjawił się Bryg. Zapukał do drzwi apartamentu i nie czekając wszedł do środka, zdecydowanym i pewnym siebie krokiem. Był szczupły, żylasty i opalony, taki, jakim pamiętał go Dawid. Witając się z Deborą, w trakcie uścisku obrócił się ku Dawidowi i wyciągnął do niego suchą i kościstą dłoń. Dawidowi zdawało się, że w jego spojrzeniu dostrzega jakąś nową, agresywną determinację.

W czasie gdy Debora kąpała się i przebierała na wieczór, Bryg zaprosił Dawida do swojego apartamentu, nalał szklankę whisky i wręczył mu ją nie pytając, czego by sobie życzył. Zaraz też zaczął informować go o przygotowaniach, które już poczynił.

– Friedman będzie obecny na małym bankiecie z okazji mojego przybycia. Przedstawię go Deborze i pozwolę im chwilę porozmawiać, a później posadzi się go obok niej przy stole. W ten sposób łatwiej nam będzie nakłonić Deborę do poddania się badaniom...

– Chwileczkę – przerwał mu Dawid. – Zanim ustalimy to wszystko, chcę mieć z pana strony zapewnienie, że w żadnym razie nie zostanie Deborze zasugerowane, iż istnieje choćby najmniejsza możliwość odzyskania przez nią wzroku.

– Zgoda.

– Ale podkreślam, że w żadnym przypadku. Nawet jeżeli Friedman uzna, że konieczna jest operacja, trzeba dla niej znaleźć jakieś inne uzasadnienie...

– To nie wydaje mi się możliwe – uciął krótko Bryg, z wyraźną złością. – Jeżeli sprawy posuną się tak daleko, Debora musi zostać poinformowana. Nie byłoby uczciwie...

Teraz z kolei rozzłościł się Dawid, choć jego zakrzepłe rysy pozostały nieruchome i tylko krawędzie bezwargich ust pobielwały i zajarzyły się niebieskie oczy.

– Określenie, co będzie uczciwe, proszę pozostawić mnie. Znam Deborę bez porównania lepiej niż pan. Wiem, co ona czuje i co myśli. Jeżeli powie jej pan, że ma szansę odzyskać wzrok, postawi pan ją przed takim samym dylematem, z jakim ja sam musiałem się borykać od chwili, kiedy po raz pierwszy szansa ta zaistniała. Wolałbym jej tego oszczędzić.

– Nie rozumiem – rzekł Bryg sucho.

Wrogość między nimi zdawała się przybierać niemal namacalną postać i wypełniać pokój tak, jak elektryczność wypełnia powietrze przed uderzeniem pioruna w pogodny dzień.

– Proszę więc pozwolić mi wytłumaczyć – powiedział Dawid, nie spuszczać wzroku, nie chcąc się poddać presji spojrzenia Bryga. – Pańska córka i ja osiągnęliśmy pewien szczególny stan wspólnego szczęścia.

– Owszem – przytaknął Bryg, skinąwszy głową – w to gotów jestem uwierzyć na słowo. Ale to jest sztuczny stan. Stan cieplarniany, wytworzony i wypielegnowany w izolacji – w oderwaniu od realnego świata. Ten stan jest snem.

Dawid czuł, że gniew zaczyna odbierać mu zdolność trzeźwego rozumowania. Uważał za niedopuszczalne, żeby ktokolwiek mógł wyrażać się o Debory i o ich wspólnym życiu w taki sposób. Zarazem jednak był jeszcze w stanie znaleźć dla Bryga pewne usprawiedliwienie.

– Może pan tak to określić. Ale dla Debory i dla mnie jest to stan bardzo realny. Jest to coś, co ma ogromną wartość.

Bryg milczał.

– Powiem panu szczerze, że rozmyślałem długo i musiałem bardzo się przełamywać, zanim zmusiłem się, by przyznać, że istnieje jakaś szansa dla Debory. A i nawet potem byłbym ukrył ten fakt, żeby egoistycznie ochronić swoje własne szczęście...

– To nie ma sensu. Jaki wpływ na twoje szczęście może mieć odzyskanie wzroku przez Debore?

– Niech pan mi się przyjrzy – powiedział cicho i łagodnie Dawid.

Bryg spojrzał na niego wściekle, spodziewając się, że Dawid coś zademonstruje, lecz kiedy nic się nie stało, rozprężył się nieco i zaczął rzeczywiście przyglądać się Dawidowi. Po raz pierwszy zobaczył naprawdę straszliwie okaleczoną głowę, a raczej nieudolną, upiorną kopię ludzkiej głowy, i nagle cały obraz sytuacji zarysował mu się tak, jak gdyby oceniał ją ze strony Dawida. Dotychczas bowiem rozważał wszystko jedynie z punktu widzenia ojca.

Spuścił oczy i odwrócił się, żeby dolać sobie whisky.

– Jeśli będę mógł ofiarować jej wzrok, zrobię to. I pomimo, że będzie to dla mnie niezwykle kosztowny dar, ona będzie musiała go przyjąć – Dawid czuł, że głos mu drży. – Ale wiem, że ona kocha mnie tak bardzo, że byłaby w stanie odrzucić go, gdyby dano jej możliwość swobodnego decydowania. Nie chcę, żeby przeżywała udręki związane z tym wyborem.

Bryg uniósł szklanekę i pociągnął duży łyk, opróżniając ją do połowy.

– Jak sobie życzysz – powiedział, i może przyczyną była whisky, ale jego głos

zabrzmiał miękko i dała się w nim wyczuć tak osobliwa łagodność, że Dawid nie mógł oprzeć się zdumieniu.

– Dziękuję – powiedział i odstawił swoją szklankę whisky, wciąż nietkniętą. – Wybaczy pan, pójdę się teraz przebrać.

Wstał i ruszył do drzwi.

– Dawidzie! – zawołał za nim Bryg i Dawid odwrócił się. Złoty ząb błysnął wśród gęstego sitowia wąsów, gdy Bryg uśmiechnął się. Był to uśmiech niezupełnie swobodny, ale pełen niekłamanej życzliwości.

– Na pewno zwyciężysz – powiedział.

Bankiet urządzono w przeznaczonych na takie imprezy sali w hotelu Heerengracht. Gdy jechali windą na górę, Debora wydawała się świadoma zdenerwowania Dawida, bo ścisnęła mocniej jego rękę.

– Bądź teraz cały czas blisko mnie – szepnęła. – Będę cię bardzo potrzebowała.

Dawid wiedział, że powiedziała to, aby go podnieść na duchu, i był jej za to wdzięczny. Wiedział też, że będą stanowili widowisko, i choć z pewnością, goście zostali odpowiednio uprzedzeni, mimo wszystko będzie to ciężka próba. Pochylił się i musnął lekko policzkiem policzek Debory.

Włosy miała rozpuszczone i miękkie, bardzo ciemne i lśniące, współgrające ze złocistą opalenizną twarzy. Miała na sobie zieloną suknię o prostym fasonie, która spływała luźno do podłogi. Jej odsłonięte ramiona były gładkie, a połyskująca matowo skóra podkreślała jędrność ciała.

Cały jej makijaż ograniczał się do odrobiny szminki na ustach, a pogodny i łagodny wyraz oczu wzmacniał wrażenie prostoty i wdzięku, gdy kroczyła u boku Dawida, trzymając go pod rękę. Ten jej wygląd i postawa dodawały Dawidowi właśnie tyle odwagi, ile potrzebował, aby wejść do pomieszczenia pełnego ludzi, ściągając na siebie ich wzrok.

Było to eleganckie zgromadzenie. Kobiety ubrane były w kosztowne jedwabie i obwieszane biżuterią, mężczyźni mieli na sobie smokingi, ich sylwetki i postawa świadczyły, że dysponują władzą i pieniędzmi. Bryg wyróżniał się wśród nich zdecydowanie, nawet mimo cywilnego ubrania, smukły, żyłasty i surowy, podczas gdy oni byli otyli i nijacy – przypominał jastrzębia wśród stada bażantów.

Bryg podszedł do nich z Rubenem Friedmanem i przedstawił go. Friedman był mężczyzną niskim i tęgim, o nieproporcjonalnie dużej głowie. Włosy miał krótko przystrzyżone i siwiejące na skroniach. Dawidowi spodobały się jego jasne, jakby ptasie oczy i uśmiech pełen życzliwości. Dłoń Friedmana była ciepła, sucha i mocna. Debora

również poczuła do niego sympatię i uśmiechnęła się, ujęta miłym brzmieniem jego głosu i promieniującym zeń ciepłem.

Gdy przechodzili do stołu, Debora zapytała Dawida, jak wygląda Friedman, i uśmiechnęła się, kiedy Dawid opisał go krótko:

– Wygląda jak niedźwiadek koala.

Potem rozmawiali swobodnie do chwili, gdy podano dania z ryb. Żona Friedmana, szczupła, młoda kobieta w okularach w rogowej oprawie, ani ładna, ani brzydka, ale o przyjaznym, podobnym do mężowskiego, sposobie bycia, wychyliła się z za swego małżonka w stronę Debory i Dawid usłyszał, jak zwraca się do niej:

– Może przysliby państwo do nas jutro na lunch? Jeżeli tylko będziecie w stanie znieść czeredę rozwrzeszczanych dzieci.

– Dziękuję, chociaż my raczej nie... – powiedziała Debora, zawahała się i odwróciła się do Dawida: – Czy możemy skorzystać z tego zaproszenia?

Dawid kiwnął głową i w dalszym ciągu rozmawiali już i śmiali się jak starzy przyjaciele, chociaż Dawid był raczej powściągliwy i milczący, wiedział bowiem, że był to gest ukartowany, a do tego zaczął mu nagle dokuczać jazgotliwy chór ludzkich głosów urozmaicony szczękiem zastawy. Poczul, że tęskni do nocnej ciszy Dżabulani i do osamotnienia, które nie było osamotnieniem, gdy dzielił je z Deborą.

Kiedy mistrz ceremonii podniósł się z miejsca, by przedstawić zebranyim gościom, Dawid poczul ulgę, oznaczało to bowiem, że bankiet ma się ku końcowi i że będzie mógł wkrótce wyjść stąd z Deborą, uciec od tych ciekawskich spojrzeń.

Przemówienie wprowadzające zostało wygłoszone gładko i profesjonalnie, dowcipy wzbudziły śmiech zebranych, ale brakowało mu istotniejszych treści – po pięciu minutach nie pamięta się już, o czym była mowa.

Z kolei wstał Bryg i potoczył po zebranych ognistym spojrzeniem, pełnym jak gdyby olimpijskiego gniewu, pogardy starego żołnierza dla mięczaków, których miał przed sobą. I jakkolwiek ci bogaci i wpływowi ludzie zdawali się kulić pod biczem tego spojrzenia, Dawid czuł, że sprawia im to przewrotną przyjemność. Bryg był dla nich postacią bardzo szczególną – dostarczał im głębokiej pewności siebie, solidnego duchowego oparcia. Był jednym z nich, a jednak kimś innym. Był depozytariuszem dumy i mocy ich rasy.

Nawet Dawid był zaskoczony siłą, jaka emanowała z jego szczupłej postaci, potęgą tej osobowości, która zdawała się wypełniać salę i dominować nad wszystkimi obecnymi. Bryg wydawał się istotą nieśmiertelną i niezwyciężoną. Sam Dawid poczul, że puls bije mu żywiej i że daje się unosić fali nastroju.

– ...ale za wszystko to trzeba wciąż płacić jakąś cenę. Po części ceną tą jest ciągła

czujność, nieustanna gotowość. Każdy z nas jest w każdej chwili gotów poderwać się na sygnał wzywający do obrony tego, co jest nasze. I każdy z nas musi być gotowy do najwyższego poświęcenia. Może być to nawet ofiara z życia bądź też czegoś, co jest równie drogie...

Nagle Dawid zorientował się, że Bryg skoncentrował się na nim i adresuje swe słowa wyraźnie do niego. Patrzyli teraz na siebie poprzez długość sali. Bryg kierował doń posłanie wzywające do wytrwania i dodające odwagi, ale pozostali słuchacze rozumieli je oczywiście inaczej. Zauważyli, do kogo zwraca się Bryg, a wielu z nich wiedziało, że straszliwe okaleczenie Dawida i ślepotą Debory są rezultatem wojny. Źle zinterpretowali wypowiedź Bryga na temat ponoszenia ofiar i nagle ktoś zaczął klaskać.

Gest został natychmiast podchwycony – pojedyncze oklaski rozległy się tu i ówdzie, lecz szybko przybrały na sile i zabrzmiały jak grzmot. Siedzący naprzeciwko klaszcząc wlepiali wzrok w Dawida i Deborę, inni odwracali głowy w ich stronę. Potem zaszurały odsuwane krzesła i obecni, mężczyźni i kobiety, zaczęli wstawać, tak że po chwili cała sala klaskała na stojąco.

Debora nie bardzo wiedziała, co się stało, i zorientowała się dopiero, gdy poczuła, że Dawid chwyta ją za rękę i usłyszała jego rozpaczliwy szept:

– Chodźmy stąd, chodźmy szybko. Wszyscy patrzą. Gapią się na nas.

Debora czuła, jak dłoń Dawida drży, i rozumiała, jak musi się on czuć w roli osobliwego eksponatu.

– Tak, chodźmy – rzekła, z sercem pełnym bólu spowodowanego świadomością jego udręki, wstała i poszła razem z nim do wyjścia, podczas gdy oklaski były w nieszczęsną głowę Dawida niby ognisty grad, a spojrzenia obmacywały jego zdeformowaną twarz.

Nawet kiedy już dotarli do zacisza swego apartamentu, Dawid dygotał cały, jak w gorączce.

– Łajdak – nalewał whisky i szyjka butelki pobrzękiwała o krawędź kryształowej szklanki. – Parszywy, okrutny łajdak. Dlaczego on nam to zrobił?

– Posłuchaj, Dawidzie – powiedziała Debora, podchodząc do niego i ujmując go za rękę. – On nie miał zamiaru nas zranić. Ja wiem, że miał dobrą intencję, usiłował powiedzieć, że jest z ciebie dumny.

Dawid najbardziej pragnąłby teraz uciec, znaleźć się z dala od tego wszystkiego w ich samotni w Dżabulani. Pokusa, by powiedzieć Deborze „chodź” i powieść ją tam, wiedząc, że ona przystanie na to bez chwili wahania, była tak dojmująca, że musiał przywołać całą siłę woli, by ją zwalczyć. Whisky paliła gardło. Dawid odstawił szklankę na blat barku i odwrócił się do Debory.

– Tak – szepnęła mu w usta. – Tak, mój miły.

W jej szepcie brzmiała duma i radość kobiety z tego, że może być ucieczką i ukojeniem dla swego mężczyzny. Jak zawsze tak i tym razem potrafiła ulecieć wraz z nim wysoko ponad przyziemną strefę burz i niepokoju, unosić go ze sobą na skrzydłach swej miłości, by wreszcie spocząć obok niego w przystani pełnej jasności, spokoju i bezpieczeństwa.

Dawid obudził się w nocy. Srebrny księżyc odbijał się w przymkniętym oknie. W jego świetle widział dość wyraźnie uśpioną twarz Debory, lecz po chwili słaba poświata przestała mu wystarczać i zapalił lampę przy łóżku.

Debora poruszyła się, na pół przebudzona westchnęła cicho i senną dłonią odgarnęła z oczu pasmo włosów. Dawid poczuł pierwszy chłodny powiew w duszy – była to świadomość nieuniknionej utraty. Był pewien, że zapalając lampę nie poruszył pościelą. Tym, co zakłóciło jej sen, było po prostu światło. Leżał długo z otwartymi oczami i teraz nawet wspomnienie przeżywanych tak niedawno wspólnych uniesień nie było w stanie ukoić jego udreki.

Siedziba Rubena Friedmana dobitnie świadczyła o jego statusie. Dom wznosił się nad brzegiem morza, otoczony trawnikami, które zbiegały w dół do plaży. Duże drzewa o ciemnozielonym listowiu otaczały basen, nie opodal którego znajdowało się kunsztownie urządzone miejsce wokół paleniska z rusztem. Marion Friedman postarała się uszczuplić swą gromadkę dzieci, umieściła zapewne kilkoro z nich u znajomych, dwoje najmłodszych zatrzymała jednak przy sobie. Maluchy przyglądały się Dawidowi z wyrazem lęku na buziach, ale na ostre napomnienie matki pobiegły do basenu i pośród pluskania i zabawy szybko zapomniały o gościach. Bryg wygłaszał gdzieś jeden ze swych odczytów, tak że całe towarzystwo składało się z Dawida, Debory i dwojga gospodarzy. Początkowe skrępowanie szybko wyparowało. Fakt, że Ruben był lekarzem, powodował, że Dawid i Debora czuli się swobodniej. Debora zwróciła na to uwagę, kiedy rozmowa dotknęła kwestii ich kalectwa. Wówczas Ruben zapytał ją poważnym tonem:

– Czy mówienie o tym nie sprawia ci przykrości?

– Nie, z tobą – nie. Jest to poniekąd normalne, że człowiek obnaża się przed lekarzem.

– Oj, nie rób tego, moja droga – powiedziała Marion tonem przestrogi. – A w każdym razie nie wobec Rubena. Popatrz na mnie, skończyło się to sześciorgiem dzieci! – dodała i ta jej przestroga wywołała głośną salwę śmiechu.

Ruben wstał tego dnia wcześniej i wyłowił sześć wielkich langust z kryształowej wody z zarośniętego morskoczynami basenu wśród skał, będącego – jak nie omieszkał się

pochwalić – jego prywatnym terenem połowów.

Poowijał teraz langusty w świeże liście morszczynu i piekł je na rozżarzonych węglach tak długo, aż nabrały jasno-szkarłatnej barwy. Mięso zaś, które wydobył z pogruchotanych pancerzy, było mlecznobiałe i soczyste.

– A teraz popatrzcie, to jest najsmaczniejszy kurczak ze wszystkich, jakie dotąd mieliście okazję spożywać – powiedział, unosząc langustę. – Sami jesteście świadkami, że ma dwie nogi i pióra.

Dawid przyznał, że nigdy nie jadł równie smacznego drobiu, i popiwszy pierwszą langustę wytrawnym rieslingiem, sięgnął ochoczo po drugą. I on, i Debora poczuli się dobrze i swobodnie, tak że kiedy Friedman w końcu nawiązał do tego, co było prawdziwym celem ich spotkania, oboje odczuli pewien wstrząs.

Przechylił się w stronę Debory i napełniając jej kieliszek winem, zapytał:

– Kiedy ostatni raz przechodziłaś badanie oczu, moja droga?

Jednocześnie ujął ją lekko pod brodę i obrócił jej twarz, żeby spojrzeć jej w oczy. Dawid przekręcił się szybko w fotelu w ich stronę, nerwy miał napięte.

– Ani razu, odkąd wyjechałam z Izraela. Ale prześwietlano mi głowę, kiedy byłam w szpitalu.

– A czy miewasz bóle głowy? – spytał Ruben, a gdy Debora potaknęła, cofnął rękę i odchrząknął.

– Obawiam się, że oboje rzucicie się teraz na mnie z pretensją, że robię z igły widły, ale uważam, Deboro, że powinnaś poddawać się co jakiś czas badaniom kontrolnym. Dwa lata to długi czas, a ty nosisz stale w głowie kawałek metalu.

– W ogóle o tym zapomniałam.

Debora drgnęła lekko i sięgnęła palcami do małej blizny na skroni. Dawid poczuł wstręt do samego siebie, gdy uznał za konieczne wesprzeć aktywnie spisek.

– To nie może ci w żaden sposób zaszkodzić, kochanie. Dlaczego Ruben nie miałby cię zbadać, skoro już tu jesteśmy? Kto wie, kiedy trafi się następna okazja.

– Och, Dawidzie – Debora była w rozterce – wiem, jak bardzo tęsknisz za powrotem do domu. Ja też chcę wracać jak najprędzej.

– Dzień czy dwa to żadna różnica, a teraz, kiedy zaczęliśmy o tym myśleć, ta sprawa nie będzie nam dawała spokoju.

Debora odwróciła się do Rubena.

– Ile to zajęłoby czasu?

– Jeden dzień. Zbadałbym cię rano, a po południu zrobilibyśmy parę zdjęć rentgenowskich.

– A kiedy mógłbyś ją przyjąć? – zapytał Dawid nieco nienaturalnym głosem,

wiedział bowiem, że badanie i termin zostały zaplanowane już przed pięcioma tygodniami.

– Ach, jestem pewien, że dałoby się to zrobić od ręki, jutro, nawet jeżeli mój personel będzie musiał trochę się pogimnastykować. Wasz przypadek jest szczególnej natury.

Dawid wyciągnął rękę i ujął dłoń Debory.

– A więc w porządku, kochanie?

– W porządku – zgodziła się ochoczo.

Gabinety, w których pacjenci Rubena poddawani byli badaniom, mieściły się w gmachu Centrum Medycznego, wznoszącego się nad zatoką. Rozpościerał się stąd widok na całą Table Bay, pokrytą smugami białej piany, którą południowo-zachodni wiatr porywał z grzbietów fal, aż po daleki przeciwległy brzeg, zasnuty ponurymi, szarymi chmurami. Same gabinety były urządzone z dbałością i smakiem: wisiały w nich dwa oryginalne krajobrazy pędzla Pierneefa, a na posadzkach leżało kilka cennych dywanów – samarkandzkich i złocistych z Abedah. Nawet recepcjonistka Rubena wyglądała jak hostessa z klubu Playboya, choć bez zajęczych uszu i ogonka. Nie ulegało wątpliwości, że doktor Friedman potrafi doceniać uroki życia.

Recepcjonistka była uprzedzona o ich wizycie, lecz mimo to nie potrafiła opanować się na tyle, by nie otworzyć szeroko oczu i nie przyblednąć lekko na widok twarzy Dawida.

– Doktor Friedman czeka na państwa. Prosi, żebyście państwo oboje weszli do gabinetu.

Ruben prezentował się zupełnie inaczej bez gołego, imponującego brzucha, piętrzącego się nad gumką spodenek kąpielowych, lecz powitał ich z serdecznością równą wczorajszej.

– Czy pozwolimy Dawidowi zostać z nami? – spytał Deborę pseudokonspiracyjnym tonem, podając jej rękę.

– Ależ naturalnie – odparła Debora.

Po serii rutynowych pytań dotyczących historii choroby Ruben zaprowadził ich do gabinetu diagnostycznego. Stojący tam fotel wydał się Dawidowi identyczny z fotelem u dentysty; Ruben wyregulował go stosownie do wzrostu Debory i odchylił oparcie do tyłu, tak że na pół leżała wygodnie, podczas gdy on dokonywał podstawowych oględzin, kierując wąski strumień światła w głąb gałek ocznych.

– Wspaniale, zdrowe oczy – stwierdził wreszcie. – I do tego bardzo ładne, prawda, Dawidzie?

– Oszałamiająco – potwierdził Dawid, a Ruben posadził tymczasem Deborę prosto, umocował jej elektrody na przedramieniu i przyciągnął zamontowane na kółkach jakieś skomplikowane urządzenie elektroniczne.

– Elektrokardiograf? – domyślił się Dawid, lecz Ruben zaśmiał się i potrząsnął przecząco głową.

– Nie. To mój własny mały wynalazek. Jestem z niego nawet dumny, choć w gruncie rzeczy jest to tylko pewna modyfikacja staromodnego wykrywacza kłamstwa.

– Znowu będą pytania? – zaniepokoiła się Debora.

– Nie. Będziemy uruchamiali bodźce świetlne i sprawdzali, w jaki sposób podświadomie na nie reagujesz.

– To wszystko już wiemy – odparła Debora i obaj mężczyźni dosłyszeli tym razem w jej głosie wyraźną nutę zdenerwowania.

– Owszem. Ale to nie szkodzi. Po prostu jest to element rutynowej procedury – uspokoił ją Ruben i zwrócił się do Dawida:

– Stań, proszę, tam z tyłu. To światło będzie dość ostre i lepiej żeby cię nie oślepiało.

Dawid cofnął się, a Ruben uruchomił urządzenie. Rolka specjalnie skalowanego papieru zaczęła się obracać powoli pod ostrzem pisaka, który niemal natychmiast zaczął się poruszać w równomiernym rytmie. Na znajdującym się obok szklanym ekranie jasnozielona plamka zaczęła poruszać się po takim samym torze jak pisak, pozostawiając za sobą wygasającą smużkę, przypominającą ogon komety. Skojarzyło się to Dawidowi z ekranem radaru na pokładzie Mirage'a. Ruben zgasił górne światło, tak że gabinet pograżył się w głębokim mroku i tylko zielona plamka na ekranie sunęła spokojnie swoim sinusoidalnym torem.

– Jesteśmy gotowi? – zwrócił się Ruben do Debory. – Oczy ładnie otwarte, proszę, i patrz prosto przed siebie.

Rozbłysk intensywnego, niebieskawego światła wypełnił bezszelestnie pomieszczenie i w tym samym momencie Dawid wyraźnie zobaczył, że zielona plamka na ekranie opuściła swój dotychczasowy tor, sunęła przez chwilę jak gdyby po obrysie wysokiego, nierównego górskiego grzbietu, by następnie opaść i podjąć przerwana, jednostajną wędrówkę. Debora zobaczyła błysk światła, pomimo że nie była tego świadoma. Bodziec świetlny został odebrany przez mózg, a maszyna zarejestrowała jej instynktowną reakcję.

Testy świetlne trwały jeszcze dobre dwadzieścia minut. Ruben zmieniał intensywność świetlnego bodźca i regulował odpowiednio aparat. Wreszcie uznał, że zebrał wszystkie potrzebne dane, i zapalił górne światło.

– No i jak wypadło? – spytała Debora. – Czy przeszłam test?

– Nie mam więcej pytań – odrzekł Ruben. – Spisałaś się znakomicie i wszystko jest tak, jak być powinno.

– Więc mogę już iść?

– Dawid zabierze cię teraz zapewne na lunch, ale pamiętaj, że po południu masz jeszcze wizytę w pracowni rentgenowskiej. Moja sekretarka uzgodniła godzinę czternastą trzydzieści, ale najlepiej sprawdźcie to jeszcze u niej.

Jednocześnie Ruben zręcznie zastopował ewentualną próbę Dawida pozostania z nim sam na sam pod jakimś pretekstem.

– Zawiadomię was o wynikach, gdy tylko obejrzę klisze rentgenowskie. Zapiszę jeszcze adres pracowni rentgenowskiej – powiedział, skreślił parę słów na druczku recepty i podał go Dawidowi. Tekst na recepcie brzmiał: „Odwiedź mnie jutro o dziesiątej, bez Debory.”

Dawid kiwnął głową i podał rękę Deborze. Popatrzył uważnie na Rubena, oczekując odeń jakiegoś sygnału, wyrażającego choćby tylko domniemanie, ale Ruben uniósł tylko oczy w górę i zatoczył nimi na teatralną modłę, wzruszając przy tym ramionami, który to gest miał wyrażać brak jakiegokolwiek poglądu.

Bryg przyszedł na lunch do ich apartamentu w hotelu Mount Nelson, ponieważ Dawid wciąż bardzo źle się czuł w miejscach publicznych. Sięgnął przy tym do jakichś swoich ukrytych dotąd zasobów humoru, jak gdyby czując, że wsparcie z jego strony jest w tym momencie bardzo potrzebne. Udało mu się rozśmieszyć ich historyjkami z dzieciństwa Debory i dziejów rodziny po wyjeździe z Ameryki. Dawid był mu za to wdzięczny, czas bowiem przeleciał im tak szybko, że musiał zwrócić uwagę Deborze, by się pospieszyła, jeżeli nie mają spóźnić się na prześwietlenie.

– Wykonamy zdjęcia dwiema technikami, moja droga – powiedział radiolog i Dawid zaczął zastanawiać się, co takiego ma w sobie Debora, że wszyscy mężczyźni powyżej czterdziestki zwracają się do niej jak do dwunastoletniej dziewczynki.

– Przede wszystkim zrobimy pięć fotografii, które nazywamy sobie tutaj policyjnymi: en face, od tyłu, z boków i od góry.

Radiolog był tęgim mężczyzną o silnych rękach i karku jak u zawodowego zapaśnika.

– Nie będziesz musiała się do tego rozbierać – zachichotał, lecz Dawid wyczuł w jego tonie jakby nutkę żalu. – Potem posłużymy się najnowocześniejszą techniką i wykonamy ciągłą, ruchomą fotografię wnętrza głowy. Nazywa się to tomografia. Unieruchomimy ci głowę, a kamera zatoczy wokół niej koło, ustawiona cały czas na punkt, który nas najbardziej interesuje i jest przyczyną całej biedy. Zarejestrujemy

wszystko, co dzieje się w tej tak ślicznej główce...

– Mam nadzieję, że nie zwali to pana z nóg, doktorze – odparła Debora, a radiolog zdębiał na moment, po czym zarechotał, ubawiony.

Później Dawid słyszał, jak powtarza replikę Debory jednej ze swoich asystentek.

Wykonanie zdjęć okazało się zabiegiem długotrwałym i skomplikowanym. Gdy jechali z powrotem do hotelu, Debora przytuliła się do Dawida i powiedziała:

– Wracajmy do domu. Wyjedźmy najszybciej, jak to będzie możliwe, dobrze?

– Tak, gdy tylko to będzie możliwe – zgodził się Dawid.

Dawid nie był z tego zadowolony, ale Bryg uparł się, żeby pójść z nim nazajutrz rano do Rubena Friedmana. Tego dnia Dawid oszukał Deborę, było to jedno z nielicznych kłamstw, jakich się wobec niej dopuścił. Powiedział jej, że udaje się na spotkanie z grupą przedstawicieli konsorcjum Morgana i zostawił ją leżącą w cytrynowozielonym kostiumie kąpielowym przy hotelowym basenie.

Ruben Friedman był poważny i rzeczowy. Wskazał im fotele stojące przed biurkiem i od razu przeszedł do sedna sprawy.

– Panowie – zaczął. – Mamy problem, i to piekielnie trudny problem. Pokażę wam najpierw klisze rentgenowskie, żebyście orientowali się w tym, o czym będę mówił.

Przysunął się z fotelem do ekranu i włączył podświetlenie.

– Po tej stronie są klisze, które Edelman przysłał mi z Jerozolimy. Tutaj możecie zobaczyć odłamek granatu.

Odłamek widoczny był wyraźnie – mały trójkątny stalowy grot tkwiący w mglistej strukturze tkanki kostnej.

– A tutaj widzicie jego drogę poprzez węzeł wzrokowy.

Uszkodzenie kości jest zupełnie wyraźne. Diagnoza Edelmana, sformułowana na podstawie tych zdjęć i faktu utraty zdolności postrzegania światła i kształtów wydaje się słuszna. Nerw wzrokowy jest uszkodzony i na tym właściwie sprawa się kończy.

Ruben szybko zdjął klisze z ekranu i umieścił na nim inne.

– W porządku. Teraz mamy drugi zestaw zdjęć. Te zostały zrobione wczoraj. Od razu można zobaczyć, jak ów odłamek granatu zarósł i otorbił się.

Ostro rysujący się kształt był teraz istotnie niewyraźny, zmiękczony mgłą narosłej wokół niego tkanki kostnej.

– To dobrze, tak powinno być i tego należało się spodziewać. Jednak tutaj, w kanale skrzyżowania wzrokowego widzimy jakiś guzowaty twór. Co do jego natury trudno się jednoznacznie wypowiedzieć. Może to być zabliznienie, zrost elementów kostnych bądź też jakiś guz, nie wiadomo, czy łagodny, czy złośliwy.

Ruben umieścił na ekranie kolejny zestaw klisz.

– To wreszcie jest fotografia zrobiona techniką tomografii, pozwalającą uzyskać dokładny obraz kształtu i położenia tej narośli. Wygląda na to, że wpasowała się ona w kostny kanał skrzyżowania wzrokowego, z wyjątkiem tego oto miejsca.

Ruben wskazał małe półkoliste wcięcie w górnym brzegu guza.

– Ta mała plamka znajduje się na osi skroni i jest wybrzuszona do góry na kształt odwróconej litery „U”. Jest to być może najistotniejsze odkrycie, jakiego udało nam się dokonać w trakcie całego naszego badania.

Powiedziawszy to, Ruben wygasił podświetlenie ekranu.

– Nic z tego nie rozumiem – odezwał się Bryg ostrym tonem. Nie lubił być przygniatany zasobami czyjejs specjalistycznej wiedzy.

– To zrozumiałe – odparł gładko Ruben. – Po prostu pokazałem dane, na których oprę dalsze wyjaśnienia.

Przysunął fotel z powrotem do biurka. Teraz już nie gawędził, lecz przybrał pozę wykładowcy świadomego swego autorytetu.

– Przejdziemy więc do moich własnych wniosków. Nie ulega najmniejszej wątpliwości, że nerw wzrokowy zachował w pewnym stopniu sprawność. W dalszym ciągu przekazuje impulsy do mózgu. Jest więc przynajmniej w części nienaruszony. Powstaje pytanie, w jak dużej części i do jakiego stopnia dałoby się wzmóc tę sprawność. Możliwe, że odłamek granatu zawadził tylko o nerw, uszkodził, powiedzmy, pięć włókien w tym sześćożyłowym splocie. A może też cztery albo trzy.

Nie wiemy ile, wiemy natomiast, że uszkodzenie tego rodzaju jest nieuleczalne. Debora pozostałaby w takiej sytuacji z tym, co ma teraz, czyli właściwie z niczym.

Ruben umilkł i zapadła cisza. Siedzący naprzeciw niego dwaj mężczyźni wpatrywali się w napięciu w jego twarz.

– To jest wersja pesymistyczna. Jeżeli jest ona prawdziwa, oznacza to, iż Debora jest praktycznie zupełnie ślepa i taka pozostanie. Jednakowoż istnieje również wersja optymistyczna. Jest możliwe, że nerw wzrokowy doznał jedynie lekkiego uszkodzenia albo zgoła żadnego, co daj Boże...

– Dlaczego więc ona nie widzi? – Dawid przerwał mu, wyraźnie zdenerwowany. Czuł się zaszczuwany, mamiony słowami, dręczony jak ów byk na arenie, którego pamiętał z dawnych czasów. – Nie może być przecież i tak, i tak zarazem!

Ruben spojrział na niego i po raz pierwszy wzrok jego sięgnął pod zmartwiałą, bliznowatą maskę, dostrzegł cierpienie, które sam zadawał, zobaczył ból w pociemniałych oczach, niebieskich jak szmelcowana stal.

– Wybacz mi, Dawidzie. Dałem się ponieść emocjom wywołanym niezwykle fizjologicznym obrazem tego przypadku, postrzegając i odbierając wszystko raczej

z mojego, akademickiego punktu widzenia niż z twojego. Postaram się przedstawić wszystko już bez zbytniego teoretyzowania.

Odchylił się do tyłu w fotelu i ciągnął dalej:

– Przypominacie sobie tę ciemną, wygiętą szczelinę w obrysie kanału skrzyżowania wzrokowego. Otóż moim zdaniem jest to sam nerw wzrokowy, wypchnięty ze swego miejsca, wybrzuszony i załamany wskutek nacisku fragmentów kostnych i odłamka metalu, tak jak zwykły wąż do podlewania ogrodu, tak że przestał być zdolny do przewodzenia impulsów do mózgu.

– Te uderzenia w skroń?... – spytał Dawid.

– Tak. Te uderzenia mogły być wystarczająco silne, żeby spowodować pewne przemieszczenie fragmentów kostnych albo też samego nerwu, na tyle, żeby umożliwić pewien słaby przepływ impulsów. I znów można sobie wyobrazić wąż ogrodowy, gdzie poruszenie może spowodować niewielki przyptyk wody, ale kiedy wąż zostanie wyprostowany i załamanie zlikwidowane, woda popłynie znowu pełnym strumieniem.

Zapadła cisza. Każdy z obecnych na swój sposób zastanawiał się nad wagą tego, co usłyszeli.

– A oczy? – odezwał się w końcu Bryg. – Czy są zdrowe?

– Są w znakomitym stanie.

– Jak można stwierdzić... – zaczął Dawid – to znaczy, jak należy postępować dalej?

– Jest tylko jeden sposób. Trzeba by się dostać do miejsca urazu.

– Czyli operować?

– Tak.

– Jej głowa... – westchnął Dawid. Jego samego zapiekło ciało na wspomnienie bezlitosnego skalpela. Wyobraził sobie oszpeconą twarz Debory i ból w jej niewidzących oczach.

– Jej twarz... – głos mu zadrżał. – Nie, nie pozwolę jej operować! Nie pozwolę zrobić z niej tego, co zrobiono ze mnie...

– Dawidzie! – głos Bryga zabrzmiał jak łamana kra lodowa i Dawid opadł do tyłu w fotelu.

– Domyślam się, co czujesz – powiedział spokojnie Ruben.

– Ale my będziemy operować ponad linią włosów, nie pozostanie żadna deformacja. Blizna zarośnie włosami, a sam otwór operacyjny też będzie niewielki...

– Nie pozwolę, żeby cierpiała – Dawid starał się opanować, lecz mimo to głos mu się załamywał. – Ona wycierpiała już dostatecznie dużo. Czy to tak trudno zrozumieć...

– Mówimy o przywróceniu jej wzroku – przerwał mu Bryg. – Odrobina bólu jest w tej sytuacji niewielką ceną.

– Rzeczywiście będzie tu bardzo niewiele bólu, Dawidzie. Mniej niż przy usunięciu wyrostka robaczkowego – potwierdził Ruben i znów zapadło milczenie. Dwóch starszych mężczyzn spoglądało na młodszego, przeżywającego katusze wywołane koniecznością podjęcia ostatecznej decyzji.

– Jakie są szanse? – zapytał Dawid, szukając jakiejś deski ratunku, pragnąc, by decyzja została podjęta za niego.

– Nie sposób powiedzieć – Ruben pokręcił głową.

– Jak mogę decydować, skoro nie wiem zupełnie, jakie jest prawdopodobieństwo?! – wykrzyknął Dawid.

– Dobrze, powiedzmy więc tak: istnieje możliwość, nie prawdopodobieństwo, lecz możliwość, że Debora odzyska wzrok w znaczącym stopniu.

Ruben dobierał z namysłem słowa.

– Istnieje też pewna, w jakimś sensie bardzo odległa możliwość, że odzyska pełnię widzenia lub niemal pełnię.

– To byłoby to najlepsze, co mogłoby się zdarzyć – rzekł Dawid. – A co stanie się w najgorszym razie?

– W najgorszym przypadku nie nastąpi żadna zmiana. Debora wycierpi trochę, nie odnosząc z tego żadnej korzyści.

Dawid poderwał się z fotela i szybkim krokiem podszedł do okna. Popatrzył na olbrzymie rozlewisko zatoki, gdzie stały zacumowane tankowce, a w dali wystrzelały w niebo szaroniebieskie szczyty Tygerbergu.

– Wiesz, jaka musi być twoja decyzja, Dawidzie – Bryg był bezlitosny, nie dawał mu żadnej szansy, zmuszał go nieubłaganie do zaakceptowania tego, co niosło mu jego przeznaczenie.

– Dobrze – poddał się w końcu Dawid i odwrócił się, stając z nimi twarz w twarz. – Ale pod jednym warunkiem. Jedynym, od którego w żadnym razie nie odstąpię. Debora nie może się dowiedzieć, że ma szansę odzyskania wzroku...

Ruben Friedman potrząsnął głową.

– Musi zostać o tym poinformowana.

Wąsy Bryga zjeżyły się.

– Dlaczego ma nie wiedzieć? Dlaczego?

– Pan powinien już wiedzieć, dlaczego – odparł Dawid, nie patrząc na niego.

– Jak chciałbyś ją tu sprowadzić, nie wytłumaczywszy jej, o co chodzi? – spytał Ruben.

– Debora ma bóle głowy – powiemy jej, że ma guz, to znaczy, że ty wykryłeś guz, który trzeba usunąć. I tak jest zresztą rzeczywiście, czyż nie?

– Nie – Ruben znów potrząsnął głową.

– Nie wolno mi tak jej tego przedstawić. Nie mogę jej zwodzić.

– W takim razie ja powiem jej o wszystkim – oświadczył Dawid. Jego głos brzmiał teraz mocno i spokojnie. – Powiem jej, kiedy poznamy już wynik operacji. Czy zrozumieliście? Zgadzacie się na taki układ?

Po chwili skupionej ciszy Ruben i Bryg skinęli głowami i dwa potakujące mruknięcia przypieczętowały zgodę na warunek Dawida.

Dawid zlecił służbie hotelowej przygotowanie prowiantu na piknik i obsługa baru dostarczyła dużą torbę-lodówkę, zawierającą prócz rozmaitych wiktuałów również dwie butelki szampana.

On sam tęsknił za powietrzną wędrownką, lecz zarazem czuł, że teraz musi poświęcić całą swoją uwagę Deborze, tak że zwalczył chęć odbycia z nią powietrznej wycieczki i zamiast tego kupił bilety na kolejkę linową wwożącą turystów na krawędź stromego skalnego zbocza Table Mountain. Od stacji kolejki na górze poszli ścieżką przez płaski szczyt i znaleźli zaciszne miejsce u brzegu skalistej grani, gdzie usiedli, mając przed sobą nisko w dole miasto, a za nim bezkresną przestrzeń oceanu.

Odgłosy miasta docierały do nich, na wysokość sześciuset metrów, ciche i rozproszone, niesione podmuchami wiatru i odbijane w załomach skalnego masywu – klakson samochodu, stukot i sapanie lokomotywy manewrującej na zapleczu dworca, wołanie muezina wzywającego wiernych do modlitwy i szemrzący gwar dzieci wybiegających ze szkoły. Wszystkie te odgłosy zdawały się jednak podkreślać jeszcze osamotnienie Dawida i Debory, a lekki podmuch bryzy wiejącej od południowego wschodu był rzeźwiący i czysty w porównaniu z zapyłonym i dusznym powietrzem miejskim.

Popijali szampana, siedząc ramię przy ramieniu, i Dawid właśnie zbierał się w sobie, by przystąpić do poważnej rozmowy z Deborą, gdy ta uprzedziła go stwierdzając pogodnie:

– To takie wspaniałe, kiedy można żyć i kochać. Spotkało nas wielkie szczęście, ciebie i mnie. Czy zdajesz sobie z tego sprawę?

Dawid wydobył z gardła dźwięk, który można było ewentualnie zinterpretować jako potwierdzenie, lecz jednocześnie opuściła go odwaga.

– Czy zmieniałabyś coś, gdybyś mogła? – zapytał po chwili, a Debora roześmiała się.

– Och, pewnie! Człowiek póki żyje, zawsze jest z czegoś niezadowolony. Pragnęłabym zmienić wiele rzeczy drobnych, ale nic z zasadniczych.

– A jakie są te drobne?

– Na przykład chciałabym pisać lepiej, niż to robię obecnie.

Przez dłuższy czas siedzieli znów w ciszy, popijając szampana.

– Słońce zachodzi szybko – zauważył Dawid.

– Opowiedz mi, jak to wygląda – poprosiła Debora i Dawid zaczął wyszukiwać i dobierać słowa mogące określić kolory rozpalające brzegi chmur oraz wygląd oceanu, połyskującego i skrzącego się złociście i krwawoczerwono – i było dlań oczywiste, że w żaden sposób nie zdoła przekazać jej pełni tego widoku. Przerwał w pół zdania.

– Widziałem się dzisiaj z Friedmanem – powiedział nagle, bez żadnego wstępu, a Debora nie odrzekła nic, zastygła tylko w tej szczególnej, właściwej sobie pozie, niby lęklive dzikie zwierzę, które wyczuło w powietrzu zapach groźnego drapieżcy.

– Jest niedobrze! – powiedziała w końcu.

– Dlaczego tak myślisz? – spytał protestującym tonem.

– Dlatego że przyprowadziłeś mnie tutaj, żeby mi o tym powiedzieć. I dlatego, że się boisz.

– Nie boję się – spróbował zaprzeczyć Dawid.

– Ależ tak. Czuję to bardzo wyraźnie. Lękasz się o mnie.

– To nieprawda – Dawid starał się uspokoić ją. – Jestem tylko odrobinę zaniepokojony, to wszystko.

– Powiedz mi.

– Masz niewielki guz. On nie jest niebezpieczny, przynajmniej na razie. Ale lekarze uważają, że należy go usunąć – powiedział i zacinając się przedstawił jej wszystko, co tak starannie sobie przygotował. Kiedy skończył, Debora milczała przez chwilę, a potem spytała:

– Czy to konieczne, absolutnie konieczne?

– Tak – odparł, a ona skinęła głową, wierząc mu niezachwianie. Zaraz też uśmiechnęła się i ujęła go za ramię.

– Nie zamartwiaj się, kochany. Wszystko będzie dobrze. Uciekniemy od nich wszystkich, zobaczysz. Tam, gdzie mieszkamy, nikt nie będzie mógł nas dosięgnąć.

Teraz ona starała się go pocieszyć.

– Oczywiście że wszystko będzie dobrze – przytaknął Dawid, objął ją i przytulił, rozlewając przy tym nieco szampana z kieliszka.

– Kiedy to ma być? – spytała.

– Jutro przyjmą cię do szpitala, a zabieg zrobią pojutrze rano.

– Tak szybko?

– Sam o to prosiłem. Chciałem, żebyśmy mieli to jak najszybciej za sobą.

– Tak. Masz rację.

Debora sączyła szampana zamyślona i pełna lęku, pomimo dzielnej miny.

- Będą musieli zrobić mi trepanację czaszki?
- Tak – odparł Dawid, a ona wzdrygnęła się.
- Nie będzie żadnego ryzyka – zapewnił ją.
- Oczywiście, jestem tego pewna – zgodziła się zbyt skwapliwie.

*

Dawid obudził się w nocy, wyczuwając, że jest sam, że miejsce Debory jest puste.

Zerwał się z łóżka i poszedł szybko do łazienki. Była pusta. Pospieszył do salonu i zapalił górne światło.

Debora usłyszała pstryknięcie kontaktu i odwróciła głowę w bok, lecz Dawid zdążył zobaczyć, że policzki ma mokre od łez. Podeszedł do niej szybkim krokiem.

- Kochanie – odezwał się łagodnie.
- Nie mogłam zasnąć – powiedziała.
- Dobrze, rozumiem – odparł i przyklęknął przy niej na podłodze, ale nie objął jej, ani nie dotknął.
- Miałam sen – powiedziała.

– Widziałam jezioro o kryształowo czystej wodzie i ciebie, pływającego. Spoglądałeś na mnie i wołałeś mnie. Widziałam wyraźnie twoją twarz, piękną i uśmiechniętą...

Dawid poczuł bolesny ucisk w dołku, zorientowawszy się, że ona widziała go w swoich snach takim, jakim był niegdyś – widziała piękną zjawę senną, a nie odpychające monstrum, jakim był teraz.

– Potem nagle zaczęłaś tonąć, pogrążyłaś się coraz głębiej i głębiej, twoja twarz rozmywała się i nikła... – głos jej się załamał i milczała przez chwilę. – To był okropny sen, krzyczałam i chciałam cię dogonić, dopłynąć do ciebie, ale nie mogłam ruszyć się z miejsca, a ty znikłeś w głębinie. Woda przybrała czarną barwę i obudziłam się, mając w głowie jedynie tę czerń. Nic, tylko wirującą, czarną zamieć.

- To był tylko zły sen – powiedział Dawid.
- Najdroższy mój – wyszeptała. – Jeżeli jutro coś się stanie...
- Nic nie może się stać – przerwał jej niemal opryskliwie, lecz ona sięgnęła dłonią do jego twarzy, znalazła usta i położyła na nich palce, by go uciszyć.

– Cokolwiek się wydarzy – powtórzyła – wspominaj zawsze ten czas, kiedy byliśmy szczęśliwi. I wiedz, że cię kochałam.

Szpital Groote Schuur usytuowany jest nisko na zboczu Devil's Peak, której stożkowy szczyt oddziela od masywu Table Mountain głęboka przełęcz. Sam wierzchołek jest z szarego granitu, zbocza pokrywają lasy sosnowe i trawiaste hale,

a wszystko to jest częścią olbrzymiej posiadłości ziemskiej, którą Cecil John Rhodes przekazał narodowi. Stada antylop pasą się tam spokojnie na polanach, a południowo-wschodni wiatr oplata wierzchołek strzędami obłoków.

Szpital to cały kompleks białych budynków, przysadzistych i solidnie zbudowanych, krytych czerwoną dachówką.

Ruben Friedman użył swych wpływów, aby zapewniono Deborze szczególnie troskliwą opiekę, toteż pielęgniarka oddziałowa już na nią czekała. Odłączono ją od Dawida i poprowadzono w głąb korytarza, tak że został nagle sam, przygnębiony i jakby obrabowany, ale kiedy przyszedł wieczorem, zastał Deborę siedzącą w łóżku w kaszmirowej pidżamie, którą jej podarował, i wśród mnóstwa kwiatów, które kazał dostarczyć do szpitala.

– Pięknie pachną – powiedziała Debora. – Czuję się, jakbym była w ogrodzie.

Na głowie miała chustkę zawiązaną na kształt turbanu, i to przybranie, jak też łagodny wyraz wpatrzonych w nieokreśloną przestrzeń złocistych oczu przydawały jej pewnej egzotycznej tajemniczości.

– Musieli ogolić ci głowę – powiedział Dawid i poczuł pewien niesmak. Nie pomyślał o tym, że Debora będzie musiała w związku z zabiegiem poświęcić również swoje wspaniałe, jedwabiste włosy. Było w tym coś ogromnie poniżającego i Debora musiała to odczuwać podobnie, ponieważ nie odpowiedziała, zaczęła za to rozwodzić się nad tym, jak ją tu dobrze traktują i jak bardzo zabiegają o to, żeby się dobrze czuła.

– Można by pomyśleć, że jestem jakąś królową – zaśmiała się.

Razem z Dawidem przyszedł Bryg, który jednak, najeżony i pełen rezerwy, był w tym otoczeniu zupełnie nie na miejscu. Jego obecność krępowała ich tak bardzo, że kiedy do pomieszczenia wszedł Ruben Friedman, poczuli ulgę. Ruben, wesół i szarmancki, wyraził swe ubolewanie z powodu pewnych przykrości związanych z koniecznością przygotowania jej do zabiegu.

– Pielęgniarka twierdzi, że zrobiono wszystko, co trzeba, i że masz się znakomicie. Niestety, nie wolno ci nic jeść ani pić. Połkniesz tylko tabletkę nasenną, którą kazałem ci podać.

– A kiedy będzie operacja?

– Porwę cię jeszcze uśpioną – zaśmiał się Ruben. – Jutro o ósmej rano. Ogromnie się cieszę, że operować będzie Billy Cooper. Mieliśmy szczęście, że zgodził się operować, choć jest też faktem; że ma wobec mnie pewne zobowiązania. Ja będę mu oczywiście asystował, a do tego będzie miał do pomocy jeden z najlepszych zespołów asystenckich na świecie.

– Ruben, wiesz, że czasami kobiety mają przy sobie swych mężów w trakcie

porodu...

– Tak, to się zdarza – bąknął Ruben, jak gdyby nieco przygaszony tym pytaniem.

– No właśnie. Czy Dawid mógłby być jutro przy mnie? Czy moglibyśmy być razem, kiedy to się będzie działo?

– Z całym szacunkiem, moja droga, ale ty nie będziesz rodzić.

– Czy nie mógłbyś jednak jakoś tego załatwić? – prosiła Debora, robiąc minę, jaka byłaby w stanie zmiękczyć nawet najtwardsze serce.

– Niestety – Ruben potrząsnął głową. – To jest zupełnie niemożliwe... Nagle rozpromienił się.

– Ale powiem wam coś. Mogę zaprowadzić go do sali dla studentów. To jest bardzo blisko i będzie miał stamtąd jeszcze lepszy ogląd wszystkiego, niż gdyby był w samej sali operacyjnej. Przebieg operacji jest filmowany kamerą telewizyjną i przekazywany na monitor w sali dla studentów.

– Och tak, proszę! – zgodziła się natychmiast Debora.

– Chciałabym wiedzieć, że Dawid jest gdzieś blisko i że jesteśmy w kontakcie. Nie lubimy być rozdzielani, prawda, kochanie? – Uśmiechnęła się w kierunku, gdzie – jak sądziła – stał Dawid, lecz on zdążył się już być przesunąć nieco w bok i uśmiech minął go. Ten obraz sprawił, że poczuł w sercu bolesny skurcz.

– Tak, będę tam przy tobie – powiedział i już chciał dodać: zawsze, lecz w ostatniej chwili powstrzymał się przed wypowiedzeniem tego słowa.

O tak wczesnej godzinie w małej salce wykładowej z dwoma rzędami krzeseł o opuszczanych siedzeniach, zastawionymi w półkole przed niewielkim monitorem telewizyjnym, siedziało tylko dwoje studentów – pulchna dziewczyna o miłej buzi i wysoki, chudy chłopak. Oboje mieli na sobie białe kitle i obojgu wystawały z kieszeni na piersiach obnaszane nonszalancko stetoskopy. Przez chwilę przypatrywali się Dawidowi ze zdziwieniem i ciekawością, a potem przestali zwracać na niego uwagę i zaczęli wymieniać uwagi w lekarskim żargonie.

– Cooper będzie robił wejście przez ciemność.

– Mhm. Lubię popatrzeć na jego robotę... Dziewczyna paliła niebieskie guluazy, i ostry, cuchnący dym zasnuwał niewielkie pomieszczenie. Ów dym drażnił oczy Dawida, i tak piekące od niewyspania. Spoglądał co chwila na zegarek i usiłował sobie wyobrazić, co dzieje się z Deborą w tych ostatnich minutach – całą rutynową ceremonię dezynfekowania, potem przebranie w białą szpitalną koszulę i wreszcie strzykawki ze środkami anestetycznymi i antyseptykami.

Minuty płynęły wolno, lecz wreszcie ekran monitora zamigotał, migocący przez

chwilę obraz znieruchomiał i ukazał się filmowany gdzieś spod sufitu widok sali operacyjnej. Obraz był kolorowy i zielone fartuchy postaci poruszających się wokół stołu operacyjnego zlewały się z matową zielenią ścian. Ptasia perspektywa skraciała sylwetki osób, a mikrofon wychwytywał krótkie zdania, którymi się porozumiewały. Pierwszy dał się słyszeć głos chirurga porozumiewającego się z anestezjologiem.

– Jesteśmy już gotowi, Mike?

Dawid poczuł mdlący skurcz w żołądku i pożałował, że nie zjadł śniadania. Powinien był wypełnić czymś puste miejsce pod żebrami.

– W porządku – głos chirurga zabrzmiał ostrzej, gdy zwrócił się on w stronę mikrofonu. – Czy jesteśmy na wizji?

– Tak, panie doktorze – odpowiedziała siostra, i kiedy chirurg przemówił do swej niewidocznej publiczności, w jego głosie zabrzmiała lekka nuta niezadowolenia i rezygnacji.

– W takim razie do rzeczy. Pacjentka to młoda kobieta. Wiek dwadzieścia sześć lat. Stwierdzona całkowita utrata wzroku w obu oczach, której domniemaną przyczyną jest uszkodzenie bądź ugniecenie nerwu wzrokowego w miejscu lub w pobliżu miejsca jego skrzyżowania. Zostanie dokonane chirurgiczne badanie miejsca uszkodzenia. Chirurgiem operującym jest doktor William Cooper, lekarzem asystującym doktor Ruben Friedman.

W trakcie tego wprowadzenia kamera wykonała zbliżenia na stół i Dawid z zaskoczeniem zorientował się, że patrzył na Deborę, nie zdając sobie sprawy, że to ona. Twarz i czoło miała przykryte sterylną gazą, spod której wystawała tylko gładko wygolona kopuła czaszki. Jajowaty kształt był pozbawiony ludzkich cech, nagi i lśniący od nałożonej nań warstwy antyseptyków.

– Skalpel, siostrze.

Dawid wparł się plecami mocno w oparcie krzesła, a jego dłonie zacisnęły się na poręczach tak mocno, że pobielała skóra na kostkach. Cooper wykonał pierwsze cięcie, prowadząc ostrze lekko okrężnym ruchem po gładkiej skórze. Ta rozstępowała się natychmiast i rozcięcie zaczęło czerwienić się od krwi wyciekającej z drobnych naczyń. Dłonie poruszały się na ekranie monitora, żółtawe i niemożliwe do zidentyfikowania w cienkich, gumowych rękawiczkach, ale szybkie i pewne.

Owalny płat skóry wraz z przyległą tkanką został odciągnięty do tyłu i obnażył białą powierzchnię kości. Dawid skurczył się na krześle, gdy w dłoni chirurga pojawiła się wiertarka, do złudzenia przypominająca narzędzie używane powszechnie przez stolarzy. Cooper kontynuował swój bezosobowy komentarz, obracając wykorbionym uchwytem, podczas gdy stalowe wiertło zagłębiało się rażno w kość. Wywiercił po kolei cztery otwory wyznaczające naroża kwadratu.

– Prowadnik podkostny, siostró.

Żołądek Dawida ponownie zareagował mdlącym spazmem, gdy chirurg wetknął lśniący stalowy przyrząd w jeden z otworów i manewrując delikatnie wsuwał go dotąd, aż czubek ukazał się w drugim otworze. Następnie, wykorzystując kanał prowadnika, Cooper przesunął przez oba otwory ostrą stalową linkę, ujął jej końce i pociągając za nie począł przecinać kość pomiędzy otworami. Czterokrotnie powtarzał tę procedurę, by w końcu unieść wycięty fragment kości, odsłaniając kwadratowy otwór w czaszce Debory.

Podczas gdy Cooper przepiłowywał kość, Dawid wpierał się nogami w podłogę, wnętrzności skręcały mu się z grozy i odrazy, mdlący kłęb w żołądku wędrował coraz wyżej, aż do gardła, a zimny pot zaperlił się obficie na czole. Jednak kiedy obiektyw kamery zajął do środka przez wycięty otwór, poczuł, że ciekawość i zadziwienie zaczynają brać górę nad odrazą. Ujrzał bowiem bladą, amorficzną materię, przezierającą przez powłokę okrywającą ją błony, i to, co widział, było niczym innym jak właśnie mózgiem Debory. Cooper zręcznym, pewnym ruchem naciął błonę osłaniającą zwoje.

– Odsłoniliśmy przedni płat mózgu. Trzeba będzie przemieścić go, by móc dotrzeć głębiej.

Pracując szybko, lecz uważnie i zręcznie, Cooper uniósł stalowym odciągaczem masę mózgową i odchylił ją na bok. Mózg Debory – patrząc nań Dawid miał wrażenie, że oto zagląda do samego jądra jej jestestwa. W tym tak delikatnym, obnażonym i bezbronnym teraz organie zawierało się wszystko, co sprawiało, że Debora była tym, czym była. Który fragment owej miękkiej, bladej substancji zawiera jej pisarski talent? – zastanawiał się. Z którego z tych ślimakowatych zwojów wytryska tak bogate źródło wyobraźni? Gdzie kryje się jej miłość do niego, skąd bierze początek jej śmiech, a skąd płacz? Tajemnica zawarta w tym, co miał fizycznie przed oczami, utrzymywała Dawida w napięciu, podczas gdy jego wzrok wędrował coraz głębiej.

– Mamy teraz przed sobą przednią krawędź zatoki sfenoidalnej – komentował Cooper. – Należy zapamiętać to miejsce jako punkt, z którego otwiera się dostęp do skrzyżowania wzrokowego.

Dawid wychwycił zmianę w brzmieniu głosu chirurga. Dłonie na ekranie monitora poruszały się teraz wolno i ostrożnie.

– O, mamy tu coś bardzo interesującego. Możemy pokazać to na ekranie? Bardzo proszę. Tak! Całkiem wyraźnie widać deformację kości.

Głos chirurga wyrażał zadowolenie, a dwoje studentów wychyliło się w podnieceniu do przodu. Dawid widział delikatną, wilgotną tkankę i białe fragmenty kostne głęboko w dnie rany i tkwiące w niej gęsto szyjki instrumentów, stłoczone niby metalowe

pszczoły w kielichu różowo-żółtego kwiatu. Cooper dotarł wreszcie do odłamka granatu.

– Mamy więc tutaj owo obce ciało. Popatrzmy jeszcze raz na klisze rentgenowskie, siostrze.

Obraz na monitorze ukazał na krótko zdjęcia umieszczone na podświetlonym ekranie i dwójka studentów znów wychyliła się do przodu. Wymienili potwierdzające uwagi, a dziewczyna zaciągnęła się mocno cuchnącym guluazem.

– Dziękuję – powiedział Cooper i na ekranie ponownie ukazało się pole operacyjne. Dawid zobaczył teraz wyraźnie ciemny odłamek metalu zagnieżdżony w białej kości.

– Sądzę, że wyjmiemy ten metalowy fragment. Jak pan uważa, panie doktorze? – te słowa były skierowane do Friedmana.

– Tak, moim zdaniem należy go usunąć.

Długie wasy cienkich szczypiec zaczęły dotykać i delikatnie poruszać odłamek, aż wreszcie wysunął się z zagłębienia, w którym tkwił, czemu towarzyszyło wyrażające satysfakcję mruknięcie Coopera, który wyciągnął go ostrożnie na wierzch. Dawid usłyszał metaliczny brzęk, gdy odłamek wpadł do podstawionego naczynia.

– No tak, bardzo pięknie – dodał sobie odwagi Cooper, zalepiając miejsce po odłamku woskiem pszczelim dla zapobieżenia krwawienia. – A teraz obejrzymy nerwy wzrokowe.

Były to dwa białe włókna, ciągnące się odrębnymi szlakami do miejsca, gdzie zespalały się i nikły w otworze kanału kostnego.

– Mamy tutaj guzowaty twór z tkanki kostnej, niewątpliwie powstały za przyczyną tego obcego ciała, które właśnie usunęliśmy. Zdaje się, że ten guz zablokował kanał i uszkodził bądź tylko ucisnął nerw. Pańska sugestia, doktorze Friedman?

– Uważam, że powinniśmy wyciąć tę narośl i postarać się ustalić, jakiego uszkodzenia doznał nerw na tym odcinku.

– Tak. Dobrze, Podzielim tę opinię. Siostrze, proszę cienkie szczypce kostne.

Nastąpiła znów ożywiona wymiana błyszczących stalowych instrumentów i po chwili Cooper przystąpił do usuwania guza, który wyrastał niby koral z rafy tropikalnego morza. Odszczypywał zeń kawałek po kawałku i wyjmował ostrożnie na zewnątrz.

– To, co mamy tutaj, to odłamek kości, który został wepchnięty do kanału nerwu przez metalowy fragment. Jest to duży kawałek kości i musiała oddziaływać na niego spora siła...

Pracował dalej i powoli włókno nerwu zaczęło wyłaniać się spod narośli.

– O, to jest interesujące – ton głosu Coopera zmienił się.

– Tak, popatrzcie na to. Czy można prosić o zbliżenie?

Obraz na ekranie monitora przybliżył się nieco i rozmył, po chwili jednak odzyskał

ostrość.

– Nerw został wypchnięty do góry i spłaszczony. Spłaszczenie wywołane uciskiem jest wyraźnie widoczne. Nerw został mocno ugnieciony, ale wydaje się, że poza tym nie doznał uszkodzenia.

Cooper wydobyl jeszcze jeden, duży fragment kości i teraz nerw był już widoczny na całej swej długości.

– To doprawdy niezwykle. Oceniałbym, że jest jedna taka szansa na tysiąc, a nawet na milion. Wygląda na to, że sam nerw nie jest w najmniejszym stopniu uszkodzony, aczkolwiek metalowy odłamek przeszedł tak blisko, że musiał go dotknąć.

Cooper uniósł delikatnie nerw tępym końcem sondy.

– Tak. Jest zupełnie nie tknięty, chociaż wyraźnie spłaszczony. Nie dostrzegam jednak ani śladu atrofii. Doktorze Friedman?

– Sądzę, że możemy z dużą dozą prawdopodobieństwa oczekiwać odzyskania pełnej funkcjonalności.

Pomimo zasłoniętych twarzy triumfalny nastrój obu lekarzy dawał się łatwo odczytać z ich głosów i gestów. Obserwując ich, Dawid doznawał gwałtownych, lecz mieszanych uczuć. Z ciężkim sercem przyglądał się na zbliżeniu, jak Cooper wkłada na miejsce wycięty fragment czaszki, a kiedy płat skóry został naciągnięty na swe miejsce i miejsce cięcia zszyte, nie pozostał niemal żaden ślad świadczący o tym, jak głęboka i poważna była to operacja. Obraz na ekranie monitora zamigotał i ukazał się na nim widok innej sali operacyjnej, na której mała dziewczynka miała być operowana na przepuklinę. Na tym też obrazie skupiła teraz swoją uwagę para studentów.

Dawid wstał i opuścił salę. Pojechał windą do góry i czekał w pokoju dla odwiedzających, aż drzwi windy rozsunęły się ponownie i dwóch pielęgniarzy potoczyło łóżko z Deborą do jej pokoju. Debora była śmiertelnie blada, miała podsinione oczy i popielate wargi, a głowę owiniętą grubo bandażami. Na okrywającym ją prześcieradle widniały pociemniałe ślady krwi, a po korytarzu rozszedł się intensywny zapach anestetyków.

Wkrótce potem zjawił się Ruben Friedman. Zdążył już zrzucić z siebie zielony fartuch i był ubrany w elegancki, lekki garnitur z wełny moherowej, a pod szyją miał zawiązany wart nie mniej niż dwadzieścia gwinei jedwabny krawat od Diora. Prezentował się dostatnio i zdrowo, a do tego rozpierała go radość z osiągniętego świeżo sukcesu.

– Oglądałeś? – spytał Dawida, a gdy ten przytaknął, zatarł ręce z satysfakcją, zaśmiał się i kontynuował dalej w podnieceniu: – To było coś niezwykłego! Mój Boże, coś takiego sprawia, że człowiek nabiera chęci do życia i przeświadczenia, że choćby już

niczego więcej nie dokonał, to było ono i tak coś warte...

Nie mógł się powstrzymać i klepnął Dawida po ramieniu.

– Coś nadzwyczajnego! – powtórzył, rozdzielając to drugie słowo na sylaby, pieszcząc nim język.

– Kiedy będziesz znał już wynik? – zapytał spokojnie Dawid.

– Ja go już znam. Gotów jestem postawić w zakład całą swoją reputację!

– Czy to znaczy, że Debora zacznie widzieć w momencie, kiedy obudzi się z narkozy?

– Nie! Dobry Boże, nie! – zaśmiał się Ruben. – Nerw był uciśnięty od lat, musi upłynąć jakiś czas, zanim odzyska sprawność.

– Jak długo to potrwa?

– Widzisz, to jest tak jak ze zdrętwiałą nogą. Kiedy zaczyna do niej ponownie napływać krew, noga jest wciąż jeszcze bezwładna i czujesz w niej przykre ciarki, dopóki krążenie nie wróci do normy.

– Jak długo? – powtórzył Dawid.

– Zaraz gdy się obudzi, nerw zacznie działać w sposób zupełnie zwariowany, wysyłając do mózgu najrozmaitsze bezsensowne sygnały. Będzie widziała feerię barw i kształtów, jak gdyby była w stanie narkotycznego upojenia. Musi upłynąć czas, zanim przyjdzie uspokojenie – sądzę, że ze dwa tygodnie do miesiąca. Potem nerw zacznie funkcjonować normalnie, wizja wyklaruje się i Debora zacznie widzieć jak kiedyś.

– Dwa tygodnie – powiedział Dawid i poczuł ulgę jak skazaniec na wiadomość o odroczeniu wykonania wyroku.

– Przekażesz jej oczywiście tę dobrą nowinę – Ruben uśmiechnął się znowu rozlewnie i już uniósł rękę, by jeszcze raz poklepać Dawida po ramieniu, ale opanował się. – Będziesz mógł jej zrobić wspaniały prezent, doprawdy.

– Nie – odparł Dawid. – Nie powiem jej jeszcze o tym. Później znajdę odpowiedni moment.

– Ale przecież będziesz musiał wytłumaczyć jej jakoś wizje, których będzie doznawała już na samym początku, te barwne halucynacje. Będzie nimi zaszokowana.

– Powiem jej, że jest to normalny efekt podrażnienia operacyjnego. Niech się z tym oswoi, zanim się dowie.

– Dawidzie, ja... – Ruben zaczął poważnym tonem, lecz zamilkł, widząc dziki błysk w oczach osadzonych w nieruchomej, okropnej twarzy.

– Ja jej powiem! – w głosie Dawida brzmiała taka pasja, że Ruben cofnął się krok w tył. – Taki był mój warunek. Powiem jej, kiedy uznam, że nadszedł czas!

W nieogarnionej czarnej pustce zapłonęło bursztynowe światełko, blade i dalekie, i gdy Debora wpatrywała się w nie, podzieliło się jak ameba, potem każda z połówek podzieliła się jeszcze raz i podział ten postępował dalej, aż cały wszechświat zapełnił się gęstwą ruchliwych gwiazd. Światło migotało i pulsowało, zdobywczco i triumfalnie, zmieniając barwę od bursztynowej do najczystszej bieli,, jak gdyby rozszczepiał je niewidzialny, gigantyczny diament. Potem stało się niebieskie jak toń podzwrotnikowego morza, by następnie roztoczyć całą gamę delikatnych odcieni leśnej zieleni i wreszcie przybrać złocistą barwę pustyni. Nieskończony korowód zmieniających się kolorów, blaknących, ginących, tryskających kaskadami i przechodzących jeden w drugi i przenikających się nawzajem roztaczał się przed Deborą, zadziwiał ją i fascynował.

Potem kolory zaczęły przybierać kształty, które pojawiały się, przemieszczały i ewoluowały jak w gigantycznym kalejdoskopie, to znów tworzyły olbrzymie barwne kręgi, obracające się na kształt diabelskich młynów, eksplodowały na kształt fajerwerków, by natychmiast rozbłysnąć nowymi kaskadami barw.

Debora unosiła się w tym rozszalałym oceanie światła, kształtów i barw, który atakował ją i oszalał swym pięknem tak, że w końcu nie była w stanie znieść dłużej tego zalewu niewyobrażalnych wprost wrażeń i krzyknęła.

Natychmiast poczuła dłoń na swojej dłoni, mocną, znajomą dłoń i usłyszała ów jedyny i najdroższy jej głos, łagodny i krzepiący.

– Dawid... – westchnęła z ulgą.

– Spokojnie, spokojnie, kochanie. Musisz odpoczywać.

– Dawidzie! Dawidzie! – załkała, gdy uderzyły w nią nowe tornada barw.

– Jestem tutaj, najdroższa. Jestem przy tobie.

– Co się ze mną dzieje? Co to jest?

– Wszystko jest w porządku. Operacja się udała. Twój stan jest bardzo dobry.

– Kolory! – zawołała. – One wypełniają mi całą głowę. Nigdy nie doświadczałam ich tak jak teraz.

– To skutek zabiegu. Dowodzi, że wynik jest pomyślny. Usunięto ci guz.

– Boję się, Dawidzie.

– Niepotrzebnie. Nie ma nic, czego musiałabyś się obawiać.

– Obejmij mnie, obejmij mocno!

W dającym poczucie bezpieczeństwa uścisku Dawida lęk zaczął ustępować i Debora powoli zaczęła opanowywać sztukę żeglowania po tym oceanie barw, oswajając się z jego rozhuśtanym żywiołem i w końcu przyglądać mu się z rozkoszą i podziwem.

– To jest piękne, Dawidzie. Nie boję się, kiedy trzymasz mnie w ramionach. To cudowne.

- Opowiedz mi, co widzisz.
- Nie potrafię. To niemożliwe. Nie umiałabym znaleźć słów.
- Mimo wszystko – spróbuj!

Było już po północy, kiedy zadzwonił telefon. Było to zamówione przez Dawida połączenie z Nowym Jorkiem.

- Tu Robert Dugan. Z kim mówię?
- Głos w słuchawce brzmiał rzeško i dynamicznie.
- Tu Dawid Morgan.
- Kto?
- Mąż Debory Mordechaj.

– Aaa, jasne – ton głosu agenta uległ zmianie, stał się swobodniejszy. – To miło, że dzwonicz, Dawidzie. Jak się ma Debora?

Było jasne, że Dawid interesuje Dugana wyłącznie jako mąż swojej żony.

– Dzwonię właśnie w związku z Deborą. Musiała przejść operację i jest jeszcze w szpitalu.

– O Boże! Mam nadzieję, że to nic poważnego?

– Wszystko wygląda dobrze. Wstanie z łóżka za parę dni, a za parę tygodni zacznie znów pracować.

– Cieszę się. To wspaniale.

– Posłuchaj. Chciałbym, żebyś się zakreślił i załatwił ten kontrakt na napisanie scenariusza do Kraju naszych serc.

– Ejże, ona naprawdę podejmie się tej roboty?

Zadowolenie w głosie Dugana brzmiało wyraźnie, pomimo odległości liczącej dziewięć tysięcy kilometrów.

– Tak, teraz się jej podejmie.

– To wspaniała wiadomość, Dawidzie.

– Przygotuj jej dobry kontrakt.

– Bądź o to spokojny, chłopie. Twoja mała to łakomy kęs. Można o nią wysoko pograć i na pewno wyjdzie się na swoje, ja ci to mówię!

– Jak długo potrwa praca nad scenariuszem?

– Będą ją potrzebowali na jakieś sześć miesięcy. Producent, dla którego będzie pisać, robi teraz jakiś film w Rzymie. Zechce prawdopodobnie, żeby Debora pracowała właśnie tam.

– Dobrze. Rzym na pewno się jej spodoba.

– Pojedziesz z nią, Dawidzie?

– Nie – odparł Dawid, wyraźnie wymawiając to słowo. – Nie, pojedzie sama.

– Czy da sobie tam sama radę? – spytał Dugan, lekko zaniepokojony.

– Od tej pory Debora ze wszystkim będzie mogła sama dać sobie radę.

– Mam nadzieję, że się nie mylisz – w głosie Dugana dało się wyczuć wątpliwość.

– Nie myślę się – uciął krótko Dawid. – Jeszcze jedno. Czy sprawa tej serii spotkań autorskich jest jeszcze aktualna?

– Ciągłe dobijają się o nie. Jak powiedziałem, Debora to kawałek czystego złota.

– Załatw te spotkania na późniejszy termin.

– Ejże, Dawidzie! To jest interes! Teraz naprawdę pojedziemy pełną parą. Twoja mała zbije ładną fortunę.

– Postaraj się o to. Zrób jej publicity. Trzymaj ją w ciągłym ruchu, słyszysz? Nie daj jej czasu na rozmyślanie.

– Znajdę dla niej dość zajęć – obiecał Dugan i jakby wyczuwając coś szczególnego w głosie Dawida, spytał: – Coś cię gryzie, Dawidzie? Masz jakieś kłopoty w domu? Chcesz o tym porozmawiać?

– Nie, nie będziemy rozmawiać na ten temat. Po prostu nie daj jej próżnować i zadbaj o jej karierę.

– Masz na to moje słowo – stwierdził Dugan i jego głos spoważniał. – Dawidzie...

– Tak?

– Trzymaj się, chłopie. Nie wiem, w czym rzecz, ale w każdym razie – powodzenia.

– W porządku. Dziękuję – odparł Dawid i natychmiast odłożył słuchawkę. Ręka drżała mu tak, że strącił przy tym aparat ze stolika. Obudowa z tworzywa sztucznego pękła, lecz on nie zwrócił na to uwagi, zostawił aparat leżący na podłodze, wyszedł z pokoju, zjechał windą na dół i wyszedł w nocny mrok. Długo krążył ulicami uśpionego miasta i dopiero tuż przed świtem zmęczenie przywiodło go z powrotem do hotelu.

Rwące potoki kolorów zwolniły swój bieg i zaczęły płynąć spokojnie, w sekwencjach ruchomych, lecz uporządkowanych barwnych wzorców. Przestały wybuchać kaskadami różnobarwnego blasku, które tak ją oszalały. Po szarych oparach ślepoty, które na kształt brudnej waty wypełniały jej głowę przez długie lata, owa jasność i piękno wpływały ożywczo i krzepiąco na wyobraźnię i stan ducha Debory, tak że kiedy po paru dniach minęły dolegliwości pooperacyjne, poczuła się znakomicie, popadła w stan jakiegoś nieokreślonego, optymistycznego oczekiwania, jakiego nie doświadczała od dawna, od czasu, gdy jako dziecko z radością wyczekiwała na nadejście wakacji.

Było to tak, jak gdyby gdzieś w głębokiej warstwie jej podświadomości tliło się

niewyraźne przeczucie, a właściwie przekonanie o tym, że już niebawem odzyska utraconą zdolność widzenia. Owo przekonanie nie docierało jednakowoż do jej świadomości – zdawała sobie sprawę z tego, że zaszła istotna zmiana, radowało ją, że udało się jej wyrwać z mrocznych katakumb ponurej nicości i znaleźć w krainie świetlistości i blasku, ale nie spodziewała się, że coś jeszcze się wydarzy, że po świetle i grach barw przyjdzie widzenie kształtów i percepcja realnego świata.

Codziennie Dawid oczekiwał od niej jakiegoś sygnału, który świadczyłby o tym, że Debora zdaje sobie sprawę z tego, że odzyskuje wzrok. Miał nadzieję, że sygnał taki się pojawi i zarazem bał się go, lecz sygnał nie nadchodził.

Codziennie spędzał z nią tyle czasu, na ile pozwalał szpitalny regulamin, i niechętnie odliczał minuty, jak biedak supłający grosz po groszu ze swojej chudej sakiewki. Radosny nastrój Debory był jednak zaraźliwy i Dawid chcąc nie chcąc musiał śmiać się wraz z nią i radować jej radosnym oczekiwaniem na wypisanie ze szpitala i wspólny powrót do Dżabulani.

Debora nie żywiła żadnych wątpliwości, żaden cień nie zakłócał jej szczęścia i Dawid stopniowo zaczął wierzyć, że stan ten będzie trwał, że ich szczęście jest niezniszczalne, że ich miłość przetrwa wszystko, co może się zdarzyć. Teraz, kiedy unosili się oboje na fali entuzjazmu Debory, ich uczucie wydawało się tak silne, że Dawid był prawie pewien, iż Debora oswoi się z jego wyglądem, a przede wszystkim zdoła znieść pierwszy szok, którego dozna, kiedy go zobaczy.

Był pewien, ale jednak nie na tyle, żeby powiedzieć jej, iż odzyskała wzrok. Miał jeszcze czas. Dwa tygodnie – tak powiedział Ruben Friedman, dwa tygodnie, zanim będzie go mogła zobaczyć i Dawid starał się wyłuskać z tych dni każdą szczyptę szczęścia.

Samotne noce spędzał bezsennie, walcząc z natłokiem myśli. Pamiętał, że chirurg powiedział mu kiedyś, iż można zrobić jeszcze co nieco, by uczynić jego twarz mniej odrażającą. Mógłby więc wrócić i oddać się ponownie pod skalpel, choć sama myśl o tym przyprawiała go o wewnętrzny skurcz. Być może jednak chirurdzy plastyczni dostarczyliby Deborze nieco mniej przerażający konterfekt do oglądania?

Któregoś dnia zebrał się w sobie, wybrał się do wielkiego domu handlowego Stuttforda na ulicy Adderley i zniósł dzielnie setki spojrzeń kłębiącego się tam tłumu. Ekspedientka w dziale z perukami, otrząsnąwszy się z wrażenia, jakie zrobił na niej jego widok, zaprowadziła go do kabiny zasłoniętej kotarą i z przejęciem zabrała się do wyszukiwania stosownej peruki, mającej przykryć jego łysą czaszkę.

Dawid przyjrzał się w lustrze kunsztownie utrefionym kędziom wieńczącym zakrzepłą maskę jego twarzy i po raz pierwszy roześmiał się na swój własny widok,

choć rozwarła w śmiechu wąskie wargi czyniły jego twarz jeszcze bardziej przerażającą.

– O Boże! – zawołał. – Frankenstein w pigułce! Dla obsługującej go dziewczyny, która starała się dotąd opanować, było to też za wiele. Zaczęła chichotać, nieco histerycznie, bo z zażenowaniem.

Miał zamiar opowiedzieć o tym Deborze, przedstawić wydarzenie w formie zabawnej historyjki i zarazem przygotować ją w jakimś stopniu na moment, kiedy po raz pierwszy ujrzy jego twarz, lecz nie mógł jakoś znaleźć odpowiednich słów. Spędzili wspólny czas tak jak zwykle, w atmosferze serdeczności i niczym nie zmaconego szczęścia.

Następnego dnia Debora zaczęła po raz pierwszy wykazywać oznaki zniecierpliwienia.

– Kiedy wreszcie wypuszczą mnie stąd, kochanie? Czuję się przecież znakomicie. To bezsens leżeć tutaj. Chcę wrócić do Dżabulani, tam czeka przecież na nas tyle zajęć!

I zaraz też dodała, śmiejąc się:

– Trzymają mnie tu dziesięć dni. Nie jestem przyzwyczajona do życia w ascezie i jeśli mam być wobec ciebie całkiem szczerą, ty lubieżniku, to powiem ci, że dosłownie włożę już na ścianę...

– Można by zamknąć drzwi na klucz od środka – powiedział Dawid.

– Boże, ja poślubiłam prawdziwego geniusza! – zawołała Debora radośnie. Później zaś powiedziała do Dawida:

– Po raz pierwszy zdarzyło mi się przeżyć to w technikolorze. I chyba popadnę w ciężki stan uzależnienia.

Tego wieczora Ruben Friedman i Bryg czekali na Dawida w jego hotelu. Szybko przeszli do sedna sprawy.

– To trwa już zbyt długo. Debora powinna zostać poinformowana przynajmniej przed paroma dniami – powiedział ostro Bryg.

– To prawda, Dawidzie. Jesteś wobec niej nie w porządku. Ona musi mieć czas na oswojenie się z tą świadomością, czas na dojście do ładu...

– Powiem jej w stosownym momencie – wymamrotał niechętnie Dawid.

– Kiedy to nastąpi? – warknął Bryg, a jego złoty ząb błysnął poprzez wąsy.

– Wkrótce.

– Dawidzie – Ruben starał się być pojednawczy i perswadować – to może przyjść w każdej chwili. Proces rekonwalescencji postępuje szybciej i Debora może odzyskać zdolność widzenia o wiele wcześniej, niż oczekiwałem.

– Powiem jej – powtórzył Dawid. – Czy nie możecie przestać mnie poganiać?

Powiedziałem, że zrobię to, i zrobię. A na razie dajcie mi spokój.

– W porządku – stwierdził Bryg. – Masz czas do jutra do południa. Jeżeli do tej pory ty jej nie powiesz, zrobię to ja.

– Uparty z ciebie sukinsyn – warknął Dawid. Bryg zacisnął pobielełe z wściekłości wargi i widać było, że czyni wielki wysiłek, by się opanować.

– Rozumiem twój opór – odezwał się, wolno i spokojnie cedząc słowa. – I współczuję ci. Niemniej pierwszym przedmiotem mojej troski jest Debora. Folgujesz sobie, Dawidzie. Roztkliwiasz się nad samym sobą. Ale ja nie pozwolę, by to przyprawiło jej jeszcze większego cierpienia. Zniosła już dostatecznie dużo. Nie będzie więcej zwłoki. Powiedz jej i miej to już raz za sobą.

– Dobrze – zgodził się Dawid. Cała jego złość gdzieś wyparowała. – Powiem jej.

– Kiedy? – nalegał Bryg.

– Jutro – odparł Dawid. – Powiem jej jutro rano.

Ranek był pogodny i ciepły, a ogród przed oknami apartamentu Dawida weselił się mnogością barw. Dawid zwlekał przy śniadaniu, które przyniesiono mu do pokoju. Jedząc przeczytał od deski do deski całą poranną prasę. Później ubierał się powoli i starannie – włożył koszulę koloru lila i ciemny garnitur, po czym poddał swój wygląd krytycznej ocenie przed dużym lustrem wiszącym w garderobie.

– Tyle czasu już minęło, a ja wciąż nie mogę się do ciebie przyzwyczaić – powiedział do sylwetki w lustrze. – Módlmy się, żeby ktoś inny pokochał cię bardziej niż ja.

Portier przed hotelem wskazał mu czekającą nań taksówkę. Dawid usiadł na tylnym siedzeniu, czując ołowiany ciężar w brzuchu. Jazda trwała tego ranka zdecydowanie krócej niż zwykle. Dawid zapłacił za kurs i wchodząc po stopniach głównego wejścia do szpitala Groote Schuur spojrzął na zegarek. Było parę minut po jedenastej. Spojrzenia, jakimi obrzucano go, gdy zmierzał do windy, nie docierały w ogóle do jego świadomości.

W pomieszczeniu dla odwiedzających na piętrze, na którym leżała Debora, czekał na niego Bryg. Spostrzegłszy go wyszedł na korytarz, wysoki, ponury i prezentujący się obco w cywilnym ubraniu.

– Co pan tutaj robi? – zapytał Dawid.

Tak ordynarne natręctwo rozjuszyło go.

– Sądziłem, że mogę się w jakiś sposób przydać.

– Dzięki za życzliwość – rzekł Dawid ironicznie, nie ukrywając gniewu.

Bryg nie zareagował ani słowem, ani wyrazem twarzy, i spytał spokojnie:

– Czy chcesz, żebym ci towarzyszył?

– Nie! – rzucił Dawid przez ramię. – Dam sobie radę – dodał i ruszył w głąb korytarza.

– Dawidzie! – zawołał Bryg głosem tak dziwnie miękkim, że Dawid zawahał się, przystanął i odwrócił.

– O co chodzi? – zapytał.

Przez długą chwilę obaj mężczyźni spoglądali na siebie w milczeniu. Potem Bryg potrząsnął nagle głową.

– Nic, już nic – powiedział i patrzył, jak wysoki, młody mężczyzna o potwornej głowie odwraca się i zmierza szybkim krokiem do pokoju Debory. Jego kroki odbijały się echem w korytarzu, jak kroki skazańca wstępującego na stopnie szubienicy.

Dzień był ciepły, a od morza wiała lekka bryza. Debora siedziała w fotelu przy otwartym oknie, przez które wraz z ciepłym powiewem dolatywała woń sosnowego lasu. Woń ta, żywiczna i orzeźwiająca, mieszała się z delikatnym zapachem wody morskiej i kwitnących wodorostów. Debora była spokojna i miała dobre samopoczucie, nawet pomimo że Dawid spóźnił się z przyjściem. Rozmawiała wcześniej z Rubenem Friedmanem, który obiecał jej, że będzie mogła opuścić szpital mniej więcej za tydzień. Ten tak bliski już termin bardzo ją ucieszył.

Ciepło przedpołudnia było rozleniwiające, także opuściła powieki, przemieniając tym samym potok żywych barw w pejzaż rozmytych, delikatnych cieni i zapadła w płytki sen.

Dawid zastał ją uspioną, usadowioną w głębokim fotelu, z podkurczonymi nogami i twarzą rozjaśnioną bocznym, refleksem słońca odbitego od szyby. Głowę miała owiniętą świeżym bandażem, a jej koszula była biała jak śnieg i obszyta delikatnymi koronkami jak suknia panny młodej.

Stał przed fotelem, przypatrując się jej uważnie. Była blada, lecz sińce pod oczami znikły, a układ pełnych warg był pogodny.

Z nadzwyczajną ostrożnością Dawid pochylił się nad nią i położył dłoń na jej policzku. Debora drgnęła i otworzyła oczy – oczy o barwie ciemnego miodu zmieszanego z okruciami jasnego złota. Oczy te były piękne, a zarazem mgliste i niewidzące, lecz nagle Dawid dostrzegł zachodzącą w nich zmianę – ich spojrzenie stało się ostre i świadome, uchwyciło swój obiekt i zawisło na nim. Debora patrzyła na niego i widziała go.

Z płytkiego, przyjemnego snu wyrwało ją dotknięcie na policzku, tak lekkie jak muśnięcie opadającego liścia. Otworzyła oczy, które natychmiast wypełniły kłęby delikatnie złocistych chmur, lecz po chwili chmury te nieoczekiwanie rozstały się i rozwiały i spoza nich ukazała się głowa potwora, która płynęła w jej kierunku, olbrzymia głowa, pozbawiona korpusu, tak straszna, że musiała wychynąć z najgłębszych

czeluści piekieł, sklecona z topornie uformowanych fragmentów i pozszywana z sinych płatów skóry. Był to widok tak przerażający, że Debora targnęła się w tył, zasłoniła dłońmi oczy i krzyknęła.

Dawid odskoczył od fotela i wybiegł z pokoju, zatraskując za sobą drzwi. Stukot jego biegnących stóp rozbrzmiał w korytarzu, Bryg usłyszał go i wyszedł z pokoju dla odwiedzających.

– Dawidzie! – krzyknął i wyciągnął rękę, by go zatrzymać, lecz Dawid nie zatrzymując się machnął ręką dziko, na odlew, trafiając go w pierś tak mocno, że cios pchnął Bryga na ścianę. Gdy odzyskał równowagę i rozcierając pierś uczynił krok do przodu, Dawida już nie było w korytarzu i tylko z klatki schodowej dobiegał jeszcze hałas.

– Dawidzie! – zawołał Bryg chrapliwym głosem. – Zaczekaj!

Lecz Dawid był już na dole, hałas cichł. Bryg postanowił go nie gonić. Odwrócił się i pospieszył do pokoju, z którego spoza zamkniętych drzwi dobiegał szloch jego córki.

Debora spojrzała sponad skurczonych dłoni, słysząc skrzypnięcie otwieranych drzwi, i osłupienie przemogło przerażenie malujące się w jej oczach.

– Widzę cię – wyszeptała. – Ja widzę...

Bryg podszedł do niej szybkim krokiem i objął ją.

– Już dobrze – bąknął. – Wszystko będzie dobrze.

Debora przytuliła się do niego.

– Miałam sen – powiedziała, pochlipując. – Koszmarny sen – dodała i wzdrygnęła się. Nagle oderwała się od Bryga.

– Dawid! – zawołała. – Gdzie jest Dawid? Muszę go zobaczyć!

Bryg zeszywniał, gdy pojął, że Debora wzięła rzeczywistość za senną zjawę.

– Muszę go zobaczyć! – powtórzyła Debora, a on odpowiedział cichym, smutnym głosem:

– Już go widziałas, moje dziecko.

Przez wiele sekund Debora patrzyła na niego, potem powoli przyszło zrozumienie.

– Dawid? – wyszeptała. – To był Dawid?

Bryg kiwnął potakująco głową, szukając wzrokiem na jej twarzy oznak niechęci i wstrętu.

– O, Boże, Boże! – w głosie Debory brzmiała rozpacz. – Co ja zrobiłam! Krzyknęłam, kiedy go zobaczyłam. To ja sprawiłam, że uciekł.

– Czyżbyś więc miała chęć jeszcze go zobaczyć?

– Jak możesz o to pytać! Bardziej niż cokolwiek na świecie. Powinieneś to wiedzieć!

– Nie zraża cię jego obecny wygląd?

– Jeżeli zdaje ci się, że jego wygląd ma dla mnie jakiegokolwiek znaczenie, to mnie nie znasz! – zawołała ze złością, lecz zaraz na jej twarzy pojawił się wyraz niepokoju. – Odszukaj mi go! – rozkazała. – I pospiesz się, żebyś zdążył, zanim on zrobi coś głupiego.

– Nie wiem, dokąd pobiegł – odrzekł Bryg, który teraz sam zaczął odczuwać niepokój.

– Jest tylko jedno miejsce, gdzie mógł uciec, zraniony tak jak teraz – powiedziała Debora. – Będzie w powietrzu.

– Tak. Na pewno – potwierdził Bryg.

– Jedź na lotnisko i dostań się do wieży kontroli lotów. Tobie pozwolą porozmawiać z nim.

Bryg odwrócił się na pięcie i ruszył do drzwi. Przy wyjściu dobiegł go jeszcze błagalny głos Debory:

– Znajdź mi go, tato. Proszę, znajdź mi go!

Navajo właściwie sam obrał kurs na południe. Dopiero kiedy smukły, zaokrąglony nos maszyny przybrał stałe położenie i lekko zadarty w górę wymierzył w bezkresny niebieski przestwór, Dawid zdał sobie sprawę z tego, dokąd zmierza.

Daleko z tyłu zostawała góra o ściętym, płaskim szczycie, spowitym strzępami chmur. Był to najdalej wysunięty kraniec ładu, a z przodu rozpościerał się bezmiar lodowatych, niespokojnych wód.

Dawid spojrział na wskaźniki poziomu paliwa.. Obraz przed zapuchniętymi oczami wciąż jeszcze był niewyraźny, lecz dojrzał wskazówki stojące nieco ponad połowę skali.

Może ze trzy godziny lotu – pomyślał i doznał chłodnego uczucia ulgi, wiedząc, że będzie to koniec jego cierpienia. Wiedział też dokładnie, jak osiągnie kres swojej drogi, leżący gdzieś głęboko pod powierzchnią sinych wód. Będzie się wznosił powoli, lecz nieprzerwanie, do momentu, gdy silniki zaczną się dławić i zgasną. Wtedy opuści nos do pionowego pikowania i pójdzie w dół samobójczym lotem okaleczonego i umierającego orła. Koniec nastąpi szybko i metalowy kadłub sprowadzi go w dół, do grobu, w którym nie będzie bardziej opuszczony i samotny, niż jest teraz.

Radio zatrzeszczało i z głośnika zaczął dobiegać szum. Wśród zakłóceń usłyszał wezwanie wieży kontroli lotów, wywołującej jego kod. Wyciągnął rękę, żeby wyłączyć radiostację, kiedy w głośniku zabrzmiał dobrze znajomy głos i ręka zawisła w powietrzu.

– Dawidzie, tu Bryg.

Te słowa i ton, jakim zostały wypowiedziane, przeniosły go na chwilę z powrotem do innego kraju i do kabiny innego samolotu.

– Nie wykonałeś już kiedyś mojego rozkazu. Nie zrób tego ponownie.

Wargi Dawida zwarły się w cienką jak nitka, bezbarwną linię i ręka ponownie

wyciągnęła się do wyłącznika. Wiedział, że tam, na lotnisku, obserwują go na ekranie radaru, że znają jego kurs i że Bryg domyśla się jego zamiaru. No i dobrze. Nie mogą mu w żaden sposób przeszkodzić.

– Dawidzie – głos Bryga zmiękł i jakiś instynktowny impuls kazał mu wybrać jedyne słowa, jakich Dawid był jeszcze skłonny słuchać – przed chwilą rozmawiałem z Deborą. Ona cię potrzebuje. Potrzebuje i pragnie ponad wszystko na świecie.

Ręka Dawida wisiała niezdecydowanie nad wyłącznikiem.

– Posłuchaj mnie, Dawidzie. Ona kocha cię i chce być z tobą. I zawsze będzie cię potrzebowała.

Dawid zamrugał powiekami, czując, że łzy ponownie napływają mu do oczu. Jego determinacja osłabła.

– Wracaj, Dawidzie. Błagam cię w imieniu Debory, wracaj!

Pośród mroku zasnuwającego duszę Dawida rozbłysła mała iskierka blasku i zaczęła się rozrastać, aż promienny blask wypełnił całe jego jestestwo.

– Dawidzie, tu Bryg – tym razem głos dobiegający z głośnika był ponownie głosem starego dowódcy, twardym i nie dopuszczającym sprzeciwu. – Wracaj natychmiast do bazy!

Dawid uśmiechnął się, ujął w dłoń mikrofon, uniósł go do ust i nacisnął kciukiem przycisk.

– Beseder! Tu Zulu jeden. Biorę kurs do domu – rzekł krótko i położył maszynę w ciasny zakręt.

Góra na horyzoncie była niska i zasnuta niebieskawą mgiełką. Dawid skierował na nią nos schodzącej powoli w dół maszyny. Wiedział, że to, co go czeka, nie będzie łatwe, że będzie wymagało zmobilizowania maksimum siły woli i wytrwałości, ale wiedział też, że cel, który osiągnie, jest tego wart. Nagle zapragnął nade wszystko w świecie znaleźć się sam na sam z Deborą w zaciszu Dżabulani.